

# *Skrawek nieba*

JANINA DAVID

WYDAWNICTWO  
**MAGNUM**

**JANINA DAVID**  
*Skrawek nieba*

PRZEKŁAD  
Elżbieta Olender-Dmowska  
Katarzyna Malita

WYDAWNICTWO  
**MAGNUM**

# Spis treści

Dedykacja

Motto

Przedmowa do polskiego wydania

CZEŚĆ I. Skrawek nieba

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

CZEŚĆ II. Skrawek ziemi

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

Podziękowania

O Autorce

*Pamięci moich Rodziców*

*A co raz zajdzie, o swojej porze  
I straci prawo istnienia,  
To się do życia obudzić może  
Już tylko echem wspomnienia.*

SZMUL KOWALSKI

porucznik rezerwy 29 Pułku Strzelców Kaniowskich w Szczypiornie  
Z wpisu do pamiętnika Janiny Nowickiej (z domu Libiszewskiej)  
Szczypiorno, 1 lipca 1933

# Przedmowa do polskiego wydania

Ten krótki wiersz na poprzedniej stronie wpisał mój kuzyn Samulek Kowalski do pamiętnika panny Janiny Libiszewskiej w lipcu 1933 roku. Poznali się w autobusie kursującym na trasie Kalisz-Szczypiorno. Samulek, oficer rezerwy, jeździł do Szczypiorna na ćwiczenia wojskowe. Przyjaźń trwała podobno tylko to jedno lato, ale pozostawiła miłe wspomnienia w pamięci panny Janiny – i ten wiersz.

*Skrawek nieba* jest książką wspomnień. Brzmiały w niej echa dawno zamilkłych głosów. Kiedy po latach spędzonych w Australii wróciłam do Europy i zamieszkałam w Londynie, głosy te odezwały się, uporczywie żądając swych praw. Druga wojna światowa nie zostawiła widocznych śladów w Melbourne. Południowe słońce wypala kolory, pustynny wiatr sypie w oczy czerwonym piaskiem, zacierając obrazy pamięci.

Londyn we wczesnych latach powojennych przedstawiał całkiem inny obraz. Puste place po zburzonych budynkach, zdewastowane doki, ogólna szarość, zniszczone otoczenie, wszechobecna sadza pokrywająca miasto i zatruwająca powietrze obudziły wspomnienia innych gruzów, ruin i duszących dymów nad zgliszczami miast.

Przez wszystkie lata po zakończeniu wojny unikałam opowiadań o moich wojennych przeżyciach. Każdy, kto przeżył wojnę, mógł opowiedzieć swoją historię. Kiedy inni mówili, ja wolałam milczeć. Ale ci co zginęli? Czy oni nie mieli prawa do głosu? Uświadomiłam sobie, że dla wielu z nich byłam może ostatnim świadkiem ich życia. Ja jedna pamiętałam, jak tam wtedy było... Wraz z moją pamięcią zaginęła i pamięć o nich. W roku 1958 zaczęłam pisać. Najpierw poszczególne sceny, wydarzenia, rozmowy i wypadki, które najmocniej utkwiliły mi w pamięci. Wybrałam język angielski, który dał mi dystans konieczny dla wyrażenia tego, co w języku polskim byłoby nie do wypowiedzenia. Gdzie indziej opisałam moją pierwszą wizytę w Polsce w roku 1962. Chciałam sprawdzić, czy to, co napisałam o moim wczesnym dzieciństwie, o rodzinie i życiu w przedwojennym Kaliszu, było naprawdę takie, jak pamiętałam. Ta wizyta upewniła mnie, że byłam na właściwej drodze.

Zimę 1962–1963 spędziłam w Paryżu, pisząc dalej i kiedy na wiosnę wróciłam do Londynu, manuskrypt był skończony. Odłożyłam go z ulgą. Minął jeszcze rok, zanim go otworzyłam i po długim wahaniu wysłałam do wydawcy. Spodziewałam się, że otrzymam go z powrotem po wielu miesiącach, z grzeczną odmową, jeśli w ogóle jeszcze kiedyś go zobaczę. Przyjęto go w ciągu tygodnia. Z nową otuchą zabrałam się do pracy nad dalszym ciągiem.

*Skrawek nieba* (*A Square of Sky*) wydano w Wielkiej Brytanii w 1964 roku. *Skrawek ziemi* (*A Touch of Earth*) rok później. Parę lat później obie książki ukazały się w Stanach. Z biegiem lat wyszły tłumaczenia w innych obcych językach. Niemiecka

telewizja ARD nakręciła ośmiogodzinny serial, książki były czytane w audycjach radiowych, nagrano je na płyty, powstały ich adaptacje teatralne. Przeglądałam te obce wydania, brałam udział w kręceniu filmu, sama także wystąpiłam w filmie dokumentalnym dla niemieckiej telewizji, prowadziłam odczyty i wykłady na zagranicznych uniwersytetach i zebraniach, ciągle mając nadzieję, że doczekam kiedyś i polskiej wersji. To przecież w Polsce miały miejsce wszystkie opisywane wydarzenia i ci, o których pisałam, mówili po polsku. Teraz *Skrawek nieba* dotarł do kraju. Przemówił własnym głosem.

A motto? Ten wiersz przysłała mi właścicielka pamiętnika, pani Janina Nowicka z domu Libiszewska, która zimą 2011 roku przeczytała w „Życiu Kalisza” moje wspomnienia o domu moich dziadków Kowalskich. Napisałam w nich też o Samulku, który razem z bratem mojej matki, Jakubem Kowalskim, tak jak on oficerem rezerwy, wyruszył w 1939 roku na wojnę. Samulek poległ w bitwie nad Bzurą. Przed śmiercią zdjął obrączkę i dał ją Jakubowi, prosząc, by przekazał jego młodej żonie. Jakub nosił tę obrączkę przez wiele lat. Wzięty do niewoli po upadku Warszawy, wrócił do Kalisza po zakończeniu wojny i z najbliższej rodziny odnalazł tylko mnie. Żona Samulka, ich dziecko i cała rodzina zginęli w warszawskim getcie.

Nie wspominałam o Samulku w *Skrawku nieba*. On sam jednak pospieszył i w ostatniej chwili zjawił się, by dołączyć swój głos do wszystkich tych, których echa brzmiały w tej książce, i zająć swoje miejsce w rodzinie.

Londyn, sierpień 2012



CZĘŚĆ I  
**Skrawek nieba**

Pokoik wypełnia zapach dojrzewających jabłek i gruszek.

Owoce stoją rządkiem na parapecie, gdzie ślicznie się zarumienią od słońca. Za półotwartym oknem pomrukuje rozmarzony sad, a za sadem trzyma straż rozszeptana ściana lasu. Z każdego okna domu i z każdego miejsca na drodze widać ciemną linię drzew okalających wioskę.

Drzewa podchodzą pod samą drogę przed naszym domem: wysokie, ciemne jodły i sosny, chropowate i lepkie od żywicy; potężne dęby z błyszczącymi, pięknie wyciętymi liśćmi, najlepszymi na korony dla królów, w których bawimy się w lesie; a między ich sękatymi pniami kołyszają się tanecznie srebrzyste brzozy, księżniczki i panny młode w zielonych letnich sukniach, które wczesną jesienią, gdy zbliża się koniec wakacji, opadają kaskadą złota. Wtedy nadchodzi pora, by obmyślić szczęśliwe zakończenia do moich letnich opowieści i zostawić wszystkie ich bohaterki w błogim stanie zawieszenia aż do przyszłego roku.

Nocne powietrze wibruje od kumkania żab, a wioskowe psy przenikliwie doszczekują swój komentarz. Za oknem jakiś nocny ptak ćwiczy nową piosenkę, a w pokoju wściekle brzęczy złapana na lep mucha. Z ganku dochodzą szepty i stłumione chichotanie. Wszyscy już tam są, niecierpliwi i podekscytowani, czekając, aż Stefa da znak i zacznie się kolejna nocna wyprawa do sadu.

Głos Stefy jest przyciszony: „Zobaczę, czy już zasnęła.” „Ja też chcę pójść” – prosi inny głos, a mnie serce podskakuje w piersi, gdy rozpoznaję Tadeka. Szybko poprawiam głowę na poduszce, rozrzucając włosy jak aureolę. Podciągam prześcieradło pod samą brodę, a ręce splatam jak Śpiąca Królewna na obrazku w mojej książce z bajkami. Skrzypią drzwi. Spod przymkniętych powiek widzę Stefę ze świecą w ręku, a za nią czarną, kędzierzawą czuprynę i lśniące oczy Tadeka. Patrzą na mnie w milczeniu, a ja wstrzymuję oddech i uśmiecham się słodko przez sen. Drzwi się zamykają. „Śpi twardo” – mówi Stefa. „Jest bardzo ładna” – mówi jednocześnie Tadek; słychać wybuch tłumionego śmiechu, kiedy wszyscy zeskakują z ganku i rozbiegają się po sadzie. Teraz będą śpiewać, grać na gitarze i gonić między drzewami, aż wreszcie w nocy Stefa wróci do domu, niosąc w podołku pełno na wpół dojrzałych owoców.

Słyszę, kiedy przechodzą pod moim oknem, ale ich głosy szybko cichną, mieszają się z poszumem drzew, dochodzącym zza drogi. Podążam za nimi myślami i powoli zanurzam się w sen.

Jest lato 1939 roku, mam dziewięć lat.

Wieś Krzyżówki, typowa polska wieś, składała się z około stu gospodarstw i letniskowych willi rozrzuconych po lesie. Przy głównej drodze znajdowało się kilka

pensjonatów, ogródek piwny i sklep, który służył jednocześnie za pocztę. Było w nim wszystko, jak mówiła Stefa: igły, widły i powidły.

Dwa lata wcześniej, kiedy los nagle przestał nam sprzyjać i w ciągu jednej nocy doszczętnie spłonął rodzinny młyn, fundując całemu Kaliszowi efektowne fajerwerki, mama zdecydowała, że nie stać nas już na wakacje za granicą. W rezultacie Stefa i ja po raz drugi spędzałyśmy lato same w dwóch maleńkich, pobielonych pokoikach na Krzyżówkach. Willa podzielona na trzy mieszkania mieściła oprócz nas jeszcze jedną rodzinę – nianię z dwoma małymi chłopcami. Trzecią część zajmowały córki gospodarza – starsza, niebieskooka blondynka Krysia i Jasia, która była ciemnowłosa tak jak ja. Fascynowało mnie to, że miały różne mamy – obie żyjące. Tyle że mama Krysi nie mieszkała już w ich domu. Może nie lubiła mamy Jasi, która tam teraz mieszkała. Siostry spędzały wspólnie wakacje w willi, gdzie troszczyły się o wygodę lokatorów. Zeszłego lata, wkrótce po naszym przyjeździe, dołączył do nich ich trzynastoletni brat, którego bez chwili wahania wybrałam na mojego rycerza. Tadek musiał być bardzo niski jak na swój wiek, gdyż był tylko o głowę wyższy ode mnie. Miał czarne kędziory, spadające nisko na gęste brwi i wpadające mu do oczu, w których, jak uznałam, tliła się iskra geniuszu.

W szortach koloru khaki, które zdawały się jedynym ubraniem, jakie posiadał, opalony na kolor ziarnka kawy był dla mnie uosobieniem wolności, za którą zazdrośnie wzdychałam. Tadek łaził po drzewach i płotach, pływał w żabim stawie, brodził boso po kałużach i znikał nie wiedzieć gdzie na całe godziny. Często nocował na drzewie lub w szopie na narzędzia, gdzie spał zwinięty w kłębek na wiórach w towarzystwie miejscowego kota. Desperacko usiłowałam mu dorównać i zasłużyć na jego podziw, ale po kilku próbach, z których wyszłam poobijana, popalona słońcem i poowijana bandażami, dałam za wygraną. O moją porażkę obwiniałam Stefę i jej twarde reżim, który tłumiał wszelkie próby samodzielności, nie zostawiając mi swobody nawet podczas wakacji.

Zasady, które rządziły moim życiem w mieście, na wsi uległy tylko lekkiemu rozluźnieniu. W upalne, suche dni wolno mi było biegać boso i czasem wieczorem udawało mi się odwlec nieco porę snu. Jednak całymi dniami byłam dogładana przez Stefę, która zostawiona ze mną sam na sam traktowała swoje obowiązki bardzo poważnie. Posiłki podawano o wyznaczonych porach, a Stefa pilnowała, żebym nie grymasiła przy jedzeniu, gotowa w razie czego karmić mnie łyżeczką. Ciągłe jeszcze ubierała mnie i myła, jakbym była małym dzieckiem, a popołudniami, kiedy wszyscy w najlepsze się bawili, zmuszała mnie do leżakowania. Słuchałam pokrzykiwań i śmiechów dzieci, patrzyłam, jak biegają dookoła, podczas gdy ja – objedzona, pełna żalu i nienawiści do całego świata – musiałam leżeć i nabierać opalenizny.

Letnie dni mijały spokojnie i bez większych wydarzeń. Nie miałam lekcji, więc wyciągnięta pod sosnami czytałam po raz kolejny ulubione książki. Pisałam nowe wiersze i opowiadania, razem z innymi dziećmi chodziłam na grzyby i nad staw, gdzie próbowaliśmy łapać żaby. Polowałam na motyle i bez końca bawiłam się z córkami stróża, które mieszkały w drewnianym baraku w ogrodzie. Wiele dni minęło, zanim doliczyłam się wszystkich dzieci w tej rodzinie. Z trudem mogłam uwierzyć, że było ich aż tyle. Chyba z dziesięć dziewczynek, wszystkie ładzaco do siebie podobne, tylko różnego wzrostu. Jasnowłose, niebieskookie, chude i nieśmiałe, wszystkie jakimś cudem mieściły się co noc w dwóch izbach. Wczesnym rankiem piszcząc i podskakując, wysypywały się na dwór z najmłodszą na rękach. Rodzice odwiedzali nas w niedziele i wysłuchiwali relacji Stefy na temat mojego zachowania w ciągu całego tygodnia. Mama chciała wiedzieć, czy posłusznie zjadałam posiłki, a ojciec zawsze pytał, czy byłam grzeczna. Co tydzień drżałam, słuchając sprawozdania Stefy. Nigdy nie można było liczyć na jej dyskrecję.

Raz w tygodniu harcerze, którzy obozowali w lesie, urządzali na polanie ognisko. Wtedy do późnej nocy siedzieliśmy kręgiem przy płonących polanach, śpiewając i słuchając opowieści. Te noce były główną atrakcją mojego lata. Na wpół śpiąca błagałam Stefę, żeby mi pozwoliła zostać dłużej; zapatrzona w krąg oświetlonych ogniem twarzy, przyłączałam się do śpiewów, wodząc oczami za smugami dymu wijącymi się aż do granatowego nieba, aż do gwiazd zasłuchanych w nasze piosenki. Wokół nas las szumiał tysiącami ramion, kołysały się szepczące sosny, zagarniając nasz mały świat w swe opiekuńcze objęcia.

Leżąc na miękkich poduszkach mchu, rozmyślałam o rychłym powrocie do domu. Należało rozważyć pewne ekscytujące perspektywy. Tuż przed wyjazdem z Kalisza obejrzałam Królową Śnieżkę, nowy film Disneya. Nasi sąsiedzi z willi mieli płytę z piosenkami z filmu i nauczyłam się już ich wszystkich na pamięć. Poza tym całe lato spędziłam na odgrywaniu głównej roli. „Jesteś urodzoną aktorką” – zapewniała mnie wielokrotnie Stefa, choć nie brzmiało to jak komplement. Pochylona nad cembrowiną studni obserwowałam swoje odbicie w nieruchomej wodzie. Widziałam krąg błękitnego nieba, na jego tle gałąź gruszy, a poniżej własną twarz. Tak jak na filmie, pomyślałam, zaczynając stosowną piosenkę. Ale zamiast księcia pojawiła się Stefa, która odciągnęła mnie od studni.

„Nigdy nie widziałam dzieciaka tak zakochanego w sobie” – mamrotała. Udało mi się wyrwać i wrzucić do studni kamień. Lśniaca, błękitna tafla zamieniła się w kolistą paszczę, spazmatycznie połykającą niebo, gałąź gruszy i mnie. Cofnęłam się

przestraszona. Ale przynajmniej będę mogła wszystkie te piosenki zaśpiewać w szkole, pomyślałam. Lepiej niż Arela! Przypomniałam sobie swoją jedyną poważną rywalkę w klasie. Czarnowłosa i czarnooka jak ja, ale w przeciwieństwie do mnie powściągliwa i zamknięta w sobie.

Konkurowałyśmy na wszystkich lekcjach z wyjątkiem rysunków – tu Arela była bezsprzecznie najlepsza. Jej ojciec był znanym malarzem i Arela najwyraźniej odziedziczyła po nim talent. Obserwowaliśmy z podziwem, jak dobiera kolory, zawsze inaczej niż reszta klasy. Jej postaci były pełne ruchu – szły, biegły, siadały – i nigdy nie było wątpliwości, co właśnie robią.

Z żalem oglądałam własne prace. W moich obrazkach oddawałam wprawdzie najdrobniejsze szczegóły, starając się wyrazić wzniosłe uczucia, lecz postaciom brakowało witalności. Wyglądały jak sztywne kukiełki, zastygłe w niewygodnych pozach, a ich płaskie ciała nie miały w sobie nawet iskierki życia.

Skoro nie mogłam Areli pokonać, postanowiłam się z nią zaprzyjaźnić. Jednak po kilku tygodniach usilnych zabiegów musiałam przyznać, że – o dziwo! – Arela nie chce mojej przyjaźni. Była bardzo cichą i spokojną dziewczynką, która dobierała sobie przyjaciół poza szkołą, a w klasie wolała towarzystwo innej uczennicy. Głęboko zawiedziona, uznałam to za dowód złego smaku.

Jedyną pociechą dla mnie było to, że Arela nie miała słuchu. Ja za to miałam dobry głos i śpiew sprawiał mi nie mniejszą przyjemność niż pisanie wierszy, czyli bardzo dużą. Piosenki z *Królewny Śnieżki* zapowiadały się na wielki sukces.

Pomyślałam o reszcie klasy. Ciągle będzie tam Icek, ale w tym roku pewnie nie będę już z nim siedziała. Już odpokutowałam swój grzech. Na samą myśl oblałam się gorącym rumieńcem.

Na początku ubiegłego roku dzieliłam ławkę z Małgosią, nieśmiałą, bladą dziewczynką, która od pierwszego dnia poprzysięgła mi wieczną miłość. Niestety nie umiała usiedzieć cicho, a jej bezustanne próby zwrócenia mojej uwagi zwróciły za to uwagę wychowawczynie, która postanowiła nas rozdzielić.

W ławce za nami siedziało dwóch Icków – Duży Icek, najczęściej karany chłopiec w klasie, któremu tylko psoty były w głowie i który chwili nie mógł usiedzieć spokojnie, i Mały Icek – nieuk, najbardziej zapuszczony, cuchnący i tępy dzieciak w całej szkole. Nikt nie chciał siedzieć z Małym Ickiem i polecenie, by dzielić z nim ławkę, uważane było za ciężką karę. Wychowawczynie zdecydowała, że ja przesiądę się do tyłu do Dużego Icka, a Mały Icek usiądzie z przodu z Małgosią.

Ogarnęło mnie przerażenie. Przez klasę przebiegł tłumiony chichot, a Duży Icek podskoczył z radości, szczerząc zęby w uśmiechu. Sytuacja była dużo poważniejsza, niż się nauczycielce wydawało.

W naszej klasie panował zwyczaj, że na początku roku chłopcy wybierali sobie „dziewczyny”. Swoje względy okazywali w mniej lub bardziej oczywisty sposób, a podczas częstych „wojen” między różnymi grupami dokładali szczególnych starań, żeby potarosić swoje wybranki, jak przystało na młodych jaskiniowców. Nie przeszkadzało im to wyzywać rywali na poważne pojedynki. Podczas ostatniej „wielkiej wojny” Karol, mój kawaler od zamierzchłych, jeszcze przedszkolnych czasów, został ostatecznie sprany przez Dużego Icka. Przyłożyłam mu chusteczkę do krwawiącego nosa i z całkowitą obojętnością potraktowałam Dużego Icka, który w tak prymitywny sposób starał się o moje względy. Cierpliwie ponawiał próby, raz po raz podsuwając mi pod ławkami czekoladki w srebrnych papierkach. Zbierałam sreberka i czasami pokusa była naprawdę duża. W grę wchodził jednak mój honor, więc cała klasa widziała, jak niewzruszona odkopywałam te czekoladki z powrotem. A teraz miałam posłusznie usiąść z nim w jednej ławce.

Sytuację uratowała Małgosia. Na myśl o siedzeniu z Małym Ickiem opadła na ławkę, rozpaczliwie szlochając. To podsunęło mi pomysł. Wstałam i nieśmiało zapytałam, czy to ja mogłabym usiąść z Małym Ickiem. Klasa zamieniła się w słuch, a nauczycielka spojrzała ze zdumieniem: przecież to Małgosia ma zostać ukarana – przypomniała mi. Zerknęłam na Małego Icka, żeby zobaczyć, jak przyjął moją propozycję. Siedział uśmiechając się bezmyślnie, zadowolony, że znalazł się w centrum zainteresowania. Dużo pewniejszym głosem zaczęłam więc dowodzić, że dla Małgosi to będzie dostateczna kara, że towarzystwo Dużego Icka jest wystarczająco dokuczliwe i że jest mi obojętne, z kim będę siedziała. Rozległy się pojedyncze chichoty. Niepewna, jak to się skończy, zaproponowałam, że jeśli będę siedzieć z Małym Ickiem, mogę sprawdzać jego prace.

Nauczycielka, głęboko poruszona, wyraziła zgodę – a do kroniki klasowej wpisała wzmiankę na temat mojego bezinteresownego poświęcenia dla przyjaciółki i szlachetności mojego charakteru. Pochwała ta została też wysłana moim rodzicom.

Przeniosłam swoje książki na drugą ławkę. Duży Icek obrzucił mnie spojrzeniem pełnym urazy. Klasa cieszyła się z jego rozczarowania i drwiła z mojej hipokryzji. Małgosia raz jeszcze runęła na ławkę, wychlipując podziękowania, a Mały Icek uśmiechał się błogo, nic nie rozumiejąc z dramatu, który rozgrywał się wokół niego.

W ciągu następnych miesięcy często żałowałam mojego szlachetnego postępcu. Mały Icek nieludzko śmierdział i nigdy nie używał chusteczki do nosa, choć bardzo jej potrzebował. Ale jego prace domowe były tak okropne, że postanowiłam ostro wziąć się do niego. Dzień po dniu poprawiałam go, karmiłam i gnębiłam, aż ku zaskoczeniu wszystkich dało się zauważyć efekty. I chociaż często dostawałam burę za to, że pozwalałam mu odpisywać swoje prace domowe, nauczycielka pozostawiła mnie

w tej ławce do końca roku, kiedy to oświadczyła, że dzięki mojemu poświęceniu Mały Icek zdał razem z nami do następnej klasy.

Wspominając tę historię, miałam szczerą nadzieję, że już nigdy nie będę siedziała koło żadnego z Icków. Ale oczywiście zobaczę ich, i to niedługo. Za dwa tygodnie wrócę do szkoły. I do domu. Na samą myśl ogarnęła mnie fala ciepła. Odkąd sięgałam pamięcią, dom oznaczał dla mnie przeładowane meblami, czteropokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze naszej kamienicy. Na tyłach było małe brukowane podwórko, gdzie w jednym rogu walczyła o przetrwanie zakurzona kępa zieleni. Po drugiej stronie stała maleńka, dwuizbowa stróżówka, która jakoś pomieściła naszego dozorcę Stanisława z żoną i siedmioma synami – od malucha na krzywych nóżkach po przystojnego czeladnika kowalskiego. Wyobrażałam sobie, że byli dopasowani do siebie jak miniaturowe mebelki z mojego domku dla lalek, które po złożeniu tworzyły zwartą kostkę.

Z kuchennego okna obserwowałam zazdrośnie zabawy młodszych chłopców i kilku dziewczynek z sąsiedztwa. Byli hałaśliwi i biednie ubrani. Uganiali się po bruku, grali w piłkę i przeskakiwali przez rynsztok. Ich zabawy pełne były nawoływań, podskoków i śpiewów. Cisnęli się dookoła ulicznych akrobatów i żebraków, przychodzących na nasze podwórko, i pomagali im zbierać groszaki, które rzucaliśmy z okna. Czasami wołali, żebym do nich zeszła, ale oczywiście nigdy mi na to nie pozwalano.

Za murem na końcu podwórza stał wielki ciemny budynek. Była to fabryka. Nie miałam pojęcia, co w niej produkowano, i wydawało mi się, że istnieje wyłącznie po to, by wytwarzać rytmiczny łoskot, który wstrząsał całym budynkiem.

W południe z komina wydobywał się przenikliwy gwizd i hałas ustawał. Okna tajemniczej fabryki były zwykle zamknięte i zawsze przydymione sadzą. Z rzadka w jednym z nich pojawiał się młody mężczyzna i wychylając usmoloną twarz, rozglądał się po okolicy, uśmiechał się do nas, a potem z nagłą przepadał w hałaśliwej ciemności za swoimi plecami. Szeroka, brukowana ulica po drugiej stronie podwórza prowadziła na przedmieścia. Tam domy były niskie, bielone, z czerwonymi dachami. Na najbliższym rogu ulicy stał długi budynek, który w różnych czasach służył za szpital albo za koszary. Ten fragment krajobrazu utkwiał mi w pamięci skąpany w słońcu. Musiałam go być widzieć także w tysiące deszczowych dni, a jednak zapamiętałam tylko te lśniące, białe ściany i wiśniowe dachy w ukośnych promieniach zachodzącego słońca, które zawsze jakby zalegało w tym zakątku.

W niedzielne poranki światło słoneczne, wpadając przez kuchenne okno i otwarte drzwi, rozlewało się ciepłymi jeziorami po ciemnoczerwonej podłodze stołowego pokoju, migotliwie odbijało się w lustrach w przedpokoju i kryształowej wazie

na stole. W porannej ciszy napływały dźwięki hymnu z koszarów i bicie kościelnych dzwonów. Ogarniało mnie wtedy przemożne poczucie harmonii i szczęścia. Chciałam wyskoczyć z łóżka i tańczyć po pokoju, śpiewać i krzyczeć, obudzić cały dom. Oczywiście nigdy się na to nie odważyłam. Poranna cisza trwała niezmacona, póki rodzice nie zadzwonili po śniadanie. Sama myśl o jedzeniu wystarczała, żeby mi zwarzyć humor; odwracałam się do ściany w nadziei, że zasnę i w ten sposób odwlekę tę chwilę, kiedy pojawi się Stefa z talerzem kaszy manny. Takie śniadanie jadłam codziennie przez wszystkie dziewięć lat mojego życia i szczerze go nie cierpiałam. Mama uważała, że tę potrawę można najszybciej i najłatwiej wtłoczyć mi do krnąbrnej buzi i żadne prośby, protesty czy grymasy nie robiły na niej wrażenia. Żeby było jeszcze łatwiej i jeszcze szybciej, byłam karmiona tuż po przebudzeniu – albo nawet wcześniej, więc często gorąca łyżka rozwierająca mi usta i wlewająca do buzi kleistą papkę była pierwszym doznaniem, jakim zaczynał się dla mnie dzień.

Leżałam z ponurą miną, czekając na nieuniknione i wymyślając wszelkie możliwe klęski, które mogłyby mi przynieść wybawienie. Gdybyśmy byli tak biedni, że nie byłoby nas stać na kaszę manną, z jaką ulgą zadowolilibym się suchą skórką chleba i szklanką wody. Pojawienie się Stefy witałam ciężkim westchnieniem.

„Dzień dobry, Słoneczko. Cóż to za urocze dziecko, dąsa się, jak tylko oczy otworzy – gderać. – Zamiast dziękować Bogu za te wszystkie cuda, które masz; miliony dzieci cieszyłyby się z tego, co ty wyrzucasz. Czemu jesteś taka niewdzięczna. Któregoś dnia Pan Bóg cię ukarze...” Nie słuchałam dalej i połykałam śniadanie razem z dobrze znaną litanią niekończących się utyskiwań.

Gdybyśmy byli naprawdę biedni, gdybym tylko mogła być głodna i naprawdę musiała obywać się suchym chlebem i kartoflami, i niczym więcej. Gdybym nie musiała jeść pięć razy dziennie tych wszystkich lekkostrawnych potraw, jakie specjalnie dla mnie gotowano, bo ponoć od czasów choroby, którą przeszedłam w wieku dwóch lat, byłam delikatna i nie mogłam jeść połowy rzeczy, które jadali inni.

Miałam dwa lata, kiedy podczas krótkiego pobytu w wiejskiej posiadłości naszych kuzynów powędrowałam na zagon niedojrzałych porzeczek. Zanim mnie tam nakryto i odprowadzono do domu, zdążyłam już opchać się owocami. Teraz pamiętałam tylko to, że ocknęłam się w ciemnościach, czując, że moje ciało jest jedną wielką kulą bólu. Pamiętałam panikę na twarzy mamy i własny strach, nagły wyjazd do miasta starą taksówką w rozpaczliwym poszukiwaniu lekarza i ratunku.

Samochód trząsnął się i strzelał z rury wydechowej, silnik się krztusił i rzeził z wysiłku, a ja, owładnięta absolutnym przerażeniem i bólem, jakiego nigdy przedtem nie doznałam, leżałam w kompletnej ciemności pośród tych tajemniczych eksplozji, czując, że za każdym razem, gdy samochód zachybcze się na wiejskiej drodze, mama



przyciska mnie w panice coraz mocniej.

Następne miesiące zmieniły mnie: z łagodnego, przyjaźnie nastawionego dziecka stałam się kapryśnym tyranem. Z opowiadań mamy wynikało, że przed tym wydarzeniem byłam bardzo spokojnym, obdarzonym zdrowym apetytem dzieckiem, które umiało się bawić cichutko, nie żądając bezustannej uwagi. Choroba zmieniła wszystko. Lekarz domowy bez powodzenia próbował rygorystycznych diet, przeczyszczeń, lewatyw, aż wreszcie na sam widok postaci w białym kitlu z krzykiem dawałam nura pod najbliższy mebel, skąd trzeba mnie było – drapiącą i plującą – wywlekać siłą i przytrzymywać na czas kolejnego zabiegu.

Po roku takiego traktowania ze szczęśliwego, pulchnego szkraba zmieniłam się w chudego i podejrzliwego dzieciaka: uciekałam na widok obcych, dąsałam się godzinami, po nocach dręczyły mnie koszmary i przeraźliwie bałam się ciemności i huk. W dodatku, nie chciałam jeść tego, co dla mnie odpowiednie i błagałam o „dorosłe jedzenie”, które – mama była tego pewna – zabiłoby mnie na miejscu.

Tak więc kasza manna zagościła u nas na dobre. Moim jedynym sposobem protestu były torsje: wymiotowałam wszystko, co mi podano, czyniąc to z prawdziwym entuzjazmem i doprowadzając rodzinę do takiej samej bezradnej złości, jaką oni wzbudzali we mnie.

Walka toczyła się przez rok z okładem, po czym zapadłam na szkarlatynę. Do tego czasu wyczerpały się już rezerwy godnych zaufania niań, poleconych przez krewnych. Jedna po drugiej odchodziły lub były zwalniane, ponieważ nie potrafiły zmusić mnie do jedzenia. Kiedy dostałam wysypki, dom pogrążył się w chaosie. I wtedy, w pewne mroczne popołudnie wypełnione zawrotami głowy i gorączką, zjawiła się Stefa. Pamiętałam, jak wchodzi nieśmiało, pamiętałam, że mama przedstawiła ją jako znajomą, która przyszła w odwiedziny. Stefa była drobna i szczupła jak mama. Miała kręcone, rudawobrazowe włosy, śmiejące się zielone oczy i pulchną, pokrytą piegami twarz. Przyszła dowiedzieć się o „miejsce”, ale mama uznała, że jest zbyt młoda i niedoświadczona jak na tak trudne zadanie. Skoro jednak tego dnia żadna inna kandydatka nie pojawiła się, mama przyprowadziła ją, żeby udowodnić wszystkim, że nic z tego nie będzie. Przez całe popołudnie Stefa siedziała przy moim łóżku, trzymała mnie za rękę i nuciła. Emanowała z niej aura spokoju i prostoty, która przebijała się do mnie przez gorączkę i przynosiła ukojenie. Kiedy pod koniec dnia zbierała się do wyjścia, uczepiłam się jej sukienki, błagając mamę, żeby pozwoliła Stefie zostać, i mama – nie bez wahania – posłała Stanisława po jej kuferek.

A teraz, sześć lat później, nie potrafiłabym wyobrazić sobie życia bez niej. Była moją mamą, siostrą, najlepszą przyjaciółką. Najukochańszym i najbardziej znienawidzonym obiektem moich zmiennych uczuć, jedyną osobą, na której mogłam bezpiecznie

wyłądować złość i którą mogłam potem błagać o przebaczenie, nie obawiając się utraty twarzy.

Ojciec utrzymywał, że pod względem umysłowym byłyśmy równolatkami, i być może do pewnego stopnia tak było.

Jednak ta prostota pozwalała Stefie traktować mnie niemal jak rówieśniczkę, bawić się ze mną całymi dniami, uczyć mnie zabaw i piosenek, w tym podwórkowych ballad, które wprawiały mamę w widome zakłopotanie. A kiedy zakazywano nam śpiewania niektórych z nich, przynajmniej obie na równi nie wiedziałyśmy dlaczego.

Jeśli chodzi o dyscyplinę, to z początku Stefa na ogół trzymała moją stronę, dopóki nie postraszo jej zwolnieniem. Wtedy zaczęła mną komenderować, a ja słuchałam się jedynie ze względu na nią, złorzeczając w duchu naszym wspólnym prześladowcom.

Jak tylko Stefa zadomowiła się u nas, mama odetchnęła z ulgą i zaraziła się ode mnie szkarlatyną. W zamęcie, jaki z tego wyniknął, zdana byłam wyłącznie na opiekę Stefy i w bardzo krótkim czasie wróciłam do zdrowia.

Choroba mamy ciągnęła się w nieskończoność, doszły jeszcze powikłania w postaci zapalenia płuc, tak że minęło wiele dni, zanim mnie wreszcie do niej dopuszczono. Pamiętam, że zaprowadzono mnie do sypialni, pamiętam, jak wyglądała w złotym, przyćmionym świetle nocnej lampki.

W pokoju pachniało lekarstwami, a mama spoglądała na mnie z wyrzutem. Wyprowadzono mnie, zanim padło choć jedno słowo, miałam jednak niejasne poczucie, że czymś zawiniłam.

Kiedy już było wiadomo, że obie wyzdrowiejemy, ojciec uznał, że jestem okropnie rozpieszczona i wprowadził surową dyscyplinę. W późniejszych latach wspominało to jako „czas, kiedy ojciec wziął cię w rękę”, ale o dziwo nic z tamtego okresu nie pamiętałam, choć zostały po nim pewne żelazne zasady. Kilka zdań, wypowiedzianych ostrym tonem, potrafiło powstrzymać wiele moich samodzielnych wypadków w świat dorosłych. „Rób, co ci każe”, „nie pytaj dlaczego”, „nie odpowiadaj” – padały standardowe odpowiedzi na każde niewygodne pytanie, każde niegrzeczne wzruszenie ramionami albo wyzywające spojrzenie. Nawet moje miny podlegały skrupulatnym oględzinom i najmniejsza oznaka niezadowolenia była natychmiast karana. Jeśli kwestionowałam polecenie albo domagałam się uzasadnienia, dowiadywałam się, że mam to zrobić „dlatego!”

„Dlatego, że ci każe”, mówiła mama z przebłyskiem nagłego gniewu. Co do ojca, to przerażający pomysł, by zakwestionować jego autorytet, tak naprawdę nigdy nie powstał mi w głowie. Każda taka myśl musiała być tłumiona w zarodku zanim dotarła do mojej świadomości.

W tych warunkach bardzo szybko zamknęłam się w sobie. Moim schronieniem stał

się istniejący w mojej wyobraźni tajemniczy ogród. Tam mogłam szaleć – wolna, nieskrępowana zasadami i bardzo skąpo odziana – mogłam krzyczeć, trzaskać drzwiami i wskakiwać bosą do kałuż.

Siedząc w oknie dzieciennego pokoju z nosem przyciśniętym do szyby, gapiłam się na świat i wyobrażałam sobie, że jestem zmarzniętą i głodną sierotą, która nie ma się gdzie podziać i błąka się w deszczu odziana w szarą, postrzępioną sukienkę. Na samą myśl ciarki przechodziły mi po plecach z zachwytem. Nic do jedzenia. Żadnych butów, żadnego płaszcza i, oczywiście, żadnych rękawiczek. Znienawidzonych białych rękawiczek, które trzeba nosić nawet podczas zabawy w parku! I nikogo, kto by mi mówił, czego mi nie wolno. Łzy żałości i zachwytem stały mi w oczach.

Za ciemnożłotymi kotarami dzieciennego pokoju ulica tętniła życiem. Kląskający końskie kopyta, koła wozów skrzypiały i obijały się o kocie łby, czasem ze świstem przejeżdżał samochód. W regularnych odstępach czasu, dysząc ciężko, wlokły się pod górę dalekobieżne autobusy. Sapały, rzeziły i strzelały z rury wydechowej, pokonując długą drogę, która zaczynała się tuż obok naszego domu i prowadziła z centrum miasta na wieś. Z daleka słyszałam, kiedy się zbliżają i w napięciu śledziłam, jak zmieniając biegi, mozolnie suną do przodu. Kiedy wspinały się pod górę, nowy, wysoki dźwięk dołączał się do tego hałasu, ja zaś sztywniałam z niepokoju, czekając na przenikliwy syk wypuszczanego sprężonego powietrza.

Odkąd pamiętałam, głośne dźwięki drażniły moje uszy; na odgłos trzaskających drzwi albo gdy woźnica strzelał z bata, bladłam i zatykałam uszy. Kiedy kucharka rąbała drewno w kuchni, uciekałam do swojego pokoju i chowałam głowę pod poduszkę. Burza była istną gehenną. Do grzmotu piorunów dochodziło jeszcze nieskrywane przerażenie na twarzy Stefy i nerwowość mamy. Błada ze strachu Stefa pospiesznie chowała albo zakrywała wszystkie lustra i metalowe przedmioty. Okna miały być zamknięte, prąd wyłączony w całym mieszkaniu, świece wniesione. Po każdej błyskawicy Stefa i mama zaczynały odliczanie, żeby ustalić, jak daleko od nas uderzył piorun. Jeśli grzmot dochodził z bliska, Stefa żegnała się i zaczynała szeptać modlitwę, mama zaś krążyła po pokoju i raz po raz gniewnie powtarzała, żebym się nie bała.

Bałam się, ale i tak wolałam wtedy żeńskie towarzystwo. Wolałam jak ojca nie było z nami. Ojciec niczego się nie lękał i złościł się, gdy ktokolwiek okazywał strach. Kiedy burza szalała najgwałtowniej, potrafił stanąć w otwartym oknie, żeby podziwiać – jak to określał – „wspaniały spektakl”. Takiego samego podziwu oczekiwał ode mnie. Zmuszał mnie, żebym stała obok niego, trzymał mnie za rękę, tak że nie mogłam zatkać uszu, i gniewał się, kiedy krzywiłam się lub płakałam. W końcu na ratunek przychodziła mama i zabierała mnie półprzytomną i zeszywniałą z przerażenia

i od tłumionego płaczu. Po burzy zaczynała mnie boleć głowa i następne godziny spędzałam nieszczęśliwa i chora, przytłoczona poczuciem winy i upokorzona swoim tchórzostwem, a ojciec miotał się po domu, oskarżając mamę, że wychowuje jego jedyne dziecko na niedojdę.

Na szczęście burze zdarzały się rzadko, a nic nie mogło przyćmić mojej miłości do ojca. Podziwiałam go bezkrytycznie, przechwalałam się nim przed innymi dziećmi i uważałam za zupełnie naturalne, gdy one również od pierwszego spotkania ulegały jego urokowi.

Raz do roku, na moje urodziny, mama wydawała przyjęcie i na jedno popołudnie dom wypełniał się dziećmi. Ponieważ mama nie lubiła dzieci i rzadko pozwalała mi odwiedzać przyjaciół lub zapraszać kogokolwiek do domu, była to niebywała okazja i na całe tygodnie przedtem szalałam z podniecenia. Pierwsza część popołudnia nie była zbyt interesująca, wyjąwszy oczywiście przybycie moich gości i rozpakowywanie prezentów. Kiedy siadaliśmy do stołu, ojciec z reguły zniknął, a ja niecierpliwie przyglądałam się, jak moi goście objadają się górami ciastek i owoców, rozlewają czekoladę na obrus i ubrania. Fotograf ze swoją okropną lampą błyskową zawsze psuł całą zabawę. Nienawidziłam błysków i trzasków flesza i co roku błagałam – zawsze na próżno – żeby radosną grupkę fotografowano beze mnie. Kiedy kończył się poczęstunek, ojciec wracał i zaczynały się zabawy.

W mgnieniu oka potrafił oczarować wszystkich. Magiczne sztuczki, historyjki i niezliczone gry, które wymyślał, przyciągały dzieci jak magnes, a rodzice i nianie najczęściej przyłączały się i prosili o jeszcze. Patrzyłam, jak wszyscy tłoczą się dookoła niego, wspinają mu się na kolana, wieszają na szyi – ale nie czułam zazdrości, tylko ogromną dumę z tego, że jest moim ojcem. Kiedy przyjęcie się kończyło i zmęczeni goście zbierali się do odejścia, ciągnięci przez swoje nianie – które też najwyraźniej były pod nieodpartym urokiem mojego taty – on zostawał ze mną. Miałam go na zawsze.

Leżąc w lesie, rozmyślałam o powrocie z Krzyżówek do miasta, do naszego codziennego życia. Mój pokój czekał na mnie, cały w bieli i błękicie, z mnóstwem nigdy nie ruszanych zabawek i moim największym skarbem – półkami pełnymi książek. Czekało okno, udrapowane ciemnozłotą zasłoną i przysłonięte białą, muślinową firanką, z szerokim parapetem, na którym mogłam siadać i snuć swoje marzenia o wolności, ubóstwie i przygodach.

Z tego okna mogłam obserwować rząd dorożek, które na rogu ulicy czekały na pasażerów. Dorożkarze w długich, nieforemnych, granatowych płaszczach stali grupkami, dyskutując i paląc papierosy, a jeśli było zimno, przytupując i zabijając

rękami dla rozgrzewki. Dziwni ludzie o dudniących głosach, mieszkańcy innego – odrębnego od naszego – świata, którzy „nas” nie lubili i którym nie do końca można było ufać. Na wprost naszego domu, po drugiej stronie ulicy wznosiło się strome wzgórze zwieńczone niskim, kruszącym się, ceglanym murem. Za murem rozciągał się ogromny cmentarz katolicki, tajemniczy i zakazany ogród zmarłych.

Chodziłam tam czasami ze Stefą – rzecz jasna w tajemnicy – żeby złożyć kwiaty na grobie jej matki. Stefa klękała przy niewielkim kopczyku ziemi i modliła się, a ja krążyłam na paluszkach wśród kwiatów i grobowców, oglądając dziwne i piękne anioły – tłuściutkie dzieci z rozpostartymi skrzydłami i wysokie, śliczne kobiety w powłóczystych sukniach, które stały na niektórych mogiłach z lekko pochylonymi głowami i zapraszająco wyciągniętymi rękami.

„To jest Madonna – wyjaśniała Stefa – matka naszego Pana”, a ja kiwałam głową, zdjęta lękiem i podziwem wobec tej nagłej bliskości Boga, o którym miałam jedynie mgliste wyobrażenie.

Ten cmentarz był dla mnie pełen tajemniczości i niewytłumaczalnego uroku. Wiedziałam, że pod marmurem i kwiatami spoczywają zmarli, ale uważałam ich za przyjazne, łagodne istoty, które wiodą pod ziemią zwyczajne, pracowite, ludzkie życie. Stefa powiedziała mi, że ich ciała gniją i że z czasem robaki zjadają wszystko z wyjątkiem kości, ale nawet tym się nie przejęłam. Cmentarz znajdował się w odległości kilkuset metrów od mojego okna i był dla mnie bliskim i zaufanym sąsiadem.

Czasem, kiedy Stefa – która uwielbiała pogrzeby – raczyła kucharkę szczególnie obrazową opowieścią o czyjejś śmierci, śniło mi się, że odwiedzam podziemne mieszkania i rozmawiam ze zmarłymi leżącymi sztywno w trumnach. Widzę ich ciała rozpadające się na szare strzępki i przechodzi mnie dreszcz obrzydzenia na widok masy rojących się robaków. Nie lubiłam robaków, ale żal mi było biednych, bezbronnych umarłych. Ojciec oczywiście szybko odkrył tę nową fascynację i żeby był z niej jakiś pożytek, wyjaśnił mi, w jaki sposób robaki użyźniają ziemię i pomagają rosnąć kwiatom i owocom. Myśl o tym, że umarłe ciało przekształca się w piękny kwiat, jeszcze bardziej poruszyła moją wyobraźnię. Nie widziałam jednak związku między żywymi a zmarłymi.

W ciągu ostatnich dwóch lat śmierć zabrała troje moich bliskich krewnych. Rodzice ojca i jego młodsza siostra umarli jedno po drugim i chociaż nie zabrano mnie na pogrzeby, byłam później na żydowskim cmentarzu i składałam kwiaty na dużym grobie, w którym wspólnie spoczywali. A jednak wciąż nie kojarzyłam tych faktów. Zmarli zawsze byli tam, na cmentarzu. Stanowili oddzielną rasę i nie mogli być niczym innym.

Marzenia przy oknie nie wystarczały, żeby zapełnić mi wszystkie puste godziny, szczególnie wieczorami. Stefa była często zbyt zajęta lub po prostu nie chciała się ze mną bawić ani czytać mi na głos. Znałam na pamięć wszystkie swoje książki i pewnego dnia, kiedy miałam jakieś cztery lata, rozzłoszczona tym, że Stefa nie chce mi poczytać, wzięłam z półki *Koziołka Matołka* i oświadczyłam, że poczytam sobie sama. Książeczka zawierała jedną długą historię, opowiedzianą wierszem i miała liczne ilustracje. Znałam ją na pamięć, a do tego ostatnio odkryłam, że każde słowo odpowiada grupie znaków umieszczonych w jednej linii. Zaczęłam „czytać”, recytując wers i wskazując każde wymawiane słowo. Byłam przekonana, że naprawdę czytam.

W tym właśnie momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszli rodzice ze znajomą, która przysłała do nas w odwiedzinach. Nie podniosłam oczu, czułam tylko, że na mój widok zamarli ze zdumienia. Pani podeszła bliżej i pochylając się nade mną, śledziła wzrokiem mój palec przesuwający się po stronie. „Czyta!” – wykrzyknęła, po czym wskazała słowo w linii poniżej i zapytała, co ono znaczy. Recytowałam dalej po cichu, a kiedy doszłam do wskazanej grupy liter, wymówiłam właściwe słowo. Gość osłupiał ze zdumienia.

Ojciec, który przejrzał moją sztuczkę, wyprowadził panią z pokoju, a zamykając drzwi, puścił do mnie oko. Po rodzinie rozeszła się fama, że jestem genialnym dzieckiem, a Stefa dostała oficjalne pozwolenie na uczenie mnie czytania. Zapaliłam się do tej nowej zabawy i robiłam szybkie postępy. Kiedy w wieku pięciu lat poszłam do przedszkola, byłam już wytrawną czytelniczką.

Do tego czasu stałam się też ładnym dzieckiem, co znacznie ułatwiło mi wkroczenie w pełne rywalizacji przedszkolne życie. Mama nigdy nie miała dość opowiadania o tym, jaka okropnie brzydka byłam tuż po urodzeniu. Kiedy po raz pierwszy ułożono mnie w jej ramionach, odwróciła się ode mnie z okrzykiem przerażenia. Była przekonana, że jestem małą. Według jej relacji byłam cała pokryta długimi czarnymi włosami, miałam wielkie, czarne, zezujące oczy i ani śladu nosa. Włosy, ku jej uldze, wypadły, oczy z czasem przestały zezować i wyrósł między nimi mały, dość zgrabny nosek. Nim skończyłam pięć lat, ludzie zaczęli się za mną oglądać na ulicy, a mój portret pojawił się na witrynach wszystkich zakładów fotograficznych w Kaliszu. Byłam w pełni świadoma swojej urody, a także tego, że w jakiś tajemniczy sposób zawdzięczam ją ojcu, gdyż każdy twierdził, że jestem jego wierną kopią. Mama zaczęła poświęcać coraz więcej czasu moim strojom. Wizyty u krawcowej były równie regularne, choć nie tak traumatyczne, jak wizyty u fryzjera. Te ostatnie zawsze wywoływały rodzinny kryzys. Płakałam godzinami przed i po każdym stryżeniu, a na fotelu fryzjerskim darłam się wniebogłosy. Żadne perswazje ani apele do mojej dumy lub próżności nie mogły mnie zmusić, bym w milczeniu poddała się nożyczkom

i maszynie do strzyżenia. Niestety włosy zarastały mi kark, który wskutek tego musiał być często golony. Z kurczowo zaciśniętymi pięściami, z podkulonymi palcami u stóp, sztywna z przerażenia poddawałam się tej torturze, mamrocząc zaklęcia i magiczne formuły. A kiedy maszynka faktycznie uszczypnęła, wydawałam tak przeraźliwe wrzaski, że wreszcie doprowadzony do ostateczności fryzjer skreślił mnie z listy klientek. Ojciec, który nie pochwalał mojego tchórzostwa i w zasadzie wołał, żebym nosiła długie włosy, zabrał mnie do swojego fryzjera. Operacji, przeprowadzonej w czysto męskim gronie, poddałam się bez szemrania i oświadczyłam, że tym razem maszynka w ogóle nie szczypała. Od tego czasu kark golił mi fryzjer ojca, a strzygł mnie fryzjer mamy, która upierała się, że nikt inny nie potrafi nadać właściwego kształtu moim lokom.

Stroje zaprzętały mnie prawie tak samo jak mamę. Kiedy miałam osiem lat, nie wyszłam do gości ani na spacer bez „odpowiedniej” sukienki. Sukienki były zmieniane przynajmniej dwa razy dziennie, a ja doskonale wiedziałam, która narzutka, kapelusz i buty pasuje do której z nich. Każda sukienka, nim została zaaprobowana, musiała przejść próbę przed publicznością. Wkładałam ją na spacer z mamą albo na wizytę do krewnych. Jeśli nie wywołały komentarzy, były uznawane za chybione i nigdy nie były noszone na ważne okazje. Jeśli jednak nieznaną osobą obejrzała się na ulicy albo nawet podążała za mną przez chwilę, żeby naszkicować fason sukienki, było to triumfalnie ogłaszane po powrocie do domu.

Ojciec kipiał ze złości. „Psujesz to dziecko, robisz z niej taką lalkę jak ty sama. Myślicie tylko o strojach!” – grzmiał, kiedy do domu przynoszono pudła od krawcowej.

Mama odpowiadała, że wolno jej robić, co się jej podoba. Czyż on nie robi, co chce? Nie zastanawiając się nad konsekwencjami? A poza tym, kto płaci za te stroje? Czyżby mu się zdawało, że to on utrzymuje rodzinę? Zarabia na życie? Płaci za siebie? Gdyby we młynie płacono mu stosownie do jego pracy, już dawno pomarliśmy z głodu. Nie, pieniądze są jej, podarowane przez jej ojca i może nimi dysponować, jak zechce. Czy nie dość hojnie wspiera też jego rodzinę? I jego samego? A ubrania, które on nosi? Buty i kosztowne futra? Za czyje pieniądze zostały kupione? „Kiedy się ze mną żeniłeś, miałeś jeden garnitur i dwie pary butów – tak jest, dwie pary nędznych, starych, połatanych butów!” – kończyła triumfalnie. To miał być ostateczny argument.

Ojciec rzadko odpowiadał. Stawał w oknie, wpatrując się w przestrzeń. Potem nagle się odwracał i gwizdząc, i uśmiechając się do mnie, jeśli akurat byłam przy ich sprzeczce, szedł do przedpokoju, brał kapelusz i płaszcz, staranie przyczesywał włosy, poprawiał krawat; wszystko to robił powoli, z namysłem, jakby nie było obok żadnej kobiety, która krzyczała albo, co gorsza, syczała owym ścisłym – „nie przy służbie” – głosem. Potem wychodził, a my nigdy nie wiedziałyśmy, kiedy się go spodziewać

z powrotem.

„Poszedł się wyplakać na łonie swojej rodziny” – rzucała mama, po czym brała za telefon, żeby zrelacjonować zajście swojej matce. Babka pochwałała takie traktowanie ojca i przekonywała mamę, że nie powinna ustępować. To od niej po raz pierwszy usłyszałam wzmiankę o rozwodzie, a Stefa wyjaśniła mi, co to znaczy. Z niepokojem czekałam na powrót ojca. Chciałam, żeby odszedł na zawsze i zabrał mnie ze sobą. Nienawidziłam mamy i jej rodziny. Kochałam ojca i jego krewnych. Byłam ogromnie dumna, że jestem kropka w kropkę podobna do ojca, mam jego oczy i ciemną karnację, kręcone włosy, a przede wszystkim nazwisko, którym mama, kiedy była rozzłoszczona, ciskała we mnie jak obelgą. Chciałam być dokładnie taka jak on, kiedy dorosnę. Nie chciałam być taka jak mama.

Ale Stefa wyjaśniła mi, że w przypadku rozwodu jako dziewczynka musiałabym zostać z mamą. Gdybyś była chłopcem, ciągnęła, mogłabyś zostać z ojcem, lecz dziewczynka musi zostać z mamą. To była druzgocąca wiadomość. Wiedziałam, że rodzice byli rozczarowani, kiedy się okazało, że mają córkę, a nie syna, o którym marzyli. Ojciec szybko się z tym pogodził i nigdy nie miałam powodu, by wątpić w jego miłość, która była jedyną pewną i niezmienną rzeczą w moim życiu.

Mama była teraz dumna z mojego wyglądu i sukcesów w szkole. Ale również często mówiła mi, że mnie nienawidzi i że jestem kamieniem młyńskim u jej szyi. Łatwo wpadała w gniew, a kiedy była rozzłoszczona, mówiła okropne rzeczy każdemu, kto jej stanął na drodze. Godzinę później nie pamiętała już o niczym, obsypywała mnie pocałunkami, ścisnęła i głośno się dziwiła, dlaczego tak niechętnie odwzajemniam jej czułości. Słyszałam wtedy, że jestem zimnym, nieczułym dzieckiem i że żałuje, iż nie ma syna tak jak jej siostra.

Cierpliwie czekałam na powrót ojca. Kiedy tylko słyszałam jego kroki na schodach – zawsze biegł, przesadzając po dwa stopnie – rzucałam się do przedpokoju i otwierałam mu drzwi. Krzyczałam z radości, a on porywał mnie w objęcia i podrzucał w górę. Dawałam wtedy ujście wszystkim tamowanym uczuciom, wrzeszcząc po części ze strachu, po części z zachwyty, ale zawsze pewna, że zdąży mnie złapać.

Rozdzielała nas mama, która z zaciśniętymi ustami upominała ojca, że się nadmiernie ekscytuję i że mnie od tego zemdli. Nie mogła go jednak powstrzymać przed zabieraniem mnie do sypialni na popołudniową sjęstę. Tam, leżąc na kanapie, snuliśmy swoje opowieści. Ojciec wymyślił szkołę z internatem, w której on był dyrektorem, a ja panią wizytatorką. Historie, jakie opowiadał o każdym uczniu, doprowadzały mnie do łez albo takich ataków niepohamowanego śmiechu, że często faktycznie kończyło się wymiotami albo migreną. Kiedy byliśmy w spokojniejszym nastroju, wpatrywaliśmy się we wzory na tapecie, wynajdując dziwne krajobrazy



i fantastyczne istoty, które krył w sobie prosty, symetryczny deseń. Opowiadałam ojcu o swoich wyimaginowanych przygodach w górach Nepalu, w których towarzyszyła mi wierna kompania, same dziewczynki, ubrane w kostiumy baletowe. Rozumieliśmy się doskonale, często bez słów. Ta więź stawała się z czasem coraz mocniejsza i dla mamy praktycznie nie było w niej miejsca. Moje wyjście z domu w świat tylko ją zacieśniło. Każdego dnia z dumą demonstrowałam, czego się nauczyłam w przedszkolu. I choć oboje rodzice zachwycali się moimi osiągnięciami, czułam, że mama słucha niecierpliwie, a często tylko udaje zainteresowanie. Najwyraźniej nie byłam dość ważna, a moje sukcesy były dziecinne. Nie było w tym mojej winy, po prostu byłam dzieckiem, a dzieci nie traktowało się poważnie. Ojciec, przeciwnie, do wszystkiego podchodził z wielką powagą. Czasem nawet zbyt serio. Krytykował i oczekiwał, że będę doskonała i dorosła we wszystkim, co robię. W ten sposób psuł mi wiele przyjemności, stawiając wymagania, którym nie mogłam sprostać.

Mimo to ojciec kochał dzieci i szczerze się cieszył, kiedy weszłam w wiek przedszkolny. Mama zaś była zadowolona, że może się mnie pozbyć z domu i wykorzystać Stefę do innych prac.

Jako jedynaczka byłam z początku przerażona, kiedy znalazłam się pośród tylu dzieci, i przez pierwszy tydzień Stefa musiała zostawać ze mną w przedszkolu. Maszerowała z nami na spacer do parku, a ja czepiałam się jej ręki, by zaznaczyć, że tak naprawdę to jestem z nią, a nie z tą dziwną grupą dookoła mnie.

Powoli jednak wciągnęłam się w zabawy i różne zajęcia, które wypełniały nam dzień. Dyscyplina była dość surowa. Większość czasu zajmowało nam rysowanie, wycinanie obrazków, naklejanie ich na papier; lepiliśmy figurki z plasteliny – ostrożnie, żeby nie pobrudzić fartuszków – albo siedzieliśmy na wiklinowych krzeselkach i słuchaliśmy bajek. Siadanie na podłodze było zabronione. Od czasu do czasu uczyliśmy się tańców i piosenek. Byłam bardzo dumna, że po jednym wysłuchaniu potrafię bezbłędnie powtórzyć każdą piosenkę i że nauczycielka zawsze prosi mnie, bym jej pomagała uczyć innych. Umiałam też dobrze czytać, kiedy moje koleżanki i koledzy dopiero zaczęli sylabizować.

Kiedy już się zadomowiłam, nie mogłam pozostać w cieniu. Byłam przekonana o swojej wyjątkowości i wyższości, i pragnęłam przekonać do tego inne dzieci. Najpierw należało dowieść niewątpliwej wyższości moich rodziców. Byli najprzystojniejsi i najbogatsi. Dawało się to – jak sądziłam – łatwo wykazać, gdyż tylko mnie wożono do przedszkola i z powrotem dwukonnym powozem. Poza tym, podczas pierwszej wizyty rodziców w przedszkolu, ojciec urządził hałaśliwą zabawę w „policjantów i złodziei”, czym wywołał protesty sąsiadów, ale bez wątplenia podbił serca dzieciarni. Dzieci zgodnie przyznawały też, że mama jest piękna i ślicznie

pachnie, choć oczywiście nikt się do niej nie odważył zbliżyć. Jej niechęć do bliższego z nimi kontaktu była wyraźnie widoczna, gdy tak stała pośrodku pokoju, z obawą obserwując te wszystkie lepkie paluszki w pobliżu jej sukni.

Dosyć szybko odkryłam, że twarda pięść i targanie za włosy są skuteczniejsze niż dąsy i płacze. Wymuszają posłuszeństwo i respekt. W dniu, kiedy zostałam za karę odesłana do domu, bo podarłam Karolkowi fartuszek i wybiłam mu przedni ząb, mama wydawała się naprawdę zaszokowana, za to ojciec nie potrafił ukryć zadowolenia.

„Jeszcze z niej zrobimy chłopaka!” – zawołał z triumfem. Potem nagle odwrócił się do mnie i wygłosił surową tyradę o tym, czego dobrze wychowane dziewczynki robić nie powinny, choć widać było, że przychodzi mu to z trudem.

Chodziłam jeszcze do przedszkola, kiedy doznałam największego upokorzenia w życiu. Wciąż, pomimo całego doświadczenia i wyrobienia dziewięciolatki, na samo wspomnienie czerwieniłam się ze wstydu.

Uwielbiałam taniec, a szczególnie tańce zespołowe, w których każde z nas miało krótką solówkę. Musiałam też być dość zgrabną tancerką, gdyż zawsze dostawałam jedną z głównych ról. Ćwiczyłam z zapałem, kołując w tańcu po mieszkaniu; improwizowałam do muzyki z radia albo moich własnych, nieustannych śpiewów. W przedstawieniu na zakończenie roku dostałam rolę umierającego motyla, tygodniami więc płażałam na paluszkach po dywanach, wymachując rękami, aby potem ku ogromnej irytacji wszystkich, paść zniecka pośrodku podłogi. Ojciec, który jak zwykle pragnął, bym wypadła jak najlepiej, udzielił mi kilku lekcji, a zachwycona nauczycielka oświadczyła, że teraz faluję w tańcu jak woda w wodospadzie; nie całkiem pasowało to do roli motyla, ale miało dużo więcej wdzięku niż moje wcześniejsze próby. Kilka dni później, będąc z mamą na obiedzie u jej rodziców, zaproponowałam skwapliwie, że przed nimi wystąpię. Cała rodzina zgromadziła się w salonie, a ja z półprzymkniętymi oczami zaczęłam wirować przed nimi, falując rękami od ramion aż po koniuszki palców i wiernie – jak sądziłam – odtwarzając życie motyla, który fruwa w blasku dnia, a o zachodzie słońca ginie, trzepocząc wdzięcznie skrzydłami i nóżkami.

Tańczyłam tak i wyśpiewywałam żalostną opowieść, aż nagle uświadomiłam sobie, że publiczność wydaje dziwne odgłosy. Z początku nie zwróciłam na to uwagi, zbyt zaabsorbowana występem, ale kiedy skończyłam pieśń i leżałam skulona na podłodze – nie miałam już wątpliwości. Z niedowierzaniem otworzyłam oczy. Moi widzowie pokładali się ze śmiechu. Ocierali łzy i rzucali się jedno drugiemu w ramiona, podrygując konwulsyjnie i nie mogąc wydobyć głosu. Stojąca w drzwiach Zosia, gospodyni dziadków, piała jak kogut, a potem nagle zarzuciła sobie fartuch na głowę

i na oślep pognęła do kuchni. Widząc, że umieranie motyla dobiegło końca, rodzina rzuciła się do oklasków i błagała o bis.

Byłam oszołomiona. „To nie miało być śmieszne, ja umieram”, zaprotestowałam słabym głosem, nabrzmiałym od hamowanego płaczu. To wywołało kolejny atak wesołości, a jeden z wujów zadeklarował, że zaraz mnie dołączy do swojej kolekcji motyli. Moje upokorzenie nie miało granic. Siedziałam na podłodzie, zalewając się łzami. Nie chciałam słuchać mamy, która oświadczyła, że jestem niegrzeczna i niewdzięczna. Psuję wszystkim popołudnie i brakuje mi manier. To naturalne, że się ze mnie śmieją. Jestem śmiesznym i pretensjonalnym dzieciakiem. Uratował mnie dziadek, który wyniósł mnie z pokoju, ale minęło dużo czasu, zanim zdołał mnie uspokoić, a przez resztę dnia chodziłam naburmuszona.

Po powrocie do domu nie zdobyłam się na to, żeby opowiedzieć ojcu, co się stało. Gdyby tam był, na pewno nikt nie odważyłby się śmiać. W końcu tańczyłam tak, jak mnie nauczył, więc po części i on został upokorzony. Mama stwierdziła, że dramatyzuję i co gorsza, brak mi poczucia humoru.

Przez długi jeszcze czas rodzina nagabywała mnie, żebym zatańczyła motyla. Odmawiałam stanowczo i nikt mnie więcej w tańcu nie zobaczył. Gdy nachodziła mnie nieprzeparła chęć tańczenia, zamykałam się na klucz w swoim pokoju, aż któregoś dnia Stefa zastała zamknięte drzwi, uznała to za podejrzaną i doniosła rodzicom. Odtąd klucz do mojego pokoju był schowany, a ja ostatecznie zrezygnowałam z tańca.

W tym czasie rodzinie dobrze się powodziło i co roku jeździliśmy za granicę do Sopotu. Chaos, który się z tym wiązał, wywoływał we mnie mieszane uczucia. Lubiłam przygotowania, nowe stroje, walizki pakowane do późnej nocy, ale nie cierpiałam podróży pociągami. Na wiele godzin przed wyjazdem z domu dostawałam torsji i wymiotowałam przez całą drogę, więc ojciec nie chciał siedzieć z nami w przedziale. Stefa przeżywała podobną udrękę i mama, wzdychając i narzekając, poiła nas obie na przemian sokiem z cytryny i czarną kawą, w obu wypadkach bezskutecznie.

Kiedy jednak byłam już na miejscu, moja radość nie miała granic. Uwielbiałam to, że mogłam pozbyć się ubrania i całe dni spędzać na plaży. Pierwszego lata odmówiłam kąpieli w morzu. Przeraziły mnie huk i impet fal. Mama próbowała mnie zabrać do wody, ale rozwrzeszczałam się tak straszliwie, że przyczłapał do nas jakiś pełen dobrych intencji Niemiec i zbeształ ją za okrutne traktowanie małej siostrzyczki. Mama odpowiedziała nienaganną niemczyzną, że z własnym dzieckiem może robić, co jej się podoba i speszony Niemiec wycofał się do swojego grajdołka. Oczywiście,

kiedy ojciec przyjechał do nas z krótką wizytą, zgodziłam się wejść z nim do morza. Ojciec chciał mnie uczyć pływania, ale mama, która sama nie umiała pływać i bała się wody, nie pozwoliła na to. Była przekonana, że od razu utonę, a co najmniej się przeziębę. Ojciec ustąpił; pewnie się obawiał, że jeśli będę próbowała pływać, zostawszy sam na sam z mamą, to faktycznie się utopię. Rzecz jasna nie powstrzymało mnie to od podejmowania prób na własną rękę z opłakanyim rezultatem.

Wypadek miał miejsce podczas naszych drugich wakacji, kiedy mój paniczny strach przed wodą ustąpił miejsca głupiej brawurze. Poszłam z mamą na głęboką wodę, która sięgała mi do brody, i zdecydowałam, że sama wrócę do brzegu. Mama chciała mnie odprowadzić, ale odmówiłam i powoli, siłując się z falami, ruszyłam w stronę plaży, nie spuszczając oczu z czerwonej piłki leżącej na piasku. W pobliżu brzegu potknęłam się i runęłam głową w dół w wypełnioną mułem dziurę.

Przez krótką chwilę zмагаłam się z wodą, a potem wielki dzwon zahuczał mi w uszach, wypełniając dźwiękiem cały świat. Wiedziałam, że nie wolno otwierać ust ani krzyczeć, ale strach przeważył. Spróbowałam nabrać powietrza, żeby krzyknąć, a wtedy poczułam w piersiach uderzenie i dzwon wybuchł z przerażającym hukiem.

Kiedy otworzyłam oczy, leżałam twarzą w dół na piasku. Ktoś poruszał moimi rękami w górę i w dół i masował mi plecy. Zaczęłam kaszleć i prychać, próbowałam usiąść, i wtedy mama ze Stefą rzuciły się na mnie z płaczem. Obsypywały mnie pocałunkami, ścisnęły i wymierzały klapsy, besztając mnie i siebie nawzajem.

Jak dowiedziałam się później, w chwili gdy znikłam pod falą, mama odwróciła się i nie widząc mnie w wodzie ani na plaży, zaczęła dawać znaki Stefie, a ta odpowiedziała, że nie wróciłam. Zaniepokojona mama ruszyła do brzegu i po drodze natknęła się na parę stópek młócących płytką wodę. Schwyciła je i wyciągnęła do góry. Rozpoznała mnie, choć twarz miałam pokrytą mułem i wezwała pomoc. Ocknęłam się otoczona tłumem półnagich ciał. Po moim pierwszym parsknięciu, rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi i wszyscy jak jeden mąż zaproponowali mamie, że nauczą mnie pływać. Mama odmówiła.

Dni mijały. Nadal bawiłam się w piasku, zbierałam muszelki, a niemieckiego poduczyłam się na tyle, że rozumiały mnie miejscowe dzieci, jasnowłose i o jasnej skórze. Wtedy też zrodziło się we mnie przemożne pragnienie, by być jasnowłosą i błękitnooką jak one.

Wracaliśmy akurat z pierwszej podróży do Niemiec, kiedy w Gdańsku przez okno pociągu zobaczyliśmy dziewczynkę, która wchodziła z rodzicami na peron. Miała długie włosy koloru bladego złota, białą sukienkę i różowo-białą, porcelanową cerę. Wyglądała nadzwyczaj czysto i schludnie.

„Spójrz na to dziecko – powiedziała mama do Stefy. – Dlaczego nasze nigdy nie

wygląda tak porządnie i jakoś tak – jasno.” Spojrzały na mnie, a ja zwiesiłam głowę z poczuciem winy. Czegoż bym nie dała, żeby mieć takie blond włosy, niebieskie oczy i jasną cerę! Moje błękitnookie koleżanki zapewniały mnie, że widzą świat jakby przez błękitną mgiełkę; ja byłam pewna, że postrzegam go w posępniejszych barwach.

Po powrocie z pierwszych wakacji nad morzem pożegnałam przedszkole i zaczęłam szykować się do szkoły.

Wobec nasilającej się dyskryminacji Żydów w szkołach i na uniwersytetach, postanowiono posłać mnie do jedynej w Kaliszu żydowskiej szkoły. Mieściła się ona na przedmieściu, w ponurym, starym budynku, przerobionym z kamienicy czynszowej, w którym na trzech zatłoczonych piętrach gnieździły się pospołu szkoła powszechna i gimnazjum. Klasy były przepełnione, brakowało porządnego boiska, ale przynajmniej nie trzeba się było obawiać szykan ani kłopotów z uzyskaniem promocji.

Od najmłodszych lat wpajano mi przekonanie, że szkoła jest ważna. Uczęszczenie do szkoły to największy przywilej, o jakim dziecko mogło zamarzyć. Klucz do wspaniałej przyszłości, kiedy każdy będzie mógł robić to, co mu się żywnie podoba. Odległa matura była złotymi wrotami do tej przyszłości. Za nimi rozciągał się cały wszechświat, który tylko czekał na odkrycie. Ileż to razy moje pytania zbywano wymijającą odpowiedzią: „Pójdiesz do szkoły, to się dowiesz”. Zadawałam sobie mnóstwo pytań, które wreszcie miały doczekać się odpowiedzi. Poza tym po raz pierwszy czułam – a rodzina to potwierdzała – że dorastam. Nie byłam już małym dzieckiem. Na egzamin wstępny poszłam z mamą, a po drodze ćwiczyłyśmy dodawanie i recytowałyśmy wiersze. Mama wyglądała na podenerwowaną i pochłoniętą własnymi myślami, ja zaś dreptałam obok niej, podekscytowana, gotowa zademonstrować nieznanemu egzaminatorowi, czego się nauczyłam w przedszkolu, i udowodnić mu, że zasługuję na przyjęcie do szkoły.

Egzamin był łatwy i zdałam od razu do drugiej klasy. Dyrektor powiedział mamie, że nadaję się do trzeciej, ale byłabym tam najmłodsza, dwa lata młodsza od innych dzieci, przez co mogłabym się czuć osamotniona. Poza tym musiałabym powtarzać ostatni rok szkoły podstawowej, gdyż do szkoły średniej nie przyjmowano poniżej pewnego wieku.

Mama, bardzo zadowolona z mojego sukcesu, oświadczyła, że muszę się dalej tak starać.

Rzuciłyśmy się w wir zakupów: najpierw książki, pióra i ołówki, skórzany piórnik, ręcznie malowany, zapinany z jednej strony na suwak, i temperówka z czerwonego szkła w kształcie serca. Potem przyszła kolej na ciężki skórzany tornister. Dobry dla pleców, lepszy, jak nam powiedziano, od teczki, pod której ciężarem przechylałabym się stale w jedną stronę.

Na koniec mama obstałowała trzy mundurki, w tym jeden jasnoniebieski, a więc zupełnie nienadający się do szkoły, i kilka fartuszków, które zgodnie z regulaminem musieli nosić wszyscy uczniowie.

Zwykłe fartuszki były czarne lub granatowe. Moje uszyto z ciemnoniebieskiej tafty w odcieniu kobaltu, miały wielkie guziki z masy perłowej i sztywne, białe kołnierzyki, dużo szersze od przepisowych. W ten sposób od pierwszego dnia szkoły dawałam do zrozumienia, że jestem wyjątkowa. Tafta szeleściła i skrzypiała przy każdym ruchu i nawet gdybym nosiła dzwonek na szyi, nie zwracałabym na siebie większej uwagi.

Zdobycie pozycji w grupie, która spędziła wspólnie rok, okazało się trudniejsze niż wzięcie szturmem przedszkola. Gdyby to ode mnie zależało, zadowolilibym się rolą statystki, ale nie pozwalały mi na to długotrwałe przygotowania do szkolnego życia. Rodzina oczekiwała, że będę przodować na każdym polu, także towarzyskim. Czytanie nie sprawiało mi żadnych trudności, pisanie – niewielkie. Przez pierwsze kilka tygodni przeczytałam wszystkie podręczniki, potem więc siedziałam znudzona, słuchając, jak moi koledzy dukają czytanki, które ja znałam na pamięć. Tylko arytmetyka stanowiła pewien problem. Od samego początku ojciec postanowił, że ten przedmiot będzie jego domeną. Inne przedmioty przypadły mamie i to ona doglądała mnie przy odrabianiu lekcji. Codziennie przepytywała mnie z tego, czego się nauczyłam, i nie do pomyslenia było, żebym mogła przygotowywać pracę domową samodzielnie. Entuzjazm mamy okazał się zaraźliwy. Podsuwała mi różne sposoby uczenia się i zapamiętywania, przy czym wykazywała zdumiewającą cierpliwość i wyrozumiałość. Niestety z matematyką zawsze była na bakier, zatem nadzór nade mną w tym zakresie przekazała ojcu. I tu zaczął się dramat.

Ojciec, uzdolniony matematyk, zdecydował, że jego córka pójdzie w jego ślady. Nie dopuszczał myśli, że mogłam odziedziczyć matczynej antytalent ani że metody nauczania, które pamiętał z czasów spędzonych w rosyjskim gimnazjum, niekoniecznie są najlepsze na świecie.

Wspólne lekcje arytmetyki szybko przerodziły się w koszmar. W chwili gdy wchodziłam do pokoju, ściskając książkę w drżącej dłoni, ojciec – ukochany, aczkolwiek zawsze troszkę onieśmielający kompan – zmieniał się w groźnego tyrana: przemawiał grzmiącym głosem, recytował niezrozumiałe formułki i żądał, żebym je za nim powtarzała. Za jego szkolnych czasów uczenie się na pamięć i recytowanie całych rozdziałów było przyjętą metodą dydaktyczną, wzorując się więc na własnych lekcjach, zmuszał mnie do wkuwania rozmaitych formułek i zasad, których w naszej szkole nie stosowaliśmy i które – biorąc pod uwagę moją ograniczoną zdolność pojmowania – były zbyt zaawansowane. Nie umiałam się nimi posługiwać ani nawet docenić ich przydatności. Całkowicie oszołomiona i sparaliżowana strachem,

recytowałam je drżącym głosem, wypatrując na twarzy ojca oznak nagłego gniewu. Były to jedyne chwile, kiedy ojciec podnosił na mnie głos, a jego ostre pytania – „Rozumiesz to?”, „O czym teraz mówię?” i „Jak tego użyjesz w swoim zadaniu?” – do tego stopnia wytrącały mnie z równowagi, że tylko gapiłam się na niego z otwartymi ustami, czując kompletną pustkę w głowie. To z kolei doprowadzało go do furii: wymachiwał mi przed nosem książkami, walił nimi w stół, wymyślał mi od kompletnych idiotek, nazywał niewdzięczną córką, przynoszącą wstyd całej rodzinie. Lekcje nieodmiennie kończyły się interwencją mamy, która wybawiała mnie z rąk „brutala o kamiennym sercu”. Pod koniec pierwszego roku byłam święcie przekonana, że odziedziczyłam po mamie brak zdolności matematycznych i nigdy nie zdołam zrozumieć czegokolwiek, co ma choćby najmniejszy związek z liczbami.

Ponieważ przeskoczyłam pierwszą klasę, w tym cały rok nauki języka hebrajskiego, mama zaangażowała korepetytorkę, która miała mi pomóc w nadrobieniu zaległości. Korepetytorką została młoda, ładna dziewczyna, uczennica najstarszej klasy. Miała ciemne włosy, piękne wielkie oczy i równiutkie zęby, które często pokazywała w uśmiechu. Przepadałam za naszymi lekcjami i uciekałam się do wszelkich znanych mi podstępów, żeby skłonić pannę Rutkę do rozmowy na inne tematy. Mama zawsze nam towarzyszyła; siedziała z boku ze swoją robótką i przysłuchiwała się, a więc później mogła mi pomagać w odrabianiu pracy domowej. W ten sposób obie nauczyłyśmy się podstaw języka, a kiedy już dogoniłam klasę, objaśniałam mamie każdą kolejną lekcję i tak ucząc się sama, przy okazji uczyłam ją hebrajskiego.

W dniu, kiedy panna Rutka przychodziła na lekcję, podwieczorek był bardziej wystawny niż zazwyczaj. Mama namawiała nieśmiałą uczennicę do częstowania się ogromnymi ciastkami z kremem i owocami, zapominając przy tym o swojej diecie. Z rzucanych przez nią półsłówki wywnioskowałam, że panna Rutka udziela korepetycji, ponieważ jest uboga, i byłam nieco rozczarowana, że robi to dla pieniędzy, a nie z czystej przyjemności pomagania mi.

Jeszcze podczas mojego pierwszego roku w przedszkolu po długiej chorobie zmarł dziadek Dawidowicz. Wiedziałam, że miał raka, ale bynajmniej nie wiązałam tego z jego chorobą i śmiercią. Od tak dawna był przykutym do łóżka, że nie pamiętałam, bym go widziała stojącego o własnych siłach. Po jego śmierci moje wizyty u rodziny ojca stały się częstsze. Byłam bardzo przywiązana do babci i do cioci Heli i każdemu, kto chciał słuchać, wyjaśniałam, że wolę tę część rodziny od rodziców mamy. Ci drudzy zajmowali duże mieszkanie w największej i najbardziej nowoczesnej kamienicy w mieście. Pełno tam było kryształów i portretów w ciężkich pozłacanych ramach. Meble zostały specjalnie zaprojektowane. Wszędzie leżały dywany, w oszklonych

biblioteczkach stało mnóstwo książek; wszystko razem sprawiało wrażenie przestronności oraz świata zbyt skomplikowanego dla dziecięcego umysłu.

Oprócz ludzi mieszkali tam też papużki nierozłączki, para kanarków, dwa żółwie i od czasu do czasu różne psy przyprowadzane przez wujków. W pewnym okresie pojawiły się nawet wąż i małpka, ale szybko znikły.

Kamienica dziadków stała na należącej do nich narożnej parceli przy głównej ulicy, miała pięć pięter i była nazywana Domem Braci Kowalskich. Nazwisko Kowalskich było znane w całej okolicy i wszyscy rozpoznawali długi czarny samochód dziadka, a tym bardziej sportową, srebrną škodę wujka, która musiała być jedną z niewielu w kraju. Świetnie zdawałam sobie z tego wszystkiego sprawę i byłam dumna, że należę do tej rodziny. Wiedziałam, że z czasem większość jej majątku przejdzie na mnie, ale nie wiązałam tego z czyjąkolwiek śmiercią.

Pewnego dnia, kiedy spacerowałam z ojcem po ogrodach okalających nasz młyn, przystanęliśmy na niewielkim wzgórzu, patrząc na odległe pola. „Cała ta ziemia, którą widzisz, pewnego dnia będzie twoja”, powiedział, a ja poczułam się szczęśliwa i podniecona tą perspektywą.

W przeciwieństwie do rodziny mamy, rodzina ojca niczym się nie wyróżniała. Zajmowali małe mieszkanie w bocznej ulicy, cichej i niezbyt reprezentacyjnej. Nie mieli windy, centralnego ogrzewania ani gorącej wody, nie trzymali żadnych zwierząt i z rzadka przyjmowali gości. Służba składała się z jednej wiedzimowatej staruszki, której się bałam i która nigdy się do mnie nie odzywała. Pokoje były bardzo słoneczne i przez cały rok wypełnione kwiatami. Nigdy nie widziałam mieszkania tak bardzo przypominającego cieplarnię. Rośliny pięły się po ścianach, zwieszały z postumentów, rozpierały w oknach i przeciskały przez firanki, żeby po drugiej stronie okryć się kwiatami. Rodzina potrafiła całymi miesiącami żyć w rozterce, debatując, czy jeszcze poczekać z praniem firanek, czy też obciąć łodygę, która przerosła na drugą stronę. Mały balkon wyglądał jak altana z różnobarwnych roślin, które – jak się zdawało – nigdy nie przestawały kwitnąć.

Moja cotygodniowa wizyta była bez wątpienia dużym wydarzeniem. Wchodziłam, ściskając kurczowo bukietek kwiatków, zupełnie zbędny w tym wnętrzu, ale mama nalegała na przestrzeganie dobrych manier. Witały mnie pocałunki i okrzyki, pyszne herbatniki i gorąca czekolada. Zjadałam wszystko – nie tak jak w domu, gdzie na sam widok jedzenia robiło mi się niedobrze. Potem siedząc cioci na kolanach, zdawałam relację ze wszystkiego, co się wydarzyło w ostatnim tygodniu. Moje audytorium słuchało z uwagą i zadawało pytania. Chcieli wiedzieć dokładnie, jak wygląda nowa suknia mamy, dokąd w niej poszła i o czym rozmawia z ojcem. Odpowiadałam skwapliwie. Oni zaś słuchali, wzdychali, dziwili się i potrząsali głowami, zachęcając



mnie do dalszych opowieści.

Babcia z tygodnia na tydzień robiła się coraz mniejsza i bardziej zgarbiona. Skarżyła się na bóle krzyża i na słabnący wzrok. Jednak jej ręce nigdy nie odpoczywały. Gdy nie była już w stanie haftować, zajęła się szydełkowaniem, wyrabiając koronkowe serwety, serwetki i obrusy, które pokrywały każdy centymetr starych i brzydkich mebli. Wiele z nich trafiło do naszego domu, gdzie były pieczołowicie przechowywane przez mamę i z dumą demonstrowane przyjaciółkom.

„To niebываłe, zważywszy, że jest niemal niewidoma – powtarzała w takich razach. – Są wciąż równie doskonałe jak te, które dała mi z okazji ślubu”

W końcu babcia musiała położyć się do łóżka i znów pojawiło się słowo rak. Tym razem zrozumiałam, że babcia umrze. Ciocia Hela pielęgnowała ją dzień i noc. Była bledsza i chudsza niż zwykle, ale wciąż cieszyła się z moich wizyt. Robiliśmy wspólnie obchód mieszkania, poddając oględzinom nowe rośliny, po czym siadałam jej na kolanach, patrzyłam w oczy i pograżaliśmy się w rozmowie. Nosiła binokle na długim złotym łańcuszku, a w każdej źrenicy miała jakby kropelkę mleka. „Czy nie mogłabyś ich wypłakać?” – podsunęłam jej kiedyś mój pomysł.

Czas mijał i w miarę jak babcia stawiała się coraz słabsza, ojca coraz częściej wywoływano z pracy; raz, kiedy wezwano go w nocy, przekonał mamę, żeby z nim poszła. Wkrótce wróciła sama i bardzo zirytowana rzuciła w przestrzeń, że nie powinna chodzić tam, gdzie jej nie chcą. Babcia leżała w łóżku przez dwa lata, zanim po długich cierpieniach umarła. Na jej nocnym stoliku stała fiolka z dużymi tabletkami. Słyszałam, jak mama mówiła, że zawierają luminal i że taka dawka zabiłaby konia, a babcia nawet po nich nie może usnąć.

W ostatnich tygodniach jej życia rzadko mnie do niej dopuszczano. Ojciec wracał do domu późno i zamiast rozmawiać albo bawić się ze mną, stał w oknie i w milczeniu patrzył w dal. W naszym ciasnym mieszkaniu tylko stojąc w oknie, można było skryć się przed spojrzeniami innych. Ja też podchodziłam do swojego okna, kiedy pograżałam się w marzeniach i nie chciałam być obserwowana.

Kiedy wezwano ciocię Marysię, skakałam z radości, ale tylko póki nie dowiedziałam się od Stefy, że ciocia przyjeżdża dlatego, że babcia jest umierająca. Ciocia Marysia mieszkała w Warszawie. Była starszą siostrą ojca i niezwykle piękną kobietą. Równie wysoka jak ojciec, miała szczupłą sylwetkę i małą, zgrabną głowę. Miała też jego oczy – czarne, migdałowe z długimi rzęsami. Wcześniej wyszła za męża, wkrótce potem została wdową. Z drugim mężem rozwiodła się po roku albo dwóch i teraz mieszkała z synem, dziesięć lat starszym ode mnie.

Ciocie Marysię podziwiałam za urodę, a Zygę kochałam z całego serca.

Mniej więcej raz do roku przyjeżdżał do nas z krótką wizytą i w tym czasie cały

dom był postawiony na głowie, a ojciec – według mamy – ponownie przeobrażał się w uczniaka. Zyga sypiał w jadalni i tam co rano odbywaliśmy wspaniałą walkę na poduszki, do której ochoczo przyłączał się ojciec. Mama i Stefa, pełne dezaprobaty, usuwały z naszego zasięgu wszystkie kruche przedmioty i zamykały się w kuchni. Bitwy nigdy nie trwały długo, gdyż Zyga szybko dostawał zadyszki i musiał odpocząć; wtedy ojciec zaczynał opowiadać nam historie, przy których na nowo pękaliśmy ze śmiechu. Potem Zyga wpadał do kuchni, łapał mamę w objęcia i błagał, żeby wybaczyła to całe zmieszanie. Najbardziej fascynowało mnie w nim to, że „od najmłodszych lat miał cukrzycę”. W jego pokoju stała mała, złota waga, na której dokładnie ważono wszystko, co zjadał. Mama kupowała dla niego specjalną czekoladę, której nie wolno mi było kosztować. Byłam pewna, że po jednym kęsie też dostałabym cukrzycy.

Kiedy babci pogorszyło się, przyjechali oboje, Zyga i ciocia Marysia. Radość z niespodziewanych odwiedzin sprawiła, że niemal zapomniałam o ich przyczynie. Siedziałam przy łóżku babci, gdy nagle jej twarz skurczyła się, a ciocia Hela chwyciła fiolkę z lekarstwem i skinęła na Stefę, żeby mnie wyprowadziła. Czekaliśmy długo, nie chcąc wyjść bez pożegnania. Słyszałyśmy, jak ciocia Hela dzwoni do kogoś, potem jednocześnie zjawili się ojciec i lekarz, a chwilę później – ciocia Marysia z Zygą. My ze Stefą wciąż czekałyśmy; w końcu postanowiłam, że się pożegnam, ale kiedy właśnie podchodziłam do drzwi, wyszedł ojciec i łagodnie odsunął mnie na bok.

Twarz miał bladą, wymęczoną, pod oczami cienie, które się pojawiały zawsze, kiedy był zmęczony lub chory. Tym razem pojawiły się po godzinie spędzonej w pokoju babci. Nakazał Stefie, żeby mnie odprowadziła do domu i powiedziała mamie, co się dzieje.

„Co się dzieje?” – dopytywałam się przez całą powrotną drogę, ale Stefa milczała, spiesząc się tak, że w końcu musiałam biec, aby za nią nadążyć. Kiedy dotarliśmy do domu, Stefa poszła porozmawiać z mamą i zamknęła przede mną drzwi. Słyszałam tylko stłumioną rozmowę, a potem wyraźny głos mamy, która oświadczyła, że nigdzie się nie wybiera: „Jeśli chcą, żebym przyszła, to mogą do mnie zadzwonić. Nie ma powodu, żebym tam teraz biegała, skoro dotąd nie byłam mile widziana”.

Miałam tylko mgliste pojęcie, co się dzieje, ale czułam, że mama po raz kolejny okazała się surowa i niesprawiedliwa wobec rodziny ojca. Weszłam do pokoju i zapytałam, dlaczego nie chce odwiedzić babci.

„Ponieważ nie zostałam zaproszona” – odpowiedziała twardym, stanowczym głosem, którym odzywała się wtedy, gdy była pewna swoich racji, choć wszyscy inni mieli przeciwne zdanie. „Pamiętaj – ciągnęła dalej – nigdy nie chodź tam, gdzie cię nie

zaproszono, bo może się okazać, że nie jesteś mile widziana.”

Tej nocy babcia zmarła, a ojciec wrócił do domu dopiero następnego dnia. Po jej śmierci atmosfera w domu stała się bardzo napięta. Ojciec niewiele się odzywał. Uśmiechał się smutno, kiedy wchodziłam do pokoju, ale prawie nigdy nie rozmawiał z mamą. Wieczorem po pogrzebie usłyszałam, jak cicho powiedział: „Nigdy ci nie daruję, że wtedy nie przyszłaś”. Mama odpowiedziała, że nie chciała w takim momencie narzucać rodzinie swojej niepożądanej obecności.

„Jesteś zbyt dumna – powiedział ojciec tym samym cichym głosem, który nagle stracił całą swoją dźwięczność – zbyt dumna i zbyt surowa. I nie wiesz, co to cierpienie”. Mama odparła z gniewem, że ma nadzieję, iż nie życzy jej cierpienia. Czułam, że zaraz dojdzie do kolejnej kłótni. Nie chciałam tego dłużej słuchać. Ja też uważałam postępowanie mamy za niewybaczalne. Z przerażeniem myślałam, że to moja mama. Czego się mogę po niej spodziewać, skoro tak traktuje ojca? Na myśl o nim serce mi się krajało. Zawołałam go pod pretekstem, że nie dostałam całusa na dobranoc. To był mój ulubiony wybieg, stosowany zawsze, gdy chciałam się jeszcze raz przytulić. Tego wieczoru siedzieliśmy długo, on z twarzą wtuloną w moje włosy, a ja skupiając moje myśli, aby bez słów przekazać mu, jak bardzo go kocham.

Wkrótce po pogrzebie pojawił się problem ciotki Heli. Mama dyskutowała o tym z babcią przy każdej okazji: „Ona nie jest w stanie pracować ani zadbać o siebie czy o mieszkanie”. To odnosiło się do słabego wzroku ciotki. „Z drugiej strony, pieniądze ledwie wystarczą jej na życie. Nie będzie jej stać na służącą. Mietek nie chce, żeby została w ich starym mieszkaniu, bo tam za dużo wspomnień. Dokąd jednak miałyby pójść? Tam przynajmniej zna dom i okolicę. Nie możemy sobie pozwolić na roztkliwianie się. Marysia oczywiście twierdzi, że nie może zabrać jej do Warszawy. Pewnie jest zbyt zajęta uganianiem się za swoim trzecim.”

Tu obie spojrzały na mnie i zniżyły głosy.

– Mietek chyba nie myśli, że ty... – powiedziała babcia. Serce podskoczyło mi w piersi. Ciotka Hela w naszym domu!

– Myślał – powiedziała mama. – Ale oczywiście powiedziałam mu, że to nie wchodzi w rachubę. To mieszkanie jest nawet dla nas za małe. Gdzie mielibyśmy pomieścić jeszcze jedną osobę? Zresztą, nawet w większym mieszkaniu to nie zdałoby egzaminu. Ani ja nie mogłabym bez końca udawać, że jestem zadowolona z jej obecności, ani ona nie czułaby się szczęśliwa. Mietek nadal będzie ją wspierać – to znaczy, ja będę ją nadal wspomagała – ale musi sobie znaleźć jakieś lokum.

I rzeczywiście, w ciągu tygodnia miejsce się znalazło. Umieblowany pokój w domu przyjaciółki. Mały i ciemny, ale... „dla niej to i tak nie ma znaczenia, bo prawie nie

widzi". W głosie mamy brzmiała wyraźna ulga. Ciocia Hela miała się przeprowadzić z końcem miesiąca. Dzień przed przeprowadzką, wczesnie rano, obudziło nas gwałtowne dzwonięcie do drzwi. Stefa poszła otworzyć i do mieszkania wpadła stara Ryfka, kucharka babci, która została przy cioci Heli. Na głowie miała czarną chustę i była cała zapłakana. Odepchnęła Stefę i wpadła jak burza do sypialni.

– Panienska nie żyje – usłyszałam jej krzyk. – Dziś rano znalazłam ją w łóżku zupełnie zimną.

Kilka minut wystarczyło, by ojciec narzucił na siebie ubranie i wypadł z domu. Obok niego biegła Ryfka, a jej chusta powiewała jak czarne skrzydło. Mama przyszła do mojego pokoju, usiadła i w milczeniu wpatrywała się w podłogę. Potem ona też ubrała się i wyszła. Wkrótce wróciła. Nie poszłam do szkoły, czując, że moja nieobecność będzie usprawiedliwiona. Mama była blada, nerwowo zaciskała ręce.

– Zażyła ten luminal, który został – powiedziała do Stefy. – Musiała połknąć wszystko, bo pudełko było puste. Wczoraj dała Ryfke wolne i kazała jej iść przenocować w domu. Prawdopodobnie chciała mieć pewność, że nikt jej nie znajdzie za wczesnie.

– Nigdy nie zapomnę jej twarzy – mówiła dalej sama do siebie – ale co mogłam zrobić? Nie mogliśmy zabrać jej do siebie. Nie mamy miejsca. Nie byłaby z nami szczęśliwa. Pewnie się bała mieszkać sama, wzrok miała taki słaby, coraz gorszy...

Jej głos stopniowo cichł, kiedy tak krążyła po pokoju, podnosząc i odkładając na miejsce coraz to inne przedmioty, a my wodziłyśmy za nią wzrokiem.

Następne tygodnie były trudne do zniesienia. Mimo całej miłości do babci i cioci Heli, nie mogłam zbyt długo trwać w posępnym nastroju i już po kilku dniach wyrывałam się do normalnego życia. Ojciec spoglądał na mnie wówczas z milczącym wyrzutem, więc głęboko zawstydzona wycofywałam się do swojego pokoju, gdzie chodziłam na paluszkach, starając się zachowywać tak cicho, jakby mnie w ogóle nie było.

Z nadejściem zimy zdrowie ojca pogorszyło się. Zawsze miał typowy dla palacza chroniczny kaszel, a zimą skłonność do bronchitu i astmy. Teraz dodatkowo zaczął mu dokuczać zaleczony wrzód dwunastnicy, to zaś oznaczało dietę, której nie cierpiał, nalegania doktora, by ograniczył palenie oraz długotrwałe napady bezsenności. Chudł, a jego podkrążone oczy wydawały się dwa razy większe niż zwykle.

W nocy, kiedy nie mogłam zasnąć, często słyszałam jego kaszel. W takich chwilach trwożliwie wstrzymywałam oddech, czekając, aż atak minie. Czasami wychodził z sypialni i szedł do jadalnego pokoju. Zapalało się światło, a ja wiedziałam, że przez następnych kilka godzin, niekiedy aż do rana, będzie siedział w ulubionym fotelu między oknem a kredensem, czytał i palił papierosy. Rankiem w tamtym kącie będzie

wisiała chmura błękitnego dymu, a mama wchodząc do pokoju, pociągnie nosem i zaciśnie usta. Kiedy ukojona jego bliskością, zapadałam w sen, czułam, że mama nas po prostu nie rozumie.

Pod koniec zimy ojcu polepszyło się, ale ja nabawiłam się przeziębienia i wpakowano mnie do łóżka. Nie było to nic nowego. Bardzo często się przeziębiałam i leżałam w łóżku: przez pierwsze dni gorączkując i cierpiąc, a przez następny tydzień – w pełni szczęśliwa – marząc, by choroba trwała jak najdłużej.

Kiedy pierwsze, trudne dni miałam już za sobą, radośnie zabierałam się za komenderowanie całym domem. Pojawiały się nowe książki i nowe zabawki, a ja z ukontentowaniem spędzałam dni na czytaniu albo słuchaniu Stefy, mamy lub kogokolwiek innego, kto chciał mi poczytać. Nigdy się nie nudziłam i w rodzinie mówiło się o tym, jakież to mam pogodne usposobienie, kiedy leżę w łóżku. Jeśli kuracja nie była bolesna, nie ordynowano mi żadnych zastrzyków ani baniek, byłam wzorową pacjentką. Mama przychodziła pobawić się ze mną i wykazywała przy tym niebывałą cierpliwość i pomysłowość; wydawało mi się wówczas, że gdybym chorowała dostatecznie długo, mama przyzwyczaiłaby się do mnie i zaczęła mnie rozumieć. Tak często zarzekała się, że nie ma pojęcia, co ze mną robić ani jak wychowywać dziecko, aż wreszcie uwierzyłam, że jestem szczególnego rodzaju istotą, która nie może liczyć na nawiązanie prawdziwego porozumienia z dorosłymi, dopóki nie stanie się jedną z nich. A do tego – tak mi się wówczas wydawało – było dalej niż do księżycyca.

Tej zimy jednak przeziębienie nie ustąpiło po zwykłej kuracji. Wdało się zapalenie oskrzeli, potem zapalenie płuc i nagle ze strzępków podsłuchanych rozmów zrozumiiałam, że jestem poważnie chora.

Po pierwszych zastrzykach mój stan się pogorszył, więc postanowiono przerwać kurację. Pech chciał, że pierwszy zastrzyk trafił w jakiś nerw i przez to pewnie zaczęłam ogłuszająco krzyczeć z bólu. Noga mi spuchła i zesztyniała od biodra po same palce. Mama, przestraszona i zdezorientowana, dziękowała felczerowi i przepraszała za moje zachowanie. Kiedy felczer zamykał swoją czarną torbę i wreszcie szykował się do wyjścia, oboje znajdowali się przy półce z moimi zabawkami.

Mama sięgnęła na półkę i wzięła miniaturową maszynę do szycia, moją ulubioną wówczas zabawkę.

– Proszę wziąć to dla pana córeczki, doktorze. Był pan taki cierpliwy, wiem, że Jasia będzie szczęśliwa, jeśli pan to przyjmie. Prawda Jasiu?

Odwróciła się w moją stronę, a ja zdążyłam tylko zamaskować moje niedowierzanie słabym uśmiechem. Nie chciałam oddawać mojej ulubionej zabawki nikomu, a już

na pewno nie temu okropnemu człowiekowi, który sprawił mi tyle bólu. Jeżeli już koniecznie trzeba mu dziękować za to, co mi zrobił, to niech sobie weźmie jakąś lalkę albo dwie. Lalki mnie nie obchodziły. Były za ładnie ubrane, żeby się nimi bawić. Tylko nie moją maszynę do szycia! Felczer, zaskoczony, uprzejmie odmówił i na moment odzyskałam nadzieję. Mama znów odwróciła się w moją stronę i rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie. Nadludzkim wysiłkiem, głosem łamiącym się od łez, poprosiłam go, żeby wziął maszynę. Tym razem nie protestował.

Choroba przeciągała się w nieskończoność. Wreszcie ból w piersiach zaczął powoli ustępować. Poruszałam już nogą i odzyskałam przytomność umysłu na tyle, że mogłam wrócić do moich książek. Mogłam już kontrolować sytuację i zaczęłam czerpać korzyści ze zmian spowodowanych przez mój poważny stan. Od początku choroby mama nocowała w moim pokoju, za co byłam jej wdzięczna, choć towarzyszyło temu niejasne poczucie winy i zażenowanie z powodu tej nagłej intymności. Teraz jej miejsce na sofie zajęła Stefa. Ponieważ zawsze spałam sama, obecność mamy lub Stefy potwierdzała, iż zamieszanie, które wywołałam, traktowano z należytą powagą.

Dziadek Kowalski zaglądał do mnie każdego popołudnia i przynosił nową książkę lub zabawkę. Siadywał przy łóżku, uśmiechając się, ale nie bardzo wiedząc, co ma robić, ja trzymałam go za rękę i odwzajemniałam uśmiech. Czasami siedział tak długo, aż głowa zaczynała mu ciążyć. Zasyział w fotelu, ja zaś leżałam cichutko zaczytana w nowej książce. Po przebudzeniu uśmiechał się z zakłopotaniem:

- Miałem się tobą opiekować, a tymczasem to ty opiekujesz się mną.
- Nie szkodzi – zapewniałam – nikomu nie powiem.

Brał wtedy książkę i zaczynał czytać, ale jego głos stopniowo odpływał i po chwili oboje zapadaliśmy w sen.

Ojciec, rzecz jasna, spędzał ze mną cały wolny czas. Graliśmy w różne gry, wymyślał dla mnie fantastyczne opowieści. Czasami, kiedy byłam zbyt słaba, żeby słuchać, opierał się o niklowaną poręcz w nogach łóżka i stał tak między białymi zasłonkami ustrojonymi w falbanki i kokardki. Jego spojrzenie, przepełnione bezmiernym smutkiem i ciepłem, zdawało się otaczać mnie i pociągać ku niemu, choć moje ciało spoczywało ciężko na poduszkach. Nie mogąc oderwać od niego oczu, czułam, że jesteśmy sobie całkowicie oddani, potrafimy czytać nawzajem w swoich myślach. Nie śmiałam tego powiedzieć na głos, ale w takich chwilach byłam pewna, że zrobiłabym dla niego wszystko – gdyby zechciał, z łatwością wstałabym i zatańczyła. Wiedziałam, że się o mnie martwi i chce, bym szybko wyzdrowiała, a od kiedy to rozumiałam, ta świadomość dodawała mi sił. Ja też chciałam

wyzdrowieć i wstać z łóżka. Próbowałam się uśmiechnąć, żeby mu pokazać, że wiem, o czym myśli. W odpowiedzi w jego oczach zamigotał uśmiech, który przeniknął mnie na wskroś. Poczułam się tak, jakbym w ciepły, letni dzień leżała w promieniach słońca. Ojciec często tak się uśmiechał. Choć nie zmieniały mu się rysy, twarz zaczynała promieniować ciepłem, a oczy rozjaśniały się nagłym blaskiem, jakby ktoś nagle przepędził chmury z letniego nieba.

Pamiętałam jak przez mgłę, że wiele lat wcześniej, kiedy byłam całkiem małą i chorowałam na zapalenie ucha, ojciec nosił mnie na rękach – otulał połą swojej bonzurki i godzinami chodził po mieszkaniu. To pozostało jednym z moich najdroższych wspomnień. Widziałam jego zatroskane oczy i dodający odwagi uśmiech. Pomimo bólu ucha pragnęłam wrócić do tamtych lat, choć wiedziałam, że już nie zmieściłabym się pod bonzurką. Musiał mi wystarczyć widok jego zatroskanej twarzy i uśmiechniętych, dodających mi otuchy oczu. Bonzurkę zresztą nosił nadal. Ilekroć mama groziła, że ją wyrzuci, napotykała na nasz solidarny opór i nie mogła pojąć, dlaczego jestem tak przywiązana do „tego starego łacha.” To typowe dla niej, że zawsze bierze stronę ojca, skarżyła się Stefie, a ja odmawiałam wyjaśnień. To był nasz sekret, ojca i mój.

Pewnego dnia, czując nieco więcej energii, postanowiłam sprawdzić, jak bardzo się o mnie martwi. Rano, przed wyjściem z domu, ojciec zapytał mnie jak zwykle, czy mam jakieś życzenie, a ja nieśmiało odpowiedziałam, że byłabym zachwycona, gdybym dostała komiks z Myszka Miki. Wszelkiego typu komiksy, nawet dobrotliwy Kaczor Donald, stanowiły w naszym domu temat tabu. Była to szmira, której należy się wstydić i której czytanie w domu albo poza domem było surowo zakazane. Przestrzeganie tego zakazu przychodziło mi z dużą trudnością. Szkoła była zalana komiksami, bezustannie podtykano mi je pod nos, więc od czasu do czasu ulegałam pokusie, a potem miałam ogromne wyrzuty sumienia. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego wolno mi oglądać kreskówki na kinowym ekranie, a nie wolno na papierze. Rodzice nie musieli się obawiać, że dla komiksów porzucę książki. Od lat byłam zagorzałą czytelniczką wszystkiego, co drukowane. Gazety czytałam od nagłówka po rubrykę towarzyską, nie omijając artykułów o polityce. Kiedy nie miałam żadnej nowej książki ani gazety, czytałam ogłoszenia, napisy na strzępkach papieru pakowego wyciągniętego z kosza na śmieci, etykiety, instrukcje gier i brukowe romansidła przynieszone przez Stefę. Moja własna biblioteka liczyła dwieście książek, począwszy od bajek przechowywanych z najmłodszych lat po dość poważne książki dla chłopców, które odziedziczyłam, kiedy babcia Dawidowiczowa zmarła i ojciec przyniósł do domu swoją bibliotekę z czasów dzieciństwa. Podzielił wtedy księgozbiór, zezwalając mi na lekturę niektórych ulubionych przez niego książek, w tym Jules’a Verne’a

i większość Dickensa, a inne odkładając na później. Wszystkie książki stały u mnie na półce, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zaglądać do tych zakazanych. Często patrzyłam na nie z tęsknotą, a czasem ośmielałam się ich dotknąć lub nawet zdjąć je z półki. Wiedziałam jednak, że jeśli odważę się którąś z nich przeczytać, potem nie będę mogła spojrzeć ojcu w oczy.

Teraz jednak zajmowała mnie kwestia komiksów. Wiedziałam, że wciąż jestem ciężko chora i taka prośba może ująć mi na sucho. W naszym domu o komiksach się nie wspominało; nie raz słyszałam, że mogę mieć każdą książkę odpowiednią do mojego wieku, ale w żadnym wypadku nie taką szmirę.

Jeszcze teraz, kiedy wspominałam to zdarzenie, siedząc bezpiecznie na Krzyżówkach, nie mogłam się nadziwić własnej śmiałości. Ojciec stał przez chwilę oniemiały, a potem z gniewnym pomrukiem wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami. Kiedy powiedziałam Stefie, co się stało, przestraszyła się. Przeczynała, że ojciec będzie się gniewał przez wiele dni i jak zwykle wszyscy na tym ucierpią.

Tego wieczoru ojciec wrócił do domu, dźwigając w obu rękach wielki plik kolorowych zeszytów. Bez słowa rzucił mi je na łóżko i wyszedł z pokoju. Siedziałam oniemiała i całkowicie oszołomiona nagłym bogactwem. Jednak gniew ojca przyćmiewał radość z odniesionego zwycięstwa. Nie mogłam wyskoczyć z łóżka i pobiec za nim, prosząc o przebaczenie. On zaś przez następne dwa dni nie chciał przyjść do mojego pokoju. Miałam dość Kaczora Donalda i Myszki Miki; przerzucałam obojętnie stertę komiksów i zastanawiałam się, dlaczego w ogóle chciałam je czytać. Gniew ojca zatruł oczekiwaną przyjemność i choć za każdym razem, gdy ktoś wchodził do pokoju, robiłam dobrą minę do złej gry, komiksy straciły dla mnie swój urok.

Kiedy wreszcie pozwolono mi wstać z łóżka, okazało się ku mojemu zaskoczeniu, że nie jestem w stanie chodzić ani nawet stać o własnych siłach. Spędziłam w łóżku niemal trzy miesiące. Ubrania wisiały na mnie, pończochy były za luźne i za krótkie; gumki przypięte do staniczka podciągały do góry pończochy razem z nogami. W tej sytuacji zmiana klimatu była ewidentnie wskazana, więc razem z mamą pojechaliśmy do Krynicy. Po raz pierwszy nie zabrałyśmy ze sobą Stefy, która z balkonu machała nam na pożegnanie chusteczką mokrą od łez i szlochała, jakbyśmy wyjeżdżały na zawsze.

W pociągu mama obserwowała mnie z nieskrywaną obawą. Jej niepokój był tak widoczny, że postanowiłam udowodnić, iż dopóki będę traktowana jak człowiek, będę skłonna przyjąć racjonalne argumenty i zachowywać się bez zarzutu. Tym razem nie pojechałam do rygi; podróż minęła bez kłopotu na pogawędkach z pasażerami oraz grze w karty z jakimś starszym panem.

Wakacje udały się nadzwyczajnie, a ja po raz pierwszy uświadomiłam sobie,



że jestem w stanie „poradzić sobie” z rodzicami. Szczególnie z ich nagłymi wybuchami gniewu. Gniew ojca rozlewał się zwykle na kilka sąsiednich dziedzin. Jego wyroki były nieodwołalne i żadna dyskusja z nimi nie wchodziła w grę. Mama łatwiej wybuchała gniewem, ale też szybciej się rozchmurzała i kara często szła w zapomnienie. Mimo tych różnic nierzadko miałam wrażenie, że oboje obserwują mnie tylko po to, by się zorientować, co w danym momencie najbardziej zaprzęta moją uwagę, i pozbawić mnie obiektu zainteresowania. Dawno już się nauczyłam, że okazywanie zbyt dużego zainteresowania i przywiązania do czegokolwiek jest nierozważne, gdyż ulubiony przedmiot będzie skonfiskowany przy pierwszej nadarzającej się okazji. W ten właśnie sposób wykorzystywano moje zamiłowanie do książek: przy każdym nieposłuszeństwie grożono mi zakazem czytania przez dzień lub dwa. Dłuższa kara obracała się przeciw obozowi wroga, bo wtedy snułam się po domu niepoczyszona i znudzona, wchodząc każdemu w drogę i wyglądając tak żałośnie, że ktoś w końcu uchylał zakaz.

Zrozumiałam, że jestem zdana na łaskę trzech dorosłych osób, przy czym dwie z nich wielokrotnie powtarzały, że tylko z mojego powodu są nadal razem. Trzecia, Stefa, istniała rzecz jasna wyłącznie dla mnie. Ale nawet ona od czasu do czasu straszyla, że odejdzie, a kiedyś po okropnej awanturze z mamą poszła naprawdę i nie było jej przez cały dzień. To był najczarniejszy dzień w moim życiu. Godzinami płakałam i wzywałam Stefę, nie dając nawet dotknąć się mamie, która próbowała mi wyjaśnić, że przyłapała Stefę na kradzieży i że nie można trzymać w domu złodziejki. Nie chciałam w to uwierzyć. Ojciec wyjechał w sprawach służbowych i zostałam w domu tylko z mamą. Do wieczora obie byłyśmy zupełnie wyczerpane. Mama ugotowała kolację i uparła się, że mnie nakarmi, tak jakbym była małym dzieckiem, jednak ręce tak się jej trzęsły, że łyżka uderzała mnie za każdym razem w zęby. Miałam twarz zapuchniętą od łez i ledwie widząc na oczy, uparcie odmawiałam pójścia do łóżka i nie dawałam się rozebrać. Moja gorycz musiała być bardzo widoczna. Mama wyglądała na urażoną i smutną, i przez chwilę poczułam wyrzuty sumienia. Nagle rozległ się dzwonek i obie pobiegłyśmy do drzwi. To była Stefa – miała zaczerwienione oczy, siąkała nosem i prosiła o pozwolenie na spakowanie swojego kuferka. Chwyciłam ją za nogi, przywarłam do niej kurczowo i trwałam tak bez słowa, póki mama nie pozwoliła jej zostać.

A teraz Stefa mówiła, że chce wyjść za mąż, zanim wybuchnie wojna. Wszyscy mówili o wojnie. Ojciec, jak się zdawało, był zadowolony i podekscytowany, choć jednocześnie poważny. Ilekroć zaczynał mówić o wstąpieniu do wojska, mama – wyraźnie przestraszona – przypominała mu z irytacją, że ma rodzinę i obowiązki i już nie czas na bycie młodym bohaterem, tak jak ostatnim razem.

Wtedy, w 1920 roku, ojciec uciekł z domu, zaciągnął się do wojska i póty walczył, póki nie został ranny. Do domu wrócił o kulach; mierzył wtedy ponad metr osiemdziesiąt, był chudy jak patyk, miał medal na piersi i świeżo zapuszczone wąsy. Przywitano go z honorami, a potem jako kombatant został wyłączony z systemu kwotowego, który ograniczał Żydom dostęp na uniwersytety. To wprawdzie na nic mu się nie przydało, gdyż po ślubie bez słowa wyjaśnienia zrezygnował z dalszych studiów prawniczych i nie wrócił na uniwersytet. Była to jedna z rzeczy, których mama nie mogła mu darować. Z licznych komentarzy zorientowałam się, że rodzice mamy byli przeciwni małżeństwu. Nawet teraz ojciec rzadko u nich bywał. Z dziadkiem żył we względnej zgodzie, ale babcia najwyraźniej nie mogła go znieść, więc unikali się nawzajem. Po ślubie dziadek, chcąc zatrzymać ojca i mamę w Warszawie, gdzie oboje studiowali i gdzie się poznali, zaoferował im pomoc finansową. Ku wielkiemu rozczarowaniu całej rodziny ojciec odrzucił propozycję. Trudno to było zrozumieć, gdyż dobrze sobie radził na studiach i był ewidentnie uzdolniony. Mama za to miała gotowy argument na poparcie tezy o zgubnym braku ambicji i zaczęła się nim posługiwać, gdy przybladł jej zachwyty z powodu poślubienia najprzystojniejszego kawalera w mieście, i gdy pojawiły się pierwsze trudności.

Dla ojca czas spędzony w wojsku był najszczęśliwszym chyba okresem w życiu. Na wspomnienie o wojnie oczy się mu zapalały, sypały się opowieści, płynęły piosenki. Mama obawiała się wojny i nie lubiła żołnierzy. W każdym razie nie potrafiła się dopatrzeć niczego romantycznego w wojaczce, mimo iż jej ukochany brat – ten, w którego srebrnej szkodzie podczas wakacji niezmiennie jechałam do rygi – był oficerem i miał równie entuzjastyczny stosunek do armii jak ojciec. Właściwie tylko to ich łączyło i tylko na tym gruncie nie manifestowała się ich obopólna niechęć. Choć i na tym polu ojciec miał przewagę, bo naprawdę walczył na wojnie, wuj zaś był wówczas jeszcze dzieckiem. Różniło ich także to, że wuj, kawaler i w życiu prywatnym wzięty inżynier, był oficerem rezerwy. Ojciec, żonaty i obarczony obowiązkami, o których mu wszyscy bezustannie przypominali, najchętniej zostałby zawodowym żołnierzem.

„Kto wie – powtarzał – gdyby mnie nie trafił ten szrapnel, może bym i został”. Ale szrapnel, a w następstwie choroba, zniweczyły te marzenia. Mimo to, gdyby wybuchła następna wojna, na pewno zostanie powołany. Miał już spakowany plecak. Z czułością polerował zakupione specjalnie na tę okazję utensylia: blaszaną mydelniczkę, menażkę i sztucę, składany kubek oraz składaną szczotkę do zębów. Na sam widok tych przedmiotów mama wybuchwała gniewem. Dla niej każda wojna była straszliwym nieszczęściem, kataklizmem, w którym giną niewinni ludzie, a miasta są obracane

w perzynę. To nie miejsce dla przerośniętych chłopców, którzy maszerują, śpiewają i wymachują szabelkami.

Ja oczywiście trzymałam stronę ojca. Na wojnie rzecz jasna oszczędza się cywilów na ile to możliwe. Walczą tylko żołnierze. Nie miałam nic przeciw tej ojca wojnie, z której wróciłby okryty chwałą, naturalnie pod warunkiem, że by wrócił. Ta sprawa nie dawała mi spokoju.

Jak każde polskie dziecko urodzone po wielkiej wojnie, wychowałam się na obfitej diecie patriotycznych pieśni i wierszy wystawiających wojsko i żołnierzy, czy to dumnych ułanów czy skromnych piechurów. W każdej piosence wojacy niezmiennie odchodzili w dal, czasem w połowie tańca. Ich ukochane niezmiennie powiewały chusteczkami i rzucały im kwiaty. Oni zaś prawie nigdy nie wracali.

Gdzieś w dalekiej krainie koledzy w milczeniu kopali ubogi grób, wierny koń bił kopytem w ziemię na mogile, na której niespodziewanie – i bez względu na porę roku – zakwitła biała róża. Wszystkie te piosenki były bardzo rzewne i świetnie się nadawały do śpiewania lub recytowania „z gestykulacją”, ale nie wtedy, gdy miały dotyczyć ojca.

Ledwie dwa lata wcześniejomalże nie doszło do tego najgorszego.

Byłam wyjątkowo krnąbrna i kiedy ojciec wrócił do domu, Stefa poskarżyła mu się. Ojciec wszedł do dziecinnego pokoju i stał chwilę, przyglądając mi się z powagą. W końcu odezwał się smutnym głosem:

– Widzę, że jednak mnie nie kochasz.

Otworzyłam buzię, żeby zaprotestować, ale on ciągnął dalej:

– Nie próbuj się usprawiedliwiać, nie możesz mnie kochać i być taka niegrzeczna. A skoro ci nie zależy, nic tu po mnie. Odchodzę. Daleko stąd, w Hiszpanii, jest teraz wojna. Pojadę tam i zaciągnę się do wojska. Jeżeli zginę, spocznę na zawsze w obcej ziemi i nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Ogarnęła mnie fala przerażenia. Tak nie może się stać! Nie może! Ściany pokoju zaczęły się rozstępować. Czułam, że tonę. Desperacko próbowałam złapać oddech, znaleźć jakieś wyjście. I nagle wydostałam się z ciemności. Oczywiście, że się tak nie stanie. To tylko bajka. Ojciec nie może jechać do Hiszpanii, bo Hiszpania nie istnieje.

Ku zaskoczeniu ojca wybuchnęłam śmiechem. Czułam ogromną ulgę i choć łyż wciąż jeszcze spływały mi po twarzy, zaczęłam tańczyć po pokoju, wymachując rękami i zaśmiewając się. W końcu, uwolniona od wszelkich obaw, skoczyłam mu na szyję i pogratulowałam dowcipu.

– Tak cię cieszy to, że odchodzę – spróbował jeszcze raz zbity z tropu.

– Przecież nie możesz odejść – wyjaśniłam pełna pobłażania dla tak dziecinnego podstępu. – Bo Hiszpania nie istnieje. To kraina z bajki. Chyba nie wierzysz w bajki?

Kiedy pierwsze emocje opadły, wyjaśniłam, że ilekroć Stefa czytała mi bajki, mówiła, że dzieją się w Hiszpanii. Być może dla niej Hiszpania naprawdę była zmyśloną krainą. Kiedy podrosłam i zrozumiałam, że są to wyimaginowane historie, Hiszpania odeszła do świata fantazji razem z czarodziejami, wróżkami i gadającymi zwierzętami. Wojna w Hiszpanii była jak zamek w tym kraju. Po prostu nie istniała.

Jednak zimą z trzydziestego ósmego na trzydziesty dziewiąty wojna zaczęła być realna. W naszym mieście pojawili się uchodźcy.

Setki niemieckich Żydów napłynęły do polskich miast. Ojciec wyjechał do Zbąszynia, aby pomóc w przygotowaniu obozów dla uciekinierów. Wrócił przybity i zmęczony. Przywiózł ze sobą grupę przesiedleńców, którą trzeba było ulokować u żydowskich rodzin. „To przez te dzieci – powtarzał. – Nie mogę patrzeć na te biedne dzieciaki. Wołały na mnie «wujku» i włączyły się za mną jak zgraja szczeniaków. Niewiele brakowało, a przywiózłbym kilkoro do nas”, dodał nieoczekiwanie, puszczając do mnie oko.

Tego roku do naszej klasy przyszła nowa uczennica – Niemka. Była trochę starsza od nas i mówiła tylko po niemiecku. Wychowawczyni wyjaśniła nam, że dziewczynka jest uciekinierką i że musimy być dla niej szczególnie mili i we wszystkim jej pomagać. Zaczęliśmy od uczenia jej polskiego, wychwalając przy tym ile wlezie za każde nowo wyuczone słówko. Z powagą przysłuchiwałam się, jak nauczyciele mówią do niej po niemiecku. Kilka słówek w tym języku, które kiedyś poznałam, już prawie uleciało mi z pamięci, ale mimo to usilnie starałam się nawiązać z Bertą kontakt. Wkrótce stało się jasne, że nie dojada. Przynosiła do szkoły kromkę czarnego chleba i skubała ją w czasie przerwy, kiedy my wyciągaliśmy swoje bułki i owoce. Zastanawiałam się, co zrobić, żeby więcej jadła. Szczerze żałowałam Berty, a jednocześnie dopingowałam mnie myśl, że jeśli podzielę się z nią drugim śniadaniem, sama będę miała mniej, a to by mi bardzo ulżyło. Przez kilka dni krążyłam wokół niej, obrzucając łakomym spojrzeniem czarne kromki. Za pomocą paru znanych mi niemieckich słów zdołałam nawiązać rozmowę i napomknąć, iż uwielbiam czarny chleb. Berta zdumiała się i zaoferowała mi kęs. Ja z żalem odmówiłam. Ona nalegała. Nagle doznałam olśnienia, wyjęłam swoje śniadanie i podzieliłam na połowę. Teraz ona odmówiła, a ja nalegałam. Na koniec doszliśmy do porozumienia i nasz pakt przetrwał do końca roku. Ona oddawała mi połowę swojego chleba, a ja w zamian dawałam jej połowę moich obficie wypełnionych kanapek i cały owoc.

Berta przyszła na moje urodziny i choć zarzekałam się, że nie przyjmuję prezentów, przyniosła mi książkę, czym mnie ucieszyła i wzruszyła do łez. Mama i babcia bardzo troskliwie się nią zajęły. Obie znakomicie mówiły po niemiecku, a ja widząc Bertę

uśmiechniętą i wyraźnie przełamującą swoją zwykłą nieśmiałość, byłam niezwykle dumna z mamy i bardzo jej wdzięczna.

Spodziewałam się, że w tym roku Berta wróci do naszej klasy. Tyle że teraz mówiła płynnie po polsku i nie była już egzotyczną cudzoziemką.

Pod sosnami zrobiło się chłodno, więc powoli zaczęłam się zbierać. Najwyraźniej wakacje zbliżały się do końca, skoro mogłam przez całe popołudnie rozmyślać o domu i o szkole. Miesiąc temu nic takiego nie mogłoby się wydarzyć, wtedy żyłam tylko dniem dzisiejszym, a lato miało trwać w nieskończoność. To były udane wakacje. Tylko jedna lub dwie rzeczy kładły się na nich cieniem. Na wspomnienie pewnego niedzielnego poranka poczułam przypływ gniewu i bólu.

Tamtej niedzieli Maryla, najstarsza córka stróża, przystąpiła do pierwszej komunii.

Kiedy wracała z kościoła, Stefa i wszystkie dzieci, a ja z nimi, wyszliśmy jej na przywitanie. W białej sukience i welonie, z białym bukietem i w białych rękawiczkach wyglądała jak anioł i promieniała dumą. Podchodziła do każdego i raz po raz nadstawiała policzek do pocałowania, ale gdy przyszła moja kolej, cofnęła się przed moimi wyciągniętymi rękami.

– Idź, nie mogę cię dziś dotknąć – powiedziała gniewnie.

Stefa wzięła mnie na bok i próbowała wytłumaczyć:

– To nie twoja wina, po prostu w taki dzień nie może się bawić z żydowskim dzieckiem. Jest czysta. Ale jutro wszystko będzie jak przedtem.

Faktycznie, następnego dnia Maryla przyszła jak zwykle, kiedy jadłam śniadanie, i poszliśmy się bawić do ogrodu. Nie mogłam jednak wykrzesać dawnego entuzjazmu. A więc nawet tu, na Krzyżówkach, nie dało się zapomnieć o codziennych problemach. Wojna między „nami” a „nimi” była zawsze obecna. Tu co prawda nie słyszało się o wybijaniu okien, o obraźliwych rysunkach, o hasłach malowanych na żydowskich domach, o bojkocie sklepów. Na wiejskich drózkach nikt nie obrzucał nas wyzwiskami, jak to się często zdarzało w mieście. W mieście jednak byłam na to przygotowana, tam nosiłam swój pancierz – jedyny, w jaki potrafiłam się uzbroić: udawaną obojętność i pusty wzrok, jakim obrzucałam wrogie twarze. Tu zostałam zaskoczona, a przez to cios ugodził głęboko. Stefa wystąpiła ze zwykłym pocieszeniem: „Kiedy dorośniesz, zostaniesz katoliczką. Jestem tego pewna. Zresztą – dodała – będziesz musiała. Dlatego zostałam z tobą przez te wszystkie lata. Obiecałam księdzu, że pewnego dnia cię nawrócę, inaczej nie dałby mi rozgrzeszenia. Wiesz przecież, że pracowanie dla was to grzech.”

Nie wiedziałam. A więc to dlatego była u nas – a ja myślałam, że z przywiązania do mnie.

– Tylko nie mów o tym rodzicom – ciągnęła dalej – bo mnie wyrzucą. Nie chcesz

tego, prawda?

Nie, tego nie chciałam. Wszystko, tylko nie rozstanie ze Stefą. Wszystko.

Zresztą myśl, żeby zostać katoliczką, miała swój urok. Te wszystkie piękne obrazki. Stefa często pokazywała mi obrazki ze swojej książki do nabożeństwa. Bardzo podobały mi się anioły, Matka Boska i Dzieciątko Jezus. W naszym mieście było wiele kościołów i katedra; od czasu do czasu Stefa próbowała mnie namówić na wejście do jednego z nich, ale zawsze wpadałam w panikę i odmawiałam. Nie potrafiłam wyjaśnić, co mnie tak przerażało. Kilka moich żydowskich koleżanek regularnie chodziło do kościoła ze swoimi nianiami. Niektóre nawet znały pacierze i przebieg mszy. Wszystko to, oczywiście w największej tajemnicy, bo gdyby ich rodzice się dowiedzieli, wybuchłby okropny skandal. Być może za każdym razem powstrzymywała mnie obawa przed tym, że to się wyda i Stefa zostanie wyrzucona. W głębi duszy tkwiło także mgliste poczucie lojalności wobec rodziny. Najważniejszy jednak był strach przed tym, co się może stać, kiedy znajdę się w środku.

Oczami wyobraźni widziałam, jak ksiądz odziany w czarną szatę rozpoznaje mnie i wypędza, jak sypią się na mnie straszliwe klątwy, a może nawet ciosy.

Nie, jeśli kiedykolwiek wejdę do kościoła, to tylko jako chrześcijanka, mając do tego pełne prawo.

Czasami czułam gwałtowne pragnienie, żeby być jedną z „nich”. Miałam koleżanki, które były katoliczkami, i to, co mi opowiadały o swojej religii, brzmiało niezwykle atrakcyjnie.

– Kiedy bardzo czegoś chcę – mówiła Krysia – modlę się do Najświętszej Pani.

– W jakim języku – zapytałam.

– Jak to? – wyglądała na zaskoczoną. – No przecież, że po polsku. Po prostu mówię do Niej, opowiadam o sobie i proszę Ją o to, czego pragnę. Ona oczywiście mnie wysłuchuje i spełnia moją prośbę. To znaczy, jeśli to jest dla mnie dobre. Czasami nie spełnia. Ale zawsze mogę się pomodlić do Niej i do Jezusa, i każdego świętego. Jeśli czegoś bardzo mocno pragnę, kupuję świeczkę, zapalam przed Jej obrazem i wtedy mogę być pewna, że będę wysłuchana.

Na ulicy niedaleko naszego domu stała mała kapliczka. Przechodząc często widywałam, jak dzieci i stare kobiety żegnają się krzyżem, całują szybkę na obrazie i wrzucają parę monet do ukrytej wśród kwiatów puszeki. Jakże często, kiedy przechodziłam koło niej z Krysią i z Marysią, okazywało się nagle, że tylko ja stoję – skonfundowana i wystawiona na spojrzenia – one zaś klęczą przed kapliczką i odmawiają krótką modlitwę do Matki Boskiej. Jak się mogłam zachować w obliczu tak intymnej więzi ludzi z Bogiem?

W szkole zaczęliśmy właśnie lekcje ze Starego Testamentu i czytaliśmy niektóre

opowieści biblijne. Nauczyliśmy się też kilku modlitw w języku aramejskim. W pierwszych miesiącach nauki zapalałam takim entuzjazmem, że mama śmiała się, iż będę najpobożniejsza w rodzinie i wyjdę za mąż za brodatego Żyda w chałacie. Ani ona, ani ojciec nie przestrzegali obrządków religijnych. Wprawdzie w piątek wieczorem mama zapalała świece i odmawiała modlitwę na powitanie szabasu, ale zdawało mi się, że to pusty gest, powtarzanie tego, co w takiej chwili robiła jej matka. Ot, rodzinna tradycja bez żadnego religijnego znaczenia.

Raz do roku na święto Pesach dziadkowie przygotowywali sederową kolację, na której gromadziła się cała rodzina. Dziadek odmawiał modlitwy, dołączali do niego wujkowie. W ubiegłym roku byłam niezmiernie dumna, że mogłam czytać z modlitewnika oraz recytować pytania i odpowiedzi, które tradycyjnie zadaje najmłodsze dziecko w rodzinie. Powinien to być chłopiec, ale najmłodsza byłam ja.

Na Rosz ha-Szana, czyli żydowski Nowy Rok, i na Jom Kippur, Sądny Dzień, cała rodzina z wyjątkiem ojca szła do synagogi na nabożeństwo. O znaczeniu tych Świąt zaczęłam uczyć się w szkole. Siedząc wśród kobiet, z rozczarowaniem stwierdziłam, że cały czas zajmują się oglądaniem sukien oraz kapeluszy swoich przyjaciółek i krewnych, i że żadna z nich raczej nie zwraca uwagi na to, co dzieje się na dole, wśród mężczyzn, gdzie odprawiane jest nabożeństwo. Nic nie rozumiałam z tego, co zobaczyłam, a mama była zbyt zajęta, żeby odpowiadać na jakiegokolwiek pytania.

Mój zapal religijny nie trwał długo i choć wciąż odmawiałam modlitwy rano i wieczorem, wkrótce zupełnie zapomniałam znaczenia obcych słów.

Z zamkniętymi oczami recytowałam formułki i zastanawiałam się, jak mam przemawiać do mojego Boga, żeby mnie wysłuchał. Nie miałam żadnego obrazka, który by Go przedstawiał. Nie było żadnych aniołów ani Matek Boskich, żadnych pulchnych, uśmiechniętych dzieciątek ani długowłosych mężczyzn, którym krew z krwawiących serc skapywała na szaty. Wyobrażałam sobie, że mój Bóg, bardzo stary, surowo wyglądający mężczyzna z czarnymi włosami i czarną brodą, siedzi na chmurze i z irytacją patrzy na nas na ziemi. Jeśli osmielę się zwrócić do niego po polsku, nie zrozumie mnie i może się na mnie rozgniewać. Jego językiem był oczywiście aramejski, a ja już nie pamiętałam nawet tych paru nieprzydatnych aramejskich słów, których się kiedyś nauczyłam. Czułam ogromne zniechęcenie.

Stefa zawsze asystowała przy moich modlitwach. „Idź odmawiać te swoje mieniu-muniu”, napominała mnie z pogardą połączoną z przesadnym lękiem, kiedy zapomniałam się pomodlić. Stała potem w milczeniu, ze sceptycznym uśmiechem na ustach, ja zaś pospiesznie recytowałam formuły, czując gniew i wstyd jednocześnie.

Tak, kiedy dorosnę, zostanę katoliczką. Wtedy będę miała prawo wejść do kościoła i przyłączyć się do modlitw i śpiewów. Będę mogła rozmawiać z moim Bogiem

własnymi słowami, będę miała Madonnę i wszystkich świętych, i anioły, które będą mnie strzegły. Tak, powinnam być jedną z „nich”, jedną z tego ogromnego tłumu, który teraz mam przeciwko sobie. Oczywiście, nie stanę się przez to niebieskooką blondynką, ale będę do nich należeć i będą musieli mnie zaakceptować.

Pewnego dnia, nie mogąc się doczekać, zapytałam mamę, dlaczego nie zostanie chrześcijanką. Spojrzała na mnie z przerażeniem:

- Nigdy więcej o tym nie wspominaj – fuknęła.
- Ale dlaczego? – upierałam się.
- Ponieważ kocham swojego Boga – odpowiedziała i wyszła z pokoju. Nie chciało mi się wierzyć, że Go kochała, skoro nawet się do niego nie modliła. Nie było rady, trzeba będzie poczekać, aż dorosnę.



Ktoś biegł przez las, wykrzykując moje imię. To Tadek. Pospiesznie zebrałam rzeczy i ruszyłam mu na spotkanie; w głowie aż huczało mi od oczekiwań i domysłów. Czy wreszcie zrozumiał, że go kocham? Może biegnie, żeby mi powiedzieć, że i on pokochał mnie od pierwszego wejrzenia? Zabierze mnie jutro na grzyby?

– Twoja mama przyjechała. Pakuje was. Dziś wieczorem wracacie do Kalisza. Będzie wojna.

Tadek dzielił się ze mną tymi nowinami, kiedy biegliśmy pod górę, dysząc i ślizgając się na sosnowych igłach. Przez rzadniejące drzewa przezierały już białe ściany domu i lśniąca maska samochodu. Tadek zwolnił i przytrzymał mnie za rękę. Przystanąłam obok niego.

– Będzie wojna – powtórzył niepewnie. – Możemy się nie spotkać następnego lata, jeśli wojna wciąż będzie jeszcze trwała.

– Eee... nie będzie – zapewniłam go, starając się, aby mój głos brzmiał dorośle i nonszalancko.

– Może – obstawał przy swoim, drapiąc się po głowie z zakłopotaniem. Wyraźnie miał mi coś do powiedzenia – coś trudnego. Serce biło mi głośno, byłam pewna, że je słyszy. – Chcę ci coś powiedzieć – wydusił wreszcie – ale musisz mi obiecać, że nikomu nie powtórzysz. Szczególnie rodzicom.

Zakręciło mi się w głowie; wykrztuszając słowa przez zaciśnięte gardło, obiecałam dochować sekretu na zawsze. Ale Tadek wciąż nie był przekonany.

– Ile masz lat?

– Niedługo skończę dziesięć – skłamałam. Do moich dziesiątych urodzin brakowało dobrych sześciu miesięcy.

– No nie, ty naprawdę jesteś za mała – wymamrotał rozczarowany.

– Nie jestem, wcale nie jestem – błagałam – każdy mówi, że jestem okropnie poważna jak na swój wiek. Proszę cię, powiedz.

Wojna czy nie, nie mogłam przecież wyjechać z Krzyżówek, nie wiedząc, co chciał mi powiedzieć. Czy chciał poprosić, bym oddała mu swą rękę, gdy już dorośniemy? Żebym na niego czekała, gdy pójdzie na wojnę? Miał czternaście lat. Jeśli wojna faktycznie nadejdzie i potrwa tak długo jak ostatnia, na pewno wstąpi do wojska... Aż mi dech zaparło z emocji. Oczywiście, że będę na niego czekała. Będzie tak jak w jednej z tych ślicznych, smutnych pieśni...

Obok mnie zakłopotany głos wymamrotał:

– Przyrzeknij mi, że kiedy będziesz starsza, zostaniesz katoliczką.

Biegłam przez las, próbując stłumić łzy i przesywający ból, a w uszach wciąż

dźwięczały mi Tadcowe słowa. Przebiegłam przez drogę i wpadłam do ogrodu. Teraz już nie musiałam się hamować. Rzuciłam się w objęcia pierwszej osobie, którą zobaczyłam, i na klapy nieskazitelnej marynarki wujka popłynęła fala łez, a on – zaskoczony – niezdarnie poklepywał mnie po głowie, zapewniając, że nie ma powodu do paniki, nikt na razie nie wypowiedział wojny i możliwe, że to w ogóle nie nastąpi.

Nie było czasu na wyjaśnienia. Mama pocałowała mnie przelotnie i wysłała na dwór, żebym poszła się pobawić, ona zaś i Stefa w pośpiechu pakowały rzeczy i ładowały je do samochodu wujka. Ojciec nie przyjechał.

Pokoje błyskawicznie opustoszały. Pobielone ściany były nagie i obce. To już nie był mój pokój, to obcy pokój w wynajętym domu. Stefa zebrała z parapetu ostatnie jabłka i włożyła je do koszyka. Słońce schowało się za sad, a zza czarnych drzew przezierało pomarańczowo-złote niebo.

Jasia i Krysia przyniosły naręczę kwiatów i układając je na tylnym siedzeniu między mną a Stefą, zapewniały:

- Wrócisz na przyszłe wakacje, wojny nie będzie.
- Daj Boże – odrzekła mama.

Cóż więcej można było powiedzieć na pożegnanie. Wujek uruchomił samochód. Psy, gęsi i kury rozpierzchnęły się z głośnym protestem. Dzieci śmiały się i biegnąc za autem, machały nam na pożegnanie. Wkrótce potem wyjechaliśmy na szosę wiodącą do Kalisza.

Jechaliśmy zakurzonymi drogami wśród nagich jesiennych pól. Niebo na zachodzie wyglądało, jakby stało w ogniu. Podskakiwaliśmy na niezliczonych wybojach, zwalniając przy każdym chłopskim wozie, aby nie spłoszyć konia. Zanim dotarliśmy do pierwszej wioski, słońce całkiem zaszło i droga, obsadzona krzywymi chałupkami, zrobiła się szara, jakby była wyciosana we mgle. Jakaś mała dziewczynka przebiegła tuż przed samochodem i wuj zaklął, hamując ostro. Była boso, miała jasne, proste włosy zwisające do ramion. Ona też była szara i przez moment miałam wrażenie, że wszystko to dzieje się we śnie. Za chwilę się obudzę i cały ostatni dzień na Krzyżówkach okaże się senną marą.

Nagle dostrzegłam, że dziewczynka je bułkę. Złocistą, chrupiącą kajzerkę naciętą pośrodku na krzyż. Nagły głód wziął górę nad smutkiem, który dotąd wypełniał całe moje jestestwo, i po raz pierwszy od popołudniowego spotkania z Tadcem w lesie ocknęłam się.

Postanowiłam, że na kolację poproszę o bułkę, właśnie taką, jaką ma szara dziewczynka. Już chciałam zapytać, czy ją dostanę, kiedy rzeczywistość powróciła do mnie kolejną falą rozczarowania i gniewu. W domu znów będzie kaszka manna. Wojna nie wojna, to jedno na pewno się nie zmieni. A może naprawdę wybuchnie

wojna, może zbiedniejemy i nie będzie już manny?

Dotarliśmy do domu po zmroku. Samochód zatrzymał się przed kamienicą i kiedy spojrzałam w górę na rząd jasno oświetlonych okien na pierwszym piętrze, zobaczyłam wspartą o szybę, wysoką, ciemną postać. Minęła dobra chwila, zanim rozpoznałam ojca. Często stawał w tej pozie, z głową przyciśniętą do szyby, ale zawsze widziałam go od strony mieszkania. Po raz pierwszy zobaczyłam go jak inni – z zewnątrz – i przestraszyła mnie jego anonimowość. Po prostu jakiś człowiek bez twarzy, stojący w cudzym oknie. Przemogłam panikę i pędem rzuciłam się do wejścia, by jak najszybciej przełamać zły czar. W bramie Stanisław porwał mnie na ręce i zaniósł na górę do ojca, który czekał na nas w otwartych drzwiach.

Nikt z domowników nie spał tej nocy. Kilka razy budziły mnie odgłosy wbijania gwoździ, przesuwania po podłodze ciężkich przedmiotów i sprzeczek rodziców.

Następnego dnia mieliśmy jechać do Łodzi i zatrzymać się na jakiś czas u krewnych. Wydawało się, że wszyscy wyjeżdżają z Kalisza, który leżał blisko niemieckiej granicy i został niemal doszczętnie zniszczony w czasie wielkiej wojny. Ojciec zostawał. Postanowił wstąpić na ochotnika do wojska.

Następnego ranka przyszedł wujek, żeby się pożegnać. Nie rozumiałam, co znaczyło, że „został zmobilizowany”, ale w oficerskim mundurze wyglądał bardzo przystojnie. Wysokie buty skrzypiały ważnie, guziki lśniły. Ojciec raz po raz poklepywał go po ramieniu, jakby sprawiało mu przyjemność dotykanie materiału i tych wszystkich srebrnych galonów. Mama pociągała nosem, Stefa jawnie szlochała, czułam więc, że lada chwila mężczyźni stracą cierpliwość. Dlatego z powagą wyciągnęłam rękę na pożegnanie i nie pozwoliłam sobie na okazywanie emocji. W końcu zdesperowana mama zmusiła mnie, żebym ucałowała wujka i – oczywiście – zbeształa za skandaliczną bezduszość.

Po odejściu wujka wsiedliśmy do powozu i Stanisław odwiózł nas na stację. Pociąg był przepełniony, ale ojciec zdołał znaleźć dla nas miejsca. Stał przy oknie, ściskając nas za ręce. Kiedy pociąg ruszył, szedł obok, a mama wciąż przytrzymywała go za rękaw. Pociąg nabrał szybkości i ojciec został w tyle. Przez chwilę jeszcze było go widać, machał ręką i uśmiechał się, potem zniknął. Mama wcisnęła się w kąt przedziału i zaczęła szlochać. Opanował mnie strach i też byłam bliska płaczu, ale niepohamowane łkanie mamy tak mnie zirytowało, że zdławiłam łzy, udając obojętność. Pasażerowie wyraźnie mamie współczuli. Ktoś objął ją, ktoś inny otworzył termos z kawą. Odwróciłam twarz do okna i w duchu zaklinałam ojca, żeby wkrótce do nas dołączył.

Następne dwa tygodnie upłynęły w atmosferze chaosu. Koczowaliśmy z dziadkami pośród sterty bagaży w pustym mieszkaniu na ulicy Zielonej w Łodzi. Podłoga była

zasłana gazetami. Radio grało na okrągło, a podczas wiadomości wszyscy zastygali w oczekiwaniu. Gosposi nie mieliśmy. Mama i babcia na zmianę zajmowały się gotowaniem i nigdy nie można było przewidzieć, z jakim skutkiem.

I nagle stało się. Ktoś wpadł do mieszkania, wymachując gazetą: „Przekroczyli granicę!” Zaczęła się wojna.

Tego samego dnia przyjechał ojciec. Na rowerze, bo nie dostał się do pociągu. Był zmęczony i zgorzkniały. Wojsko go nie chciało. Bezgłośnie tańczyłam po mieszkaniu, dziękując opatrności. Skoro zostawał z nami, wojna przestała być straszna.

Zaczęły się naloty i wycie syren wyganiało nas do schronów. Bomby spadały jednak rzadko i zawsze z dala od naszej ulicy. Nie chciałam siedzieć w schronie razem z płaczącymi dziećmi i zamiast tego spacerowałam po podwórzu, trzymając ojca za rękę i usiłując – mimo przerażającego huku – udawać obojętność. Razem z mężczyznami wyciągałam szyję, starając się rozpoznać samoloty. Z powagą przysłuchiwałam się niekończącym się dyskusjom: Niemcy nie mają butów, ich czołgi są zrobione z dykty, nie zajdą daleko.

Trudno było pogodzić się z tym, że mimo niezwyciężonej armii, która nas broniła, naloty się nasilały, a wróg ponoć parł do przodu. Choć myśl o uciekaniu dalej na wschód zdawała się niepoważna i tchórzliwa, nieoczekiwanie załadowaliśmy bagaże do wielkiego czerwonego autobusu i pełnym gazem ruszyliśmy do Warszawy. Byliśmy w połowie podróży piaszczystą, żółtą drogą, gdy na bezchmurnym niebie pojawiły się niemieckie samoloty i zanurkowały nisko nad polami. Autobus stanął. Wskoczyliśmy w popłochu i rzuciliśmy się do przydrożnego rowu. Ojciec jedną walizką zakrył mamę, drugą – mnie i tak leżałyśmy w zielsku i błocie, kiedy samoloty zawróciły i otworzyły ogień. Podniosłam głowę i rozejrzałam się ostrożnie. Ojciec stał pod drzewem, palił papierosa i obserwował samoloty. Droga była pusta. W rowie przede mną leżał rząd walizek, pod którymi kuliła się reszta naszych współpasażerów. Na polu po drugiej stronie drogi chłopci, którzy przed nalotem kopali kartofle, podnieśli się z ziemi i teraz razem biegli w stronę zabudowań. Samoloty zawróciły raz jeszcze. Zanurkowały tak nisko, że przez moment widziałam twarze pilotów; zamknęłam oczy ze strachu, że oni też mnie zobaczą. Krótka seria z karabinów maszynowych i znowu odlecieli. Wygramoliliśmy się z rowu i pobiegliśmy do autobusu. Jakaś kobieta płakała, ktoś narzekał, że wepchnięto go w pokrzywy, wszyscy byliśmy zabłoceni i wstrząśnięci. Chłopci zostali na kartoflisku, leżeli nieruchomo, twarzami do ziemi.

Po Kaliszu Warszawa wydała się wielką, hałaśliwą metropolią. Nigdy jeszcze tam nie byłam i z niecierpliwością oczekiwałam długich spacerów i przejażdżek tramwajem z Żygą. Wprowadziliśmy się do cici Marysi, która odstąpiła nam mały

pokoik w swoim mieszkaniu. Dziadkowie zatrzymali się u krewnych w śródmieściu. Ciocia Marysia mieszkała na ostatnim piętrze niewielkiej kamienicy, która stała na końcu wysadzanej drzewami ulicy w pobliżu lotniska. „Niezbyt dobre miejsce na wypadek ataku” – powiedział ojciec i zaraz został zbesztany za szerzenie paniki. Nie będzie żadnego ataku. Niemcy nigdy nie dojdą tak daleko.

Kilka dni pełnych radosnego zamętu spędziłam na penetrowaniu nowego mieszkania i poznawaniu sąsiedztwa, na zabawach z dziećmi na ulicy i długich przejażdżkach tramwajem. Naloty zdarzały się dość często, ale jakoś omijały naszą okolicę. Poza tym Warszawa była tak ogromna, pełna ludzi i owładnięta taką heroiczną wolą oporu, że niepodobna było odczuwać strachu. Aż pewnego dnia radio nadało apel pułkownika Romana Umiastowskiego, wzywający wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni, by opuścili Warszawę i ruszyli na wschód, aby ująć przed zbliżającym się wrogiem. Ojciec zaczął się pakować. Wyruszył następnego ranka, zostawiając mamę wyczerpaną po całej nocy szlochania i lamentów. Ciocia Marysia była oburzona. Od dawna przywykła do samodzielnego życia i nie mogła zrozumieć, jak kobieta może być aż tak zależna od męża. Takie jawne okazywanie uczuć było stanowczo w złym guście. Zatrzymywanie ojca w Warszawie uważała za egoizm ze strony mamy. Niemcy na pewno będą rozstrzeliwać albo zaaresztują wszystkich mężczyzn zdolnych do pracy. Na myśl, że Niemcy mogliby faktycznie wkroczyć do Warszawy, mama znowu zaniósła się płaczem. Ciocia Marysia wycofała się do swojego pokoju i po dziesięciu minutach twardo spała. Zauważyliśmy u niej tę zdumiewającą zdolność – kiedy tylko sprawy przybierały zły obrót, natychmiast zasypiała. Na początku każdego nalotu, zanim jeszcze ucichło wycie syren, kładła się do łóżka i spała głębokim snem aż do odwołania alarmu. Zyga też był zaganiany do łóżka, ale nie posiadając matczynej zdolności do natychmiastowego pogrążania się w objęciach Morfeusza, spędzał czas na lekturach. Mama i ja schodziłyśmy na parter i siadałyśmy na schodach razem z pozostałymi lokatorami. Kamienica nie miała piwnic i ciocia Marysia utrzymywała, że na parterze nie jest wcale bezpieczniej niż na czwartym piętrze, za to na pewno mniej wygodnie. Inni lokatorzy nie podzielali jej opinii. Wszyscy wiedzieli o osobliwym zwyczaju cioci i choć większość tego nie aprobowwała, byli i tacy, którzy uważali jej zachowanie za igranie z losem i kuszenie złego. Mówili nawet o sprowadzeniu jej siłą na dół, żeby nie narażała na niebezpieczeństwo całego domu.

Po wyjeździe ojca ciocia Marysia, chcąc okazać mamie swoją dezaprobatę, zostawiła nas samych sobie. Odmówiła wspólnego gotowania obiadów i przestała się do nas odzywać. Właściwie natychmiast po wyjeździe ojca rodzina podzieliła się na dwa wrogie obozy. To tylko przydało mamie zgryzoty. Jej rodziców nie dało się zbyt często

odwiedzać – mieszkali za daleko, a naloty powtarzały się teraz codziennie. Obiady jadłyśmy więc w restauracji, co dla mnie było radosnym wydarzeniem, gdyż dotąd taka okazja trafiała się tylko w czasie wakacji za granicą. Wieczory spędzałyśmy na tapczanie, na którym obie spałyśmy, nasłuchując, czy nie zaczynają wyć syreny i czując, jak z godziny na godzinę narasta w nas strach i poczucie osamotnienia. Tylko historia z zagranicznym podarunkiem przyniosła nieco odprężenia – sprowokowała nas do śmiechu i sprawiła, że na jedną noc ponownie się zbliżyliśmy. Dostałyśmy paczkę z zagranicy i mama, przeglądając różne puszkę i tubki, znalazła jedną, która stanowiła dla niej zagadkę. Jej angielski był już nieco zardzewiały, zdołała więc jedynie odczytać z tubki, że „jest to najlepszy” – reszty nie zrozumiała – uznała więc, że to ani chybi pasta do zębów. Wieczorem postanowiłam wypróbować pastę. Gdy tylko poczułam jej smak, rozumiałam, że na maminej znajomości angielskiego nie można polegać. Pospiesznie zaczerpnęłam wody, żeby wypłukać usta, ale niestety im bardziej płukałam, tym bardziej „pasta” się pieniała. Wreszcie, ku wielkiemu zdumieniu rodziny wpadłam do salonu z pianą na ustach, przewracając dziko oczami i wydając niezrozumiałe dźwięki. Potrzeba było kilku szklanek wody, żeby wypłukać pianę, ale do rana czułam smak owego znakomitego kremu do golenia.

Kilka dni po wyjeździe ojca wyjątkowo długi nalot zatrzymał nas na schodach przez całą noc. O piątej rano na wpół śpiące i wyczerpane usłyszałyśmy męski głos wykrzykujący nasze imiona. Ku naszemu zdumieniu ujrzałyśmy dziadka przedzierającego się przez stłoczoną na schodach ciżbę. Zaglądał ludziom w twarze i nawoływał nas donośnym głosem. Alarm wciąż trwał. Całą noc słychać było wybuchy bomb, a teraz o świcie dołączyły do nich karabiny maszynowe i ciężkie działa. Trudno było uwierzyć, że w takiej sytuacji dziadek zdołał dotrzeć do nas, a tym bardziej, że chciał nas natychmiast zabrać do siebie. Mama stanowczo oświadczyła, że nigdzie się nie ruszy, ale gdy sąsiedzi poparli dziadka i też zaczęli doradzać, żeby z nim poszła – „tam są prawdziwe schrony, tam będzie bezpieczniej dla dziecka” – uległa perswazji. Pobiegłyśmy na górę zabrać parę rzeczy i pożegnać się z cicią Marysią. Spała twardo, więc jej nie budziłyśmy. Zyga pomachał nam wesoło z łóżka i życzył szczęśliwej drogi.

Nasza podróż wyglądała jak szaleńcza zabawa w chowanego z samolotami. Wiedząc, że każda chwila może być ostatnią, rzucaliśmy się z bramy do bramy, szukając schronienia przed seriami z broni maszynowej puszczanymi z samolotów i odłamkami szkła i cegieł, lecącymi z budynków. W jednym z domów skryliśmy się za drzwiami, które wyleciały w powietrze w tej samej chwili, gdy opuściliśmy schronienie. Za innymi drzwiami natknęliśmy się na grupę pokrwawionych, płaczących kobiet z zawałonych mieszkań na piętrze. Jedna z bram w ogóle się nie otworzyła, a my

kuliliśmy się w panice, gdy samoloty pikowały nad naszymi głowami. Wydawało mi się, że jesteśmy w drodze od wielu godzin. Oteębiała ze zmęczenia i przerażenia, marzyłam tylko, żeby się położyć, choćby na bruku. Tymczasem przed nami odstłaniała się kolejna ulica-tunel – rzędy zamkniętych bram po obu stronach i śmierć polująca z góry.

Nareszcie zbliżyliśmy się do kresu. Do pokonania został tylko plac Napoleona, ogromna pusta przestrzeń ze strzelistym budynkiem Prudentialu, wyglądającym jak palec wskazujący na niebo. Ulica Warecka, gdzie mieszkali dziadkowie, zaczynała się tuż za placem. Ten nie dawał jednak żadnego schronienia, a leżące tu i ówdzie ciała nie zostawiały wątpliwości, jaki los może spotkać tych, którzy ośmielą się na taką eskapadę.

Obie z mamą stanęłyśmy jak wryte, ale dziadek, widząc nasze wahanie, schwycił nas za kołnierze i bez słowa puścił się biegiem przed siebie. Niebo na chwilę opustoszało. Ani śladu samolotów. Jeśli powrócą, zanim dotrzemy na drugą stronę... Ostatkiem przytomności skupiłam całą uwagę na ruchu własnych nóg, reszta świata zapadła w nicość i tak pozostało, dopóki nie pokonaliśmy śmiercionośnej pustyni i nie wpadliśmy w grupę ludzi wyczekujących po przeciwnej stronie placu. Zgotowali nam owacje za odwagę, łajając jednocześnie za głupią brawurę. Jeszcze kilka kroków i wreszcie dotarliśmy do dużej kamienicy z czterema podwórkami, gdzie w obszernym mieszkaniu gościli dziadkowie z licznymi kuzynami. Nalot się skończył. Przy akompaniamencie syren obwieszczających koniec alarmu zapakowano mnie do łóżka, mamę zaś, roztrzęsioną i wciąż trzymającą się kurczowo dziadkowego rękawa, otoczył wianuszek kuzynek i przyjaciół, którzy wkrótce przywrócili ją do równowagi.

Dziadkowie postanowili zatrzymać nas na razie u siebie – w pustej spiżarni rozstawiono dla nas łóżko polowe – więc znów zabrałam się do poznawania nowego otoczenia.

W mieszkaniu tłoczyło się tyle ludzi, że z początku trudno się ich było doliczyć. W każdym pokoju mieszkała jakaś rodzina, a w kuchni dodatkowo dwa psy i nasza stara Zosia. Zachwycało mnie to kursowanie między pokojami, niekończące się plotkowanie, niespodziewane kłótnie i rzewne pojednania oraz wspaniałe opowieści przy wspólnych obiadach. Co do psów, to czułam antypatię do pekińczyka, który odpłacał mi się z nawiązką, ale zakochałam się w collie Muki. Szybko nabrał zwyczaju wślizgiwania się każdej nocy pod nasze łóżko na głaskanie i całusy, a mama systematycznie przeganiała go stamtąd, kiedy szła spać. Biedak okropnie bał się nalotów i na pierwszy odgłos spadających bomb wczołgiwał się pod łóżko, ściągając na siebie kapę. Bałam się nie mniej niż on, a kiedy go przywoływałam, szukając pocieszenia, chował głowę pod moją spódnicę i tak razem trzęśliśmy się i pojękiwali

aż do odwołania alarmu.

Następnego dnia po przeprowadzce do nowego mieszkania dziadek poszedł do cioci Marysi, żeby zabrać trochę naszych rzeczy, które tam zostały. Wrócił późną nocą z wiadomością, że godzinę po naszym odejściu dom został trafiony. Pocisk uderzył w klatkę schodową, nie wyrządzając prawie żadnych szkód w mieszkaniach. A więc ciocia Marysia powinna była ocaleć. Niestety po naszym odejściu bomby zaczęły spadać coraz bliżej i lokatorzy, którzy uważali, że „kusi złego”, zmusili ją i Zygę do zejścia na dół. Bomba spadła, kiedy właśnie wychodzili z mieszkania. Oboje doznali identycznych obrażeń prawej części ciała. Odtransportowano ich do szpitala; dziadek poszedł ich odwiedzić i tam dopiero dowiedział się, co się stało. Poza nimi ocalała tylko para lokatorów z parteru. Stan Zygi był poważny i ze względu na jego cukrzycę prognozy lekarzy nie były optymistyczne. „Gdybym was w porę nie wyciągnął z tego domu...” – głos mu się załamał i dziadek nie dokończył zdania.

Tego samego popołudnia rozległo się energiczne stukanie do drzwi. Pobieglyśmy z babcią do przedpokoju. W pierwszej chwili zawahałyśmy się, czy otwierać, bo przecież tyle krążyło historii o kradzieżach i napadach. Walenie jednak nie ustawało, drzwi się trzęsły, więc babcia ostrożnie odsunęła rygiel i natychmiast odskoczyła ze zduszonym okrzykiem. W drzwiach stała wysoka postać w wojskowym szynelu. Brudny i podarty płaszcz sięgał do kostek. Czapka, naciągnięta nisko na czoło, zasłaniała oczy, resztę twarzy zakrywała czarna, kędzierzawa broda. Na widok broni, którą obwieszony był przybysz, obie aż cofnęłyśmy się z przerażenia. Pierwsza oprzytomniała babcia. Owijając się ciasniej szalem, słabym szeptem zapytała: „Czego pan sobie życzy?” Postać trwała przez chwilę w osłupieniu, potem czarna broda poruszyła się i dobrze znany głos powiedział: „Mamo?” To był wuj. Brał udział w obronie Warszawy i po długich poszukiwaniach udało mu się nas odnaleźć. Nastąpiło żywiołowe powitanie ze wszystkimi obecnymi, po czym kobiety zabrały się za szczotkowanie, czyszczenie i reperowanie munduru, co chwila odrywając się od pracy, żeby raz jeszcze uściskać wujka i zadać mu te same pytania: Jak wygląda sytuacja w mieście? Czy Niemcy naprawdę posuwają się naprzód? Jak długo jeszcze Warszawa może się bronić? Co mamy robić? Czy można tu zostać?

Wuj nie miał pocieszających wiadomości. Radził, żebyśmy poszukali dobrego schronu i tam przeczekali oblężenie. Obiecał nas odwiedzać, kiedy będzie mógł, i przynosić prowiant. Znowu zawyły syreny. Pospieszyliśmy na dół i korzystając z gościnności sąsiadów z parteru, rozlokowaliśmy się w ich mieszkaniu. Było tłoczno, usiedliśmy więc na podłodze, wuj zaś, już w pełnym rynsztunku, obchodził pokój dookoła, żegnając się, poklepując, całując i ściskając każdego po kolei. W tym zbiorowisku kobiet i starców reprezentował siłę, nadzieję, wręcz życie i póki był



z nami, wszyscy czuliśmy się bezpieczniej. „Gdybyśmy tylko mogli coś zrobić, zamiast tak siedzieć bezradnie i czekać, aż dom zwali się nam na głowy” – powiedział ktoś, wyrażając uczucia wszystkich obecnych.

Zaledwie drzwi zamknęły się za wujem, budynkiem wstrząsnęła potężna eksplozja. Leżałam w poprzek na kolanach mamy, opierając się głową o ścianę. Wybuch sprawił, że moja głowa jak piłka odbiła się od muru, po czym z całą siłą uderzyła o ścianę. Straciłam przytomność. Ocknęłam się w pokoju pogrążonym w kompletnej ciemności. Słyszałam podniecone głosy i nerwową krzątanie; zdziwiło mnie, że można poruszać się z taką łatwością bez żadnego światła. Okazało się, że straciłam wzrok. W ciągu następnych godzin z otaczającej ciemności zaczęły się wyłaniać kształty, początkowo jednak wszystko widziałam potrójnie. Całą tę noc przeleżałam na cudzym dywanie wstrząsana gwałtownymi torsjami, czując, że moja głowa, spuchnięta jak balon, odpływa i kołysze się pod sufitem.

Później dowiedziałam się, że bomba zburzyła część ściany, przy której siedzieliśmy i zniszczyła szyb windy. Tylko niewiarygodne szczęście wuja uchroniło go od niechybnej śmierci. Podmuch przewrócił go na ziemię i zdarł mu czapkę z głowy. Kiedy wszyscy w mieszkaniu siedzieli bez ruchu ogłuszeni i zbyt przerażeni, aby wyjść i szukać jego szczątków, on wkroczył cały i zdrowy, żeby sprawdzić, jak przeżyliśmy wybuch.

W następnych dniach naloty nasiliły się, uznaliśmy więc, że lepiej będzie przenieść część rzeczy do schronu i tam nocować, niż każdej nocy wyskakiwać z łóżka. Komitet domowy uchwalił, że piwnice pod każdą oficyną budynku będą zarezerwowane dla jej mieszkańców. Szczęśliwym trafem piwnice w naszej oficynie miały strop przeciwbombowy i specjalnie wzmocnione ściany. Schron nie był ukończony, ale miał być gotowy w ciągu tygodnia. Poszliśmy z mamą go obejrzeć i wybrać dla nas miejsce.

Przed wejściem do piwnicy stanęłam jak wryta na widok ciemnej otchłani. Z mroków wionęło tak niewyobrażalną grozą, że raptownie wyszarpnęłam rękę z mamy uścisku i z krzykiem i płaczem uciekłam na schody.

Mama, początkowo rozgniewana, a potem zdumiona, zaprowadziła mnie na górę. W świetle dnia uspokoiłam się i zaczęłam ją błagać, żebyśmy tam nie szły, lecz poszukały innego schronu. Ku mojej nieopisanej uldze mama się zgodziła. Spytała, skąd ten nagły wybuch, a kiedy nie potrafiłam wyjaśnić, co mnie naszło, oświadczyła rodzinie, że uważa to za znak. Polega na mojej intuicji i poszuka innego schronu. Pozostali mogą robić, co uważają.

Nastąpiły burzliwe sceny, podczas których rodzina oskarżała mamę o sianie paniki i uleganie rozhisteryzowanemu dziecku. Babcia oświadczyła, że się nie ruszy. Dziadek

poszedł rozejrzeć się po innych podwórkach. Wrócił zawiedziony. We wszystkich schronach panował ścisk, tylko na czwartym podwórku znajdowała się piwnica, która wprawdzie nie była prawdziwym schronem i miała stosunkowo kiepskie zabezpieczenia, ale mogłaby się nadać. W każdym razie było tam niewiele osób, za to pełno szkła.

Poszliśmy na zwiady. Piwnica służyła za magazyn wytwórcy szkła laboratoryjnego. Drewniane półki wypełnione były od podłogi po sam sufit lasem dziwnych, przezroczystych kształtów. Kolby, spirale i kruche rurki o rozmaitych formach pięły się wzdłuż ścian jak jakaś biała dżungla z koszmarne snu. Przy każdym kroku powietrze wypełniało się delikatnym dzwonieniem. Postanowiliśmy się tam wprowadzić. Właściciel magazynu przybiegł oburzony, grożąc nam sądem za bezprawne zajęcie jego lokalu. „Będziecie odpowiedzialni za każdą szkodę, każdy uszczerbek” – krzyczał, podczas gdy my szybko i sprawnie opróżnialiśmy półki, ustawiając szkło w bezpieczniejszych miejscach pod ścianami. Na cementowej podłodze rozłożyliśmy przyniesione pośłania. Jeszcze tylko żywność, świece, kuchenka spirytusowa i wszystko było gotowe. Inni lokatorzy dołączyli do nas, wypełniając wkrótce całą piwnicę.

Tej samej nocy w Warszawie rozpętało się istne piekło. Wyły samoloty, ściany trzęsły się, szkło rozpryskiwało, a piwnicę raz po raz wypełniał tuman kurzu i tynku, wzbudzając jeszcze większą panikę. Nie wiem, ile dni to trwało. Kiedy tak leżałam zwinięta w jak najmniejszy kłębuszek, wstrzymując oddech aż do bólu, zaciskając oczy i zatykając uszy, wydawało mi się, że trwa to całą wieczność. Co jakiś czas wszystko przycichało i wtedy przez półprzymknięte powieki obserwowałam ludzi poruszających się w blasku świec. Mama, blada i drżąca, próbowała mnie podnieść, skłonić do wypicia wody, ale nie byłam w stanie nic przełknąć i nie dawałam się ruszyć ze swojego miejsca. Miałam wrażenie, że pogrążyłam się w niebycie, i całą siłę woli skupiałam na trwaniu w tym stanie. Nie chciałam słyszeć ani widzieć, co się dzieje, nie chciałam nic czuć w chwili, gdy spadnie ostateczny cios.

Od czasu do czasu, kiedy bolesny skurcz zmuszał mnie do zmiany pozycji, przekręcałam się ostrożnie, sprawdzając skutek, jaki to nowe ułożenie wywrze na moce nad nami. Wiedziałam, jakie to absurdalne, a mimo to zabobonnie wierzyłam, że dopóki będę trwała w jednej pozycji, nic strasznego się nie stanie. Skoro dotąd się nie stało, to być może znalazłam magiczne zaklęcie. Jeśli jednak zmienię pozycję lub pozwolę, żeby coś zakłóciło moje skupienie, opiekuńcza aura pryśnie, zło wtargnie i następna bomba trafi w nas.

W tych krótkich momentach, kiedy wracała mi świadomość, obserwowałam bez emocji zachodzące wokół zmiany. W piwnicy tłoczyli się teraz nowi przybysze, cała

nasza rodzina skupiła się razem. Podczas jednego z pierwszych nalotów w ciszy między wybuchami dało się słyszeć głębokie i spokojne chrapanie dochodzące z ciemnego kąta. Pomruk oburzenia przebiegł przez całe pomieszczenie. Rozpoczęto poszukiwanie gruboskórnego typu i gniew bynajmniej nie opadł, gdy odkryto, że winowajcą jest opasty pekińczyk z naszego mieszkania. Ktoś uznał, że trzeba go spacyfikować, nim wścieknie się od tego huk i choć pies ewidentnie dowiódł, że huk go nie wzrusza, został wyprowadzony na zewnątrz. Nie zobaczyliśmy go już więcej, za to piwnicę wypełniał teraz histeryczny szloch jego właścicielki. Którejś nocy w trakcie wyjątkowo długiego nalotu rozegrała się dramatyczna scena – do piwnicy wtargnęły babcia i Zosia, obie na pół ubrane i osypane tynkiem. Do tej chwili nie chciały do nas dołączyć, przedkładając schron ze specjalnym stropem nad naszą prowizoryczną piwnicę.

Tamtego wieczoru bomby zaczęły spadać, zanim zawyły syreny. My byliśmy zainstalowani w piwnicy na stałe, ale babcia mając swój schron w tej samej oficynie, czuła się bezpiecznie i postanowiła zostać z Zosią w mieszkaniu. Obie właśnie się ubierały, żeby zejść na dół, kiedy uderzenie bomby przecięło oficynę na pół. Wzmocniony strop nie wytrzymał ciężaru sześciu zburzonych pięter i zawalił się, grzebiąc wszystkich, którzy byli w schronie.

Babcia i Zosia, choć ogłuszone i oszołomione, wyszły z tego cało. W chwili, gdy trzy środkowe pokoje runęły w dół, znajdowały się na przeciwległych krańcach mieszkania, a ponieważ ocalały też obie klatki schodowe, mogły zejść na dół i dołączyć do nas.

Od czasu do czasu w świetle świec pojawiał się wujek, wzbudzając ogólne ożywienie. Wszyscy garnęli się do niego, domagając się wiadomości, albo przynajmniej chcieli go dotknąć. Szczęście nadal go nie opuszczało. Poły jego płaszcza były podziurawione kulami, pięty butów oberwał wybuch szrapnela, ale on sam nie doznał szwanku i wierzył, że jego godzina jeszcze nie wybiła.

Nadeszło rozstrzygające czterdzieści osiem godzin. Niemcy chcąc przełamać obronę, rzucili na miasto wszystkie siły. Przez dwie doby biły ciężkie działa, z nieba lały się potoki ognia i śmierć. Nasza oficyna straciła dach, wyższe piętra legły w gruzach.

Dziadek zorganizował brygadę strażacką, która dyżurowała dzień i noc, gasząc coraz to nowe pożary. Kiedy front domu zajął się ogniem, do wszystkich piwnic poszła wiadomość, że trzeba przygotować się do ewakuacji. Opuszczanie schronu wydawało się szaleństwem, gdyż okoliczne ulice płonęły lub leżały w gruzach, gdyby jednak front domu zawalił się, byłibyśmy uwięzieni w gruzach. Kazano nam zarzucić koce na głowy i czekać na dalsze rozkazy.

Mama wyciągnęła mnie z kąta, usiadła obok i wzięła za rękę. Była zawinięta w niebieski koc, spod którego wyzierała tylko jej twarz: mała, okrągła, oblepiona

warstwą wszechobecnego pyłu. Zaczęła się cichutko modlić. Z zażenowaniem wsłuchiwałam się w znajome hebrajskie słowa, które nagle zmieniły się w polskie: „Pan Bóg jest wielki, jest dobry i sprawiedliwy. Pozwoli mi żyć i opiekować się moją córeczką”. Zażenowanie ustąpiło miejsca gwałtownej fali uczuć, pierwszych, na jakie sobie pozwoliłam, odkąd zaczął się ten koszmar. Wtuliłam twarz w koc i rozpłakałam się, czując, jak przyptyw ulgi i nadziei zmywa ze mnie całą udrękę poprzednich dni.

Na schodach zadudniły kroki i pojawił się dziadek. Brwi i wąsy miał osmalone, oczy nabiegłe krwią. Ochrypłym głosem oznajmił, że ogień przy bramie frontowej został ugaszony i możemy zostać na miejscu.

Wkrótce potem bombardowanie ustało. Warszawa skapitulowała. Wyszliśmy z piwnicy, żeby sprawdzić, co zostało z naszego domu. Niewiele ocalało. Sąsiadka z piwnicy zaoferowała nam pokój w swoim mieszkaniu. Cóż za dziwne to było uczucie, wyjść na powierzchnię, na światło dnia, na świeże powietrze. Odruchowo kuliliśmy się, kiedy nad głową przelatował samolot. Wuj przyniósł nam worek konserw zabranych z jakiegoś rozbitego magazynu. Były bez etykiet i otwierając je, nigdy nie wiedzieliśmy, czy w środku znajdziemy zupę, kompot czy mięso. Babcia znalazła trochę mąki i zabrała się do pieczenia chleba. Miasto głodowało. Pojawiły się kuchnie polowe, przed którymi po raz pierwszy uformowały się kolejki zrezygnowanych ludzi. Uciekinierzy, którzy niedawno ściągali tu gromadnie, teraz wszelkimi sposobami opuszczali zrujnowane miasto. Rozważaliśmy, co robić. Jedyнным rozsądnym rozwiązaniem wydawał się powrót do Kalisza. Nikt z nas nie chciał zostawać w Warszawie. Na samą myśl o domu łzy napływały nam do oczu. Dziadek zaczął się rozglądać za jakimś środkiem transportu. Pociągi pasażerskie były zarezerwowane dla wojska, tylko nieliczni, uprzywilejowani cywile mogli liczyć na miejsca w wagonach towarowych. Dziadek postanowił, że „zorganizuje” wóz i konie, i sam będzie nimi powoził. Kiedy już wszystko było umówione, zachorowałam.

Zapewne przeziębłam się w piwnicy, leżąc na cementowej podłodze. Rodzina zebrała się ponownie, żeby jeszcze raz rozważyć nasz plan działania. Opinie co do tego, czy należy mnie zabierać z zimnego, pozbawionego szyb mieszkania na chłodne jesienne powietrze, były podzielone. Podróż do domu miała trwać kilka dni i nikt nie potrafił przewidzieć, co wydarzy się po drodze. Postanowiono zdać się na decyzję lekarza, ale przez kilka dni żadnego nie można było znaleźć. W końcu, pod presją rodziny oraz dlatego że mój stan wyraźnie się pogarszał, dziadek ruszył na obchód kuchni polowych, wypytyując ludzi w każdej kolejce, czy nie ma wśród nich jakiegoś doktora. Tym prostym sposobem trafił na głodnego laryngologa, którego wywabił z kolejki obietnicą trzydaniowego obiadu. Mama otworzyła trzy puszki i doktor promieniejąc z zadowolenia, stwierdził, że nie powinnam podróżować przez

przynajmniej tydzień.

W następnych dniach straciliśmy kontakt z wujem. Od chwili kapitulacji wahał się, co zrobić. Babcia błagała go, żeby zdjął mundur i został z nami. Wielu oficerów i żołnierzy skorzystało ze sposobności, żeby wrócić do swoich rodzin, babcia nie mogła pojąć, dlaczego wuj nie miałby tak postąpić. On jednak był zdania, że nie może sam się zdemobilizować. Odbływały się burzliwe dyskusje na temat oficerskiego honoru, przykładu dla żołnierzy, konwencji genewskiej. Wujek utrzymywał, że honor nakazuje mu pozostać w mundurze dopóty, dopóki jego żołnierze nie będą bezpieczni – nawet gdyby to groziło niewolą. Na samą wzmiankę o niewoli babcia wybuchała płaczem. Dziadek nie chciał brać udziału w tych dyskusjach i tylko nerwowo szarpał wąsy. Pewnego dnia wujek nie pojawił się, a my zrozumieliśmy, że honor zwyciężył.

Dni mijały na coraz niecierpliwszym wyczekiwaniu, aż mi się polepszy. Dziadek znalazł furmankę i parę koni. Przyłączyło się do nas kilkoro sąsiadów, którzy też nie mogli doczekać się wyjazdu z Warszawy. Pod ogólnym naciskiem mama ustąpiła. Odziała mnie w niezliczone warstwy ubrań i zajęłyśmy miejsca na wozie. Dziadek wdrapał się na kozioł, trzasnął z bata i wóz ruszył, podskakując na kocich łbach.

Ku wielkiej irytacji pasażerów, którzy najwyraźniej woleli nie zwracać na siebie uwagi, wyciągnęłam szyję spod otulających mnie szali i zaczęłam się kręcić jak kurek na dachu. Niemcy podobno wyłapywali młodych ludzi, a w naszym wozie było ich kilku. Kiedy spadły pierwsze krople deszczu, wszyscy odetchnęli z ulgą, sięgnęli do tobołków i po chwili nasz odkryty wóz zniknął pod parasolami. Niezrażona tym, jeszcze bardziej wyciągałam szyję. Nie mogłam nie spojrzeć ostatni raz na Warszawę. Po tygodniach przymusowego więzienia chciałam zobaczyć i zapamiętać każdy dom, każde rumowisko, a przede wszystkim każdego niemieckiego żołnierza. Przecież wojna może się jutro skończyć i mogę ich już nigdy więcej nie zobaczyć! Kiedy zostawiliśmy za sobą ostatnie kocie łby, a dogasające ruiny zaczęły niknąć nam z oczu, mama wychyliła się spod parasolki. „Przeklęte miasto, obym już nigdy nie musiała cię oglądać” – powiedziała.

Furmanka sunęła powoli w długim szeregu pojazdów. Od czasu do czasu musieliśmy zjeżdżać na bok, by ustąpić drogi zmotoryzowanym kolumnom, które mijały nas z łoskotem, kierując się na Warszawę. Obserwowałam w zamyśleniu niekończący się strumień – szarzielony, najeżony stalą, płynący w stronę miasta, które właśnie opuściliśmy – i czułam ulgę na myśl o domu.

Tego wieczoru, zanim jeszcze dotarliśmy do pierwszego noclegu, zaczęłam źle słyszeć i widzieć, głowa zaś ciążyła mi jak kamień. Jak przez mgłę docierały do mnie odgłosy dyskusji, która toczyła się gdzieś wysoko nade mną. Leżałam na dnie furmanki między dwoma rzędami wielkich stóp. Głosy nade mną nasilały się i słabły. Z obu stron wpatrywały się we mnie obce twarze.

Zatrzymano nas na rynku w Błoniu, pośrodku zielonej rzeki mundurów, opływającej nas z obu stron i sunącej w stronę Warszawy; musieliśmy ich przepuścić. Tymczasem mój stan się pogorszył i zapadła decyzja, że trzeba poszukać lekarza. Z miejsca, gdzie staliśmy, widać było szpital polowy, który zajął budynek szkoły na końcu małej uliczki. Byłam zbyt ciężka, żeby mnie tam donieść na rękach, a wozem nie mogliśmy podejść, bo odgradzała nas kolumna maszerujących żołnierzy. Mama wypatrzyła dorożkę stojącą na skrzyżowaniu i pobiegła w jej stronę. Dorożkarz w mgnieniu oka ocenił sytuację. „To będzie sto złotych” – oświadczył. Mama spojrzała

z niedowierzaniem. Podróż nie zajęłaby więcej niż pięć minut. Sto złotych było równowartością miesięcznych zarobków wykwalifikowanego robotnika. „Konie są zmęczone – dodał dorożkarz. – Nie podoba się, to nie”

Mama popatrzyła na nas bezradnie, a potem nagle pospieszyła na rynek. Przez czerwoną mgłę przesłaniającą mi oczy zobaczyłam, że przystanąła przed żandarmem, który kierował ruchem. Był bardzo wysoki. W żelaznym hełmie i z metalową tarczą zawieszoną na piersi wyglądał jak olbrzym. Pochylił się do niej, wysłuchał uważnie i oboje ruszyli w naszą stronę. Żandarm zatrzymał się przed dorożkarzem i coś wrzasnął. Dorożkarz wzruszył ramionami. Żandarm złapał go za nogi, ściągnął z siedzenia i jednym ciosem posłał na drugą stronę drogi.

W tej samej chwili podjechał na motocyklu młody niemiecki oficer. Widząc tę scenę, zeskoczył na ziemię i podszedł do żandarma. Rozmowa była krótka. Oficer zaproponował mamie, że zawiezie nas do szpitala. Szarmancko pomógł jej wsiąść do dorożki i kiwnął na dziadka, żeby podążył za nią. Potem posadził mnie u mamy na kolanach, sam wskoczył na kozioł, a po kilku minutach pomógł nam wsiąść przed drzwiami szpitala.

Znaleźliśmy się w samym środku kompletnego chaosu. Lekarze i pielęgniarki wbiegali i wybiegali z pokoi, drzwi trzaskały, podniesione głosy wykrzykiwały niezrozumiałe rozkazy. Trafiliśmy do wielkiej sali, w której stały trzy zachlapane krwią, drewniane stoły i kubły pełne zakrwawionych opatrunków. Od zapachu eteru zakręciło się nam w głowach. Wyszliśmy na korytarz i tam wreszcie zwrócił na nas uwagę młody lekarz. Metodycznie zmieniał mundur na cywilne ubranie, znalazł jednak parę chwil na szybkie oględziny. Zbadał mnie w kącie na klatce schodowej. Wyjaśnił, że szpital ma być ewakuowany i cały personel medyczny stara się wymknąć Niemcom i zniknąć jak najszybciej. Siłując się z butami, poinformował mamę, że jeśli chce mnie jutro oglądać wśród żywych, musi jak najszybciej położyć mnie do łóżka na przynajmniej dwa tygodnie. Jednocześnie sypał jej w ręce różnokolorowe pigułki, dołączając do tego litanię instrukcji: „Te brać trzy razy dziennie, te co godzina, te wieczorem. Nic więcej nie mogę zrobić, muszę zwiewać, zanim mnie złapią.” I zniknął w dole schodów, powiewając parą cywilnych spodni.

Znów znaleźliśmy się na dworze, gdzie w dorożce czekał cierpliwie młody Niemiec. Zapytał o diagnozę i widząc twarz mamy, współczująco pokręcił głową. „Co za pech utknąć w takiej dziurze” – skomentował, pomagając nam wsiąść do dorożki. Odwiózł nas na rynek, wskoczył na motocykl i odjechał, przyjaźnie machając ręką.

Siedząc na walizkach, patrzyliśmy z żalem, jak „nasza” furmanka powożona przez innego pasażera oddala się, zostawiając nas samych. Żołnierze maszerowali do Warszawy ze śpiewem na ustach. Zbliżała się noc. Mama siedząc na walizce i tuląc

mnie do siebie, dzielnie walczyła ze łzami. Babcia, zawiedziona i zmęczona, głośno złorzeczyła naszemu losowi, dziadek jak zwykle ruszył do działania.

W małej bocznej ulicy znalazł szynk, a w nim żydowskiego karczmarza, który poruszony naszą niedolą pozwolił nam zamieszkać u siebie. Położono mnie w wielkim małżeńskim łóżu pachnącym obcymi ciałami, gdzie natychmiast zasnęłam.

Kiedy znowu otworzyłam oczy, ujrzałam zadziwiającą scenę. Znajdowałam się w nieznanym pokoju oświetlonym wyłącznie świecami ustawionymi na dużym stole. W ich migotliwym blasku rysowały się ciemne postacie mężczyzn, którzy kiwając się we wszystkie strony, śpiewali i zawodzili. Ubrani byli w długie, czarne chałaty, mieli bujne brody i pejsy, a na głowach jarmułki. Ich blade twarze i dłonie rozplływały się tajemniczo w otaczającym półmroku, jakby były bezcielesne. Za nimi przesuwwały się postacie kobiet w długich ciemnych sukniach. Kiedy zbliżały się do stołu, ich oczy rozjarzały się światłem świec, a na białym obrusie pojawiały się dymiące półmiski.

Mama, która siedziała przy mnie na łóżku, schwyciła mnie za rękę i szeptem nakazała milczenie. Ale twarze – zaskoczone i surowe – już obróciły się ku nam. Dla tej pobożnej, ortodoksyjnej rodziny nie do pomyślenia było, żeby żydowskie dziecko nie znało obrządku szabasu. Resztę wieczoru przesiedziałam wtulona w mamę, obserwując, jak krąg dookoła stołu kołysze się, łka, śpiewa i modli w obcej mowie, w której wyraźnie wyczuwałam nuty strachu i rezygnacji. Na koniec tego niezwykłego wieczoru wszyscy obecni wciąż modląc się i śpiewając, podeszli do wielkiej, dwudrzwiowej szafy i jeden po drugim zniknęli w jej głębi.

Następnego rana wmaszerowali przez te same drzwi i podeszli do łóżka, żeby się ze mną przywitać. Wyglądali teraz jak zwyczajna ortodoksyjna rodzina. Jarmułki i chałaty straciły swoją tajemniczość, brodate twarze uśmiechały się przyjaźnie. Kobiety w perukach i długich ciemnych sukniach zbliżały się nieśmiało, zawsze z pełnym talerzem w ręku, gotowe karmić mnie o każdej porze.

Spędziliśmy u nich tydzień, oczarowani ich życzliwością i gościnnością. Frontowy pokój, w którym nas umieszczono, był kamuflażem. Cała rodzina mieszkała w drugim pokoju, którego wejście zostało zamaskowane szafą. Od wkroczenia Niemców nasi gospodarze żyli w ciągłym strachu przed aresztowaniem albo innymi nieszczęściami i żywili naiwną nadzieję, że szafa ich przed nimi ochroni.

Ciepłe łóżko i nieustanne dokarmianie sprawiły, że szybko wracałam do zdrowia i można było pomyśleć o powrocie do domu. Lekarstwa, tak hojnie wsypane w mamine dłonie, już pierwszego wieczoru poszły do śmieci. Mama nie zapamiętawszy dobrze udzielanych w pośpiechu wskazówek, obawiała się, że mnie otruje, jeśli poda mi je w niewłaściwej kolejności.

Tym razem, dzięki mojej chorobie, dostaliśmy przepustki na podróż pociągiem



i wyruszyliśmy do domu żegnani rozlicznymi błogosławieństwami rodziny karczmarza, która odmówiła przyjęcia jakiegokolwiek zapłaty za gościnę.

Tak oto po dwóch miesiącach nieobecności byliśmy znów w domu. Stanisław uniósł mnie na piętro, tak jak to robił dawniej, kiedy byłam jeszcze mała, a jego długie wąsy jak zawsze łaskotały mnie po twarzy. Dom pozostał nietknięty. Jedynie frontowe okna miały w szybach kilka małych dziurek po kulach; zatkaliśmy je watą. Kilku rzeczy brakowało, głównie drobnych ozdób, porcelany, poduszek z sofy i moich zabawek. Zniknęło też kilka sukien mamy. „Jestem pewna, że to robota Stefy” – oświadczyła mama.

Zawrzałam oburzeniem. „Moja” Stefa miałaby ukraść mi lalki i te wszystkie śliczne rzeczy? Stefa, kiedy się pojawiła, wybuchnęła płaczem i nie odpowiadała na żadne pytania. Wyglądało na to, że nasz powrót – całych i zdrowych – napełnił ją niewypowiedzianym szczęściem. Była gotowa natychmiast wrócić na służbę, a ponieważ musiałam jeszcze leżeć w łóżku, mama przystała na to. Jednak atmosfera między obiema kobietami była bardzo napięta. Mama, z natury porywca, wybuchała gniewem, kiedy Stefa wygłaszała dziwne opinie w rodzaju: „Teraz wszyscy jesteśmy Niemcami i musimy pracować dla Rzeszy”. Wierzyła we wszystko, co gazety wypisywały o Niemczech i po kilku tygodniach zgłosiła się na ochotnika na wyjazd do pracy w niemieckiej fabryce. „Człowiek w biurze powiedział, że bardzo dobrze płacą. Tu nigdy bym tyle nie zarobiła.”

Mama była oburzona. Przez wiele dni próbowała przekonać Stefę, żeby zmieniła zdanie. Niestety, Stefa nie mogła pojąć, co to jest „propaganda”.

Po miesiącu rekonwalescencji czułam się już na tyle dobrze, że mogłam zacząć regularne lekcje z prywatnym nauczycielem. Szkoły były zamknięte. Mieszkaliśmy w tej części Polski, która została włączona do Rzeszy, i nie wydawało się możliwe, by Żydom zezwolono na pozostanie.

Od ojca nie było żadnych wiadomości. Dochodziły słuchy, że w dniach exodusu drogi z Warszawy były silnie bombardowane, że było wiele ofiar. Nikt nie wiedział, co się stało z ojcem, lecz z niegasnącą nadzieją czekaliśmy na list z dobrymi wiadomościami.

Tego roku mróz i śnieg przyszły wcześniej. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, ale wciąż liczyliśmy na to, że zimę spędzimy we własnym domu. Pewnego dnia zjawił się niezapowiedziany gość – nasz felczer, pan Junge. Chciał się dowiedzieć, czy miałyśmy jakieś wiadomości od ojca. Pan Junge, który wyręczał doktora w prostych zabiegach i pod jego nadzorem dbał o zdrowie całej naszej rodziny, od lat pozostawał w bliskich stosunkach z nami. Zjawił się uprzejmy i szarmancki jak zwykle.

Mama, czując ulgę na widok życzliwej twarzy, poprosiła Stefę, by podała herbatę. Grzejąc ręce o szklankę, pan Junge przedstawił zdumiewającą propozycję. Dom, w którym mieszkaliśmy, należał do mamy. (Był to prezent ślubny, który dostała od swoich rodziców, kiedy mimo jednomyślnego sprzeciwu całej rodziny poślubiła ojca). Teraz jednak czasy się zmieniły i mama jako Żydówka nie mogła pozostać właścicielką. Pan Junge miał taką minę, jakby mu było naprawdę przykro informować nas o tych nowych okolicznościach. Za to on, Junge, był w tej dobrej sytuacji, że mógł nabyć naszą posesję. Był bowiem Niemcem. Mama wyraziła zaskoczenie, na co pan Junge zamachał jakimś dokumentem.

Tak jest, oznajmił, miał zaszczyt wrócić do narodowości swoich przodków. Jest czystej krwi Niemcem, choć niestety do 1939 roku jego rodzina była zmuszona ukrywać swoje pochodzenie.

W tym momencie przypomniała mi się pewna przedwojenna rozmowa. Tak, bez wątpienia był to ten sam człowiek, który w trzydziestym siódmym roku wygrał proces o zniesławienie z kimś, kto śmiał go posądzić o proniemieckie sympatie! Teraz w głosie pana Jungego pojawiły się twarde tony. Zniknęły gdzieś zawodowa łagodność i nieśmiały uśmiech. Mówił po polsku, ale gdy władczym tonem zażądał, aby mama niezwłocznie przepisała na niego dom, w jego głosie brzmiał teraz wyraźny niemiecki akcent. Suma, którą zaoferował, musiała być śmiesznie niska, ponieważ mama mimo zaskoczenia roześmiała się. Pan Junge zerwał się z krzesła, szklanka po herbacie roztrzaskała się o podłogę. Wyciągnął kolejny dokument i tak gwałtownie podsunął mamie pióro, iż przez moment myślałam, że ją uderzy.

– Jest pan śmiesznym, niedorzecznym człowiekiem – powiedziała mama. – Myśli pan, że skoro nie ma mojego męża, może pan wykorzystać sytuację, ale się pan myli. Nigdy nie sprzedam panu tego domu, nawet za uczciwą cenę. Dziwię się, że wyznając takie hitlerowskie zasady, nie brzydzi się pan żydowską własnością.

Twarz pana Jungego spurpurowiała.

– Pani Dawidowicz, ostatni raz nakazuję pani podpisać ten papier.

Jego głos wzniósł się na tak wysokie rejestry, że aż załamał się na ostatnim słowie. Mama nie odpowiedziała.

– Pożałujesz, gorzko tego pożałujesz, obiecuję! – wrzasnął znieczeka. W odpowiedzi mama podniosła się z krzesła i zrobiła krok w jego stronę.

– Precz z mojego domu – powiedziała cicho. Była o dobrą głowę niższa od niego, ale głos miała tak stanowczy, że pan Junge wycofał się tyłem aż na schody, a kiedy drzwi się zamykały, machinalnie uniósł rękę i dotknął róna kapelusza. Dopiero po chwili zza drzwi dobiegły nas głośne przekleństwa i dudnienie jego kroków na schodach.

Dziadek był przerażony, kiedy o tym usłyszał.

– Obawiam się, dziecko, że wciąż nie rozumiesz sytuacji. Ten człowiek jest panem naszego życia i śmierci, a ty doprowadziłaś go do furii.

Mama próbowała się bronić, ale widziałam, że łzy napłynęły jej do oczu.

– Wojna nie wojna, przecież nie mogę pozwolić, by ten zdrajca groził mi w moim własnym domu.

Dziadek westchnął.

– Myślę, że będzie rozsądniej, jeśli znajdziemy sobie inny dom i po cichu przeniesiemy się tam na pewien czas. Może do wiosny. Może do tej pory, z Bożą pomocą, wojna się skończy.

Wkrótce potem zaczęły się rekwizycje. Żydów wypędzano z domów, ich mieszkania plombowano – były przeznaczone dla osiedlających się w Kaliszu Niemców. Początkowo dawnych lokatorów puszczano wolno, ale już po pierwszym tygodniu zaczęły się masowe aresztowania i deportacje.

Poszłam z mamą w odwiedzinach do ciotecznej babki, która dostała nakaz opuszczenia domu. Zastałyśmy ją siedzącą z mężem w ogromnej, mrocznej jadalni. Postanowili, że zostają. Mama próbowała wszelkimi sposobami skłonić ich do zmiany decyzji, ale na próżno.

– Przyszłam tu czterdzieści pięć lat temu jako panna młoda – powiedziała babka. – Tu urodziły się wszystkie moje dzieci, dwoje zmarło w sąsiednim pokoju. W tych ścianach, w tych starych meblach mieści się całe moje życie. Dzieci rozjechały się po kraju. Nie potrzebują nas, a my nie chcemy być dla nikogo ciężarem. Dokąd twoim zdaniem mamy pójść? Nawet nie będę wiedziała, jak w obcej kuchni ugotować obiad dla mojego Moritza.

Cioteczny dziadek siedział na krześle z wysokim oparciem i z uśmiechem potakiwał głową. Zgadzał się z żoną, nigdzie się nie wyprowadzają.

– Wczoraj przyszli młodzi oficerowie. Byli niegrzeczni – ciągnęła babka – bardzo krzyczeli. Może myśleli, że jesteśmy głusi? Nawet Niemcy powinni mieć szacunek dla naszego wieku. Byli tacy młodzi...

Pod dom podjechał samochód. Babka pospieszyła do okna.

– Już są, lepiej idźcie stąd, szybko.

Mama po raz ostatni próbowała przekonać ich, żeby poszli z nami, ale nie chcieli słuchać. Kiedy popychali nas w kierunku kuchennych schodów, frontowe drzwi zatrzęsły się pod pięściami przybyszów. Gdy zatrzymałyśmy się na półpiętrze, żeby zapiąć płaszcze, z cichego mieszkania dobiegły dwa suche trzaski. Mama schwyciła mnie pod ramię i w milczeniu, unikając swoich spojrzeń, pospieszyłyśmy do domu.

Następnego dnia kilku oficerów złożyło wizytę dziadkom.

– *Das ist ein Paradies* [To istny raj] – powiedział starszawy dowódca grupy, kiedy wędrowali z pokoju do pokoju, oglądając książki, obrazy, dotykając mebli, poklepując poduszki. – Wszystko ma zostać tak jak jest – zarządzili. – Zapłacicie życiem, jeśli jutro czegoś będzie brakowało. Do wieczora macie się wynieść.

Babcia zaprotestowała. Odepchnęli ją na bok i wyszli. Tego samego dnia dziadkowie wyprowadzili się do młyna.

Nazajutrz ulicę zastawiono barierkami, a pod dom podjechały wielkie furgony na meble.

Ci sami oficerowie nadzorowali załadunek, pokrzykując na tragarzy, żeby byli ostrożni. Stałyśmy w tłumie, który zgromadził się przy barierce, i patrzyłyśmy z niedowierzaniem, jak dobrze znane przedmioty znikają we wnętrzach furgonów. Wszystko to wyglądało nierealnie. Lada chwila coś się stanie i wrócimy do rzeczywistości. Zjawi się policja, która przywróci porządek, albo wojna nagle się skończy i Niemcy po prostu znikną.

Nic takiego się jednak nie stało. Kiedy było już po wszystkim i ciężarówki z naszymi meblami odjechały do podmiejskiej willi szykowanej dla jakiegoś niemieckiego dygnitarza, po raz ostatni weszłyśmy na górę. Puste pokoje wydawały się dziwnie duże, nasze kroki dudniły po gołych parkietach. Przez ogołoczone z zasłon okna wlewały się do środka potoki światła. Wszłam do pustej biblioteki, gdzie wuj przytapał mnie kiedyś na czytaniu nieocenzurowanego wydania *Quo Vadis*. Po co Niemcom te wszystkie polskie książki, sygnowane inicjałami dziadka wytłoczonymi na zielonych oprawkach? – pomyślałam.

W pokoju wuja, pośrodku podłogi, stała lampka na biurko. Nie pasowała do mebli, więc zostawiono ją, wciąż jeszcze podłączoną do prądu, z główką smutno zwisającą z metalowej łodyżki. Popchnęłam ją w kąt, gdzie wyglądała mniej samotnie, i poszłam do kuchni. Wyposażenie, w większości wbudowane w ściany, zostało na miejscu. Na pustej półce stała mała kacuszka z żółtej porcelany – jeden ze skarbów Zosi, będący od lat przedmiotem mojego pożądania. Przy specjalnych okazjach pozwalano mi się nią pobawić. Kiedyś rozśmieszyłam Zosię, pytając, skąd ją ma. „Przecież to ty mi ją dałaś” – odparła. Po czym opowiedziała, jak pewnego dnia, kiedy miałam dwa lata, przyszłam do niej do kuchni, żeby jej pokazać nową zabawkę, a ona chcąc mi sprawić przyjemność, zaczęła ją entuzjastycznie wychwalać. Natychmiast wręczyłam jej kacuszkę i tak się upierałam, grożąc płaczem, że musiała ją przyjąć. Z biegiem czasu zapomniałam o podarunku i zazdrościłam jej tej kacuszki bardziej niż innych ślicznych bibelotów, które posiadała.

Z opowiadań mamy wiedziałam, że kiedy byłam mała, miałam zwyczaj rozdawania swoich rzeczy każdemu, kto się nimi zachwycał. W ten sposób pozbyłam się wielu

zabawek i złotego łańcuszka z medalionem, który ktoś pochwalił, korzystając z nieuwagi niani. Z czasem wyperswadowano mi ten nawyk, ale zawsze czułam się zażenowana, kiedy ktoś z entuzjazmem wychwalał coś, co do mnie należało. Uważałam, że nie wypada, bym zatrzymywała dla siebie rzecz tak bardzo pożądaną przez inną osobę, i czułam się bardzo niezręcznie, szczególnie jeśli też ją ceniłam i nie chciałam się z nią rozstawać.

Wsunęłam kaczuszkę do kieszeni i w milczeniu wyszliśmy z domu. Tylko babcia cichutko popłakiwała.

Następnego dnia obudził nas łomot do drzwi. Mama pospieszyła otworzyć. Na progu stał młody oficer. Otworzył usta i wydał jakby szczek. Mama zamknęła drzwi, a ja spojrzałam na nią ze zdumieniem:

– Czy on coś powiedział?

– Za dziesięć minut mamy być na dole – szepnęła.

Ubrałyśmy się w pośpiechu. Mama zebrała parę ubrań, odłożyła je, schwyciła neseser i torbę podróżną, po czym też je rzuciła. W końcu zeszyliśmy na dół z pustymi rękami. Reszta lokatorów już tam była.

Kazano nam iść parami jezdnią wzdłuż rynsztoka, żandarmi zaś eskortowali nas z chodnika. Byłyśmy już na głównej ulicy, gdy dostrzegłam Stefę. Zbliżyła się do nas za plecami żandarma i wzięła mnie za rękę. Powoli zaczęła ciągnąć mnie do siebie, na chodnik. Mama lekko skinęła głową. Stałam już jedną nogą na chodniku, kiedy żandarm odwrócił się. Nie zrozumiał, co się dzieje, myślał, że Stefa próbuje uciec, i pchnął ją między nas.

Wybuchnęła płaczem, próbowała wyjaśnić, że nie jest z nami, ale żandarm nie chciał słuchać.

Zaprowadzono nas na rozległe podwórze na tyłach głównej ulicy. Na miejscu był już tłum ludzi, których tego dnia wypędzono z domów. Wejście na podwórze było obstawione przez żandarmów. Po przeciwległej stronie podwórze odgradzała rzeka, boków strzegły tyły sąsiednich domów. Rozejrzałyśmy się dookoła i odkryłyśmy, że jeden z domów ma niewielkie drzwi prowadzące na drugą ulicę. Jeśli Niemcy o nich nie wiedzieli, mogły być niestrzeżone.

Mama kazała mi iść ze Stefą. Ostrożnie zbliżyłyśmy się do drzwi. Żandarmi byli odwróceny plecami. Stefa poruszyła klamką, drzwi ustąpiły. Wśliznęłyśmy się do ciemnej sieni, otworzyłyśmy kolejne drzwi i znalazłyśmy się na cichej, bocznej ulicy. Byłyśmy wolne.

Stefa zabrała mnie do siebie. To była moja pierwsza wizyta w jej domu. Przeżyłam szok, kiedy zobaczyłam, jak mieszka. Budynek był rodzajem baraku. Miał centralny korytarz, z którego wchodziło się do małych pokoi. W każdym mieszkała jedna

rodzina. Nie było łazienki ani kuchni. Wygódka znajdowała się na podwórzu, tak samo jak wspólny śmietnik, który zaczynał się tuż przy drzwiach wejściowych i ciągnął pod kilkoma oknami. W pokoju Stefy stały dwa zapadające się łóżka – jedno jej, drugie jej ojca – szafa, stół, dwa krzesła i mały żelazny piecyk, na którym Stefa gotowała.

Kiedy pierwszy szok minął, rozejrzałam się dookoła z zaciekawieniem i nagle aż serce mi stanęło – rozpoznałam ozdobne poduszki, malowany wazon, popielniczkę. Byłam pewna, że moje zabawki też tu trafiły i że w szafie znalazłabym suknie mamy.

Zdruzgotana usiadałam na łóżku. Okazało się, że mama miała rację. Tak ślepo wierzyłam Stefie i tak bardzo się na niej zawiodłam. A więc to prawda, że już nikomu nie można zaufać. Popatrzyłam na Stefę, która szykowała się do ponownego wyjścia, tym razem żeby ratować mamę.

– Czy to ty zabrałaś moje zabawki? – zapytałam.

– Tak – powiedziała spokojnie – ty już nie będziesz ich potrzebowała.

Nie odważyłam się zapytać dlaczego.

– Co z nimi zrobiłaś?

– Dałam mojej siostrzenicy.

Mimo woli uśmiechnęłam się. Co roku przed moimi urodzinami Stefa zabierała mnie do sklepu z zabawkami, aby kupić prezent dla swojej siostrzenicy, która też wtedy obchodziła urodziny. Prosiła mnie, żebym wybrała coś, co podobałoby się dziewczynce mniej więcej w moim wieku. Z początku jej wierzyłam, ale kiedy raz i drugi otrzymałam prezent, który sama wybrałam, zrozumiałam, że to wybieg i odtąd proponowałam to, co sama chciałam dostać. Aż nadszedł czas, kiedy siostrzenica odebrała swoje prezenty.

Stefa i mama wróciły dopiero po południu. Było im trudniej, gdyż w międzyczasie wielu zatrzymanych ulotniło się przez wiadome drzwi i Niemcy stali się podejrzliwi. Mama zmieniła się na twarzy, kiedy weszła do pokoju i rozpoznała nasze rzeczy, ale nie powiedziała ani słowa. Nie chciała zostać, oświadczyła, że przenosimy się do młyna, najpierw jednak musimy wrócić do domu, żeby się spakować.

Stefa zaprotestowała. Dom był opieczętowany. Nie miałyśmy prawa niczego stamtąd zabierać. To już była własność niemiecka. Mama spiorunowała ją wzrokiem: „Wszystko w tym domu należy do mnie i żadne niemieckie pieczęcie tego nie zmienia. Idę się pakować. Jeśli się boisz, możesz tu zostać. Jasię zabieram ze sobą!” Nogi się pode mną ugięły.

Stefa przytuliła mnie na pożegnanie. Poczułam z przerażającą pewnością, że już nigdy jej nie zobaczę, ale jak zwykle emocje tylko ścisnęły mnie za gardło. Nie umiałam znaleźć słów, by wyrazić to, co czuję. Skończyło się na uprzejmym „do widzenia Stefo” i wyszłam, trzymając mamę za rękę.

Zanim weszliśmy do domu, musiałyśmy pokonać opór Stanisława, który początkowo nie chciał nas wpuścić nawet na schody. Dopiero gdy mama postraszyła go srogimi konsekwencjami, jakie poniesie po powrocie ojca, dał się przekonać i nawet zaofiarował swoją pomoc. Obiecał też, że weźmie na przechowanie kilka walizek, których nie zdołamy zabrać.

Główne wejście było opieczętowane, weszliśmy więc od podwórka. Stanisław z pomocą jednego z synów uniósł nieco frontowe drzwi do naszego mieszkania, zdjął je zawiasów i oparł o ścianę – pieczęcie pozostały nienaruszone. Zebraliśmy ubrania, pościel, przybory toaletowe i jakieś drobiazgi, ułożyliśmy wszystko w stertach na środku pokoju i powiązaliśmy w prześcieradła. Mama żałowała, że nie może zabrać firanek, ale bałyśmy się pokazać w oknie. Stanisław, drżąc ze strachu, błagał mamę, żeby się pospieszyła, bo Niemcy mogli wrócić w każdej chwili. Mama z posępną miną szła spokojnie od szafy do szafy, metodycznie przeglądając ich zawartość.

W końcu zawiązałyśmy tobołki. Dorożka zajęchała pod tylne wyjście. Pakowałyśmy do niej, co się dało, podczas gdy Stanisław gorączkowo zawieszał z powrotem drzwi na zawiasach. W ostatniej chwili wróciłam biegiem do mieszkania, żeby raz jeszcze rzucić okiem na miejsce, które całe życie było moim domem. Obeszłam dookoła dziecinny pokój, przesuwając rękami po ścianach, meblach, parapecie i kaflowym piecu koloru czerwonego wina. Przytuliłam twarz do drzwi, ucałowałam klamkę, na której się huśtałam, kiedy byłam mała. W zabłoconych butach weszłam na łóżko pokryte satynową kołdrą, by zdjąć ze ściany dwa pucułowate aniołki, przypięte do kilimu. Uśmiechały się do mnie od wielu lat z kopii włoskiego obrazu – z pewnością kościelnego – kiedy wpatrzona w nie odmawiałam hebrajskie modlitwy. Nikt w rodzinie nie widział w tym nic niestosownego. Były przecież dziełem sztuki. Ostrożnie wsunęłam je pod sweter i unikając spojrzenia Stanisława, wybiegłam z mieszkania i wskoczyłam do dorożki.

Jechaliśmy powoli po zamarzniętym śniegu. Konie ślizgały się, woźnica kłął. Mieliśmy przed sobą długą drogę. Mama trzymała w obu rękach ronderek z mlekiem, który w ostatniej chwili porwała z kuchni, a ponieważ droga była wyboista, wkrótce obie byłyśmy ochlapane mlekiem. Zostawiliśmy już za sobą zaułki i kłusowaliśmy główną ulicą, gdy dorożkę minął otwarty samochód gestapo. Kierowca krzyknął na woźnicę, żeby się zatrzymał, ale ten tylko smagnął konia batem i skręcił w boczną ulicę.

Trzęsłyśmy się i podskakiwałyśmy na tylnym siedzeniu, nie mogąc zrozumieć, co się dzieje. Stałam, żeby popatrzeć do tyłu i zobaczyłam, jak samochód cofa się i zawraca. Teraz jechał za nami na pełnym gazie. Kierowca wychylił się z samochodu, wymachując małym, czarnym przedmiotem. W ostatniej chwili zanurkowałam pod

siedzenie, chroniąc się przed gradem kul, które posiekały nadwozie i podarły tapicerkę. Mama zeskoczyła z siedzenia i wczepiła się w plecy dorożkarza, błagając go, by się zatrzymał. W odpowiedzi jeszcze mocniej zaciął konia i popędziliśmy szybciej.

Po kilku minutach samochód zrównał się z nami i zajechał nam drogę. Oficer, który wyskoczył z samochodu, wciąż jeszcze wymachując pistoletem, był purpurowy z wściekłości. Rzucił się na woźnicę, wyrwał mu bat z ręki i tak długo okładał go po głowie, póki biczysko nie pękło. Przy każdym uderzeniu woźnica głębiej wciskał głowę w ramiona, jęcząc jak zwierzę, a na nasze toboły bryzgała krew.

Następnie Niemiec odwrócił się do nas. Chciał wiedzieć, co mamy w tobołach. Mama odwiązała jedno z prześcieradeł i zaczęła wyjaśniać, że się wyprowadzamy. To go nie interesowało, obchodził go wyłącznie nasz dobytek. Kazał nam natychmiast jechać do kwatery gestapo i zdać toboły. Do Kalisza zjeżdżali niemieccy osadnicy, nasze rzeczy będą im potrzebne, żeby się wygodnie urządzić.

Niemiec wskoczył do samochodu i wrzasnął na woźnicę, żeby ruszał. Dorożka powoli zawróciła i potoczyła się w stronę miasta. Woźnica jechał w milczeniu, wciąż wciskając głowę w skulone ramiona i ocierając krew ściekającą mu do oczu. Niemiecki samochód jechał powoli za nami.

Mama załamywała ręce w rozpacz.

– Na gestapo dowiedzą się, kim jesteśmy. Wiedzą, że dziś rano byliśmy aresztowane, a tu proszę, jesteśmy z tymi wszystkimi rzeczami, które miałyśmy zostawić w domu. Tym razem koniec z nami.

Powoli zbliżaliśmy się z powrotem do głównej ulicy. I nagle stało się to, na co obie w duchu liczyłyśmy. Znudzony powolną jazdą Niemiec przyspieszył, wyprzedził dorożkę i ruszył pierwszy, krzycząc do dorożkarza, żeby jechał za nim. Sunął dość szybko. Jeśli zwolnimy, może zgubimy się w labiryncie uliczek, przez które jeszcze wciąż jechałyśmy.

Mama raz jeszcze wstała z siedzenia, błagając woźnicę, by skręcił na pierwszym skrzyżowaniu, ale on tylko strzelił lejcami i dorożka potoczyła się szybciej. Zaczęłyśmy tracić nadzieję, że nam pomoże. Mama spróbowała raz jeszcze, prosząc go, żeby na chwilę się zatrzymał i pozwolił nam wysiąść, ale on, głuchy na jej prośby, tylko popędzał konia.

Główna ulica była tuż-tuż. Za chwilę będzie za późno. Mama odwróciła się do mnie:

– Ja wyskoczę, a ty, bez względu na wszystko, skoczysz za mną. Rozumiesz?

Kilku przechodniów, widząc mamę stojącą na stopniu, ruszyło za dorożką. Wyciągnęły się ku niej ręce. Widziałam, jak skacze i ląduje bezpiecznie, nie tracąc równowagi. Teraz moja kolej. Stałam na stopniu, spojrzałam na oddalającą się twarz mamy i z całej siły przywarłam do klamki. Zmarznięta ziemia uciekała pode mną



w zawrotnym tempie. To niemożliwe! Nie dam rady! Rozłożyłam ręce i rzuciłam się w przestrzeń. Pochwyciły mnie czyjeś ramiona, razem potoczyliśmy się na pryzmę twardego śniegu. Zerwałam się na równe nogi i bez słowa pobiegłam w kierunku mamy. Popędziłyśmy w boczną uliczkę, potem w następną i następną, licząc na to, że zgubimy się w labiryncie wiejskich zaułków i ogrodów. Wreszcie przystanęłyśmy, nie mogąc złapać tchu, i popatrzyłyśmy za siebie. Nikt nas nie gonił. Dorożka pojechała do miasta. Byłyśmy same.

Niezdolna wydusić głosu, pokazałam na rękę mamy. Wciąż jeszcze trzymała ronderek, teraz już pusty. Z westchnieniem odrzuciła go na kupę śmieci i bez słowa, objęte mocno splecionymi ramionami, ruszyłyśmy do młyna.

Po pożarze sprzed dwóch lat młyn został odbudowany i powiększony. Zamontowano nowe maszyny i wszystko było już gotowe do pracy, kiedy wybuchła wojna. Na terenie posesji stał mały domek zwany kantorkiem, gdzie na parterze w dzień pracowali urzędnicy, a w nocy siedział stróż. Na piętrze mieszkał zarządca Mikołaj ze swoją niemiecką żoną i synem. Mikołaj był Ukraińcem. Po wojnie 1920 roku trafił do obozu jenieckiego. Dziadek go stamtąd wydostał i od tamtej pory Mikołaj pracował u niego i był mu niezwykle oddany.

Teraz w kantorku zamieszkała też nasza czwórka – dziadkowie, mama i ja. Mikołaj nakazał żonie, by ulokowała nas w dużym pokoju na strychu. Zrobiła to z wyraźną niechęcią. Miejsce roіło się od Niemców pracujących przy wysyłce urzędzeń młyńskich do Rzeszy; byli zachwyceni, że znaleźli prawdziwą *Hausfrau* i z lubością przesiadywali w jej kuchni.

Heinz, jedyny syn Mikołaja, też był Niemcem; wstąpił do Hitlerjugend i dumnie paradował w mundurze. Wobec nas zachowywał się wrogo i bynajmniej nie krył, że nie zamierza zbyt długo słuchać rozkazów ojca.

Wszystko to mało mnie obchodziło. Czułam się tu jak w domu. Całe moje życie bawiłam się na tym podwórzu, w przyległym ogrodzie i w sadzie. Stała tam, wkopana głęboko w ziemię, cieplarnia – królestwo dziadka i Mikołaja, dwóch zamiłowanych ogrodników. Rosły w niej egzotyczne kwiaty, palmy, kaktusy, a nawet spora winorośl dająca niezrównanie kwaśne owoce.

Z cieplarnią wiązało się niezbyt przyjemne wspomnienie. Kilka lat wcześniej, kiedy bawiłam się w sadzie z koleżanką i ze Stefą, usłyszałyśmy nagle krzyk z podwórka, że psy biegają luzem. Na posesji trzymano sforę wilczurów tak dzikich, że tylko Mikołaj miał odwagę się do nich zbliżyć, aby spuścić je na noc z łańcuchów. Nawet jego kiedyś zaatakowały, a nocny stróż tak się ich bał, że w ogóle nie wychodził na dwór, kiedy biegały luzem. Tego dnia psy wpadły do sadu, a my widząc, że lecą

w naszą stronę, zaczęłyśmy w panice wspinać się na niski, szklany dach cieplarni. Wdrapałyśmy się do połowy i przywarłyśmy do szyb. Psy, wyjąc jak stado wilków, próbowały dosięgnąć naszych stóp, szyby trzeszczały. Jeszcze chwila, a ześlizgniemy się, albo runiemy razem z dachem w dół na kaktusy. Mikołaj dopadł do nas w ostatniej chwili, odciągnął jakoś psy i odprowadził je na wybieg. Bałam się, co dziadek powie na widok popękanego dachu, ale on tylko przytulił mnie mocno i gorąco podziękował Mikołajowi. Kilka tygodni później, w nocy, wilczury objadły się zatrutą kiełbasą podrzuconą przez złodziei i taki był ich koniec. Nigdy nie pojawiły się następne.

Teraz sad stał zaniedbany i smutny, rośliny w cieplarni obumarły, odkąd wyłączono ogrzewanie. Zwykle bawiłyśmy się tam z Basią, która mieszkała w sąsiednim domu. Czasem dołączał do nas Heinz. Miał prawie osiemnaście lat i był wysokim, muskularnym młodzieńcem. Wydawało się, że bardzo mnie lubi, co było tym dziwniejsze, że otwarcie sprzeciwiał się naszej obecności w młynie. Tej zimy nie mogłam się uwolnić od jego towarzystwa. Przychodził do nas do sadu i bawił się z nami w chowanego albo gonił za mną, póki mnie nie złapał. Zagarniał mnie połamami kożucha i przyciskał do siebie tak mocno, aż mi żebra trzeszczały. Broniałam się energicznie. Tylko ojciec miał prawo mnie przytulać. Wzdrygałam się przed czymikolwiek czułościami, a Heinz wywoływał we mnie odrazę i strach. Ale on nie przejmował się tym, wręcz przeciwnie, zachowywał się, jakby moja samotność sprawiała mu przyjemność.

– Zimno ci? – pytał, kiedy chuchałam w zgrabiące palce. Musiałam przyznać, że faktycznie zmarzłam.

– Chodź, to cię ogrzeję – wołał, rozpinając kożuch i łapiąc mnie w niedźwiedzi uścisk. Potem maszerował ze mną, na wpół uduszoną, po podwórku, śmiejąc się z moich wściekłych protestów.

Zapewniałam go, że mi ciepło.

– To chodź i ogrzej mnie, bo skostniałem – mówił i znów mnie chwycił. Co dnia słyszałam jego pogroźki, wiedziałam, że tylko Mikołaj powstrzyma go przed doniesieniem na nas Niemcom. Co będzie, jeśli tak go rozżłoszczę, że przestanie słuchać ojca i nas zadenuncjuje? Ta myśl paraliżowała mnie silniej niż jego uściski.

Mama i babcia spędzały większość czasu na poszukiwaniu odpowiedniego mieszkania na przedmieściach. Prześladowania Żydów nasilały się, ale my wciąż nie straciliśmy nadziei, że zimę uda się spędzić w mieście. W Kaliszu dobrze nas znano i wiadomo było, że nie pozostaniemy tu anonimowi, lecz jeszcze nie mogliśmy uwierzyć, by ktoś mógł nas zadenuncjować.

Jakieś dziesięć dni po sprowadzeniu się do młyna dziadek został aresztowany. Gdy

dotarła do nas wiadomość, że zatrzymali go w ulicznej łapance, mama ruszyła do kwatery gestapo. Uprzedziła mnie, że idzie po dziadka i że pewnie nie będzie jej cały dzień.

– Jeśli ciebie też aresztują, pójdę i dołączę do was – obiecałam. Nie chciałam zostać z babcią, zresztą jeśli naprawdę mieliby mnie deportować, to wolałam być z mamą niż sama.

Całe popołudnie bawiłam się z Basią na śniegu. Podwórce przecinała bocznica kolejowa, która kończyła się pod samym budynkiem młyna. Kiedyś odjeżdżały stąd wagony pełne worków mąki, teraz – maszyny dla Niemców. Czekaliśmy z Basią, aż lokomotywa wjedzie w wąski przesmyk między dwoma budynkami, i ruszaliśmy biegiem wzdłuż torów w kłębach białej pary. Wtedy na kilka zaczarowanych chwil świat zniknął w oparach, które kotłowały się wokół nas, tłumiły nasze okrzyki i przysłaniały świat. „Tak musi wyglądać «bujanie w obłokach» – myślałam. – Gdybym mogła zostać tu trochę dłużej, może pofrunęłabym do góry. Przecież nawet ziemi pod stopami nie widzę. Może jest jakiś sposób, żeby to, czego nie widzimy, zniknęło na dobre?”

Kiedy para się rozwiewała, rozglądałam się rozczarowana i jednocześnie uspokojona, że wszystko zostało jednak na swoim miejscu.

Zjawił się Heinz i bardzo niechętnie zgodziłam się na wspólną zabawę. Na początku zaczął gonić Basię, ale wkrótce zajął się mną. Biegaliśmy dookoła podwórza, ślizgając się po zmarzniętym śniegu. Byłam coraz bardziej zmęczona i dziwiłam się, że jeszcze mnie nie złapał. Nagle zrozumiałam, że próbuje zapędzić mnie w kąt podwórka, między ścianę młyna a płot. Robotnicy odbudowujący młyn po pożarze wykopali tam ogromny dół na wapno, którego nie zasypali, kiedy skończyli budowę. Między stromą krawędzią dołu a ścianą nowego budynku biegła wąska ścieżka prowadząca do małej chaty, gdzie w trakcie budowy sypiał nocny stróż. Teraz chatka stała pusta, a ja miałam surowy zakaz zbliżania się do niej lub do dołu.

Dopiero kiedy znalazłam się na skraju wykopu, zrozumiałam manewr Heinza. Biegłam zbyt szybko, by wyhamować. Jeśli nie chciałam wpaść do dołu, miałam tylko jedną drogę; skręciłam na ścieżkę i pobiegłam dalej. Była wąska, ledwie na szerokość moich stóp. Zdrętwiała z przerażenia dopadłam chaty i pchnęłam drzwi. Właśnie miałam je za sobą zatrzaskać, kiedy z okrzykiem triumfu wpadł do środka Heinz. Zamknął drzwi na klucz i wsunął go do kieszeni. Potem zrzucił kożuch, chwycił mnie za ramiona i pchnął na rozwalające się łóżko.

Wywiązała się między nami walka, w trakcie której czułam, że walczę o życie. A przecież to było absurdalne, żeby chciał mnie zabić. A jeśli tak, to dlaczego mnie po prostu nie zastrzelił? Miał broń – kiedy drapałam i kopałam jak dzikie zwierzę,

miałam przed oczami czarną kaburę. Sapiąc i jęcząc, szarpał na mnie ubranie. Oczy miał nabiegłe krwią, spocona i czerwona twarz była nabrzmiąta i pałała nienawiścią. Udało mi się wyślizgnąć z jego rąk. Zsunęłam się na podłogę i jednym skokiem znalazłam się przy oknie. Malutka, kwadratowa szybka była czarna od brudu i pokryta pajęczynami, ale przywarłam do niej twarzą i krzyknęłam do Basi, żeby zawołała mamę. Mamy oczywiście nie było w domu, ale modliłam się, żeby Basia o tym nie wiedziała. Z podwórka odpowiedziała mi cisza. Basia odeszła, kiedy zobaczyła, że znikamy w chacie. Odwróciłam się do Heinza, który wciąż leżał na łożku, trzęsąc się dziwnie i patrząc na mnie nienawistnym wzrokiem.

– Mama zaraz tu będzie – powiedziałam stanowczym głosem. – Daj mi klucz, żebym mogła ją wpuścić.

Przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność, przetrząsał kieszenie, a potem wyciągnął do mnie rękę z kluczem. Podeszłam ostrożnie, wyrwałam mu klucz i po panicznej walce z zardzewiałym zamkiem wypadłam na dwór. Popędziłam ścieżką, która teraz wydawała mi się tak szeroka, jak parkowa aleja, przecięłam podwórze i po chwili byłam w domu.

Babcia drzemała na kanapie w naszym pokoju na strychu. Rzuciłam się na łożko, wtuliłam twarz w poduszkę i wybuchnęłam płaczem. Leżałam tak do wieczora, wyczerpana i oszołomiona tym, co zaszło. Miałam poczucie, że cudem uniknęłam jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa, ale nie wiedziałam jakiego. Byłam pewna tylko tego, że nigdy więcej nie chcę już widzieć Heinza. Mama z dziadkiem wrócili późnym wieczorem. Powiedziałam, że płakałam ze strachu, że oboje zostaną zaaresztowani. Po cóż miałam im opowiadać o zdarzeniu, które pewnie było jakimś dziwnym żartem? A poza tym mama na pewno by się rozgniewała, gdyby wiedziała, że aż dwukrotnie przebiegłam ścieżką prowadzącą do chaty. Dziadka zwolniono pod warunkiem, że do jutra opuścimy miasto. Spakowaliśmy resztę dobytku i wsiedliśmy w pierwszy pociąg do Warszawy.

Tym razem zdołaliśmy wsiąść do pociągu pasażerskiego, a nawet znaleźć miejsce dla babci w zatłoczonym przedziale. Mama i ja wcisnęliśmy się do drugiego. W nocy dosiadła się do nas grupa niemieckich żołnierzy i mama wyszła do dziadka na korytarz, zostawiając mnie samą w przedziale. Żołnierze rozmawiali, śpiewali i palili papierosy. W przedziale było ciemno, przez kłęby dymu ledwie przebijało światło małej niebieskiej lampki umieszczonej wysoko na suficie. Oparłam głowę o pudło na kapelusze, które mama zostawiła na siedzeniu, i zamknęłam oczy. Światło latarki zaświeciło mi prosto w twarz. Przez zmrużone powieki dostrzegłam trzy młode twarze; żołnierze wpatrywali się we mnie z natężeniem i próbowali odczytać z pudła nasze nazwisko. Zamamrotałam sennie i przesunęłam głowę, zakrywając naklejkę włosami. Rozległ się pomruk niezadowolenia i latarka zgasła.

Kilka minut później mama, która widziała tę scenę z korytarza, weszła do przedziału i zabrała mnie ze sobą. Kiedy wychodziłyśmy, z głębi przedziału padło pytanie, które odtąd miałam słyszeć wiele razy:

– *Sind Sie Jude?* [Czy Pani jest Żydówką?]

Mama nie odpowiedziała.

Resztę podróży spędziłyśmy z dziadkiem na korytarzu, siedząc na walizkach, drzemiąc między stacjami i opierając się nieprzerwanemu potokowi pasażerów, którzy szturmowali pociąg na każdym postoju.

Do Warszawy dotarliśmy o świcie. Dworzec kolejowy wyglądał zdumiewająco: cała hala zasłana była ludźmi śpiącymi na bagażach. Jest godzina policyjna – wyjaśniono nam. Pasażerowie, którzy przyjechali w nocy, nie mogli opuścić dworca aż do rana. A z każdego kolejnego pociągu wylewała się nowa fala, mieszająca się z setkami ludzi, którzy dotarli tam wcześniej.

Dziadek znalazł dla nas jakiś kąt, gdzie rozłożyliśmy nasze walizy na wilgotnym cemencie, czekając, aż wstanie dzień. Kiedy skończyła się godzina policyjna, załadowaliśmy nasz dobytek do dorożki i ruszyliśmy na poszukiwanie jakiegoś lokum. Mieliśmy listę adresów, które sprawdzaliśmy jeden po drugim. Bez powodzenia. Dom na Wareckiej, w którym mieszkaliśmy podczas oblężenia, został już częściowo odbudowany, ale był zajęty przez niemieckich oficerów. Dozorca bał się nawet z nami rozmawiać i pozbył się nas tak szybko, jak mógł. Mieszkańcy dwóch następnych domów wyprowadzili się. W trzecim nie było miejsca. Wszędzie panował tłok i chaos. Opuściliśmy już śródmieście i jechaliśmy po kocich łbach żydowskiej dzielnicy. Naszą ostatnią nadzieją była niezamężna siostra Zosi, która miała małe mieszkanie w tej okolicy. W końcu znaleźliśmy ją na trzecim piętrze ponurej, rozpadającej się kamienicy.

Dziadek zapukał do drzwi, po czym długo czekaliśmy na zimnym podeście. W głowie mi się kręciło ze zmęczenia i zasypiając na stojąco, chwiałam się na nogach. Drzwi otworzyły się gwałtownie. Stał w nich zirytowany mężczyzna w długich, szarych kalesonach. Zmierzył nas wrogim spojrzeniem, warknął, że Mańka nie może do nas wyjść, i zatrzasnął nam drzwi przed nosem.

Siedzieliśmy w dorożce, naradzając się, co dalej robić. Mroźny zimowy poranek wynurzał się powoli z lodowatej mgły. Tu i ówdzie otwierały się okna, pojawiali się dozorczy z drewnianymi szuflami, żeby uprzątnąć śnieg. Dorożkarz obrócił się na koźle i popatrzył pytająco na dziadka. Twarz miał siną z zimna, a kiedy chuchał w ręce, jego głowę spowijał obłok pary.

– Dokąd teraz? – zapytał zrezygnowanym tonem. – Wygląda na to, że macie pecha.

Dziadek nie odpowiedział. Nie mieliśmy dokąd jechać. Chyba tylko z powrotem na dworzec.

W tej samej chwili otworzyło się okno na pierwszym piętrze, tuż nad naszymi głowami. Zza grubej zasłony wychyliła się twarz okrągła jak księżyc w pełni. Para czarnych, okrągłych oczu wpatrywała się w nas ze zdziwieniem, a dźwięczny, młody głos zagadnął nieśmiało, co robimy pod jego oknem o tak wczesnej porze. Odpowiedzieliśmy. Twarz zmarszczyła się w zadumie:

– Pokój? Poczekajcie, już schodzę na dół!

Za chwilę obok dorożki pojawił się młody, krzepki mężczyzna średniego wzrostu, ubrany w samą koszulę i spodnie. Wsunąwszy twarz do środka, zlustrował nas uważnie, potem cofnął się i stał, drapiąc się po szczeciniastej brodzie. Teraz z kolei w oknie pojawiła się młoda kobieta, wymachując jakimś zawiniątkiem.

– Szymek, zapomniawsz palta, przeziębisz się!

Zawiniątko zatrzepotało w powietrzu, młody człowiek schwycił je i wciągnął na siebie palto. Donośnym głosem objaśnił kobiecie sytuację:

– Sara, tu jest troje ludzi z dzieckiem, nie mają się gdzie podziać. Mogą przyjść na górę?

Sara zgodziła się.

– Pokój jest mały – wyjaśnił Szymek, pomagając nam wysiąść – ale na razie wystarczy, póki nie znajdziecie czegoś lepszego.

W ślad za nim wspięliśmy się po ciemnych, drewnianych schodach i weszliśmy do mieszkania. Krótki korytarz prowadził do pokoju, w którym spała para starszych ludzi. Stąpając na palcach, przeszliśmy do następnego pomieszczenia, które choć wąskie i małe, było jasne i ciepłe. Połowę pokoju zajmowało duże, podwójne łóżce, pośrodku stało dziecinne łóżeczko. Sara podniosła z niego śpiące dziecko, a potem razem z mamą prześcieliła łóżko. Padliśmy na nie wszyscy czworo i natychmiast zasnęliśmy.

Tego samego dnia po krótkiej naradzie rodzinnej i nieporadnym sondowaniu gospodarzy, czy skłonni byliby wynająć nam jeden pokój, zdecydowaliśmy, że na razie zostajemy. Zamiast łóżeczka pojawił się stół, przybyło łóżko polowe dla mamy i dla mnie. Między łóżkami zostało tyle miejsca, by jedna osoba mogła podejść do okna. Resztę umeblowania stanowiły wielka szafa i dwa krzesła. Później dziadek przyniósł cegły i zbudował kuchenkę, na której gotowaliśmy posiłki. Rura od piecyka została wmontowana w piec kaflowy, który dawniej, gdy jeszcze nie brakowało opału, ogrzewał oba pokoje. Teraz rura dawała nieco ciepła i można było na niej suszyć upraną bieliznę. Pokój był słoneczny, jasny i ciepły, a w dodatku bez pluskiew, co w takim starym domu było przyjemną niespodzianką. To prawda, że panowała ciasnota, w całym domu nie było ani jednej łazienki, a ubikacja pogrążona w wiecznych ciemnościach – stara żarówka się przepaliła, a nowej nikt nie wkręcił – nie wytrzymałaby dokładniejszej inspekcji. Często komuś „puszczały nerwy”, ale każdy z nas wiedział, że sprawy mogły przybrać dużo gorszy obrót. Przede wszystkim mieliśmy ogromne szczęście, że trafiliśmy na naszych gospodarzy.

Mieszkanie należało do państwa Goldów, rodziców Sary. Tworzyli dziwną parę. Ona – wysoka i tęga, miała gruby głos i szczeciniastą brodę, on – mały, pomarszczony, stary krasnal o pożółkłej cerze i łysej czasce, zimą czy latem okutany grubymi szalami, trząsł się z zimna nawet w największy upał. Nikt się nie przejmował jego bezustannymi narzekaniami, ani on tego nie wymagał. Dyktatorskie zapędy pani Goldowej skrywały wielkoduszne, wrażliwe serce i nie minęło wiele czasu, jak zapalała sympatią do babci i postanowiła roztoczyć nad nią pieczę. Ku naszemu zaskoczeniu babcia łatwo się poddała, czerpiąc wyraźną przyjemność z nowej roli podopiecznej; zachowała jednak lekko pobłażliwy stosunek do nowego otoczenia.

Sara i Szymek byli pogodnym, ciężko pracującym młodym małżeństwem. Ona, odziedziczywszy zdrowy rozsądek po matce, była praktyczna i skromna; on – przepełniony wzniosłymi ideami, marzył o upiększeniu i ulepszeniu ich małego sklepu, ich domu i całego świata. Nagła decyzja o przyjęciu nas pod swój dach była typowa dla impulsywnego charakteru Szymka, gdyż w tym czasie nawet nie myśleli o podnajmowaniu pokoju. Teraz przenieśli się do pokoju Goldów i spali na rozchybotanej polówce obok łóżeczka Moniusia.

Choć z dnia na dzień sytuacja stawała się coraz bardziej ponura, nic nie mogło zepsuć Szymkowi humoru na dłużej. W każdą sobotę rano, kiedy sklep był zamknięty, zabierał się do gruntownego sprzątnięcia mieszkania. Stojąc pośrodku pokoju z twarzą zwróconą ku szeroko otwartym oknom z jedną ręką na sercu, a w drugiej dźwigając miotłę, rozpoczynał koncert. Najpierw śpiewał arię operową. Był tenorem

o przyjemnym, niezbyt mocnym głósie forsowanym tak bezlitośnie, że najwyższe nuty kończyły się zwykle sromotnym kiksem. Na początku byliśmy zaskoczeni i skonsternowani, ale z czasem przyzwyczailiśmy się i czekaliśmy z filozoficznym spokojem, aż odchrząknie i zacznie od niższej nuty.

Uwielbiałam te występy i przyłączałam się, kiedy tylko mogłam. Moja znajomość arii operowych była bardzo ograniczona, więc szybko musieliśmy sięgać do operetki i filmów. Szmaty i szczotki szły w zapomnienie, a my próbowaliśmy „Indiańską pieśń miłosną” i inne przeboje, improwizując słowa, a często i melodię. W takich momentach wkraczała mama i przy akompaniamencie głośnych protestów prowadziła mnie z powrotem do naszego pokoju, z dala od Sary, która wypadła z kuchni, przepędzała Szymka z domu i w błogiej ciszy kończyła sprzątanie.

Ku mojej ogromnej radości odkryłam, że Szymek jest kinomanem i ma imponującą kolekcję czasopism, sięgającą epoki filmu niemego. Po moich uporczywych błaganiach zezwolił mi na przeglądanie swoich skarbów i zatonełam w świecie gwiazd. Gloria Swanson, Pola Negri, Norma Shearer, Garbo, Valentino, Novarro, Gable... Wspaniałe toalety, bajeczne przyjęcia, przepych półbogów, w których istnienie nie do końca wierzyłam i których imion nie potrafiłam poprawnie wymówić.

Mama obserwowała tę nową pasję z niepokojem, wahając się, czy nie powinna mi jej zabronić.

– Naprawdę nie wiem, co z nią robić – zwierzała się Sarze. – Nigdy nie musiałam jej „wychowywać”. Nie wiem, co jest dla niej odpowiednie, a co nie. Co jej zostanie w głowie z czytania takich bzdur?

– A co jej zostanie w głowie z takiego życia, jakie tu widzi? – ripostowała Sara. – Myślę, że dobrze jej zrobi, jeśli trochę oderwie się od tych wszystkich nieszczęść dookoła.

Na ten argument mama nie znalazła odpowiedzi, więc na razie czytałam dalej. Aż do dnia, kiedy zapytałam o znaczenie słowa „kokotka”

– Chcesz powiedzieć „kokietka” – poprawiła mnie mama.

– Nie, kokotka – upierałam się – spójrz.

Mama spojrzała i przeczytała krótki panegiryk na cześć życia i zawodu kokotki, granej przez pannę X. w jej ostatnim filmie. Los czasopism został przesądzony.

Tymczasem wyjaśniła się nasza sytuacja finansowa. Straciliśmy niemal wszystkie kosztowności. Część biżuterii, którą Zosia miała dla nas przeszmurować ze starego mieszkania, przepadła na granicy odgradzającej teraz Kalisz od Warszawy. Dziadek nie mógł znaleźć żadnej pracy. Babcia niedomagała i stale potrzebowała lekarstw. Ubrania i biżuteria mamy wystarczą na jakiś czas, ale co potem?

„Gdybym tylko umiała robić coś pożytecznego – wzdychała. – Gdybym była



krawcową, mogłabym utrzymać nas wszystkich.” Ale szwajcarskie pensje, takie jak ta, do której posłano mamę, aby dopełniła swojej edukacji, nie przygotowywały panien do życia w getcie.

Zosia odwiedzała nas prawie codziennie. Czuła się w obowiązku gotować obiad na naszej prymitywnej kuchence. Troszczyła się o babcię, przynosiła jej słodycze i kwiaty, lękliwie wypytywała o resztę rodziny, opłakując każdą złą wiadomość i zamasyście żegnając się znakiem krzyża.

Gdzieś w środku zimy dotarł do nas pierwszy list od wujka z obozu jenieckiego w Niemczech. Jeszcze nie opadły emocje po tym wydarzeniu, kiedy przyszedł kolejny list, tym razem z Rosji, od ojca. Przyniósł go przewodnik, który przeprowadzał ludzi przez rosyjsko-niemiecką granicę. Ten brudny, pomięty skrawek papieru wlał we mnie nowe życie. Już nie byłam dzieckiem bez ojca. Czułam się tak, jakby mi zdjęto ciężar z ramion. Odzyskałam pewność siebie. Ojciec jest cały i zdrowy. Chce, żebyśmy jak najszybciej przyjechały do niego, do miasta, które teraz było pod sowiecką okupacją; osiedlił się tam i znalazł dobrą posadę. Jako dziecko chodził do szkoły pod zaborem rosyjskim i teraz rosyjskie wykształcenie i świetna znajomość języka bardzo mu się przydały. Zarabiał dobrze, poczeka na nas, a potem złoży podanie o przeniesienie do jakiegoś miasta bliżej Uralu albo nawet do którejś z azjatyckich republik. Tam będzie bezpiecznie – pisał – doczekamy tam końca wojny. Przewodnik – to dobry człowiek, godny zaufania. Wraca za kilka tygodni, a mama i ja mamy z nim iść.

Mama skończyła czytać, a ja wybuchnęłam radością: „Jedziemy do Rosji! Do ojca! Wzywa nas! Niedługo znowu go zobaczę! Jest zadowolony i ma się dobrze!” Tańczyłam dookoła mieszkania, rzucając się w objęcia Sarze, Szymkowi, nawet pani Gold, która ścisnęła mnie w niedźwiedzim uścisku i huknęła swoim tubalnym barytonem, że cieszy się razem z nami.

Przez następne dni rodzina była pogrążona w gorących dyskusjach. Nie mogłam zrozumieć, nad czym tu dyskutować. Ojciec prosił, żebyśmy przyjechały, więc jedziemy. On przecież wiedział, co jest najlepsze. Pod koniec tygodnia, kiedy przewodnik wrócił, aby omówić szczegóły, decyzja była podjęta. Nie jedziemy! Mama nie mogła zostawić rodziców. Dziadkowie wahali się, obawiając się niebezpieczeństw i trudności. Dziadek mógłby zaryzykować, ale babcia była zbyt słaba. A nawet gdyby w końcu podjęli takie ryzyko – to co z bagażami? Mogliśmy zabrać tylko tyle, ile byliśmy w stanie unieść, a i to może trzeba by porzucić po drodze. Babcia była stanowcza: „Nie zostawię wszystkiego, co mam. Już dosyć straciliśmy.” Dziadek nigdzie się nie ruszy się bez babci. Mama nie pójdzie bez rodziców. Przewodnik starał się przemówić babci do rozsądku, ale w końcu stracił cierpliwość. Zostaliśmy.

Ojciec zaniepokojony zwłoką, przysłał drugi list, prosząc mamę, żeby wysłała mnie

samą z następną grupą. Mama przystała na to. Miałam nieco wyrzutów sumienia, że tak łatwo zgodziłam się ją zostawić. Ale przecież zawsze wolałam ojca od mamy. Czyż nie twierdziłam tak od wczesnego dzieciństwa, aż do czasu gdy ktoś mi wytłumaczył niestosowność takich deklaracji? Nigdy nie zmieniłam zdania, choć przez grzeczność kłamałam, że kocham ich oboje tak samo. Niecierpliwie czekałam na wyjazd. Niestety przewodnik wpadł razem z całą grupą, kiedy przechodzili do Polski. Mama nie zgodziła się, żebym poszła z kimś innym. Plan wyjazdu został na razie odłożony. Mama słała listy przez każdego zaufanego człowieka, który się wybierał do Rosji, dopytując się, czy ojciec może poczekać trochę dłużej. Może latem będzie łatwiej przekroczyć granicę i wtedy babcia też pójdzie. Ale listy pozostawały bez odpowiedzi. Ojciec zaginął.

Podczas tej zimy, która zdawała się nie mieć końca, nieoczekiwanie znalazłam przyjaciela w dziadku. Energiczny, aktywny mężczyzna, nawykły do długich godzin pracy, z trudem znosił przymusową bezczynność. Z usposobienia małomówny i zamknięty w sobie, dusił się w naszym małym pokoiku, pełnym kobiecego trajkotania i bezustannych utyskiwań. Zaczął więc wymykać się z domu na tak długo, jak tylko się dało. Wkrótce pozwolił, bym mu towarzyszyła. Razem przemierzaliśmy tłoczne ulice, oglądaliśmy wystawy, a czasem nawet wsiadaliśmy do tramwaju i wypuszczaliśmy się daleko poza granice getta. Wędrowaliśmy brzegiem zamarznętej Wisły, kuląc się pod podmuchami mroźnego wiatru. Przechadzaliśmy się po Starym Mieście, podziwiając freski i osobliwe szyldy sklepowe na wąskich i barwnych średniowiecznych kamieniczkach. Gdy zapadał wczesny zmierzch, zatopieni w rozmyślaniach ręka w rękę wracaliśmy do domu.

Dość szybko się zorientowałam, że nie słucha mojej paplaniny i woli iść w milczeniu. Mogłam więc skupić się na własnych myślach, rozglądać i notować w pamięci wszystko to, co później przydawało mi się w moich opowiadaniach. Kiedy zbliżaliśmy się do domu, panował już zupełny mrok. Surowo przestrzegane zaciemnienie sprawiało, że jedynie ze sklepów sączyło się przyćmione, sine światło. Uliczki zdawały się jeszcze węższe, sklepy – bardziej tajemnicze. Wszystko razem miało nastrój jak z ilustracji do jakiejś opowieści o zamierzchłych czasach. Do tej scenerii znakomicie pasowały liczne postacie o bladych twarzach okolonych czarnymi pejsami, odziane w długie, czarne chałaty i czarne kapelusze z szerokimi rondami. Całe miasto wydawało się nierealne. Zabłąkałam się do jakiegoś opowiadania, do którego nie powinnam była trafić. Byłam przybyszem z innego świata, przypadkowo rzuconym w ten wrogi mrok, gdzieś w środku rozdziału. Gdyby któraś z owych mrocznych postaci mogła mnie dostrzec, powiedziałabym jej, że nie należę do ich świata. Mój był jasny, ciepły i bezpieczny, i powrócę do niego, kiedy ta opowieść dobiegnie końca.

Uścisk dziadkowej ręki przywoływał mnie do rzeczywistości. Co wieczór mijaliśmy ten sam zapuszczony, stary sklep. Jego wnętrze, oświetlone słabym światłem lampy naftowej, wyglądało jak ilustracja w moim wydaniu *Olivera Twista*. Upraszałam dziadka, żebyśmy zatrzymali się i coś tu kupili. Chciałam choć na chwilę wejść do środka i odetchnąć bogatą mieszaniną aromatów, dobywających się z niezliczonych produktów spożywczych, mydeł, starego papieru i samego sklepu.

Były tam beczki kiszonych ogórków i kwaszonej kapusty, słoiki marynowanych śledzi, pęta naczosnkowanej kiełbasy połyskujące wysoko na hakach, sznury suszonych grzybów i jarzyn, zwieszające się z sufitu jak zapomniane dekoracje balowe, gomółki

sera, kosze wypełnione chrupiącymi bułkami i bochenkami chleba we wszystkich odcieniach – od ciemnobrązowych po śnieżnobiałe. W półmroku za ladą zakurzone półki zapchane były mnóstwem pudeł, puszek i papierowych toreb wypełnionych tajemniczą zawartością. Dziadek miał kategorycznie przykazane, by nie kupował mi żadnego jedzenia, bo nawet jeśli nie dostanę wymiotów, to na pewno stracę apetyt i nie zjem obiadu. Tak więc każdego wieczoru odgrywałam wymowną pantomimę, rzucając tęskne spojrzenia na ten lub inny przysmak, wzdychając ciężko i wznosząc nieśmiałe spojrzenie ku dziadkowi, który stał i w zakłopotaniu skubał wąsy.

– Wiesz przecież, co powiedziała twoja mama – mamrotał.

Wzdychałam ciężko i odchodziliśmy. Po kilku dniach takich podchodów, kiedy wracaliśmy z wyjątkowo długiego spaceru, dziadek spojrzał na moją smutną minę i stwierdził, że nie pogardziłby małą przekąską.

Rozpromieniłam się. Nie będzie przecież jadł sam?

– Chyba bułka ci nie zaszkodzi?

– Uwielbiam bułki – wyszeptałam z zapartym tchem.

Weszliśmy do sklepu. Dziadek zamówił dwie bułki. Kręciłam się wkoło na pozostawionej dla klientów niewielkiej przestrzeni między ogromnymi beczkami kapusty. Przymknęłam oczy i głęboko wciągnęłam powietrze. Wstąpiłam w środek powieści! Bułki smakowały wybornie. Zjedliśmy je, podążając ciemną ulicą do domu.

– Ani słowa mamie – ostrzegł dziadek. Roześmiałam się i z wdzięcznością ścisnęłam jego rękę. Odtąd co wieczór wstępowaliśmy do sklepiku, gdzie dziadek kupował mi „małą przekąskę”, a ja zanurzałam się na chwilę w „nierealnej” atmosferze. Z czasem wymogłam na dziadku, by na bułce znalazł się plaster kiełbasy, a w końcu dołożyliśmy sobie nawet po połówce kiszzonego ogórka. Z rękami pełnymi pieczywa, kiełbasy i ogórków wychodziliśmy na ulicę, uśmiechając się szelmowsko.

– Dobrze chociaż, że jest ciemno – mamrotał dziadek z pełnymi ustami. – Jeszcze by ktoś zobaczył, jak objadam się na ulicy. A gdyby twoja mama się dowiedziała...

– Nie dowie się – zapewniałam.

I pewnie by się nie dowiedziała, gdybym z łakomstwa nie zażądała – i nie dostała – całego ogórka. Tego wieczoru skończyłam kaszę manną z większym niż zwykle trudem, a w nocy obudziły mnie dotkliwe bóle brzucha. Dziadek, siedząc na łóżku i patrząc na mnie, wyglądał nie mniej żałośnie, niż ja się czułam. Przytrzymując mi głowę, wyznał wszystko mamie. Rozgniewała się oczywiście, zarzucając mu nieodpowiedzialność. Dziadek zwiesił głowę jak skarcony uczeń, a ja wybuchnęłam płaczem, krzyżąc, że to nie jego wina, że zrobił to tylko dlatego, że go uprosiłam. On przynajmniej mnie kochał i spełniał moje prośby. Mama tylko by mi wszystkiego zabraniała. Nic nie szkodzi, że jadę do rygi, to nie pierwszy raz i na pewno nie ostatni!

Następnego dnia zapytałam nieśmiało, jaką dostanę karę. Mama wahała się przez chwilę, po czym zdecydowała, że już zostałam dostatecznie ukarana, więc nie wyznaczy mi dodatkowej kary. Byłam zaskoczona, a nawet rozczarowana. Wymioty przytrafiały mi się zbyt często, by można je było uznać za karę. Poza tym zawsze byłam karana za nieposłuszeństwo, bez względu na to, ile przez to nieposłuszeństwo wycierpiałam. Dzięki karze mogłam się złościć, uzalać nad sobą i – kiedy tylko kara się kończyła – bez skrępowań zaczynać od nowa. Tym razem zostałam pozbawiona przewidywanego finału i poczułam się sfrustrowana.

– Muszę zostać ukarana – nalegałam. – Jeśli mnie nie ukarzesz, sama wyznaczę sobie karę, żebyś widziała, jak mi przykro za to, co się stało.

– Ale ja nie chcę cię karać – upierała się zaskoczona mama.

Uważałam, że wykazuje godną ubolewania ignorancję w kwestii wychowywania dzieci. Bo czy kilka razy nie przyznała się w mojej obecności, że nie ma pojęcia, jak ze mną postępować?

Przemyślałam swoją sytuację. Nie miałam książek, które można było mi odebrać. Był, rzecz jasna, słoik śmietany, który mama mi kupiła. Mogłam odmówić zjedzenia, ale i tak nie pozwolono by mi jeść śmietany, skoro miałam podrażniony żołądek. Mogłam zaprzestać codziennych spacerów z dziadkiem, co byłoby nawet logiczne, ale czy w ten sposób i on nie zostałby ukarany? Rozmyślałam nad tym problemem cały dzień. Następnego dnia wydało się to już mniej istotne i powoli życie wróciło na normalne tory. Zaprzyjaźniłam się z dziewczynką, która mieszkała piętro niżej, i spędzałam z nią większość czasu.

Na początku marca sklep Szymka został zdemolowany przez dwóch Niemców. „Weszli do środka, rozejrzeli się wokoło, a potem nagle złapali za krzesła i zaczęli rozbijać nimi lampy. Żadna się nie ostała – szlochała Sara. – Zachowywali się jak rozwydrzeni chłopcy – śmiejąc się i żartując, niszczyli wszystko, co im wpadło w oko. Na koniec wyrzucili krzesła przez okno na ulicę i poszli sobie.”

Sklep został kompletnie zniszczony. Nie było pieniędzy, żeby naprawić szkody. Teraz więc Sara zostawała w domu, a Szymek wyruszał na poszukiwanie pracy. Pani Gold na zamówienie robiła swetry na drutach, a ja pomagałam jej zwijać motki grubej, syntetycznej włóczki i cierpliwie prułam stare pulowery, żeby było z czego robić nowe. Sara znalazła sobie pracę chałupniczą i mama wkrótce do niej dołączyła. Zbierałyśmy się we trzy przy dużym stole, pakując tuzinami agrafki do małych pudełek albo nawlekając małe agrafki na jedną większą. Mama i Sara naszywały rzędy guzików na tekturki lub przyczepiały do małych kartoników zatrzaski i haftki. Czasami przyszywały małe guziczki na brzegach prostokątnych kawałków miękkiej, białej gazy.

– Co to jest? – zapytałam. Mama z Sarą wymieniły spojrzenia. – Pieluszki dla dzieci – odpowiedziała mama tonem osoby, która właśnie znalazła rozwiązanie nieoczekiwanego problemu.

– Są za malutkie – zaprotestowałam.

Bo są dla malutkich dzieci – odpowiedziała mama – wiesz, dla noworodków.

Czułam, że zbywa mnie byle czym, spojrzałam pytająco na Sarę, która szyła w milczeniu ze wzrokiem utkwionym we własnych rękach. Niewidzialna ściana solidarności dorosłych oddzielała mnie od obu kobiet. Nie było sposobu, żeby się przez nią przebić.

Pewnego wieczoru, kiedy już szykowaliśmy się do łóżka, w drzwiach pojawił się zdyszany sąsiad.

– Idą – wysapał i sadząc po dwa stopnie, pobiegł na górę, żeby ostrzec innych.

Wszyscy domownicy wpadli w popłoch. „Najlepiej wszystko pochować, bo nigdy nie wiadomo, czego szukają” – brzmiała zgodna opinia.

– Papiery na stół – zarządził dziadek, rozkładając dokumenty na oddzielne kupki. Pochowaliśmy ubrania, walizki i jedzenie i ustawiliśmy się sztywno półkolem za krzesłem babci.

„Wyglądamy jak na starej fotografii” – pomyślałam, wodząc wzrokiem od jednej poblądłej twarzy do drugiej. Zaciśnięte szczęki, wylęknione spojrzenia, lekko drżące dłonie. Chropawa skóra na dłoniach dziadka pobieliała na kostkach.

W drugim pokoju Sara i pani Gold wypychały pod materac wełnę – „oni” na pewno będą pytali o wełnę – Szymek zaś, skurczony nagle i poblądły, wycofał się w ciemny kąt. Cała jego werwa i fanfaronada nagle wyparowały, został tylko przestraszony, zażywny, młody mężczyzna nerwowo zacierający dłonie.

Czekaliśmy w ciszy przerywanej jedynie po to, by w ostatniej chwili ukryć coś, co jeszcze rzucało się w oczy: wygładzić zdradliwie pomarszczoną narzutę na łóżku, upchnąć rożek palta, który wystawał z szafy i mógł zwrócić „ich” uwagę. Nagle rozległo się łomotanie do drzwi, potem kroki Sary w korytarzu i odgłos odsuwanego rygla. Ciężkie buty zadudniły w pokoju Goldów. Było ich trzech, szukali wełny. Sara odpowiedziała spokojnie, że nie mamy. Ciarki przeszły mi po plecach. W mieszkaniu było kilka kilogramów wełny. Wiedziałam gdzie. Czy będę umiała skłamać, jeśli mnie zapytają?

Żołnierze rozejrzeli się podejrzliwie i to samo pytanie zadali Szymkowi, który wytrzeszczywszy oczy, zaczął się tak jąkać, że nie mógł wymówić słowa i wystraszony schował się za Sarę. Pani Gold zapytana o to samo huknęła, że prawdziwej wełny nie widziała od początku wojny. Następnie cała trójka wmaszerowała do naszego pokoju. Tłocząc się w drzwiach zaczęli przeglądać nasze papiery, identyfikując po kolei każdego

z nas. Jeden z nich odwrócił się nagle i wskazał na mnie:

– A to kto? Mama przyciągnęła mnie do siebie.

– Moja córka.

– Ile ma lat?

– Dziesięć.

Niemiec się roześmiał.

– To niemożliwe, *Fräulein*, w pani wieku nie może mieć pani dziesięcioletniego dziecka.

Mama wyprężyła swoje metr sześćdziesiąt centymetrów wzrostu:

– Jestem mężatką i mam 32 lata. Tu są moje dokumenty.

Żołnierze z niedowierzaniem oglądali jej papiery. Śmiali się, potrząsali głowami i wreszcie poszli. Usiedliśmy na łóżkach rozdygotani i wyczerpani. Chwilę później dołączyli do nas Goldowie z Sarą, opowiadając i wypytując, Szymek zaś pobiegł do sąsiadów sprawdzić, jak im poszło. Do późnej nocy w domu kotłowało się i wrzało: trzaskały drzwi, dudniły kroki na schodach. Sąsiedzi wpadali do sąsiadów, dzielili się wrażeniami, zadawali pytania, komentowali zachowanie tych trzech Niemców, powtarzali ich słowa, wzdychali, kręcili głowami, załamywali ręce ze strachu i rezygnacji. Cisza nocna powracała powoli i w końcu poszliśmy spać. Dla mnie jednak spokój i bezpieczeństwo naszego małego świata legły w gruzach. Po raz pierwszy w jego granice wtargnęli Niemcy. Wypełnili pokój swoją fizyczną obecnością. Ich brutalne głosy wdarły się w otaczające nas powietrze. Coś się zmieniło w atmosferze domu. Nie był już bezpieczny. Później w czasie tej niekończącej się zimy przeżyliśmy jeszcze jedną wizytę okupantów. Ale do tego czasu nauczyliśmy się kilku rzeczy i byliśmy przygotowani.

Na wieść, że „oni” nadchodzą, Sara wpakowała Moniusia do łóżeczka i wysmarowała mu policzki różem, podczas gdy mama i ja zebrałyśmy wszystkie buteleczki z lekarstwami i pudełka z pigułkami, jakie tylko mogłyśmy znaleźć, i ustawiliśmy je na nocnym stoliku. Z posępnymi i wystraszonymi minami czekaliśmy na żołnierzy. Kiedy pojawili się w drzwiach, Sara z palcem na ustach poprosiła ich, żeby byli cicho. Jej synek jest bardzo chory. Tłocząc się przy wejściu, wyciągali szyje, żeby przyjrzeć się Moniusiowi, który leżał w łóżeczku ze szkarłatnoczerwoną buzią i oczami błyszczącymi z podniecenia. Musiało mu być gorąco, bo na czoło wystąpiły mu krople potu, dodając scenie autentyczności. Butelki z lekarstwami – później odkryliśmy, że Szymek postawił między nimi słoik pikli – wydzielają ostry, szpitalny zapach, a my wszyscy wyglądaliśmy na autentycznie zafrasowanych.

– Co mu jest? – zapytał dowódca.

– Szkarłatna – wyszeptała Sara drżącym głosem.

Krótką szamotaniną, parę przekleństw i Niemcy zniknęli w popłochu. Opadliśmy na sofę, obejmując się i ściskając. Gdyby dzielni okupanci nie bali się tak panicznie wszelkiej zarazy, z łatwością odkryliby prawdę, a wtedy wiadomo, co by się z nami stało.



## 6

Nadeszła wiosna i moje urodziny. Mama podarowała mi *Małą Dorrit* Dickensa; czytałam ją powoli, często zatrzymując się w środku akapitu, by zatopić wzrok w ilustracjach przedstawiających nieznaną Londyn, przyjrzeć się niszczącym, mrocznym gmachom, posmakować zimna i mgły, i poczuć, że coraz więcej i więcej łączy mnie z tamtym więzieniem.

Mała Dorrit była blondynką, spod jej biało-błękitnego czepka „z budką” spływały długie anglezy. Biała sukienka w niebieskie kwiatki, przewiązana błękitną szarfą, falowała na lśniącej okładce. A jednak była moją siostrą, moim drugim „ja”. Ten długi okres między epoką Dickensa a naszą był mostem – a nie otchłanią – prowadził z tamtego wieku w nasz. Jej cień towarzyszył mi w wędrówkach po błotnistych ulicach Warszawy, tak jak ja podążałam za nią przez Londyn i spałam obok niej w więziennej celi. Jej uległość sprawiała, że czułam się zawstydzona moimi wybuchami złości, i przez krótki czas mama nie mogła pojąć, dlaczego nagle zrobiłam się taka potulna. Kiedy skończyłam czytać, ogarnęło mnie głębokie przygnębienie. Mała Dorrit odnalazła spokój i bezpieczeństwo. Jej przyszłość rysowała się jasno. Moja wyglądała mrocznie jak nigdy dotąd.

W słoneczne kwietniowe popołudnie siedziałam w naszym pokoju, czytając z wyteżoną uwagą, której zawsze wymagał drobiazgowo opisany świat Dickensa. Słońce wlewało się przez zamknięte okno. W skrzynce na wąskim parapecie młode roślinki, troskliwie pielęgnowane przez dziadka, rozkładały pióropusze jasnozielonych liści. W małej ceglanej kuchence za moimi plecami ogień trzaskał i mruczał ciepłą, kojącą melodię. Z garnka dobiegało różne parkotanie. Było cicho i ciepło. Podniosłam głowę znad ilustracji więziennego dziedzińca i nagle owładnęła mną nieopanowana tęsknota. Oparłam głowę na książce i z zaciśniętymi pięściami, z naprężonymi wszystkimi mięśniami, cała zmieniając się w słuch, poczułam narastającą pewność – ojciec jest niedaleko, zbliża się, myśli o mnie.

Podciągnęłam kolana, otoczyłam je ramionami i wsparłam na nich głowę. Tak zwinięta w kłębek na krześle błagałam całą sobą: „Tatusiu wróć, wiem, że jesteś blisko – proszę, proszę wróć, dłużej już bez ciebie nie wytrzymam.”

W głowie mi zawirowało, przed oczami zatańczyły gwiazdy. Zbyt długo wstrzymywałam oddech. Wyprostowałam się nagle, poczułam zmęczenie i zawrót głowy. Odetchnęłam głęboko i spróbowałam wrócić do lektury. Ale moje myśli były gdzie indziej. Mimo że nagły wybuch tęsknoty minął, zostawiając jedynie ten sam, co zawsze tępy ból, nie mogłam przestać myśleć o ojcu.

Następny dzień był jednym z tych, kiedy Zosia przychodziła „do pomocy”

Ugotowała dla nas obiad, potem babcia położyła się na łóżku i zaczęły rozmawiać. Mama i ja, leżąc na naszym łóżku polowym, przysłuchiwałyśmy się rozmowie, która jak zwykle wpadła w utarte koleiny: co zrobimy po wojnie? Remont domu. Trzeba będzie zmienić narzuty na łóżkach. A co z firankami? Hol trzeba będzie koniecznie przemeblować...

Pośrodku pokoju Zosia obierała warzywa. Dziadek siedział na krześle wciśnięty niewygodnie między łóżko a stół i srebrnym scyzorykiem strugał długi drewniany szpikulec. Fascynował mnie ten przedmiot. Był duży, masywny, z wyrzeźbionymi po obu stronach scenami z wojen napoleońskich – piramidami po jednej stronie, odwrotem z Rosji po drugiej. Oprócz dwóch ostrzy wyposażony był także w miniaturowy korkociąg, także nożyczki i szpikulec, który ponoć służył do wydłubywania kamyków z końskich kopyt.

– Ciekawe, gdzie będziemy musieli szukać naszych mebli? – zastanawiał się dziadek. Na odgłos stukania do frontowych drzwi nadstawiłam ucha – czyżby goście? Ktoś niskim głosem pytał, czy tu mieszka pani Dawidowicz. W pierwszym pokoju rozległy się ciężkie kroki. Zosia podniosła oczy i nóż wypadł jej z ręki.

– To pan Mietek – powiedziała tak cicho, że przez chwilę nikt nie zwrócił na to uwagi.

– To pan Mietek – krzyknęła, podrywając się ze stołka. W jednej chwili wszyscy zerwaliśmy się na równe nogi i rzucili ku ojcu, który stał pośrodku, ślaniając się na boki. Próbowaliśmy dopchać się do niego, ale popatrzył na mnie jak na obcą i nie pozwolił się dotknąć.

– Nie zbliżaj się dziecko, jestem brudny i bardzo zmęczony.

A potem dodał:

– Mój Boże, jak ona urosła.

Nagle twarz mu poszarzała i zaczął się chwiać. Podsunięto mu krzesło, ale chyba nie miał siły usiąść, bo wciąż przechylał się na bok. Mama podprowadziła go do naszego łóżka, wyciągnął się na nim i zasnął.

Nadeszły dni pełne trwogi, kiedy ojciec nie wstawał z łóżka. Wezwano lekarza, który stwierdził wyczerpanie, liczne odmrożenia i niewydolność serca. Ojciec potrzebował długiej rekonwalescencji, spokoju i ciszy.

Powoli dowiadaliśmy się, co się z nim działo. Wszystkie nasze listy z ostatnich miesięcy najwidoczniej zaginęły po drodze. Ojciec niepokoił się coraz bardziej i w końcu postanowił wrócić i przekonać nas do wyjazdu do Rosji. Znalazł przewodnika, zebrała się grupa. W lasach przy granicy natknęli się na radziecki patrol. Przewodnik uciekł. Reszta grupy na widok żołnierzy wpadła w panikę i ojciec przejął

inicjatywę. Podszedł do dowódcy, pozdrowił go po rosyjsku i wyjaśnił, że jest lekarzem, który razem z kolegami – lekarzami i pielęgniarkami – został wysłany na inspekcję przyfrontowych wiosek, skąd dochodziły wieści o wybuchu epidemii tyfusu. Właśnie byli w drodze do następnej wioski, kiedy zgubili się w lesie.

Żołnierz przyglądał się podejrzliwie. Ojciec wyciągnął swoją starą książeczkę wojskową, z którą się nie rozstawał. Wprawdzie na czerwonej pieczęci widniał polski orzeł, ale ojciec liczył na wrażenie, jakie każda czerwona pieczęć wywiera na Rosjanach.

– Widzisz to? – zamachał żołnierzowi przed oczami książeczką. – Masz, czytaj.

Żołnierz nie umiał czytać, ale magia czerwonej pieczęci podziałała. Grupę odprowadzono z honorami na najbliższy posterunek, gdzie ich nakarmiono, napojono i pokazano drogę do najbliższej wsi.

Ojciec podziękował żołnierzom za pomoc, obiecał komendantowi, że kiedy wróci do Moskwy, wspomni o nim samemu batuszce Stalinowi, i poprowadził grupę prosto do Polski. Doszli do rzeki, która wyglądała na solidnie skutą lodem, a mimo to w połowie przeprawy lód się załamał. Jakoś udało im się dotrzeć na drugi brzeg, choć ojciec musiał dwa razy wracać po tych, którzy potrzebowali pomocy. Potem w mokrych ubraniach przedzierali się przez śnieg, często głęboki po pas. Po wielu godzinach ojciec opadł z sił. Prosił innych, by szli dalej bez niego, ale nie chcieli go zostawić. Ruszyli w drogę dopiero, kiedy ojciec mógł iść o własnych siłach. Nie potrafił powiedzieć, ile dni minęło, nim dotarli do Warszawy. Wtedy wiedział już, że jest ciężko chory, i bał się, że nie zdoła nas odnaleźć. Po przybyciu do Warszawy poszedł do mieszkania ciotki Marysi, ale jej dom leżał w gruzach. Powiedziano mu, że większość mieszkańców zginęła od bomby, ale nikt nie wiedział, co się stało z ocalałymi.

Zaczął nas szukać. Widok zniszczonego miasta – hałdy gruzu, wypełnione śniegiem leje po bombach i odsłaniające się w perspektywie ruiny – przerażał go i dezorientował. Szedł przed siebie na ślepo, ślizgając się po ubitym śniegu, objijając o przechodniów, gubiąc się raz po raz, aż wreszcie opadł z sił. Jak przez mgłę pamięta, że spędził noc w obcym mieszkaniu, siedząc na krześle i czekając na poranek, by na nowo zacząć poszukiwania.

– Cały ten dzień – powiedział mi później – myślałem o tobie. Powtarzałem twoje imię, nawołując cię, próbując dać ci znać, że jestem blisko.

– Wiem – odpowiedziałam. – Słyszałam.

Powoli ojciec wracał do zdrowia. I powoli, bardzo powoli, zaczęliśmy odbudowywać to wszystko, co nas dawniej łączyło. Po pierwszym szoku wywołanym jego widokiem – takiego poszarzałego i wyczerpanego – wytłumaczyłam sobie, że kiedy ojciec w końcu wstanie z łóżka, wszystko będzie jak dawniej. Na razie korzystałam z każdej

chwili, kiedy wolno mi było z nim rozmawiać lub przy nim być. Siadałam przy łóżku, brałam go za rękę, głaskałam jego długie, chude palce, przymierzając je do moich – krótkich i pulchnych. Zaglądałam mu w oczy, szukając w nich znajomego ciepłego uśmiechu, wyczekując na jakieś czułe słowo, jakieś dawno zapomniane, tajemne słowo z naszego przedwojennego świata. Te słowa i te uśmiechy pojawiały się rzadko. Częściej oczy się zamykały, odsłaniając granatowoczarne powieki, jak dwa wielkie sińce, a kiedy zasypiał, siedziałam struchlała, obawiając się go obudzić jakimś niebacznym ruchem. Nadchodziła mama, dając mi znak, żebym wyszła. Wymykałam się ostrożnie, na palcach, a ona zajmowała moje miejsce przy łóżku ojca.

Z upływem dni ojciec coraz częściej zauważał moją obecność. Częściej się uśmiechał, wracała mu siła w rękach. Zaczął siadać i żartować. Zrobił się niecierpliwy, komenderował mną i rozkazywał, a we mnie serce rosnęło.

Rozpakowaliśmy jego plecak. Był tam składany kubek do mycia zębów i inne przybory, które kupił, kiedy szedł do wojska w 1920 roku. Jego skarpetki stanowiły zagadkę. Rozłożył je na łóżku, żeby dokładnie im się przyjrzeć.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego tak dziwnie się pokurczyły. Jedna skarpetka z każdej pary jest mniejsza od drugiej, żadna para nie nadaje się do noszenia.

Wyjaśniłyśmy mu, że za tajemnicze kurczenie się skarpetek odpowiedzialna była jego metoda cerowania, która polegała na zszywaniu brzegów dziury. Ojciec czuł się dotknięty naszą krytyką. Nie znosił, kiedy się okazywało, że bynajmniej nie zawsze potrafi o wszystko zadbać.

Kiedy już mógł dłużej rozmawiać, zaczął się istny najazd krewnych, przyjaciół oraz zupełnie nieznanymi ludźmi, którzy zarzucali go pytaniami: Jak tam się żyje? Czy tak źle, jak tutaj? Czy spotkał tego a tego? Czy widział takiego a takiego? Nie? Na pewno? Przecież był tam! Mój jedyny syn, panie Dawidowicz, opuścił Warszawę w czasie nalotów i od tamtej pory nie mieliśmy od niego wiadomości. Poszedł na wschód. Niski, z ciemnymi włosami, młody. Nie widział go pan? Na pewno?

Inni przynosili miejscowe nowiny, które były bardzo złe. Getto nabierało kształtu. Żydzi byli stopniowo wyrzucani z innych części miasta i spędzani do jednej małej dzielnicy. Wszędzie wokół nowi przybysze szukali pokoi do wynajęcia. Bezustannie ktoś wprowadzał się do naszej kamienicy i nie mogliśmy się nadziwić, gdzie wszyscy oni się mieszczą. Każde mieszkanie pękało w szwach, a mimo to co tydzień pojawiało się więcej ludzi.

Wieści docierały coraz to bardziej ponure. W różnych miejscach, jakby bez planu wyrastały mury i ludzie gubili się w złowieszczych domysłach. Mury miały rzekomo oddzielać obszar zagrożony epidemią (*Seuchensperrgebiet*), były wysokie na 3 metry

i wysypane po wierzchu tłuczonym szkłem. W Warszawie szerzył się tyfus. Posypały się nowe zarządzenia. Żydom zakazano publicznych modłów. Dla wszystkich powyżej dwunastego roku życia wprowadzono obowiązek noszenia opasek z gwiazdą Dawida. Trzeba się było rejestrować do pracy. Żydowskie konta bankowe zamrożono. Żydowskie szkoły zostały zamknięte, prywatne kursy zakazane pod karą śmierci. Żydzi nie mieli prawa korzystać z autobusów i tramwajów. Mieli zakaz kupowania złota, musieli zgłaszać posiadaną biżuterię. Granie niemieckich kompozytorów było zabronione, żydowscy lekarze nie mogli dłużej leczyć nieżydowskich pacjentów.

– Mają tu nas bardzo dogodnie, wszystkich w kupie, co z nami zrobią?

Ojciec słuchał i twarz mu pochmurniała. Było jasne, że wpadł w pułapkę. Leżał na wąskim łóżku, nie mogąc unieść głowy i czując jak ściany dookoła niego schodzą się. Skargi i złowrózbnne przewidywania nie ustawały, aż powietrze stawało się gęste od strachu, tak gęste, że groziło zaduszeniem. Wiedział już, że nigdy nie zdoła wrócić do Rosji. Znalazł się w pułapce, jak my wszyscy.

Podczas choroby ojca obie z mamą spałyśmy na podłodze pod stołem. Było jasne, że dłużej nie da się tak żyć i kiedy ojciec zaczął wstawać, mama ruszyła na poszukiwanie nowego mieszkania.

Pokój, do którego wprowadziliśmy się z początkiem lata, był duży, widny i wygodny. Był też drogi. Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze, okna i balkony wychodziły na ulicę. Mieściło się na Nowolipkach, tak jak mieszkanie Goldów, u których zostali dziadkowie, między Smoczą a Karmelicką. Mieszkanie należało do felczera, pana Feldmana i jego rodziny.

Pan Feldman zarabiał na życie, wykonując drobne zabiegi – stawiał bańki, przystawiał pijawki, robił zastrzyki, a czasem nawet wyrывał zęby. Jego oczkiem w głowie była kolonia pijawek. Całe godziny spędzał pochylony nad zielonymi słoikami, w których je hodował. Mama nie mogła znieść ich widoku, we mnie zaś budziły fascynację pomieszaną z obrzydzeniem. Pierwszego dnia, który spędziliśmy w jego domu, listonosz przyniósł mu paczkę poleconą i czekał w korytarzu aż pan Feldman pokwituje odbiór.

– Czy wie pan, co pan trzyma? – zapytał Feldman. Listonosz nie wiedział.

– Dwa tuziny pijawek, żywych, mam nadzieję – powiedział pan Feldman.

Listonosz upuścił paczkę, wzdrygając się z obrzydzenia, a pan Feldman rzucił się za nią na podłogę.

Przyglądałam się później, jak odpakowywał pudło wypełnione wilgotnym mchem. Wewnątrz wiło się kłębowisko czarnych, połyskliwych pijawek. Pan Feldman wyjmował jedną po drugiej i nie przestając do nich przemawiać, przenosił je do zielonych słoików z wodą i wodorostami. Kiedy szedł do pacjentów, zabierał kilka pijawek w małym zakręcanym słoiku, który nosił w czarnej torbie lekarskiej. Po powrocie przekładał je do innego słoika wypełnionego do połowy solą, aby oddały wypitą krew. Potem mogły być ponownie wykorzystane.

Wkrótce po przeprowadzce do nowego mieszkania miałam koszmarne sen. Przyśniło mi się, że jeden ze słoików rozbił się nad moim łóżkiem, wypełniając je mchem, wodą i pijawkami. Obudziłam się z krzykiem i złana potem z przerażeniem wyskoczyłam z łóżka.

Choć Żydzi mieli zakaz jeżdżenia tramwajami lub autobusami, razem z mamą, kuzynką Rózią i jej synkiem Jasiem wypuszczaliśmy się daleko poza zamknięty obszar, do warszawskich parków i ogrodów. Nie cierpiałam tych wycieczek, a mimo to zawsze upierałam się, żeby brać w nich udział. Wolałam być z mamą na wypadek, gdyby coś jej się stało. Miałam dość mgliste pojęcie, co nam zagraża, ale incydent, do którego

doszło kiedyś w tramwaju, przekonał mnie, że takie wyprawy są stanowczo zbyt ryzykowne.

Przed wyjściem z getta mama i Różia zdejmowały opaski. To jednak niewiele pomagało. Twarze ponad wszelką wątpliwość zdradzały nasze pochodzenie. Podczas jednej z wycieczek wsiedliśmy do tramwaju i Jasio, ciekawski jak każdy siedmiolatek, zapędził się na drugi koniec wagonu. Różia wychyliła się z siedzenia i zawołała go po imieniu. Konduktor odwrócił się i na nasz widok twarz mu się zmieniła.

– Od kiedy to Jankiel nazywa się Jasio? – zapytał donośnym głosem.

W wagonie zapadła cisza. Wszystkie głowy zwróciły się w naszą stronę, wszystkie oczy patrzyły na nas. Mama poderwała się z miejsca purpurowa z gniewu.

– Jak pan śmie... – zaczęła, ale Różia pociągnęła ją w dół.

– Ciii... Na miłość boską – wyszeptała tak gwałtownie, że mama usiadła, nie kończąc zdania.

– Wsiadamy na następnym przystanku – wyszeptała Różia.

– Nigdy w życiu – odparła mama.

Tak więc Różia z Jasiem wysiedli, a my zostałyśmy. Całym sercem pragnęłam wrócić do domu, ale mama była zdecydowana: idziemy do parku. Potrzebny jest nam spacer na świeżym powietrzu i nie zrezygnujemy z niego. Różia i Jasio wrócili do domu.

Później Różia zbesztła mamę:

– Nie wolno ci odpowiadać na żadne zaczepki. Niedawno kobieta z naszego domu oburzyła się, że konduktor nazwał ją «parszywą Żydówką». Zmusił ją, żeby z dzieckiem na ręku wyskoczyła z jadącego tramwaju. Cud, że się nie zabiła. Naucz się to znosić albo siedź w domu.

Prosiłam Boga, żebyśmy mogły zostać w domu. Tylko raz skakałam z jadącego pojazdu i nie było to miłe wspomnienie. Ale mama nie dawała łatwo za wygraną. Jej postawa wobec tych wszystkich nakładanych na nas restrykcji i zakazów polegała na ignorowaniu ich. „Nie należy się uginać przed wrogiem, ale w miarę możliwości zachowywać tak, jakby nie istniał. Tylko wtedy można mieć nadzieję na przetrwanie z godnością”

W parku mama zachęcała mnie do zabaw z innymi dziećmi, ale byłam zbyt nieśmiała. Instynktownie czułam, że nic mnie już z nimi nie łączy. Co mam odpowiedzieć, jeśli któreś zapyta, gdzie mieszkam? Ponieważ mama stanowczo na to nalegała, spacerowałam samotnie alejkami. Szłam szybko, ze spuszczoną głową i wbitym w ziemię wzrokiem. Podczas jednego z tych spacerów zatoczyłam duże koło i właśnie wracałam do mamy, kiedy zerkając spod oka, zobaczyłam pięciu niemieckich oficerów, którzy zbliżali się do mnie z przeciwka.

Szli powoli, ramię w ramię, zajmując całą szerokość alejki. W pobliżu nie było

nikogo. W pierwszej chwili chciałam się odwrócić i uciekać, ale nagle ogarnął mnie wstyd i gniew. Podniosłam głowę i ze wzrokiem utkwionym w sztywnych zielonych czapkach, szłam dalej w ich kierunku. Sunęli na mnie jak zielona ściana. Zbliżyliśmy się do siebie, znaleźliśmy się oko w oko, ściana się rozstała, a ja z sercem w gardle przeszłam między nimi z podniesioną głową, kierując się ku mamie. Stała sztywno przy ławce z zaciśniętymi pięściami, zastygła w napięciu, z wyrazem nieopisanej męki na twarzy. Schwyciła mnie za rękę i pospiesznie ruszyliśmy do domu. Była to nasza ostatnia wyprawa.

W miarę jak zbliżaliśmy się do getta, przechodnie byli coraz bardziej wynędzniali i coraz więcej kobiet miało ogolone głowy. Brak włosów sprawiało, że ich oczy wydawały się większe i jeszcze smutniejsze. Większość ukrywała swój wstyd pod chustkami zawiązanymi w turbany. Od tego czasu turbany na zawsze kojarzyły mi się z ogolonymi głowami i wszystkim, co to oznaczało.



Z nadejściem lata nasza sytuacja stawała się coraz bardziej rozpaczliwa. Kiedy upadł Paryż, ludzie płakali na ulicach. Straciliśmy nadzieję, że następną zimę spędzimy z powrotem we własnym domu. Szkoły były zamknięte, ale mama nie chcąc, żebym miała zbyt duże zaległości, zorganizowała tajne komplety. Było nas czworo, trzy dziewczynki i Józio. Spotykaliśmy się trzy razy w tygodniu na godzinę, za każdym razem w innym mieszkaniu. Lokale zmienialiśmy w obawie przed donosem. Przychodziliśmy i wychodziliśmy osobno, chowając pod ubraniem podręczniki, a nawet pióra. Wpadka oznaczała śmierć dla nauczyciela, dzieci i rodziców. Może dlatego uczyliśmy się z takim zapałem. Każda lekcja była małym triumfem nad wrogiem. Lekcje nie wystarczały jednak, by wypełnić mi cały dzień. Zapisalam się do tajnej biblioteki i wolny czas spędzałam na lekturze. Na szczęście znajdowała się bardzo blisko naszego mieszkania i mogłam tam chodzić sama. Poza tym, nie pozwalano mi na samotne spacerowanie po mieście, musiałam więc czekać, aż mama skończy pracę w domu i wtedy szłyśmy razem w odwiedzinach do dziadków lub do kuzynki Rózi.

Próbowałam bawić się z Jasiem, ale on był niesfornym dzieckiem i przywódcą sporej bandy łobuziaków. Prowadzili zażarte bitwy na klatkach schodowych, wołałam więc trzymać się od nich z daleka.

Ojciec podarował mi cyrkiel i nauczył, jak się nim posługiwać. Zaczęłam więc wytwarzać medale dla Jasia i jego bandy. Rysowałam różnej wielkości kółka, wypełniałam je geometrycznymi wzorami i malowałam jaskrawymi kolorami. Po każdej potyczce było na nie wielkie zapotrzebowanie. Ojciec i Jasio omawiali strategię bitew i planowali ich przebieg. Ojciec był generałem, któremu Jasio meldował o swoich wyczynach; moja jedyna rola w tych męskich rozrywkach polegała na dostarczaniu im coraz bardziej ekstrawaganckich medali.

Całe lato ojciec szukał pracy. Pieniądze się kończyły. Mama zaczęła wyprzedawać nasze rzeczy. Było to ryzykowne rozwiązanie, bo nie mieliśmy zbyt wielu rzeczy, które dawało się sprzedać. Mama często ubolewała, że nie nauczyła się żadnego fachu. Jeszcze większy żal miała do ojca.

Nie mogła mu darować, że wkrótce po ślubie porzucił studia. Dziadek zaoferował się, że będzie ich oboje utrzymywał, póki ojciec nie skończy studiów prawniczych, ale ojciec z niezrozumiałych powodów odmówił i zaczął pracować we młynie. Nie miał żadnych kwalifikacji poza świetną głową do liczb i umiejętnością zdobywania zaufania i lojalności pracowników. Pomagał buchalterowi, kierował personelem i występował jako mediator we wszelkich sporach. Rutynowe zajęcia nudziły go, tylko kiedy działało

się coś nieoczekiwanego, potrafił dać z siebie wszystko. Wtedy mógł po całych nocach szukać błędu w księgach rachunkowych lub tropić złodziei okradających wagony kolejowe. Kiedy nic nadzwyczajnego się nie działo, znikał na całe godziny ze strzelbą i koniem, by polować na gołębie lub zwiedzać okolice z jakąś ładną blondynką.

Mama, wychowana w kulcie uczciwej pracy, nie mogła się pogodzić z taką niefrasobliwością. I teraz, choć tamto życie przepadło bez śladu, dawne rany wciąż się jątrzyły. Szybko odżyły wzajemne urazy. Dawne żale zostały na nowo rozpatrzone, odkurzone i wydobyte na światło dzienne. Ojcowski brak zaangażowania w jakąkolwiek pracę, jego ubóstwo przed ślubem, jego lenistwo. Nawet te legendarne dwie pary butów, o których tyle się nasłuchiwałam przed wojną, znów zostały wyciągnięte jako argument. Te jedyne dwie pary, które ojciec podobno posiadał, kiedy się żenił. W ciasnocie wynajętego pokoju, w cudzym domu, pośród obcych mebli znajome słowa brzmiały ostrzej i tym bardziej raziły. Przez jakiś czas po powrocie ojca miałam nadzieję, że nie będzie już więcej kłótni. Doznałam gorzkiego rozczarowania.

Ojciec znikał z domu na długie godziny, wracał blady i zmęczony. Jadł bardzo mało, co prowokowało kolejne wymówki mamy na temat niewdzięczności, jaka ją spotyka za tyle godzin harówki przy gorącym piecu w cudzej kuchni. Byłam pewna, że Feldmanowie nadśluchują każdego słowa i po każdej kłótni czułam się zażenowana, przechodząc przez ich pokoje.

W końcu ojciec znalazł pracę. Został inspektorem sanitarnym. Miał odwiedzać po kilkanaście mieszkań dziennie i sprawdzać ich czystość. Ryzyko „złapania czegoś i przywleczenia do domu”, które istniało zawsze, kiedy człowiek wypuszczał się na zatłoczone ulice, teraz zmieniło się w pewność. Nie to jednak, lecz wysiłek pokonywania setek schodów wkrótce na nowo podkopał jego zdrowie.

Pod jesień musiał dać za wygraną i mama znów zaczęła wyprzedawać ubrania.

W tym czasie kilka energicznych pań zebrało dzieci z naszej kamienicy i zorganizowało teatr dziecięcy. Młode talenty były pilnie poszukiwane, gdyż mieliśmy występować na rzecz pewnej organizacji charytatywnej. Mama zaprowadziła mnie na przesłuchanie i z miejsca dostałam tytułową rolę w *Królewnie Śnieżce*.

Mieliśmy śpiewać parę piosenek z filmu Disneya. Znałam je wszystkie na pamięć. Widziałam ten film dwa razy, pamiętałam każde słowo i każdy gest. Tygodniami żyłam w oczekiwaniu na ten dzień, kiedy stanę na scenie i dla każdego na widowni będę królową Śnieżką. Odgrywaliśmy tylko kilka scen z filmu razem z odpowiednimi piosenkami. Resztę ponaddwugodzinnego przedstawienia wypełniały różne piosenki, tańce i skecze. Nim nadszedł z dawna wyczekiwany dzień, miałam rolę w niemal każdym numerze, recytowałam kilka własnych wierszy i cztery razy śpiewałam solo.

Kwestia mojego kostiumu dość długo zaprzętała uwagę mamy i pań z komitetu. Marzyłam o tym, żeby jak najbardziej upodobnić się do postaci z filmu. Skończyło się na sztywnym, białym kołnierzu zrobionym z kartonu. Przypięto go do jadownicy fioletowej sukienki naszywanej cekinami i koralikami, czyjejs koktajlowej kreacji z lat dwudziestych. Podkasano ją stosownie do mojej miary i przewiązano w pasie zieloną szarfą. Miałam cieliste pończochy i aksamitną wstążkę we włosach. W ostatniej chwili ktoś przyniósł parę fioletowych podwiązek ozdobionych wielkimi satynowymi rozetkami i wśród ogólnego śmiechu wciągnięto mi je na nogi, żeby przytrzymywały pończochy. Uważałam, że są dziwaczne i nie rozumiałam, jak można je nosić. Lepszy – i bardziej „dorosły” – byłby prawdziwy pas do pończoch. Ale że wszystkie panie, a nawet mama, były zachwycone podwiązkami, zgodziłam się je włożyć.

Do dnia premiery żyłam w rozkosznym upojeniu pomieszonym z obawą, że w ostatniej chwili coś się popsuje i przedstawienie zostanie odwołane.

Ojciec był stanowczo przeciwny moim scenicznym ciągotom. Teatr kojarzył mu się z lekkimi obyczajami, rozwijał – w jego pojęciu – próżność i sprowadzał na złą drogę. Co nie przeszkadzało mu być doskonale obeznanym z repertuarem kaliskiego teatru. Znał libretta wielu oper i operetek, i to on właśnie nauczył mnie wszystkich popularnych arii. Śpiewaliśmy je w duecie, a mama akompaniowała nam na pianinie, często przyłączając się do śpiewu. Zabronił mi jednak uczęszczania na lekcje tańca, kiedy miałam siedem lat, bo „wiadomo, do czego to prowadzi”. Nie zgodził się też na mój wyjazd do Warszawy, kiedy agentka MGM poprosiła mamę, żeby mnie przywiozła na zdjęcia próbne. Było to na parę lat przed wojną. I tego też mama nie mogła ojcu darować. Przecież mogliśmy być wszyscy w Hollywood... Teraz, kiedy powierzono mi główną rolę, został postawiony przed faktem dokonany, a mimo to nadal groził, że zabroni mi udziału w przedstawieniu. Mama używała tego jako bata i pod groźbą kary, która mogła przyjąć tylko jedną formę, wymuszała na mnie nienaturalne wprost posłuszeństwo.

Tuż przed wielkim dniem zaczął mi się chwiać jeden z mleczy zębów i Feldman poradził, żeby go wyrwać. Obiecawszy, że tylko obejrzy ząb i nie ruszy go, póki nie będzie po premierze, zabrał mnie do swojego gabinetu; mama nerwowo krążyła za moimi plecami, gotowa przytrzymać mnie w razie potrzeby. Ufnie otworzyłam usta. Feldman zajrzał, pokiwał głową, po czym owinąwszy palce czystą chusteczką lekko dotknął, a potem pokazał mi leżący na dłoni ząb. Patrzyłam na niego z niedowierzaniem. Spodziewałam się strasznego bólu, a tu proszę, już było po wszystkim i w ogóle nie bolało.

Podziękuj – upomniała mnie mama, ale ja w tym samym momencie wydałam z siebie rozdzierający krzyk i wypadłam z pokoju, trzaskając drzwiami. Pobiegłam

do kuchni, rzuciłam się na podłogę i nie przestałam płakać, aż przyszła zagniewana mama, dała mi klapsa i zaciągnęła z powrotem do gabinetu.

– Kompletna histeria – stwierdził pan Feldman, przyglądając mi się znad okularów. – I to w tym wieku. Będzie pani miała z nią duży kłopot, jeśli pani tego nie ukróci.

– Ukróczę – odpowiedziała mama, a potem zwróciła się do mnie: – Jeśli natychmiast nie przestaniesz, nie będziesz grała królowy Śnieżki.

Ale to już mnie nie obchodziło. Pobiegłam do naszego pokoju, zanosząc się płaczem, póki mi starczyło łez. Cóż to była za cudowna ulga móc sobie wreszcie pofolgować. Szczególnie po długich tygodniach przesadnego posłuszeństwa. Myśl, że straciłam szansę na występ, rozdzierała mi serce i wyciskała nowe łzy, choć wiedziałam, że w ten sposób narażam się na jeszcze większą karę.

Panie z komitetu były oburzone, kiedy usłyszały decyzję mamy.

– Nie ma pani prawa psuć całego przedstawienia – oświadczyły stanowczo. – Niech ją pani ukarze później, jeśli uważa pani to za konieczne, ale proszę pozwolić jej zagrać. Nie znajdziemy dla niej zastępstwa w ostatniej chwili, tym bardziej że zgodziła się pani na obsadzenie jej w niemal każdym numerze.

Mama nie mogła zrozumieć, o co tyle zamieszania. To nie mógł przecież być poważny spektakl, skoro ja brałam w nim udział. To było tylko przedstawienie dziecięce, więc ktokolwiek mógł mnie zastąpić. Nie leżało w jej charakterze, by zmieniać raz powziętą decyzję. W końcu jednak musiała ustąpić. W dniu premiery pojawiła się za kulisami, organizując wszystkich, komenderując artystami, których nagle dopadła trema, osuszając łzy, nakładając makijaż na blade twarzyczki i pouczając nas, jak mówić naturalnie, gdyż natychmiast po nałożeniu szminki sztywniały nam usta. Błyskawicznie zmieniała nam kostiumy i każdego w odpowiedniej chwili wysyłała na scenę. Mimo to nie odzyskała pełnej sympatii organizatorek, które nie mogły jej darować, że o mały włos nie zniweczyła całego przedsięwzięcia.

Nadeszła moja wielka scena! Miałam ugryźć podane przez macochę jabłko i popaść w omdlenie, z którego obudzi mnie pocałunek księcia. Odgryzłam spory kęs i nagle okręcając się na pięcie i łapiąc się za brzuch jak żołnierze Jasia po postrzale, padłam z głuchym hukiem na twarde deski. Ból w łokciu i biodrze oszołomił mnie na chwilę, ale mimo to usłyszałam, że przez widownię przebiegł chichot. Zdrętwiałam. To nie miała być śmieszna scena. Co się stało? Głowę miałam odwróconą, więc nie mogłam zobaczyć, co wywołało śmiech. Leżałam zeszywniała z obawy, wdychając kurz z podłogi. Krasnoludki skończyły swój taniec na drugim końcu sceny i nareszcie usłyszałam piosenkę nadchodzącego księcia.

Wkroczył na scenę, wydał okrzyk przerażenia, przycisnął kamizelkę do piersi i klękając ostrożnie – ze względu na bardzo obcisłe spodenki – wyszeptał mi do ucha:

– Ty idiotko!

Otworzyłam oczy i opanowując zdumienie wywołane tak nieoczekiwanym powitaniem, stanęłam z jego pomocą na nogi. Główny krasnoludek wręczył księciu kartonową koronę, którą ten ostrożnie włożył na moją głowę. Trzymając się za ręce i śpiewając finałową piosenkę, spłynęliśmy powoli ze sceny.

Publiczność z zapałem biła brawo, raz po raz wywołując nas na scenę, tak że minęło trochę czasu, nim mogłam zapytać mamę, co ich tak rozśmieszyło.

– Runęłaś z takim impetem, że sukienka pofrunęła ci w górę, odsłaniając te idiotyczne podwiązki – wyjaśniła mama z uśmiechem. Jęknęłam z przerażenia.

– Nie szkodzi – powiedziała mama – odniosłaś wielki sukces. Siedziałam na widowni, wszyscy byli ubawieni.

Przedstawienie rzeczywiście odniosło sukces, powtórzyliśmy je kilka razy i planowaliśmy wystawienie nowego programu w zimie.

Tego lata poznałam kilka „dobrze wychowanych dziewczynek”, ale nie znalazłam prawdziwej przyjaciółki. Z nadejściem jesieni nauka na kompletach ruszyła pełną parą i nasza czwórka schroniła się w świat książek i względnie systematycznych zajęć.

Ojciec zaś znalazł nową pracę. Pewnego dnia wrócił do domu z dość niepewną miną. Był w czapce i z odznaką policjanta. Mama była przerażona. Z oczywistych powodów żydowscy policjanci nie cieszyli się w getcie zbyt dużą popularnością. Poza rutynowymi obowiązkami musieli towarzyszyć polskiej policji i Niemcom podczas wszystkich rewizji i akcji represyjnych, często byli zmuszani do pozornej przynajmniej kolaboracji z wrogiem. Gdziekolwiek zjawiali się trzej reprezentanci prawa, to polski – tak zwany granatowy – policjant wykazywał zwykle największą gorliwość, ale wielu żydowskich policjantów też nadużywało swojej władzy nad bezbronny tłum.

Wiedziałyśmy, że ojciec nie należał do tych, którzy przyczyniali się do powiększenia ciężaru upokorzeń, jakie wszyscy musieliśmy znosić, lecz często sam widok policyjnej czapki prowokował wrogie reakcje i trudno było pogodzić się z myślą, że to on właśnie mógł stać się ich przedmiotem. Niestety, wyglądało na to, że to była jedyna dostępna dla niego praca. Wprawdzie kiepsko wynagradzana, zapewniała nam jednak pewne minimum i nieco większe racje żywnościowe. Nasza sytuacja finansowa nie poprawiła się jednak na tyle, byśmy mogli pozostać u Feldmanów. Mama zaczęła szukać nowego mieszkania. Była to trudna decyzja, wiedzieliśmy, że od tej chwili nasze położenie będzie się już tylko pogarszać. Opuszczaliśmy nasz pokój jedynie po to, by w zamian znaleźć coś mniejszego i mniej wygodnego.

Zanosilo się na to, że wojna potrwa jeszcze długo. Ostatnie nadzieje upadły razem z Francją i teraz nikt już nie wróżył szybkiego końca. Mama i babcia wciąż omawiały,

co trzeba będzie pilnie zrobić, kiedy wrócimy do naszych domów, ale ich rozmowy już nie brzmiały przekonująco.

Stałą klientką naszego gospodarza była pani Kraut, starsza pani, która też mieszkała na Nowolipkach i która zapałała szczególną sympatią do mamy. Cierpiała na nadciśnienie i arteriosklerozę, i przychodziła w regularnych odstępach czasu na upuszczanie krwi. Pan Feldman przystawiał jej do skroni pijawki, które odciągały krew i zmniejszały ciśnienie. Z zafascynowaniem obserwowałam, jak sympatyczna starsza pani przeobraża się w jakąś Gorgonę z wijącymi się dookoła twarzy miniaturowymi czarnymi węzami. Po zabiegu przeciągała się, wzdychała z ulgą i szła na poszukiwanie mamy.

Pani Kraut miała córkę w Nowym Jorku i mama była do niej ponoć niezwykle podobna. Pani Kraut wciąż mówiła o tym podobieństwie. Wypatrywała mamę na ulicy, żeby po raz kolejny jej o tym opowiedzieć. Mama początkowo wzruszyła się, ale szybko straciła cierpliwość i starała się jej unikać. Kiedy pani Kraut usłyszała, że myślimy o przeprowadzce, któregoś dnia przed zabiegiem zjawiła się u nas z propozycją. Otóż ma wolny pokój. Jest mały, więc nie policzy nam drogo. Mogłaby mieć setki chętnych jeszcze tego samego dnia, ale wybrała nas.

To będzie tak, jakby znowu miała w domu córkę, i to jeszcze z wnuczką. Jej córka też ma dziewczynkę, którą pani Kraut знаła tylko z fotografii. „A do tego jeszcze będę miała takiego przystojnego zięcia” – dodała, uśmiechając się do ojca.

Mama poszła obejrzeć pokój. Wróciła przybita. Był mały i raczej ciemny. Ale pani Kraut była taka miła i otwarta. To bardzo ważne, żeby gospodyni była dobrze usposobiona. Zresztą za taki czynsz, jakiego zażądała, nie możemy liczyć na nic lepszego. Po tygodniu narad nastąpiła przeprowadzka.

Dom był pięciopiętrowy, zbudowany w czworokąt dookoła małego podwórka. W każdym narożniku mieściła się klatka schodowa. Nasza była druga na prawo od bramy. Podniszczone, drewniane schody wiodły przez egipskie ciemności na pierwsze piętro ku ciężkim drzwiom. Za wysokim progiem – niezawodną pułapką na naszych gości – zaczynał się ciemny korytarz prowadzący do kuchni i do dużego pokoju. W kuchni na zapadniętym łóżku spała Rachel, „skarb” pani Kraut. Krautowie zajmowali duży przechodni pokój. Tu pani Kraut zainstalowała nowiutki, szeroki tapczan, na którym spała sama, podczas gdy jej bardzo wysoki mąż gniótł się na niewygodnym metalowym łóżku. Z ich pokoju przechodziło się do naszego, który był bardzo wąski, ze ścianami w apoplektycznym odcieniu lilaróż. Pomalowany był farbą olejną. „Bardzo zdrowo, bo wilgoć nie wchodzi w ściany” – utrzymywała pani Kraut.

Jak się przekonaliśmy, tylko druga część tego twierdzenia była prawdziwa. Na olejnej powierzchni zbierała się para z gotowania i prania, i strużkami płynęła od sufitu aż na podłogę, gdzie zbierała się pod meblami. Od wilgoci butwiały deski. Zimą ściany pokrywała warstewka szronu, na której rysowałam palcami obrazki i odrabiałam arytmetykę.

Nasze ubrania pleśniały w walizkach, buty trzeba było codziennie czyścić z zewnątrz i od środka. Koronkowa firanka, tzw. filet – jeszcze z Kalisza – rozpadła się po kilku miesiącach. Noc w noc kładliśmy się do wilgotnej, zimnej jak lód pościeli, i nawet butelki z gorącą wodą, optymistycznie wsuwane pod prześcieradła, nie podnosiły temperatury, a jedynie wzmacniały zapach zgnilizny.

Rano ubrania były wilgotne, a pończochy lepiły się tak, że ich wciągnięcie stanowiło nie lada wyczyn. Włożenie bielizny, która lgnęła do ciała jak mokry kompres, zakrawało na akt heroizmu i każdego ranka mama i ja odgrywałyśmy pantomimę, próbując obrócić całą rzecz w teatr.

Wszystko to odkrywaliśmy stopniowo w ciągu następnych miesięcy. Jednak najbardziej przykra niespodzianka zaskoczyła nas od razu pierwszej nocy spędzonej w nowym pokoju – pluskwy.

Oba nasze łóżka były metalowe i ozdobione kunsztownymi ornamentami. Panele u wezłowania i w nogach pomalowane były na czekoladowo z sielankowymi pejzażami w kolorze zgaszonej zieleni. Melancholia, z jaką podziwialiśmy ich kolorystykę i sprawdzaliśmy wytrzymałość skrzypiącej konstrukcji, zmieniła się w przerażenie, kiedy odkryliśmy, że dosłownie roi się w nich od pluskiew. Po pierwszej bezsennej nocy rozebraliśmy oba łóżka, wszystkie metalowe części zostały wyszorowane,

wyparzone i opalone. Byliśmy jednak z góry skazani na przegraną – cały dom był zapluskwiony i gdy tylko wytępiłiśmy robactwo w naszym pokoju, zaraz pojawiły się roje nowego. Wyparzanie łóżek stało się rytuałem, ale robiliśmy to raczej po to, by nie stracić szacunku do samych siebie niż w nadziei na konkretne efekty. Kiedy pierwszy szok minął, widok karalucha lub stonogi wywoływał tylko zrezygnowane westchnienie. Te przynajmniej nie gryzły.

Nasze mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze poprzecznego skrzydła kamienicy, przez co słońce nigdy nie zaglądało w nasze okno. Tylko mały skrawek nieba był widoczny wysoko nad studnią, w której zamieszkaliśmy.

Podwórko było małe, brukowane i zawsze pełne dzieci. Ich piskliwe głosy odbijały się od żółtych murów i wdierały przez otwarte okna do mieszkań, skąd wylewały się odgłosy życia w przeludnionych do granic możliwości pokojach. Tuż pod naszym oknem znajdował się duży, murowany śmietnik. Był zwykle tak przepełniony, że sterta śmieci sięgała aż do okien na parterze. W lecie smród zmuszał nas do zamykania okna mimo upału, zaduchu i kapiących od wilgoci ścian.

Którejś nocy wkrótce po przenosinach obudził nas dochodzący z zewnątrz, zawodzący w ciemnościach głos. Zdrętwiała z przerażenia leżałam, nasłuchując jak narasta, od niskiego warczenia przechodzi w wysoki monotony jęk, opada i znowu narasta, bezsłowny, lecz tak przepełniony żalem i rozpaczą, jakby jakiś obłąkany żałobnik zawodził nad grobem. Poczułam, że śpiąca obok mama poruszyła się i przejęta nagłym lękiem zastygła, tak samo jak ja chwilę wcześniej.

Z drugiego pokoju doszedł uspokajający głos pani Kraut. To nic takiego. To tylko szalony Elias z sąsiedniego mieszkania. Wyje w księżycowe noce, bo myśli, że jest syreną przeciwlotniczą.

Wstałam i podeszłam do okna. Wysoki, chudy mężczyzna stał na klatce schodowej. Z rozpostartymi rękami wczepionymi we framugę okna wyglądał jakby był ukrzyżowany. Miał na sobie długi, czarny chałat, a czarne włosy, spływały mu do ramion. Twarz okolona bujną brodą była blada, o subtelnych rysach. Mdłe światło księżycy w pełni pozwalało dostrzec wysokie czoło, długi nos i parę czarnych, gorejących, głęboko osadzonych oczu. Z głową wzniesioną do niewidocznego nieba Elias wył i zawodził przez całą noc.

W dzień kulił się na schodach przed swoimi drzwiami, nie odzywając się do nikogo i drżąc na odgłos kroków. Każdy niespodziewany dźwięk sprawiał, że zatykał uszy i skomlał jak przestraszone zwierzę. Pani Kraut opowiedziała nam, że Elias to wykształcony człowiek, który kiedyś studiował Talmud, i dwie starsze siostry, z którymi mieszkał, były z niego bardzo dumne. Bombardowania w 1939 rozstroiły



mu nerwy, doprowadzając do obecnego stanu. Teraz siostry biły go, głodziły i wyrzucały z mieszkania, większość czasu spędzał więc na schodach.

Dzieci z kamienicy, które nocami straszył swoim wyciem, pokazywały go obcym jako tutejszego cudaka i bezlitośnie dokuczały mu, kiedy odważył się wyjść na światło dzienne. Żadne jednak nie ośmieliło się przejść obok niego na ciemnych schodach.

Inną osobliwością naszego domu była babcia właściciela. Wedle powszechnej opinii miała sto czternaście lat. W słoneczne dni schodziła na dół i spacerowała dookoła podwórka z opiekunką, która osłaniała jej głowę parasolką w kwiaty. Starsza pani nie pamiętała niczego, co się wydarzyło w niedawnej przeszłości, co w jej przypadku znaczyło – w ciągu ostatnich 30 lat. Nie miała pojęcia, że w 1914 roku zaczęła się wojna, że Polska odzyskała niepodległość i że po 20 latach ponownie ją utraciła. Rodzina dbała, by nie docierały do niej żadne wieści o obecnej zawierusze: do jej staromodnej torebki wkładano garść dawnych rosyjskich monet, ceny wszystkich artykułów przeliczano jej na ruble, Warszawa wciąż była pod rosyjskim zaborem, a car nadal siedział na tronie. Kiedy pojawiała się, kuśtykając sztywno wzdłuż muru, z postrzępioną parasoleczką kołyszającą się nad nienagannie uczesaną peruką, na podwórku zapadała pełna szacunku cisza. Spod peruki wyglądała zasuszona twarz, poniżej marionetkowymi ruchami podrygiwała czarna, staromodna suknia. Patrząc, jak chwiejnym krokiem okrąża podwórko, zastanawiałam się, co by się stało, gdyby starsza pani stanęła twarzą w twarz z jakimś Niemcem.

Tej jesieni stosunki z dużym pokojem były bardzo serdeczne. Pani Kraut wpadała i wypadała z naszego pokoju, promieniejąc szczęściem, nie szczędząc „matczyńskich porad” i przynosząc talerzyki ze swymi ulubionymi potrawami. W rewanżu mama męczyła się przy kuchni, usiłując przygotować smakołyki podawane kiedyś w naszym domu. Niestety, nigdy nie nauczyła się gotować i jej wysiłki przynosiły czasem opłakane rezultaty. Szczerze nad tym ubolewała, tym bardziej że w naszej sytuacji nie mogliśmy sobie pozwolić na marnowanie żywności i każde danie – udane czy nie – musiało zostać zjedzone.

Często po wizytach u znajomych, gdzie nieodmiennie podawano jakiś poczęstunek, próbowałyśmy obie z mamą odgadnąć składniki i sposób przygotowania potrawy. Mama, niestety, nigdy nie prosiła o przepis. Wstydziała się przyznać, że nie umie gotować, i wolała próbować na „chybił trafił”. Czasami skutki jej eksperymentów okazywały się kompletnie niejadalne, ale nawet wtedy nie marnowały się. Odkryliśmy, że Rachel – „skarb” pani Kraut – może zjeść wszystko, co w najmniejszym choćby stopniu przypomina normalne pożywienie, i wychodzi z tego bez szwanku. Kiedy zobaczyliśmy, jak ze smakiem pochłania zgniłe jajko, uznaliśmy ją za fenomen,

a ja dołączyłam ją do mojej prywatnej galerii dziwaków.

Rachela była bez wątpienia najdziwniejszą osobą, jaką dotychczas spotkałam. Dorośli odnosili się do niej z nieskrywaną pogardą, jakby powątpiewając, czy należy do rodzaju ludzkiego, ja jednak uważałam, że jest po prostu inna: nieprzewidywalna i trochę niesamowita. Kilka dni zabrało mi pokonanie strachu, jaki wzbudzał we mnie – tak jak we wszystkich dzieciach – jej wygląd, ale kiedy to się udało, zostałyśmy przyjaciółkami i współpracownikami w rozmaitych wątpliwych przedsięwzięciach. Teraz mogłam chełpić się na podwórku moją własną obłąskawioną dziwaczką.

Pani Kraut znalazła Rachelę kilka lat przed wojną w szpitalu, gdzie młoda jeszcze dziewczyna zdrowiała po przebytej szkarlatynie, i zabrała do siebie w charakterze „kobiety do wszystkiego.” Jeśli przed wojną Rachela dostawała jakąś zapłatę, teraz to się skończyło. Mimo że w jednym pokoju i kuchni nie było za wiele roboty, dreptała wciąż po mieszkaniu, wzdychając, popłakując i od czasu do czasu mamrocąc do siebie.

Dość szybko zorientowaliśmy się, że jest bez przerwy głodna. Pani Kraut twierdziła, że Rachela ma wilczy apetyt i może jeść dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wygląd miała niezwykły i na pierwszy rzut oka odstrasający. Przed wszystkim zwracały uwagę jej oczy – wielkie i wytrzeszczone, patrzące każde w innym kierunku, tak że nie sposób było odgadnąć, czemu się przygląda. Z fascynacją obserwowałam, jak przekręcała głowę, przyglądając się swojej pracy raz jednym okiem, raz drugim. Cere miała woskowożółtą, górną wargę ocienioną zarostem, zęby długie i wystające. Czarne, sztywne jak sierść włosy dopełniały tego niecodziennego obrazu. Przycinała te włosy co tydzień przy akompaniamencie westchnień i pomruków, zawsze z innym i zaskakującym skutkiem. Chuda i zgarbiona snuła się, powłócząc nogami z kuchni do pokoju i z powrotem, bezustannie dotykając różnych przedmiotów i od czasu do czasu chichocząc bez powodu. Nie wiedziała, ile ma lat ani gdzie mieszkała, nim trafiła do szpitala. Zdaniem pani Kraut Rachela była grubo po trzydziestce, ale próby porównywania jej z innymi kobietami – wydawały się raczej zawodne.

Z końcem jesieni Polakom zakazano pracy dla Żydów i rzesze dozorców i służących zaczęły wyprowadzać się z getta. Miejsce po nich zostało szybko zapełnione, ponieważ wkrótce wszyscy Żydzi, pozostający dotąd za murami, dostali rozkaz przeniesienia się do getta. Pan Kraut, który pracował w polskiej fabryce jako nocny stróż, został zwolniony. Pani Kraut przez cały tydzień zalewała się łzami, po czym przeorganizowała gospodarstwo.

W mieszkaniu pojawiło się kolejne łóżko, które stawało nocami w korytarzu, kompletnie blokując frontowe drzwi. Sypiała na nim kobieta w średnim wieku, która rankami gdzieś zniknęła. Wracała dopiero wieczorem, siadała w kuchni przy parapecie

i patrzyła na pustą ścianę za oknem. Miała na imię Renata. Poza tym nic o niej nie wiedziałam. W dzień gdzieś pracowała, w nocy spała w korytarzu, a wolny czas spędzała przy kuchennym oknie, wpatrując się w ścianę naprzeciwko. Nigdy o sobie nie opowiadała i pozostała tajemnicą do samego końca.

Oprócz tego pani Kraut zaprowadziła w domu nowy, surowy porządek. Cała żywność została zaszyta w białe płócienne woreczki i zmagazynowana w wielkiej szafie oraz blaszanym pudle. Oba schowki zostały zamknięte na kłódki, a klucze zawisły na wstążce, na szyi pani Kraut. Rachelą przeszła na dietę złożoną z przydzielanego na kartki czarnego, gliniastego chleba, dżemu marchewkowego i od czasu do czasu brukwi. Uzupełniała ją obierkami z kartofli smażonymi na oleju. Zastanawialiśmy się, co to był za olej. Niemożliwe było, żeby coś jadalnego wydzielało taki fetor. Ojciec utrzymywał, że to lichej smar maszynowy, który świetnie robi na skrzypiące, artretyczne stawy.

Pan Kraut do pewnego stopnia dzielił posiłki z żoną, to znaczy dostawał mikroskopijne porcje z jej zapasów i nieodmiennie wstawał od stołu głodny. Popołudniami pani Kraut, rozptywając się w uśmiechach, doradzała mu, żeby dla uspokojenia burczącego żołądka uciął sobie drzemkę, sama zaś szła w tym czasie na zakupy. Wkrótce odkryliśmy, że chodziła do cukierni znajdującej się na naszej ulicy, gdzie przez godzinkę przy herbacie i ciastkach gawędziła sobie z właścicielką. Potem wracała do domu i przez resztę wieczoru wydzielała Racheli kartoflane obierki i doradzała mężowi, aby dzielnie zaciskał pasa.

Nadszedł listopad i bramy getta zamknęły się. Pułapka została zatrzaśnięta. Przez ostatnie tygodnie do getta sprowadziło się około 140 tysięcy nowych mieszkańców, potęgując jeszcze dotychczasowe przeludnienie. Powstały punkty dla uchodźców, gdzie nowo przybyli koczowali po kilkanaście osób w jednym pokoju. Mimo chłodu szerzył się tyfus i wszyscy obawiali się, co będzie na wiosnę, kiedy się ociepli. Z dnia na dzień pogłębiał się nastrój strachu i przygnębienia. Dorośli mieli poczucie klęski wypisane na twarzach, ale wśród moich rówieśników unikaliśmy rozmów na ten temat. Wypowiedzenie na głos, że nasi rodzice i inni wszechmocni dorośli są bezradni i przestraszeni, było zbyt bolesne, zbyt przerażające. Było oczywiste, ale zarazem nie do przyjęcia. Nie wiedzieliśmy, jak to pogodzić.

Kiedy byliśmy we własnym gronie, zapewnialiśmy się nawzajem, że nasi rodzice są w getcie tylko dlatego, że w tej chwili jest to dla nich najdogodniejsze. Oczywiście, że mogliby wyjechać, gdyby chcieli, i żadne niemieckie rozkazy by ich nie powstrzymały. A potem wystarczyło jedno spojrzenie na twarze rodziców dyskutujących o naszym położeniu, by wróciła niepewność, którą natychmiast próbowaliśmy tłumić, gdyż zagrażała istnieniu całego naszego świata.

Pewnego wieczoru pod koniec listopada ojciec przyszedł do domu z miną zdradzającą, że ma dla nas „niespodziankę”. Zawsze tak wyglądał, kiedy zamierzał sprawić komuś przyjemność lub miał w zanadrzu nieoczekiwany prezent. Stojąc pośrodku pokoju, powoli wyciągnął z kieszeni płaszcz trzy małe paczuszki i rzucił je nam na kolana. Odwinęliśmy bibułki. W środku były dwa mydełka Yardley i flakonik wody lawendowej.

Rzuciłyśmy się ojcu na szyję, błagając o wyjaśnienia. Takich luksusów nie widziałyśmy od początku wojny. Przycisnęłam nos do kostki mydła i z zachwytem wciągnęłam powietrze. Odżyły wspomnienia ciepłej, pachnącej łazienki i wieczorów spędzonych w przytulnym pokoju dziecięcym, po kąpieli, tuż przed pójściem spać. Ojciec był bardzo zadowolony z efektu, jaki wywołał swoją niespodzianką, i nie zamierzał od razu odpowiadać na pytania. Musiałyśmy pozwolić mu się rozebrać i zjeść kolację. Dopiero wówczas, wyciągając nogi i zapalając papierosa, uchylił rąbka tajemnicy.

– Pamiętasz Lidię? – zapytał, zwracając się do mamy.

Popatrzyła na niego zdziwiona:

– Lidię? Chyba nie...

– Ależ na pewno ją pamiętasz – upierał się ojciec – żona twojego fryzjera, taka wysoka... blondynka...

W oczach mamy zabłyśła iskierka i zaraz potem twarz jej spochmurniała. Najwidoczniej Lidia nie wywołała miłych wspomnień.

– Spotkałem ją dzisiaj – kontynuował ojciec – tu w getcie. Możesz sobie wyobrazić moje zaskoczenie. Ona pierwsza mnie rozpoznała, krzyknęła i rzuciła mi się na szyję. Zrobiło się niezłe zamieszanie. Wszyscy się nam przyglądali. Ja w moim starym, znoszonym płaszczu i ta piękna kobieta w futrach i brylantach, łkająca na moim ramieniu.

Ojciec najwyraźniej rozkoszował się tym wspomnieniem i wrażeniem, jakie na nas wywarło.

– A co ona tu robiła? – spytała mama. Głos miała suchy. Nie było wątpliwości – świetnie pamiętała Lidie.

– Pewnie kogoś odwiedzała. W każdym razie była bardzo zaskoczona, kiedy usłyszała, że jesteśmy tu, w Warszawie. Była pewna, że wyjechaliśmy za granicę. Koniecznie chce przyjść, zobaczyć się z nami.

– Tu?! – mama z niedowierzaniem potoczyła wzrokiem po naszym pokoju. – Absolutnie nie ma mowy.

Ojciec, nagle poważniejąc, pochylił się ku niej:

– Wiem, co czujesz, Cechna, ale to ważna sprawa. Mąż Lidii jest bardzo zamożny. Mają jeden z największych zakładów fryzjerskich w Warszawie oraz instytut piękności – cokolwiek to może być. Ona sama wygląda jak gwiazda filmowa. Powiedziała, że może będzie w stanie nam pomóc, jeśli zechcemy się stąd wynieść, i była pewna, że nie powinniśmy z tym zwlekać. Mam wrażenie, że Lidia dużo wie i że to może się nam przydać. To może być bardzo ważny kontakt.

– Czy ona nie wyszła za mąż za Niemca? Coś takiego pamiętam...

– Nie, Eryk naturalizował się wiele lat temu. Kiedy wybuchła wojna, nie podpisał volkslisty, a to mówi samo za siebie.

– Ale co ona sobie o nas pomyśli, kiedy zobaczy ten pokój?

– Pomyśli sobie, że bogaci Dawidowiczowie niezłe podupadli. I taka jest prawda. Zresztą, kto wie, może poczuje się tu jak w domu. Sama zaczynała w takim pokoju, tylko w suterenie. Jej matka narajała służące i zajmowała się stręczycielstwem. To mydło i wodę lawendową Lidia dała dla ciebie. Zaproponowała, żebym jutro się z nią spotkał. Czy mam ją zaprosić do nas na niedzielę?

Mama westchnęła i skinęła głową.

W niedzielę po południu ojciec przyprowadził Lidie. Stała w drzwiach, a ja zamiast grzecznego powitania, podbiegłam i wtuliłam twarz w jej płaszcz. „Miłość od pierwszego wejrzenia” – śmiali się wszyscy. Zażenowana mama przepraszała

za moje zachowanie i zapewniała Lidie, że zwykle jestem nieśmiała wobec gości i nie ma pojęcia, co we mnie wstąpiło.

Lidia była równie wysoka jak ojciec. Stała pośrodku pokoju, uśmiechając się do niego leciutko, kiedy zdejmował z niej płaszcz. Uśmiech miała promienny, duże, niebieskie oczy i włosy w niezwykłym kolorze miodu. Były bardzo długie, splecione w warkocz i tak upięte dookoła głowy, że wyglądały jak lśniąca korona.

W ciemnej pieczarze, jaką był nasz pokój, jaśniała niczym istota z innego świata. Czy oni wszyscy tak wyglądają, ci stamtąd – pomyślałam, zapominając, że zaledwie dwa lata temu my też „tam” mieszkaliśmy i że różnica między nami a nimi, jeśli w ogóle istniała, była raczej natury duchowej niż fizycznej.

Fale rozkosznych zapachów rozeszły się po pokoju. Unosiły się z włosów Lidii, jej sukni i obszytego srebrnym lisem płaszcza. Ukradkiem wtuliłam nos w długi włos, wspominając dzień, kiedy robiłam tak po raz ostatni. Było to w naszym domu, w sypialni rodziców. Czarny, obsyty srebrnym lisem płaszcz leżał przygotowany na krześle. Mama ubierała się przed wysokim lustrem, a ja siedziałam na podłodze, głaszcząc lisa i bawiąc się jego łapkami. Futro wydzielało ostry, nieznany mi zapach i nie mogłam się zdecydować, czy jest miły czy nie. Woń ulubionych perfum mamy wypełniała pokój; były francuskie i nazywały się „Mitsouko”. Rozpierało mnie szczęście, bo właśnie dostałam do zabawy puste, brązowożłote pudełko po flakonie. Siedziałam obserwując, jak mama kończy się ubierać, jak wygładza na biodrach nową, czarną sukienkę i zaczyna wybierać biżuterię. Jeden z pierścionków, z szafirem okolonym diamentami, miał być mój. Mama obiecała mi, że go dostanę, kiedy zdam maturę. Na razie nosiła go sama, ja zaś zadowoliliłam się malutkim szafirem oprawionym w złoty kwiatek. Po prawdzie marzyłam o blaszanym pierścionku z obrazkiem Shirley Temple, takim jaki nosiły moje koleżanki. Ojciec jednak nie chciał o tym słyszeć, a mama na pocieszenie kupiła mi złoty. Nadal wolałam pierścionek z Szirlejką, ale rozumiałam, że tak jak komiksy jest poza moim zasięgiem.

Lidia przyniosła ze sobą duże pudło, które teraz otworzyła i woń Guerlaina ustąpiła zapachowi makowca. Ocknęłam się z marzeń i podeszłam do stołu. Mama podała „herbatę”. Patrzyłam, jak nasz gość uprzejmie popija gorącą wodę zabarwioną kilkoma kroplami skarmelizowanego cukru. Poza namiastką kawy tylko to mogliśmy zaoferować. Rozmowa nie kleiła się. Lidia nie mogła się powstrzymać, żeby nie rozglądać się dookoła; mama obserwowała ją, zaciskając usta, jakby każde spojrzenie Lidii sprawiało jej ból.

Ojciec starał się rozładować atmosferę: zadawał pytania, wspominał dawne czasy, ale wspomnienia, jak się zdawało, były dla wszystkich krępujące. Wreszcie Lidia zaczęła opowiadać o nowszych dziejach i powoli napięcie opadło. Razem z mężem i dwoma

synami wyjechała z Kalisza dwa lata przed wojną. Osiedli w Warszawie, zaczęli skromnie, aż doszli do obecnego majątku. Mieszkali w eleganckiej dzielnicy. Interes kwitł, zakład fryzjerski wzbogacił się o gabinet kosmetyczny i drogerię, w której wciąż można było dostać zagraniczne kosmetyki.

– Jak to możliwe? – dopytywała się mama.

– Tajemnica handlowa – zaśmiała się Lidia. – Powiem ci tylko, że jeśli czegoś potrzebujesz, mogę ci to dostarczyć – francuskie perfumy, kosmetyki, mydło, wszystko.

Mama uśmiechnęła się i pokręciła głową. W tej chwili miała wszystko, czego potrzebowała. Pomyślałam o naszym szorstkim, szarym mydle i poczułam się zawiedziona. A więc będziemy „biedni, ale dumni”. Trudno. Przytuliłam twarz do kolan Lidii, a ona pogłaskała mnie po włosach.

– Chciałabyś mnie odwiedzić i poznać moich chłopców?

Oniemiała z wrażenia skinęłam głową.

– Czy mogę ją zabrać na Boże Narodzenie – zapytała Lidia. Mama spojrzała niepewnie, podziękowała i obiecała, że o tym pomyśli. To mogło być niebezpieczne. Wolałaby nie sprawiać kłopotu.

– Żaden kłopot. Ze mną będzie zupełnie bezpieczna.

Zbliżała się godzina policyjna, ale Lidia wyraźnie się tym nie przejmowała. Teraz wreszcie przemogła się i zaczęła poważną rozmowę. Dlaczego zostaliśmy w getcie? Dlaczego daliśmy się złapać w pułapkę? Jak możemy żyć w takich warunkach?

– Nie mówię o tym pokoju – dodała szybko, widząc, że mama się zarumieniła.

Ojciec pokręcił głową:

– Kochana, masz rację, to wszystko prawda. Ale my nie możemy stąd wyjść. Do tego trzeba mieć fortunę. Fałszywe papiery kosztują. A poza tym trzeba z czegoś żyć. Jeśli nas złapią szmalcownicy, potrzebna będzie druga fortuna, żeby się wykupić. Czy nie rozumiesz, że my w ogóle nie mamy pieniędzy? Gdybyśmy mieli, nie mieszkalibyśmy w tej norze.

Lidia patrzyła z niedowierzaniem.

– Mietek, przecież wy byliście milionerami! Przecież nie mogliście stracić wszystkiego!

Ojciec wzruszył ramionami.

– Nie byliśmy tak bogaci, jak myślisz, zresztą większość majątku była w nieruchomościach. Teraz to wszystko jest niemieckie. Reszta dobytku przepadła w czasie bombardowania Warszawy lub została zarekwirowana w Kaliszu. Różne drobne rzeczy, takie jak biżuteria, straciliśmy, kiedy Zosia próbowała je przemycić przez granicę do Warszawy. Wyprzedajemy resztki i z tego żyjemy. To, co ja zarabiam, nie wystarcza nawet na życie tutaj.

Lidia słuchała z szeroko otwartymi oczami i kręciła głową z niedowierzaniem.

– Musimy coś z wami zrobić – zdecydowała, sięgając po płaszcz. Było już dawno po godzinie policyjnej i ojciec wyraził swoje zaniepokojenie. Z uśmiechem poklepała go po ramieniu.

– Nie martw się. Mam przepustkę. Nic mi nie grozi.

Pozwoliła, żeby odprowadził ją do bramy getta, gdzie machnęła czymś żandarmowi przed nosem i spokojnie przeszła na drugą stronę.

Tej nocy byliśmy zbyt podekscytowani, żeby zasnąć. W pokoju wciąż unosił się cudowny zapach kosztownych perfum, resztki makowca nadal stały na stole. Zamykając powoli oczy, pomyślałam, że dobre wróżki jednak istnieją i że koniec końców świat nie jest tak beznadziejnie zły.



Następnego dnia poszłam do Tosi, żeby jej o tym opowiedzieć. Razem snułyśmy wspaniałe plany na przyszłość. Od poprzedniej jesieni Tosia była moją najlepszą przyjaciółką i nie było dnia, żebyśmy się nie spotkały. Codziennie na przywitanie padałyśmy sobie w objęcia i walczyłyśmy o to, która pierwsza opowie o wszystkim, co się zdarzyło w ciągu kilku ostatnich godzin.

Spotkałyśmy się na małym wieczorku dla dorosłych, gdzie nasze matki odkryły, że znają się z czasów młodości. Chodziły razem do szkoły, ale od tamtej pory nie miały ze sobą kontaktu. Mama Tosi wyjechała z naszego miasta, żeby wyjść za mąż, a Tosia nigdy Kalisza nie odwiedziła. Uznałyśmy tę historię za bardzo romantyczną i postanowiłyśmy kontynuować wielką przyjaźń zapoczątkowaną jakoby przez nasze mamy. Będziemy najlepszymi przyjaciółkami. Oczywiście nasze dzieci podtrzymają tę tradycję, a jeśli będziemy miały chłopca i dziewczynkę, to się pobiorą.

Skoro nasza przyszłość została załatwiona, wróciłyśmy do przeszłości i zaczęłyśmy opowiadać sobie historie z naszego życia. To zajęło nam kilka dni. Potem Tosia nabawiła się przeziębienia, a kiedy wreszcie mogłam ją odwiedzić, spędziłyśmy upojne godziny na uczeniu się nawzajem wszystkich gier, jakie znałyśmy. Potem przyszedł czas na książki. Okazało się, że póki byłyśmy małe, czytałyśmy niemal to samo, ale od tamtej pory przeczytałam dużo więcej niż Tosia. Tak więc przez następne tygodnie opowiadałam jej o moich ulubionych autorach i powieściach. Byłam akurat pogrążona w lekturze *Trylogii*, a ojciec, który znał całe ustępy na pamięć, tłumaczył mi ukraińskie zdania, ucząc mnie przy okazji ukraińskich i rosyjskich pieśni. Potem zajęłyśmy się teraźniejszością: solennie poprzysięgłyśmy, że żadna z nas nigdy nie będzie miała innej „najlepszej przyjaciółki”, wyrzekłyśmy się wszystkich dawnych i obecnych przyjaźni i – za moją namową – postanowiłyśmy przypieczętować ten pakt krwią.

To była ciężka próba. Tosia, w której pokoju odbywało się to wszystko, przyniosła brzytwę swojego ojca. Ścisnęłam opuszek środkowego palca i lekko dotknęłam go ostrzem.

– Bardzo proste, wystarczy pociągnąć raz brzytwą, o tak...

Pociągnęłam brzytwą po czubku palca, ale ręka mi drgnęła i nagle... krew była wszędzie. Tosia krzyknęła, a ja otrząsnąwszy się szybko z pierwszego szoku, a nawet czując ulgę, że mam to już za sobą, zaśmiałam się niepewnie i wytarłam rękę chusteczką.

– Szybko, teraz ty – ponagliłam Tosię, podając jej brzytwę. Ona jednak cofnęła się z przerażeniem. Bała się krwi.

Ku mojemu rozczarowaniu usiadła i rozplakała się, a ja zaczęłam tracić cierpliwość. W końcu zamknęła oczy i wyciągnęła ku mnie drżącą rękę z wysuniętym palcem.

– Ty to zrób, nie będę patrzyła – oświadczyła.

Teraz z kolei mnie opuściła odwaga.

– Nie, ja nie mogę, musisz sama. Inaczej się nie liczy.

Tosia załkała.

– Zrób to dla mnie, pokaż mi, że mnie kochasz. Nie kochasz mnie? Wiedziałam!

Odwrociłam się od niej z miną, która miała wyrażać oburzenie, i ssąc palec, przytuliłam twarz do szyby. Za moimi plecami rozległo się głębokie westchnienie. Zerknęłam przez ramię.

Tosia stała, trzymając brzytwę w zwisającej bezwładnie ręce, a z drugiej ręki krew kapiała jak z kranu. Popatrzyła na mnie ze zgrozą i w tej samej chwili, kiedy do niej dobiegłam, zemdląca.

Zanim ją ocuciłam, palce przestały nam krwawić i trzeba było je ścisnąć, żeby wycisnąć po kropli. Z trudem powstrzymując mdłości, wysłałam kroplę krwi z jej palca, a ona – z mojego. Ucałowaliśmy się i przysięgaliśmy przyjaźń aż po grób.

Wróciłam do domu, czując jak ciężar odpowiedzialności uciska mi serce. Zrobiłam coś, od czego nie było odwrotu. Nigdy nie będę miała innej przyjaciółki i nigdy nie będę mogła zerwać przyjaźni z Tosią. Niepokój i osobliwe pragnienie, by zrzucić te nowe więzy, zmąciły radość z posiadania przyjaciółki, której nikt mi nie odbierze.

Rodzice lubili Tosię, choć nie mogli pojąć, o czym rozmawiamy, spotykając się dzień po dniu. Mama często irytowała się, widząc, jak popołudniami odrabiam lekcje w pośpiechu lub wykręcam się od pomagania w domu, żeby tylko nie opuścić naszego spotkania. Kiedy się spóźniałam, Tosia wpadała zdyszana, dopytując się, co się stało. Zwykle spotykaliśmy się w połowie drogi, przed sklepem papierniczym. Następnie szliśmy ulicą, objęte, głowa przy głowie, opowiadając sobie szeptem o wszystkim, co się zdarzyło od wczoraj.

Ojciec rozgniewał się, kiedy nas tak raz zobaczył na ulicy. Zabronił mi spacerowania z Tosią w ten sposób, twierdząc, że to nieprzyzwoite. Nie mogłyśmy zrozumieć, co to ma wspólnego z przyzwoitością, ale nie odważyłyśmy się oponować. Mógł nam przecież w ogóle zabronić widywania się. Mama, kiedy tylko zrozumiała, jak bardzo zależy mi na codziennych spotkaniach z Tosią, od razu uczyniła z tego straszak: w razie najmniejszego nieposłuszeństwa, groził mi areszt domowy lub przynajmniej zakaz rozmawiania z Tosią, jeśli się spotkamy. Musiałam go respektować, tak samo jak wcześniej zmuszona byłam spędzać smętne godziny przed biblioteczką, głaszcząc grzbiety książek, ale nie mogąc ich czytać.

Raz, kiedy ta groźba została wcielona w życie i zostałam zatrzymana w domu, Tosia

rozchorowała się i jej mama przyszła, żeby poprosić rodziców o uchylenie zakazu. Z nienawiścią słuchałam, jak się za mną ujmuje. Mama wydawała mi się okrutnym strażnikiem, zdolnym poświęcić życie Tosi, a mnie pozbawić jedynej radości, byle tylko zaspokoić swoją ambicję i potrzebę absolutnej władzy. Poczułam się więc nieco rozczarowana, kiedy choroba Tosi okazała się kolejnym przeziębieniem, wykorzystanym jako pretekst, żeby się ze mną zobaczyć.

Mama, zaniepokojona tymi częstymi przeziębieniami, zapytała mnie, czy Tosia popołudniami mierzy sobie temperaturę. Zapytałam Tosię wprost, czy ma gruźlicę, a ona zalała się łzami. Zdziwiła mnie ta reakcja. Nie było czego się wstydzić. Wielu ludzi chorowało na gruźlicę. Właściwie była to raczej pożądana przypadłość. Interesująca bladość, troszkę kaszlu i od czasu do czasu plamka krwi na przyciśniętej do ust koronkowej chusteczce. Wiele bohaterek moich lektur miało gruźlicę i w niczym im to nie przeszkadzało – każda prowadziła ekscytujące życie i była do szaleństwa kochana przez swojego wybranka. Co prawda aura tajemniczości i kruchości, jaka zawsze otaczała te kobiety, nie bardzo pasowała do solidnie zbudowanej i z natury hałaśliwej Tosi. Ofiara gruźlicy nie mogła być taka rumiana, nie mogła mieć takich błyszczących oczu ani malinowych ust. Nawet Tosine włosy wyglądały zbyt zdrowo. Były złote, lśniące i tak kędzierzawe, że ich rozczesanie, wyszczotkowanie i zaplecenie w dwa ciasne, sterczące sztywno na boki warkoczyki zajmowało co rano bitą godzinę.

Wyjaśniłam to wszystko Tosi, ale ona wciąż czuła się urażona i przez pewien czas nie chciała widywać mamy. Ojca za to uwielbiała nie mniej niż ja. Jej tata był bezbarwnym, cichym mężczyzną, dużym i ociężałym. Nie rozumiałam, jak to możliwe, że nigdy nie grał z nią w żadne gry, tak jak mój tatuś ze mną, i nigdy, nawet kiedy była mała, nie opowiadał jej bajek ani fantastycznych, awanturnicznych historii. Tosia była za to bardzo zżyta ze swoją matką, której powierzała wszystkie sekrety, opowiadała o planach, przyjaciółkach i marzeniach. Ten rodzaj stosunków był, według mnie, wbrew wszelkim zasadom, ale nie potrafiłam jej przekonać, że nasze wspólne rozmowy powinna zachowywać w absolutnej tajemnicy.

Tosia, która była raczej nieśmiała, w obecności ojca traciła całą swoją nieśmiałość i nawet pozwalała, żeby ją brał na kolana, kiedy opowiadał nam różne historie, śpiewał albo recytował absurdalne wiersze wymyślane specjalnie po to, żeby nas rozbawić. Jedną z naszych ulubionych gier polegała na tym, że należało w 15 minut ułożyć piosenkę albo wiersz – im śmieszniejsze tym lepiej – z czterema przypadkowo dobranymi rzeczownikami, każdy podany przez inną osobę, żeby na pewno nie miały ze sobą nic wspólnego. Tosi rzadko udawało się coś napisać, ale ja świetnie się przy tym bawiłam. Gry językowe, w które grałam z ojcem od najmłodszych lat, nie były jej

domeną. Celowała za to w matematyce. Ojciec często pomagał jej w lekcjach. Ku mojemu zdumieniu Tosia świetnie rozumiała jego wywody, uważała, że tłumaczy jasno i jest bardzo cierpliwy. Nie bała się go, jak ja w takich sytuacjach, i oboje razem z przyjemnością rozwiązywali algebraiczne łamigłówki, które dla mnie były zupełną abrakadabram. Wiedziałam, że ojciec jest tym nieco rozczarowany, jak zawsze, kiedy wypadałam gorzej niż moi rówieśnicy. W tym wypadku było to dla mnie szczególnie bolesne: we wszystkich szkolnych przedmiotach górowałam nad Tosią, której trudniej przychodziło uczenie się nowych rzeczy. Jedynym wyjątkiem była matematyka – ulubiony przedmiot mojego ojca.

Po pierwszych miesiącach trochę ochłonęłyśmy i nasza przyjaźń przybrała spokojniejszą formę. Ja stałam się niekwestionowanym przywódcą, a Tosia wiernie za mną podążała. Była bojaźliwa, niesamodzielną i łagodną, co wielokrotnie prowokowało mnie, by wystawiać na próbę jej przywiązanie i sprawdzać, jak daleko mogę się posunąć w nadużywaniu swojej władzy.

Kilka dni po wizycie Lidii, dawno po godzinie policyjnej, pod nasz dom podjechał samochód. Na odgłos dzwonka u bramy ludzie, którzy wciąż jeszcze znajdowali się na podwórku, rozbiegli się w popłochu. Podbiegliśmy do okna. Wizyta o tej godzinie mogła oznaczać tylko kłopoty. Dozorca pospieszył otworzyć bramę i zobaczyliśmy dwóch mężczyzn w długich, skórzanych płaszczach. Weszli na podwórko, dźwigając między sobą kufer.

Setki par oczu śledziły z okien, jak maszerują wprost do naszej klatki schodowej. Rozległo się łomotanie do drzwi. Ojciec otworzył. Dwaj mężczyźni weszli do naszego pokoju, postawili kufer i bez słowa wyszli. Otworzyliśmy kufer. Był wypełniony żywnością. Siedzieliśmy na podłodze, patrząc w osłupieniu na te skarby. Była tam mąka, kasza gryczana, fasola, groch, ryż, cukier, sól, kakao, herbata i kawa. Były czekolady, suszone owoce, orzechy i rodzynki.

Kiedy wreszcie mama podniosła się z kolan, twarz miała rozpromienioną. Przytuliła mnie do siebie i objęła ojca. Nagle znów wyglądała młodo i beztrosko jak podczas tych dawno minionych dni, gdy po powrocie z parku zastawałam ją grającą na pianinie i śpiewającą jakieś modne przeboje. Siadałam wtedy na podłodze, obejmowałam jedną z kariatyd podtrzymujących instrument i słuchałam muzyki z radosną świadomością, że to jeden z dobrych dni: kiedy ojciec wróci do domu, cały wieczór będą się śmiać, żartować i wymieniać pocałunki, a potem razem wyjdą do kina czy teatru albo pójdą do klubu na dancing, wrócą późno i obudzi mnie ich śmiech.

Podarunek Lidii przywrócił na chwilę ten szczęśliwy nastrój. Dawał nadzieję, że przez kilka miesięcy, może nawet przez rok, mama nie będzie musiała wyprzedawać ubrań. Za pieniądze na utrzymanie kupi owoce, warzywa i słoninę, którą zesmaży i przechowa w słoikach. I masło, które za poradą pani Kraut klarowała i zlewała do słoików, aby potem używać go do gotowania. Teraz mogliśmy bez lęku myśleć o nadchodzącej zimie. Najważniejsze jednak było poczucie, że nie jesteśmy sami, odcięci od świata i wszelkiej pomocy.

Tydzień później Lidia przyszła ponownie. Śmiała się radośnie, kiedy próbowaliśmy jej podziękować. Znowu przyniosła ogromne pudło ciastek z kremem i tym razem decyzja zapadła – Boże Narodzenie spędzę w jej domu.

Im bliżej był ten wielki dzień, tym bardziej byłam podekscytowana i kiedy mama jak zwykle straszyla, że odwoła wizytę, truchlałam z przerażenia. Zaczęłam nawet podejrzewać, że mama nie chce mnie puścić. Odsunęłam tę myśl jako absurdalną, ale cień wątpliwości pozostał, przez co jeszcze bardziej pragnęłam poznać rodzinę Lidii. Pewnego dnia Lidia zjawiła się wcześniej rano, wzięła teczkę z moimi rzeczami

i trzymając się za ręce, wyszliśmy z getta.

Nikt nas nie zatrzymał, kiedy przechodziłyśmy przez silnie strzeżoną bramę. Żandarm rzucił okiem na popielicowe futro i odwrócił się plecami, a „granatowy” policjant popatrzył w drugą stronę. Lidia zatrzymała dorożkę i przez śnieżną kurzawę ruszyliśmy do domu.

Następne dni przeżyłam w zdumieniu i zachwycie. Byłam idealnie posłuszna i bez słowa wykonywałam wszelkie polecenia, całą uwagę skupiając wyłącznie na chłonięciu atmosfery i rozkoszowaniu się każdą chwilą. Nocami przesiadywałam na tapczanie, nie mogąc zasnąć z podniecenia.

Mieszkanie wydawało mi się ogromne i bardzo wygodne. Meble różniły się od wszystkich, jakie dotąd widziałam. Były „nowoczesne”, wyjaśniła Lidia. Dowiedziałam się też, że ciemne, ciężkie i bogato zdobione meble, które pamiętałam z domu, były „strasznie niemodne”. Tu wszystko wyglądało na lżejsze i prostsze. Na lśniących powierzchniach leżały tafle przezroczystego szkła, dywany były w pastelowych kolorach, ściany gładkie bez żadnych deseni. Tylko kolekcja kryształów i porcelany ustawiona w pokoju stołowym wyglądała znajomo, a srebrna patera na owoce, którą przyniosłam w prezencie, pięknie odbijała się w szklanym blacie stołu.

Wygląd Eryka był dla mnie zaskoczeniem. Wyobrażałam go sobie jako wysokiego blondyna, bardzo przystojnego, pasującego do Lidii. Średniego wzrostu, krępy brunet miał czarne oczy i skłonność do jąkania. Choć życzliwy, nie był zbyt zainteresowany ani mną, ani chłopcami, toteż większość czasu bawiła się z nami Lidia.

Co do Pawła i Tomka, to po pierwszych dziesięciu minutach nieśmiałego powitania staliśmy się nierozłączni. Kiedy odkryliśmy z Pawłem, iż nasze urodziny przypadają tego samego dnia – choć z różnicą jednego roku – uznaliśmy, że jesteśmy bliźniakami. W związku z tym on wymagał, abym poświęcała mu całą uwagę, i robił awantury, kiedy próbowałam się bawić z jego bratem. Był chudym chłopcem z dużymi, niebieskimi oczami, okrągłą, piegowatą buzią i rudawą czupryną. Był nerwowy i wybuchowy, wymagający i zazdrosny. Przyzwyczał się, że zawsze wodzi prym i wpadał w pasję, kiedy nie mógł postawić na swoim. Nie było wątpliwości, że jest ulubieńcem matki, i z nieskrywanym lekceważeniem odnosił się do ojca i do Tomka. Byłam zdumiona, widząc jak różnie są traktowani obaj chłopcy.

Tomek, dwa lata młodszy od Pawła, zdawał się żyć w bezustannym lęku przed matką. Był jasnowłosy, delikatny i dziwnie nieśmiały, jakby przygaszony. Buzię miał ładną, dziecięcą, a oczy tak samo melancholijne jak jego ojciec, tylko niebieskie. Po Eryku odziedziczył też dołek w brodzie i dołeczki w policzkach, i mimo różnego

koloru włosów było między nimi uderzające podobieństwo. Paweł, przeciwnie, nie przypominał żadnego z rodziców.

Bardzo szybko zostałam poinformowana, że Tomek jest opóźniony i głupi, i że mama posłała go do szkoły tylko dlatego, że tata nalegał. Nie brał korepetycji z niemieckiego ani francuskiego tak jak Paweł ani nie uczył się grać na pianinie. Poza tym, jeśli będzie nieposłuszny, mama go zastrzeli. Był o tym święcie przekonany i wydawał się pogodzony z losem.

Rankami, kiedy w pokoju zjawiała się Lidia, Paweł biegł do niej z wyciągniętymi rękami, Tomek zaś z niepewnym uśmiechem obserwował ich, jak się tulą i całują, lecz sam trzymał się na uboczu. Wodził tylko za Lidią tęsknymi oczami, ale nie podchodził do niej, póki nie został zawołany. Powiedziano mi, żebym nie zwracała na niego uwagi i tak właśnie robiłam, odkąd zobaczyłam, jakie sceny urządza Paweł, kiedy proponuję, żeby włączyć Tomka do naszych zabaw.

Paweł był porywczy i wybuchowy, ale też bardzo muzykalny. Lidia postanowiła, że zostanie pianistą wirtuozem. W kręgu jej znajomych już teraz miał opinię młodego geniusza. Nigdy nie trzeba było zaganiać go do grania lub ćwiczenia gam. Przeciwnie, często musieliśmy go błagać, żeby przestał.

Dzień przed Bożym Narodzeniem przyniesiono wielki świerk, który stanął w jadalni. Cały dom wypełnił się zapachem lasu. Spędziliśmy cudowny wieczór, rozpakowując pudła z najwspanialszymi świecidełkami i zabawkami, jakie kiedykolwiek widziałam, podczas gdy Lidia i Eryk, przycupnięci na drabinach, zawieszali je na świerkowych gałęziach. Kiedy choinka była gotowa, nawet dorośli roześmiali się z radości, nasza trójka zaś padła sobie w objęcia, bo z nadmiaru szczęścia zabrakło nam słów.

Kiedyś często przyglądałam się tęsknie jasno oświetlonym choinkom widocznym przez zamknięte okna. Należały do symboli „innego” świata, z którego byłam wykluczona. Teraz wreszcie i ja miałam swoją choinkę.

Kiedy zapadła noc, zakradłam się na palcach do jadalni i usiadłam na dywanie wpatrzona w cudowne zjawisko.

Kotary były odsłonięte i w jasnym świetle księżyca choinka skrzyła się pod kaskadą srebrzystych anielskich włosów; błyszcząły złote orzechy włoskie i sosnowe szyszki; każdą barwną błyskotkę otaczała tajemnicza poświata; drobne czerwone jabłuszka i cukierki w jaskrawych papierkach, miniaturowe zabaweczki z waty, słomek i wydmuszek, papierowe łańcuchy i srebrne dzwonki spływały spod gwiazdy lśniącej wysoko pod sufitem w dół, ku mnie zapatrzonej w niemym zachwycie.

Było jak w bajce. Gdyby któraś z zabawek nagle do mnie przemówiła, wcale

by mnie to nie zdziwiło. Żałowałam tylko, że rodzice nie mogli tego zobaczyć. Gdyby tylko byli tu ze mną choć przez chwilę, byłabym najszczęśliwszym dzieckiem na świecie – pomyślałam, układając się pod najniższymi gałęziami, gdzie skulona w kłębek zasnęłam.

Tradycyjna kolacja wigilijna była uroczystą ceremonią. Zgromadziła się liczna rodzina Lidii – Eryk widocznie nie miał żadnych krewnych – a długi wieczór zakończył się łzami, kiedy dzieliliśmy się opłatkiem, życząc sobie wszystkiego najlepszego. Lidia łatwo wpadała w złość lub wybuchwała śmiechem i równie łatwo i niespodziewanie zalewała się łzami. Teraz obchodziła stół dookoła, dzieląc się opłatkiem, na przemian rozdając pocałunki i płacząc. Od czasu do czasu wybuchwała śmiechem, zapewniając nas, że bynajmniej nie jest nieszczęśliwa, a tylko wzruszona uroczystością.

Po kolacji przyszła pora na prezenty. Patrzyłam na złote zegarki, wieczne pióra i aparaty fotograficzne i moje myśli powędrowały z powrotem za mur. Jak długo moglibyśmy przeżyć za pieniądze ze sprzedaży jednego z tych prezentów? Zawstydzona, że jestem taką materialistką, sięgnęłam po moje paczki. Dostałam lalkę, kilka książek i domowe pantofle.

Paweł siedział jak odurzony pośrodku istnego sklepu z zabawkami. Tomek też dostał kilka pięknych zabawek, ale co dziwne, były one odpowiednie dla dużo młodszego dziecka. Uśmiechał się z zakłopotaniem, oglądając klocki i bąka i wyszeptał mi do ucha, że to samo dostał w zeszłym roku. Czyżby Świętemu Mikołajowi zabrakło pomysłów? Jednym z najbardziej udanych prezentów okazały się sanki od Eryka. Były dostatecznie długie, by pomieścić całą naszą trójkę, i następnego dnia poszliśmy ze służącą Marysią na dwór, żeby je wypróbować. W okolicy było wiele stromych stoków, spędziliśmy więc szalone popołudnie, pchając i ciągnąc sanki, zjeżdżając w dół i wzbijając tumany śniegu, aż zupełnie opadliśmy z sił.

Kiedy zaczęło się ściemniać, ruszyliśmy do domu, zmęczeni i szczęśliwi, Tomek i ja jechaliśmy na sankach, Paweł pchał, a Marysia ciągnęła. Na każdym rogu zamienialiśmy się miejscami, żeby każdy mógł się przejechać. Niedaleko domu natknęliśmy się na grupę uliczników. Popatrzyli na nasz wspaniały pojazd, potem na nas. Instynktownie odwróciłam głowę, ale było już za późno. Z okrzykami „To Żydówka!” wszyscy zaczęli skakać dookoła, wrzeszcząc i pokazując nas palcami. Paweł, czerwony z oburzenia, przyskoczył do najbliższego chłopca. Cała grupa rzuciła się do ucieczki, a on popędził za nimi.

Zastygliśmy w bezruchu. Marysia obrzuciła mnie długim, uważnym spojrzeniem. Tomek siedział w milczeniu, wpatrując się w swoje buty. Całym sercem pragnęłam znaleźć się z powrotem za Murem.



Paweł wrócił zdyszany, łzy spływały mu po twarzy. Nie dogonił żadnego z wyrostków – na całe szczęście, bo wszyscy byli więksi od niego. Usiadł na sankach, szlochając z wściekłości. Czekałam na nieuchronne pytanie i zastanawiałam się, co mam odpowiedzieć. Kiedy padła pierwsza obelga, Paweł krzyknął, że jestem jego siostrą. Teraz nawet nie przyszło mu do głowy, żeby o coś pytać. Myśl, że mogłabym być Żydówką, była zbyt niedorzeczna.

Zostałam z nimi jeszcze tydzień, na tyle długo, żeby napięta atmosfera między Lidią a Erykiem zaczęła odbijać się na mnie tak samo jak na chłopcach. Zaczęłam dostrzegać, jakie pokłady nienawiści drzemały pod gładką powierzchnią, którą prezentowali światu.

Lidia całkiem otwarcie mówiła o swoim przyjacielu, z którym spędzała większość czasu, i zaczynałam wierzyć, że naprawdę nie cierpi Eryka i Tomka, jak nam to po wielokroć powtarzała. Pawła z jakiegoś tajemniczego powodu traktowała, jak gdyby nie należał do tej samej rodziny, ale wyłącznie do niej. Zdawało się, że Eryk i Tomek byli dla niej ciężarem, który na razie jeszcze musi dźwigać, ale wkrótce ich opuści i zamieszka ze swoim przyjacielem, a Pawła zabierze ze sobą.

Po powrocie do domu zachowałam te spostrzeżenia dla siebie i opowiadałam wyłącznie o tym, jak się świetnie bawiłam, o mieszkaniu, choince i zabawkach, i o komfortowym, spokojnym życiu po „tamtej stronie”.

Lidia odwiedzała nas teraz regularnie i wkrótce dowiedzieliśmy się wszystkiego o jej przyjacielu. Był niemieckim oficerem. Wysoki i przystojny, miał jasne włosy i oczy koloru morza. Byli bardzo zakochani, czekali tylko, aż Niemcy wygrają wojnę, żeby wyjechać z Polski i zamieszkać razem we Włoszech.

Tak bym chciała, żebyście go poznali – powtarzała Lidia z błyskiem w oczach. – Jest to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego spotkałam. Zupełnie inny typ niż ty, oczywiście – uśmiechała się do ojca, który w milczeniu pochylał głowę w podziękę za komplement – w tym swoim pięknym mundurze wygląda jak bóg wojny, a oczy ma zimne i głębokie jak morze.... Potem wybuchała śmiechem i przyznając, że my akurat niekoniecznie musimy doceniać walory jej przyjaciela, szybko zmieniała temat.

Z nadejściem wiosny przeludnienie pobiło nowy rekord. W getcie było teraz ponad 400 tysięcy mieszkańców. Niektóre węższe ulice stały się praktycznie nie do przejścia. Niemal wszędzie chodziło się powoli, trzeba było przepychać się i przeciskać przez tłum, wzdragając się na myśl o tych wszystkich zawszonych płaszczach ocierających się o nasze ubranie. Wszędzie napotykało się ulicznych handlarzy, którzy stojąc na krawężnikach albo w rynsztokach, sprzedawali dosłownie wszystko, nawołując i śpiewnie zachwalając swoje dobra, łapiąc za rękawy i podtykając nam pod nos najprzeróżniejsze towary. Z dnia na dzień przybywało sprzedawców opasek. Mieli bogaty asortyment: tanie papierowe opaski, praktyczne z celuloиду, które można było myć, i luksusowe, satynowe opaski z wyszytą granatowym jedwabiem gwiazdą. Po rodzaju opaski można było niemal bezbłędnie określić status i zasobność osoby.

Cały ten wrzaskliwy tłum nieodmiennie mnie fascynował, ale moje szczególne zainteresowanie budziły przekupki z bajglami. Taszczyły przykryte białym płótnem kosze ze świeżymi, ciepłymi bajglami, których zapach sprawiał, że ślinka szła mi do ust. Od czasu do czasu mama dawała się namówić na jednego. Dzieliłyśmy się nim, torując sobie drogę przez tłum.

Ale jedzenie na ulicy stawało się coraz bardziej krępujące wobec tylu głodnych oczu świdrujących z każdej strony i tylu rąk wyciągających się po jałmużnę. Na ulicach roiło się od żebraków. Stali na środku lub podpierali ściany, z czapką lub miseczką przy boku, zawodząc każdy na swoją nutę lub patrząc przed siebie w milczeniu, jakby byli w transie. Nauczyliśmy się rozpoznawać ich twarze i śledziliśmy zachodzącą w nich przemianę. Pojawiali się na naszej ulicy nagle, często byli porządnie ubrani. Zażenowani, stali w milczeniu z rękami w kieszeniach, jakby tylko przystanęli na chwilę, żeby popatrzeć na tłum. Stopniowo na tej fasadzie pojawiały się rysy. Zaczynali chwytać przechodniów za rękawy, szepcząc coś poufnie i – przestraszeni własną odwagą – od razu przeprasza. Przyzwyczajaliśmy się do ich widoku, nauczyliśmy się mijać ich pospiesznie, odwracając wzrok. Potem przychodziło następne stadium. Teraz siedzieli na chodniku, ich odzież była zaniedbana, rysy twarzy rozmywały się i zastygały w otępieniu. Od tego momentu proces postępował błyskawicznie. Robili się coraz chudszy i chudszy, aż wyglądem przypominali szkielety, albo puchli groteskowo, a ich ciała pokrywały się wielkimi bąblami, które niebawem zaczynały ropieć. Kiedy opuchlizna ustępowała, zostawał tylko worek skóry luźno okrywający kości. Potem znikali, a ich miejsce natychmiast zajmowały kolejne widmowe postaci, które w szybszym lub wolniejszym tempie ulegały tej samej nieuchronnej przemianie.

Było ich tak wielu. Za każdym razem, kiedy wychodziliśmy z domu, potykaliśmy się o ich ciała. Każdego ranka wzdłuż ulic leżały zwłoki odarte z tych paru łachów, które mieli na sobie w chwili śmierci, przykryte płachtami papieru, przyciśnięte kilkoma cegłami. Wiatr szarpał płachtami, zdzierał je i odsłaniał powykręcane, umęczone i skurczone kształty.

Na ten widok nie odwracałam wzroku, ale to, na co patrzyłam, przestało do mnie docierać. Odsuwałam myśli na ten temat, stanowczo zabraniając sobie wszelkich uczuć. Przystępując nagie szkielety, przyglądałam się im uważnie, lecz obojętnie. Jak umarli z katolickiego cmentarza w Kaliszu – należeli do innej rasy i nigdy nie istnieli w innej postaci. Bałam się tylko i oddalałam pospiesznie, kiedy jakaś porządnie ubrana osoba – często lepiej ubrana niż ja – podsuwała mi rękę pod nos. Jeśli ktoś wyglądający całkiem normalnie, tak samo jak my, stał tu i żebrał – czy to był pierwszy krok? Nie! Potrząsałam głową i z całych sił skupiałam myśli na czymś innym.

Tej wiosny chodziliśmy często w odwiedziny do cici Loni. Ciocia Lonia była przyrodnią siostrą mamy. Mimo usilnych zapewnień, że wszystkie dzieci w rodzinie traktowano jednakowo, nie ulegało wątpliwości, że mama i wujkowie byli związani z rodzicami w inny sposób niż ciocia, której matka umarła na kilka lat przedtem, nim moja mama przyszła na świat. Bez względu na to, co dzieliło obie dziewczynki w dzieciństwie, ich późniejsza rywalizacja stanowiła niewyczerpane źródło kawiarnianych plotek w Kaliszu. Ja zauważałam przede wszystkim różnicę w ich wyglądzie. Obie miały najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu, ale mama miała zgrabną figurę, wąską talię, smukłe kostki i drobne nadgarstki. Miała okrągłą twarz o bardzo regularnych rysach, poruszała się zwinnie i z wdziękiem. Wyglądała młodo jak na swój wiek, więc często brano nas za siostry.

Ciocia Lonia sprawiała wrażenie, jakby była wyciosana z omszałego kamienia. Jej figura, od krogulczego nosa po muskularne łydki, składała się z samych perspektywicznych skrótów. Nogi i ręce miała gęsto owłosione i wyobrażałam sobie, że ten czarny zarost pokrywa także resztę jej ciała.

Tak jak ciocia była kanciasta, tak jej mąż, wuj Jerzy, był miękki i okrągły jak balon. Nosił luźne ubrania, które opływały jego korpulentną postać, nie wyjawiając jej kształtów. Oczy, skryte za grubymi szklami binokli, były bladoniebieskie, o mętym spojrzeniu, a twarz różowa i zawsze gładko wygolona. Wuj Jerzy był człowiekiem interesu i świetnie mu się powodziło. Przed wojną on i ciocia Lonia zajmowali duże (dużo większe od naszego) mieszkanie w centrum miasta. Było ono miejscem spotkań żydowskich intelektualistów, którzy schodzili się tam regularnie na dyskusje i wieczorki muzyczne. Moi rodzice byli rzadko zapraszani i raczej nie składano sobie

wizyt z wyjątkiem przyjęć urodzinowych.

Rodzina nie mogła wyjść ze zdumienia, że tak nieatrakcyjna fizycznie para mogła wydać na świat takiego uderzająco pięknego potomka.

Rysio był jakieś cztery lata starszy ode mnie i pod każdym względem bardziej udany, co było nie do zniesienia. Nigdy nie mogłam nadażyć za tokiem jego wywodów ani zrozumieć jego dowcipów, on zaś znajdował wielką przyjemność w dręczeniu mnie na wszelkie możliwe sposoby. Wchodziłam do ich domu niemal z takim samym strachem, z jakim szłam do dentysty, spodziewając się, że Rysio wyskoczy zza drzwi w przebraniu Indianina lub będzie strzelał z kolta jak kowboj. W trakcie wizyty byłam na przemian chwyтана na lasso, przywiązywana do pała, strzelano do mnie z łuku strzałami o gumowych grotach lub wyrzucano mnie z pędzących sań wilkom na pożarcie. Goście na przyjęciach u Rysia byli głównie rodzaju męskiego, a jedna czy dwie kuzynki, także starsze ode mnie, z chęcią przyłączały się do zabawy. Ja nieuchronnie zostawałam ofiarą i szczerze tego nienawidziłam. Zdarzało się, że w nagłym przypływie rycerskości Rysio przybywał mi na ratunek. Niestety szlachetny zapał nie trwał długo. Tak więc Rysio uwalniał mnie z rąk gorliwych oprawców z okrzykiem „kobiety nie bij nawet kwiatem... tylko z doniczką”, po czym sam poddawał mnie nowym torturom.

Opowieści o jego szkolnych sukcesach krążyły w rodzinie z ust do ust. Wychowany przez cudzoziemskie niańki i guwernantki, biegle władał trzema językami i – jak mi mówiono – miał dni niemieckie i francuskie, kiedy w domu nie mówiono innym językiem. Jego zabawki były dobierane ze względu na kreatywne i edukacyjne walory, jego zachowanie i zainteresowania – bezustannie analizowane w poszukiwaniu oznak geniuszu.

Mama mówiła o nim z mieszaniną dumy, zazdrości i złośliwości w głosie, przy czym proporcje zależały od stopnia zażyłości słuchaczy. Duma z utalentowanego siostrzeńca przeważała w rozmowach z obcymi, złośliwość rosła proporcjonalnie do stopnia zażyłości. Bliskim przyjaciółom zwierzała się, że straciła nadzieję na normalny rozwój Rysia, od kiedy ciocia Lonia zadzwoniła do niej z wiadomością, że dziecko narysowało idealne kółko i wobec tego zostanie inżynierem!

To wszystko jednak działo się na długo przed wojną. Wiosną 1939 roku Rysio zachorował. Kiedy miejscowy doktor rozpoznał zapalenie opon mózgowych, rodzina zjednoczyła się w rozpacz. Sprowadzono z Wiednia znakomitego specjalistę i dwie pielęgniarki, mieszkanie zamieniło się w szpital. Przez długie tygodnie ciocia Lonia siedziała przy łóżku Rysia bez ruchu, nie odzywając się do nikogo. Wuj Jerzego widziano czasami w mieście, jak snuł się osowiały, załatwiając interesy lub

z zaczerwienionymi oczami siedział nad filiżanką kawy w pobliskiej kawiarni.

Zapalenie opon mózgowych było poważną chorobą, która jeśli nie zabiła, to niemal zawsze „zostawiała ślad”. Kiedy wreszcie przyszła wiadomość, że pierwsze niebezpieczeństwo minęło, każdemu w rodzinie cisnęło się na usta to samo niewypowiedziane pytanie. Zabrakło jednak czasu, by znaleźć na nie odpowiedź. Rysio został wysłany z ciotką i pielęgniarką za granicę na rekonwalescencję. Kiedy wrócili, lato miało się ku końcowi i zaczęła się wojna.

W ciągu następnego miesiąca rzadko się widywaliśmy. Dopiero w 1941 roku, kiedy wuj Jerzy zdecydował się zabrać rodzinę z „tamtej strony”, w zamkniętym świecie getta więzy rodzinne znów się zacieśniły.

Wujowi i tu wiodło się w interesach. Napomykał o tym ogólnikowo, wbijając wyblakłe oczy w jakiś punkt ponad głową rozmówcy. Interesy, choć tajemnicze, ewidentnie szły dobrze. Stać ich było na duży, słoneczny pokój w „lepszej” części getta. W ich mieszkaniu była łazienka z piecykiem gazowym, nowoczesna kuchnia i sprawna ubikacja. Cały dom był jasny i świecił czystością. Właścicielami mieszkania byli zamożni przedsiębiorcy, którzy podzielali zainteresowania ciotki Loni i wciągnęli ją w bujne życie towarzyskie. Odbywały się przyjęcia i eleganckie podwieczorki, rozmowy i debaty, podobne do tych, które słyszało się w ich przedwojennym „salonie”. Była też muzyka. Apropozycja najwyraźniej nie stanowiła problemu, a garderoba ciotki Loni zdawała się nienaruszona.

Mamę zapraszano często; teraz, kiedy jej pozycja ukochanej młodszej córki straciła na znaczeniu, doceniano jej błyskotliwość i dowcip. Babcia traktowała pasierbicę szczególnie łaskawie, gdyż ta nigdy nie przychodziła w odwiedziny z pustymi rękami. Jej własna córka zaś prosiła czasem matkę o jakieś stare ubrania, ale sama nie była w stanie niczym się odwdziżyć.

Ciocia Lonia w zaciszu swego ciepłego, wygodnego pokoju mogła sobie pozwolić na szczodroliwość. Cieszyłam się na każdą wizytę w ich domu i choć rozmowy wydawały mi się nudne, obfite podwieczorki i cud sprawnej łazienki wynagradzały mi tę nudę z nawiązką. Rysio także się zmienił i kontakty z nim stały się dużo łatwiejsze. Gruby i hałaśliwy dzieciak wyrósł na wysokiego, szczupłego chłopca. Zrobił się poważny i niezgrabny w ruchach, ale zostały mu te same wielkie, czarne oczy z nadzwyczaj długimi rzęsami, które kiedyś uprawiały nasze nianie w ekstazę. Spojrzenie miał jednak mętne, tak jak jego ojciec. Poruszał się dziwnymi, nagłymi ruchami, wyrzucając stopy bez koordynacji, jakby chodzenie przestało być dla niego naturalną czynnością. I do tego całe dni ślęczał nad książkami.

Ciocia Lonia zdecydowała, że okres wojny najlepiej spożytkować na przygotowanie się do przyszłego życia. Zatrudniła kilku korepetytorów, którzy dbali, by Rysio był

zajęty od rana do wieczora. Poza normalnym programem szkolnym, obejmującym i łacinę, i grekę, miał teraz dodatkowe lekcje z francuskiego, niemieckiego, angielskiego i hebrajskiego.

Za każdym razem, kiedy otwierał nam drzwi, wygłaszał uroczyste powitanie w czterech lub pięciu językach, na co mama musiała stosownie odpowiedzieć. W korytarzu, w drodze do ich pokoju, wymieniali między sobą niezrozumiałe frazy. Potem Rysio wracał do swojego stolika w kącie i zagłębiał się w lekturze, w czym rozmowa dorosłych bynajmniej mu nie przeszkadzała.

Odrywał się na chwilę, gdy podawano herbatę, i czasem pokazywał mi swoje nowe książki lub opowiadał o czymś, co go szczególnie interesowało. Widząc jego nieporadne rysunki, zaproponowałam mu pomoc i – ku memu wielkiemu zaskoczeniu i radości – oferta została przyjęta. Rysunki były mu potrzebne do lekcji botaniki i zoologii. Kiedy przerysowywałam przekroje oraz diagramy i kolorowałam je tuszami, których miał cały arsenał, słuchałam gorliwie jego objaśnień i przy tym sama się uczyłam. Biedny Rysio dostał za te rysunki specjalną pochwałę, więc rad nie rad wyznał prawdę. W ten sposób nasza współpraca prędko się skończyła, ale przyjaźń przetrwała.

Teraz tylko ojciec wymawiał się od chodzenia do nich w odwiedzinach. Tamtej zimy złożył im jedyną wizytę, podczas której Rysio powitał go klasyczną greką. Ojciec przyjacielsko poklepał Rysia po głowie, najwyraźniej sądząc, że to żart. Ten jednak napuszył się jak sowa i wygłosił podniosłą orację, po czym mimo nieskrywanej irytacji ojca przez resztę wieczoru odzywał się wyłącznie po grecku. Kiedy ojciec odmówił konwersacji w tym języku, powrócił do swojego kąta i siedział zagrzebany w książkach, póki nie zaczęliśmy się zbierać do wyjścia. Odprowadzając nas do drzwi, wygłosił klasyczną mowę pożegnalną. Na to ojciec zasugerował, że spacer po świeżym powietrzu oraz bitwa na śnieżki mogłyby go sprowadzić z Olimpu na ziemię, co – rzecz jasna – zaszokowało całą rodzinę. Na dworze nie ma nic ciekawego do oglądania, zawyrokował wuj Jerzy. W takim tłumie można najwyżej nabawić się czegoś paskudnego albo wpaść w tarapaty. Lepiej spędzić ten czas na nauce.

– Co masz tu – popukał się w czoło – to twoje. Tego nikt ci nie odbierze.

– Jeśli jeszcze raz tam pójde, to się skończy awanturą – oznajmił ojciec wieczorem. – Nie mogę patrzeć na to, co oni wyrabiają z tym biednym dzieckiem. On już teraz wygląda jak otępiały. Ciekaw jestem, ile rozumie z tych swoich książek. Kto to słyszał, żeby w jego wieku i w takich warunkach uczyć się antropologii. Pewnie potem przyjdzie kolej na astronomię! Jeśli ta choroba nie zrobiła z niego idioty, na pewno uda się to w końcu jego rodzicom, a ja nie chcę na to patrzeć.

Ciągnąca się w nieskończoność zima dobiegała wreszcie końca, a z wiosną nowe pogłoski i nadzieje ożywiły ulice. Niewiele jednak było powodów do radości. Fala przemocy rozlewała się po Europie, każdego dnia docierały do nas wieści o nowych okrucieństwach, masakrach i represjach. Trudno było uwierzyć, że to dopiero druga zima. Co zrobimy, jeśli ta wojna potrwa – jak mówią – tyle co pierwsza? Kto zdoła przeżyć cztery lata w takich warunkach?

Tej wiosny na moje urodziny zostałam zaproszona przez Lidię na cały tydzień. Paweł też miał urodziny, więc świętowaliśmy razem. Był tort czekoladowy z dwoma kręgami świeczek – różowym i niebieskim – oraz góra prezentów.

Eryka nie było, pojechał do Hamburga w odwiedzinach do krewnych. Nigdy nie widziałam Lidii tak rozpromienionej. Całe dni bawiła się z nami na podłodze, jakby była naszą rówieśniczką. Razem z nami wczołgiwała się pod meble, galopując na czworaka obwoziła nas po mieszkaniu. Nawet Tomek został dopuszczony do ogólnej zabawy. Obaj chłopcy skakali z uciechy, jakby nie mogli uwierzyć nagłemu szczęściu. Były wybuchy niepohamowanej radości i hałaśliwe zapewnienia, że mama jest najcudowniejsza i że zawsze będziemy kochać się tak jak teraz.

Nikt nie wspominał o Eryku, ale bezustanne zapewnienia, iż nie potrzebujemy nikogo więcej do szczęścia, sprawiały, że tym częściej o nim myślałam i musiałam się powstrzymywać, aby przekornie nie zapytać, kiedy wraca. Jednak nasza radość, aczkolwiek gorączkowa i nienaturalna, była dla nas wszystkich tak cenna, że podczas tej wizyty ani razu nie wymieniłam jego imienia.

Lidia wychodziła co wieczór i często wracała do domu dopiero rano. Pod koniec tygodnia wydała przyjęcie. Nasza trójka została odesłana do kuchni z kategorycznym przykazaniem, że mamy siedzieć cicho. Od Marysi, która podawała do stołu, dowiedzieliśmy się, że gośćmi są sami niemieccy oficerowie i że nie ma wśród nich żadnej kobiety.

Późnym wieczorem Paweł został poproszony do salonu, gdzie miał grać na pianinie i recytować niemieckie wiersze. Kiedy wrócił rozgorączkowany oklaskami, przekradliśmy się do małżeńskiej sypialni i ułożyliśmy się do snu w dużym podwójnym łóżku.

Obudziło mnie światło i ściszone głosy. Przez przymknięte powieki widziałam, jak Lidia bierze Tomka na ręce i niesie do pokoju chłopców. Druga postać pochyliła się nade mną i podniosła mnie ostrożnie. Odruchowo objęłam ją za szyję, wtulając twarz w barczyste ramię. Wtedy dopiero otworzyłam oczy.

Zielonkawy mundur pachniał przyjemnie tytoniem i wodą kolońską, policzek był gładko wygolony. Zdrętwiała z przerażenia usłyszałam miły głos i ciche pytanie, kim jest ta śliczna dziewczynka, która śpi w jej łóżku, i niedbałą odpowiedź Lidii, że jestem

córką Eryka z pierwszego małżeństwa.

Zostałam zaniesiona do salonu, gdzie miałam posłane, i troskliwie otulona pościelą. Czując, jak jego ręce delikatnie wygładzają koc, otworzyłam znów oczy i zobaczyłam przystojną, młodą twarz i parę niezwykle, niebieskozielonych oczu, wpatrujących się we mnie uważnie. Nasze spojrzenia spotkały się, przez chwilę patrzyliśmy na siebie, po czym on, uśmiechając się, przesunął ręką po mojej twarzy. Odetchnęłam z ulgą i zamknęłam oczy. Wiedziałam, że on wie i że jestem bezpieczna.

Usypiając, słyszałam jeszcze, jak Lidia niesie do łóżka protestującego i opierającego się Pawła, i kiedy wreszcie Lidia i jej kochanek zamknęli za sobą drzwi sypialni, zapadłam w głęboki, spokojny sen.

Następnego dnia Lidia odprowadziła mnie do getta. Po drodze poprosiła, żebym nie wspominała rodzicom o spotkaniu z „Morskookim”. Już wcześniej postanowiłam, że nie powiem o tym rodzicom. Wiedziałam, że wpadliby w panikę i może nawet zabroniliby mi dalszych wypraw na „tamtą stronę”.



Tej wiosny moja klasa została zreorganizowana i do naszej grupki dołączyła nowa dziewczynka. Było to chude, pełne wdzięku dziecko z długimi nogami, które potrafiła spleść w niewiarygodny supeł. Oplatała nimi również nogi krzesel i kiedy zrywała się w pośpiechu, często zapominała się wyplątać, co powodowało niebywałą liczbę potłuczeń, zadrapań i siniaków. Miała okrągłą, piegowatą twarz, jasnoniebieskie oczy i burzę kasztanowych i sprężystych loków, które nie poddawały się wstążkom ani spinkom. Powiewały dookoła jej głowy, wpadały w oczy i jak magnes przyciągały dłonie każdej dorosłej osoby.

Miała dar zadawania naszej nauczycielce pytań, które uprawiały biedną kobietę w zakłopotanie i przywoływały rumieniec na jej pomarszczone policzki. Obserwowaliśmy to z zapartym tchem, podczas kiedy Jola – istne ucieleśnienie niewinnego i spragnionego wiedzy dziecka – siedziała uśmiechnięta, z powagą wpatrując się w nauczycielkę szeroko otwartymi oczami.

Panna Bloch pomrukiwała coś, odchrząkiwała, patrząc bezradnie na piegowatą buzię i w końcu zbywała nas jakąś wykrętną odpowiedzią albo po prostu zasłaniała się niewiedzą. Zawiedzeni, wzdychaliśmy ostentacyjnie i wracaliśmy do naszych zadań. Dywersyjne zabiegi Joli były szczególnie cenne, kiedy ktoś z nas nie odrobił lekcji. Jej głos przedzierał się przez gęstą, pełną poczucia winy ciszę, a my natychmiast podchwytywaliśmy pytanie, natarczywie domagając się wyjaśnień.

Podczas lekcji przyrody Jola dopytywała się, który z dwóch kwiatów narysowanych w naszym podręczniku jest rodzaju żeńskiego. Przecież każdy musi być innej płci, żeby powstały owoce?

Panna Bloch, oblana szkarłatnym rumieńcem, przyznawała, że nie wie.

– Ależ proszę pani, przecież musi być jakaś różnica, inaczej to by było... biologicznie niemożliwe.

W kącie pokoju mama z trudem tłumiła śmiech.

– Biologicznie niemożliwe! Powinieneś ją słyszeć – opowiadała później ojcu, kiedy udawałam, że już śpię. – Jestem pewna, że próbowała coś wyciągnąć z tej biednej kobiety, która rumieni się na samą myśl o tych sprawach. Myślę, że sama mogłaby ją tego i owego nauczyć, choć wygląda niewinnie jak cherubinek.

Ojciec jednak z niespodziewanym oburzeniem w głosie zapewniał, że Jola nic nie może wiedzieć o „tych sprawach”. Jego zdaniem była uroczym dzieckiem – bystrym i z natury dociekliwym, ale na pewno nieuświadomionym.

Kryjąc twarz w poduszce, zastanawiałam się, jak ojciec, który zawsze umiał przejrzeć mnie na wylot, mógł się tak bardzo mylić w ocenie innych dzieci.

Umysł Joli, jak sama dumnie się przechwalała, to był RYNSZTOK. I to nie żaden zwykły rynsztok, podkreślała. Nie, to był RYNSZTOK WSZECH CZASÓW. W tajemniczym i zdecydowanie odrażającym świecie seksu nie było słowa, wyrażenia ani nawet gestu, którego by nie znała i nam usłudze nie zademonstrowała. Miała zapas opowieści, od których jeżył się nam włos na głowie, i przyznawała bez żenady, że większość z nich jest jej autorstwa.

Zbieraliśmy się po lekcjach, żeby odprowadzić ją do domu i z zapartym tchem posłuchać o zdarzeniach, które „widziała na własne oczy”, a które bez wątpienia powstały w jej niezwykle bogatej i gorączkowej wyobraźni. Opowieści nie były jedyną atrakcją, jakiej Jola nam dostarczała. Potrafiła tak pokierować najniewinniejszą rozmową, by wpleść w nią swoje opinie o otoczeniu i warunkach, w jakich żyliśmy. Kiedy mówiła – jak to nazywałam – „po dorostemu”, przysłuchując się jej argumentom, doznawałam dziwnych uczuć – ekscytujących i bolesnych zarazem. Korzystałam z każdej okazji, żeby sprowokować ją do rozmowy na któryś z jej ulubionych tematów i ostrożnie podsycalam płomień niewinnymi komentarzami, czując przy tym, że sprzeniewierzam się jakimś świętym zasadom, które dotychczas kierowały moim życiem. Przechodził mnie dreszczyk emocji podobny nieco do tego, jaki czułam przy sprawdzaniu językiem, czy bateria jest naładowana. Krzywiłam się z bólu, czując szczypanie w język, a mimo to nigdy nie mogłam się powstrzymać przed polizaniem baterii.

Jola z nonszalancją rozprawiała na zakazane tematy, a swoje lekceważenie dla dorosłych wyrażała z tą samą dobitnością i precyzją, które cechowały jej prace domowe i nasuwały pannie Bloch podejrzenie, że ktoś dorosły przykłada rękę do jej wypracowań. Podśluchałam kiedyś, jak nasza nauczycielka dyskutuje na ten temat z mamą, i pospieszyłam do Joli, żeby zdać jej relację. Jola była oburzona.

– Panna Bloch powiedziała też, że jesteś anarchistką i że chyba wydałaś wojnę całemu rodzajowi ludzkiemu – dodałam, sadowiąc się wygodnie, żeby obserwować jej reakcję.

– Panna Bloch jest głupia. Rodzaj ludzki sam sobie wydał wojnę. Popatrz, co się dzieje dookoła. Jaką mamy szansę na przetrwanie? Czy ktokolwiek ma? Niemcy zabijają Żydów, a Żydzi im w tym ochoczo pomagają. Każdego ranka sklepikarze muszą omijać trupy, żeby wejść do swoich sklepów. Restauracje są przepełnione. Są nawet tacy, co się pobierają i rodzą dzieci. Ale to nic nie pomoże. Pewnego dnia wszyscy zostaniemy zmieceni z powierzchni ziemi, im szybciej tym lepiej. Świat to nie jest miejsce do życia.

Powtarzała te opinie w każdym wypracowaniu, choćby pisała na najbardziej nawet neutralny temat. A przecież panna Bloch wymyślała dla nas wyłącznie niewinne

tematy. „Burza po upalnym dniu” „Susza w Afryce” „Dzień w Arktyce” „Sporty zimowe”. Każde z tych wypracowań pisałam wierszem, który miał proste rymy, mocny rytm i minimum związku z rzeczywistością. Były to myśli szczęśliwego, bystrego dziecka, takiego, jakim rodzice chcieli mnie widzieć. Chwalili moje wiersze, recytowali je z dumą zachwyconym krewnym i znajomym, zachęcali mnie do dalszego pisania. Kiedy wyłamywałam się z tego schematu i pozwalałam, żeby do wymyślonego świata wkradła się szczypta realizmu, natychmiast byłam przywoływana do porządku. Zarzucano mi pretensjonalność, plagiatorstwo, wymądrzanie się, nawet niewdzięczność. Co gorsza – dowiadywałam się, że jestem śmieszna! Po kilku bolesnych lekcjach przestałam wypadać z roli. Z całą świadomością odgrywałam dobrze wychowane dziecko. Doskonale wiedziałam, co wolno mi myśleć i mówić. Widocznie zasady decydujące o zachowaniu dziecka istniały w próżni, były całkowicie niezależne od warunków życia.

Jola nie zgadzała się na to. Niestrudzenie dziurawiła hermetyczny klosz, pod którym mnie trzymano, a ja ochoczo obracałam się to w tę stronę, to w tamtą, podsuwając jej coraz to nowe miejsce do niszczenia.

– Rozejrzyj się dookoła, ale postaraj się naprawdę zobaczyć. Nie rzucaj tylko okiem i nie odwracaj od razu głowy, nie dopuszczając do siebie żadnej myśli. Czy od tego wszystkiego nie chce ci się rzygać? Czy nie czujesz bólu?

Żałośnie kiwałam głową. Tak właśnie było. Moje oczy patrzyły, ale umysł pozostawał ślepy. Z obojętnością i pozornym cynizmem akceptowałam wszystko, co widziałam, a jednocześnie gorączkowo odgradzałam się murem od zewnętrznego świata. Rozmyślanie o tym, dopuszczanie do głosu uczuć byłoby zbyt bolesne. Łatwiej było nie myśleć.

Gdyby chociaż można było coś zrobić. Gdybyśmy chociaż mogli pomóc, zorganizować się, walczyć?

– Nic nie możemy – Jola był nieubłagana. – Nikt nie może nic zrobić. Nie zmienisz rodzaju ludzkiego. Żyjemy jak dzicz i na koniec pożremy się nawzajem. Nie zasługujemy na miłość ani współczucie. Zachowaj je dla zwierząt. One przynajmniej nie są wobec siebie okrutne. Ludzkość w końcu sama się wytępi, tak jak na to zasługuje.

Z początku czułam pokusę, żeby o poglądach Joli porozmawiać z rodzicami, ale po namyśle zdecydowałam, że lepiej nie poruszać tego tematu. Skończyłoby się kazaniem o aroganckich dzieciach, które krytykują to, czego nie rozumieją, i napomnieniem, że wojna nie usprawiedliwia zapominania o dobrych manierach. A Jolę wyproszone by z naszego kompletu.

– To prawda, że żyjemy w trudnych warunkach, ale twój ojciec i ja zrobimy

wszystko, żeby zapewnić ci normalne wychowanie. Nie zarzucisz nam nigdy, że nie spełniliśmy swojego obowiązku, że nie poświęciliśmy się dla twojego dobra.

Jakże często słyszałam te słowa. Za każdym razem przyprawiały mnie o tę samą bezradną wściekłość. Jak miałam im wytłumaczyć, że nie chcę ich poświęcenia?

Rodzice Joli rozwiedli się jeszcze przed wojną i teraz mieszkała z matką na strychu, w dużym pokoju ze spadzistym sufitem i małymi, mansardowymi oknami. Pokój pełen był dywanów, mat i porozrzucanych, haftowanych poduszek. Mama Joli, wysoka, szczupła kobieta onieśmiałała mnie tak, że w jej obecności przestawałam się odzywać. Miała bladą, obrzmiałą twarz, popielate włosy ściągnięte mocno w gruby kok i piękne, wysmukłe dłonie. Wystawiała się wolno, starannie wymawiając każde słowo, tak jakby mówiła w obcym języku. To ów rozważny sposób wyrażania się najbardziej zbijał mnie z tropu, uświadamiając mi, jak chaotycznie mówię. Kiedy zadawała mi jakieś pytanie, jąkałam się i w końcu, przekonana, że uważa mnie za idiotkę, zaczęłam jej unikać.

Próbowałam wciągnąć do naszych rozmów Tosię, ale nie była zainteresowana. Zaszokowałam ją, kiedy powtórzyłam jej niektóre opinie Joli. Dla niej dorośli wciąż jeszcze mieli rację, bez względu na to, co robili. Była też zazdrosna o moją przyjaźń z Jolą i bała się, że w ogóle przestanę się z nią spotykać. Ale ja nie zamierzałam jej porzucić. Ceniłam jej ślepe przywiązanie, a po każdej wyniszczającej sesji z Jolą czułam jeszcze większą potrzebę admiracji. Dzięki Tosi odzyskiwałam równowagę i koiłam nadszarpnięte poczucie własnej wartości. Poza tym Jola nie wierzyła w przyjaźń:

– Jestem jak kot. Chodzę własnymi drogami. Nikt mnie nie poskromi ani nie spęta. Jestem sobą i kocham tylko siebie – deklarowała. – Kiedy wreszcie dorosnę, jeśli tak się stanie, odpłacę się wszystkim.

– Co zrobisz? – Pociuszające było wiedzieć, że ma jakieś plany na przyszłość.

– Będę kurtyzana.

Kurtyzana kojarzyła mi się wyłącznie z kurtyną. Wyobraziłam sobie, jak Jola spowita w szkarłatną, teatralną kurtynę spływa dostojnie w dół po kręconych, marmurowych schodach.

– A dokładnie, co będziesz robiła?

– Będę doprowadzała mężczyzn do obłędu, będą szaleli z pożądania, będą wystawali dniem i nocą pod moimi drzwiami. Będą układać sonety i popełniać przeze mnie samobójstwa. Będę sławna. Ale nigdy, przenigdy nie odstąpię od tego, co naprawdę ważne.

Siedziałam zahipnotyzowana tą wizją i słuchając planów Joli, powoli zbierałam się na odwagę, żeby zadać jej najistotniejsze pytanie. Jak dotąd tylko po części rozumiałam jej wywody. Większość z tego, co mówiła, pozostawało zagadką

i marzyłam o klarownym wyjaśnieniu. Od miesiący Tosia i ja starałyśmy się nadać sens mglistym opowieściom o życiu seksualnym dorosłych. Szukałyśmy wskazówek w powieściach, łapczywie pożerając wszystkie książki z listy zakazanych. Analizowałyśmy niezrozumiałe sceny, ale obraz, jaki zaczynał się z tego wyłaniać, był zbyt dziwaczny i absurdalny, by weń uwierzyć.

Oto wreszcie zjawił się ktoś najwyraźniej znający się na rzeczy, kto pomoże nam rozwikłać tę łamigłówkę. Mimo to wahałam się. Choć bardzo chciałam poznać prawdę, równie silny strach powstrzymywał mnie przed zadaniem tego pytania. Czułam, że kiedy zasłona raz spadnie, nie będzie już powrotu do stanu bezpiecznej ignorancji. A jeśli potwierdzą się moje najgorsze domysły, jeśli prawda okaże się tak ohydna, jak się obawiałam? Jak zdołam znieść dorastanie, mając przed sobą perspektywę tak odrażającej przyszłości? Ale szydercze słowa Joli o życiu z zamkniętymi oczami zmusiły mnie do podjęcia decyzji.

Usiadłam na kanapie naprzeciwko Joli, drapiąc się nerwowo w rozterce.

– Drapiesz się cały dzień – zauważyła. – Co ci jest? Masz wszy?

Wzdrygnęłam się z obrzydzenia.

– Pytam, czy masz wszy? – powtórzyła spokojnie. – Nie wiesz, że wszyscy teraz mają?

– Ale ja nie mam, i jestem pewna, że ty też nie. Swędzi mnie wszystko, nie wiem dlaczego. W każdym razie, chciałam cię zapytać... To znaczy... chciałam, żebyś mi powiedziała wszystko, co wiesz o..., no wiesz, o czym...

– Pewnie o seksie. O brudnym seksie. A co już wiesz?

Przemogłam narastającą panikę i odparłam niedbale:

– Niedużo, ale to, co słyszałam, jest wyraźną błagą, w którą nie chce mi się wierzyć. Nawet nie będę tego powtarzała, szkoda słów na te bujdy.

W głębi duszy wciąż miałam nadzieję, że Jola nie zechce zdradzić mi tych tajemnic. Ale ona tylko czekała, żeby podzielić się swoją wiedzą.

– Załóżmy zatem, że nie wiesz nic i zacznijmy od podstaw. Najpierw pocałunek. Otóż, są dwa rodzaje pocałunków, niewinne i namiętne.

Późnym popołudniem wracałam oszołomiona do domu. W głowie kotłowały mi się obrazy, oczy mnie piekły, a w uszach dźwięczał chłodny wysoki głos, opisujący, wyjaśniający, drwiący, dodający jeden po drugim obrzydliwe szczegóły, wykazujący bestialstwo tak zwanego aktu miłosnego, wstyd i poniżenie kobiety i nikczemny triumf mężczyzny. Demaskatorski wywód zakończył się barwnym opisem porodu, którego okropieństwa przerastały wszystkie średniowieczne tortury, o jakich słyszałam.

Kiedy dotarłam na nasze podwórko, zatrzymałam się i usiadłam na ławce. Bolała mnie głowa, było mi słabo, miałam nudności i czułam paniczny strach. Potrzebowałam czasu, żeby uporządkować myśli, przetrwać tę lawinę informacji, oswoić się z wiedzą, z którą będę musiała żyć i którą będę musiała ukrywać przed rodzicami. Jak mam wejść do naszego ciasnego pokoju? Spojrzeć im w oczy? Rozmawiać i zachowywać się, jakby nigdy nic? Jak mam udawać, że jestem taka sama jak zawsze, skoro tę bezwstydną wiedzę mam wypisaną na twarzy, skoro oczy mi się mrużą i zachodzą łzami, jakby nagle nie mogły znieść słonecznego światła, skoro moje ręce są ze strachu lepkie od potu? Poczułam nagłe pragnienie, żeby pobiec do domu, wdrapać się mamie na kolana i płakać tak, jak nie płakałam od lat, łkać i chlipać, wylewać winę razem ze łzami, wyrzucić z siebie wszystko, czego się dowiedziałam, i usłyszeć jej spokojny głos szepczący, że to tylko zły sen i że nie ma w tym słowa prawdy.

Takie dziecinne zachowanie było, rzecz jasna, poniżej mojej godności. To była jawa, nic mi się nie przyśniło, a jeśli dziwnym trafem powieki mi ciążyły i kręciło mi się w głowie, to tylko wskutek wchłonięcia zbyt dużej dawki wiedzy naraz. Coś w rodzaju umysłowej niestrawności. Nagła utrata dziecięcej niewinności. Przestępcy, złodzieje i kłamcy nigdy nie patrzą prosto w oczy, po tym można ich rozpoznać. Cóż, teraz byłam jedną z nich i widocznie Bóg już mnie pokarał.

Słaniając się na nogach, przeszłam przez podwórko, wspięłam się po ciemnych schodach i weszłam do naszego pokoju.

Ciocia Lonia siedziała zatopiona w ożywionej konwersacji z mamą. Żadna z nich nie zwróciła na mnie uwagi, kiedy przeszłam obok, powłócząc nogami. Przywitałam się i ze zdziwieniem zobaczyłam, że obie się wzdrygnęły.

– Nie krzycz – powiedziała mama głosem, który dochodził jakby z daleka. Nie wiadomo dlaczego w pokoju zrobiło się ciemno i nagle okazało się, że siedzę na podłodze, a mama i ciocia Lonia zaskoczone pochylają się nade mną. Chłodna ręka dotknęła mojej twarzy, po czym od razu pojawił się termometr, który wsunięto mi pod pachę. Kiedy czekałyśmy, aż naciągnie, mama raz za razem pytała, jak się czuję, a ja uparcie milczałam. Byłam pewna, że wiem, co spowodowało chorobę, ale nikt nigdy nie wydobędzie ze mnie prawdy. Wyciągnięto termometr i mama zaczęła mnie rozbierać. Szepnęła, że mam wysoką gorączkę, i zastanawiała się, co to będzie tym razem. Ciocia Lonia zbliżyła się i zaczęła uważnie mi się przyglądać. Obróciła mi głowę, zajrzała za uszy, zobaczyła wysypkę...

– Odra – zawyrokowała.

Lekarz, którego wezwano, potwierdził diagnozę. Wieczorem temperatura podniosła się jeszcze bardziej. Łóżko zaczęło się kołysać, a kiedy otwierałam oczy, sufit zjeżdżał w dół, a ściany falowały. Obiema rękami uczepiłam się nogi stołu, który stał przy

moim łóżku, i zacisnęłam zęby. Bałam się, że jeśli zasnę albo zacznę majaczyć, mogę coś wygadać. Strach nie pozwolił mi cieszyć się z nagłej czułości mamy ani z tego, że ojciec stara się mnie zabawić. Oboje uznali więc, że muszę być ciężko chora. Nawet dziadek, który pojawił się następnego dnia, niosąc utłuczoną butelkę, w której pływała złota rybka, zauważył mój dziwny nastrój.

– Zawsze była taka wesoła, kiedy chorowała. Jakby to lubiła. To do niej niepodobne, żeby tak cicho leżeć w łóżku.

Konsylium złożone z sąsiadek orzekło, że odra „rzuca się na oczy”, więc na wszelki wypadek zabroniono mi czytania, a nasz ponury pokój został zaciemniony dodatkową firanką. Aby umilić mi długie godziny nudy, mama czytała na głos *Małe kobiety* Louisy Alcott. Obie byłyśmy głęboko przejęte losami rodziny March, a kiedy doszłyśmy do choroby małej Beth, popłakałyśmy się tak, że trzeba było przerwać czytanie. Mała Beth nie umarła, a i mnie w końcu pozwolono wstać z łóżka i mogłam sama dokończyć lekturę. Znowu rozmawiałam z ojcem, a nawet śmiałam się z jego żartów, ale w moim zachowaniu i w mowie pojawiła się pewna powściągliwość, a nawet skrytość, która nie uszła uwagi rodziców. Mama uznała, że dorastam. Ojciec obrzucał mnie przenikliwym spojrzeniem, kiedy rumieniłam się lub zacinałam na dwuznacznym słowie. Obawiałam się tych nagłych przypływów zażenowania, wiedząc, że prędzej czy później ojciec postanowi wybadać, co mi chodzi po głowie. Zaczęłam unikać przebywania z nim sam na sam, mimo że były to zawsze najszczęśliwsze chwile w moim życiu. Choć serce mi krwawiło, nie dawałam się wciągać w typowe dla nas, fantastyczne dialogi, nie opowiadałam mu moich historyjek, nie chciałam słuchać jego awanturnicznych opowieści. Musiałam uważać, żeby coś mi się nie wypsnęło.

Z czasem doszłam do smutnej konkluzji, że już nigdy nie będę mogła usiąść mu na kolanach, paplając o wszystkim, co mi przyjdzie do głowy. Nie wątpiłam, że jeśli tylko zorientuje się, co ja teraz wiem, wygna mnie z domu na zawsze i nikt mnie przed tym nie ocali.

Mama uśmiechała się ukradkiem, widząc, jak unikam rozbierania się w ich obecności. Nigdy nie lubiłam codziennego rytuału mycia się od stóp do głów w naszej małej miednicy, uważając to za zupełnie zbyteczne. Mama była jednak nieprzejednana, powtarzając, że kiedy zrezygnujemy z mycia się, przestaniemy być cywilizowanymi ludźmi. Zimą w naszym pokoju robiło się ciepło dopiero późnym popołudniem, a wtedy wizja ściągania niezliczonych warstw odzieży stawała się jeszcze mniej kusząca. Teraz doszedł jeszcze jeden powód, by unikać codziennego składania hołdu cywilizacji: drzwi naszego pokoju były zwykle otwarte i w każdej chwili ktoś mógł wejść.

Nie chciałam tym obarczać Tosi. Wystarczyło, że ja cierpię, po co jeszcze unieszczęśliwiać moją najlepszą przyjaciółkę. Tosia jednak nalegała, przypominając mi, że przysięgałyśmy nie mieć nigdy przed sobą tajemnic. W końcu powtórzyłam jej wszystko, czego dowiedziałam się od Joli, dodając, że moim zdaniem te rewelacje są grubo przesadzone. Ku mojemu zaskoczeniu Tosia zareagowała bardzo spokojnie. Była zdania, że musi być coś jeszcze, o czym Jola mi nie powiedziała, gdyż w przeciwnym razie mężczyźni i kobiety stroniliby od siebie przez całe życie, a tak przecież nie jest. Relacjonując nagie i odrażające fakty, Jola musiała pominąć jakiś istotny element, który zmieniał sens całej historii. Wróciłyśmy do naszych brukowych powieści z mocnym postanowieniem, że odnajdziemy same ów tajemny klucz do straszliwej zagadki dorosłego życia.



Z nadejściem ciepłych dni tyfus zaczął się szerzyć coraz szybciej. W pierwszej połowie 1941 roku zgłoszono 15 749 przypadków, a jeszcze więcej było ukrywanych przez zdesperowane rodziny. Zameldowanie o chorobie oznaczało kwarantannę. Zamykano cały dom, mieszkańców prowadzono do łaźni publicznej, golono głowy, mieszkania dezynsekwano i poddawano tzw. parówkom. Skala kradzieży i zniszczeń, które temu towarzyszyły, sprawiała, że nikt nie kwapił się do zgłaszania władzom nowych przypadków. Narażanie się na kwarantannę nie miało sensu, skoro pierwsza osoba, o którą się ocieraliśmy na ulicy, mogła strząsnąć kilka swoich wszy na nasze świeżo zdezynsekwane ubrania. Poza tym lepiej umierać na tyfus we własnym domu, choćby najbiedniejszym i najbardziej zatłoczonym. W szpitalu pacjenci często leżeli po dwóch w jednym łóżku. Żywi musieli wiele godzin leżeć z umarłymi, nim zapracowana pielęgniarka zabrała zwłoki. Szpital dziecięcy, nie mogąc pomieścić pacjentów, zawiesił na jakiś czas przyjęcia, szpitalowi ogólnemu w każdej chwili groziło to samo. Pospiesznie organizowano kursy dla pielęgniarek, dentystów, felczerów i każdego, kto mając odrobinę przygotowania medycznego, był w stanie pomóc, ale w tych warunkach nic nie mogło powstrzymać epidemii.

Racje żywnościowe zostały obniżone do 20 gramów czarnego chleba dziennie, kilku ziemniaków, niewielkiej ilości kaszy, marmolady marchwiowej i jednego jajka na miesiąc. Pół kilograma chleba kosztowało 12 złotych, a zarobek wykwalifikowanego robotnika wynosił 15–20 złotych dziennie.

I wciąż napływali nowi wysiedleńcy. Z prowincji, z Niemiec, z Czechosłowacji przybywały pociągi wyładowane dezorientowanymi cudzoziemcami, którzy prędkiej czy później lądowali w przytułkach dla bezdomnych, gdzie nieuchronnie padali ofiarą głodu i epidemii.

Tego lata na ulicach getta rzucał się w oczy wysoki Niemiec, wysiedleńiec. Miał długie rudozłote włosy i bujną brodę. Nosił podartą zieloną piżamę, postrzępioną, czerwona kapa spływała mu z ramion i ciągnęła się za nim po ziemi. Szedł długimi krokami, wpatrzony w chodnik, jak gdyby czegoś szukał. Był bosy, a jego stopy zostawiały na bruku krwawe ślady. Dla mnie wyglądał jak obłąkany król, wygnany ze swojego królestwa i spośród wszystkich biedaków tułających się po ulicach on jeden sprawiał, że chciało mi się płakać z żalości.

Przy naszej ulicy, na miejscu po zbombardowanym domu, urządzono ogródek jordanowski i mama zapisała mnie na trzy popołudnia w tygodniu. Wpisowe było wysokie, więc zgodziłam się niechętnie, szczególnie że ani Tosia, ani Jola nie mogły chodzić tamze mną. Mama jednak nalegała. Przebywanie cały dzień na ulicy nie było

bezpieczne, podwórko było małe i zanadto zatłoczone, smród ze śmietnika stawał się nie do zniesienia. Ogródek jordanowski też był zbyt tłoczny, żeby dało się biegać, ale rosło tam kilka drzew, był trawnik, a z czasem wyrosły w nim nawet jakieś kwiaty. Dorosłych nie wpuszczano, z wyjątkiem tych, którzy odwiedzali albo pilnowali dzieci. Było dość miejsca do gry w siatkówkę, choć zawsze czekała kolejka chętnych. Mama nie pozwalała mi zabierać ze sobą książek. Miałam się bawić i zażywać ruchu.

Spotkałam kilka innych dziewczynek, równie znudzonych jak ja, i wspólnie stworzyłyśmy grupę akrobatyczną. Ćwiczyłyśmy z zapałem pod okiem byłej baletnicy i wkrótce mogłyśmy z łatwością robić szpagaty i mostki oraz stawać na rękach. Zaprosiłyśmy rodziców i dałyśmy brawurowy pokaz zwieńczony chwiejną piramidą, którą obserwowali, wstrzymując oddech i załamując ręce ze zdenerwowania. Mama jak zwykle obawiała się, że zrobię sobie krzywdę i napomykała o cyrkowcach, którzy połamali sobie kręgosłupy i do końca życia byli sparaliżowani. Ale rozumiejąc, że to jedyna dostępna dla mnie wówczas forma fizycznej aktywności, patrzyła przez palce na moje wyczyny.

Wśród tych, którzy regularnie przyglądali się naszym ćwiczeniom, była tęga, ładnie ubrana dziewczynka, mniej więcej w moim wieku. Czułam do niej głęboką antypatię, ale nigdy nie miałam okazji, żeby jej to okazać. Przychodziła do ogródka zawsze w towarzystwie bony, która nie pozwalała jej się z nami zadawać. Rozmawiały po francusku i wyraźnie unikały wszelkich kontaktów z biedniejszymi dziećmi.

Podczas tych rzadkich okazji, kiedy Simona raczyła się do mnie odezwać, opowiadała wyłącznie o bogactwie swojej rodziny, o swoich zabawkach i sukienkach. Za każdym razem pytała, czy znam francuski i słysząc, że nie, przestawała się mną interesować, aż do następnego razu, kiedy od nowa zaczynała swoją śpiewkę.

Opowiedziałam o tym mamie, która poradziła, żebym nie przejmowała się głupią chwalipiętą i skupiła na lekcjach angielskiego.

Zaczęłam uczyć się tego języka niedawno, ale stwierdziwszy, że nie jestem w stanie naśladować przedziwnej wymowy mojego nauczyciela, błagałam mamę, by zamienić go na francuski. Mama jednak była przekonana, że w przyszłości angielski będzie bardziej przydatny, i lekcje trwały.

Pewnego dnia, kiedy Simona właśnie prowadziła ze mną kolejną jednostronną konwersację, przyszła mama i przyniosła mi podwieczorek. Usiadła na ławce obok mnie, posłuchała chwilę, jak Simona papla po francusku ze swoją guwernantką, po czym wręczając mi kanapkę wyraźnie i dobitnie powiedziała po angielsku.

- Tu jest twoje śniadanie.
- Dziękuję – opowiedziałam w tym samym języku.
- Ładny dziś dzień – kontynuowała mama, cytując moją ostatnią lekcję.

- Pies jest pod stołem – odparłam z powagą.
- Kot jest na wycieracze – zgodziła się mama.

Simona i guwernantka patrzyły na nas w osłupieniu. Zawczasu upewniłam się, że nie znają angielskiego.

- Proszę, otwórz drzwi – powiedziała mama z uśmiechem.
- Zamykam okno – zawołałam triumfalnie, kiedy trzymając się za rękę, oddalałyśmy się od ławki.

Od tego dnia Simona odzywała się do mnie wyłącznie po polsku.

W upalne letnie dni podwórko było źródłem nieustającej ekscytacji i rozrywki. Od wczesnego ranka aż do godziny policyjnej pod naszymi oknami przewijała się procesja domokrażców zachwalających swoje towary. Każdy z nich obwieszczał swoje przybycie inną śpiewką. Słowa były często niewyraźne lub zniekształcone tak, by pasowały do melodii, więc nauczyliśmy się ich rozpoznawać wyłącznie po brzmieniu głosów. Jeden po drugim wynurzali się z ciemnej bramy, okrążali podwórko raz lub dwa, nawołując i bacznie obserwując okna, potem odczekiwali chwilę, a gdy z pożegnalnym okrzykiem odchodzili, ich miejsce natychmiast zajmowali następni. Czasem ich „rundy” nakładały się, a ponieważ żaden nie chciał ustąpić, trwali w kakofonicznym duecie, próbując przekrzyczeć się nawzajem.

Kiedyś zafrapowało nas tajemnicze zawołanie.

- Dooo fioryka! Fioryka! Fiory! – rozbrzmiewało z podwórka. Wymieniłyśmy z mamą zdumione spojrzenia. Podbiegłam do okna:

- To kalafiory! On sprzedaje kalafiory.

Sprzedawca kalafiorów powracał regularnie przez cały sezon, nie zmieniając swojego repertuaru ani o jedną nutę.

Jeszcze większą różnorodność prezentowali żebracy. Z racji wielkiej konkurencji i ponieważ większość mieszkańców getta na co dzień głodowała, na jałmużnę mogli liczyć tylko ci, którzy najsilniej przykuwali uwagę lub budzili największą litość. Cały dzień płynęli więc potokiem śpiewacy, muzycy, akrobaci i klauni, solo i ansambl, niektórzy – ewidentnie wyszkoleni, inni – najwyraźniej amatorzy, których wysiłki wywoływały na naszych twarzach rumieniec zażenowania i współczucia.

Od czasu do czasu świetnie wykonany numer nagradzano burzliwą owacją: z okien sypał się grad monet, a na okrzyki „Encore!” artyści odpowiadali pełnym godności ukłonem.

Najbardziej niesamowici byli bazarze.

- *Jidisze kinder* – zaczynali nieodmiennie – słuchajcie mojej opowieści.

Potem następowała litania niewiarygodnych tragedii, powolnych lub nagłych

śmierci, ciężkich chorób spadających na każdego członka rodziny. Słuchaliśmy najpierw z przerażeniem, potem z niecierpliwością, aż wreszcie – porażeni nagromadzeniem nieszczęść – przestawaliśmy słuchać w ogóle. Ale dźwięk ich słów zawodzonych na wszystkie głosy, od dziecięcych po starcze, brzmiał w uszach jak złośliwe echo:

– *Oc rachmunes jidisze kinder, oc rachmunes...* [Zlitujcie się, żydowskie dzieci, zlitujcie się...].

Tego lata spędziłam kilka dni u dziadków, w starym mieszkaniu Goldów i każdej nocy, długo po godzinie policyjnej, wsłuchiwałam się w „powrót żebraków”. Długa kolumna przesuwiała się pod naszym oknem w drodze do punktu dla wysiedleńców, zawodząc, modląc się i lamentując. Byłam pewna, że w ogóle nie sypiali, tylko krążyli całymi nocami jak straż miejska w dawnych czasach. Tyle że zamiast podnoszącego na duchu „wszystko dobrze, obywatele” zwiastowali śmierć. Statystyka zgonów rosła z miesiąca na miesiąc. W lutym 1941 roku zarejestrowano nieco ponad tysiąc przypadków. W czerwcu – już ponad cztery tysiące. W lipcu 17 800 wysiedleńców, w tym trzy tysiące dzieci, żyło w skrajnej nędzy. We wrześniu po raz kolejny zmniejszono racje żywnościowe. Urzędy pocztowe dostały zakaz dostarczania zagranicznej korespondencji, co oznaczało koniec paczek z zagranicy. W październiku dotarły do Warszawy pogłoski o masakrze w Wilnie, bagatelizowane przez niektórych jako sianie paniki. W Warszawie nic podobnego nie mogło się zdarzyć. W warszawskim getcie żyło blisko pół miliona ludzi. Zajmowali sto kwartałów. To przeliczało się z grubsza na 14 osób przypadających na jeden pokój, wliczając w to oczywiście „punkty przesiedleńcze”, gdzie w jednym budynku gnieździły się tysiące wysiedleńców. We wrześniu siedem tysięcy osób zmarło na tyfus.

Ostatniego dnia września, w Sądny Dzień, usłyszeliśmy zapowiedź, że getto zostanie zmniejszone o kilka ulic, a pod koniec października groźbę tę wykonano. Mieszkańców przekwaterowano w nasze sąsiedztwo i w ten sposób przeludnienie pobiło nowy rekord. I choć do tego czasu atmosfera w domu zrobiła się napięta do granic wytrzymałości, dziękowaliśmy losowi za dach nad głową i nasze cztery wilgotne ściany.

W jednym z dużych frontowych mieszkań w naszym domu działał wieczorami nielegalny klub karciany, w którym mój ojciec często spędzał pół nocy przy stoliku pokerowym. Właścicielem był znany warszawski adwokat. Jego przedwojenne mieszkanie, choć teraz wypełnione sublokatorami, tak jak wszystkie inne w getcie, było nadal elegancko umeblowane i jak na nasze warunki – komfortowe. Żona adwokata poprosiła mnie kiedyś, żebym odprowadziła do przedszkola jej córeczkę. Mała Inka nigdy nie wychodziła sama z domu ani nie bawiła się na podwórku, tak jak inne

dzieci. Była zawsze starannie ubrana. Bawiło nas, że nawet latem nosiła czarną czapkę furazerkę, szczyt przedwojennej elegancji i chyba jedyną w getcie.

Przedszkole znajdowało się na najwyższym piętrze starej kamienicy. W jasnym obszernym pokoju z lśniąca posadzką bawiła się grupka dzieci, biegając bosy lub siedząc na podłodze; kilkoro malowało palcami, stojąc przy sztalugach, na których rozpięte były duże arkusze papieru. Przez osadzone w dachu mansardowe okna widać było tylko niebo, dachy i kominy przeciwległych domów – pochyłość dachu zasłaniała widok na ulicę.

– Prowadzimy przedszkole według zasady Montessori – wyjaśniła mi pani przedszkolanka. – Dzieci należy wychowywać w atmosferze wolności, nieskrępowane zbyt zbytecznymi nakazami. Staramy się rozwijać w nich inicjatywę i wrodzone zdolności.

Biegłam do domu pełna goryczy i buntu.

– Dlaczego nie posłałaś mnie do Montessori zamiast do tej freblówki? – wybuchnęłam, wpadając do naszego pokoju. Mama podniosła wzrok znad piecyka, na którym coś gotowała.

– O czym ty gadasz? – zdumiała się.

– Bo im wolno chodzić bosy i leżeć na podłodze. Oni malują palcami! Bo dziecko ma się rozwijać nieskrępowanie, wszechstronnie i na wolności!

– Co ty pleciesz?! – rozgniewała się niespodziewanie mama – Rozwijać się nieskrępowanie? Na wolności? Montessori? Tu?

Rzuciła to, co trzymała w ręce i – ku mojemu zdumieniu – rozpłakała się. Oniemiałam. Co ja takiego powiedziałam? Przecież sama widziałam... Przerażona wybiegłam do kuchni, rzuciłam się na łóżko Racheli i też zaczęłam płakać. Rachel, zajęta cerowaniem skarpetek, pogłaskała mnie po plecach, pomrukując coś do siebie. Płakałam długo, niepokieszona i głęboko dotknięta. Mama jak zwykle nic nie rozumiała. Przecież sama widziałam jak malowali palcami...

Wiosną 1941 roku pani Kraut zaczęła nam utrudniać korzystanie z kuchni. Kupiliśmy dwupalnikową kuchenkę gazową, aby zastąpić starą – jednopalnikową, ale nasza gospodyni natychmiast ją zawłaszczyła i dla nas w dalszym ciągu nie starczało miejsca. Licznik gazu był na monety i wkrótce odkryliśmy, że jeśli nie dopilnowaliśmy obiadu, pani Kraut zdejmowała nasz garnek, stawiając w to miejsce własny rondel i dopiero kiedy gaz się wyczerpał, nasz garnek wracał na zimny już teraz palnik.

Dostawy prądu, zawsze niepewne, teraz były odcinane każdego wieczoru, i to w najmniej dogodnej chwili. Pani Kraut chodziła spać z kurami i tego samego spodziewała się po nas. Jedynymi źródłami światła stały się lampa naftowa, a czasami świeca; ponieważ w naszym pokoju było ciągle ciemno, paliły się prawie bez przerwy,

zaprawiając stęchłe powietrze specyficzną wonią dymu i ubóstwa. W kącie pokoju, niebezpiecznie blisko łóżka ze słomianym materacem i pękatą pierzyną, stał mały, żelazny piecyk. Miał zbyt słabą konstrukcję, by palić w nim węglem – nawet gdyby było nas na to stać – więc dorzucaliśmy do niego małe szczapki i podarte gazety. Na tym piecyku gotowaliśmy posiłki, a ponieważ stał on wciśnięty w najciemniejszy kąt, mama musiała przyświecać sobie lampą naftową, żeby widzieć, co się dzieje w garnkach. Często, kiedy trzymałam jej lampę nad piecykiem, zastanawialiśmy się, ile czasu minie, nim coś zajmie się ogniem.

Gotowaliśmy, myliśmy się, praliśmy i prasowali w naszym pokoju. Ponieważ nie było łazienki, a ubikacja była z reguły nieczynna, staliśmy się prawie zupełnie niezależni od głównego pokoju. To jednak nie poprawiło wzajemnych relacji. O dziwo, do ostatecznego zerwania doszło za sprawą Racheli.

Byłyśmy z nią w dobrej komitywie. Często siadywałam obok niej, kiedy cerowała skarpety, i opowiadałyśmy sobie fantastyczne historie. Cerowanie było jej ulubionym zajęciem. Lubiła duże, okrągłe dziury, które – jak podejrzewaliśmy – „poprawiała”, jeśli nie odpowiadały jej wymaganiom. Naciągała skarpetkę na szklankę, aż była napięta jak bębenek, i przycinała postrzępione brzegi. Potem przyglądała się zięjącej dziurze raz jednym okiem, raz drugim. Wreszcie, wzdychając z zadowolenia, zaczynała łączyć brzegi luźną plecionką z nici, wkłuwając się w skarpetkę igłą grubą jak szydło, którą przytrzymywała niezdarnie wszystkimi pięcioma palcami. Nitka, zawsze dłuższa od jej przedramienia, szybko się zaplątywała. Rachela spędzała wówczas długie minuty na rozplątywaniu supłów; w tym czasie szklanka wyślizgiwała się ze skarpetki i całą konstrukcję trzeba było tworzyć od nowa.

Używałam jej jako audytorium, przed którym przepowiadałam zadane lekcje; od czasu do czasu coś z tego, co powiedziałam, docierało do jej umysłu. Podchwytывała jakieś słowo i zaczynała snuć długą, nieskładną opowieść, która oddalała się coraz bardziej od punktu wyjścia, aż nagle urywała się, zostawiając nas obie w stanie zawieszenia.

Czasem w opowieść wkradała się osobista nuta i po raz kolejny słuchałam o „kawalerczyku z wąsikami”. Zjawi się po nią i zabierze ze sobą. Była na to przygotowana. W kuferku pod zapadłym łóżkiem spoczywał gorset z różowej satyny, duży, najeżony fiszbinami, do tego komplet różowej bielizny, biała bluzka i czarna spódnica, wszystko starannie poprzekładane bibułkami. Cała ta garderoba – nowiutka, kupiona za jej własne pieniądze na długo przed wojną, ale teraz już żałośnie zatęchła – czekała na wielkie wydarzenie.

Pani Kraut często napomykała o tym mitycznym młodzieńcu, zanosząc ku niebu rozgłośnie modły, żeby zjawił się wreszcie i uwolnił ją od obowiązku żywienia jego

zachłannej narzeczonej. Rachela uśmiechała się skromnie, demonstrując jednocześnie niezłomną wiarę w swoją świetlaną przyszłość. Nie spotkała jeszcze swojego kawalerczyka, ale wiedziała, że wkrótce po nią przybędzie.

Na razie jednak głodowała. Na wymuszonej przez panią Kraut diecie ze smażonych kartoflanych obierków zmieniała się w pożółkłego stracha na wróble i latem 1941 roku głód popchnął ją do desperackich kroków. Cała żywność zamknięta w szafie i blaszanym pudle była przeznaczona wyłącznie dla pani Kraut. Nawet pan Kraut żywił się tylko tym, co dostawał z oficjalnych przydziałów żywnościowych, i co noc budził nas płaczem, dręczony przez głodowe koszmary. Głód przyspieszał chyba proces demencji, bo chwilami pan Kraut popadał w obłąd, skopywał pościel, szłochał, rzucał się od mebla do mebla, by wreszcie upaść przed tapczanem żony, błagając na kolanach o coś do jedzenia i grożąc, że ją zabije. Zbudzona ze snu małżonka odsyłała go do łóżka, wyrzekając, że takie zakłócanie spoczynku szkodzi jej zdrowiu. Tętnice miała w kiepskim stanie i regularnie chodziła do pana Feldmana na upuszczanie krwi.

– To nie stwardnienie tętnic, to jej serce zmieniło się w kamień – mamrotała Rachela, systematycznie plądrując spiżarnię.

Sposób miała prosty. Nie mogąc sforsować zamka w szafie, zdejmowała zamknięte drzwi z zawiasów i opierała je o ścianę. Następnie rozpruwała woreczki, odsypywała do swojego rondelka po godziwej porcji ryżu, fasoli, mąki, cukru, kakao i grochu. Dodawała bryłkę sklarowanego masła i stawiała tę mieszankę na gazie.

Z kufrem szło jeszcze łatwiej. Rachela odkręcała metalowe okucie zamka pilnikiem do paznokci i zostawiając kłódkę nienaruszoną, raczyła się zawartością woreczków.

Często byłam jej współniczką, stając przy oknie na czatach, żeby ją ostrzec przed powrotem pani Kraut z cukierni. Pewnego dnia późnym latem pani Kraut zastała cukiernię zamkniętą i wróciła do domu dużo wcześniej, niż ktokolwiek się spodziewał. Rachela była w trakcie plądrowania – rozprute woreczki leżały na podłodze, ciężkie drzwi szafy stały oparte o ścianę. W panice wepchnęła wszystko do szafy i schwyła drzwi, ale zawiasy zacięły się i nie chciały wskoczyć na miejsce. Rachela sapała i łkała ze strachu. Stara na pewno ją zabije albo przynajmniej wyrzuci z domu, co sprowadzało się do tego samego. Pani Kraut powoli sunęła przez podwórze. Całym sercem życzyłam jej, żeby się przewróciła i skręciła kostkę, ale niebezpieczeństwo zbliżało się nieubłagane, pobiegłam więc po mamę. Mama często ostrzegała Rachelę, że nie powinna okradać swojej chlebowdawczyni, ale robiła to bez przekonania. Było jasne, że pani Kraut jest niepoczytalna, a Rachela walczy o przeżycie. Skoro nie mogliśmy jej dłużej dokarmiać, lepiej było przymykać oczy. Tak więc gdy Rachela grasowała po spiżarni, mama zamykała się w naszym pokoju, udając, że nic nie wie, a ja sadowiłam się przy oknie.

Teraz wpadłam do naszego pokoju, krzyżąc, że pani Kraut nadchodzi. Mama zawahała się na chwilę, a potem ruszyła z pomocą. Rachela zawodziła przy szafie, mocując się z drzwiami, które wciąż nie chciały zaskoczyć. Mama odepchnęła ją i uniosła drzwi; usłyszeliśmy jednocześnie szcęk zawiasów i odgłos otwieranych drzwi frontowych. Rachela zdążyła jeszcze chwycić ronderek i wepchnąć go pod łóżko, a my wycofałyśmy się dokładnie w tej samej chwili, gdy do pokoju wkroczyła pani Kraut. Burza rozpętała się jeszcze tego samego wieczoru, kiedy pani Kraut otworzyła szafę i znalazła rozprute woreczki. Wezwała Rachelę, która w progu padła na kolana, i usłyszeliśmy, jak szlochając, przysięga, że tego popołudnia widziała mamę plądrującą zapasy.

Pani Kraut uwierzyła. Na nic się nie zdały oburzone protesty mamy. Rachela powtórzyła swoje przysięgi w obecności ojca, którego trzeba było siłą powstrzymywać, żeby nie skręcił jej karku. Pani Kraut złożyła skargę do sądu rabinackiego. Rozprawa odbyła się w naszym domu. Nie byłam na niej, ale z tego, co usłyszałam na podwórku, dochodzenie nie przyniosło rozstrzygnięcia. Rachela przysięgała na wszystko, że mama systematycznie okradała szafę, zdejmując drzwi z zawiasów, i rabin nie wiedział, komu ma wierzyć. W końcu Rachela dostała reprimendę, ale że ani jej, ani nam nie można było niczego udowodnić, spór nie został rozstrzygnięty. Niestety reszta domowników traktowała nas teraz jak złodziei.

Mama zareagowała na to kontratakiem. Była pewna, że pod naszą nieobecność Rachela i pani Kraut okradają nasz pokój. Wymieniła zamek i każdego popołudnia przed wyjściem z domu posypywała podłogę talkiem, w nadziei, że odkryje czyjeś ślady. Pułapka niczego nie dowiodła, ale wojna nerwów trwała dalej.



Nadeszła jesień, ogródek jordanowski został zamknięty, a ja z radością powróciłam do moich książek i do nauki. Po incydencie, do którego doszło ubiegłej wiosny, staraliśmy się przychodzić na lekcje pojedynczo, a podręczniki chowaliśmy pod ubraniami. Zazwyczaj spotykaliśmy się przed lekcjami i po drodze omawialiśmy pracę domową, póki pewnego dnia nie zaczepił nas dobrze ubrany mężczyzna, który natarczywie dopytywał się, dokąd idziemy.

Staliśmy oniemiała z przerażenia, on zaś spychając nas pod ścianę budynku, usiłował dobrać się do naszych książek.

– Pytam tylko dlatego, że mam chłopca w waszym wieku i chciałbym znaleźć mu dobrego nauczyciela. Wyglądacie, jakbyście szli na lekcje. Na pewno możecie mi kogoś polecić.

Pierwszy ocknął się Józio, wiecznie zakatarzony i wiecznie głodny, jedyny chłopiec w naszej grupie. Purpurowy z emocji, wyrznął mężczyznę głową w wypasiony brzuch. Momentalnie rozpierzchaliśmy się i pobiegliśmy do mieszkania panny Bloch, która przerażona od razu odesłała nas do domu. Od tej pory nasze podręczniki i pióra zniknęły z pola widzenia, za to nasz zapał do nauki przerodził się w obsesję. Uwielbialiśmy te potajemne spotkania i najbardziej prozaiczna lekcja zmieniała się w jakąś wspaniałą i niebezpieczną przygodę.

W pewnym sensie te lekcje pomagały nam zachować wiarę w normalną przyszłość. Przygotowywały nas do prawdziwej szkoły, do której pewnego dnia pójdziemy. Kiedy wreszcie skończy się wojna, będą prawdziwe egzaminy, matura, nawet uniwersytet. Chyba wojna nie będzie trwać aż tak długo? Tymczasem każde z nas znalazło sobie ulubiony przedmiot, który ułatwiał mu ucieczkę od rzeczywistości. Józio rozwinął zamiłowanie do algebry, Jola – do biologii, ja zaś wybrałam geografię.

Zapisałam się do nowej biblioteki – tajnej oczywiście – i pogrążyłam w morzu książek, z którego wynurzałam się tylko pod naporem rzeczywistości, zwykle w postaci mamy, i w którym natychmiast zagłębiałam się ponownie, kiedy tylko mogłam.

Ojciec kupił wielki stary atlas, ślęczałam więc godzinami nad kolorowymi mapami, odkrywając z pełnym niedowierzaniem zachwytem miejsca znane mi z lektur, odtwarzając marszruty podróżników, sprawdzając każdy strzępek informacji i budując sobie świat, który dawał mi schronienie. Szczególnie pociągała mnie Ameryka Południowa, a nade wszystko dorzecze Amazonki. Ryby śpiewają w Ukajali były pierwszą z długiej serii książek Arkadego Fiedlera, które czytałam, oczarowana, przez całą tę zimę. Fascynowałam się przygodami odkrywców Amazonii, nazwy rzek

recytowałam jak magiczne formuły. Nie obawiałam się dziewiczej puszczy ani ludożerczych ryb. Chatka na brzegu rzeki lub rozhuśtany pokład łodzi prującej przez bystrzyce wydawały mi się najbezpieczniejszymi miejscami na ziemi. Odwiedzę je na pewno w niedalekiej przyszłości.

Z nadejściem zimy przekonaliśmy się, że nasz piecyk nie chroni ścian przed szronem. Nocami wystarczała godzina, żeby woda w wiadrze zamarzała na kamień. W ciągu dnia drętwieliśmy z zimna, nawet gdy piecyk był rozgrzany do czerwoności. Mama skarżyła się, że żar z piecyka wysusza jej skórę i faktycznie twarz miała ściągniętą i suchą, usta spierzchnięte, ręce popękane mimo częstego wcierania wazeliny. Prowiant od Lidii był na wyczerpaniu i zdobywanie żywności stało się codziennym problemem. Ojciec przyznawał, że często jest zażenowany, kiedy w towarzystwie burczy mu w brzuchu. Kiedy było nas na to stać, oszukiwaliśmy głód, jedząc cukierki, kiedy nie było – zadłużaliśmy się u handlarki cukierkami.

Złota Ryfka sprzedająca cukierki, karmelki, irysy i goplany siadywała przy małym stoliku ustawionym w naszej bramie. Była trochę starsza ode mnie, mieszkała z matką i licznymi siostrami w suterenie naszej kamienicy. Nikt w całym domu, a może i na całej ulicy, nie miał tak długich włosów jak ona – dwa grube, złote warkoczki sięgały jej do kolan, a kiedy szła, wiły się na jej plecach jak węże. Często dawała nam na kredyt jedną goplanę; goplany były większe i dawały się przepołować. Kiedy szłyśmy z wizytą, wychodząc z domu, kupowałyśmy sobie po jednym cukierku i ssałyśmy je po drodze, póki nie dotarłyśmy do celu, gdzie można było spodziewać się poczęstunku. Czasem, kiedy kredyt się wyczerpał, Ryfka tylko kręciła głową i odmawiała nawet jednej goplany do podziału. Potem ojciec narzekał, że nie stać go na opłacanie naszych zachcianek, i wybuchała kłótnia. Teraz łatwo wpadał w gniew. Zapadł na zdrowiu, kaszlał, a nocami często budził mnie jego chrapliwy oddech. Cere miał pożółkłą, policzki zapadnięte, a usta ujęte w dwie głębokie, pionowe bruzdy. Siwizna posrebrzyła mu skronie, gęste, niesforne włosy przeredziły się. Ale najwięcej cierpień przysparzały mu odmrożenia. Z nastaniem mrozów palce u nóg zrobiły się fioletowe, puchły i pękały jak przejrzałe śliwki. Mama darła ostatnie lniane ręczniki na bandaże, które każdej nocy przyklejały mu się do stóp, zeszywniałe od zaschłej krwi i ropy. Nic na to nie pomagało.

Patrzyłam, jak siadał na niskim stołku przed miednicą z gorącą wodą i z twarzą zlaną potem próbował ściągnąć sięgające do kolan buty z cholewami albo zaciskając zęby, ostrożnie odwijając bandaże. Zastanawialiśmy się, czy odpadną mu palce i co wtedy będzie.

Bywało, że wracał do domu dopiero rano, spędzając noc w klubie, w naszej

kamienicy, gdzie mężczyźni grali w karty i dyskutowali. Powróciła bezsenność, która trapiła go przed wojną, i często słyszałam, jak zakrada się do pokoju na palcach o trzeciej lub czwartej nad ranem. Kładł się wówczas w ubraniu, drzemiąc niespokojnie do szóstej, kiedy czas było wstawać. Serce krajało mi się z bólu, gdy patrzyłam na jego twarz, poszarzałą w świetle świec, i na długie kościste palce obejmujące filiżankę z erzacem kawy, która była jego jedynym śniadaniem. Idąc do pracy z kawałkiem czarnego chleba w kieszeni, ostrożnie stawiał spuchnięte stopy, póki zimne powietrze nie stępiło bólu. Dopiero wtedy lżej mu było się poruszać.

Tej zimy mama sprzedała jego ostatni dobry garnitur. Zanim go zabrała, poprosiła, żeby się w niego ubrał:

– Niech cię zobaczę takiego jak dawniej. Już zapomniałam, jak wyglądałeś, kiedy byłeś dobrze ubrany.

Ojciec włożył marynarkę i stanął przed nami, patrząc z mieszaniną obawy i zdumienia, jak staramy się ukryć przerażenie. Marynarka spadała mu z ramion, szyja wystawała z przepastnego kołnierza, a całość wisiała na nim jak namiot.

– Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek byłem w stanie ją sobą wypełnić – zdziwił się, podciągając ramiona. – A przecież nigdy nie byłem gruby, tylko barczysty. Gdzie to się podziało? Czy ciało może tak zaniknąć?

Pospiesznie zdjął marynarkę, my zaś spakowałyśmy garnitur. Ojciec podciągnął nogawkę spodni i porównał swoją łydkę z moją. Były niemal tej samej grubości, a ja – zawsze to powtarzał – miałam nogi jak patyki.

Zima chwyciła mocniej i nagle gruchnęła wiadomość, że trzeba będzie zdać wszystkie futra. Były potrzebne żołnierzom na froncie wschodnim. Słuchaliśmy w osłupieniu. A więc mamy pomagać Niemcom w wygraniu wojny! Mamy ponosić ofiary, narażać zdrowie i życie po to, żeby zapewnić komfort naszym wrogom! Ten nowy rozkaz był tak zdumiewający, że ludzie śmiali się i przeklinali jednocześnie. Perspektywa zimy stała się jeszcze bardziej przerażająca. Zarekwirowane futrzane płaszcze należało zastąpić nowymi, ciepłymi ubraniami, a o tym mogliśmy tylko pomarzyć. Nie mieliśmy pieniędzy na jedzenie, a co dopiero na ubrania. Po nerwowych naradach z bliskimi, uznaliśmy, że trzeba będzie się obejść tym, co jeszcze zostało. Na szczęście tydzień wcześniej mama sprzedała swoje bobrowe futro. Jej stare, srebrne karakuły były już znoszone: szwy się rozłaziły, a przez wyliniałe futro przeświecała skóra. Nadal chroniły przed ostrym mrozem, lecz po dyskretnej interwencji ojcowej brzytwy, niemiecka armia nie mogła mieć z nich pociechy.

W wyznaczonym dniu zdaliśmy je razem z mufkami, moim gronostajowym

kołnierzem oraz podpinką mojego palta i podszewką z butów. Wszystko zostało odpowiednio spreparowane i przez chwilę zastanawialiśmy się nerwowo, czy nasz sabotaż nie zostanie wykryty. Nic się nie stało, więc zapomnieliśmy o całej sprawie i skupiliśmy się na tym, jak przetrwać.

Wtedy właśnie niespodziewanie zjawiła się u nas Lidia. Przyszła pewnego dnia późnym wieczorem. Wyglądała na silnie wzburzoną i kiedy tylko usiadła, wybuchnęła płaczem. Od kilku tygodni nie mieliśmy od niej wiadomości, zastanawialiśmy się, co się stało, ale woleliśmy nie szukać z nią kontaktu. Przyjaźń z gettem była niebezpieczna, nie chcieliśmy jej narażać.

Z niepokojem wysłuchaliśmy jej dziwnej opowieści. „Morskooki” poszedł na front wschodni i słuch po nim zaginął. Lidia czekała nadaremnie na jakąś wiadomość, po czym zaczęła spotykać się z jednym z jego kolegów. Potem z następnym. Koledzy się mnożyli. Lidia prowadziła bujne i wesołe życie, rzadko kiedy spędzając noc w domu i starając się zapomnieć o swojej miłości. Pewnego dnia oboje z Erykiem dostali ostrzeżenie od podziemnej organizacji, że są obserwowani i że znaleźli się na czarnej liście. Eryk, który prawie nie utrzymywał kontaktów z Niemcami, przyjął to ze stoickim spokojem, ale Lidia wpadła w panikę. Następnej nocy, kiedy jej aktualny przyjaciel usnął, przeszukała mu kieszenie, znalazła listę z nazwiskami, przepisała ją, i rano zrobiła rundę po mieście, ostrzegając wszystkie osoby z listy przed niechybnym aresztowaniem. Kiedy wychodziła z ostatniego domu, natknęła się na grupę gestapowców, którzy podążali jej śladem, stwierdzając raz za razem, że kolejny ptaszek się ulotnił.

W grupie był także jej nowy przyjaciel, który bez wątpienia musiał zorientować się, co się dzieje. Lidia miała nadzieję, że nie puści pary z ust. Przecież wyjście na jaw takiej klasycznej wpadki miałoby dla niego bardzo przykre konsekwencje. Na razie jednak bała się wrócić do domu i wolała przeczekać niebezpieczeństwo u nas.

Ojciec, sądząc po jego minie, nie bardzo wierzył w tę historię. Nie można było jednak odmówić gościny. Ku mojej ogromnej radości zostałam przeniesiona na łóżko ojca, Lidia zaś miała dzielić drugie z mamą. Nasze racje żywnościowe zostały szcudrze uzupełnione przez gościa, a ja byłam dumna i szczęśliwa, że Lidia zamieszkała z nami. Tylko ja cieszyłam się z tej wizyty. Mama z trudem odgrywała rolę uprzejmej gospodyni, nastroje Lidii wahały się między wstrętem, kiedy ją oprowadzałam po getcie, a rozpaczliwą tęsknotą za „Morskookim”, kiedy była z nami w domu. Zastanawiała się, czy on jeszcze żyje, czy nie kona z zimna na rosyjskich stepach. Mając w pamięci nasz futrzany sabotaż, słuchaliśmy jej skarg w milczeniu.

Po dziesięciu dniach Lidia zdecydowała, że może bezpiecznie wrócić do domu, i wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

Kiedy nadeszły święta Bożego Narodzenia, Lidia znów zaprosiła mnie do siebie. Znowu była wspaniała choinka, kolacja wigilijna i dużo prezentów. W podarunku od mamy zaniiosłam nasz ostatni haftowany obrus. Tym razem jednak nie wychodziłam z dziećmi na popołudniowe spacer. Pokazywanie się na zewnątrz stało się zbyt niebezpieczne, większość czasu spędzałam więc w domu. Raz lub dwa odbyłam krótką przechadzkę po zmroku, zachwycając się wystawami sklepowymi, tramwajami, tłumem na ulicach, rozmachem wielkiego miasta.

Najmilszą niespodzianką było to, że Zosia, dawna kucharka babci, służyła teraz u Lidii. Powitała mnie z otwartymi ramionami, a ja z przyjemnością przesiadywałam godzinami w kuchni, opychając się jej słynnym sernikiem i słuchając jej opowieści. W tym chaotycznym i rozgorączkowanym domu Zosia wydawała się jedyną ostoją. Chłopcy musieli to odczuwać równie silnie jak ja, bo za każdym razem, kiedy Lidia i Eryk natykali się na siebie i w powietrzu wisiła awantura, wymykali się do kuchni. Zosia z dezaprobatą kręciła głową na to, co się tam działo. Otwarcie potępiała znajomości Lidii i po wielokroć powtarzała, że nie odchodzi stąd tylko ze względu na dzieci.

– Z tobą włącznie – dodawała, kiwając głową w moją stronę. – Jeśli tam coś się stanie – machała ręką w kierunku getta – Lidia sprowadzi cię tutaj, a wtedy niech Bóg ma nas w swojej opiece. Ona robi to tylko ze względu na twojego ojca. Zawsze jej się podobał i teraz wreszcie ma szansę. Twój ojciec dla ciebie duszę by zaprzedał, więc jeśli cię bezpiecznie przechowa, to nie będzie takiej rzeczy, której by dla niej nie zrobił.

Starałam się zrozumieć, co to wszystko znaczy i natychmiast odpychałam od siebie te myśli. Na pewno coś źle zrozumiałam! Przecież ludzie tak nie postępują! Jeśli, jak to mówi Zosia, „zrobi się gorąco”, zostanę z rodzicami. Cokolwiek by się działo, nie stanę się przedmiotem takich targów. Rodzice już poświęcili dla mnie wolność, wbrew sobie zostali razem. Dość tych poświęceń. Już samo moje istnienie było dla nich wystarczająco wielkim ciężarem. Zbyt wielkim, jak mi się często wydawało.

Kiedy nadszedł czas powrotu do domu, tajemniczy telefon sprawił, że zostałam jeszcze na dwa tygodnie. Ani Lidia, ani Eryk nie wyjaśnili mi, co się stało. Dopiero Zosia powiedziała mi w wielkiej tajemnicy, że ojciec zachorował. Miał zapalenie opłucnej i wdały się komplikacje. Jego stan był poważny. Zosia przyglądała mi się ze smutkiem, kiedy starałam się nad sobą zapanować – Lidia nie mogła się zorientować, że wiem.

– Jeśli cokolwiek stanie się ojcu, będzie z tobą marnie – prorokowała Zosia. – Już nigdy więcej cię nie zobaczę.

Przez następny tydzień z trudem ukrywałam niepokój. Chciałam być w domu,

dowiedzieć się, co z ojcem, a tymczasem nawet nie wolno mi było okazać, że wiem, co się stało. Niecierpliwiłam się, kiedy chłopcy zameczali mnie bezustannymi prośbami o zabawę. Uciekałam z pokoju, gdy Paweł siadał do pianina i ignorowałam nieśmiałe przejawy sympatii ze strony Tomka.

Wreszcie telefon zadzwonił i Lidia oświadczyła, że mogę wracać do domu. Nigdy przedtem nie byłam tak szczęśliwa, że opuszczam tamten dom, i omal nie zapomniałam ucałować chłopców na pożegnanie.

Ojca zastałam w łóżku, jeszcze bardziej poszarzałego i chudszeo niż przedtem. Jego kaszel nabrał nowych, głuchych tonów, po każdym napadzie leżał bez tchu, złany potem. Przesiadywałam przy nim całymi dniami. Graliśmy w bitwę morską, układaliśmy rebusy i anagramy lub zadawaliśmy sobie układanie wierszyków na najbardziej nieprawdopodobne tematy.

Kiedyś zdarzyło się, że wymyślając słowa piosenki zawierające cztery całkowicie przypadkowe rzeczowniki, oboje ułożyliśmy identyczne, jak się okazało, wersy. Odczytaliśmy je zdumieni. Te słowa można było połączyć na nieskończenie wiele sposobów, a przecież – jak zapewnialiśmy mamę – nawet nie patrzyliśmy na siebie! Byłam zachwycona tym nowym dowodem na to, że nasze umysły pracują tak samo, ale ojca dziwnie to zirytowało. Mimo moich usilnych prób nie chciał więcej bawić się w tę grę, ani żadną inną wymagającą takiej rywalizacji, i zamiast tego wyciągnął książkę z matematycznymi łamigłówkami, które dla mnie były całkowicie nieprzystępne.

Wkrótce potem, kiedy stan jego zdrowia poprawił się, ojciec wrócił do pracy, i choć z trudem łapał oddech, znów nocami zaczął bywać w klubie i palić papierosa za papierosem. Teraz już nie było nas stać na drewno do piecyka i mama chodziła dwa razy w tygodniu do tartaku, gdzie pracował dziadek i gdzie pozwalano jej zbierać trociny na opał. Wór trocin, prawie tak duży jak ona, niosła na plecach, potykając się i ślizgając po zamrożonym śniegu, i modląc się, żeby nie zobaczył jej żaden znajomy. Piecyk opalany trocinami zachłystywał się i buchał nagłym płomieniem przy każdym dorzucaniu, więc trzeba było uważać, żeby nie stać za blisko. Jakimś cudem nic dotąd nie zajęło się ogniem. Do pożaru doszło jednak nie za sprawą piecyka, lecz lampy naftowej, która wyslizgnęła się z uchwytu i roztrzaskała na podłodze. Ojciec właśnie wyszedł do klubu, a ja leżałam już w łóżku. Zobaczyłam, że mama cofa się w stronę okna, a płonąca nafta rozlewa się po podłodze, odcinając ją od drzwi. Przez chwilę, która wydawała się trwać wieczność, siedziałam zdrętwiała z przerażenia, patrząc na płomienie. Mama obróciła głowę, nasze spojrzenia się spotkały. Wskoczyłam z łóżka i rzuciłam się w dół po schodach, wołając ojca. O dziwo, właśnie zawrócił

do domu, przeczuwając, że stało się coś złego. W jednej chwili było po wszystkim. Ojciec zdusił ogień, nakrywając płomienie przewróconą do góry dnem miską. Potem zaniósł mamę do łóżka i otworzył okno, żeby wywietrzyć pokój.

Od tamtego czasu staraliśmy się nie wpuszczać pani Kraut do naszego pokoju, żeby nie zobaczyła zniszczonej podłogi. Nie było to szczególnie trudne, bo w dalszym ciągu byliśmy w stanie wojny z naszymi gospodarzami. Oni sami przespali całe to wydarzenie twardym snem i nie mieli pojęcia, jak niewiele brakowało, żebyśmy wszyscy spłonęli.

Tej zimy odniosłam wielki sukces w szkole. Panna Bloch uznała, że moje wypracowanie o Leonardzie da Vinci, Rafaelu i Michale Aniele było najlepsze ze wszystkich napisanych przez jej uczniów. Wypożyczyła je do przeczytania innym kompletom, a kilka razy nawet zabrała mnie ze sobą, bym mogła je sama odczytać. Byłam zbyt onieśmielona, by odczuwać przyjemność z tych występów, widok obojętnych twarzy obcych dzieci ranił moją dumę. Cieszyła mnie za to możliwość obejrzenia innych mieszkań. W jednym z nich, na przykład, uderzył mnie widok długiego stołu przykrytego śnieżnobiałym obrusem, na którym stał koszyk pełen bułek, a wokół niego pojemniki z masłem, serem, śmietaną i dżemem. A więc były jeszcze domy, gdzie wspólnie zasiadano do śniadania, a niezjedzone bułki zostawały na stole.

Nasze posiłki były monotonne i pozbawione smaku, choć mama musiała tymczasem stać się świetną kucharką, bo teraz zjadałam wszystko do czysta. Wprawdzie zupa była prawie zawsze taka sama i nic nie mogło zamaskować smaku brukwi i rzepy, jej głównych składników. Mięso było twarde i przyprawiane coraz większą ilością smażonej cebuli, by ukryć coraz mniejsze porcje.

Na początku roku ojciec oznajmił, że choćby miał umrzeć z głodu, nikt go nigdy w życiu nie przekona do skosztowania końskiego mięsa. Jedzenie koni – to prawie jak jedzenie ludzi. Koń jest najlepszym przyjacielem człowieka. Koninę, jakkolwiek podaną, rozpoznałby natychmiast. Wymieniłyśmy z mamą ukradkowe spojrzenia. Już od ponad roku jedliśmy koninę, nazywając ją „wołowiną”, i ojciec zmiatał swoją porcję tak samo jak my.

Podstawą wszystkich naszych posiłków były ziemniaki; mama często smażyła jeden duży placek ziemniaczany, wypełniając patelnię po brzegi. Posypany cukrem stanowił całą naszą kolację, ale nie był wystarczająco syty i budziliśmy się w nocy głodni jak wilki. Podczas pobytów u Lidii mogłam jeść do woli, ale pomna dobrych manier grzecznie odmawiałam dokładki.

Miałam bolesną świadomość, że rodzice oddają mi najlepsze kąski i że oboje głodują. Ilekroć jednak próbowałam wymówić się od jedzenia, prowokowałam wybuch gniewu. Rosnę i bardziej potrzebuję pożywienia niż oni. Mama twierdziła, że kiedy kosztuje jedzenie w trakcie gotowania, to potem już nigdy nie jest głodna, ojciec nieodmiennie zapewniał, że jadł coś na mieście. Wiedziałam, że oboje kłamią, ale zdawałam sobie sprawę, że jeśli odmówię zjedzenia, zarzucą mi czarną niewdzięczność. Patrząc na ich zapadnięte twarze, przełykałam posiłek kęs za kęsem z poczuciem winy i bolesnym skurczem serca.



Oboje rodzice nagrodzili mnie za wypracowanie, ale z każdą z tych nagród wiązała się kara. Mama kupiła biały chleb – ćwiartkę niedużego bochenka. Był jeszcze ciepły, kiedy go przyniosła do domu. Zjadłam moją porcję, delektując się każdym kęsem tak niezwykłego przysmaku. Nie mogłam oderwać oczu od reszty, więc mama, jak zwykle zadowolona z tego, że mam apetyt, podsunęła mi drugą kromkę, tę, którą wieczorem miała podzielić się z ojcem. Odmówiłam grzecznie, ale w końcu ulegając jej namowom, ugryzłam jeszcze jeden kęs. Rozmawiałymy o wypracowaniu i nim się spostrzegłam, chleba już nie było. Zjadłam wszystko.

Momentalnie zalałam się łzami. Oto pozbawiłam rodziców przysmaku. Byłam samolubna, bezmyślna i karygodnie łakoma. Mimo wszystkich wysiłków mamy, żeby mnie uspokoić, płakałam tak długo, aż w końcu zwymiotowałam wszystko, czym doprowadziłam ją do furii. Tego wieczoru położyłam się do łóżka zbyt nieszczęśliwa i zawstydzona, by opowiedzieć ojcu o moim wypracowaniu.

Kiedy wreszcie mu o tym powiedziałam, popatrzył ze zdumieniem, jakby nie wierzył własnym uszom:

– Leonardo? Rafael? Michał Anioł? – powtórzył za mną jak ktoś, kto nigdy dotąd nie słyszał tych imion. – To o tym się uczysz?

Rozejrzał się po naszym pokoiku, biorąc meble na świadków tej nowiny. Potem spojrzał na mamę.

– Chcesz mi powiedzieć, że tu i teraz, w 1942 roku, w tych warunkach dzieci spędzają czas na czytaniu o włoskim renesansie?

Mama poczuła się urażona. To, że żyjemy w getcie, nie może być wymówką, żeby zaniedbywać albo ograniczać edukację. Każdy uczy się w szkole o renesansie. Na szczęście stać ich jeszcze na to, żeby opłacać moje lekcje i zapewnić mi choćby namiastkę normalności.

Ojciec pokręcił głową, obrzucając moje książki sceptycznym spojrzeniem. Zerknął na wypracowanie, ale nie miał ochoty go czytać. Był zbyt zmęczony. To były teraz tak odległe sprawy... Przeczyta je uważnie innego dnia, kiedy będzie się lepiej czuł. Pogłaskał mnie po głowie i poszedł do klubu.

Byłam głęboko dotknięta. Następnego dnia mama oznajmiła bardzo tajemniczo, że muszę być wyjątkowo grzeczna, bo ojciec ma dla mnie wspaniałą niespodziankę. Błagałam, żeby mi zdradziła tajemnice, i po długich prośbach uległa. Ojciec kupił dwa bilety do teatru. W getcie, w teatrze Femina, wystawiono *Księżnę Czardaszkę*<sup>[1]</sup> – operetkę Kálmána – i ojciec zabiera mnie na nią dziś wieczorem. Mama nie idzie. Pójdziemy we dwoje.

W pierwszej chwili wydawało mi się, że pęknę ze szczęścia. Skakałam do góry, rzucałam się na łóżko, fikając nogami, śmiałam się w głos. Rozsadzała mnie

niepohamowana radość. Uderzyła mi do głowy jak bąbelki w oranżadzie, kiedy się potrząśnie butelką. Była nie do opisanania. Można ją było tylko wykrzyknąć i wytańczyć.

Ileż to razy podczas długich zimowych wieczorów mama wspominała oglądane niegdyś przedstawienia i opery. Opowiadała fabułę, odgrywała poszczególne role, a ojciec dodawał oprawę muzyczną i efekty dźwiękowe. Skuleni przy naszym wybuchowym piecyku odśpiewywali popularne arie, improwizując recytatywy i dorzucając uwagi o dekoracjach, kostiumach i rekwizytach, aż wreszcie z ciemności naszego pokoju wyłaniał się cały teatr – z orkiestrą, czerwoną pluszową kurtyną, widownią oraz mamą i ojcem w rolach głównych. Kiedy aktorzy tracili już głos, mama skupiała uwagę na mnie. Gdzie i kiedy powinna zabrać mnie najpierw? Do opery w Warszawie czy w Poznaniu? Jak mam być wtedy ubrana? Biała sukienka i różowa szarfa, decydowała. Taki strój nosiła, kiedy pierwszy raz poszła do opery z ojcem.

– Przeplakałaś całą *Cyganerię*, a ja ze wstydu chciałem się zapaść pod ziemię – dodawał, mrugając do mnie. – Dorosła kobieta, zaręczona, a płacze w publicznym miejscu z powodu jakiejś głupiej historyjki.

Mama uśmiechając się, potrząsała głową:

– Nasza córka, o ile ją znam, też będzie płakać na *Cyganerii* i na *Madame Butterfly*. Wystarczy przecież wejść do opery, zobaczyć rozjarzone światłami foyer, wieczorowe suknie i łoże... A potem światła przygasają, zaczyna się uwertura, kurtyna się podnosi... Nawet teraz, kiedy o tym pomyślę, ciarki po mnie przechodzą. Jasia zwariuje z podniecenia.

Już teraz wariowałam, choć to miał być tylko mały teatr w getcie i austrowęgierska operetka, a ja miałam założyć moją starą wełnianą sukienkę. Ale znałam każde słowo każdej arii i szłam z ojcem!

Kiedy dotarliśmy na miejsce, wysiadło światło i pierwszy akt został odegrany przy syczących karbidówkach, które jarzyły się oślepiająco w niektórych miejscach sceny, pozostawiając resztę w kompletnych ciemnościach. Nic jednak nie było w stanie przyćmić mojej radości. Przycupnięta na brzegu krzesła, dyszałam w kark mężczyźnie, który siedział przede mną, okropnie go tym irytując, a przy każdej arii ojciec musiał mnie powstrzymywać, żebym nie wtórowała śpiewakom. W przerwie wyszliśmy do foyer, które okazało się zwykłym wejściem z ulicy. Tu ojciec zniweczył mój podniosły nastrój, sugerując mi wizytę w damskiej toalecie. Spojrzałam na niego ze zgrozą. Cóż za świętokradztwo! Jeśli ktoś uznał za stosowne, by w tym świętym miejscu zainstalować taki przyziemny przybytek, to ja nie chcę nic o tym wiedzieć. Przebywałam między nieśmiertelnymi, gdzie żadne cielesne potrzeby późniejszych bytów nie miały do mnie dostępu.

Ku mojej irytacji ojciec nie ustępował. Drugi akt miał być długi, a potem będziemy śpieszyć się do domu, żeby zdążyć przed godziną policyjną. Naprawdę rozsądniej byłoby pójść teraz – na wszelki wypadek. Kiedy gwałtownie protestowałam, zaświtała mi niejasna myśl, że ojciec może mieć rację, ale natychmiast ją stłumiłam. Nie zamierzałam marnować ani chwili przerwy. Poza tym zbyt energicznie protestowałam. Nie mogłam nagle zmienić zadania, bo straciłabym twarz. Na schodach pojawiła się aktorka, która grała heroinę, i ojciec przedarł się przez tłum, żeby z nią porozmawiać. Znali się z dawnych lat, kiedy oboje byli studentami.

– To musiało być z osiemnaście lat temu – powiedział ojciec, a pani zachnęła się oburzona.

– Bzdura, najwyżej pięć – stwierdziła stanowczo. Obróciła się na pięcie i pospiesznie odeszła. Była stara i pomarszczona, spódnicę miała pocerowaną. Ale na scenie wyglądała czarująco. Śpiewała i tańczyła z werwą jak młoda dziewczyna i taką chciałam ją zachować w pamięci.

Ojciec wycofał się zakłopotany:

– Palnąłem okropną gafę – przyznał. – Nigdy nie należy mówić kobiecie, a już szczególnie aktorce, że jest znana od wielu lat.

Zdziwiło mnie to. Skoro to prawda, czy nie powinno być jej przyjemnie, że od tak dawna jest sławna? Wróciliśmy na miejsca i od pierwszej minuty drugiego aktu wiedziałam, że ojciec miał rację – w czasie przerwy powinnam była odwiedzić pewne miejsce. Nie było takiej siły, która skłoniłaby mnie do wyjścia po podniesieniu kurtyny, ale cierpiałam coraz większe męki i ledwie byłam w stanie skupić uwagę na tym, co działo się na scenie. Ojciec zerknął niespokojnie na moją ściągniętą twarz i zaciśnięte ręce, ale biorąc to za oznaki ekscytacji, tylko pogłaskał mnie z pobłażaniem po głowie. Pod koniec spektaklu wiedziałam już, że katastrofa jest nieunikniona i łzy upokorzenia popłynęły mi z oczu.

– Doprawdy, Jasiu, jeśli płaczesz na sztuce ze szczęśliwym zakończeniem, to co to będzie na prawdziwej operze, gdzie tylko orkiestra uchodzi z życiem? – kpił ze mnie ojciec.

Odwrociłam głowę i pociągnęłam go za rękę tak energicznie, że całą drogę do domu pokonaliśmy niemal biegiem. Było jednak za późno. Włoski renesans okazał się bardzo skomplikowanym okresem mojego życia. Przyniósł wielką radość, ale i gorzkie łzy.

---

[1] Pod takim tytułem grano w getcie znaną operetkę Kálmána *Księżniczka czardasza* – przyp. red.

Od powrotu do Warszawy rzadko miałam okazję odwiedzać ciocię Marysię. Mieszkała z Zygą i kilkoma przyjaciółmi w dużym mieszkaniu po drugiej stronie getta. Mama nie utrzymywała z nią żadnych kontaktów i niechętna była moim wizytom, więc ojciec zabrał mnie tam parę razy potajemnie.

Ciocia Marysia była bardzo zmieniona. Prawą rękę miała częściowo bezwładną, mogła ją unieść tylko na wysokość pasa. Duża blizna na prawym policzku zeszpeciła jej piękną twarz, teraz też na pół sparaliżowaną. Chodziła, utykając z powodu rany na biodrze. Była wychudzona i przygarbiona, a jej głos i sylwetka przywodziły mi na myśl ciocię Helę.

Żałowałam, że kiedy przychodziliśmy z wizytą, Zygi nigdy nie było w domu. Rany niemal mu się zblizniły, w istocie miał się lepiej niż jego matka i – wedle tego, co mówiła – nie kulał, a rana na twarzy nie zostawiła blizny. Mieli wielki problemem z kupowaniem insuliny. Legalnie była nieosiągalna, trzeba ją było szmuglować za ogromne pieniądze. Wiedziałam, że ojciec im w tym pomaga, że mama się domyśla i jest tym rozgoryczona. Ojciec miał przede wszystkim obowiązki wobec nas, wobec swojej żony i dziecka. Gdyby nam przyszło głodować, ciocia Marysia nie pospieszyłaby nam z pomocą. Widziałam, że takie podejście głęboko rani ojca, i nienawidziłam mamy za każdym razem, kiedy ten temat wypływał w rozmowie. W styczniu 1942 roku dowiedzieliśmy się, że Zyga jest chory. Insulina, którą ciocia kupowała, okazała się wodą. Niekontrolowana cukrzyca spowodowała, że otworzyły się stare rany i wdała się infekcja, którą lekarz zdiagnozował jako zapalenie szpiku. Po tygodniach cierpień Zyga zmarł.

Byłam z mamą w domu, kiedy przyszedł do nas młody policjant z wiadomością o jego śmierci. Mama zareagowała tylko jednym słowem – „Nie!” – i ukryła twarz w dłoniach. Policjant stał przez chwilę w milczeniu, potem zsalutował i wyszedł. Przypomniałam sobie dzień, kiedy umarła ciocia Hela, i spojrzałam na mamę z uwagą. Obejmowała głowę rękami wpatrzona w ogień płonący w piecyku. Czekałam, co powie. Powiedziała tylko:

– Ani słowa ojcu, póki nie zje kolacji. Inaczej pobiegnie tam głodny.

Ojciec wrócił późnym wieczorem. Unikałam jego wzroku, pewna, że wyczyta wszystko z moich oczu. Mama powiedziała mu po kolacji. Było już po godzinie policyjnej. Ojciec zerwał się na równe nogi, usta miał zaciśnięte:

– I pozwalasz mi tu siedzieć i jeść, wiedząc, że Marysia mnie potrzebuje... A ty, Jasiu – zwrócił się do mnie – też zrobiłaś się taka, jak twoja matka...

W jego głosie nie było złości, a tylko ból i gorycz. Wybuchnęłam płaczem

i wybiegłam z pokoju. Ojciec wrócił dopiero nazajutrz wieczorem. Przetrwiałam tę noc, kuląc się na brzegu łóżka, unikając wszelkiego kontaktu z mamą. Nigdy przedtem nie czułam do niej takiego żalu.

W następnych tygodniach panna Bloch rozpytywała, kto chciałby na ochotnika pomagać w pobliskim sierocińcu. Potrzebne były dziewczęta do pracy w szwalni. Zapaliłam się do tej pomocy. Sztuki cerowania i szycia nauczyłam się od babci i byłam bardzo dumna ze swych osiągnięć na tym polu. Pałam chęcią, aby nareszcie robić coś pożytecznego. Coraz wyraźniej i boleśniej uświadamiałam sobie, że jestem pasożytem, wiodę jałową egzystencję, pozwalam rodzicom, żeby poświęcali się dla mnie, nie mogąc w żaden sposób się im odwdzięczyć. Marzyłam, żeby znaleźć jakieś zajęcie, pracować ciężko dzień i noc, przynosić do domu pieniądze i żywność, pomagać rodzicom, zamiast nieustająco zdawać się na nich. Praca w sierocińcu nie przyniosłaby pieniędzy ani żywności, ale przynajmniej komuś bym się przydała. W końcu, można coś dać z siebie społeczeństwu, skoro nie można nic dać własnej rodzinie. Wszyscy należeliśmy do jednej wspólnoty, a ja z całego serca pragnęłam stać się jej odpowiedzialnym i użytecznym członkiem. Moja entuzjastyczna deklaracja spotkała się z twardym sprzeciwem rodziców. – Twoja noga tam nie postanie – oznajmili.

Byłam zbulwersowana.

– Ale dlaczego...?

– Jedyne pożytkiem z tego będzie taki, że złapiesz jakąś zarazę. W takich miejscach roi się od wszy.

– Ale ja chcę coś robić! – zaprotestowałam. – Chcę być użyteczna. Nie mogę tak żyć, tylko brać i rosnać, i nic z siebie nie dawać w zamian. Czy nie pojmujecie, jak ja się czuję?

Patrzyli na mnie bez krztyny zrozumienia, choć raz zjednoczeni w swoim uporze.

– Tylko ciebie mamy na tym świecie. Jesteś naszym jedynym skarbem. Jeśli coś ci się stanie, nie będziemy mieli po co żyć. Tylko ty nas trzymasz przy życiu.

Mama mówiła, a ojciec potakiwał głową i spojrzenie mu złagodniało.

Patrzyłam na nich, zaciskając pięści, dusząc się ze złości i buntu. Stare, dobrze znane argumenty, zniechęcająca, obezwładniająca miłość. Więzy rodzinne, które nas oplątały i splotły ze sobą jak wszechobejmująca ośmiornica. Nie zerwę tych pęt, póki nie zabiję tych dwoje. Oni, przywiązani tak samo jak ja wbrew swojej woli, ale starzy już i wycieńczeni walką, błagali mnie udręczonym wzrokiem o darowanie im życia. Wiedziałam, że beze mnie nie przeżyją, tak samo jak ja nie przeżyję bez nich, i że jestem dla nich ciężarem, tak jak oni są ciężarem dla mnie. I że nasz duszący uścisk będzie trwał, póki jedna ze stron nie utonie.

Powiedziałam pannie Bloch, że nie przyłączę się do jej wolontariuszy, i wysłuchałam długiego kazania o duchu wspólnoty i poczuciu obowiązku, na których mi najwyraźniej zbywało.

Zima nie ustępowała. Złota Ryfka zachorowała na tyfus, ale nie zgłosiliśmy tego, żeby uniknąć kwarantanny. Wyszła z choroby i z pierwszymi promieniami wiosennego słońca pojawiła się znowu przy swoim straganie z cukierkami. Straciła jednak wszystkie włosy, które powypadały całymi garściami. Teraz nosiła turban i płakała, kiedy okazywano jej współczucie.

Nabawiłam się infekcji oczu; nasz lekarz – młody człowiek, który zdobył dyplom tuż przed wojną – podejrzewał jaglicę i zalecił wizytę u specjalisty. Babcia wspomniała nazwisko profesora S., który leczył ją przed wojną i z którym pozostawała na przyjacielskiej stopie.

– Powiedz mu, że jesteś moją córką, to nie weźmie od ciebie dużo – doradziła mamie. Profesor S. okazał się czarującym, starszym panem, który gawędził miło o swoich ostatnich wakacjach za granicą w 1939 roku i wypytywał o babcię.

Zbadał mi oczy i zapewnił mamę, że to nie jaglica, choć bardzo podobnie wygląda.

– Nic dziwnego, że wasz lekarz popełnił taką pomyłkę. Niezwykle trudno dostrzec różnicę. Bardzo się cieszę, że przyszłyście do mnie. Trzeba będzie postępować z tym ostrożnie, bo to schorzenie, choć niegroźne, bywa niestety uporczywe.

Wypisał receptę i wręczył ją mamie.

– Moje honorarium wynosi...

Tu wymienił kwotę, która zaparła mamie dech. Spojrzała na miłego doktora z niedowierzaniem.

– Ale... myślałam... moja matka...

Ku mojemu przerażeniu wybuchnęła płaczem.

Doktor spurpurowiał. Cóż za nietakt. Nigdy by nie przypuszczał, że córka pani Kowalskiej może się zachować w taki pożałowania godny sposób. Czyżby zamierzała targować się z nim o honorarium!?

– Doprawdy, szanowna pani, skoro nie umie pani odpowiednio się zachować, proszę tu więcej nie przychodzić. Człowiek z moją pozycją... z moją reputacją...

Odebrał mamie receptę i zamknął w szufladzie. Mama otarła oczy i bez słowa położyła na biurku plik banknotów.

Dostała receptę z powrotem. Wyszliśmy bez pożegnania.

Na ulicy mama ścisnęła mnie za rękę.

– Ani słowa ojcu... Powie, że ta wizyta była całkowicie zbyteczna i że kosztowała tyle, co tygodniowe utrzymanie. Nie mam pojęcia, jak sobie teraz poradzimy.

Zwiesiłam głowę, starając się zdławić gorzkie łzy. To było niewybaczalne, że mama musiała wydać na mnie taką sumę. Nienawidziłam tego doktora, marzyłam, żeby wrócić do jego gabinetu z pistoletem w ręce. Chciałam go zabić i odebrać nasze pieniądze. Byłam pewna, że mogłabym zastrzelić go z zimną krwią, a przedtem usłyszałby, co o nim myślę. To były próżne mrzonki – wiedziałam o tym i cały swój gniew zwróciłam przeciwko sobie. Nienawidziłam się i złorzeczyłam na swoje oczy. Gdybym oślepla jak ciocia Hela, byłaby to ulga i kara za głupie, bezsensowne poświęcenie, które wymusiłam na mamie. Z całego serca pragnęłam umrzeć.

Tej zimy zauważyłam, że zawsze, kiedy odwiedzałyśmy ciocię Lonię, spotykałyśmy tam jej gospodarza, pana Steina. Był to wysoki, masywny mężczyzna, starannie ubrany i swobodny w obyciu, o nienaganych przedwojennych manierach. Najwyraźniej dobrze mu się powodziło i był chyba przekonany, że wszyscy jego znajomi też z łatwością wiążą koniec z końcem. W jego obecności mama odzyskiwała dobry humor. Śmiała się, żartowała, doskonale grając rolę frywolnej młodej kobiety, pozbawionej wszelkich trosk. Pan Stein wodził za nią zachwyconym spojrzeniem, śmiał się z każdego żartu, podawał jej płaszcz ostrożnie i delikatnie, jakby była z porcelany, i często odprowadzał nas do domu. Jego żona rzadko była obecna podczas tych wizyt. Ciocia Lonia twierdziła, że pani Stein ma własny krąg przyjaciół i z nimi spędza większość czasu.

Steinowie często wydawali przyjęcia i mama była zawsze zapraszana. Ojciec towarzyszył jej, jeśli dobrze się czuł. Wracali w świetnych humorach. Mama pachniała wodą lawendową od Lidii, a ojciec – alkoholem. Mama z ożywieniem rozprawiała o każdym gościu, omawiała suknię i fryzurę, i kto z kim tańczył.

Zaczęłam rozumieć, jak bardzo tęskniła za takim życiem, jak bardzo pragnęła wyrwać się z naszej ciemnej i wilgotnej nory, jak pociągała ją elegancka atmosfera mieszkania Steinów. I jaką przyjemność sprawiały jej ploteczki i błahe rozmowy dobrze ubranych i sytych ludzi, w których towarzystwie odzyskiwała dawny polot. Jednocześnie martwiła się swoim wyglądem. Przed każdym przyjęciem cierpliwie wyskrobywała z oprawki resztki szminki, wytrząsała ostatnie ziarenka pudru ze starej puderniczki, oglądając ze smutkiem swoje zniszczone ręce. Jej ostatnia dobra sukienka była już przeniecona i wyraźnie przecierała się na łokciach. Polerowałam jej buty, aż błyszcząły jak lustro, i odprowadzałam ją do drzwi podniecona tak, jakbym to sama szła na przyjęcie.

Czasem jednak mama wracała do domu nachmurzona. Zarzucała ojcu, że zbyt mocno przytulał w tańcu jakąś panią i jawnie z nią flirtował. Kiedyś doszło do nieprzyjemnej sceny – mama oskarżyła ojca, że widziała go na mieście z jakąś blondynką, a on udał, że jej nie widzi. Mama była ze znajomą, która to skomentowała, uprawiając ją w okropne zażenowanie. To był afront, zniewaga, której nie mogła mu darować. Ojciec, jak zwykle, nie odpowiedział na jej zarzuty i poszedł do klubu. Leżałyśmy w łóżku, a mama przez długi czas nie mogła się uspokoić. Próbowaliśmy mi wyjaśnić, co się wydarzyło, dlaczego ten incydent tak ją zranił. Leżałam obok sztywna i rozgorączkana. Nie chciałam nic rozumieć. Nie chciałam słyszeć o niczym, co mogło zmienić wizerunek ojca w moim sercu. Na pewno istniało jakieś proste wytłumaczenie. Mama



jak zwykle robiła z igły widły. Musiało być jakieś wyjście.

Ale fakty były bezsporne. Gorączkowo zastanawiałam się, co powiedzieć, i wyjaśnienie objawiło się nagle samo w całej swojej prostocie. Odwróciłam się do mamy i przytuliłam do niej.

– Nie martw się, to nie może być nic poważnego.

Popatrzyła na mnie, nadzieja i zaskoczenie malowały się na jej twarzy.

– Widzisz – wyjaśniłam skwapliwie – bo śpiewanie nie ustało. Zawsze, w każdej chwili, brzmi mi w głowie jakaś melodia. Nieważne co robię, ona nigdy nie ustaje. Nawet na lekcjach, nawet kiedy czytam, coś we mnie śpiewa. Nie mogę przestać. Tylko czasem, gdy dzieje się coś naprawdę groźnego, śpiew ustaje i wtedy wiem, że to poważna sprawa, i zaczynam się bać. Tak było podczas nalotów. Albo kiedy jest wielka burza z piorunami, albo kiedy się kłóciliście. Ale kiedy mi powiedziałaś o tym zdarzeniu z blondynką, melodia nie ustała. Więc to nie może być nic naprawdę poważnego.

Mama odsunęła mnie z westchnieniem.

– Doprawdy dziecko, miałam nadzieję, że już wydorostałaś i że w końcu będziemy mogły rozmawiać jak dwie kobiety. Ale ty wciąż niczego nie rozumiesz.

Odwróciła się do mnie plecami, a ja poczułam się głęboko upokorzona. Podzieliłam się z nią swoimi najgłębszymi myślami, jakich nikomu innemu bym nie wyjawiała. A ona nie potrafiła tego docenić. Ojciec by to zrozumiał.

Wkrótce po tym zdarzeniu spotkałyśmy na mieście ciocię Lonię i kiedy torowałyśmy sobie drogę przez zatłoczoną ulicę, ciocia rozprawiała na temat pana Steina.

– On zrobi dla ciebie wszystko – mówiła. – Jeśli to mądrze rozegrasz, weźmie rozwód i nigdy już nie będzie ci na niczym zbywało. Kiedy skończy się wojna, będziesz bogatsza niż my wszyscy. Jego interesy są w świetnym stanie, rozumiesz, pilnują ich jego polscy przyjaciele. Żona praktycznie już go zostawiła. Od lat żyją jak para obcych ludzi. Wydaje mi się nawet, że ona też kogoś ma. Jedyne, co ich trzymało razem, to córka, ale ona wychodzi teraz za męża, więc wreszcie będą wolni.

Widziałam tę dziewczynę przy kilku okazjach. Była to ładna, osiemnastoletnia blondynka. Jej narzeczony, Polak, odwiedzał ją regularnie i próbował przekonać Steinów, żeby ją puścili z nim na „tamtą stronę”. Steinowie wahali się. Wedle przedwojennych standardów pozycja społeczna młodego człowieka była bez porównania niższa niż ich własna. Ale w dzisiejszych czasach małżeństwo z nim mogło uratować dziewczynie życie. Z drugiej strony, jeśli ktoś ich zadenuncjuje, zginą oboje, a tu w getcie Steinowie czuli się względnie bezpiecznie. Roztrząsano tę kwestię bez końca, a tymczasem młodzi z każdym dniem niecierpliwili się coraz bardziej.

Wyglądało na to, że w końcu Steinowie dali im pozwolenie.

Mama słuchała ciotki Loni, wyraźnie zniecierpliwiona i dość szorstko odpowiedziała jej, żeby nie była śmieszna.

– To ty jesteś śmieszna – odparowała ciotka. – To życiowa okazja. Stein jest bajecznie bogaty. Możecie oboje wyjść z getta nawet jutro, jeśli będziesz chciała. Ma przyjaciół, którzy przerzucą go w bezpieczne miejsce. Stein jest dżentelmenem, jest czarujący, inteligentny, kulturalny. I do tego przystojny. Czego ty jeszcze chcesz?

– Zapominasz, że jestem mężatką – powiedziała mama.

– Ale nie jesteś szczęśliwa. Od dawna już nie jesteś szczęśliwa z Mietkiem i trudno się temu dziwić, wzięwszy wszystko pod uwagę. Już przed wojną zastanawiałaś się nad rozwodem, a teraz masz ku temu jeszcze więcej powodów.

– Ale się nie rozwiodę. Nie zostawiłam go wtedy, kiedy był zdrowy i silny i mógł zacząć nowe życie. Tym bardziej nie zrobię tego teraz, kiedy jego życie dobiega końca. A kiedy on zginie, to i dla mnie też koniec. Odkąd spotkałam Mietka, nie spojrzałam na innego mężczyznę i nigdy nie spojrzę. Powiedziałam to panu Steinowi wczoraj i możesz mu to jeszcze raz powtórzyć, skoro najwyraźniej prosił cię, żebyś się za nim wstawiła. Ja nie chcę go więcej widzieć.

To mówiąc, zostawiła ciotkę Lonię na środku ulicy i obie pospieszyłyśmy do domu. Popatrzyłam na nią z uznaniem. Nie mogłam sobie wyobrazić, że zostawiłaby ojca dla grubego, oślizgłego pana Steina, z tymi jego wszystkimi milionami.

Oczywiście to, że ojcu zostało już niewiele życia, było czystym wymysłem. Mama często przesadzała, ale trzeba przyznać, że tym razem zabrzmiało to bardzo pięknie. Korciło mnie, żeby całą tę rozmowę powtórzyć ojcu, ale powstrzymała mnie obawa przed mieszaniem się w „te sprawy”

Ku mojemu zaskoczeniu tego wieczoru i przez kilka następnych dni mama była wyjątkowo rozdrażniona i traktowała nas oboje bardzo szorstko. Raz lub dwa wybuchnęła płaczem i zagroziła, że nas zostawi i wróci do rodziców. Ojciec, nie ukrywając irytacji, odpowiedział, żeby spróbowała, a jeszcze tego samego dnia babcia odeśle ją z powrotem. Babci i mamie rzadko kiedy udawało się spotkać i nie pokłócić. Babcia z każdą naszą wizytą stawała się coraz bardziej wymagająca, bezustannie narzekała, opowiadała o swoich licznych dolegliwościach. A przecież dziadek pracował w tartaku, gdzie jako tako zarabiał. Było ich tylko dwoje, a więc mogli żyć na dużo wyższym poziomie niż my. Ich pokój, suchy i słoneczny, był nieporównanie lepszy od naszego; Goldowie, Sara i Szymek, wciąż pogodni i życzliwi jak zawsze. Babcina szafa pękała od porządnych, przedwojennych jeszcze ubrań, których babcia nigdy nie wkładała, bo prawie nie wychodziła z domu. Mama często dawała jej do zrozumienia,

że ta lub tamta sukienka świetnie by na nią pasowała albo nadawała się do przerobienia dla mnie, ale takie aluzje babcia zawsze puszczała mimo uszu. Za to często wypytywała mamę o trudno dostępne produkty – owoce, drogie sery albo szynkę – i oczekiwała, że następnym razem je przyniesiemy. Kiedy mama protestowała, tłumacząc, że trudno je dostać, nie wspominając już o tym, że kosztują majątek, babcia lekceważąco machała ręką: „To poproś Mietka, żeby przyniósł z «tamtej strony»”. Za szmuglowanie żywności do getta groziła kara śmierci i nawet kromka chleba, jeśli była zbyt grubo posmarowana masłem, mogła człowieka kosztować życie, ale babcia nie liczyła się z rzeczywistością.

Kiedy więc mama groziła, że wyprowadzi się do swojej matki, wiedziałam, że to czcze pogrożki. Na dobre i na złe zostaniemy razem.

Nastała wiosna i z nadejściem cieplejszej pogody śmiertelność w getcie ponownie wzrosła. Tego roku nie spędziłam urodzin u Lidii. Sytuacja była zbyt niepewna. Dochodziły wieści o nowych obozach, trwało wysiedlanie z gett na prowincji i całe pociągi załadowane Żydami przepadały bez śladu.

Pojawiły się pogłoski o specjalnych oddziałach egzekucyjnych, złożonych z Ukraińców, Litwinów i Łotyszów, które miały przybyć do Warszawy. Getto ogarnął paniczny strach. „Bałtowie”, jak ich powszechnie nazywano, byli dużo gorsi od Niemców i ich przybycie mogło oznaczać tylko jedno.

W kwietniu odkryto w getcie nielegalną drukarnię, co doprowadziło do rzezi wszystkich drukarzy, większości piekarzy oraz wielu innych rzemieślników niezwiązanych z żadnym z tych zawodów. Ulice zamarły. Bez wątpienia coś się szykowało, a my niespokojnie czekaliśmy na rozwój wypadków.

W tamtym czasie próbowałam oderwać się od rzeczywistości, czytając *Faraona* Prusa. Mama znalazła piękne stare wydanie na jednym z ulicznych straganów i podarowała mi je na urodziny. I znów otworzył się przede mną nowy, tajemniczy świat, w którym mogłam znaleźć ucieczkę od naszej codzienności.

Pewnego niedzielnego poranka cała nasza trójka była razem; przez szeroko otwarte okno dochodziły z podwórka przenikliwe głosy handlarzy i bawiących się dzieci. Mama stała pochylona nad piecykiem, a ja rozmyślałam ze smutkiem o moim niemieckim królu, który musiał chyba umrzeć, bo nie widziałam go od Nowego Roku. Mignął mi po raz ostatni tej zimy. Już nie kroczył dumnie z kapą na ramionach ciągnącą się za nim jak królewski tren. Zimno przeniknęło jego odrętwiały mózg. Zgięty niemal wpół szedł pospiesznie, nadal w swej piżamie, otulając drżące ciało strzępami podartej kołdry. Jego długie włosy i broda były skołtunione. Bose stopy spękane od mrozu zostawiały na śniegu krwawe ślady. Poczułam niedorzeczny impuls, żeby podbiec, objąć go i razem z nim zapłakać nad jego utraconym królestwem. Zniknął w tłumie i więcej go nie zobaczyłam.

Z kąta, gdzie stała mama, dobiegło westchnienie i mama bez słowa osunęła się na podłogę. Ojciec zerwał się z krzesła, podniósł ją i położył na łóżku. Poluzował jej ubranie, zwilżył twarz i rozcierał jej ręce, kiedy powoli otworzyła oczy. Była wyraźnie przestraszona.

– Rozumiesz, co to znaczy? – zapytała; ojciec popatrzył na nią, a potem nagle uniósł rękę i zakrył sobie oczy.

– Wiesz, że mdlałam tylko wtedy, kiedy byłam z Jasią – ciągnęła wystraszonym szeptem. – Nie jestem chora, więc to musi być to.

Przez następne kilka tygodni w naszym domu panował chaos. Mama mdlała tak często, że bałam się zostawić ją samą nawet na chwilę. Podczas posiłków zmuszała się do jedzenia, patrząc z niepokojem na nasze zmalale porcje. Podczas jednego z mamy omdleń przyszła ciocia Lonia i trzeba ją było wtajemniczyć. Od tego czasu przesiadywała u nas codziennie, tocząc niekończące się dyskusje z mamą, która płakała, załamywała ręce, ale nie mogła podjąć decyzji.

W naszej sytuacji decydowanie się na dziecko było czystym szaleństwem. Nawet gdyby je donosiła – założenie, które z dnia na dzień stawało się mniej prawdopodobne – żadne dziecko nie zdołałoby przeżyć w tym wilgotnym pokoju, bez odpowiedniego pokarmu.

– Pamiętasz, co się stało z dzieckiem Rózi? Prędzej zabiję siebie i dziecko, niż pozwolę, żeby umierało w taki sposób.

Jakieś dwa lata temu kuzynka Rózia urodziła duże, zdrowe dziecko. Często ich odwiedzaliśmy i podziwialiśmy, jak się rozwija. Mąż Rózi pracował, a ponadto mogli liczyć na zagraniczne paczki z żywnością. Kiedy poczcie zabroniono dostarczania paczek z zagranicy, chłopczyk przestał się rozwijać. Za każdym razem, kiedy go widzieliśmy, był coraz chudszy. Przestał chodzić i na powrót zaczął raczkować, a w końcu w ogóle przestał się ruszać. Leżał w kołysce skurczony i pomarszczony, z rękami i nogami przyciśniętymi do tułowia i wygiętą do tyłu głową, śliniąc się i roztaczając woń śmierci. Rózia siedziała przy nim z twarzą zapuchniętą od płaczu. Od czasu do czasu rozglądała się dookoła w oszołomieniu.

– Nie mogę uwierzyć, co się z nami stało – mówiła. – Cesi – zwracała się do mamy – pamiętasz, jak to było, kiedy urodził się Jasio albo twoja Jasia. Pamiętasz, jaką mieli opiekę: nianie i jedzenie dla niemowląt, i ubranka dziecięce, i pudry, i specjalne mydło. Wszystkiego było pod dostatkiem, a my trzęsłyśmy się nad każdym ich kichnięciem, leciałyśmy do lekarza, gdy nie zjadły szpinaku, i wyobrażałyśmy sobie najgorsze, kiedy opuściły jeden posiłek. A teraz moje dziecko umiera z głodu, a ja nic nie mogę na to poradzić. Mój syn umiera. Jeszcze dwa lata temu marnowało się u nas więcej jedzenia w jeden dzień, niż teraz widzimy przez tydzień. Jak to jest możliwe?

Kiedy dziecko umarło, mama płakała razem z Rózią, ale w istocie obie wiedziały, że to było wybawienie. Teraz mama wpatrywała się w ciocię Lonię i każdego dnia zadawała jej to samo pytanie: jaką szansę na przeżycie ma w tych warunkach jej własne dziecko?

– Jeśli jednak w jakiś sposób zapobiegnę jego narodzinom, czy tym samym nie pójde na rękę Hitlerowi? Toż on do tego właśnie dąży. Do zniszczenia naszej rasy. A przecież, jeśli wojna niedługo się skończy, to będzie już jedno nowe życie, żeby zastąpić tych, którzy zginęli. Nigdy nie lubiłam dzieci – przyznawała – i nigdy nie

chciałam ich mieć. Urodziłam Jasię, bo trzeba mieć chociaż jedno. Małżeństwo bez dziecka to nie jest prawdziwe małżeństwo. Ale miałam z nią tyle kłopotów, kiedy była mała, że przysięgłam sobie – nigdy więcej. Teraz jednak, kiedy widzę, co się wokół nas dzieje, chcę mieć tyle dzieci, ile tylko zdołam. Po wojnie... Jeśli będę jeszcze dostatecznie młoda... Mietek zawsze pragnął mieć dużą rodzinę. Może byśmy byli szczęśliwsi, gdybym nie była w tej kwestii tak stanowcza. Ale teraz? Jak mogę teraz ryzykować? Co będzie, jeśli nas przesiedlą, wyślą gdzieś na wieś do pracy, jak sobie poradzę, będąc w ciąży?

Ciocia Lonia nie była w stanie udzielić żadnej rady. Zawsze chciała mieć kilkoro dzieci, ale mogła mieć tylko jedno. Uważała, że obowiązkiem kobiety jest urodzić tyle dzieci, ile rodzina jest w stanie utrzymać i wykształcić. Nie mogła jednak z czystym sumieniem doradzić mamie, jak ma postąpić. W naszej sytuacji każdy, kto nie był zdolny do całodziennej pracy, wydawał na siebie wyrok śmierci. Cięża nie była żadnym usprawiedliwieniem, przeciwnie, przyciągała uwagę wroga, prowokując go do jeszcze większych okrucieństw.

W końcu natura sama zdecydowała. Krwotok zaczął się nagle, kiedy byłyśmy same, ja zostałam więc wysłana po lekarza, pani Kraut zaś położyła mamę do łóżka.

Kiedy pozwolono mi wrócić do pokoju, zaszyłam się w najciemniejszym kącie, słuchając w napięciu cichych słów dobiegających od łóżka, na którym leżała mama. Doktor, siwy pan, siedział na łóżku, trzymając mamę za rękę i ocierając jej łzy z twarzy.

– Moje biedne dziecko – mówił – moja biedna dziewczynko. Natura jest najmądrzejszą matką. Im dłużej pracuję, tym silniej wierzę, że należy jej słuchać. W twoim stanie nie dałabyś rady donosić dziecka. Jesteś chudziutka jak trzcinka. Żeby utrzymać się przy życiu, musisz się lepiej odżywiać. Jak mogłabyś wyżywić jeszcze drugą istotę w tym biednym ciałku. Poczekaj, aż wojna się skończy. Wtedy będziesz mogła mieć tyle dzieci, ile zechcesz. Teraz musisz myśleć o sobie i wyzdrowieć. Wszystkich nas czekają ciężkie czasy. Musisz, dziecko, być silna, jeśli chcesz to przetrwać.

Jego łagodny głos zakłócany był tylko szlochaniem mamy. Siedząc w swoim ciemnym kącie myślałam ze zdumieniem, że nigdy dotąd nie słyszałam, żeby ktoś mówił do mamy: „Moje biedne dziecko”. Właściwie nikt nie przemawiał do niej z czułością. Dziadek był z natury małomówny i nie potrafił wyrażać swoich uczuć, babcia – zbyt zajęta sobą i swoimi dolegliwościami. Ojciec, jeśli nawet odzywał się tkliwie, to tak często narażał się na sarkastyczną replikę mamy, że w końcu tylko do mnie zwracał się z miłością. Mama nie zachęcała do czułości, a przecież musiała czuć się osamotniona we własnej rodzinie. Często miałam wrażenie, że sama nastawiała nas przeciwko sobie, a potem – we wrogiej atmosferze, którą stworzyła –

wyglądała na nieszczęśliwą. Rzadko kiedy odważałam się wskoczyć jej na kolana, objąć i dziecinnie spieszczając słowa, powiedzieć, jak bardzo ją kocham. Takie zachowanie wciąż jeszcze uchodziło z ojcem i tam mogłam być pewna, z jakim spotkam się przyjęciem. Mama obruszyłaby się niecierpliwie, radząc mi, żebym przestała się wygłupiać. A mimo to, kiedy nadąsana wymykałam się z jej objęć, wyglądała na dotkniętą. Czasem próbowała wynagrodzić swoją oschłość nagłymi przejawami uczucia, których ja z kolei nie umiałam przyjąć. Wtedy popadała w irytację i na powrót zapadało między nami milczenie pełne wzajemnego rozżalenia.

Gdybym tylko wiedziała, jak do niej podejść, jak ją rozbroić, zanim zdąży się zirytować. Zastanawiałam się, czy to kiedykolwiek mi się uda. Może kiedy będę dorosła. Kiedy przestanie mnie traktować jak dziecko, które można lekceważyć, można łamać dane mu obietnice, można odtrącać i można z niego drwić; na którym zawsze można się wyżyć i wciąż uważać, że jego świętym obowiązkiem jest ślepe posłuszeństwo i oddanie. Żeby choć rozumiała, że ja też mam uczucia, tak samo jak ona, i że mnie też można zranić. Że pod każdym względem jestem istotą ludzką, taką samą jak ona.

Doktor poszedł, a mama zasnęła. Siedziałam przy niej, cicho płacząc. Cudownie było usłyszeć, że chciała mieć dziecko! To znaczyło, że już nie żałowała tak bardzo, że mnie ma. To mógł być dla nas wszystkich początek nowego życia, nowego porozumienia, nowego przymierza.

Ale dziecka już nie było, a razem z nim przepadły moje nadzieje. Pozostał tylko ból i strach mamy, która leżała teraz w łóżku chora i bezradna. Myśl o jej chorobie była przerażająca. Poza mglistym wspomnieniem szkarlatyny, na którą chorowała dawno, jeszcze przed wojną, nie pamiętałam, żeby kiedykolwiek w ciągu dnia leżała w łóżku. Ojciec owszem; ja jeszcze częściej, ale mama nigdy.

Nagle owładnęło mną uczucie troskliwości i ogromnej siły. Teraz ja zaopiekuję się nią i ojcem. Będę gotować, sprzątać, robić zakupy. Z jaką radością będę jej dogadzać, tak jak ona zawsze dogadzała mnie, kiedy byłam chora! Próbowałam sobie przypomnieć, co najbardziej lubi, i zamarzyłam o czarodziejskiej różdżce. Jaka byłaby zaskoczona, kiedy otworzywszy oczy, zobaczyłaby pokój wysprzątanym, bez wilgoci, kwiaty wszędzie, stół uginający się od jedzenia.

Śpiąc, wyglądała tak wątko i młodo, mimo suchej cery i siateczki zmarszczek dookoła zamkniętych oczu. Ze smutkiem zauważyłam, że włosy jej posiwiały. Dłonie, dawniej tak wypielęgnowane, pokryły się żyłami, paznokcie były połamane, brud – mimo bezustannego szorowania szarym, gliniastym mydłem – wżarł się jej w skórę, zostawiając czarne ślady. Wstałam z krzesła i otarłam oczy. Teraz ja tu będę dowodzić. Poczułam się dorosła i niezwykła.

W ciągu następnych tygodni zrozumiałam, dlaczego mama z taką goryczą mówiła o swoich domowych obowiązkach. Widziałam, jak dzień w dzień wykonuje te same czynności, ale jakoś nigdy nie zdawałam sobie sprawy z ich morderczej monotonii, nie rozumiałam, jakiego wysiłku wymagało utrzymanie naszego pokoiku we względnej czystości, przygotowanie jadalnych posiłków z marnych produktów i wywalczenie tych produktów w sklepach albo wręcz na ulicy.

Zakupy zawsze ukrywałam pod płaszczem lub mocno przyciskałam do piersi obiema rękami. Przedzierając się przez tłum, bacznie wypatrywałam „chapaczy”. Byli to chłopcy lub młodzi mężczyźni, głodni i zdesperowani. Wyrywali kobietom z rąk obiecująco wyglądające pakunki i natychmiast połykali je w całości. Tylko jeden raz zostałyśmy zaatakowane w ten sposób i niewiele wówczas straciłyśmy. Mama niosła papierową torbę z koncentratem pomidorowym. Trzymała ją ostrożnie, gdyż torba zaczynała przeciekać. Chapacz zniemacka wyłonił się z tłumu, chwycił torbę i zanim się zorientował, co w niej jest, połknął połowę cierpkiej zawartości. Szedł potem za nami, bełkocząc i dławiąc się, wygrażając nam pięściami i złorzecząc, jakby to była nasza wina, że torba nie zawierała czegoś lepszego.

Innym razem widziałam, jak ten sam chłopiec odepchnął kobietę, która upuściła paczkę i pół tuzina jajek rozbiło się na śniegu. W ułamku sekundy padł na kolana i jajka zniknęły, nim kobieta zdążyła krzyknąć.

Miałam szczęście, bo podczas tych tygodni, kiedy prowadziłam gospodarstwo, nikt na mnie nie napadł. Ale też wyrobiłam sobie umiejętność lawirowania w tłumie z taką szybkością, że nikt nie miał szansy przyjrzeć się, co niosę. Bałam się zostawić mamę samą i byłam zbyt przejęta swoimi obowiązkami, żeby ociągać się z powrotem do domu. Odkąd mama poczuła się lepiej, Tosia i Jola przychodziły codziennie i kiedy pomagały mi nosić wodę i rąbać drzewo, paplałyśmy, śmiałyśmy się i opowiadałyśmy sobie niestworzone historie. Ku mojej radości mama coraz częściej przyłączała się do nas. Opowiadała o swoich szkolnych czasach, psotach, które urządzali z kuzynami, cudownych letnich wakacjach spędzanych razem z dwanaściorgiem kuzynostwa i rozlicznymi gośćmi na wsi, w posiadłości jej ciotki. O żaglówkach na rzece, wyprawach do lasu na grzybobranie, podwieczorkach w sadzie z truskawkami zrywanymi prosto z grządek i wiadrem śmietany, które nieodmiennie lądowało na czyjeś głowie. Opowiadała o latach spędzonych na pensji w Szwajcarii, gdzie była jedyną polską uczennicą i jedyną Żydówką. Przybywały tam dziewczęta ze wszystkich zakątków świata, była nawet jedna Amerykanka, która stanowiła obiekt powszechnego podziwu i zazdrości, ponieważ była już zaręczona.

Panienki studiowały taniec, śpiew i grę na różnych instrumentach. Malowały



na porcelanie, doskonalily znajomosc obcych jezykow i manier oraz umiejetnosc prowadzenia domu przy pomocy rozlicznej sluzby. Mogly nawet, jezeli mialy ochote, uczyc sie gotowania i rozmaitych zajec domowych, ale te kursy nie cieszyly sie zbytning popularnoscia.

Z szeroko otwartymi oczami sluchalysmy o wyprawach w gory, plywaniu lodkami po jeziorze, nocnych biesiadach w sypialniach, potajemnym paleniu papierosow w toalecie i o listach milosnych Amerykanki, ktore wędrowaly z rak do rak.

Nie bylo watpliwosci, ze w mamie dokonywala sie jakaś przemiana. W trakcie tych popoludniowych spotkan traktowala nas jak rowne sobie, a my stopniowo tracilyśmy nieśmiałość, prowadzac coraz śmielsze rozmowy. Nie wspominala o swojej stracie, ale uwalala, ze wiem, co sie stalo, i wiem, ze ona wie. Tylko raz napomknela cos na ten temat. Biorac mnie za reke, z wyraźnym wysilkiem zapytala, co mi wiadomo o „tych sprawach”

– Wydaje mi sie, ze w wieku dwunastu lat jesteś wciaz za mloda, zeby wiedziec wszystko, ale jest wojna, kto wie, dokad mozesz trafic, moze bedziesz sama... Mysle, ze pare rzeczy powinnam ci powiedziec.

Poczulam, ze oblewam sie szkarlatnym rumieńcem i pospiesznie cofnelam reke. Oto nadeszla ta dlugo wyczekiwana okazja!

– Nie trzeba mi nic mowic – wymamrotalam, wstajac z lozka. – Ja juz wszystko wiem.

Mama wygladala na zaskoczona, ale na jej twarzy odmalowala sie wyraźna ulga.

– A moze jednak czegoś nie rozumiesz? Wytlumaczę ci wszystko, co zechcesz – zaproponowala ponownie.

„Proszę cie, proszę – blagal moj wewnetrzny glós – nie pytaj, tylko powiedz. Nic nie wiem, a to, co slyszalam, jest nie do uwierzenia. Po prostu zacznij mowic!” Zacisnelam usta i potrzasnalam glowa.

– Wiem o tym juz od jakiegoś roku – powiedzialam, odwracajac twarz.

– Kto ci powiedzial?

Uwazaj, to pulapka – ostrzegl glós. Jezeli powiem, nie pozwoli mi sie z nia spotykac.

– Och, nikt konkretny – wzrusylam ramionami. – Wiesz, po prostu mowilo sie o tym. Kazdy cos tam wiedzial i w koncu zlozylo sie to w calosc.

Mama zastanawiala sie przez chwile, a potem z westchnieniem ulgi opadla na poduszke.

– No dobrze, jezeli kiedykolwiek bedziesz chciala dowiedziec sie czegoś wiecej, przyjdź do mnie, a ja ci wytlumaczę.

– Dziękuję, zrobię tak – obiecalam uprzejmie. Temat zostal zamkniety.

Mama powracała do sił bardzo powoli. Lekarz wciąż jeszcze ją odwiedzał, odmawiając honorarium, my zaś przyjmowaliśmy go jak drogiego nam gościa. Zostawał z nami tylko przez kilka minut, ale w tym czasie nasz pokój stawał się widniejszy, a my wpatrywaliśmy się w niego z uśmiechem. Miał aureolę długich, białych włosów okalającą łysinę na czubku głowy i jasne niebieskie oczy. Promieniowało od niego ciepło, poczucie pewności siebie i jakiś rodzaj nieziemskiej wprost dobroci. Chciałam wierzyć, że zawsze będzie nas odwiedzał, i byłam gotowa zademonstrować zespół najbardziej zdumiewających i tajemniczych objawów, gdyby kiedykolwiek chciał nas porzucić. W czasie mamy rekonwalescencji ojciec został przeniesiony do innej służby i teraz regularnie przechodził na „tamtą stronę” jako eskorta. Zaczął też szmuglować żywność, narażając się przy tym na ogromne niebezpieczeństwo. Nalegał, żeby mama zjadała przynajmniej połowę tego, co przynosił. Mama ze łzami w oczach błagała go, żeby nie narażał życia w taki sposób. Skoro nie dba o siebie, niech chociaż pomyśli, co stanie się z nami, jeśli go złapią. Ale ojciec nie chciał słuchać.

– Nie złapią mnie, a ty musisz jeść, żeby wyzdrowieć – odpowiadał. Bezustannie ryzyko jakby tchnęło w niego nowe życie. Pełen nerwowej energii żartował, śmiał się, śpiewał stare rosyjskie piosenki wojskowe, których nie słyszałam od bardzo dawna. Najwyraźniej upajał się niebezpieczeństwem. Opinia mamy, że jest niepoprawnym hazardzistą, dotyczyła nie tylko jego pasji do pokera.

Podziwiałam tę brawurę i kochałam go bardziej niż kiedykolwiek. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że mógłby zostać złapany. Ojciec był nietykalny.

Do lipca mama czuła się całkiem dobrze, choć wciąż jeszcze potrzebowała popołudniowego odpoczynku. Wychodziłyśmy już razem na zakupy i w odwiedzinach do cici Loni i znajomych. Ojciec sprezentował nam dwa bilety na przedstawienie dziecięce wystawione w jednym z punktów dla uchodźców, w którym tłoczyło się kilkaset osób, w tym wiele dzieci. Dochód z biletów przeznaczony był na pomoc dla pobliskiego sierocińca.

Przedstawienie, długo i starannie przygotowane, zostało wyreżyserowane przez zawodowców. Siedziałyśmy z mamą zachwycone i rozbawione szeregiem dowcipnych skeczów, tańców, piosenek i utworów muzycznych. Młodzi soliści, śpiewacy, tancerze i aktorzy bawili się równie dobrze jak widownia, która gorąco oklaskiwała każdy numer. Na zakończenie cały zespół wyszedł na scenę, śpiewając:

*A więc żegnamy, a więc żegnamy  
Na następne przedstawienie zapraszamy,  
Bo dziś dobry podwieczorek czeka nas,*

*Żegnamy was, żegnamy was, żegnamy was.*

Następnego przedstawienia już nie było.

Z dnia na dzień sytuacja w getcie stawała się bardziej napięta. Babcia odwiedzała nas każdego dnia. Ojciec zaglądał po parę razy dziennie, żeby sprawdzić, co się z nami dzieje. Niemcy robili blokady: zjawiali się o świcie i obstawiali kamienicę. Żołnierze wpadali do mieszkań, wyganiali ludzi z łóżek na podwórka, zmuszali ich do tańczenia w piżamach, bili i mordowali. Wydawało się, że ich pomysłowość nie ma granic. Miałam uczucie, jakbyśmy wszyscy byli cyrkowymi zwierzętami, które w każdej chwili można zmusić do występów ku uciesze drwiącej publiczności.

Dwudziestego drugiego lipca getto zostało otoczone kordonem Ukraińców, Litwinów i Łotyszów. Zaczęła się „akcja”

Według ogłoszeń na afiszach każdego dnia musiało opuścić getto sześć tysięcy ludzi. Mieli być „przesiedleni na wschód”. Tym, którzy zgłoszą się dobrowolnie, oferowano chleb i marmoladę, i po niedługim czasie przed wejściem na Umschlagplatz uformowała się kolejka. Był to wielki plac przed ewakuowanym szpitalem, z boczną koleją, z której pociągi zabierały wyjeżdżających. Po stu w bydłącym wagonie – drzwi zaplombowane, w oknach kolczasty drut, niegaszone wapno na podłodze, uzbrojeni strażnicy na dachach – odjeżdżali w nieznane i przepadali bez wieści.

Krautowie nie dali się skusić chlebem i marmoladą. Za to Rachela zniknęła już w pierwszym tygodniu. Kiedy pewnego wieczoru nie wróciła do domu, pani Kraut otworzyła jej kuferek i skonstatowała, że wyprawa zniknęła. Rachela poszła na śmierć w różowej zbroi z satyny i fiszbin, w białej, nieco zatęchłej satynowej bluzce i czarnej plisowanej spódnicy. Nie zgłosił się po nią kawalerczyk z wąsikami, dołączyła więc do kolejki po chleb i marmoladę. I do zaplombowanego bydłącego wagonu.

Jako rodzina policjanta byliśmy względnie bezpieczni, nawet dziadkowie korzystali z protekcji ojca, który zarejestrował ich jako swoich rodziców. Krautowie nie mieli żadnych papierów i przy każdej obławie mama wymyślała im nowe kryjówki. Byli kolejno zamykani w szafie, podduszani w tapczanie, wciskani do skrzyni z węglem, aż wreszcie podczas trzeciej obławy zostali znalezieni i dołączyli do długiej kolumny, która wyruszyła z naszej ulicy. Zabrali ze sobą wszystko, co się dało. Zapakowali dobytek w toboły niesione po dwa, jeden na plecach, a drugi z przodu, tak wielkie, że ledwie mogli się poruszać. Ona dźwigała swoją drogocenną żywność, jemu zaś powierzyła odzież i cały asortyment garnków i patelni, włącznie z dyndającym z tyłu nocnikiem.

Mama ze łzami w oczach patrzyła, jak znikają za bramą. Obiecali, że napiszą, jak jest tam, na wschodzie, i mieli nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Po trzeciej obławie dom zupełnie opustoszał. Pozostaliśmy już tylko my i nadszedł czas, żeby się wyprowadzić. Nasze przygotowania przyspieszyło ostatnie wydarzenie, do którego doszło tego dnia. Nad nami, na ostatnim piętrze, mieszkał wdowiec z córkami, bliźniaczkami mniej więcej w moim wieku. On był zatrudniony w jednym z licznych szopów – gettowych manufaktur, one zaś całe dni spędzały na podwórku. Kiedy zaczęła się obława, byłam razem z nimi na dole, gdzie pilnowaliśmy maluchów bawiących się w wybudowanej tego lata piaskownicy.

Nagle z ulicy dobiegły przenikliwe gwizdy, paniczny tupot biegnących ludzi i trzask zamykanej bramy. Usłyszałyśmy podjeżdżające pod dom ciężarówkę i komendy wykrzykiwane po niemiecku i po polsku. W jednej chwili podwórko opustoszało. Dobiegałam już do klatki schodowej, kiedy zobaczyłam jedną z naszych sąsiadek, młodą kobietę, która stała na balkonie, krzycząc i rwąc włosy z głowy. Była na drugim piętrze, a jej dzieci, dwuletnia córeczka i półroczny synek, wciąż były w piaskownicy. Bez zastanowienia zawróciłam, przefrunęłam przez podwórko, schwyciłam chłopca i razem z małą, kurczowo uczeponą mojej spódnicy, dopadłam schodów w tej samej chwili, kiedy brama otworzyła się i wmaszerował oddział Niemców.

Młoda matka wybiegła do mnie na schody, wyrwała mi dziecko, złapała małą za rękę i zniknęła za swoimi drzwiami. Spojrzałam w górę i zobaczyłam przerażone twarze bliźniaczek wyglądających znad balustrady. Nie wiedziałam, że są same, więc tylko pomachałam im przyjaźnie i pobiegłam do mamy, która widziała wszystko z okna, a teraz konwulsyjnie tuliła mnie do siebie, podczas gdy babcia metodycznie rozkładała na stole nasze dokumenty. Nie chciałyśmy pokazywać się w oknie i dopiero godzinę później, kiedy znikąd nie dochodziły do nas żadne odgłosy, zrozumiłyśmy, że tylko nam się udało przetrwać. Ojciec wrócił wkrótce potem i siedzieliśmy razem, rozważając nasz następny ruch, kiedy usłyszeliśmy szybkie kroki na schodach. Pan Roth, ojciec bliźniaczek, przemknął pod naszymi drzwiami, pędząc na górę i wołając dziewczynki. Był słoneczny, upalny dzień, wszystkie okna były otwarte. Słyszeliśmy jak biega z pokoju do pokoju. Potem zapadła krótka cisza, a po chwili coś dużego spadło z góry. W naszym pokoju na moment pociemniało i coś głucho uderzyło o beton na podwórku. Ojciec wybiegł z mieszkania. Babcia zemdląca. Obie z mamą zerwałyśmy się po wodę i sole trzeźwiące. Żadna z nas nie miała odwagi zbliżyć się do okna. Następnego dnia wyprowadziliśmy się.

Nasza nowa siedziba mieściła się w dużej, nowoczesnej kamienicy. Mieszkania zostały niedawno opuszczone przez lokatorów, którzy pozostawili w nich cały swój dobytek. Wprowadziliśmy się do dużego, słonecznego, ładnie urządzonego mieszkania i zajęliśmy największy pokój. W mniejszym pokoju i w kuchni ulokowały się wkrótce dwie inne rodziny.

Dziadkowie przeprowadzili się kilka przecznic dalej, w pobliże mieszkania ciotki Loni. Goldowie, Sara i Szymek, zostali zabrani podczas pierwszej obławy. Rodzice Tosi przenieśli się do piekarni, gdzie pracował jej ojciec. Oni również byli na razie bezpieczni. Jola zniknęła.

Blokady wciąż trwały, ale w naszym domu, zasiedlonym przez policjantów i innych „niezbędnych” pracowników, czuliśmy się stosunkowo bezpiecznie. Zawsze w pobliżu byli jacyś policjanci, których widok dodawał mi otuchy, ojciec zaś zaglądał do nas po kilka razy dziennie. Nasze nowe mieszkanie było nieporównanie lepsze od nory u Krautów. Na dużym podwórzu kłębiła się chmara dzieci w moim wieku. Nikomu z nas nie wolno było opuszczać posesji. Pogoda była wspaniała. Wciąż jeszcze słyszeliśmy sporadyczne strzały, krzyki i przejeżdżające ciężarówki, ale nasze mieszkanie znajdowało się w oficynie, skąd nie było widać ulicy, a ja stanowczo odcięłam się mentalnie od wszystkiego, co działo się na zewnątrz.

Dzieci z naszego podwórka utworzyły paczkę, do której zostałam przyjęta. Był to zaszczyt, którego wagę na próżno starałam się wytłumaczyć mamie. Mieliśmy po 12–16 lat i codziennie omawialiśmy wszystkie nowe pogłoski, które rozchodziły się wśród sąsiadów. Większość z nas miała ojców policjantów, byliśmy więc dobrze poinformowani. Wiedzieliśmy, dokąd jadą zaplombowane wagony. Pewnego dnia na naszym podwórku zjawił się jakiś człowiek, który uciekł z Trebłinki i wrócił do getta, aby ostrzec innych. Większość ludzi nie chciała mu wierzyć. Biedny człowiek – mówili – musiał postradać zmysły. My wierzyliśmy. Spokojnie rozmawialiśmy o naszej przyszłości, zdecydowani walczyć wszystkimi dostępnymi środkami. Skoro śmierć i tak była nieunikniona, to przynajmniej wyrządzimy tyle szkody, ile nam się uda.

Na razie buszowaliśmy po opustoszałych mieszkaniach, przeglądając znajdujące się w nich rzeczy, zabierając, co nam się podobało i niszcząc, drąc i tratując całą resztę. Kiedy po dokonaniu spustoszenia dziewczynki wychodziły, chłopcy sikali na to, co pozostało.

W sierpniu ojciec przyprowadził do nas ciotkę Marysię. Nie miała się gdzie podziać, tego dnia w jej kamienicy była blokada i tylko niespodziewane przybycie ojca ocaliło

ją przed deportacją. Siedziała w naszym pokoju zgarbiona i poszarzała, patrząc martwym wzrokiem na mamę, która podgrzewała dla niej mleko na piecyku. Ojciec znów wyszedł, obiecując, że poszuka dla niej jakiegoś mieszkania, ale wyraźnie miał nadzieję, że mama zaproponuje jej, żeby została z nami.

– Mój dom jest twoim domem, Marysiu – powiedziała mama, podając jej kubek gorącego mleka. – Zawsze możesz się u nas zatrzymać, ale wiesz równie dobrze jak ja, że to nie wyjdzie na dobre.

Ciocia Marysia popijała mleko małymi łykami.

– Nie obawiaj się Cesi, nie zostanę. Odkąd Zyga umarł, na niczym mi już nie zależy. Nie mam nic do stracenia.

Mama zaczęła protestować, ale przerwała. Było jasne, że ciocia Marysia mówi prawdę i że przestało jej na czymkolwiek zależeć. Kiedy ojciec wrócił, pożegnała się krótko i oboje wyszli. Ojciec znalazł dla niej kąt w którymś pokoju. Po powrocie raz jeszcze zarzucił mamie, że jest nieczuła i zawzięta, ona zaś broniła się, mówiąc, że ciocia Marysia i tak nie chciałaby z nami mieszkać.

– Oczywiście! Po takim przyjęciu nie czuła się mile widziana – odrzekł ojciec.

Dni wciąż były słoneczne i upalne. Skrawek nieba, widoczny z podwórka, był intensywnie niebieski, a nocą gwiazdy lśniły jaśniej niż kiedykolwiek dotąd. W tym czasie niewiele spaliśmy. Przez otwarte okna dochodziły do nas odgłosy życia innych rodzin stłoczonych w ciasnych pokojach. Na podwórku mężczyźni palili papierosy i omawiali wydarzenia minionego dnia. Wybuchwały kłótnie, nagłe i niepohamowane. Nerwy były napięte i łatwo puszczały. Krążyły najdziwniejsze pogłoski, które coraz trudniej było bagatelizować i uznawać za zwykłe sianie paniki. Żyliśmy z dnia na dzień, w każdej chwili spodziewając się nowego ciosu.

W nocy 4 września obudził nas przenikliwy świst policyjnych gwizdków:

– Wszyscy na dół. Zabrać tylko tyle, ile możecie unieść.

Bez słowa spakowaliśmy się i zeszliśmy na dół. Razem z dwiema innymi rodzinami z sąsiedztwa przedostaliśmy się na drugi koniec getta. Mieszkańcy tego sektora właśnie się wynosili. Weszliśmy do jakiegoś mieszkania i zajęliśmy pokój. Była to tylko chwilowa przeprowadzka. Mieliśmy tam przeczekać „wielką selekcję”. Tym, którzy mieli pozostać w getcie, wydawano numerki. W ten sposób uniknęli deportacji policjanci, robotnicy z niemieckich fabryk i co poniektórzy nieodzowni dla gminy. Wszyscy inni musieli opuścić getto. Numerków nie wydawano dzieciom, które odtąd przebywały w getcie nielegalnie. Jeśli któreś zostało złapane, nie było dla niego ratunku. Słuchaliśmy o tym wszystkim, siedząc na zielonej pluszowej kanapie w cudzym pokoju. Wprawdzie dwie zaprzyjaźnione z nami rodziny były bezdzietne,

ale cały dom był pełen dzieci.

Ojciec wpadał do nas często, żeby się upewnić, że wszystko w porządku i przynieść nam wiadomości. Jego papiery zapewniały bezpieczeństwo mamie, poza tym mógł też ochronić ciocię Marysię. Nic jednak nie chroniło dziadków, chyba że ojciec zgłosiłby ich ponownie jako własnych rodziców. Wówczas jednak nie mógłby zgłosić cioci Marysi.

Kiedy nam to oznajmił, mama zanosła się płaczem:

– Nie możesz pozwolić, żeby wywieźli tatę i mamę – szlochała. – Jeśli ich zabiorą, pójdę z nimi.

– A co z Marysią? – zapytał ojciec.

Uciekłam z pokoju i powędrowałam schodami w górę, zaglądając po drodze do mieszkań, gdzie na krzesłach i na podłodze siedzieli albo leżeli zaleknieni, zmęczeni i brudni ludzie. Kobiety płakały lub modliły się. Rodziny tuliły się do siebie, kryjąc twarze w objęciach bliskich. W jednym z pokoiów na łóżku leżała samotna kobieta. Miała czerwoną, zapuchniętą twarz i wyglądała na bardzo chorą. Cały pokój przesiąknięty był odorem choroby, który unosił się znad jej kołdry jak obłok. Skinęła na mnie, więc podeszłam na palcach.

– Co się stanie z moim dzieckiem? – wyszeptała.

Wpatrywałam się w nią bez słowa.

– Spójrz na niego – jęknęła nagle. Popatrz na mojego synka, mojego dwudniowego synka.

Odsunęła kołdrę i zobaczyłam śpiące u jej boku, maleńkie niemowlę z czerwoną buzią.

– Wszyscy poszli, zostawili mnie samą. Co się z nami stanie?

Uciekłam. Usiadłam na schodach, przyciskając głowę do zimnej, wilgotnej ściany. Co stanie się ze mną, bez numerka? Co stanie się z nami wszystkimi?

Ojciec wrócił w nocy szary na twarzy. Słaniał się na nogach, więc zrobiliśmy mu miejsce na kanapie.

– Zabrali Marysię – powiedział do mamy. – Nie zdążyłem się z nią zobaczyć. Zrobię dla twoich rodziców, co będę mógł.

Następnego dnia poszedł z mamą do naszego starego mieszkania, żeby zabrać trochę ubrań.

– Czy przynieść ci coś do czytania? – zapytała mama. Zawahałam się – w tym nowym pokoju nie było żadnych książek. W starym mieszkaniu natknęłam się na gruby tom historii biblijnych napisanych w jidysz i choć nie potrafiłam ich przeczytać, z przyjemnością kolorowałam ilustracje, używając akwareli, które znalazłam podczas jednej z moich wypraw poszukiwawczych. Tom był tak ciężki, że z trudnością

podnosiłam go na stół. Jasne było, że nie mogłam prosić mamy, żeby dźwigała go przez pół getta. Pokręciłam przecząco głową i podziękowałam.

Kiedy po kilku godzinach wróciła, w dużym tobołku, który niosła na plecach, miała książkę i pudełko z farbami. Wszyscy obecni podziwiali jej energię i wszyscy wyrzucali jej, że mnie rozpieszcza.

– Być może to ostatnia rzecz, jaką mogę dla niej zrobić – powiedziała, kładąc mi książkę na kolanach.

Następnego ranka poszłam z ojcem na duży plac, gdzie czekaliśmy, kiedy wyczytywano nazwiska i dawano numerki. Wybrańcy przypinali je do płaszczy i jeden po drugim opuszczali tłum. Dzięki staraniom ojca dziadkowie znaleźli się na liście i teraz czekali po drugiej stronie placu na wywołanie. Mama, która już miała numerki, została w domu. Nazwiska wyczytywał jedno po drugim urzędnik siedzący przy małym stoliku i za każdym razem robiło się zamieszanie, kiedy wywołany torował sobie drogę przez tłum. Numer był wykreślany z listy, mały tekturowy krążek przypinano do klapy, a zalegalizowana w ten sposób osoba udawała się do domu, jeśli jeszcze go miała. Usłyszałam, że zostało wyczytane nazwisko dziadka.

Kiedy przepychał się do przodu, przy stoliku urzędnika robiło się zamieszanie. Ktoś zaprotestował przeciwko czemuś. Zirytowany urzędnik coś odpowiedział i jednocześnie niecierpliwym ruchem przekreślił numer dziadka. Kiedy dziadek dotarł wreszcie do stolika, urzędnik spojrzał znad listy i odprawił go ruchem ręki.

– Pana numer jest przekreślony. Już go Panu dałem. Dziadek zaprotestował. Mężczyzna wskazał na listę i krzyknął coś z wściekłością. Ojciec zaczął się przepychać przez tłum, żeby pomóc mu wyjaśnić sprawę. Ale było już za późno. Inne nazwisko zostało wywołane, inny kandydat podszedł i otrzymał swój krążek. Dziadek stał przez chwilę w osłupieniu, a potem sunąc powoli, wrócił na poprzednie miejsce. Poruszał się z trudnością. W ostatnich miesiącach cierpiał na puchlinę. Nogi miał spuchnięte, twarz obrzękłą, zmienioną do niepoznania. Widziałam, jak chwycił ojca za rękę i potrząsnął głową. Ojciec objął go ramieniem i odprowadził na miejsce.

Nie widziałam wszystkiego, co się działo, gdyż ściana pleców i ramion zasłaniała stolik urzędników przed moim wzrokiem. Staliśmy w tym samym miejscu od wielu godzin i byłam już bardzo zmęczona. Tego ranka, nim wyszłam z domu, jedna z naszych sąsiadek wsunęła mi do kieszeni duży kawał czekolady. Była to czekolada do wypieków cukierniczych, gorzka i tak twarda, że nie dawała się połamać i trzeba ją było rąbać tasakiem. Odwinęłam ją z opakowania i zaczęłam nadgryzać z jednej strony, skrobiąc zębami powierzchnię, żeby odłamać kilka okruchów.

Zajęta tą czynnością nie od razu zauważyłam, że jestem obserwowana. Kilka kroków



przede mną mała dziewczynka stała jak wrośnięta w ziemię, ze wzrokiem utkwionym w mojej czekoladzie. Kiedy zauważyła, że na nią patrzę, zrobiła krok w moją stronę. Przystałam jeść i przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Czy mogłabyś mi dać kawałek? – zapytała.

Odwinęłam bryłkę z drugiego końca i podałam jej. Wzięła ją obiema rękami i przez dłuższą chwilę zaciekle skrobała powierzchnię czekolady zębami.

Gdy skończyła, popatrzyła na mnie, uśmiechając się nieśmiało.

– To bardzo ładnie z twojej strony. Normalnie nigdy, ale to nigdy nie poprosiłabym nikogo o jedzenie. Ale byłam taka głodna. Jestem ci bardzo wdzięczna.

Nie spodziewałam się tak formalnej przemowy i popatrzyłam na nią ze zdumieniem. Miała z sześć lat, ubrana była dostаточно, w pięknie skrojony płaszczyk. Włosy miała starannie uczesane, ale twarz ubrudzoną, a oczy – zaczerwienione.

– Kiedy ostatni raz jadłaś? – zapytałam.

– Wczoraj – odpowiedziała, a jej wzrok znów powędrował do czekolady. Poskrobałam chwilę z mojego końca i z powrotem podałam jej bryłkę.

– Gdzie są twoi rodzice?

– Nie wiem – powiedziała. Twarz się jej zmieniła, ale natychmiast opanowała się.

– Poszli wczoraj po numerki, ale nie wrócili.

– Gdzie mieszkasz?

– Teraz już nigdzie. Ostatniej nocy spałam na schodach, a dzisiaj przyszłam tu, żeby poszukać mamusi, ale nie mogę jej znaleźć. Skrobałyśmy czekoladę na przemian, póki się nie skończyła. Pomyślałam, że chciałabym zabrać ją do siebie do domu i nagle uświadomiłam sobie, że być może ja sama nie będę mogła tam wrócić. Kiedy ojciec wrócił po rozmowie z dziadkiem, chciałam mu opowiedzieć o dziewczynce. Wzięłam go za rękę i podniosłam wzrok, ale na widok jego twarzy zapomniałam, co chciałam powiedzieć. Gdy rozejrzałam się ponownie, dziewczynki już nie było.

Przepchnęliśmy się do innego stolika, gdzie inny urzędnik uścisnął ojcu rękę i poklepał go po plecach.

– Mietek – powiedział – cieszę się, że cię widzę. Czy wszystko w porządku? Co z twoją rodziną?

Ojciec popchnął mnie w jego stronę.

– Z żoną w porządku, ale nie mam numerka dla Jasi. Urzędnik pogłaskał mnie po głowie i wyjął z kieszeni cenny krążek.

To jest numerki mojej córki, ale mogę dostać dla niej inny. Lepiej zabierz ją teraz do domu i ukryj przez kilka następnych dni.

Przypiął mi kółko do płaszcza i pospiesznie odprawił.

Uczepiona kurczowo ręki ojca, przepychałam się przez skłębiony tłum. Był tak gęsty,

że nie widziałam nic poza zarysami ciemnych i wynędzniałych postaci, które napierały na nas, grożąc, że nas rozdziela. Wbiłam się paznokciami w ojca dłoń i przywarłam do niej z całej siły. Nagle ktoś chwycił mnie za drugą rękę i zaczął ciągnąć z powrotem. Przez szczelinę w otaczającej masie zobaczyłam twarz dziadka, spuchniętą i czerwoną, i łzy płynące mu po policzkach. Trzymał moją rękę w obu dłoniach, jego usta poruszały się, ale nie byłam w stanie usłyszeć, co mówi. Pomyślałam, że za chwilę rozedrą mnie na dwoje. Szarpnęłam ojca za rękę, żeby stanął, ale on parł do przodu, nie zwracając na nic uwagi i ciągnąc mnie za sobą.

Tłum był tak gęsty, że straciłam dziadka z oczu, choć wciąż jeszcze trzymał mnie za rękę. Naraz poczułam na dłoni jego usta, a w następnej chwili moja ręka była wolna. Wyciągałam szyję, wołałam go, ale już zniknął porwany przez skłębiony tłum. Resztę dnia trzymałam lewą dłoń zaciśniętą w pięść, aby jak najdłużej przechować pocałunek, ale nie byłam w stanie powiedzieć o tym rodzicom.

Następnego dnia wróciliśmy do naszego mieszkania. Kamienica niemal zupełnie opustoszała. Ci, których nie zabrano, wynieśli się do policyjnego bloku. Pogoda była wciąż piękna, noce widne i po raz pierwszy od 1939 roku znów zaczęły się naloty. Rosjanie czy Anglicy – zastanawiałam się, siedząc na schodach i nasłuchując odgłosów bomb. Pewnej nocy wybuchy rozległy się niebezpiecznie blisko.

Czy to możliwe, żebyśmy zginęli z rąk naszych sojuszników – zastanawiałam się. Czy to nie ironia, że bolałoby tak samo jak śmierć od niemieckiej bomby?

Mama siedziała w otwartych drzwiach balkonowych naszego opustoszałego mieszkania, płacząc całymi godzinami. Słyszałam ją z podwórka, z pustych mieszkań, po których grasowałam, próbując uciec przed tym okropnym dźwiękiem. Wstydziłam się tej rozpacz i próbowałam udawać, że to nie moja matka, ale jakaś inna kobieta tak bez zażenowania dająca upust swoim uczuciom.

Podczas moich wędrówek docierałam do wszystkich mieszkań w naszej kamienicy. Zaglądałam do kredensów i szuflad, natrafiając na nieoczekiwane skarby. Wszędzie widziałam nieposłane łóżka, porzucona nocna bielizna leżała na podłodze, ziały otwarte na oścież drzwi szaf. Z ciekawością i podziwem przeglądałam ich zawartość. W mieszkaniu jubilera spędziłam kilka dni w jego warsztacie pełnym pudełek z różnorakimi koralikami, farbami, klejami i sztucznymi kamieniami. Warsztat był mały, mieścił się na jednym stole, pudła stały po prostu na podłodze. Na następnym piętrze mieszkała kosmetyczka; zabrałam stamtąd i zaniiosłam mamie pudełko pudru, róż i szminkę, i poczułam się zraniona do łez, kiedy je wyrzuciła nawet, nie spojrzawszy na nie. Przyjęła jednak nowy komplet ciepłej bielizny, który znalazłam w innym pokoju.

Pewnego dnia zawędrowałam na następne podwórze i wdrapałam się na ostatnie piętro. Przedemną rozciągało się podwórko przyległej kamienicy. Dzień był upalny. Nic nie zakłócało spokoju. Dom wydał się pusty. W szybach otwartych okien odbijało się słońce, ze ścian unosiły się wibrujące fale gorącego powietrza. Świat pogrążył się w niezmaconej ciszy. Poczułam się, jakbym była ostatnią pozostałą przy życiu istotą, kiedy niespodziewanie dostrzegłam jakiś ruch.

Naprzeciwno, w otwartym oknie pokoju na pierwszym piętrze, stała młoda kobieta. Była naga, jej świeżo umyte włosy piętrzyły się mokrą piramidą na czubku głowy. Stała w smudze słońca przed dużą białą miednicą, myjąc się metodycznie powolnymi, pełnymi wdzięku ruchami tancerki. Najwyraźniej rozkoszowała się dotykiem wody na skórze. Być może, tak samo jak ja, miała poczucie, że jest jedyną osobą, która ocalała z kataklizmu i teraz celebrowała ostatni obrzęd unicestwionej cywilizacji. Stałam

w oknie, obserwując, jak zestawia miednicę na podłogę, wchodzi do niej, mąci stopami mydliny i rozpryskuje je dokoła. Uniosła w górę ramiona, splotła ręce za głową i zamknęła oczy. Jej twarz wzniesiona ku palącemu słońcu była spokojna i uśmiechnięta. Wycofałam się na palcach w obawie, by swoim spojrzeniem nie zakłócić błogiego spokoju tej chwili.

W Sądny Dzień, 21 września, odbyła się kolejna selekcja; tym razem deportowano dwa tysiące osób, głównie policjantów z rodzinami. W porównaniu do lipca, liczebność getta została zredukowana do jednej czwartej. Po raz kolejny spakowaliśmy walizki i spędziliśmy noc w czyimś pokoju, czekając na koniec akcji. W nocy pojawiła się jeszcze jedna para i rozłożyła się na podłodze w oczekiwaniu na świt. Ku naszemu zdumieniu oboje mieli futrzane kurtki spakowane do walizek wypchanych pięknymi ubraniami. W pewnej chwili mężczyzna wyciągnął z kieszeni gruby plik papierów. Pokazał nam fałszywe kenkarty, karty pracy, kartki żywnościowe i bilety kolejowe. Powiedział, że zamierzają przejść na „tamtą stronę”. Czekali na nich przyjaciele, żeby ich wyprowadzić z Warszawy, a potem przeprowadzić dalej na południe, w góry. Tam kolejni przyjaciele mieli im pomóc przekroczyć granicę i skierować do Turcji albo nawet Persji. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane i przygotowane do ostatniego szczegółu.

Patrzyliśmy na nich w milczeniu. Śmiałość ich planów odjęła nam mowę. Cóż można było powiedzieć? Kobieta otworzyła walizkę i wybrała kilka sztuk odzieży.

– Będą świetnie na panią pasowały – powiedziała, wręczając je mamie. Nosimy ten sam rozmiar. Niech je pani weźmie i nosi je za mnie.

Mama przyjęła dary, i z trudem wydusiła z siebie parę słów podziękowania. Mężczyzna wręczył ojcu pęk kluczy:

– Kiedy akcja się skończy, idźcie do naszego mieszkania i weźcie sobie, co chcecie. Znajdziecie pełno żywności. Zabierzcie, zanim się zepsuje.

O świcie wymknęli się, rzucając na pożegnanie zwykłe „Do widzenia”, a my zostaliśmy, czekając w milczeniu, żeby usłyszeć, gdzie ma być nasz nowy dom. Rankiem zebrano nas wszystkich na dużym placu i przydzielono nowe kwatery. Ojciec zdecydował, że zamiast do bloku policjantów, wprowadzimy się do bloku dla robotników pracujących przy rozbiórce murów.

Jakiś człowiek, torując sobie drogę przez zbity tłum, zatoczył się i przypalił mi rękę papierosem. Sparaliżowana nagłym bólem zastygłam na chwilę w osłupieniu. Mężczyzna zaklął i rzucił zgnieciony papieros na ziemię. Spojrzałam na ojca, ale on patrzył z posępną miną ponad tłumem i niczego nie zauważył. Nie chciałam pokazywać mu ręki. Nerwy miał napięte do ostatnich granic, bałam się, że w nagłym

ataku wściekłości mógłby człowieka zabić. Wróciliśmy do domu pod wieczór, żeby znów się spakować. Robiliśmy to już rutynowo, znaleźliśmy na pamięć miejsce każdej rzeczy w naszych starych walizkach. W milczeniu zanieśliśmy nasz dobytek do nowego mieszkania, aby po raz kolejny rozpakowywać się wśród cudzych mebli.

Przez ten czas ręka mi już spuchła i bardzo bolała, więc musiałam wyjaśnić, co się stało. Tak jak się spodziewałam, ojciec wybuchnął gniewem, klnąc, że jeśli znajdzie tego łotra, to go zabije, a ja byłam zadowolona, że wcześniej nie pisnęłam słowem.

Kiedy trochę ochłonął, wyszedł po nasz największy kufer, który został na korytarzu. Ku swojemu zdziwieniu nie mógł ruszyć go z miejsca, choć rano niósł go ulicą, nie zwracając uwagi na jego ciężar. Wrócił do pokoju i usiadł ciężko na kanapie, chowając twarz w dłoniach.

– Ciekaw jestem, jak długo jeszcze moje nerwy wytrzymają – wyszeptał. – Mam nadzieję, że jeszcze trochę pociągnę, bo jeśli raz się położę, to już się nie podniosę.

Nasze nowe mieszkanie składało się z trzech pokoi i kuchni. Zajęliśmy środkowy i największy pokój, a dwaj inni policjanci z rodzinami wzięli dwa pozostałe. Byliśmy jedynymi policyjnymi rodzinami w tym bloku, wszyscy inni mieszkańcy pracowali na budowach lub przy sprzątanii gruzów. Getto nieustannie zmieniało kształt, mury były burzone, w ich miejsce wznoszono nowe, oddzielające poszczególne enklawy. W obrębie zewnętrznych murów znajdowało się teraz kilka małych gett. Każde składało się z jednego szopu i mieszkań dla jego pracowników. Przejścia między poszczególnymi enklawami były strzeżone dzień i noc. Ojciec ciągle jeszcze wychodził z getta, konwojując lory z cegłami lub gruzem, i wciąż szmuglował żywność. Razem z zapasami przyniesionymi z mieszkania pary, która w tajemniczych okolicznościach przeszła na „tamtą stronę”, mieliśmy teraz więcej jedzenia niż kiedykolwiek od początku wojny.

Wśród zdobyczy zabranych z ich mieszkania – umeblowanego, zdaniem ojca, z prostackim przepychem, włącznie z perskimi dywanami na wszystkich podłogach – były między innymi wielka, wędzona półtusza i parę brył czekolady do wypieków. Było także mnóstwo konserw. Świeże mleko, masło, ser, a nawet jajka docierały każdego dnia w ojcowskich kieszeniach.

Pierwszy etap wysiedlania zakończył się 3 października i na resztkach getta zapanował spokój. Ponieważ każdy mieszkaniec, który dostał numerek, zmuszony był zarobić na swoje utrzymanie, mama razem z żonami innych policjantów musiała pójść do pracy. Każdego ranka szła na rumowisko po bombardowaniach, gdzie przez cały dzień rozbierała gruzy. Wkładała moje sznurowane buty na wełniane skarpety ojca; jej

własne buty rozpadły się od razu pierwszego dnia. Do tego ciepłe palto znalezione w owym tajemniczym mieszkaniu, chusta na głowę i grube rękawice. Jej widok uprawiał mnie każdego dnia w taką samą konsternację. Ta grubo opatulona babula w niczym nie przypominała mojej mamy.

Tajemnicze mieszkanie straciło na tajemniczości, kiedy dowiedzieliśmy się, że należało do bogatych szmuglerów. Podczas swojej ostatniej wizyty ojciec napotkał tam ich kolegów po fachu przetrząsających resztki wyposażenia i zawiązała się między nimi dziwna zażyłość.

Mama była oburzona, kiedy o tym usłyszała. Szmuglerzy nie byli w niczym lepsi od złodziei i bandytów; to było samo dno, szumowiny. Słuchałam jej gniewnej przemowy, a w głowie rozbrzmiewał mi tupot tłumionych końskich kopyt galopujących w rytm poematu Kiplinga. Miałam nadzieję, że kiedyś uda mi się ich spotkać i sprawdzić, czy naprawdę noszą peleryny z naciągniętymi kapturami.

Tymczasem zaprzyjaźniłam się z naszymi współlokatorami. Państwo Beatusowie zajmowali różowy pokój z dziecięcymi meblami. Byli bardzo młodzi i nieśmiali. Oboje studiowali na Sorbonie i w 1939 roku wrócili do Warszawy, żeby wziąć ślub. Nim zdążyli wrócić do Francji, wybuchła wojna. Pan Beatus studiował filozofię. Był to chudy, krótko ostrzyżony młodzieniec, z drobną twarzą ukrytą za parą wielkich rogowych okularów. Był tak krótkowzroczny, że potykał się o własne stopy, wpadał na meble i bezustannie przeproszał za swoją niezdarność. Co robił w policji i jak się tam w ogóle dostał, było nieodgadnioną tajemnicą. Przydzielono go chyba do jakiejś pracy biurowej i cały dzień spędzał z nosem w papierach, zupełnie nieświadom tego, co się dookoła dzieje.

Tak jak on był wiecznie roztargniony, tak jego żona, blondynka o jastrzębim profilu, była bystra i energiczna. W tym związku to ona nosiła spodnie, dosłownie i w przenośni, i ojciec zawsze obrzucał aprobującym spojrzeniem jej zgrabną figurę w szarych, nienagannie skrojonych bryczesach i lśniących oficerkach. Pan Beatus tymczasem, ubrany w falbaniasty fartuch, mył co wieczór naczynia i szykował warzywa na jutrzejszą zupę. W ich małym ognisku domowym panowała doskonała harmonia i trudno byłoby znaleźć dwoje bardziej zakochanych w sobie ludzi.

Mama serdecznie ich polubiła i dyskretnie obserwowała, czy mają co jeść. My mieliśmy teraz więcej, niż potrzebowaliśmy, Beatusowie zaś egzystowali na samych kartkowych racjach. Pan Beatus potępiał szmugiel i usilnie starał się postępować zgodnie z prawem. Nie mógł jednak odmówić, kiedy zapraszaliśmy ich na kolację. W trakcie kolacji ojciec zajmował uwagę pani Beatusowej rozmową, mama zaś dyskretnie podsuwała panu Beatusowi dokładkę, zanim ten zdążył zaprotestować. I tak oto, z mamą i ze mną na obu flankach, odgradzony okularami od reszty świata

i ślepy na błagalne spojrzenia żony, pan Beatus mógł spokojnie zaspokoić głód. Po kolacji rozglądał się po pokoju jakby obudzony ze snu i wraz z żoną, trzymając się za ręce, zaczęli opowiadać o Paryżu. Siedziałam między nimi zasłuchana i pełna szczęścia. Widzieć mamę, która już nie płacze, a nawet uśmiecha się jakimś nowym, smutnym uśmiechem, która taktownie dokarmia głodujących Beatusów i spokojnie przygląda się, jak ojciec flirtuje z młodą kobietą – wszystko to było nowe i nad wyraz wzruszające.

W nocy, leżąc w naszym wygodnym i wolnym wreszcie od pluskiew łóżku, toczyłyśmy szeptem długie rozmowy. Mama snuła na głos marzenia o życiu po wojnie. Koniec wojny wydawał się całkiem bliski. Mógł przyjść każdego dnia. Raptem na niebie rozkwitną spadochrony i cała armia spłynie na ziemię. A my pojedziemy do domu. W mgnieniu oka nasze życie powróci do tego samego punktu, w którym zostało przerwane w 1939 roku. Ja znajdę się w swoim pokoju ze Stefą. Książki i zabawki będą tam, gdzie zawsze. Dziadkowie będą znów u siebie w domu...

Mama snuła dalej swoje plany:

– Poszukamy Joli i może jakiegoś innego dziecka. Może zaadoptujemy kilka osieroconych dzieci i zabierzemy z nami do domu. Chciałabyś?

Czy bym chciała!? Omal nie udusiłam jej z radości.

– Będziemy prowadzić zupełnie inne życie. Nikt nigdy nie odejdzie od moich drzwi z pustymi rękami, przysięgam Bogu, proszę tylko, pozwól wszystkim nam wrócić razem do domu.

– Snujesz kapitalistyczny sen, towarzyszeko – odzywał się z kanapy ojciec. Po wojnie przyjdą tu Ruscy i będziemy mieć komunizm. A to oznacza, że co jest twoje, to jest moje, a co moje – to wara. Pod twoimi drzwiami nie będzie żebraków, bo nie będziesz miała swoich drzwi. Wszyscy będziemy żyć w kołchozie, kopiąc kołchozowe pyrki. Tak więc zapomnij o tych wywrotowych mrzonkach.

– Idźcie spać, towarzyszu kuku, i przestańcie krakać. Pesymizm jest antypaństwowym występkiem. To się nazywa defetyzm, jeśli się nie mylę, a bez względu na to, co z nami będzie, defetyzmu nie będziemy mieć.

Mama stanowczo się zmieniła, pomyślałam, wtulając się w nią i zapadając w sen.

Naszymi sąsiadami z pierwszego pokoju byli Szerekowie. On był dużym, szorstkim mężczyzną, który odzywał się z rzadka i którego jedyną rozrywką była rozgrywana z ojcem co wieczór partia pokera. Bez względu na to, czy szczęście uśmiechało się do niego czy nie, twarz pana Szereka nigdy nie traciła ponurego wyrazu. „A więc to stąd wzięła się «pokerowa twarz»! – uświadomiłam sobie, obserwując go pewnego wieczoru. – Powinno się mówić «Szerekowa twarz»” – pomyślałam i odtąd na własny

użytek tak go zawsze nazywałam.

Pani Szerekowa była starsza od męża, chuda, siwa i zawsze potargana. Głos miała nieprzyjemny i skrzypliwy jak źle naoliwione drzwi. W ich pokoju panował wieczny bałagan: łóżek nigdy się nie słało, naczynia myło się tylko wtedy, kiedy były potrzebne do następnego posiłku. Ale pani Szerekowa posiadała jedną wielką zaletę: jej placki ziemniaczane nie miały sobie równych. Kiedy jej niechlujstwo i zrządzenie wszystkim już dopiekło, tarła ziemniaki i głośno anonsowała, że dziś wieczór smaży placki i wszystkich na nie zaprasza. I choćbyśmy nie wiem jak się zarzekali, że nie ruszymy się ze swoich pokoi, kuszący zapach smażonych ziemniaków sączył się szparą pod drzwiami i tak długo kręcił nam w nosie, aż w końcu z zażenowanymi uśmiechami i z minami winowajców znajdowaliśmy jakiś pretekst, żeby wyjść na korytarz. Droga na korytarz prowadziła przez pokój Szereków, gdzie przy małym piecyku stała pani Szerekowa, pilnując patelni.

– Myślę, że dziś będą wyjątkowo udane – rzucała w przestrzeń, kiedy przechodziliśmy przez ich pokój. – Założę się, że będą chrupiące.

Niegrzecznie byłoby zignorować taką uwagę.

– Rzeczywiście, pani Szerekowa, wyglądają doskonale – przytakiwaliśmy.

– To proszę się częstować – proponowała natychmiast. Protestowaliśmy, ale tylko dla pozorów.

– Ależ bardzo proszę, bardzo proszę. Coś mi się zdaje, że dałam za mało soli. Proszę sprawdzić. Śmiało, proszę spróbować i powiedzieć, czego im brakuje.

Nigdy niczego nie brakowało. Były zawsze wyśmienite. Wkrótce wszyscy okupowaliśmy ich pokój, siedząc na nieposłanych łózkach i parząc sobie palce gorącymi plackami. Prosto z patelni smakowały jeszcze lepiej. Noże i widelce wydawały się zbyteczne. Pani Szerekowa, zarumieniona z gorąca i zadowolenia, podawała nam „kawę” i cały nasz niedawny gniew topniał w ciepłe rozchodzącym się z sytych żołądków.

Siedzieliśmy i gawędziliśmy. Mężczyźni grali w pokera. Panowała doskonała harmonia.

Szerekowie mieli siedemnastoletniego syna Mietka i przez pierwsze tygodnie spędzone w nowym mieszkaniu, póki i on nie poszedł do pracy, byliśmy nierozłączni. Od wczesnego rana do kolacji, bez przerwy i z pasją graliśmy w remi – tą samą talią kart, której nasi ojcowie używali do pokera. Cóż mieliśmy robić?

Nie było żadnych książek, żadnemu z nas nie wolno było wychodzić na dwór. Szybko okazało się, że nie mamy o czym rozmawiać, a pierwsze próby konwersacji zakończyły się dzikimi awanturami. Karty eliminowały rozmowę i dawały nam jakieś zajęcie. Nawet ojciec, który dotąd uważał, że gra w karty jest dla dzieci demoralizująca,



udawał, że nie wie, w jaki sposób spędzamy czas.

Kiedy Mietek poszedł do pracy, zostałam zupełnie sama. Stawiałam pasjansy, ale szybko stwierdziłam, że to zbyt nudne, by zajmować się tym przez cały dzień. Znalazłam kawałek płótna, jakieś nici i próbowałam nauczyć się wyszywania, ale nie mogłam utrzymać igły. Moja ręka była nadal przyczyną bezustannego zmartwienia. Rana po oparzeniu nie chciała się zagoić. Mama próbowała wszystkich znanych nam środków i wszystkie zawiodły. Z miniaturowego krateru wypiętrzonego na dobre dwa centymetry i stale powiększającego swój obwód sączyła się krew z ropą. Raz czy dwa razy krater zmniejszał nieco aktywność, ale kiedy już budziła się we mnie nadzieja, wybuchał ponownie ze zwiększoną siłą. Wezwany lekarz mamrotał coś niejasno o wtórnej infekcji, nie będąc w stanie odkryć pierwotnej. Znajomi szmuglerzy zaopatrywali ojca w lekarstwa, włącznie z zestawami okropnie bolesnych zastrzyków, mimo to krater wciąż był czynny i lekarz skonstatował, że blizna na ręku na pewno zostanie mi do końca życia. Kiedy wkrótce po jego ostatniej wizycie dostałam zapalenia migdałków, mama odmówiła wezwania go po raz kolejny. To była banalna dolegliwość i ona wiedziała, jak sobie z nią poradzić. Jednak mimo wszystkich jej starań ta choroba również okazała się uporczywa i po tygodniu męczarni ojciec postanowił sprowadzić innego lekarza. Tym razem był to jego dawny kolega uniwersytecki i znany ginekolog. Zgodził się na wizytę, choć z zastrzeżeniami, gdyż nie badał dziecka od czasów stażu odbytego wiele lat temu, ale w końcu uległ prośbom ojca, usiadł na moim łóżku i zajrzał mi do gardła. Patrzyłam z niepokojem, jak struga długi drewniany patyczek, owija go watą i wtyka mi go do gardła.

Potem z posępną miną obejrzał, co na nim wydobył.

– Jak już mówiłem, naprawdę słabo pamiętam schorzenia dziecięce – zaczął – ale nie sądzę, żeby to było zapalenie migdałków. To wygląda raczej na dyfteryt.

Ledwie wypowiedział to słowo, mama zemdląła. Kiedy ją ocucili, wybuchnęła płaczem. Tego było już za wiele. Najpierw straciła rodziców, teraz jej dziecko ma umrzeć, i to w taki okropny sposób. Nie była w stanie tego znieść.

W czasie, kiedy doktor próbował ją uspokoić, zaklinając się po raz kolejny, że na pewno się pomylił, ojciec stał w nogach łóżka i patrzył na mnie. Po raz pierwszy zobaczyłam malujący się na jego twarzy strach – strach oraz rodzaj litości pomieszanej ze zgrozą – i zrozumiałam, że już widzi, jak duszę się na śmierć. Tak się umierało na dyfteryt. Człowiek się dusił i wtedy podcinano mu szyję. To było okropna śmierć. Ale ja nie wybierałam się na tamten świat. Gardło już prawie nie bolało. To kolano mi dokuczało i łokieć. I oba ramiona. Ale o to doktor mnie nie zapytał, a sama z siebie nie odważyłam się nic powiedzieć. Kiedy w końcu wyszedł, a mama z płaczem legła na kanapie, ojciec obiecał jej, że następnego dnia przyprowdzi innego lekarza.

Znalezienie go zajęło więcej niż jeden dzień, a przez ten czas spuchły mi stawy. Mama uparcie przykrywała mnie wszystkimi kocami, tymczasem ja nie mogłam znieść nawet ciężaru prześcieradła. Kiedy tak leżałam rozpalona i złana potem, skręcając się z bólu i jednocześnie starając się nie ruszać, zdawało mi się, że nigdy w życiu nie byłam taka chora. Jakby nie dość na tym, mama nie mogła już dłużej pozostawać ze mną w domu. Za dzień lub dwa powinna była wrócić do pracy, a ja do tego czasu musiałam stanąć na nogi. Ktoś musiał przecież posprzątać mieszkanie, a poza tym, gdyby jakiś patrol albo komisja sanitarna zastały mnie w łóżku, nie pytałyby o diagnozę. W najlepszym razie dom poddano by kwarantannie, w najgorszym – po prostu zniknęłabym. Nowy lekarz oświadczył, że co najmniej przez trzy tygodnie muszę leżeć w łóżku kamieniem. Miałam zapalenie stawów i jakikolwiek wysiłek mógł uszkodzić mi serce. Przepisał aspirynę. Na czas rozmowy o prognozie ojciec wyniósł mnie do pokoju Beatusów. Kiedy lekarz wyszedł, wszyscy domownicy zgromadzili się wokół mego łóżka.

– Cóż to za śmiertelna choroba, którą leczy się aspiryną – skomentowała pani Szerekowa. Ci profesorowie, pani Cesi, zawsze tak mówią. Chcą zrobić wrażenie na ludziach, czują się wtedy ważni. Czczą gadanina, tyle pani powiem. Aspiryna – też coś! To pewnie nic gorszego niż ból głowy.

Obróciła się ku mnie i żartobliwie poklepała mnie po plecach.

– Masz tylko „lekki ból głowy”, ot co.

Skrzywiłam się z bólu, a mama przyskoczyła i objęła mnie ramieniem.

– Profesor czy nie, nie można zostawić jej w łóżku. To zbyt niebezpieczne. Jeśli będzie siedziała w domu, na pewno się zbytnio nie zmęczy. Skoro Bóg ją do tej pory uchwalał, może oszczędzi też jej serce.

Następnego dnia mama poszła do pracy, a ja wstałam z łóżka.

Nasz dzień zaczynał się o piątej rano. Rodzice wychodzili razem z Szerekami i Beatusami, a ja zostawałam sama. Jadłam śniadanie, sprzątałam nasz pokój, sprawdzałam oba pozostałe. Pokój Beatusów wyglądał jak z obrazka. Cały białożółowy, meble lśniły, różowe poduszki leżały strzepnięte. Na podłodze nie było ani okruszka, ani drobinki kurzu. U Szereków panował większy bezład i tam sprzątanie zajmowało mi trochę czasu. Potem miałam przed sobą cały długi dzień i absolutnie nic do roboty. Ubierałam się starannie, długo rozczesywałam włosy. Potem owinięta wełnianym szalem kłękałam na kanapie i patrzyłam na podwórko. Było zawsze puste. Cała kamienica wyglądała na opuszczoną. Znikąd nie dobywał się żaden odgłos, w żadnym oknie nie widać było twarzy.

Nie miałam niczego do czytania. Była tylko kolekcja zdjęć gwiazd filmowych, stara

talia kart i duży zapas nowych zeszytów, który odkryłam w kredensie. Czyste kartki papieru stanowiły nieodpartą pokusę. Pragnęłam zapełnić je rysunkami i zapiskami, ale zastygałam z uniesionym ołówkiem niezdolna uchwycić żadnej myśli. Nie było czego rysować, nie byłam w stanie pisać. Rozglądałam się dookoła, szukając pomysłu, jak zapełnić czas. Pokój był ciepły i wygodny. W piecyku palił się ogień, wokół panowała cisza, w kredensie było jedzenie, nie byłam głodna ani zmarznięta, a mimo to paraliżował mnie strach.

Siedząc nad pasjansem, nastawiałam uszu, żeby wychwycić najcichszy nawet odgłos zbliżających się kroków, jakiś głos albo gwizdek policjanta. W głowie kołatało mi się jedno pytanie – co zrobię, jeśli przyjdą oni.

Odkładałam kraty i obchodziłam wszystkie pokoje, starając się poruszać bezgłośnie. Wstrzymując oddech, podbiegałam do okna lub skradałam się na palcach do drzwi frontowych, gdzie stałam przez długie minuty z uchem przyciśniętym do dziurki od klucza. Potem wracałam do pokoju i stawałam przed lustrem. Po drugiej stronie szklanej tafli widziałam jasny, ładnie umeblowany pokój. Był pusty, wyglądał na bardzo wygodny i gościnny. Gdybym tylko mogła tam wejść, byłabym bezpieczna.

Przyciskałam twarz do zimnego szkła i marzyłam, żeby znaleźć się tam, w środku. Znałam *Alicję po drugiej stronie lustra*. Skoro ona mogła... Oczywiście, to tylko książka. Kto w wieku dwunastu lat wierzy jeszcze w bajki... Ale może jednak istnieje jakiś sposób, żeby się tam dostać? A jeżeli jakiś istnieje, magiczny i dotąd nieznan, to dlaczego nie miałyby mi się objawić teraz, kiedy go tak desperacko potrzebowałam? Czy naprawdę cuda się nie zdarzają, nie ma sposobu uciec od teraźniejszości?

W spokojniejszych chwilach śmiałam się sama z siebie, ale z kolejną falą lęku znów rzucałam się do lustra, modląc się, żeby szkło się stopiło.

Przyszli tylko raz. Zjawili się niespodziewanie, wypełniając podwórze gwarem donośnych głosów i stukotem podkutych butów o zamarznięty bruk. Na pierwszy odgłos pobiegłam i zaryglowałam frontowe drzwi. Były solidne, obite grubą stalową blachą, miały ciężkie żelazne okucia i mocne zamki. Z początku, kiedy się wprowadziliśmy, zachodziliśmy w głowę, kto tu przedtem mieszkał, że potrzebował aż takich zabezpieczeń. Uznaliśmy, że musiał to być jakiś gangster, który miał wielu wrogów. Tak czy inaczej, kimkolwiek był, podzielił los wszystkich pozostałych i stalowe drzwi nie uchroniły go przed deportacją.

Zasuwałam rygle, błogosławiąc każdy z nich, kiedy zaskakiwał na swoje miejsce, a potem stojąc w lodowatym korytarzu, nasłuchiwałam odgłosu kroków. Nie nadchodziły. Może postanowili sprawdzić inną klatkę schodową.

Wróciłam do pokoju i ostrożnie wyjrzałam zza zasłony. Wchodzili na schody naprzeciwko. Czekałam bez ruchu, póki grupa nie zeszła z powrotem. Teraz skierowali

się w naszą stronę. Odeszłam od okna i obrzuciłam pokój przerażonym wzrokiem. Nie było gdzie się schować. Otworzyłam naszą ogromną szafę i zanurkowałam między ubrania. Przycupnęłam w mrocznym, dusznym wnętrzu, próbując przyciągnąć drzwi w taki sposób, żeby ich całkowicie nie zamknąć. Gdyby się domknęły, osobliwy zamek w drzwiach mógł się zatrzasnąć i zostałamby uwięziona. Nawet gdybym się nie udusiła, nie mogłabym odryglować drzwi wejściowych i ojciec nie dostałby się do domu.

Tymczasem Niemcy nie nadchodzili. Wydawało mi się, że siedzę tak od wielu godzin i choć dobrze wiedziałam, że ukrywanie się w szafie jest bezcelowe, miałam poczucie, że warstwy odzieży izolują mnie w jakiś sposób od niebezpieczeństw zewnętrznego świata. Tak jak zatykanie uszu na widok błyskawicy – wiadomo, że nie uratuje, ale pomaga przetrwać czas oczekiwania na uderzenie pioruna.

W końcu, nie mogąc już wytrzymać duszności, wypęłam na zewnątrz. Przeciągnęłam się ostrożnie, mrugając oczami odwykłymi od dziennego światła, po czym na palcach zakradłam się z powrotem do okna. Podwórze było puste. Nie słyszałam, kiedy odjechali.

Ojciec przyszedł jak zwykle późnym popołudniem, żeby sprawdzić, czy ogień w piecyku nie wygasł i czy wszystko jest w porządku. Zawstydzona tym, że uległam panice, nie wspomniałam mu ani słowem o tym zajściu.

Dni mijały, monotonne i puste. Spadł śnieg. Z tęsknotą myślałam o Tosi i Joli. Gdybyśmy chociaż byli razem. Jakby to było wspaniale mieć je tu, w tym samym domu. Mogłybyśmy się odwiedzać, rozmawiać albo tylko posiedzieć razem objęte ramionami. Nawet Jola, która nigdy się nie roztkliwiała, nawet ona w końcu pokazała, że jest zdolna do wzruszeń. Może i ona nie miałaby teraz nic przeciwko temu, żeby ją uścisnąć? Z niepokojem rozmyślałam, co mogło się z nią stać, i wspominałam nasze ostatnie spotkanie.

Było to jakiś czas po poronieniu, kiedy mama poczuła się już lepiej i zaczęła wychodzić z domu. Jola i Tosia wciąż odwiedzały nas codziennie, żeby zapytać, czy mogą w czymś pomóc i czy mam czas, żeby wyjść z nimi na dwór. Tego dnia mama pozwoliła mi wyjść.

Przez dwa poprzednie dni padał deszcz i ulice były pełne kałuż. Poszliśmy na rumowisko po zbombardowanym domu, gdzie wśród gruzów stała ławka, na której zwykle odbywałyśmy nasze konferencje. Tego dnia ławka stała na wyspie pośrodku bajora.

– Zakład, że doskoczę do ławki? – rzuciła Jola.

– Zakład, że nie doskoczysz! – odrzekłam odruchowo.

– Daj spokój, upadniesz i zamoczysz sobie ubranie – powiedziała Tosia, praktyczna jak zwykle.

Jola cofnęła się kilka kroków. Krótki rozbieg, skok i już frunęła w powietrzu. Dosięła ławki, uderzyła o nią kolanami i runęła do tyłu, prosto w błoto.

Przez chwilę siedziała oszołomiona po pas w wodzie, wycierając błoto z twarzy. Potem powoli i z trudnością wstała i brodząc przez wodę, ruszyła na sztywnych nogach w naszą stronę. Przemoczona i pokryta błotem sukienka przyłgnęła do jej ciała, błoto sklepiło jej włosy i chlupotało w butach. Patrzyłyśmy na nią z przerażeniem.

– Nie mogę pójść do domu w takim stanie – głos miała cichy i cienki, jak u małej dziewczynki. – Mama mnie zabije.

– Chodźmy do mnie – zaproponowałam bez wahania. – Moja mama jakoś temu zaradzi.

Zgodziła się potulnie. W drodze do domu zastanawiałam się, co też najlepszego zrobiłam. Wiedziałam, co by się stało, gdybym to ja wróciła do domu w takim stanie. Skąd mogłam mieć pewność, że taki sam los nie spotka Joli? Czy mama aż tak bardzo się zmieniła?

Ze struchlałym sercem otworzyłam drzwi. Mama stanęła jak wryta, wpatrując się w stojące koło mnie straszdyło, po czym parsknęła śmiechem. Po chwili my też

śmiałyśmy się do wtóru. Wkrótce na kuchni grzał się kubeł z wodą, a mama pomagała Joli ściągnąć ubranie. Wstawiła ją do największej miednicy, jaką mieliśmy, wyszorowała od stóp do głów, po czym głucha na jej protesty, zapakowała ją do łóżka, otulając szalem jej chude ramiona. Kiedy prała jej ubranie i znów gotowała wodę, tym razem na herbatę, paplałyśmy razem i śmiałyśmy się, a ja miałam ochotę ścisnąć i całować je obie na przemian. Kiedy ubranie Joli zawisło wreszcie nad piecykiem, mama przysiadła na łóżku, żeby wypić z nami herbatę. Jola dostała kostkę cukru pokropioną ojcowym rumem – zaszczyt, którego dostępowałam, tylko kiedy byłam przeziębiona. Siedziała na naszym łóżku, jej miedziane włosy sterczały jak kopa siana, oczy miała zaczerwienione, a na twarzy malował się pełen niedowierzania uśmiech. Patrzyła na mamę z nieskrywanym uwielbieniem, a ja czułam, że pęknę z dumy.

Uprasowałam jej sukienkę, a mama w tym czasie wyczesła jej błoto z włosów i w końcu – ubrana, sucha i czysta – mogła pójść do domu. W progu odwróciła się jeszcze, objęła mamę i uściśnięła ją mocno. Po czym bez słowa wymknęła się.

Podbiegłam do mamy i uściśnięłam ją, aż pisnęła, że zaduszę ją na śmierć. Nigdy przedtem nie byłam z niej tak dumna. Dwa dni później zaczęło się wysiedlenie i już nigdy więcej nie zobaczyłam Joli.

Pewnego wieczoru ojciec wrócił do domu i uśmiechając się tajemniczo, wręczył mi różową kartkę złożoną w kopertkę. Otworzyłam ją z ciekawością i aż krzyknęłam, rozpoznając duże, dziecinne bazgroły Tosi.

Moja kochana – czytałam – właśnie przyszedł do nas twój ojciec, więc piszę ten list tak szybko, jak umiem. Mieszkamy tu w piekarni i jesteśmy bezpieczni. Mamusia i Tatuś też są ze mną. Poza nami jest tu dużo ludzi i jest ciasno, ale jest nam dobrze. Wszystkie moje Ciocie, Wujkowie i Kuzyni zostali wywiezieni. Zostaliśmy tylko my troje, a ja stale myślę o Tobie i marzę o tym, żeby się z Tobą zobaczyć. Mam Ci do powiedzenia wspaniałą wiadomość: jestem kobietą. «To» zdarzyło się w zeszłym miesiącu i jestem taka szczęśliwa. Mówię Ci. Właściwie nie wiem dlaczego, ale jestem. Urosłam bardzo, jestem już wyższa od Mamusi, a twojemu ojcu sięgam do ucha. No, prawie. I mam Biust. Już nie muszę wypychać go sobie chusteczkami. Mam nadzieję, że i Ty wkrótce staniesz się kobietą i kiedy się spotkamy, nie będziemy już dziećmi, ale dwiema Młodymi Kobietami. Czy to nie brzmi wspaniale? Moja kochana, teraz mam dla Ciebie okropną wiadomość: Jola nie żyje. Tatuś widział ją w grupie idącej na Umschlagplatz. Nagle rzuciła się do ucieczki, zaczęła biec z powrotem i jakiś Niemiec strzelił do niej. Przestrzelił jej kolano, a kiedy upadła, podszedł do niej i strzelił jej w głowę. Kiedy o tym usłyszałam, płakałam i płakałam, nawet teraz płaczę. Nigdy jej nie zapomnę.

Muszę teraz skończyć, twój ojciec wychodzi. Proszę Cię, napisz do mnie i daj list twojemu ojcu, a on go tu przyniesie. Dużo całusów. Proszę Cię, pomyśl o mnie dziś o ósmej wieczorem i ja też będę myślała o Tobie.

Twoja na wieki Tosia

Siedziałam w niemym osłupieniu, wpatrując się w różową kartkę. Jola nie żyje. Ze wszystkich śmierci, które zdarzyły się w ostatnich tygodniach, ta wydawała się najbardziej niemożliwa, najbardziej bolesna. Czy to dlatego ostatnio tak dużo o niej myślałam? Czy to jej dusza chciała nawiązać ze mną kontakt, coś mi przekazać? Czy Jola

stanie się duchem? Czy będzie mnie nawiedzać? Czy żał jej życia? Czy pozostał jeszcze ktoś poza Tosią i mną, kto naprawdę ją znał i będzie ją opłakiwać tak jak ja? „Będiesz moją przyjaciółką, dopóki będę żyła” – przyrzekłam. Dopóki będę żyła... Ile to potrwa? Skoro Jola umarła, śmierć każdego z nas stała się bardziej możliwa. Nie mogłam już dłużej wmawiać sobie, że po mnie śmierć nie przyjdzie. Bo po trosze już po mnie przyszła.

Zdałam sobie sprawę, że ojciec coś do mnie mówi, i z wysiłkiem spróbowałam się skupić.

– Tosia wyrosła na piękną, młodą kobietę – mówił. – Ledwie ją poznałem. Jest o dobrą głowę wyższa od ciebie, a jaką ma figurę! Fiu! Muszę przyznać, że byłem dumny, kiedy rzuciła mi się na szyję i zaczęła mnie obsypywać pocałunkami jak szalona. Ale wciąż ma taki sam piskliwy głos i trajkocze jak zwykle. Byłem szczęśliwy, widząc ich wszystkich razem w dobrym zdrowiu.

Naprawdę wygląda na szczęśliwego, pomyślałam. Bardzo lubił Tosię. Ale miał też słabość do Joli. Jak mogłabym burzyć jego radość taką nowiną? Poza tym „śmierć” to było poważne, straszliwe słowo. Dorosłe słowo. Nigdy go nie używałam w obecności rodziców. Teraz też nie mogłam go wymówić. W milczeniu napisałam długi list do Tosi i wsunęłam go ojcu do kieszeni. Obiecał, że odniesie go następnego dnia.

Dni mijały spokojnie, szare, zimne i przerażająco puste. Ręka wreszcie się zagoiła, choć jej większą część pokrywała duża czerwona blizna. Zaczęłam znów wyszywać. Ojciec przyniósł do domu kilka książek i niezwłocznie uznał, że jedna z nich, o Dzikim Zachodzie, jest dla mnie nieodpowiednia i nie pozwolił mi jej ruszać. Po raz pierwszy w życiu odważyłam się sprzeciwić jego woli. Czułam się już bardzo dorosła. Wiedziałam wszystko, co można było wiedzieć o ludzkiej doli. To śmieszne, żeby zakazywać mi głupiej książki o Dzikim Zachodzie. Ale ojciec pozostał niewzruszony, a ja nie odważyłam się wytoczyć mojego faktycznego i najmocniejszego argumentu. W głębi duszy czułam, że skoro i tak mam umrzeć w ciągu najbliższych tygodni lub miesięcy, żadna książka nie może „wyrządzić mi krzywdy na całe życie”. I żadna powieść o Dzikim Zachodzie nie może równać się z grozą naszego obecnego życia ani z tym, co nas zapewne czeka w przyszłości. Obawa przed tą przyszłością nie dawała mi spać po nocach i dręczyła mnie koszmarными wizjami na jawie. Z nikim jednak nie mogłam o tym mówić. Nadzieja, że wszyscy troje ocalejemy, że w najgorszym razie ja sama przeżyję, była tyleż złudna, co nieodzowna. Gdyby jej zabrakło, mama znów zaczęłaby płakać. Gdyby jej zabrakło, ojciec położyłby się i już nigdy by nie wstał. Moje bezpieczeństwo i moje życie uchronione przed wszelkimi brudami ludzkiej egzystencji były ich jedynym celem, jedyną siłą trzymającą ich przy życiu. Nie mogłam zburzyć ich marzeń.

Zresztą, druga z tych książek wynagrodziła mi z nawiązką zawód, jakiego doznałam z powodu powieści o Dzikim Zachodzie. Był to oprawny tom „Płomyka”, czasopisma dla dzieci, które czytałam w domu, w Kaliszu. Zawierał zeszyty z 1936 roku; wtedy właśnie poważniej zainteresowałam się „Płomykiem” i zaczęłam zbierać jego numery. Moją własną kolekcję zostawiłam, rzecz jasna, razem ze wszystkimi innymi książkami w Kaliszu i nie liczyłam na to, że jeszcze kiedyś ją zobaczę. A tu, proszę! Los zesłał mi cały rocznik!

Ku zaskoczeniu rodziców z nabożnym skupieniem przewracałam kartki z oślimi uszami. Ktoś bardzo źle obchodził się z tymi zeszytami. Mnie nie wolno było nigdy tego robić. Nawet nie przypuszczali, że jeszcze pamiętam opowiadania, które czytałam sześć lat temu, a ja po raz kolejny dziwiłam się, jak mało mnie znali. Każdy wiersz, każda ilustracja niosły ze sobą powiew domu. Ożywały wspomnienia dzieciennego pokoju i proszonych popołudniowych herbatek w jadalni. Smak truskawkowych konfitur podawanych na kryształowych spodeczkach, herbata w szklankach ze srebrnymi uchwyty, Stefa wołająca mnie, żebym zadeklamowała nowy wiersz z ostatniego numeru „Płomyka”, ten, którego właśnie nauczyłam się na pamięć. A po popisie porcja słodkich, rozplływających się w ustach truskawek. Goście bili brawo, a ja wracałam do dzieciennego pokoju i na powrót zatapiałam się w lekturze. Teraz sam na sam z „Płomykiem” mogłam przysłonić oczy tak, że widziałam tylko zadrukowaną stronę. Mogłam udawać, że naprawdę jest rok 1936 i że jestem w domu. Za chwilę Stefa zawoła mnie na obiad...

Podnosiłam wzrok i moje oczy napotykały ciemne, obce meble, obce ściany w cudzym pokoju. Za oknem wyrastały mury nieznanego budynku. Byłam w Warszawie, w getcie, za murami, otoczona kordonem uzbrojonych ludzi, którzy nie wahali się zabijać dzieci. Może ta książka była ostatnim znakiem tamtego dawnego świata, świata mojego dzieciństwa? Może była darem niewiadomego Losu, który próbował osłodzić mi te ostatnie dni?



Pod koniec listopada dwóch znajomych ojcu szmuglerów zaprosiło nas na kolację. Mama gwałtownie zaoponowała. Nie dość, że to byli szmuglerzy, a zatem kryminaliści, to jeszcze odkąd stracili rodziny podczas wielkiej selekcji, każdy z nich wziął sobie „kobietę” i żył z nią jak z żoną. Do tego wszyscy czworo w jednym pokoju.

Na twarzy mamy malował się najwyższy niesmak, kiedy dzieliła się tą informacją z naszymi sąsiadkami. Ci mężczyźni śmieli szukać ucieczki przed bólem, który na zawsze powinien pozostać nieukojonny. Ledwie ich żony odeszły z tego świata, a już ich miejsce zajęły inne kobiety. Nawet nie mieli dość przyzwoitości, żeby kryć się ze swoim skandalicznym zachowaniem. Żyli z nimi otwarcie, wszyscy czworo w jednym dużym pokoju i pewnie spędzali noce na pijanych orgiach. Na pewno na niczym im nie zbywało...

Ojciec zbył jej obiekcje niecierpliwym wzruszeniem ramion. To wszystko nie miało nic do rzeczy. Mężczyźni mieli szczęście, że znaleźli dwie dobre, wielkoduszne kobiety, które zgodziły się dzielić z nimi ostatnie dni swojego życia. One też straciły rodziny. To naturalne szukać pociechy w towarzystwie innych ludzi. Wspólne mieszkanie świadczyło tylko o tym, jak bardzo się bali. A co do pijanych orgii – to było tak absurdalne, że szkoda mówić, ale skoro mama nalega – czemu nie? Skoro alkohol pomaga zapomnieć o przeszłości i przyszłości, to czemu się nie napić?

Ku mojej radości ojciec postanowił zabrać mnie na przyjęcie, co po raz kolejny sprowokowało mamę do protestów. Jeden ze szmuglerów stracił córkę w czasie selekcji. Był to ten sam, który zdobył dla mnie lekarstwo, gdy chorowałam, i to on poprosił ojca, żeby mnie przyprowadził. Ojciec wyjaśnił mi to po drodze, kiedy kluczyliśmy po ciemnych podwórkach.

– Uważaj na to, co mówisz – ostrzegł. – Ten człowiek kochał swoją córkę tak samo, jak ja Kocham Ciebie, i teraz jest zrozpaczony. Musisz być dla niego bardzo miła. To dobry człowiek.

Podwórka były połączone systemem dziur powybijanych w oddzielających je murach, nie trzeba więc było wychodzić na ulice i póki nie znaleźliśmy się w pokoju szmuglerów, jedyne, co mogłam zobaczyć, to puste klatki schodowe. Pokój był duży, słabo oświetlony i już pełen ludzi. Nasi gospodarze energicznie poklepali ojca po plecach na powitanie i z szacunkiem ucałowali rękę mamy. Ona zaś, kiedy tylko weszła, w widomy sposób zeszywniała i do końca wieczoru nie odprężyła się ani na chwilę.

Obrzuciłam ciekawym spojrzeniem dwie kobiety, które przygotowywały kolację,

i poczułam rozczarowanie. Wyglądały zupełnie normalnie: były biednie ubrane i raczej zaniedbane, nie miały makijażu, ich włosy prosiły się o szczotkę. Krążyły po pokoju swobodnie, bez śladu skrępowania. Pomyślałam, że mama też musi czuć się rozczarowana ich naturalnym wyglądem i zachowaniem; ta myśl sprawiła mi przyjemność.

Usiedliśmy przy dużym stole do doskonałej kolacji. Wódki nie brakowało i mama z kamiennym wyrazem twarzy obserwowała, jak ojciec robi się coraz weselszy. Opowiedział kilka zabawnych historyjek i kilka innych raczej niewybrednych i towarzystwo pokładało się ze śmiechu. Dziękując za kolację, uściskał obie kobiety i ucałował w policzki. Jednym słowem, robił wszystko, żeby wyprowadzić mamę z równowagi, aż zaczęłam się obawiać, żeby nie zrobiła sceny tu i teraz. Po kolacji mężczyźni usiedli do pokera. Stół zasnuł się kłębamii papierosowego dymu, więc kobiety wycofały się do kąta na pogawędkę. Widziałam, że mama sili się, żeby uczestniczyć w konwersacji i że najwyraźniej brakuje jej słów. Rzadko widziałam ją aż tak zakłopotaną. Nie mogąc dłużej na to patrzeć, zaczęłam kręcić się po pokoju, aż w końcu przystanęłam przed toaletką. Na zakurzonej półce pośród różnych szpargałów stał oprawiony w ramkę portret kobiety z małą dziewczynką na kolanach. Obok fotografii stała szkatułka inkrustowana muszelkami i masą perłową. Na ten widok zaparło mi dech w piersiach. Nigdy przedtem nie widziałam niczego równie pięknego i w pierwszej chwili pożałowałam, że to nie jest puste mieszkanie, z którego mogłabym zabrać, co chcę. Natychmiast ogarnął mnie wstyd. Nie stałam się chyba złodziejką? Ostrożnie pogłaskałam palcem chropowate wieczko, zastanawiając się, czy mogę je podnieść.

– Ładne to, prawda? – na dźwięk głosu spojrzałam w lustro i zobaczyłam stojącego za mną starszego ze szmuglerów. Przysunął sobie krzesło, usiadł i wziął mnie na kolana. Wspólnie oglądaliśmy szkatułkę.

– Należała do mojej córeczki – wyjaśnił. – To była jej ulubiona zabawka.

– Piękna – szepnęłam. Smutek w jego głosie był tak przejmujący, że bałam się, że się rozpłaczę. Siedzieliśmy w milczeniu, trzymając razem szkatułkę i unikając swoich spojrzeń.

Wybawienie przyszło ze strony mamy. Z zasady nie znosiła, kiedy ktoś mnie dotykał, a widząc mnie na takich – ze wszech miar nieodpowiednich – kolanach, pospieszyła, żeby mnie stamtąd zabrać.

– Jest już bardzo późno – wyjaśniła – musimy się zbierać.

Od stołu rozległy się głośne protesty ojca. Nasz gospodarz uśmiechnął się i pogłaskał mnie po głowie. Widziałam, że mama zaczyna tracić cierpliwość, więc szybko ujęłam jego rękę w obie moje.

– Bardzo się cieszę, że mogłam przyjść. Dziękuję za miły wieczór – powiedziałam, próbując tchnąć wszystkie swoje uczucia w stereotypową formułę.

– Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy – dodałam, kiedy mama stanowczym krokiem wyprowadzała mnie z pokoju.

Nie słuchałam burzliwej dyskusji, która przewalała się nad moją głową przez resztę wieczoru. Cały czas przed oczami stała mi zaczerwieniona, źle ogolona twarz, drżące policzki i małe, niebieskie oczy rozpaczliwie wpatrujące się w szkatułkę. Śniła mi się przez całą noc, a kilka razy budziłam się, słysząc jego głos. O świcie z korytarza dobiegły odgłosy jakiegoś zamieszania i znów usłyszałam ten sam głos, ale tym razem tylko przewróciłam się na drugi bok i zasnęłam. Nieco później, kiedy cały dom był już na nogach, ojciec przysiadł na moim łóżku.

– Był tu wcześniej jeden ze szmuglerów, do których wczoraj poszliśmy z wizytą, ten starszy – powiedział. – Nie chciał cię budzić, tylko zostawił dla ciebie to.

I włożył mi szkatułkę w rękę.

Rok 1942 zbliżał się do końca. 14 grudnia uczciliśmy czterdzieste piąte urodziny ojca małym przyjęciem, na które zaprosiliśmy Szereków i Beatusów. Ale atmosfera nie była radosna. Humor zważyła mi niespodziewana awantura, do której doszło poprzedniego dnia. Ułożyłam wiersz na cześć ojca i w oczekiwaniu na jego urodziny ukryłam go w walizce. Jak zwykle przy takich okazjach napisałam, jak bardzo go kocham, życząc mu dużo szczęścia i długiego życia. Po raz pierwszy jednak uderzyłam w lżejszą nutę, bardzo delikatnie wytykając mu jego despotyczne skłonności, nazywając na przemian Ojcem Doskonałym i Iwanem Groźnym. Mama śmiała się, czytając poemat. Uznała, że jest dowcipny i udany.

Dzień przed swoimi urodzinami ojciec, szukając czegoś w walizce, znalazł wiersz. Przeczytał i wybuchnął gniewem.

A więc do tego doszło, że jego własne dziecko śmie go krytykować!

Nie mogłam wyjść z osłupienia. Jak to możliwe, żeby ojciec, zawsze taki skory do pokpiwania z innych, tym razem mylnie ocenił moje intencje i potraktował serio to, co w zamierzeniu było tylko żartem? To było coś nowego i nieoczekiwanego. Nawet mama była zaskoczona i próbowała wstawić się za mną i jakoś wyjaśnić całą sprawę. Ojciec jednak oskarżył ją o podważanie jego autorytetu. I zarzucił jej, że zachęca mnie do impertynencji.

Rozgorzczeni wycofaliśmy się każde do swojego kąta. Szykowały się smutne urodziny. Następnego wieczoru atmosfera nieco zelżała, kiedy ze swoich pokoi wyłonili się nasi goście w uroczystych strojach. Mama nakryła stół naszym najlepszym prześcieradłem; wszystkie obrusy zostały już dawno wysprzedane. Na kolację podała „rybę” zrobioną z mąki i kartofli i udekorowaną cebulą oraz plasterkami marchwi. Jeszcze więcej marchwi z grochem i z kartoflami podała na drugie danie, a cały posiłek zakończyła prawdziwą herbatą. Była to istna uczta.

Kiedy pan Beatus zobaczył półmiski, oczy mu się zaświeciły i do końca posiłku nie odezwał się słowem. Jego żona, wyraźnie zakłopotana, próbowała odciągnąć jego uwagę od talerza, ale mama tylko dyskretnie pokręciła głową, podsuwając mu trzecią dokładkę. Sama starała się jeść bardzo powoli, tak by pan Beatus nie skończył posiłku ostatni. Zauważyłam ten manewr i byłam jej bardzo wdzięczna. Kolacja udała się świetnie, goście chwalili każde danie i mama, zarumieniona ze szczęścia, czuła się tak dumna, jakby przygotowała najbardziej wyszukane przyjęcie.

Jedynie ojciec był smutny. Na toasty wznoszone bimbrem odpowiadał bladym uśmiechem, kręcił głową, kiedy goście życzyli mu zdrowia i wiele lat szczęścia i pili za przyszłe spotkania na jego następnych urodzinach.

– Nie będzie żadnych, nie ma co udawać – rzekł w odpowiedzi na ich toasty. – Wiem, że to są moje ostatnie urodziny. Ciekaw jestem, kto z nas doczeka przyszłego roku.

Powoli powiódł wzrokiem po siedzących przy stole. Pod jego spojrzeniem głowy zwieszały się jedna po drugiej.

– Może Jasia, jeśli będzie miała dużo szczęścia. Może któregoś dnia wspomni ojca i pomyśli o nim łaskawiej niż dziś.

Przyciągnął mnie do siebie, a ja przełykając łzy, wtuliłam twarz w jego ramię. Nie byłam w stanie zapewnić go po raz kolejny o mojej miłości, na pewno nie tu, nie w obecności tych wszystkich ludzi.

Ciężką ciszę przerwał na pół żartobliwy, na pół zirytowany głos mamy. Cóż to za kruk zrobił się z ojca po kilku kieliszkach. To pewnie skutki tej mikstury, którą dostał od swoich szmuglerów. Nie ma co, piękna przemowa na własne urodziny!

Goście ofiarnie próbowali poprawić nastrój. Pan Szerek opowiedział jakąś okropnie nieprzyzwoitą historyjkę, a Mietek śmiał się tak bardzo, aż zakrztusił się kartoflem. Rzuciliśmy się wszyscy, żeby bić go po plecach, i w tym zamieszaniu przemowa ojca poszła w zapomnienie.

Zimowe dni mijały jeden po drugim. Ojciec wychodził co dzień z getta, konwojując wozy z gruzem, i przynosił nam żywność. Wiedziałyśmy, że robiąc to, ryzykuje życie, i błagałyśmy, żeby przestał. Wtedy jednak nie mielibyśmy co jeść. Ojciec rzadko mówił o groźnych sytuacjach, ale kiedy wracał bardziej poszarpany i zmęczony niż zwykle, wiedziałyśmy, że coś się stało i że znów był o włos od śmierci. Czasami, kiedy już leżał na swojej kanapie, zaczynał opowiadać.

Kolega kupił parę gramów masła i posmarował nim dwie kromki chleba, żeby zanieść żonie. Żandarm zajrzał w kanapkę i zastrzelił go na miejscu. Ojciec miał w swym chlebaku ćwiartkę masła. Kiedy żandarm go rewidował, odsuwał chlebak łokciem, tak jakby chciał ułatwić rewizję. I jakimś cudem torba nie została otwarta.

Innym razem żandarm postanowił sprawdzić zawartość wozu z gruzem. Na wozie był schowany worek kartofli i robotnicy, sparaliżowani strachem, stali wokół z szuflami w rękach, bojąc się zacząć rozładunek. Żandarm zaczynał tracić cierpliwość. W każdej chwili mógł nabrać podejrzeń. Ojciec chwycił za łopatę i począł rozładowywać wóz, wyrzucając gruz z taką furją, aż tumany kurzu zmusiły żandarma, aby się cofnął. Ojciec krzyknął na robotników, żeby brali się do roboty, i nagle, pojmując, o co mu chodzi, wszyscy zaczęli zrzucać z wozu cegły i kamienie tak szybko, jak tylko mogli. Byli już blisko dna, gdzie leżał worek, kiedy żandarm, zirytowany bałaganem, nakazał im ładować gruz z powrotem. Najwyraźniej niczego nie ukrywali,

skoro tak ochoczo zabrali się do rozładunku.

Czasem, leżąc w łóżku, słyszałam wypowiedane zmęczonym głosem wyznanie, że nie wie, jak długo jeszcze wytrzyma, że nie ma już siły i że pragnie tylko położyć się i więcej się nie obudzić.

– Muszę wytrwać, póki Jasia tu jest. Kiedy ona stąd wyjdzie, dam za wygraną. Kiedy ona będzie bezpieczna, będę wiedział, że mogę odejść w spokoju.

W odpowiedzi mama szeptała coś o niepoddawaniu się, póki życia staje, ale zdawało się, że i ją ogarnęła rezygnacja. Zastanawiałam się, co powinnam zrobić. Jeśli się zgodzę, to czy po moim wyjściu naprawdę przestanie im zależeć na życiu? Czy wobec tego powinnam zostać? A jeśli wszyscy tu umrzemy? Czy nie lepiej, żebym umarła teraz z nimi, niż mam żyć w niepewności, być może zupełnie sama? Ale myśl o tym, że ja mogłabym przeżyć, a oni nie, była zbyt okrutna, żeby się nad nią zatrzymywać. Nie, cokolwiek się stanie, umrzemy razem albo razem ocalejemy. Żadnemu z nas nie wolno porzucić pozostałych. Jeśli prawdą jest – jak mi tyle razy powtarzali – że żyją wyłącznie dla mnie, to nawet jeśli będę po „tamtej stronie”, zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby przeżyć i żebyśmy spotkali się po wojnie. A ja muszę się postarać i żyć dla nich. To byłoby zbyt straszne, gdyby mnie nie znaleźli po wojnie.

Spokój nie trwał długo. 18 stycznia 1943 roku obudziły nas policyjne gwizdki. Kiedy ubieraliśmy się pospiesznie w przyćmionym świetle, czuliśmy, że tym razem to już koniec. Tym razem nie zdołamy uciec, nie wybronią nas żadne dokumenty, nic już nie zdoła nas uratować.

Potykaliśmy się w półmroku, mocując się z ubraniami. Mama szlochała nerwowo, a ojciec po raz pierwszy był zbyt zaabsorbowany, by zwrócić na to uwagę.

Zebrani przed domem staliśmy długi czas w ciemnościach na mrozie, przestępując z nogi na nogę i chuchając w lodowate dłonie. Kiedy błądy zimowy brzask rozproszył ciemności, zobaczyliśmy inne dygoczące grupki, czekające przed innymi domami. Pilnowali nas starszawi, wyraźnie zdezorientowani Niemcy. Nie byli z SS, lecz z Wehrmachtu i większość z nich pamiętała poprzednią wojnę. Uprzejmie odpowiadali na nasze pytania, przyznając, że nie mają pojęcia, co się z nami stanie. Pytali, czy jesteśmy dość ciepło ubrani i nie odmawiali drobnych przysług, uprzejmie donosząc nam z mieszkań pozostawione w panice szale i palta. Robili to z życzliwością starszych, dobrze wychowanych ludzi, choć nie wzdragali się przy tym przed „braniem w łapę”.

Na końcu ulicy pojawiło się kilku esesmanów. Zbliżali się, wykrzykując pospieszne rozkazy. Grupki ożywiły się i uformowały w długą kolumnę. Kiedy przyszła nasza kolej, dołączyliśmy do reszty i powoli ruszyliśmy ku głównej ulicy. Kiedy dotarliśmy do rogu, po twarzach smagnął nas lodowaty wiatr. Ulica była szeroka i opustoszała, domy po obu stronach – ciche i puste. Rozbite szkło skrzypiało pod stopami. Leżące tu i ówdzie tobołki z ubraniami, czapki lub kałuża krwi znaczyły drogę poprzedniej kolumny. Wlekliśmy się powoli, ze zwieszonymi głowami. Droga przed nami wiodła wprost do bramy Umschlagplatz, skąd odchodziły pociągi do Treblinki. Po przejściu przez tę bramę nie było już odwrotu.

Byliśmy już blisko, gdy z bocznej ulicy wyłoniła się druga kolumna. Kiedy obie spotkały się, powstało krótkie zamieszanie. W ciągu tych kilku minut zdaliśmy sobie sprawę, że gdy czoło kolumny przekracza bramę, policjanci są usuwani na bok, ich rodziny zaś wchodzą na plac.

To przekonało ojca. Chwyciwszy mamę i mnie za ręce, zawrócił w miejscu i ruszyliśmy z powrotem. Szeregowie i jeszcze jedna para poszli za nami. Beatusowie odmówili. Pan Beatus zrezygnował już z walki i szedł ze wzrokiem wbitym w zbliżającą się bramę jak ptak zahipnotyzowany przez węża. Podążał ku swej zagładzie i nikt nie był w stanie go zatrzymać. Popychał nawet idących przed nim ludzi, żeby dotrzeć tam jak najprędzej. Maszerowaliśmy w zupełnej ciszy – noga w nogę, z wyprostowanymi plecami i wysoko podniesionymi głowami. Za nami obie

kolumny wciąż próbowały uformować się na nowo i nasz odwrót nie zwrócił niczyjej uwagi. Minęliśmy jakieś rozproszone z tyłu grupki, popędzane przez Niemców, słyszeliśmy odgłosy ciosów, jęki i strzały. Czuliśmy, jak plecy sztywnieją nam aż do bólu w oczekiwaniu na kulę. Nikt nas jednak nie zatrzymał. Dopiero gdy zbliżyliśmy się do naszej ulicy, pojawiło się dwóch zdyszanych młodych żołnierzy, pytając czy mamy przepustki.

– Mamy – spokojnie odpowiedziała mama.

– To pospieszcie się i schowajcie, nim ktoś was zastrzeli – krzyknęli, oddalając się w pośpiechu.

Na rogu naszej ulicy jakiś starszy stopniem oficer SS chwycił ojca za rękaw i zaczął krzyżeć, wymachując mu przed nosem pistoletem. Ojciec słabo znał niemiecki, a w powstałym zamieszaniu Niemiec przystawił mu pistolet do piersi i trzymając palec na spuście, wrzeszczał coś niezrozumiałego. Od samego rana czułam, że zmieniałam się w bryłę lodu i teraz bez iskiej uczucia patrzyłam na purpurową z wściekłości twarz, chudą, nabrzmiąłą żyłami szyję, wykrzywione wrzaskiem usta. Patrzyłam na ojca, który stał nieruchomo, z lekkim uśmiechem na twarzy, zgadzając się uprzejmie zaczekać na oficera, który zmuszony był odejść od nas na chwilę, ale wróci tu, żeby się z nami rozprawić.

Zostawił nas i pobiegł, wymachując pistoletem na kogoś innego i krzyżąc do nas, żebyśmy się nie ruszali z miejsca. Kiedy tylko zniknął w budynku, rzuciliśmy się do ucieczki. Szybko skręciliśmy za róg i znaleźliśmy się na podwórzu bloku policyjnego. Miejsce było opustoszałe. Blok składał się z kilku dużych budynków i podwórek połączonych tunelami, dziurami w murach, przejściami po strychach i przez piwnice, przez które dawało się przejść z jednego końca bloku na drugi, ani razu nie wychodząc na ulicę.

Minęliśmy trzy podwórka, zanim kogoś napotkaliśmy. Ku naszemu zdumieniu i uldze był to mąż kuzynki ze strony mamy, także policjant. Powitał nas z otwartymi ramionami.

– A gdzie jest Berta? – chcieliśmy się dowiedzieć.

– Ukryta. Zbudowaliśmy dobrą kryjówkę, zostanie w niej, póki to wszystko się nie skończy.

– Czy możesz zabrać tam Cesię i Jasię? – zapytał ojciec. – Nie mamy dokąd pójść.

Henryk zmienił się na twarzy.

– Żałuję bardzo, ale nie mogę wam pomóc.

Patrzyliśmy na niego z niedowierzaniem.

– Ale my nie mamy dokąd pójść – tłumaczył ojciec. – O siebie się nie martwię, ale jeśli Cesia i Jasia nie znajdą kryjówki, zgarnie je pierwszy niemiecki patrol. Mówię ci



przecież, że wracamy prosto spod bramy Umschlagplatz.

– Niestety Mietku, teraz każdy musi liczyć na siebie. Ja ukryłem moją żonę, ty musisz zrobić to samo dla swojej rodziny. Nie mogę narażać innych, ujawniając ich kryjówkę.

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Weszliśmy do pierwszego z brzegu mieszkania na parterze i usiedliśmy w milczeniu. Po jakimś czasie dotarli do nas Szerekowie i dwie inne pary. Z ulicy dobiegały krzyki, komendy i odgłosy wystrzałów. Słychać było gwizdki i warkot przejeżdżających samochodów.

– Nie możemy tu zostać – odezwał się ktoś. – To jest proszenie się o nieszczęście. Jeśli nie możemy znaleźć jakiejś kryjówki, to chociaż przenieśmy się nieco dalej od ulicy.

Znaleźliśmy mieszkanie na ostatnim piętrze i zajęliśmy najmniejszy pokój z widokiem na ulicę. W pierwszym pokoju stała ciężka szafa i pomyśleliśmy, że zawsze możemy zabarykadować nią drzwi.

W każdym razie cokolwiek by się działo, nie zejdziemy na dół na żadne rozkazy. Choćby nam grozili, choćby nawet strzelali albo rzucali granaty. Zostajemy tu. Wszystko jest lepsze od Umschlagplatz.

W pokoju był tapczan, łóżko polowe i kilka krzeseł. Pierwszy dzień i noc spędziliśmy, jak się dało: mężczyźni na krzesłach i na podłodze, ja z kobietami na łóżkach. Ktoś miał bochenek chleba, ktoś inny termos z gorącą kawą. Następnego dnia znów zaczęła się akcja. Wyglądało na to, że całe getto miało być wywiezione. Ojciec razem z innymi mężczyznami poszli szukać kryjówki. Wrócili po pewnym czasie, żeby nam powiedzieć, że znaleźli ją w sąsiednim domu.

Była to bardzo kiepska kryjówka. Właściwie była mniej bezpieczna i łatwiejsza do odkrycia niż nasze obecne mieszkanie, ale mimo to poszliśmy. W małej piwnicy blisko pięćdziesiąt osób gnieździło się na podłodze i na półkach podwieszonych pod niskim stropem. Nie było żadnego oświetlenia, tylko małe, rozbite okienko, wychodzące prosto na ulicę na poziomie chodnika i zatkanie poduszką.

Ojciec powiedział nam później, że w zimnym powietrzu na zewnątrz widać było wyraźnie parę z naszych oddechów wydobywającą się na ulicę.

Każdy mógł ją odkryć. Tylko cienkie, drewniane przepierzenie, które można było łatwo rozbić, oddzielało nas od innych piwnic. Była to faktycznie najgorsza możliwa kryjówka. Żeby do niej wejść, trzeba było przeczołgać się na rękach i kolanach przez wejście tak małe, jak drzwiczki piekarnika. Obie z mamą, popychane i ciągnięte, z trudem zdołałyśmy wpełznąć do środka, gdzie przywitały nas wrogie pomruki obecnych i zatykający dech smród.

Wspięliśmy się na półkę i zgięte w pół pod sklepieniem przesiedziałyśmy w ciszy i bezruchu całą noc i następny dzień. Od czasu do czasu nieznośny kurcz w plecach zmuszał mnie do zmiany pozycji i wtedy przechylałam się na bok i opierałam głowę na kolanach mamy. Od czasu do czasu mama poszeptywała z siedzącą obok kobietą. Raz czy dwa ojciec podszedł pod drzwi i zawołał do nas, żeby dać znać, że jest na miejscu, że nic mu się nie stało. Ludzie na podłodze stękali i jęczeli. Była między nimi ciężarna kobieta bliska rozwiązania. Jak zdołała tu wejść, przez te drzwiczki? I co będzie, jeśli zaczniesz rodzić? Od czasu do czasu błyskała zapałka i czyjaś twarz pojawiała się na moment, rozglądając się dookoła.

Nad piwnicą znajdował się pusty zakład pogrzebowy zajęty przez pilnujących nas mężczyzn. Było umówione, że kiedy akcja dotrze do naszej ulicy, któryś z nich wejdzie do sklepu i trzy razy tupnie nogą w podłogę. Od tej chwili mieliśmy siedzieć w kompletnej ciszy, póki alarm nie zostanie odwołany.

Pierwszego dnia po południu usłyszeliśmy trzy tupnięcia i momentalnie wybuchła panika. Na podłogę potoczyły się metalowe garnki, ktoś dostał ataku kaszlu, ciche do tej pory dziecko zaczęło płakać, a jedna z kobiet wpadła w histerię.

Wściekły głos krzyknął zza drzwi, że to był tylko próbny alarm, nic nam nie grozi, ale jeśli zamierzamy tak się zachowywać, kiedy naprawdę zaczną się akcja, to równie dobrze możemy wyjść i usiąść na środku ulicy.

Następnego ranka usłyszeliśmy podjeżdżające pod nasz blok samochody, ciężarówki i motocykle. Żadne ostrzeżenie nie było potrzebne. Wyraźnie słyszeliśmy głosy żołnierzy gromadzących się na chodniku w oczekiwaniu na rozkazy. W piwnicy rozlegał się czyjś ciężki, chrapliwy oddech, który pewnie można było słyszeć na ulicy. Zastanawiałam się, jaki będzie nasz koniec. Może granat rzucony przez okno? Niemcy nigdy nie wchodzili do piwnic, tylko wrzucali granaty. A może pozwolą nam wyjść na zewnątrz, na świeże powietrze? Czy ojciec będzie z nami? Myśl o umieraniu z dala od niego była nie do zniesienia. Ale może lepiej, żeby tego nie widział?

Nadjechał kolejny motocykl i jakiś głos wykrzyczał rozkazy. Silniki ożyły jeden po drugim, samochody ruszyły i jeden po drugim odjechały.

Akcja została odwołana.

Wynurzyliśmy się z piwnicy, mrużąc oczy w mdłym świetle zimowego dnia. Ulice wyglądały spokojnie, ale nie zdecydowaliśmy się jeszcze na powrót do domu, tylko wspięliśmy się po schodach do tego samego mieszkania, w którym spędziłyśmy pierwszą noc. Znaleźliśmy tych samych ludzi. Powitaliśmy ich jak starych przyjaciół. Szeregowie nie wrócili. Minęła kolejna noc na polowym łóżku i świt zastał nas przyklejone do szyby. W napięciu obserwowałyśmy pustą ulicę. Było cicho. Uspokojone wróciłyśmy na tapczan, żeby zaczekać na mężczyzn, którzy wyszli

na rekonesans. Równomierny stukot końskich kopyt zwabił mamę i mnie z powrotem do okna. Z bocznej uliczki wytoczyła się furmanka z dwoma policjantami drzemiącymi na przednim siedzeniu i dwiema kobietami leżącymi z tyłu na słomie.

– Już po wszystkim, widzisz, policjanci wiozą do domu swoje żony – powiedziała mama i w tej samej chwili obie cofnęłyśmy się od okna.

Mama chwyciła mnie za ramię i na moment przywarłyśmy do siebie, starając się wymazać z pamięci widok okaleczonych ciał. Unikając swoich spojrzeń, wycofałyśmy się do drugiego pokoju. Wkrótce potem przyszedł ojciec z wiadomością, że można bezpiecznie wracać do domu.

Mieszkanie zastaliśmy puste. Szeregowie nie wrócili. Ani nikt inny. Resztę dnia spędziłyśmy na nerwowym sprzątaniu i porządkowaniu pokoi, ścieleniu łóżek, zamiataniu i odkurzaniu, bez przerwy w ruchu, nie odzywając się do siebie. Ojciec wyszedł na cały dzień, wrócił dopiero wieczorem w stanie gorączkowego podniecenia.

– Jasia jutro wychodzi. Rozmawiałem z Erykiem, będzie na nią czekał. Tu się coś szykuje, ludzie się organizują i przy następnej akcji pewnie zaczną się walki. Już tym razem doszło do wymiany strażaków. Dajcie mi tylko broń do ręki i niech wtedy spróbują...

Byłam oszołomiona. Tak więc moja przyszłość została przesądzona. Mam ich opuścić. Czy to już naprawdę koniec? Mama zagrzała wiadro wody i rozebrała mnie. Mimo moich gwałtownych protestów uparła się, że mnie umyje – jakbym była wciąż dzieckiem – i robiła to powoli, z osobliwą starannością, jakby chciała na zawsze zapamiętać, jak wtedy wyglądałam. Potem znów ubrała mnie, nakładając jedno po drugim wszystkie moje ubrania, aż wreszcie ledwie mogłam się ruszać. Położyłyśmy się w ubraniach na kanapie, objęte ramionami, przeczekując tę niekończącą się, bezsenną noc.

– Czy na pewno chcesz iść – zapytała mama w pewnej chwili. – Bo jeśli nie chcesz, nie będziemy cię zmuszać.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czy mogłam ich zostawić?

– Słyszałaś, co powiedział ojciec. Tu znów dojdzie do walk. Pamiętasz, jak bałaś się nalotów? Tym razem będzie jeszcze gorzej. U Lidii będziesz bezpieczniejsza.

Tak, to prawda..., ale jak mogłam jej powiedzieć o wątpliwościach, które we mnie narastały? Jak mogłam zażądać gwarancji? Czy mam powiedzieć, że zostawię ich tylko pod warunkiem, że przy pierwszej nadarzającej się okazji pójdą za mną? Czy jak zwykle bez zająknięcia nie obiecują mi czegokolwiek, bylebym tylko zrobiła to, czego chcą? Czy mogę im ufać?

– Czy jest coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć? – zapytała mama. – Czy coś się wydarzyło u Lidii? Czy źle cię potraktowano? Ktoś ci coś powiedział?

Nie, to naprawdę nie to. Mogłam szczerze powiedzieć, że nikt nigdy nie potraktował mnie tam źle, ale nie mogłam powiedzieć, że opuszczam dom na zawsze i że już nigdy więcej się nie zobaczymy. Bo jak długo tego nie wymówiłam, to nie była to prawda. Jeśli jednak wypowiem to na głos, będzie to wyrok śmierci.

– A ty? Kiedy ty przyjdiesz do Lidii?

– Jak tylko będę mogła. Kiedy tylko ojciec znajdzie jakieś miejsce dla siebie. Lidia pomoże nam wszystkim, ale ty musisz wyjść pierwsza. Będzie nam łatwiej, kiedy będziemy wiedzieć, że ty jesteś bezpieczna.

Było jeszcze zupełnie ciemno, kiedy wszedł ojciec i powiedział, że musimy się pospieszyć. Parząc sobie usta, przełknęłam parę łyków herbaty i zeszliśmy na dół. W ciemnościach mroźnej ulicy mama wybuchnęła płaczem. Objęła mnie, łkając, a ja poczułam, że to wszystko – to okropna pomyłka. Cokolwiek się stanie, musimy zostać razem. Ojciec próbował ją uspokoić i odciągnąć mnie, ale jego słowa brzmiały niepewnie i bezradnie. Już zaczęłam mieć nadzieję, że wszyscy razem wrócimy na górę, kiedy zjawił się zdyszany mężczyzna, oznajmiając, że musimy się pospieszyć, bo ciężarówka czeka. W ostatniej chwili przypomniałam sobie o medaliku, który miałam na szyi. Zaczęłam gorączkowo przekopywać się przez warstwy ubrań, aż wyciągnęłam złoty krążek z wianuszkiem z wawrzynu i wyrytym słowem Szadaj (Wszechmocny) – hebrajskim imieniem Pana. Dawno temu, przed wojną, dziadek zawiesił mi go na szyi podczas kolacji sederowej i od tego czasu nigdy się z nim nie rozstawałam. Poza ślubnymi obrączkami rodziców był to jedyny złoty przedmiot, którego nie sprzedaliśmy. Przełożyłam cienki łańcuszek przez mamy głowę. Jakaś staruszka wyłoniła się z ciemności, objęła mamę ramieniem i wciąż płaczącą odprowadziła w głąb sieni. Podeszłam z ojcem do grupki czekającej przy ciężarówce. W milczeniu wdrapaliśmy się na platformę, motor zakaszłał, wszyscy zachwiali się, przytrzymując jeden drugiego. Wciśnięta między palta stojących dokoła robotników, patrzyłam w milczeniu na uciekające ulice.

Zimowe niebo skrzyło się gwiazdami. Mijaliśmy jeden za drugim sektory pustych, ciemnych domów otoczonych niskimi murami. Światło księżycy migotało w potłuczonych szybach i rzucało niepokojące cienie na zasypane śniegiem chodniki. Do każdego sektora wchodziło się przez wyrwę w murze, obok której paliło się niewielkie ognisko pilnowane przez skulone postacie strażników. Kogo oni pilnują? Duchów? – pomyślałam z goryczą. Porozbijane okna wyszczerzały poszczerbione zęby szyb w niemym krzyku. Tu i ówdzie jak opuchnięty jęzor zwisała czerwona poduszka lub rozpruta pierzyna. Całe miasto wyło z bólu, ale nikt nie spieszył z pomocą.

Przy wejściu do getta silne lampy łukowe zamieniły noc w jasny dzień. Ciężarówka zatrzymała się i zeskoczyliśmy na ziemię. Jakiś człowiek podszedł do ojca

i wymamrotał, że „Ukrainiec” jest na służbie lepiej, żeby ojciec zabrał mnie do domu. Zadrżałam z przerażenia. „Ukrainiec” był znany z okrucieństwa. Strach było zbliżyć się do niego, nawet jeśli miało się legalne papiery. Ojciec nie był pewien, co ma zrobić. Kiedy tak się wahał, jakiś wysoki żołnierz przywołał mnie do siebie. Nie wiedziałam, czy to „Ukrainiec”. Szybko przesunął rękami po moim ciele i niczego nie znajdując, kazał mi otworzyć teczkę, którą niosłam w ręku. Zamek jak zwykle zaciął się i kiedy on z każdą chwilą coraz bardziej wściekły mocował się, żeby go otworzyć, ogarnął mnie nagle paniczny strach. Mama spakowała mi do teczki koszulę nocną, szlafrok, szczotkę do zębów i grzebień. A ja przecież ich nie potrzebowałam! Wychodziłam jako dziecko jednej z robotnic, rzekomo tylko na jeden dzień i przed nocą miałam z nią wrócić do getta. Gdy tylko otworzy teczkę, będzie po wszystkim – pomyślałam, rozglądając się w panice za ojcem, ale on stał w mroku, a ja w kręgu światła i z mojego miejsca nie mogłam go zobaczyć. Żołnierz rozerwał teczkę, wytrząsnął z niej nocną koszulę, wcisnął ją z powrotem, wepchnął mi wszystko w ręce i popchnął mnie ku bramie. Ciężarówka już czekała po „tamtej stronie”. Ojciec podniósł mnie i postawił na platformie. Nie odezwał się ani słowem, ale byłam pewna, że widział rewizję i że oboje w tej samej chwili zdaliśmy sobie sprawę, jak wielkie ryzyko podjęliśmy.

Robotnicy jeden po drugim przechodzili przez bramę i wdrapywali się na ciężarówkę. Kiedy jechaliśmy pustymi ulicami, światło dnia powoli zaczęło przebijać się przez ciemności. Miałam wrażenie, że po tej stronie muru śnieg jest bielszy, a powietrze czystsze. Domy oddychające cicho za ciemnymi oknami pulsowały życiem. Zaczął padać śnieg. Pylił drobną mgiełką, która niepostrzeżenie gęstniała. Na dużym skrzyżowaniu ciężarówka zwolniła, a potem przystanąła, warkocząc głośno silnikiem. Ojciec podniósł mnie, przełożył przez burtę ciężarówki i postawił na chodniku. Jeszcze chwilę widziałam nad sobą jego twarz – zapadłe, ziemiste policzki, ciemne oczy błyszczące od łez. Mówił coś, ale nic nie słyszałam. Nagle zaczęło mi huczeć w uszach, rozdzwoniły się dzwony, znowu tonęłam w morzu, morze wdierało mi się do płuc, wypełniając je nieznośnym bólem. Ciężarówka ruszyła. Przez chwilę jeszcze czułam na ramionach ręce ojca, potem już tylko wyciągały się ku mnie z wirującego śniegu, potem biała kurtyna przysłoniła mi oczy i ciężarówka zniknęła.

Stałam pośród zamieci, nie mogąc ruszyć się ani zebrać myśli. Ze śnieżycy zaczęli wyłaniać się pierwsi przechodnie śpieszący do pracy. Potrącali mnie i popychali, rzucając w moją stronę badawcze spojrzenia. W głębi mojego odrętwiałego umysłu odezwał się ostrzegawczy dzwonek, instynkt nakazywał mi odejść z tego miejsca. Zrobiłam kilka kroków na oślep i potknęłam się o białego pekińczyka na smyczy. Niski, przysadzisty mężczyzna wziął psa na ręce i szepnął, żebym szła za nim.

Mechanicznie stawiałam nogę za nogą, skupiając wszystkie siły na tym skomplikowanym zadaniu. Po długiej wędrówce dotarliśmy do domu. Czekałam, póki Eryk nie sprawdził klatki schodowej i nie wrócił z informacją, że droga wolna. Biegiem pokonaliśmy trzy piętra i ciężko dysząc, dotarliśmy do drzwi.

Gdy weszliśmy do mieszkania, Zosia upadła na kolana, objęła mnie i rozpłakała się. Lidia wyszła z sypialni w delikatnym neglizżu, uśmiechając się zapraszająco. Z salonu rozbrzmiewały triumfalne dźwięki menueta Paderewskiego, mojego ulubionego. Tomek wskoczył mi na plecy, a kiedy muzyka ustała, Paweł rzucił mi się w ramiona.

Eryk nakazał Zosi, żeby przestała się mazać i podała nam śniadanie. Była dopiero szósta rano, cała rodzina ziewała, nienawykła do wstawania o tak wczesnej porze. Lidia pomogła mi zdjąć kilka warstw ubrań. Wkrótce siedziałam nad filiżanką parującego kakao, zmuszając się do przełknięcia bułki i próbując odpowiadać na pytania chłopców, którzy szaleli z radości na wieść, że zostaję na dobre. W głowie miałam pustkę. Odpowiadałam na pytania, z największym trudem dobierając słowa, podczas gdy ów nowy głos, który wcześniej na ulicy ponaglał mnie, żebym szła, przypominał mi, że od teraz jestem zdana sama na siebie i muszę się zachowywać jak dorosła. Muszę pamiętać o manierach, żeby nie przynieść wstydu rodzinie. Muszę robić, co mi każą i nigdy, przenigdy nie sprawiać nikomu kłopotu. I muszę spróbować przeżyć.

CZĘŚĆ II

# Skrawek ziemi

W dzień moich trzynastych urodzin zadzwonił telefon. Eryk podniósł słuchawkę i po chwili oddał ją mnie.

– To Mietek – powiedział, mocno akcentując imię.

Jedyny nadal działający w getcie telefon z pewnością był na podsłuchu i nierozsądnie byłoby zwracać się do ojca inaczej niż po imieniu, ale nie mogłam się do tego zmusić. Jego głos dobiegał przez trzaski i zakłócenia i był tak zniekształcony, że wcale go nie rozpoznałam. Dzwonił po raz pierwszy i byłam zbyt wstrząśnięta, by cokolwiek powiedzieć. Kiedy zapytał, co porabiam, odparłam, że ćwiczę na pianinie, i spytałam, czy miałby ochotę posłuchać. Powiedział, że tak. Wróciłam do instrumentu i podczas gdy Eryk trzymał słuchawkę przy klawiszach, zagrałam wprawki. Potem wróciłam do telefonu. Ojciec powiedział, że było ślicznie i opowie o tym Cechnie. Powtórzył życzenia urodzinowe i rozłączył się.

Kilka dni później przywieziono kufer z ubraniami. Przeglądałam je zdumiona. Były to wszystkie rzeczy należące do rodziców i trochę moich. Nie znalazłam żadnego listu, żadnego wyjaśnienia. Przeszukałam wszystkie kieszenie, czując, że popełniam świętokradztwo. W jednej z kieszeni ojca znajdowała się miniaturowa karta do gry z zielonego plastiku, as pik, jego karciany amulet, który zawsze nosił przy sobie. Ścisnęłam ją w dłoni i przez resztę dnia szukałam dla niej bezpiecznego miejsca. Wiedziałam, że ojciec nigdy na dłużej się z nią nie rozstawał, i byłam przekonana, że razem z mamą niebawem się tu zjawi. Z nową nadzieją czekałam dzień po dniu, niestety nadaremnie.

Dziewiętnastego kwietnia obudził nas odgłos odległych wystrzałów, a podekscytowana sąsiadka w papilotach przybiegła z wiadomością, że getto walczy. Zaczęła się ostatnia runda deportacji i pozostali w getcie Żydzi chwycili za broń.

W prześwicie między dwoma budynkami na tyłach naszego domu widzieliśmy słup dymu wznoszący się ponad dachami. Codziennie napływały nowe wiadomości o walkach; ludzie gromadzili się przy murze w nadziei, że coś zobaczą, a kobiety ze wsi, które dostarczały nam jedzenie, aż kipiały z podniecenia.

– Kto by pomyślał, że ich na to stać? Słyszeliście kiedy, żeby Żyd walczył?

Pomyślałam o medalach ojca i przed oczami stanął mi wujek w podartym mundurze, gdy przyszedł nas pocieszyć podczas oblężenia Warszawy w 1939 roku. I o moich licznych kuzynach, którzy służyli w polskim wojsku po wybuchu wojny. Niektórzy zginęli jeszcze w 1939 roku, inni byli teraz jeńcami jak wujek, jeszcze inni przedarli się za granicę. Czyż oni nie umieli walczyć?

– To im nic nie pomoże – ciągnęła grubym głosem kobieta w kuchni. – Kilka



samolotów i czołgów i będzie po wszystkim. Albo gaz. Dlaczego nie użyją gazu? To by ich szybko wykurzyło, no nie? Zawsze powtarzam, że trzeba wykurzyć robactwo. To jedyna dobra rzecz, jaką robi Hitler: wreszcie pozbędziemy się Żydów.

Jakże często miałam słyszeć podobne słowa w nadchodzących tygodniach. Mieszkańcy Warszawy mieli za złe, że Żydzi wybrali właśnie ten czas, by zacząć swoją wojnę. Była Wielkanoc, piękna pogoda i nieszczęśni lokatorzy domów w pobliżu getta nie mogli otworzyć okien, by cieszyć się wiosennym słońcem. Gęste chmury dymu unosiły się nad wszystkim, wdzierając się do domów, niszcząc zasłony. I ten smród!

Siedziałam w sypialni na tyłach mieszkania i hipnotycznie wpatrywałam się w słupy dymu, próbując sobie wyobrazić, co robią moi rodzice. Łatwo było wyobrazić sobie ojca z bronią, ale co się stało z mamą? Czy skuliła się gdzieś w piwnicy, jak podczas tych czterdziestu ośmiu godzin, zanim ich opuściłam? Czy drżała i płakała w samotności, stłoczona pomiędzy obcymi ludźmi, czekając na ostatnią eksplozję? Serce ścisnęło mi się z żalu. Nie miałam prawa jej opuszczać. Moje miejsce było przy niej. Nawet jeśli nie mogłam jej pomóc ani obronić, przynajmniej byłybyśmy razem.

Słup dymu zadrżał, gdy łzy napłynęły mi do oczu. Byłam tchórzem, dezserterem. Uciekłam i zostawiłam ich, by zapłacili życiem za moją wolność. Muszę wrócić.

Jednak sytuacja w mieszkaniu zmieniała się gwałtownie. Podczas gdy w getcie trwała ostatnia bitwa, otaczająca mnie rodzina rozpadała się i w końcu zrozumiałam, dlaczego tu trafiłam. Bez względu na to, jakie motywy kierowały Lidią, kiedy zaproponowała, że mnie ukryje, teraz byłam dla niej jedynie środkiem do szantażowania Eryka, by dał jej wszystko, czego chciała. Miała teraz mieszkanie w mieście, które dzieliła ze swoim obecnym przyjacielem, i każda jej wizyta u nas kończyła się straszliwą kłótnią z Erykiem. Za każdym razem wychodziła z walizką i nie mieliśmy już dość talerzy, żeby nakryć do stołu. Obrazy, kryształy, srebro i obrusy zniknęły, zostały tylko meble. Pod koniec kwietnia Lidia doprowadziła Eryka na skraj bankructwa, a na wszystkie jego protesty i odmowy odpowiadała grożąc, że doniesie na mnie władzom. Jej nastroje jednakże stale się zmieniały i nigdy nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać podczas kolejnej wizyty.

Od czasu do czasu dochodziło do łzawego pojednania. Lidia przychodziła z naręczem prezentów dla wszystkich, ze słodyczami, pomarańczami i ciastkami, całowała nas i obiecywała, że już nigdy nas nie opuści i przez dzień czy dwa byliśmy szczęśliwi. Chłopcy nie odstępowali matki, zasypywali ją pocałunkami, a Eryk przestawał się jąkać i nawet jego ciężki niemiecki akcent zdawał się zniknąć. Przez krótki czas byliśmy szczęśliwą rodziną, potem nagle coś pękało, Lidia zniknęła na noc, a my wracaliśmy do sytuacji sprzed tygodnia, niespokojnie oczekując jej następnej wizyty. Wiedzieliśmy, że znów wpadnie do mieszkania, obrzucając wszystkich obelgami.

Podczas ostatniego pojednania posunęła się nawet do tego, że zaprosiła nas wszystkich do swojego mieszkania na podwieczorek. Ku mojemu zdumieniu – i oburzeniu Zosi – Eryk wyraził zgodę. Zawsze zgadzał się na wszystko, co proponowała Lidia, aby nie psuć jej dobrego nastroju. Byłam jeszcze bardziej zdumiona, gdy okazało się, że zaproszenie obejmuje także mnie. Przeraziła mnie myśl o wyjściu na ulicę w biały dzień, a Eryk zastanawiał się, czy to rozsądne, lecz Lidia nie ustępowała.

– Albo ona pójdzie z nami, albo wszyscy zostaniecie w domu. Chcę mieć przy sobie całą rodzinę! Jeśli się boisz, zabiorę ją samą, a wy dołączycie później.

Wyruszyliśmy w słoneczne popołudnie, idąc jedną z najbardziej ruchliwych ulic w Warszawie wśród tłumu ludzi. Lidia trzymała mnie za rękę, a ja szłam za nią, potykając się. Podniecona i nienawykła do spacerów z trudem łapałam oddech, lecz za bardzo się bałam, by się rozglądać. Nie poszliśmy prosto do jej mieszkania, jak obiecała, lecz zatrzymaliśmy się po drodze w kilku sklepach i w kawiarni, w której o tej porze dnia roiło się od Niemców. Lidia powoli wybierała ciastka, a ja stałam tyłem do zatłoczonej sali, niemal dotykając nosem gabloty stojącej na ladzie. Ekspedientka z kartonowym pudełkiem i srebrnymi szczypcami ruszała się jak mucha w mazi i na domiar złego Lidia poprosiła mnie, żebym wybrała ulubione ciastka. Wskazywałam ślepo na to i tamto, modląc się, by ten niedorzeczny spektakl dobiegł końca, zanim ktoś mnie zauważy. Czułam, że to naprawdę jest spektakl i że gram w nim główną rolę. Cała kawiarnia patrzyła na mnie, wszyscy na ulicy musieli dostrzec moją twarz, wszyscy wiedzieli, kim jestem.

Wydało mi się, że minęły godziny, zanim wreszcie dotarliśmy do mieszkania i mogłam podnieść głowę. Mieszkanie było kawalerką mieszczącą się w nowoczesnej kamienicy: dwa małe pokoje z ogromnymi oknami na jednej ścianie, łazienka i kuchenka w przedpokoju. Nad sofą w sypialni wisiał portret Lidii namalowany niedawno przez słynnego malarza. Eryk zamówił go w zeszłym roku przed Bożym Narodzeniem, lecz portret tuż po ukończeniu w tajemniczy sposób zniknął z pracowni malarza. Eryk był zrozpaczony, bo nie stać go było na zamówienie drugiego. Lidia przysięgała, że obraz został skonfiskowany przez Niemców.

Patrzyłam na twarz Eryka, gdy wszedł do mieszkania i ujrzał obraz. Stał przez chwilę, nie spuszczać z niego wzroku, po czym w milczeniu wszedł do saloniku.

– Napijemy się herbaty, kochanie? – zapytał. – Jest okropnie gorąco, a mamy za sobą długi spacer.

Herbatę, czekoladę i ciasteczka podała pokojówka w czarnej sukience i fartuszkach z białymi falbankami. Poruszała się po pokoju, przyglądając się nam z zaciekawieniem, dopóki Lidia nie zapytała, jak się jej podoba rodzina.

– To mój mąż i dzieci. Jak sądzisz, Marysiu, mamy ich poprosić, żeby zostali?

Marysia uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Potem patrząc na mnie, oświadczyła:

– Ale ta nie jest pani!

– Jest – odparła Lidia. – Dlaczego sądzisz, że nie?

– Nie jest do pani podobna.

– A do kogo?

– Wygląda na Żydówkę.

Lidia wybuchnęła śmiechem.

– To córka mojego męża z poprzedniego małżeństwa. Spójrz na niego, czyż nie są podobni?

Marysia przyjrzała się twarzy Eryka.

– On też wygląda na Żyda – oświadczyła. Na te słowa wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem i dziewczyna wyszła z pokoju.

Ciastka znalazły uznanie tylko u chłopców. Eryk i Lidia siedzieli sztywno przy stole, dziobiąc jedzenie. Eryk przyglądał się dobrze znanym meblom, bibelotom, obrazom i srebrnej zastawie, a w jego oczach malował się coraz większy smutek. Zastanawiałam się, kim jest mężczyzna, który mieszka z Lidią, czy jest Niemcem, czy Polakiem. Wróciliśmy do domu dorożką. Jechaliśmy w milczeniu i było nam trochę niedobrze po wszystkich tych słodkościach.

Następnego dnia zadzwonił telefon. Słuchawkę podniosła Zosia.

– Powiedz swojej pani, że jeśli chce trzymać u siebie małą Żydówkę, jest to wyłącznie jej sprawa, ale byłoby lepiej, gdyby nie pokazywała jej w mieście, bo będziemy musieli podjąć niezbędne działania.

Po drugiej stronie odłożono z trzaskiem słuchawkę, a Zosia stała wpatrzona w aparat. Osoba po drugiej stronie mówiła tak głośno, że oboje z Erykiem słyszeliśmy każde słowo. Zosia odłożyła słuchawkę i spojrzała na nas pełnymi strachu oczami. Eryk nerwowo potarł brodę.

– Teraz rozumiem, dlaczego tak jej zależało na tym szalonym podwieczorku. Można się było spodziewać, że ktoś zauważy... Wyobraź sobie tylko, zabierać ją do tych wszystkich sklepów! Teraz oczywiście będziemy musieli ją odesłać. – Spojrzał na mnie ze smutkiem. – Nie chcę tego robić, Jasiu, jesteś dla mnie równie ważna jak moi chłopcy, ale dla dobra nas wszystkich muszę cię ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu. Tylko nic nie mów Lidii. I nie martw się. Dopóki żyję, nie dostanę cię.

Wyszłam do kuchni i usiadłam ze wzrokiem wbitym w podłogę. A więc to prawda. Będę musiała odejść. Nagle mieszkanie wydało mi się najbezpieczniejszym miejscem na ziemi. Nawet napady furii Lidii wydawały się mniej niebezpieczne niż nieznana kryjówka, do której miałam się udać. Może to wszystko żart? Może to jakiś przyjaciel

Lidii, który próbował nas przestraszyć? Może Lidia przyjdzie i wszystko nam wyjaśni?

Jednak następna wizyta Lidii tylko potwierdziła moje najgorsze podejrzenia. Była wściekła i groziła, że wezwie policję i każe nas wszystkich aresztować. Widząc, że Zosia szykuje się do wyjścia, zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na klucz.

– Nigdzie nie pójdziesz, dopóki ci nie każę! Nadal jestem panią tego domu. Kiedy każę ci odejść, wyjdiesz i nigdy tu nie wrócisz. I nie myśl sobie, że możesz z nią uciec. – Nagle odwróciła się do mnie i wyciągnęła mnie z kąta. – Pierwszy policjant, który zobaczy cię na ulicy, zastrzeli was obie na miejscu! Poza tym nie myśl, że Zosia zabierze cię ze sobą, za bardzo się boi. Nikt przy zdrowych zmysłach nie przyjmie cię teraz pod swój dach. Pozbędziemy się ciebie jak najszybciej. Przyjdę tu któregoś dnia w przyszłym tygodniu po resztę rzeczy i radzę ci otworzyć, kiedy zadzwonię! Jeśli tego nie zrobisz, przysięgam na Boga, że wrócę z gestapo!

Wypadła z mieszkania, pozostawiając nas w osłupieniu. A więc to tak, pomyślałam. To ona mnie wyda. Dlaczego czekałam, aż to się wydarzy? Teraz nie było getta, do którego mogłabym wrócić. Wszyscy odeszli i musiałam sama stawić czoło temu, co nadejdzie. Czy było warto? Czy nie lepiej było zostać z mamą?

Spojrzałam na Zosię. Parzyła herbatę i nagle wydała się bardzo cicha.

– Jak myślisz, co się teraz stanie?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Odchodzę. Mam dość. Nie chcę, żeby mnie zastrzelili, nawet w moim wieku. Odejdę, gdy tylko znajdę inne miejsce, i nikomu nie powiem, gdzie jestem. Możesz ze mną spać dziś w nocy i dopóki tu będę. To bliżej schodów. Ale jeśli przyjdą po ciebie w nocy, zostanę tutaj i przysięgnę, że cię nie znam!

Od tamtego pamiętnego dnia napięcie w domu stało się nie do zniesienia. Zaraz po obiedzie Zosia chwyciła koszyk i razem z chłopcami uciekała do miasta, zostawiając mnie samą. Przechodziłam na paluszkach przez cichy pokój i szukałam w jej komodzie starego modlitewnika. Pełno w nim było kolorowych obrazków przedstawiających świętych, Matkę Boską i dzieciątka Jezus. Zabierałam go ostrożnie na moją kanapę i tam, na kolanach – święte książki należy zawsze czytać w tej pozycji – czytałam modlitwy, litanie, hymny, nieszpory, obrzędy mszy świętej i różaniec, próbując odnaleźć sens w tajemnicy.

W chwili przybycia do mieszkania Lidii postanowiłam, że zostanę katoliczką i rozpaczliwie próbowałam się do tego przygotować przed śmiercią. Nie podjęłam tej decyzji z wyrachowania. Gdyby mnie aresztowano, żaden dokument nie przeważałby mojego wyglądu. Dla świata byłam Żydówką i nie miałam co do tego żadnych złudzeń. Jednak religia katolicka fascynowała mnie od najwcześniejszego dzieciństwa.

Wychowana w świeckim domu próbowałam czerpać pociechę z lekcji Biblii w szkole, co zaowocowało mglistym i przerażającym obrazem Boga ze Starego Testamentu, do którego można się było zwracać tylko kilkoma modlitwami w języku aramejskim, których znaczenia już zapomniałam. Nie miałam żadnego pucołowatego aniołka, który by mnie strzegł. Moja tęsknota za dobrym, pięknym i wyrozumiałym Bogiem rosła z każdym rokiem, a czas spędzony w getcie przypieczętował moje postanowienie: nasz Bóg niewiele o nas dbał, skoro pozwalał, by jego naród wybrany ginął w tak straszliwy sposób. Nie było potrzeby zwracać sobie nim głowy. Opuszczając getto, zostawiłam tam także Boga i teraz poszukam zbawienia z chrześcijanami. Przynajmniej ich modlitwy były napisane po polsku i mieli obrazki pokazujące, kto jest kim. Znałam już „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Mario” i „Wierzę” i w końcu udało mi się rozwiązać zagadkę związków łączących Świętą Rodzinę. Wysoki i przystojny Jezus z krwawiącym sercem na szacie nie był ojcem Dzieciątka i mężem Marii. Tyle udało mi się dowiedzieć z modlitewnika Zosi, ale reszta stanowiła nieprzeniknioną tajemnicę. Nigdy nie ośmieliłam się poprosić Zosię o pomoc. Była gospodynią mojej babki, niemal członkiem rodziny i podejrzewałam, że uzna mnie za zdrażczynię.

Dni były trudne, lecz noce jeszcze straszniejsze. Spałam w gabinecie na nowej kanapie, na której za nic nie mogłam się odprężyć. Nowe sprężyny nie uginały się pod moim niewielkim ciężarem i przewracałam się bezradnie na gładkim prześcieradle, czując, jakbym leżała na lodowej krze spływającej po czarnych wodach rzeki. W każdej chwili bryła mogła się zachybotać, a ja zsunęłabym się do wody. Nie miałam się czego chwycić, nikogo nie mogłam poprosić o pomoc czy słowa pociechy. Zrywałam się na wpół przebudzona ze stłumionym okrzykiem i siedziałam, obejmując rękami kolana, wpatrując się w nieprzeniknioną ciemność. Rolety zaciemniające zakrywały wszystkie cienie mebli. Zbyt przerażona, aby znów położyć się na lodowatą krę, siedziałam tak godzinami, a w głowie kręciło mi się ze zmęczenia. Pierwszy raz od lat nie spałam z mamą i rozpaczliwie tęskniłam za naszym zniszczonym materacem, wąskim łóżkiem, a przede wszystkim za ciepłym ciałem mamy leżącym obok mnie.

Podczas lat spędzonych w getcie często narzekałyśmy na niewygodę związaną ze spaniem w jednym łóżku i wzdychając, wypatrywałyśmy dnia, w którym każda będzie mieć swoje. Teraz, gdy byłam sama, wydawało mi się, że już nigdy nie zmrużę oka. Czasami w środku nocy zwiijałam koce i poduszki w kulę, chowałam się pod nią i płakałam do czasu, gdy do pokoju wpadał pierwszy brzask dnia.

Co rano przed wyjściem z domu Eryk powtarzał surowe zalecenia, żebym nie otwierała drzwi Lidii, gdy będę sama. Zapewniał nas, że Lidia nie ośmieli się wezwać policji i że jeśli wywoła scenę, sąsiedzi wtrącają się i nie pozwolą jej wejść

do mieszkania. Gdyby wydarzyło się coś nieoczekiwanego, miałam zadzwonić do niego do salonu, a on zaraz przyjdzie. O wiszącej nad nami groźbie Eryk powiedział też Oldze, nauczycielce gry na pianinie, która na wieść o tym wpadła w panikę. Rozmawiając o jej dziwnym zachowaniu, doszłyśmy z Zosią do wniosku, że musi być Żydówką. Podejrzywałam to już od jakiegoś czasu. Rysy twarzy Olgi nie były szczególnie semickie i wiele kobiet farbowało włosy na ten szczególny odcień żółtego, choć wyglądał okropnie sztucznie. Jednak jej nerwowość, gdy ktoś zadzwonił, i stan nieustannej gotowości, w którym żyła, zasiał w naszych umysłach wątpliwości. Olga przypominała mi wielkiego królika o żółtej sierści, nieustannie węszącego dookoła w poszukiwaniu wrogów. A jej okrągłe ciemne oczy często miały czerwone obwódki. Pewnego dnia przyszła do nas z synem i jego wygląd potwierdził nasze podejrzania.

Eryk, który normalnie serdecznie witał wszystkie dzieci, zabronił jej przyprowadzać chłopca pod pretekstem, że przeszkadza nam w lekcjach. To nie była prawda, chłopczyk był cichy jak myszka, patrzył na nas wielkimi czarnymi oczami i pomimo wielkich wysiłków nie udało nam się wydobyć z niego ani słowa.

– Co innego mogłem powiedzieć? – zapytał później Eryk. – Chłopak jest bez wątpienia Żydem, ktoś mógłby iść za nim ulicą, dotrzeć aż tutaj i co by się wtedy stało? Olga głupio robi, zabierając go ze sobą, powinien siedzieć gdzieś w ukryciu.

Na wieść o groźbach Lidii Olga początkowo zaproponowała, że przerwiemy lekcje, ale Eryk nie wyraził zgody. Dzieci już dość cierpią. Lekcje trwały więc nadal, ale Olga drżała, słysząc najmniejszy hałas, i nie zwracała żadnej uwagi na to, co robimy.

Siedziałam przy pianinie, ćwicząc nowy „utwór”, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Po nim rozległo się walenie i głos Lidii domagającej się, żeby ją wypuścić. Spojrzałam na Olę. Zbladła jak ściana i siedziała wpatrzona w drzwi.

– Nie wolno mi jej wpuszczać – powiedziałam tak spokojnie, jak tylko potrafiłam.

– Głupia jesteś – odszepnęła Olga. – Musisz otworzyć, bo inaczej się tu włamię i wezwie policję. Ale nie otwieraj, dopóki nie wyjdę!

Chwyliła płaszcz i teczkę na nuty i zniknęła na kuchennych schodach. Stałam w korytarzu i wpatrywałam się w drzwi, zatykając uszy. Hałas był przerażający i żaden sąsiad nie przyszedł na pomoc. Ogarnięta paniką myślałam, że przecież muszą słyszeć jej krzyki i wszystko, co wygaduje o Eryku. Muszą wiedzieć, że jestem tutaj i jeśli za minutę czegoś nie zrobię, dowiedzą się o mnie wszystkiego. A wtedy przyjdą i pomogą wyważyć drzwi!

– Jest tu ze mną policja – usłyszałam pomiędzy uderzeniami w drzwi. – Jeśli mi nie wierzysz, posłuchaj! – Na schodach zapanował większy ruch i usłyszałam wyraźnie stukot kilku par butów na podeście.

– Jeśli nie otworzysz tych przeklętych drzwi, włamiemy się i zatłukę cię, ty, ty, ty...

Jak we śnie przeszłam przez korytarz. I tak wszystko skończone. Drzwi są bardzo pożyteczne, czemu je niszczyć? Jeśli mam stąd odejść, wolę zrobić to w spokoju.

– Przepraszam, Eryku – szepnęłam, kiedy zdejmowałam łańcuch i otwierałam ciężkie drzwi. Z okrzykiem triumfu Lidia wdarła się do środka, chwyciła mnie za ramiona i zaczęła potrząsać, aż zadzwoniły mi zęby. Za nią stało czterech krzepkich mężczyzn od przeprowadzek, zaskoczonych i zmieszanych. To ich kroki usłyszałam na podeście. Nie było żadnej policji.

– Mogłabym ci skrócić kark, ty mały potworze – syknęła mi Lidia do ucha. – Zejdź mi z oczu i zostań tam, dopóki cię nie zawołam. – Popchnęła mnie w stronę kuchni. Pobiegłam do łóżka Zosi i padłam na kolana, chowając twarz w narzucie.

Tak więc to był koniec. Zabierali meble. Biedny Eryk! Nic mu nie zostanie. A potem Lidia skończy ze mną, pomyślałam. To moje ostatnie godziny, może minuty. Co miałam zrobić? Modlić się? Spojrzałam na święte obrazy nad łóżkiem i westchnęłam. Nie zostałam ochrzczona, więc prawdopodobnie nie miałam prawa się do nich zwracać. Mój Bóg odwrócił się ode mnie. Nie miałam nikogo.

Pomyślałam, że to kara za opuszczenie rodziców. Teraz będę musiała umrzeć w samotności. Myśl o tym napełniła mnie takim przerażeniem, że przestałam myśleć i cokolwiek czuć. Siedziałam tylko wpatrzona w drzwi, czekając na pojawienie się Lidii. Słyszając po odgłosach dobiegających z mieszkania, mężczyźni od przeprowadzek zabierali wszystko. Wydawało mi się, że minęło mnóstwo czasu, zanim wynieśli ostatnią rzecz i usłyszałam stukot obcasów Lidii na gołej podłodze. Podniosłam się z kolan i stałam sztywno na środku kuchni, czekając na swój los. Niemal się spodziewałam, że Lidia wparuje do kuchni z bronią w dłoni i instynktownie skrzyżowałam ręce na piersi. Cokolwiek się wydarzy, nie wolno mi pokazać, że się boję. Muszę umrzeć bez słowa. Zaciśnęłam zęby i wbiłam wzrok w drzwi.

Lidia weszła do kuchni uśmiechnięta i z wdziękiem opadła na krzesło.

– Uff, już po wszystkim – poinformowała mnie, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z moich heroicznych wysiłków. Ponieważ nie odzywałam się, jej gniew znów zaczął przybierać na sile. – Jesteś absolutnie paskudna! Nie wpuścić mnie do mojego własnego domu! Ty! Po tym wszystkim co dla ciebie robiłam, ryzykowałam dla ciebie życie tysiąc razy, dla ciebie naraziłam dzieci na śmierć. Tak mi się odwzięczasz? Ale teraz już koniec. Musisz stąd iść. Nawet ten głupi Eryk zrozumie, że nie może cię tu dłużej trzymać.

Zgasiła papierosa na ulubionym spodeczku Zosi i wstała.

– Nie próbuj żadnych sztuczek. Nie dzwoń do Eryka. I tak jest już za późno. Ciężarówka odjechała, a on jej nigdy nie znajdzie. – Roześmiała się. – Żałuję, że nie zobaczę jego twarzy, kiedy wróci i zastanie tylko ciebie w pustym mieszkaniu. Założę

się, że będzie ci wdzięczny! No, baw się dobrze do następnego spotkania. Pa, pa!

Wyszła, zostawiając mnie na środku kuchni ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i z wzrokiem utkwionym w drzwi. Wydało mi się, że zaledwie kilka minut później usłyszałam kroki Eryka na schodach. Przeskakiwał po dwa stopnie, a kiedy wszedł do mieszkania, biegał z pokoju do pokoju, patrząc na gołe ściany. Nic nie zostało. Nawet łóżek. Tylko kuchnia ze składanym łóżkiem Zosi pozostała nietknięta. Zniknął kredens z całą zastawą i wspaniałą kolekcją znaczków Eryka. W sypialni wyrzucone z szaf ubrania kłębiły się na podłodze.

Eryk przyglądał się temu, powoli kiwając głową. Na jego twarzy pojawił się cierpki uśmiech, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Odwracając się nagle, zauważył mnie za sobą i w jego oczach pojawił się jakby wyraz bólu.

– Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego otworzyłaś drzwi? Przecież ci mówiłem...

Wybuchnęłam płaczem, a on w jednej chwili uklęknął obok mnie i mocno przytulił, kołysząc jak małe dziecko.

– Nic nie mogłam zrobić – wyszlochałam. – Wrzeszczała i kopała, a potem usłyszałam mężczyzn i myślałam, że to policja. Tak strasznie hałasowała...

– To nic, nic – wyjąkał. – Jasne, że byłaś przerażona, powinienem był to przewidzieć. Wcale się nie gniewam. To zła kobieta, zła do szpiku kości. Głupio z mojej strony, że tak długo w to nie wierzyłem. Ale teraz już wiem i zaczniemy inne życie. Wszystko będzie nowe i będziemy bez niej bardzo szczęśliwi... Pokażemy jej, że potrafimy. Nie potrzebujemy okropnych kobiet w tym domu. Poradzimy sobie.

Wstał i raz jeszcze rozejrzył się po pokojach.

– Lepiej pójdę i zorganizuję jakieś łóżka. Od tej pory będziemy musieli sobie jakoś radzić.

Kiedy później wróciła Zosia z chłopcami, musiałam im powiedzieć, co się stało. Byli pełni gniewu na Lidię i pogardy dla mnie, że wpuściłam ją do środka. W końcu zamknęłam się w pustej sypialni i usiadłam na podłodze, czekając na powrót Eryka. Byłam zdruzgotana. Zawiodłam jego zaufanie, okazałam się tchórzem, pozwoliłam, by Lidia okradła jego i chłopców tylko dlatego, że nie miałam dość odwagi, by przeciwstawić się jej groźbom, które okazały się tylko pustym krzykiem. Naprawdę nie zasługiwałam, by żyć.

Powrót Eryka ze składanymi łóżkami i stołem wyrwał mnie z zamknięcia. Przez kilka godzin ustawialiśmy w pokojach meble pożyczone od sąsiadów i udało nam się w końcu zamienić to w zabawę. Byliśmy odkrywcami, traperami, pionierami w drewnianych chatkach w Kanadzie. Bibcia stała się psem husky i przez chwilę rozważaliśmy nawet możliwość, by rozbić namioty w pustej jadalni i gotować jedzenie na maszynie spirytusowej, mimo że kuchnia była w idealnym stanie.



Brałam udział w zabawie, lecz w duchu modliłam się, by wszystko szybko się skończyło. Kiedy tylko będzie to możliwe, muszę opuścić ten dom. Przysporzyłam im już dość kłopotów, każdy następny może okazać się fatalny w skutkach, a poza tym nie mogłam żyć w pustym mieszkaniu, mając stale przed oczami dowody mojego tchórzostwa.

Następnego dnia poruszyłam ten temat w rozmowie z Erykiem, który przyznał, że myślał o jakimś bezpiecznym miejscu dla mnie i w tym celu miał mi załatwić fałszywe dokumenty. Do tej pory nie miałam żadnych.

– Kiedy będziesz już miała jakieś papiery, łatwiej będzie gdzieś cię umieścić. Niedaleko Warszawy jest klasztor, w którym przebywają córki jednej z moich ekspedientek. Wygląda na miłe miejsce, na wsi, z ogrodem i szkołą. Możesz tam dalej uczyć się grać na pianinie i będziesz miała towarzystwo rówieśniczek. Jest tylko jedno ale: musisz bardzo uważać, by nikomu nie powiedzieć, kim naprawdę jesteś. Nikomu. Siostry to bardzo dobre kobiety, ale są tylko ludźmi, a nie ufam już kobietom. Nigdy nie mogą zacząć podejrzewać, kim jesteś, musisz nauczyć się wszystkich modlitw i być przygotowana, by odpowiadać na wszystkie pytania bez mrugnięcia okiem. Jeśli nam się uda, zabiorę cię do kościoła, żebyś zobaczyła, co się tam dzieje. Sam niewiele o tym wiem, ale chłopcy co nieco ci wyjaśnią.

– Czy mógłbyś mnie ochrzcić, zanim tam pojedę? – zaproponowałam nieśmiało. – Dzięki temu naprawdę byłabym jedną z nich.

Spojrzał na mnie z powagą.

– To bardzo poważna rzecz. Kiedy przyjmiesz chrzest, zostaniesz katoliczką do końca życia. Nigdy nie możesz tego odrzucić. Mam pozwolenie twojego ojca, by to zrobić. Gdy rozmawiałem z nim ostatni raz i ustalaliśmy, że się do nas wprowadzisz, powiedział mi wyraźnie, żebym jak najszybciej cię ochrzcił. Zważ jednak, że nie myślał o religijnym aspekcie, lecz o tym, by uratować ci życie. Ale mimo wszystko poprosił mnie, żebym się tym zajął. Naprawdę tego chcesz?

– Tak – odparłam bez wahania. – I nie tylko dlatego, że tak będzie bezpieczniej. Przed zakończeniem wojny i tak nie możemy nikomu pokazać świadectwa chrztu, bo powinnam zostać ochrzczona tuż po urodzeniu. Nie będzie to więc żadna ochrona, ale zawsze chciałam zostać katoliczką... – Wymawiając te słowa, zaczerwieniłam się jak burak.

Eryk potarł brodę.

– Zastanawiam się, czy nie jesteś zbyt młoda, by o tym decydować. A jeśli twój wujek, dziadkowie albo ktokolwiek pojawi się po wojnie – to znaczy ktokolwiek z wyjątkiem twojego ojca – może nie uwierzyć, że ojciec udzielił mi zezwolenia i będzie wściekły.

– Nie będzie. Pomyśli, że zrobiono to, by ocalić mi życie, a poza tym zjawi się ojciec, by wszystko wyjaśnić.

– No cóż, zobaczymy, co się da zrobić. Rozejrzę się za jakimś księdzem... Za kimś, komu możemy zaufać...

Dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Ale ksiądz mnie nie wyda, prawda? Można im ufać?

Eryk westchnął.

– Nie wiem. Prawdę mówiąc, nikomu już nie ufam. Ani zakonnicom, ani księżom. Nie ufam własnemu cieniowi. I ty postępuj mądrze, robiąc to samo. Nie możemy sobie pozwolić na żadne błędy.

Wróciłam do pustego pokoju, by zebrać myśli. Przerazała mnie myśl o wyjściu na świat, ale przynajmniej miałam się znaleźć w instytucji, w której będę mogła zniknąć w tłumie. Co wiedziałam o klasztorach? Nic. Ale szkoły z internatem nie były mi obce. Czytałam o nich masę książek. O rosyjskich, gdzie dziewczęta spały po dwie w łóżku, codziennie na kolację jadły zimną baraninę i okropnie się w sobie durzyły. Były też szkoły angielskie, gdzie niewiele wspomniano o nauce, za to pojawiały się gry na świeżym powietrzu, hokej na trawie, tenis, pływanie, przejażdżki na kucykach i wszyscy zawsze mieszkali na wsi. Przypominało to długie wakacje.

Była jeszcze pensja mamy, ale to zupełnie inna sprawa. Oczywiście będzie tam panowała dyscyplina i będę się musiała nauczyć mnóstwa zasad i tradycji. To może nawet być zabawne. Spotkam wiele dziewcząt i może uda mi się znaleźć przyjaciółkę. Oczywiście nie taką od serca, bo nigdy nie mogłabym jej powiedzieć całej prawdy o sobie, a nie można być przyjaciółkami od serca, jeśli się ma przed sobą sekrety.

No i będzie tam szkoła, nareszcie prawdziwa, z książkami, tablicą i zapachem kredy. Jeśli będę miała dość pracy, nie będę musiała z nikim rozmawiać. Eryk powiedział też, że jest tam ogród. To było w tym wszystkim najlepsze.

Nagle ujrzałam to wszystko oczami wyobraźni. Wysoki, ciemny, posępny budynek z rzędami małych okien. Jak więzienie lub stary zamek. W każdym rogu będą wieże, z wielkimi zegarami i dzwonami. I olbrzymi ogród – tak naprawdę park – dziki i zaniedbany, pełen drzew, krzewów i niedostępnych kryjówek. Tam będę spędzać całe dnie. Czułam niemal zapach mchu, paproci i igliwia. Mając ogród, w którym będę się mogła ukryć, nie będę zwracać uwagi na dyscyplinę i całą resztę. Będę tam mogła spędzać całe dnie, mając za towarzystwo książki. Idealne miejsce, by czekać na zakończenie wojny.

Zosia bardzo źle przyjęła tę wiadomość i niemal zniszczyła mój nowo odnaleziony optymizm.

– Pójdziesz do sierocińca – zajęczała, ocierając oczy. – Będą cię tam bić, karać i każać

godzinami klęczeć. Zimą będziesz chodzić boso, jeść kapustę i ziemniaki. Biedne dziecko, kto by pomyślał, że do tego dojdzie, że pojedziesz do takiego miejsca!

Broda zaczęła mi się trząść mimo mocnego postanowienia, by nie dać się wytrącić z równowagi.

– Ale, Zosiu, tam nie może być aż tak źle. Córki pani P. uczą się tam i wydają się szczęśliwe... Pani P. bardzo poleca to miejsce...

Ale Zosia nie słuchała.

– Pani P. może sobie mówić, co chce. Tam są sieroty i znajdy, dzieci nieznanymi rodziców albo takie, których rodzice nie chcą utrzymywać, Bóg jeden wie, co mają we krwi. Złe instynkty, straszliwe rzeczy, o których nie masz pojęcia. I założę się, że mają też wszy!

Uderzała piętami o podłogę, jak zawsze, gdy była zdenerwowana, a zniszczone pantofle ślizgały się na wszystkie strony. Walała garnkami o piec i przez resztę dnia z nikim nie rozmawiała, mrużąc coś tylko pod nosem.

Następnego dnia Eryk zawołał mnie do pustej ciemnej sypialni i podał mi kartkę papieru.

– To twoja nowa metryka. Naucz się jej na pamięć i zapomnij, że kiedykolwiek nazywałaś się inaczej.

Ujęłam papier drżącą ręką. *Danuta Teresa Markowska*, przeczytałam. Data urodzenia: będę teraz o trzy miesiące młodsza, ale to nie miało żadnego znaczenia. Katolicy raczej obchodzili imieniny niż urodziny. Lepiej zapytam Zosię, w jaki dzień przypadają moje. *Imię ojca: Wojciech*. Urodzony – też młodszy od mojego ojca. Nie podobało mi się jego imię. Takie samo nosił stary woźnica dziadka, który śmierdział końmi i piwem, zawsze nosił workowate brązowe bryczesy ze sztruku i wysokie po kolana buty. I miał krzywe nogi.

*Matka: Maria. Nazwisko panięskie: Stolicka*. Urodzona: zabawne, starsza od mojej mamy. Ale przynajmniej jej imię nie wywoływało nieprzyjemnych skojarzeń. Była oczywiście ciocia Marysia, ale już nie żyła.

Urodziłam się w Gdyni. Poczułam ukłucie niepokoju. Nigdy nie byłam w tym mieście i niewiele o nim wiedziałam poza tym, że to duży port. Co się stanie, jeśli w klasztorze będzie jakaś dziewczynka z Gdyni? Z pewnością zaczniesz się wypytywanie. Gdzie mieszkałaś? Na jakiej ulicy? W którym domu? Do której szkoły chodziłaś? Czy mogłam powiedzieć, że tylko się tam urodziłam, a potem mieszkałam w Warszawie albo lepiej, w Kaliszu, gdzie przynajmniej znałam każdy kamień?

Eryk ostrzegł mnie jednak, że nie wolno mi mówić niczego o moim prawdziwym życiu. Żadnych nazwisk, zwierzeń, nic. Zrozumiałam, że muszę zbudować zupełnie nowy świat i zapamiętać każdy szczegół.

– Musisz wiedzieć wszystko tak dobrze, że obudzona w środku nocy opowiesz tę samą historię. Żadnego wahania, błędów albo będziesz zgubiona. I my też. Pamiętaj, liczymy na ciebie. Kiedy tam cię zawiozę, pamiętaj, że jestem twoim wujkiem. Siostra twojej matki była moją pierwszą żoną. Umarła, a potem ożeniłem się z Lidią. Dzięki temu nie będą się dopytywać, dlaczego nosimy różne nazwiska. Będę cię odwiedzał jak najczęściej, ale pod żadnym pozorem nie wolno ci się ze mną kontaktować. Żadnych listów ani telefonów. Jeśli nie zjawię się przez jakiś czas, nie martw się. Nie zostawię cię tam, ale jeśli będą mnie obserwować lub śledzić, będę musiał zachować ostrożność. Mam przeczucie, że Lidia będzie chciała się dowiedzieć, gdzie jesteś i nigdy nie możemy jej tego zdradzić. Wiesz, że jest zdolna do wszystkiego. Chłopcy i Zosia też nie będą wiedzieli, gdzie jesteś. Obiecałem zapłacić chesne za obie córki pani P. i to zamknie jej usta. Nie żebym ją podejrzewał. To dobra kobieta i nie ma w życiu lekko od czasu, gdy zginął jej mąż. Dała mi adres klasztoru i wydaje się z niego bardzo zadowolona. Jej dziewczynki go uwielbiają, więc nie wierz w to, co opowiada ci Zosia. Oczywiście, nie jest to dom, ale przynajmniej będziesz miała towarzystwo dziewczynek w swoim wieku.

Przyciągnął mnie do siebie i przycisnął moją głowę do piersi.

– Serce mi pęka, Jasiu, że muszę cię odesłać, ale wiesz, że to dla dobra twojego i moich chłopców. Na razie będziesz tam bezpieczniejsza, a tylko to się liczy. Kiedy skończy się wojna... no cóż, jeśli nie daj Bóg coś się stanie z twoimi rodzicami, zawsze znajdziesz u nas dom. Zaadoptuję cię. Co ty na to?

Rozpaczliwie starałam się wymyślić jakąś miłą odpowiedź, ale zamiast tego wybuchnęłam płaczem. Myśl, że rodzice mogą na mnie nie czekać, kiedy skończy się wojna, była zbyt straszna.

Eryk otarł mi oczy i próbował mnie pocieszyć. Naprawdę nie ma powodu aż tak się bać. Klasztory to bezpieczne, spokojne miejsca, z ogrodami, ptakami i kwiatami. A siostry są bardzo dobre i łagodne.

– Będziesz mogła biegać na świeżym powietrzu, może pomagać w ogrodzie, zbierać kwiaty. Pomyśl o tym! Ile czasu minęło, odkąd znalazłaś się na świeżym powietrzu i słońcu?

Westchnęłam i wyjrzałam przez okno. Minął już rok, nie licząc tamtego feralnego podwieczorku. Niezauważalnie wiosna przeszła w lato i był już koniec sierpnia. Miasto pławiło się w słońcu, chłopcy codziennie wracali zarumienieni, obsypani piegami i opowiadali o lodach. Kobiety ze wsi miały coraz większe trudności ze szmuglowaniem jedzenia, bo musiały zrzucić całe warstwy ubrań.

– Jutro stawię czoła światu.

Długa kręta aleja lipowa okrążyła obszerny ogród warzywny. Idziemy w cieniu ciemnozielonych liści wśród natarczywego brzęczenia tysiąca pszczoł. Rzędy szpiczastych uli w ogrodzie buzują aktywnością. Przechodzimy przez duży dziedziniec i zatrzymujemy się przed niskim, pomalowanym na biało kwadratowym budynkiem. Kiedy wchodzimy do ciemnego korytarza, od razu wyczuwam dziwny zapach klasztoru. Charakterystyczną „zakładową” woń świeżo wyszorowanych desek, wczorajszych posiłków i zbyt wielu ciał żyjących obok siebie. Drzwi stają otworem.

– Siostra przełożona przyjmie was teraz.

Siostra, która towarzyszyła nam od bramy, znika z delikatnym grzechotem różańca. Wchodzimy do niewielkiego pokoju, w którym inna siostra podnosi się z krzesła.

Walczę z paniką, która narastała we mnie w czasie długiej drogi tutaj. Nie wolno mi płakać ani uciekać. Jestem Danutą Markowską, dziewczynką jak wszystkie inne, i nie mam się czego bać. Siostra przełożona jest drobna, z twarzą poznaczoną zmarszczkami i żyłkami. Ma nieduże jasne oczy i z uśmiechem ujmuje dłoń Eryka. On nisko się nad nią pochyla. Czuję, że powinnam dygnąć, ale nogi mam jak z drewna, mogę tylko stać i się gapić.

– Więc to jest nasza mała Danko. Masz takie piękne włosy, dziecko...

Próbuję się uśmiechnąć, czując, że twarz zaraz pęknie mi z wysiłku. Zakonnica gładzi mnie po głowie, a potem wykonuje szybki ruch dłonią tuż nade mną, jakby chciała mnie zbyć.

– Pierwszy raz opuszczasz dom?

Potakuję w osłupieniu i nagle łzy napływają mi do oczu. Siostra kiwa głową i dzwoni srebrnym dzwoneczkiem.

– Na pewno ci się tu spodoba. Bardzo się cieszymy, że zostaniesz u nas. Dom jest jeszcze pusty. Szkoła zaczyna się w przyszłym tygodniu i większość dziewcząt wróci w ciągu kilku następnych dni. Alicja i Krysia oprowadzą cię. To nasze najstarsze dziewczynki, nigdy nie wyjeżdżają.

Drzwi otwierają się i do pokoju wchodzi dwie dziewczynki mniej więcej w moim wieku, z długimi warkoczami. Dygają, podchodzą do siostry przełożonej, całują ją w rękę, znów dygają, biorą mnie za ręce i prowadzą do drzwi. Eryk uśmiecha się i macha do mnie.

– Bądź grzeczna i rób wszystko, co ci każą. Niebawem cię odwiedzę. – Drzwi zamykają się.

– Najpierw pokażemy ci dom, a potem wyjdziemy do ogrodu.

Otwierają drzwi do wielkiej sali pełnej ławek. Na jej końcu widać ołtarz otoczony

zapiierającą dech w piersiach ścianą kwiatów. Mała czerwona lampka na srebrnym łańcuszku wisi nad pokrytymi chodnikiem stopniami przed ołtarzem, oddzielonym od reszty pomieszczenia drewnianą balustradą.

– To nasza kaplica – mówi Alicja.

Stoję w przejściu pomiędzy ławkami, wpatrzona w tajemnicę. Co się tutaj odbywa? Powietrze jest chłodne i słodko pachnie. To kwiaty i coś jeszcze – ciężki, dość ostrzy zapach czegoś nieznanego. Czuję, że muszę coś powiedzieć.

– Bardzo ładna – rzucam i patrzę na dziewczynki. Ku mojemu przerażeniu klęczą w drzwiach i właśnie skończyły się żegnać.

Czy powinnam zrobić to samo? Nie mogę tego zrobić teraz pod ich pełnym wyrzutem spojrzeniem. Wychodzę sztywno, a one ruszają za mną. Idziemy na pierwsze piętro krętymi schodami z gipsowymi figurami świętych na każdym zakręcie. Kolejny długi korytarz. Drzwi otwierają się, ukazując obszerną sypialnię z rzędami małych łóżek. Narzuty są różowe i na każdej leży różowa poduszka z falbankami w wiejskim stylu.

– Tutaj śpimy, tuż nad kaplicą. W dzień nie wolno tu przebywać.

Po drugiej stronie znajduje się jadalnia i sala rekreacyjna ze stołami i ławkami z surowego drewna. Za nią znajduje się sala przyjęć, „nasz mały salon”, i ciemna alkowa z drewnianymi szafkami, które wyglądają jak ogromna komoda.

– Dostaniesz tu jedną szufladę na swoje rzeczy. – Podłoga w salonie lśni jak lustro, a zza palm i paproci niemal nie widać okien. – Tutaj mogą przyjść goście i tutaj odbywają się bożonarodzeniowe przyjęcia. W pozostałe dni nie ma tu wstępu.

Zaglądamy szybko do wyłożonej białymi kafelkami kuchni, w której ubrana w fartuch gruba zakonnica z twarzą jak różowy księżyc w pełni uśmiecha się do nas nad wielkimi kotłami.

– To nowa dziewczynka, siostró Marto. Ma na imię Danka.

– Chodźmy teraz do ogrodu. Musimy się nim nacieszyć. W dni powszednie nie wolno tam wchodzić.

Siadamy na ławkach ustawionych w półkole przed figurą Matki Boskiej, taką jak ta, którą widywałam na cmentarzu w Kaliszu. Podbiega do nas kilka dziewczynek. Wszystkie mają warkocze, a ubrane są w ciemnoniebieskie sukienki z czarnymi fartuszkami z falbankami.

– Jakie śliczne. – Dotykam wykrochmalonych falbanek, a one uśmiechają się z dumą.

– To nasze niedzielne ubrania. Ty jesteś „prywatna”, więc będziesz musiała nosić swoje. Ale musisz podłużyć spódnicę, jest za krótka.

Zaskoczona spoglądam w dół. Spódnica jest normalnej długości, lecz sukienki dziewczynek opadają poniżej kolan.

– Siostra Ludwika skrzyczy cię za pokazywanie kolan. Nie wiesz, że to nieskromne?

Wszystkie dziewczynki z miasta mają za krótkie sukienki. – Alicja gładzi mnie po głowie. – Masz piękne włosy. Nigdy jeszcze nie było tu dziewczynki z tak ciemnymi włosami. Zakręcasz je na noc na papiloty? Tutaj nie wolno. Siostra Ludwika każe ci je wyprostować. Będziesz musiała związać je wstążkami. Mam je zapleść?

Wyjmują grzebienie i zabierają się do pracy, ciągnąc mi głowę w tę i tamtą stronę, zmagając się z moimi gęstymi lokami.

– Masz zbyt gęste włosy, ale siostra Ludwika się tym zajmie. Nie możesz chodzić z głową jak stóg siana, to nie uchodzi.

Pozwalam, by związały mi włosy sznurkiem, i proszę o lusterko, żeby zobaczyć efekt ich pracy. Wybuchają śmiechem.

– W klasztorze nie ma luster. Ani jednego. Jesteś próżna? Tutaj nie możesz. Jeśli bardzo interesuje cię twój wygląd, możesz poprosić Joannę, żeby pozwoliła ci spojrzeć w jej okulary. To jedyne lustro, jakie mamy.

Rozlega się głośny gong. Podwieczorek. Wracamy biegiem do domu i siadamy przy stołach. Jest nas już całkiem sporo.

– Siedzisz przy moim stole – mówi Krysia. – Mam piętnaście lat, jestem tu najstarsza. Musisz robić wszystko, co ci każe. Moje podopieczne są najbardziej posłuszne w grupie, bo umiem zaprowadzić dyscyplinę. Jestem teraz za ciebie odpowiedzialna i lepiej nie próbuj żadnych sztuczek.

Kładzie mi na emaliowanym talerzu kromkę chleba posmarowaną jakąś różową mazią.

– Powstańcie do modlitwy.

Odmawia ją, a ja poruszam cicho ustami, próbując zapamiętać słowa. Udaje mi się przeżegnać razem z innymi. Robię to po raz pierwszy i nagle ogarnia mnie poczucie, że jestem jedną z nich.

Do sali wchodzi wysoka siostra. Jak cicho się poruszają. Gdyby nie grzechot różańca, w ogóle by się ich nie słyszało.

– To nasza nowa dziewczynka, siostró Ludwiko.

Krysia odwraca mnie w stronę siostry, która obrzuca mnie przenikliwym spojrzeniem. Ma bladą twarz o regularnych rysach i zimnych oczach. Nie pojawia się na niej ani cień uśmiechu, ciepła czy zainteresowania. Władczym gestem wyciąga rękę i wiem, że powinnam ją pocałować. Jednak ignoruję nakaz i grzecznie ściskam dłoń, dygając przy tym głęboko. Jestem Danką Markowską, nieznaną dziewczynką. Nic mnie nie obchodzi, jeśli podpadnie.

Zabieramy się do jedzenia, lecz już przy pierwszym kęsie wykrzywiam się zaskoczona. Maż jest straszliwie kwaśna.

– Co to jest? – pytam i natychmiast ze wszystkich stron rozlegają się syknięcia.

Nie wolno rozmawiać podczas posiłków! Skonsternowana wpatruję się w talerz. Jestem bardzo głodna, ale na widok twarogu zmieszanego z dżemem z marchwi przewraca mi się w żołądku. Podnoszę wzrok. Dziewięć par oczu wpatruje się we mnie intensywnie. Osiem talerzy powolutku przesuwa się w moją stronę. Osiem twarzy uśmiecha się błagalnie. Dziewiąta, Krysi, ma zmarszczone brwi i talerze odsuwają się. Krysia spogląda na mnie ostro i wyciąga rękę. Kładę chleb na jej dłoni. Siedząca naprzeciwko mnie Alicja robi minę, a ja zaczynam głośno chichotać.

– Wstań, Danko.

Rozglądam się z niedowierzaniem. Siostra Ludwika kiwa na mnie smukłą białą dłonią. Wskazuje na środek sali.

– Będziesz tu stała, dopóki nie pozwolę ci odejść. Jesteś nowa, ale to nie tłumaczy nieposłuszeństwa.

Patrzę na nią z rozpaczą. Nie mogę tu stać i pozwalać, by wszyscy na mnie patrzyli. Nie rozumiesz? Nie wiesz, że się ukrywam? Nie potrafisz tego wyczytać z mojej twarzy? Zaciskam usta i zajmuję miejsce na środku sali. Zakładam ręce na plecy i unoszę wysoko głowę. Skoro siostra Ludwika nie widzi w tym nic niebezpiecznego, nie będę się przejmować. A jeśli Danka Markowska zacznie wszystko źle, to też mnie wcale nie zmartwi. Jasia Dawidowicz bardzo by się wstydziła, ale Danka jest twarda.

Podwieczorek dobiega końca. Po modlitwie dziewczynki wychodzą, obrzucając mnie ciekawskimi spojrzeniami. Krysia wymaszerowuje, wzruszając ramionami.

– Nie chcę jej w mojej grupie, jeśli tak się będzie zachowywać – mówi głośno.

Alicja puszcza do mnie oko i odpowiadam jej mrugnięciem. Stoję w pustej sali, nasłuchując odgłosów z ogrodu. To dziewczynki przyjechały z Warszawy. Wpadają do sali w poszukiwaniu przyjaciółek, ciągnąc ze sobą krewnych. Wszystkie zatrzymują się i patrzą na mnie. Czuję, że niektórzy krewni są szczególnie zaciekawieni i patrzą na mnie zbyt długo. Plecy zaczynają mnie boleć, łzy napływają do oczu. Gdzieś rozlega się dzwon i wraca Krysia.

– Siostra Ludwika jest w salonie. Jeśli teraz pójdziesz i przeprosisz, może pozwoli ci odejść. I nie zapomnij pocałować ją w rękę!

– Nikogo nie całuję w rękę. I niby czemu miałabym przepraszać? Ukarła mnie i jest zadowolona. Nic jej nie jestem winna.

Krysia wzrusza ramionami.

– Jesteś dumna, co? No to poczekaj. Siostra Ludwika ma ciężką rękę. Wytłucze to z ciebie.

– Możesz powiedzieć swojej siostrze Ludwice, że jeśli mnie dotknie, pożałuje. Ja też potrafię się bić.

Dziewczynki gromadzą się na kolację i do sali wchodzi siostra Ludwika. Gdy



zatrzymuje się przede mną, na jej zimnej twarzy pojawia się przelotny wyraz zaskoczenia. Czyżby zapomniała, że tu jestem?

– Mam nadzieję, że odbyłaś pokutę. Możesz wrócić do stołu.

Omijam ją i zajmuję miejsce na ławce. Z wyrazu zdumienia na wszystkich twarzach wnoszę, że znów nie zachowałam się jak należy. Ale podjęłam decyzję. Żadnego całowania w rękę, żadnego płaszczenia się. Jeśli one są twarde, ja też będę twarda.

Wieczorny posiłek mija w milczeniu. Sala jest teraz pełna. Zmuszam się do przełykania gęstej owsianki bez soli, cukru, mleka, masła czy jakichś innych normalnych składników, które czynią ją jadalną. Podczas krótkiej przerwy po kolacji Alicja wsuwa mi do kieszeni jabłko. Siostra Ludwika klaszcze w dłonie i wszystkie klękamy do wieczornej modlitwy. Potem w ciszy wchodzimy do sypialni. Krótkie mycie pod zimną wodą i wracamy do łóżek, gdzie się rozbieramy. Czuję na sobie zaniepokojone spojrzenia, gdy przeciągam sukienkę przez głowę. Siostra Ludwika nadciąga, wymachując szerokimi rękawami.

– Nie tak, dziecko, nie chcemy przedstawienia. Musisz się nauczyć rozbierać skromnie. Nic nie może urazić naszych oczu. – Naciąga na mnie koszulę nocną i każe mi się pod nią rozebrać. Jestem wściekła i upokorzona. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że moje ciało może kogoś urazić. Wsuwam się pod koc. Materac wypełniony świeżą słomą głośno trzeszczy. Jest bardzo niewygodny. Siadamy do krótkiej modlitwy, po czym siostra Ludwika zaciąga rolety, zasłaniając wspaniałą zachód słońca. W półmroku do sali wchodzi najstarsze dziewczynki i kierują się do swoich łóżek. Pulchny cień z długimi warkoczami pochyla się nade mną i dotyka moich wilgotnych policzków.

– Nie płacz, nowa, będzie ci tu dobrze – szepcze, muskając ustami moje czoło.

### 3

Tryby klasztornego życia obracały się i powoli wtapiałam się w nowe otoczenie. Nauczyłam się nowych obowiązków i żargonu. Stosowałam się do zasad na tyle, by się zbytnio nie wyróżniać, ale zawsze starałam się zaznaczyć swoją odrębność. Już w pierwszym tygodniu pobytu w klasztorze uświadomiłam sobie, że nigdy nie będę taka jak inne, a im bardziej się starałam, tym bardziej stawało się to dla mnie oczywiste. Inne dziewczynki, stanowiące trzon domu, miały za sobą całe życie spędzone w zakładach. Zaczynały w żłobkach, przedszkolach lub ochronkach i stopniowo, gdy były w różnym wieku, przenoszono je do tego czy tamtego domu. Miały więc okazję, by nauczyć się panujących tam zasad, chłonąć atmosferę i teraz w wieku czternastu czy piętnastu lat znaleźć się u szczytu swojej kariery. W kolejnym roku odejdą z klasztoru, by podjąć pracę służących. Jednak jeszcze w klasztorze były „władzą”, strażniczkami tradycji i zwyczajów, niekwestionowanymi i despotycznymi władczyniami. Resztę stanowiły godne pogardy prymitywne początkujące, które trzeba było wprowadzić w życie w najtrudniejszy sposób, i „prywatne”, do których się zaliczałam. „Prywatne” przyjeżdżały do klasztoru z własnych domów, ich czesne opłacały rodziny, a nie organizacje dobroczynne czy rząd, i nigdy nie czuły się tu u siebie.

Gdyby nie wojenna zawierucha, żadna z „prywatnych” nigdy nie trafiłaby do klasztoru. Nie uważały go bynajmniej za swój jedyny dom, miały inne powiązania, ich lojalność nie była całkowita i nie można było liczyć, że bezkrytycznie zaakceptują najwyższą władzę siostry przełożonej. Ich ubrania wyróżniały się spośród granatu obowiązującego w klasztorze, miały lepsze maniery i rozmawiały o świecie poza murami, nieznanym prawdziwym dzieciom klasztoru. Pomiedzy tymi dwoma obozami istniała jawna wrogość, łagodzona nieco koniecznością. Wychowanki klasztoru miały dostęp do wszystkich dodatkowych korzyści i przywilejów i potrafiły naprawdę uprzykrzyć życie „prywatnym”. Te z kolei miały kontakt ze światem zewnętrznym i – co ważniejsze – dysponowały prywatnym prowiantem zwanym „własnym”. Była to broń ogromnej wagi, argument nie do odparcia, który zwyciężał w każdej walce. Wszystkie, zarówno stare, jak i nowe, byłyśmy nieustannie głodne. Nasze posiłki były nie tylko za małe, ale często niejadalne. „Własna” żywność, przysyłana w paczkach lub dowożona przez krewnych, pozostawała zamknięta w kredensie siostry i wydawano ją szczęśliwym posiadaczkom w niewielkich racjach dwa razy dziennie. Kiedy tylko otwierano kredens, ustawiała się przed nim kolejka, a Stara Gwardia czekała w korytarzu, by błagać, przekonywać lub po prostu domagać się swojej części od szczęśliwych wybranek.

Podczas pierwszego tygodnia w klasztorze pościłam niemal przez cały czas, nie mogąc jeść pomimo towarzyszącego mi stale głodu. Kiedy wreszcie opanowałam nudności na sam zapach tego, co znajdowało się na talerzu, mój żołądek zaczął się buntować i minął miesiąc, zanim zdołałam w nim utrzymać to, co połknęłam. Eryk, który podobnie jak ja nie miał pojęcia o sytuacji, nie zabrał żadnego jedzenia, gdy przywiózł mnie do klasztoru, a minęły dwa miesiące, zanim znów go zobaczyłam. Przywiózł ze sobą torbę słodyczy, a ja, mając nadzieję na kilka bochenków chleba, gorzko rozczarowana omal nie wybuchnęłam płaczem.

Nasz dzień zaczynał się o siódmej biciem dzwonów. Siostra dyżurna przechodziła między rzędami łóżek, dzwoniąc ciężkim blaszanym dzwonkiem. Dopóki nie nauczyłam się budzić przed jej przyjściem, zrywałam się przerażona, zasłaniając rękami uszy, gotowa krzyczeć ze złości z powodu tak brutalnej pobudki. Po krótkiej modlitwie odmówionej w łóżku ubierałyśmy się pod kocami, myłyśmy się, czesały i ścieliły łóżka, by wyglądały jak idealne różowe pudełka. Starsze dziewczynki przyglądały się naszym poczynaniom, mierząc łóżka doświadczonego wzrokiem; często zrywały narzuty i koce i kazały wybranej ofierze zaczynać od nowa.

Pościeliwszy łóżka, udawałyśmy się do jadalni, gdzie na klęczkach odmawiałyśmy poranną modlitwę. Niedługo po moim przyjeździe siostra Ludwika oświadczyła, że nasze głosy są zbyt niskie. Jej zdaniem brzmiałyśmy jak grupa staruszek. Modlitwy powinny być odmawiane słodkim dziecięcym głosikiem, wysokim i melodyjnym i musiałyśmy dużo ćwiczyć, by nie urazić Boskich uszu. Dlatego też zaczynała „Ojciec nasz” bardzo wysoko, a my wtórowałyśmy śpiewnie, rozpaczliwie starając się nie chichotać i zamykając oczy z wysiłku. Po tygodniu wydawania dziwnych dźwięków nauczyłyśmy się na tyle, by nie przerywać w połowie i siostra Ludwika przyprowadziła inne grupy (w klasztorze mieszkały cztery grupy dzieci, każda w osobnej kwaterze), by słuchały przy drzwiach. Ich reakcja była łatwa do przewidzenia. Śmiały się i przedrzeźniały nas, a każda wzmianka o modlitwie sprawiała, że z wściekłości zaciskałyśmy pięści.

Po modlitwie wnoszono kotły z jedzeniem i najstarsza dziewczynka przy stole obsługiwała swoje podopieczne. Miałyśmy emaliowane talerze i kubki, i blaszane sztucce. Jedzenie, z wyjątkiem niedziel, składało się zawsze z „plui”, owsianki tak źle oczyszczonej, że większość czasu poświęcałyśmy na wypluwanie łusek. Bez „własnego” cukru lub masła ta breja gotowana na wodzie była prawie niejadalna. W niedziele dostawałyśmy pieczony w domu chleb, wilgotny i ciężki jak glina oraz „kawę” z żołądzi. Stanowiło to mile widzianą odmianę.

Cisza obowiązywała od pobudki do końca śniadania. Każda, która wypowiedziała

choć jedno słowo, była natychmiast karana. Jedną z ulubionych zabaw Starej Gwardii było rujnowanie łóżka jednej z ofiar w chwili, gdy podawano śniadanie. Wybrana musiała je ścielić do czasu, gdy nadchodziła pora, by wyjść do szkoły. Opuszczała w ten sposób śniadanie, które jej prześladowczyni zjadała, żeby jedzenie się nie zmarnowało. Choć początkowo nie mogłam w to uwierzyć, niektóre dziewczynki potrafiły zjeść dwa talerze plui!

Budynek szkoły stał przy bramie, oddalony o kilometr spaceru krętą aleją wysadzaną lipami, którą szłam pierwszego dnia. Do szkoły uczęszczały też dzieci ze wsi, lecz korzystały z innego wejścia. W pierwszych dniach paraliżował mnie strach i czekałam na jakąś kąśliwą uwagę, ale nic takiego nie usłyszałam i powoli zaczęłam się uspokajać. Najbardziej martwiło mnie to, że nie miałam książek, papieru, a nawet ołówków. Eryk obiecał przywieźć mi potrzebne przybory tydzień po moim przyjeździe do klasztoru, ale mijały kolejne tygodnie, a on się nie zjawiał. Nie miałam pieniędzy, żeby je kupić, i strasznie niezręcznie było mi wymyślać kolejne powody, dla których nie mogłam do niego napisać. Siostra Ludwika kilka razy kazała mi to zrobić i co tydzień przyznawałam się, że znów zapomniałam, chociaż tak naprawdę nie myślałam o niczym innym. Potrzebowałam tylu rzeczy, zaczynając od wstążek do włosów, które musiałam zawiązywać sznurkiem, a kończąc na jedzeniu, które stawało się obsesją. Rozpaczliwie potrzebowałam też modlitewnika, by nadrobić zaległości w edukacji, co stawało się kolejnym problemem. Ukrywałam moją zupełną ignorancję w sprawach religii katolickiej i uczyłam się modlitw tak szybko, jak tylko mogłam, cały czas udając, że już je znam. Podczas mszy naśladowałam ruchy wszystkich, ale musiałam wyznać, że jeszcze nie przystąpiłam do pierwszej komunii. Zdumienie siostry Ludwiki i pozostałych dziewcząt napełniło mnie strachem, że wszystko zdradziłam. Pojęłam, że mam wieloletnie zaległości i to przeoczenie trzeba było natychmiast naprawić. Siostra Ludwika pożyczyła mi kilka książek i osobiście nadzorowała moje przygotowania. Miała nadzieję, że będę gotowa za kilka miesięcy, ale ja celowo zwlekałam, ucząc się jak najszybciej, lecz nie wykazując żadnych postępów. Straszna prawda wyglądała bowiem tak, że nie mogłam przystąpić do spowiedzi i komunii, nie będąc wcześniej ochrzczone, a pomimo moich błagań nie było czasu, by zająć się tym w Warszawie. Teraz oczywiście było za późno. Im więcej się dowiadywałam, tym bardziej pragnęłam stać się członkiem kościoła katolickiego i tym trudniej przychodziło mi wynajdywać wymówki i opóźniać to, czego najbardziej pragnęłam.

Spacerując po ogrodzie w wolne popołudnia, rozważałam całą sytuację, a bezradność wywoływała łzy wściekłości. Kilka razy frustracja i niepokój doprowadziły mnie niemal do wyznania wszystkiego siostrze Małgorzacie, drobnej zakonnicy o bladej

twarży, która zajmowała się jedwabnikami i którą nieśmiało uwielbiałam od naszego pierwszego spotkania przy bramie. Jednak strach przed konsekwencjami powstrzymał mnie w ostatniej chwili. Ufałam siostrze Małgorzacie całkowicie i wiedziałam, że pomogłaby mi, organizując chrzest. Potem mogłabym wprawić w zdumienie siostrę Ludwikę nagłym wybuchem inteligencji, lecz gdy tylko wyobrażałam sobie takie rozwiązanie, w uszach dźwięczały mi słowa Eryka. Już raz go zdradziłam. Nie mogłam tego zrobić powtórnie. Poza tym co bym zrobiła, gdyby całkowicie mnie porzucił? Zastanawiałam się, czy już tego nie zrobił! Minęło siedem tygodni bez słowa czy jakiegokolwiek znaku z Warszawy. Co się z nimi wszystkimi stało?

Niepewność i stale towarzyszący mi strach przed zdemaskowaniem sprawił, że stale chodziłam nachmurzona i nie mogłam w nocy spać.

Po obiedzie, który w dni powszednie składał się głównie z nadgniętych ziemniaków i kapusty lub zwiędniętej sałaty z kwaśnym mlekiem, wymykałam się na wzgórza za głównym budynkiem i wędrowałam wśród drzew z katechizmem w ręce, udając, że się uczę, lecz tak naprawdę obgryzałam paznokcie z nerwów. Było jasne, że dłużej nie mogę zwlekać. Siostra Ludwika już nabrała podejrzeń. W grę wchodził mój niefortunny wygląd, czarne włosy i oczy, mój zaawansowany wiek – wszystkie inne dziewczynki przystąpiły do pierwszej komunii w wieku ośmiu lub dziewięciu lat – i niewyjaśniona opieszałość w uczeniu się katechizmu, choć z uczeniem się innych rzeczy nie miałam żadnych kłopotów. To nie mogło trwać. Ale jeśli przystąpiłabym do pierwszej komunii teraz, popełniłabym grzech śmiertelny. Wszystko tylko nie to, postanowiłam. Jeśli nie będę miała innego wyjścia, wyznam prawdę. Tylko wtedy będę musiała przysiąc, że Eryk nie miał pojęcia kim jestem, gdy zabrał mnie z ulicy pewnej zimowej nocy.

## 4

Podczas spacerów czasem towarzyszyła mi Alicja i rozmawialiśmy ostrożnie o tym i o tamtym. Alicja przyjechała ze wschodniej Polski i w jej głosie słychać było melodyjny zaśpiew charakterystyczny dla tej części kraju, w której często słyszało się także rosyjski. Bardzo niechętnie mówiła o swoim dawnym życiu, a ja – nie paląc się do wymiany sekretów – szanowałam jej milczenie. Ze słów Alicji wywnioskowałam jednak, że jej rodziców wywieziono na Syberię i prawdopodobnie tam zmarli. Alicję uratował krewny i w zeszłym roku oddał do klasztoru. Kiedy dorośnie, zamierzała zostać karmelitanką. Szybko opowiedziała mi wszystko, co wiedziała o tym zakonie, a mnie przeraziła wizja życia w absolutnym milczeniu. Alicji jednak to się podobało. Chodzenie boso i spanie w trumnie stanowiły dodatkowe atuty. Najbardziej jednak podobało się jej milczenie.

– W twojej części kraju panował spokój, gdy wybuchła wojna? – zapytałam.

– Tak. Niewiele widzieliśmy.

– Były naloty?

– Nie... nic takiego nie było...

Szliśmy dalej w milczeniu. Popołudnie było ciche i słoneczne. We mnie aż kipiało od nie wypowiedzianych rzeczy, rozsadzało mnie pragnienie, by wszystko wyznać i poprosić o pomoc. Nagle zza wierzchołków drzew wyleciał samolot i nad ogrodem zniżył lot. Momentalnie obie zeskoczyłyśmy w krzaki. Samolot przeleciał i zniknął. Wyszliśmy zarumienione, śmiejąc się z zażenowaniem.

To u was nie było żadnych nalotów, pomyślałam, ale nauczyłaś się chować, gdy nadlatuje samolot...

Po rekreacji wracałyśmy do refektarza na odrabianie lekcji, które trwało – w milczeniu – do kolacji, kiedy milczenie znów było obowiązkowe. Przełykałyśmy papkę z pszenicy, odmawiałyśmy modlitwę i aż do pory pójścia spać wracałyśmy do podręczników.

Kolejne modlitwy, szybkie mycie i do łóżek. Jeszcze jedna modlitwa z łokciami opartymi o poduszkę i nareszcie rolety zasłoniły okna. Zostawałam sama z moimi myślami. Był to czas na dokładne rozważenie wydarzeń, wszystkiego, co zostało powiedziane, i wszystkiego co robiłam. Czy ktoś się domyślił? Czy nabrali podejrzeń? Czy powinnam była powiedzieć to czy tamto? Czy tak zachowałoby się katolickie dziecko? Szukałam w myślach chwil, w których wydawałam się sobie inna od reszty, a jeśli niczego takiego nie znalazłam, byłam zadowolona i jednocześnie zmartwiona. Skoro niczym się nie różniłyśmy, to skąd ta nienawiść, pogarda, niekończące się dowcipy o Żydach?

W niedzielę uczestniczyłyśmy we mszy inieszporach i śpiewałam w chórze. Bardzo się cieszyłam, że mogę brać w tym udział, choć oznaczało to wstawanie o piątej rano raz w tygodniu, by śpiewać podczas porannej mszy tylko dla sióstr. Łacina była najpiękniejszym i najbardziej tajemniczym językiem ze wszystkich i wymawiałam niezrozumiałe słowa z niemal zmysłową przyjemnością. Nie byłam ciekawa ich znaczenia. Nauczę się tego później, gdy będę miała łacinę w szkole. Na razie był to podniosły język kościelnych ceremonii i każde słowo stanowiło uświęconą tajemnicę. Czasami przychodziła mi do głowy myśl, że nigdy nie miałam podobnych odczuć co do aramejskiego, równie niezrozumiałego języka Biblii, który kosztował mnie w szkole tyle łez.

W każde niedzielne popołudnie siedziałam cierpliwie w świetlicy, czekając, by przyszli Oni. W języku zakładu rodzice, krewni czy przyjaciele, zwłaszcza jeśli znajdował się wśród nich mężczyzna, stali się Nimi. „Oni przyszli do ciebie”, brzmiała tradycyjna formułka, a ja marzyłam o dniu, kiedy Oni przyjdą do mnie. Jednak mijały całe tygodnie bez żadnego znaku od Nich, więc w każde niedzielne popołudnie szłam rozczarowana do furty przy budynku szkoły i oferowałam swoje usługi siostrze Małgorzacie, która panowała niepodzielnie wśród pótek z jedwabnikami.

W klasztornym ogrodzie rósł rząd drzew morwowych i dzięki temu klasztor otrzymał przydział jedwabników do hodowli. Kokony miały zostać zwrócone Niemcom, którzy chcieli uzyskać jedwab. Jedwabniki przywieziono w postaci cienkich wijących się niteczek z maleńkimi oczkami na jednym końcu. Pod naszą czułą opieką wyrastały na tłuste gąsienice wielkości palca i były najbardziej żarłocznymi stworzeniami, jakie w życiu widziałam. Każdego popołudnia kilka z nas wspinało się na morwy, by zerwać odpowiednio soczyste liście. Gąsienice były wybredne i nie chciały jeść byle czego. Rozkładałyśmy potem liście na wielopoziomowych półkach i patrzyłyśmy, jak znikają. W małym pomieszczeniu aż huczało od nieustannego poruszania szczękami, a nasze podopieczne rosły w oczach.

– Co się stanie, gdy już uprzedą kokon? Będą musiały go rozerwać, żeby się wydostać na zewnątrz. Czy to nie zniszczy jedwabiu?

– Nie pozwolimy im dojść do tego etapu – wyjaśniła siostra Małgorzata. – Kiedy kokony będą gotowe, zanurzymy je we wrzącej wodzie, żeby zabić poczwarki. Wtedy kokon będzie można rozwinąć w fabryce.

Byłam przerażona. A więc karmiłyśmy je po to, żeby na koniec zabić? Mój entuzjazm do pracy przygasł. Tylko radość przebywania w towarzystwie siostry Małgorzaty przyciągała mnie do furty.

Dziewczynki śmiały się z mojego oddania.

– Nie rozumiem, co ty w niej takiego widzisz. Nawet nie jest ładna jak siostra Ludwika.

Natychmiast zaczęłam płomiennie bronić mojej miłości.

– Ona jest nie tylko ładna, jest piękna!

– Ma ziemistą cerę i krzywe nogi!

– Jej cera ma kolor kości słoniowej. Starej kości słoniowej. (Co one mogły o tym wiedzieć, czy kiedykolwiek widziały kość słoniową?). I nigdy nie widziałyście jej nóg, więc czemu kłamiecie? Zresztą wcale nie są krzywe!

– Przyjrzyj się, jak będzie wchodzić na schody, a sama się przekonasz.

Obserwowałam więc, jak siostra Małgorzata wchodzi po krętych schodach, ale nie widziałam nic poza kostkami w czarnych pończochach, a te wydawały się smukłe. Miała bardzo bladą twarz z ciemnymi oczami o niezwyklej słodyczy. Jej cera rzeczywiście miała żółtawy odcień lub też – jak wolałam to nazywać – starej kości słoniowej, ale policzki były lekko zaróżowione, co dostrzegały prawdopodobnie tylko moje pełne uwielbienia oczy; uważałam, że jest najpiękniejszą siostrą na świecie. Była cicha i łagodna, nigdy nie wydawała rozkazów jak siostra Ludwika, nie zadawała kłopotliwych pytań ani nie okazywała niebezpiecznego zainteresowania moją przeszłością jak kilka innych sióstr. Przy niej mogłam się odprężyć i gawędzić o bieżących sprawach, o szkole, jedwabnikach i introligatorstwie, którego obiecała mnie nauczyć, i o jej wielkich planach związanych z wstawieniem witraży w okna kaplicy.

Poruszając się wśród półek pełnych gąsienic, budując małe żywopłoty z dębowych gałązek, na które mogły się wspiąć, by upleść kokony, często czułam nieprzepartą chęć, by wszystko jej wyznać. Pokusa była tak silna, że wiele razy wychodziłam stamtąd w pośpiechu, ledwo mamrocząc słowa pożegnania, bojąc się, że prawda spłynie z moich ust, kiedy tylko je otworzę.

Siostra Małgorzata, widząc moją nachmurzoną twarz, myślała, że martwię się o Eryka i łagodnie napominała mnie, żebym była cierpliwa.

Wreszcie nadszedł wielki dzień. W niedzielne popołudnie do jadalni wbiegła jedna z dziewczynek z wiadomością, że Oni przyszli do Danki. Dwa miesiące po moim przyjeździe. Popędziłam na dół i rzuciłam się Erykowi w ramiona. Był sam. Wyszliśmy do ogrodu i zasypałam go pytaniami. Wyglądało na to, że nic się nie zmieniło. Lidia nadal wpadała od czasu do czasu z wizytą, na zmianę wykrzykując obelgi lub oferując gałązkę pokoju. Chłopcy pytali o mnie i przesyłali serdeczności. Zosia nadal była u nich. Przysłała mi złotówkę. Eryk przywiózł torebkę słodyczy, a na widok mojego nieskrywanego rozczarowania natychmiast obiecał, że wróci w ciągu tygodnia



z bardziej pożywnym jedzeniem. Musiałam poprosić o jeszcze jedną rzecz, choć walczyłam z zakłopotaniem przez całe popołudnie i udało mi się to wyjąkać dopiero gdy wyjeżdżał. Potrzebowałam gęstego grzebienia. Niedługo po przyjeździe ku memu przerażeniu zorientowałam się, że wszystkie dziewczynki mają wszy i ponieważ następnego dnia zginął mi grzebień – był zdecydowanie zbyt ładny – musiałam pożyczać grzebienie od innych i teraz podejrzewałam najgorsze.

Ten okropny stan rzeczy nie przyprawiał innych o niepokój. Raz w tygodniu siostra Ludwika badała nam głowy i robiła listę zainfekowanych. Niezmiennie znajdowały się na niej wszystkie dziewczynki oprócz nowo przybyłych, co przypominało odczytywanie listy obecności naszej grupy. Jak dotąd udawało mi się nie trafić na listę, ale to nie mogło długo trwać.

Pomyślałam o przerażeniu, z jakim mama przyjęłaby taką wiadomość, i poczułam ulgę, gdy Eryk potraktował ją z wielkim spokojem.

– W zakładzie należy się spodziewać takich rzeczy, ale kiedy wrócisz do domu, szybko się z tym uporamy. Nie martw się.

– A kiedy wrócę do domu?

Westchnął.

– Nie wiem. Na pewno nie dopóki kręci się tam Lidia. Może na Boże Narodzenie...

Boże Narodzenie! Ale w święta miałam przystąpić do pierwszej komunii i liczyłam, że dużo wcześniej pojedę na niedzielę do Warszawy, żeby przyjąć chrzest. Nie mogłam już dłużej zwlekać. Próbowałam to wszystko wytłumaczyć Erykowi, ale on nic nie rozumiał. Chłopcy też jeszcze nie przystąpili do pierwszej komunii, a byli prawie w moim wieku. Czy nie mogłam po prostu powiedzieć, że nie jestem jeszcze gotowa? Albo jeszcze lepiej, że chcę przystąpić do komunii w Warszawie, gdzie mogą mi towarzyszyć krewni? Lub jeśli nic z tego nie wyjdzie, zgodzić się na wszystko i mieć to wreszcie za sobą? Jeśli nie zdążę się ochrzcić, to nie będzie się liczyć.

Najwyraźniej nie rozumiał, jak bardzo jest to dla mnie ważne. Westchnęłam. Obiecał zająć się moim chrztem w Boże Narodzenie i na tym się pożegnaliśmy.

Kilka dni później przyszła do mnie wielka paczka z jedzeniem i innymi niezbędnymi rzeczami; życie stało się łatwiejsze. Trudno uwierzyć, jak wielką różnicę może sprawić kromka chleba z masłem! Przestałam nawet chodzić nachmurzona. Krysia, najstarsza w naszej grupie, znów stała się miłą, bo mogłam jej teraz zaoferować coś na wymianę za drobne przysługi. Moje łóżko nie było już burzone co rano, kilka drobiazgów, które mi zginęły, znów pojawiło się na dawnym miejscu, a podczas posiłków, gdy zostawało trochę jedzenia, proponowano mi dodatkę. Ale najcenniejszym przywilejem była obietnica kąpieli.

Do tej pory brałam udział w groteskowej ceremonii brania prysznic. Rytuał ten

odbywał się tylko podczas letnich miesięcy, raz na trzy, cztery tygodnie. Sprowadzano nas wszystkie do piwnicy, gdzie nad betonową podłogą znajdował się rząd pryszniców. Okna zasłonięto ciemnymi kocami i w nieprzeniknionej ciemności po kolei zajmowałyśmy miejsce pod cienką strużką zimnej wody, ubrane w koszule i majtki, ściskając w dłoni kostkę mydła na kartki, które przypominało bardziej zmieszana z piaskiem glinę. Rozebranie się do naga, nawet w ciemności, byłoby nieskromne, więc namydlałyśmy się pod bielizną, jak umiałyśmy. Walczyłyśmy o miejsce pod prysznicem, ślizgając się na mokrym betonie, gubiąc mydło, wchodząc na nie i zaplątując się w ręczniki. Zimna i wilgotna piwnica była idealnym miejscem dla żab i kilka skakało pośród nas, lądując na naszych stopach, co wywoływało histerię wśród bardziej wrażliwych dzieci i odrzę do mycia w innych. Wychodziłyśmy stamtąd rozchełstane, ociekające wodą i zabłocone po kolana, owinięte wilgotnymi ręcznikami, którymi próbowałyśmy się wytrzeć i jednocześnie zakryć, by przebrać się w suchą bieliznę.

Po doświadczeniu takiego chaosu raz czy dwa przysięgłam, że już nigdy nie będę się myć, dopóki nie odkryłam, że Stara Gwardia ma swoje własne ustalenia. W infirmerii znajdowała się łazienka z prawdziwą wanną i przy odrobinie sprytnego przekupstwa można było trafić na listę członków ekskluzywnego klubu.

Kiedy siostry raz w miesiącu brały kąpiel, kilku starszym dziewczynkom było wolno skorzystać z pozostałej ciepłej wody. Ku swemu przerażeniu odkryłam, że dziewczynki walczą o przywilej kąpania się w wodzie pozostawionej przez swoją ulubioną siostrę. Jeśli miałaś dość szczęścia, by znaleźć się w pobliżu, gdy obiekt twojego uwielbienia siedział w wannie, mógł pozwolić ci skorzystać z wody, gdy wyszedł z łazienki. Moje obrzydzenie było tak spontaniczne, że nie potrafiłam go ukryć, i dziewczynki wyśmiewały się z niego, jako z kolejnego pretensjonalnego kaprysu. Ja jednak postanowiłam, że wykąpię się w czystej wodzie lub wcale.

Kiedy oświadczyłam, że nie włożę nogi do wody pozostawionej nawet przez siostrę przełożoną, cofnęły się przerażone. Z moich ust padło świętokradztwo.

Kąpałyśmy się po kolei, zasłonięte przed milczącą zakonnica, która siedziała w kącie i odmawiała różaniec. Musiałyśmy się spieszyć, leżenie w wodzie było zabronione i oczywiście nie wolno nam było nawet spojrzeć na nasze ciała.

Gdy wyciągałam się w letniej wodzie, leniwie licząc żebra, pomyślałam, że było to warte dwunastu kostek cukru, które dałam Krysi. Ale doszłam do wniosku, że wolę być brudna niż znów głodna. Byłam pewna, że nawet mama zrozumiałaby moją decyzję.

Niemal cały wolny czas spędzałam z Alicją. Załatwiałyśmy drobne sprawy dla

siostry Małgorzaty w furcie i dla siostry Marty w kuchni. Siostra Małgorzata nagradzała nas uśmiechem, od którego robiło mi się ciepło na sercu, a siostra Marta zwykle odwodziła się czymś bardziej pożywnym, co było bardzo mile widziane, gdy biegaliśmy po rzadko zalesionych wzgórzach za głównym budynkiem, starając się nie myśleć o duchach, które tam mieszkały. Wzgórza ciągnęły się przez kilka kilometrów, łącząc się po drugiej stronie z wioską. Na polanach stało kilka domków, a każdy z nich zajmowała inna grupa związana z zakładem. W najwygodniejszym mieszkali księża przypisani do klasztoru i franciszkanin, który miał zakład stolarski w przylegającej szopie. W największym, zbudowanym z dębowych bali i przykrytym spadzistym dachem, mieszkało kilka sióstr, mieścił się tam też magazyn pościeli i pokoje do szycia. W tym domu byliśmy najczęściej potrzebne, bo nie doprowadzono tam wody i nosiliśmy ją w wiadrach z głównego budynku. Niewielka willa służyła jako izolatka dla zakaźnie chorych, a czasami jako miejsce odosobnienia dla szczególnie niegrzecznej dziewczynki. W dużym drewnianym domu mieszkały świeckie nauczycielki, wśród nich nasza wychowawczyni, pani Rolska, wdowa po żołnierzu ze swoim małym synkiem. Głęboko wśród drzew ukrywał się ciemny solidny budynek z małymi oknami i ciężkimi drzwiami. Było to miejsce przeznaczone dla czwartej grupy – dom poprawczy dla najcięższych przypadków przysyłanych tu z innych zakładów. Zawsze grożono nam przeniesieniem do tego domu, a legenda głosiła, że pensjonariuszki są zamykane na noc i większość dnia spędzają przykute za kostki do łóżek. Widywałyśmy je tylko w kościele i nigdy nie wolno nam było z nimi rozmawiać.

Wreszcie na skraju ogrodu warzywnego stała infirmeria, przypominająca pomalowane na biało pudełko błyskające we wszystkich kierunkach wielkimi oknami. Jej wnętrze było najczystszy miejscem, jakie widziałam w życiu. Nawet jak na klasztor blask podłóg i powierzchni był niezwykły. Biel firanek, ścian, parawanów i pościeli sprawiał, że trzeba było mrugać oczami. Kwiaty przed gipsowymi figurami świętych też zdawały się bardziej świeże i jaśniejsze niż te w ogrodzie.

Panią tego antyseptycznego raju była siostra Eulalia, wyglądająca jak bezcielesny habit. Płynęła bezszelestnie po przypominających cele pokojach, wszechobecna i wszechwiedząca niczym dobrotliwy duch. Jej nadzwyczajnie blada twarz zdawała się nie mieć brwi i rzęs, oczy były bladoszare, a wargi pozbawione krwi. Habit zwisał luźno od dużego okrągłego kołnierza i byliśmy gotowe uwierzyć, że nie ma w nim ciała.

Wieść klasztorna głosiła, że siostra Eulalia nigdy nie śpi i umiera na gruźlicę. To pierwsze wydawało się zgodne z prawdą. Jej zwiewną postać można było zobaczyć wśród wzgórz, gdy szła do wioski, o każdej porze dnia i nocy. Miała szczęśliwą rękę przy porodach i kojącą aurę przy zgonach, więc wieśniacy często ją wzywali. Widząc jej

szczupłą czarną postać smaganą jesiennym wiatrem na wzgórzach, cieszyłam się, że niesie ciężką torbę, bo wydawało się, że tylko ona zapobiega porwaniu siostry przez wichur.

Co do gruźlicy, to od czasu do czasu podejrzewano o nią każdą siostrę w klasztorze. Nawet rumiana siostra Marta, która wyglądała jak poduszka włożona w czarny worek, miała być rzekomo ofiarą tej choroby. Wiele dziewczynek spędzało czas w pobliskim sanatorium i omawiało swoje „plamy”, „cienie” lub „jamy” ze znawstwem ekspertów. Jedne zostały przez tę chorobę osierocone, inne miały rodzeństwo nadal w sanatorium, kilka z nich dopiero co z niego wróciło i miało tam znów wyjechać latem następnego roku. Dziewczynki przechowywały zdjęcia swoich dawnych przyjaciółek z datami śmierci wypisanymi dziecinnym charakterem pisma na odwrocie i opowiadały z przerażającymi szczegółami o ich ostatnich godzinach. Gruźlica wydawała się tak naturalnym elementem życia zakładu jak wszy (nazywane w klasztornej żargonie „barankami”) czy jaglica, na którą każda była w pewnym okresie leczona.

We wrześniu, niedługo po rozpoczęciu szkoły, miałyśmy długą przerwę na wykopki ziemniaków. Wszystkie inne obowiązki zeszyły na dalszy plan i od śniadania do kolacji pracowałyśmy na polu. Już po pierwszym poranku stało się jasne, że nie jestem w stanie dotrzymać kroku pozostałym, więc oddelegowano mnie do kuchni, gdzie przez resztę dni siedziałam w cieniu niewielkiej chatki i obierałam ziemniaki na kolację. Przez cały tydzień kopałyśmy ziemniaki, jadłyśmy ziemniaki i śpiewałyśmy piosenki o ziemniakach. Wychodziłyśmy z domu wcześniej rano i maszerowałyśmy pełnymi kolein piaszczystymi drogami, strącając rosę z trawy bosymi stopami. Śpiewałyśmy i wymachiwałyśmy koszykami, a po godzinnym marszu palce puchły nam z gorąca i przypominały serdelki. Kilkaset ostatnich metrów przemierzałyśmy więc z rękami wyciągniętymi nad głową, by przywrócić krążenie, zaskakując tym samotnego chłopca, który spotykał nas na drodze. Z powodu ciężkiej pracy podawano nam lepsze jedzenie. Oprócz ziemniaków dostawałyśmy dużo chleba z margaryną i prażyłyśmy kromki w piekącym słońcu, aż były chrupiące i złote.

Około południa na polach zapadała cisza. Nawet ptaki robiły sobie odpoczynek. Patrzyłam na płaski brązowy krajobraz, obserwując małe figurki z motykami poruszające się wśród bruzd. Jak cicho tu było, jak spokojnie i bezkreśnie. Jak daleko od zatłoczonych labiryntów getta. A jednak bardzo pragnęłam się znaleźć wśród tamtego tłumu. Wśród niebezpieczeństwa, brzydoty i biedy. Wśród swoich.

Zmrok zapadał teraz wcześniej, nad polami unosiła się jesienna mgiełka, a w powietrzu snuły się nitki babiego lata. Wieczne powietrze było chłodne i słodkie od zapachu dojrzewających sadów, głębokiej woni świeżo zaoranej ziemi

i lekkiego powiewu rozkładu z ciemniejących lasów. Liście zmieniały kolor. Kasztany i żółędzie lśniły pośród złota opadłego z dębów, klonów, topoli, buków i wysokich srebrnych brzoź. Wieczorny wiatr wzdychał pośród gałęzi, ciężki od obietnicy deszczu.

W ostatni dzień na polu rozpaliliśmy ognisko z chrustu i słomy i piekaliśmy ziemniaki w popiele. Siedzialiśmy, nasłuchując dalekiego szczekania wioskowych psów, patrzyliśmy, jak ciemność wypływa z lasu; zmęczone, smutne i trochę przestraszone nadciągającą nocą. Lato dobiegło końca.

W furcie pojawiły się perłowe jedwabne jajeczka. Znalazłyśmy wśród nich kilka złotego koloru i siostra Małgorzata dała nam po jednym w podzięce za pomoc. Włożyłam swoje do pudełka w nadziei, że zobaczę, jak wyłania się z niego motyl.

Razem z Alicją zgłosiliśmy się na ochotnika, by pomagać siostrze Marcie w robieniu przetworów z dyni. Pilnowałam gotującej się wody, Alicja zaś nadzorowała bulgoczący ocet. Siostra Marta wpadała i wypadała z kuchni, a Alicja tańczyła na wypolerowanej kamiennej podłodze. Nagle pośliznęła się, spadła na kocioł i oblała się jego zawartością. Wrzący ocet poparzył jej twarz. Pędem zaprowadziłyśmy ją do infirmerii, gdzie siostra Eulalia przemyła jej oczy, zabandażowała twarz i położyła do łóżka. Wieczorem kilka razy wracałam do infirmerii, by przynieść Alicji jej poduszkę, a potem swoją. Miałam nadzieję, że uda mi się z nią porozmawiać, ale dostała proszek na uśmierzanie bólu i spała.

Minął tydzień, zanim znów mogłam ją zobaczyć. Nadal miała twarz w bandażach, lecz trochę je uniosła, bym mogła ją zobaczyć. Była brązowa w miejscach, gdzie oparzył ją ocet, i różowa tam, gdzie zeszła już skóra. Oczy miała nadal zamknięte, powieki były opuchnięte i zażawione i nie wydawało się możliwe, by jeszcze kiedyś mogła widzieć. Okropnie się tym martwiła i choć bardzo starałam się ją pocieszyć, nie mogłam znaleźć odpowiednich słów.

Tymczasem przejęłam opiekę nad jej małą uczennicą, którą przygotowywała do szkoły i codziennie spędzałam godzinę, próbując nauczyć ją podstaw czytania, pisania i arytmetyki. Dziecko było chętne do nauki, ale tępe, więc zgrzytałam zębami z frustracji. To, w połączeniu z innymi moimi obowiązkami, sprawiało, że wszystkie godziny miałam wypełnione. Bałam się, że jeśli nie uda mi się trzymać planu, nie będę miała czasu ćwiczyć na pianinie.

Tuż po obiedzie zaczynałam bieg między głównym budynkiem a szkołą, odwiedzałam też codziennie Alicję w infirmerii i jeśli miałam szczęście, wpadałam na chwilę do furty, by przywitać się z siostrą Małgorzatą. Wieczorami najdłużej ze wszystkich siedziałam nad pracą domową, ostatnia kładłam się spać i jeszcze trudniej było mi rano wstać.

Na początku października znów przyjechał Eryk, tym razem z chłopcami, pudłami jedzenia i niesamowitymi wiadomościami: w zeszłym miesiącu dostał kilka listów od mojego ojca. Nie przywiózł ich ze sobą i przyznał, że spalił wszystkie tuż po przeczytaniu, ale najważniejsze było to, że ojciec żył. Przebywał w dużym mieście na południowy wschód od Warszawy. Był ciężko chory na zapalenie płuc i ukrywał się w piwnicy, ale teraz czuł się lepiej i miał nadzieję nas zobaczyć. W każdym liście

pytał, czy mama jest z nami. Zastanawiałam się, co to może znaczyć. Czy się rozdzielili? Czy mama jest gdzieś w Warszawie? Czy próbowała się z nami skontaktować po opuszczeniu getta? Czy coś się jej przytrafiło po drodze? Getto przestało istnieć pół roku temu; gdzie ona teraz jest?

Eryk nie potrafił odpowiedzieć na żadne z moich pytań. Zmieniał temat, próbował mówić o ojcu, ale wtedy ogarniał mnie strach na myśl o jego chorobie. To było już drugie zapalenie płuc w ciągu dwóch lat, a on nigdy nie potrafił się o siebie troszczyć. I mieszkał w piwnicy... Ale mój największy niewypowiedziany strach wiązał się z tym, że Lublin, w którym teraz przebywał, leżał bardzo blisko Majdanka. Czy naprawdę pisał stamtąd?

Byłam zbyt zaabsorbowana codziennymi obowiązkami, by zwracać na cokolwiek uwagę. Nigdy nie wątpiłam, że rodzice żyją, a listy, choć potwierdziły moje przekonanie, dodały mi powodu do zmartwień. Choroba ojca i zniknięcie mamy... Najbardziej zaniepokoił mnie fakt, że nie byli razem.

Mała dziewczynka, którą próbowałam uczyć, przyniosła na koniec miesiąca dziesięć złotych jako zapłatę dla mnie i Alicji. Odmówiłam przyjęcia mojej części i zwróciłam także część Alicji, nawet nie pytając jej o zdanie. Myśl, że uczę za pieniądze, wstrząsnęła mną i choć bardzo potrzebowałam pieniędzy, pomyślałam, że byłoby to bardzo niewłaściwe, gdybym je przyjęła. Dziecko, kompletnie oszołomione, schowało pieniądze do kieszeni i zajęło się lekcjami. Było późne popołudnie i po chwili mała wyjęła zatłuszczony pakiecik, z którego odwinęła zimny placek ziemniaczany. Żołądek ścisnął mi głód i wspomnienia. Mój „prywatny prowiant” zniknął i znów byłam nieustannie głodna. Pomyślałam gorzko, że gdyby mała zaproponowała mi placek zamiast pieniędzy, raczej nie byłabym w stanie odmówić i poczułam jednoczesny żal i ulgę, że tego nie zrobiła.

Patrzyłam, jak je, i przed oczami stanęła mi pani Szerekowa pochylona nad kuchnią i my wszyscy siedzący na jej nie zaścielonym łóżku, objadający się plackami ziemniaczanymi. Niecały rok temu... Odprawiłam dziewczynkę, tłumacząc się bólem głowy i nie mogąc zapanować nad łzami, pobiegłam przez ciemniejszy ogród do kaplicy. Tam, ukryta za fisharmonią, mogłam dać wreszcie upust żalowi.

Niedługo potem siostra Małgorzata zaprosiła mnie do furty, żebym spędziła z nią wieczór, gdy miała dyżur. Miałam jej pomagać cerować nasze ubrania. Pobiegłam aleją, niemal nie dotykając stopami ziemi. Był rześki jesienny wieczór, pełen złotych liści, a granatowe niebo skrzyło się od gwiazd. W ich zimnym blasku kryła się już zapowiedź zimy, lecz powietrze było ciepłe i przepełniona szczęściem recytowałam swój najnowszy wiersz, zastanawiając się, co powie pani Rolska, kiedy wręcę go jej zamiast wypracowania.

Kiedy dotarłam do furty, zapadł już zmrok i na stole paliła się lampa naftowa. Wzięłyśmy cerowanie i usiadłyśmy przy kaflowym piecu.

– Jak tam twoje przygotowania do pierwszej komunii?

Wstrząśnięta zeszywniałam. Przez ostatnie tygodnie zupełnie o tym zapomniałam.

– Nie mam teraz zbyt dużo czasu – wyjąkałam. – Mam dużo zadane i daję lekcje...

– Oczywiście... Ale jesteś pewna, że zostałam ochrzczona?

Czułam jak krew odpływa mi z twarzy i zadrżały mi ręce. Nikt dotąd tego nie kwestionował.

– Oczywiście, siostró. Przecież wszyscy zostali ochrzczeni.

Uśmiechnęła się.

– Ani przez moment nie podejrzewałam, że tak nie jest. Ale wiesz, nie szkodzi zapytać. W obecnych czasach tyle ludzi kręci się dookoła. *Różnych* ludzi. Innych od nas. Nie twierdzą, że ty jesteś inna. Zachowujesz się jak wszystkie dziewczynki i kochamy cię tak, jak wszystkie nasze podopieczne, jesteś tylko tak niezwykle ciemna...

Siedziałam osłupiała, nie mogąc na nią spojrzeć.

– Jesteś podobna do mamy czy do taty?

– Do mamy – zmusiłam się do odpowiedzi, wiedząc, że to kłamstwo.

– A twoja mama... czy była pobożna?

– Bardzo.

– Miała może swojego spowiednika? No wiesz, przyjaciela rodziny, kogoś, kto znał was wszystkich. Na przykład księdza, który udzielił ślubu twoim rodzicom, a ciebie ochrzcił?

– Tak. – Odzyskałam panowanie nad sobą i mówiłam już spokojnie, patrząc jej prosto w oczy. – Ksiądz Wilecki często nas odwiedzał. Miałam do niego napisać po przyjeździe do Warszawy, ale... – uśmiechnęłam się z zakłopotaniem – ...obawiam się, że zgubiłam jego adres. Poza tym był okropnie stary. Nie zdziwiłabym się, gdyby już nie żył.

– Wielka szkoda, ale to nieważne. Dopóki jesteś pewna, że nic cię nie powstrzyma przed przystąpieniem do komunii.

– Nic, chciałabym tylko, żeby mój wujek był przy tym obecny, ale wie siostra, że on nie zawsze może tu przyjeżdżać. Wydaje mi się, że chce, żebym przystąpiła do komunii na Wielkanoc przyszłego roku razem z jego synami.

– To byłoby miłe, ale to tak odległa data. W tych niepewnych czasach lepiej tak długo nie zwlekać. Kto wie, co się może z nami stać?

Rzeczywiście, kto wie?

– Jesteś pewna, że twój wujek jest członkiem Kościoła?



To było łatwe.

– Jestem absolutnie pewna, choć nie jest praktykujący. Chodzi jednak z chłopcami do kościoła niemal w każdą niedzielę.

Siostra Małgorzata zamyśliła się i utkwiała wzrok w migoczącym płomieniu lampy.

– Danusiu, powiem ci coś, ale mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe. Musi to zostać naszą tajemnicą.

Moje dłonie zaciśnięte na podartej koszuli były wilgotne i drżały, ale udało mi się spojrzeć na nią spokojnie i skinąć głową.

– Kiedy twój wujek znów przyjedzie w odwiedziny, postaraj się poruszyć z nim ten temat. Wypytaj go trochę o rodziców. Widzisz, jest bardzo prawdopodobne, że nigdy ci o tym nie powiedzieli. To mogło się wydarzyć jeszcze przed twoimi narodzinami. Nawet jeszcze zanim się pobrali. Tak wiele osób zmienia wiarę.

Powoli promyk światła zaczął się przebijać przez mroczną gmatwaninę, jaką miałam w głowie. Czyżbym ją przekonała?

– Kiedy będziesz rozmawiać z wujkiem, postaraj się, bardzo dyplomatycznie dowiedzieć, czy oboje rodzice urodzili się w Kościele czy też jedno z nich, a może oboje byli konwertytami. I gdzie zostałeś ochrzczona. Widzisz, nie możemy ci pozwolić przystąpić do komunii, jeśli pojawi się choć cień wątpliwości. To byłoby grzechem.

– Wiem – mruknęłam, nagle osłabła z ulgi. – Też się tym martwiłam. Nie znaczy to oczywiście, że miałam jakieś wątpliwości co do mojego chrztu przed przyjazdem tutaj, ale... Nie wątpię ani przez chwilę, że rodzice byli dobrymi katolikami. Postaram się zapytać o to wujka, a dopóki nie będziemy miały pewności, lepiej poczekać z komunią.

– Dobrze – zgodziła się siostra Małgorzata – pod warunkiem, że to nie potrwa zbyt długo. Oczywiście tutaj zawsze ktoś może cię ochrzcić. Każdy... I nie chciałybyśmy, żebyś nas opuszczała. Nie ma takiej potrzeby. Dopóki nikt nie wie, jesteś u nas bezpieczna...

Wróciłam do domu w całkowitych ciemnościach i raz przynajmniej byłam zbyt pochłonięta swoimi myślami, by bać się duchów. Wychowano mnie bardzo surowo w przekonaniu, że kłamstwo jest jednym z największych grzechów, jakie można popełnić. A ja przez cały wieczór okłamywałam jedyną osobę, której chciałam wyznać całą prawdę. Patrzyłam jej w oczy i kłamałam jak najęta, gdy serce pękało mi z każdym wypowiedzianym słowem. Ale nie robiłam tego tylko ze względu na siebie. Próbowałam chronić Eryka. Wiedziałam jednak, że to nie jest konieczne. Mogłam bezpiecznie wyznać całą prawdę, przyjmując chrzest w klasztorze, przystąpić do komunii i być jak inne dziewczynki. Siostra Małgorzata uchyliła mi furtkę. Ale przysięgłam uroczyście, że nikomu nie powiem i do przyjazdu Eryka musiałam utrzymać wszystko

w tajemnicy.

Tymczasem udało mi się jeszcze bardziej wszystko skomplikować. Rodzice byli konwertytami i ukrywali przede mną prawdę! Jak przekonująco musiałam odgrywać swoją rolę! Eryk wybuchnie śmiechem, gdy mu wszystko opowiem. Biedna siostra Małgorzata. Co powie, gdy w końcu wyznam jej prawdę? Jak ośmielę się spojrzeć w jej piękną twarz?

Weszłam do kaplicy i ukryta w najciemniejszym kącie modliłam się żarliwie o szybkie rozwiązanie problemu i przyjazd Eryka.

W listopadzie pani Rolska, nasza wychowawczyni, zachorowała i pojechała do Warszawy na badania. Pod jej nieobecność poproszono mnie, żebym przejęła część jej klas, w tym naszą. Uczyłam kilku przedmiotów i zdumiało mnie, że powierzono mi lekcje arytmetyki dla początkujących. Ja, która zawsze miałam problemy z liczbami, miałam uczyć tego straszego przedmiotu! Nowa praca była jednocześnie fascynująca i wyczerpująca. W literaturze polskiej siostra przełożona pozostawiła mi wolną rękę i wybrałam jedną z moich ulubionych książek do czytania na głos w mojej klasie, zamiast bardziej oficjalnych zajęć. Książka opowiadająca o chłopcu, który opiekował się słoniami w Indiach, wzbudziła takie zainteresowanie, że po raz pierwszy w historii cała klasa spóźniła się na obiad, bo dziewczynki nie chciały wyjść przed zakończeniem rozdziału.

Większość dziewcząt jeśli tylko nie musiała, nie czytała w ogóle i uważała szkołę za stratę czasu. Ale czytanie na głos było dla nich tak wielką nowością, że wciągnęły się od samego początku i oczarowane siedziały zwartym kręgiem wokół mojego stolika, choć raz w absolutnej ciszy. Byłam tak dumna, jakbym sama napisała tę książkę, i marzyłam, że kiedyś będę miała własną klasę lub grupę, z którą będziemy razem czytać i się uczyć. Jakże byłoby cudownie, gdybym mogła obudzić te tępe duszyczki, urodzone i wychowane na wsi i te, w których zakładowa rutyna zdusiła całą ciekawość i wyobraźnię!

Gdybym dawno temu nie postanowiła, że zostanę lekarką, zostałąbym nauczycielką, pomyślałam, przyglądając się głowom z warkoczykami, które z otwartymi ustami chłoneły każde moje słowo.

Do klasztoru przybyła nowa dziewczynka i od początku wywołała poruszenie. Kilka miesięcy temu po chorobie ogolono jej głowę i teraz jej włosy były krótkie jak u chłopca. To wywołało paskudne uwagi u wszechwładnych starszych dziewczynek w naszej grupie, na które nowa odpowiedziała zaskakująco gwałtownie i zanim się zorientowałyśmy, miałyśmy wśród nas kozła ofiarnego. Halina, starsza członkini Starej Gwardii, przy której stole nowa siedziała, zarządziła prześladowania na szeroką skalę. Nowa została pobita drewnianymi wieszakami na ubrania, popychana na ściany i skazana na klęczenie w kącie z uniesionymi rękami, dopóki nie zemdłała. Przywiązano ją za kostkę do stołu, żeby Halina mogła mieć na nią oko, i prowadzono do i z sypialni na smyczy. Żadna nie ośmieliła się zaprotestować. Nowa dziewczynka próbowała się odpłacać za krzywdy na wszelkie możliwe sposoby, ale nie mogła wygrać. Kiedy zdjęła buty i wróciła do domu ze szkoły w samych skarpetkach, Halina otrzymała reprimendę, ale to nowa nosiła te skarpetki przez resztę tygodnia. Jej

próby oporu wyjątkowo mnie wzruszały, bo w pewnym sensie byłam nią. Nowa dziewczynka miała na imię Jasia, tak samo jak ja, i musiałam się powstrzymać, by nie reagować, gdy ją wołano. Dużo czasu minęło, zanim zaczęłam automatycznie reagować na Danke lub Danutę. Na szczęście gdy przyjechałam do klasztoru, nie było tu żadnej Jasi, ale teraz wzdrygałam się lub odpowiadałam, gdy wołano tamtą i musiałam wymyślać stale nowe wymówki, by wytłumaczyć moje dziwne zachowanie.

Na świętego Stanisława Kostki miałyśmy dzień wolny od szkoły i odbył się koncert. Przynajmniej raz moje ciemne włosy okazały się przydatne i wybrano mnie do odegrania roli świętego. W pierwszej scenie leżałam w dużym łóżku, umierając, a wokół mnie unosiły się anioły. Łóżko było cudownie wygodne i podczas prób odprężałam się w nim do tego stopnia, że często zapomniałam tekstu.

Kiedy tylko kurtyna poszła w górę i publiczność zobaczyła, jak leżę na poduszkach, rozległo się powszechne zachnięcie, a mnie ogarnął niepokój. Pamiętałam doskonale moje poprzednie niefortunne spotkanie z teatrem. Tym razem nic dziwnego nie mogło być widać, ale sądząc po szumie dobiegającym z widowni, coś było wyraźnie nie tak.

Wyrecytowałam swoje trzy linijki całkiem rozbudzona i zerwałam się z łóżka, kiedy tylko opadła kurtyna, by przygotować się do beatyfikacji. Tym razem stałam na krześle ukrytym wśród kwiatów w doniczkach, świętych i aniołów stłoczonych wokół mnie, a mała dziewczynka za moimi plecami trzymała potężną lampę, by oświetlić aureolę. Była to misterna konstrukcja przygotowana przez siostrę Małgorzatę jako próba projektu witraży. Wycięta z kartonu, miała solidne krawędzie i otwory wyklejone kolorową bibułą. Całość przymocowano mi z tyłu głowy. Pełna zapału dziewczynka od lampy pochylała się za bardzo i przez całą długą przemowę, którą wygłaszałam z dłońmi złożonymi do modlitwy i wzrokiem wbitym w sufit, czułam jak lampa parzy mnie w szyję i zastanawiałam się, kiedy zapali się bibułka.

Nareszcie skończyłam. Kiedy schodziłam do publiczności, otoczyły mnie podekscytowane koleżanki.

– Obcięli ci włosy! – wykrzykiwały.

Włosy zaczesano mi do tyłu i wysmarowano czymś tłustym, by przykleiły się do głowy. Efekt przypominał ogoloną głowę, co dziewczynki uznały za zdecydowaną przesadę w hołdzie dla świętego Stanisława.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Alicja wróciła ze szpitala. Widziała normalnie, ale na oczach nadal miała brązowe plamki, a w miejscach pokrytych świeżą skórą jej twarz była różowa. Nadal jednak była ładna i siostra Ludwika powierzyła jej rolę Matki

Boskiej w jasełkach.

Na świętego Mikołaja ciągnęłyśmy losy, by ustalić, kto ma dać komu prezent. Był to pomysł siostry Ludwiki, która chciała, by nawet najmniej lubiane dziewczynki coś dostały. Poza oficjalnym wręczeniem prezentów mogłyśmy oczywiście dać przyjaciółkom co chciałyśmy.

Nie zostały mi już prawie żadne pieniądze, a prowiant skończył się dawno temu. Eryk nie przyjechał zgodnie z obietnicą i traciłam nadzieję, że go jeszcze zobaczę, nawet w święta. Spisałam listę wspaniałych prezentów, które chciałam podarować przyjaciółkom, i porównałam ją ze skromnymi zasobami. W końcu rozdałam swoje własne „skarby”: drewnianą kasetkę, miniaturowe lusterko, kredki i wstążki do włosów. Dostałam stalówki, przedzę do cerowania, wycięte obrazki i kalkomanie. Podniecenie związane z chowaniem prezentów pod poduszkami i znajdowaniem ich w łóżkach było ogromne. Kolacja tego wieczoru choć raz była jak należy, a Stara Gwardia dostała bułeczki posypane cukrem, które zjadła na naszych pełnych zazdrości oczach.

Siostra Ludwika postanowiła, że Jasia zostanie wyłączona z wymiany prezentów, by ukarać ją za ciągłe nieposłuszeństwo. Z zemsty Jasia odmówiła wręczenia prezentu dziewczynce, której imię wylosowała. Ta poczuła się niesłusznie ukarana i wybuchnęła płaczem. Zorganizowałyśmy szybką zbiórkę i udało nam się złożyć paczkę z naszych prezentów i wręczyć ją dziewczynce. Jasia siedziała w kącie osamotniona, patrząc na nas dziko, podczas gdy my śpiewałyśmy i tańczyły. Było mi ogromnie żal biednej buntowniczkii, ale nie mogłam ryzykować, że urażę siostrę Ludwikę, dając jej cokolwiek. W każdym razie teraz Jasia na pewno nie przyjąłaby prezentu.

Później tego samego wieczoru zjawili się oficjalne towarzystwo, by podziwiać nasze występy. Śpiewałyśmy piosenki, tańczyłyśmy i recytowałyśmy wiersze. W tym czasie Jasia wysliznęła się z domu i zniknęła. Kiedy nie wróciła przed pójściem do łóżek, pomyślałyśmy, że chowa się gdzieś naburmuszona, a gdy nadal jej nie było, miałyśmy nadzieję, że uciekła do Warszawy, gdzie mieszkała jej matka. Jednak następnego dnia ta przyjechała zapłakana na wezwanie siostry przełożonej i dowiedziałyśmy się, że Jasia nie dotarła do domu. Nigdy nie dowiedziałyśmy się, co się z nią stało, i żadna z nas nigdy już jej nie zobaczyła.

Jednak w wieczór Świętego Mikołaja nie wiedziałyśmy, co zamierza, i tańczyłyśmy i śpiewały dla naszych gości. Pamiętałam kilka numerów z przedstawienia w getcie i nauczyłam inne dziewczynki, a teraz wykonałyśmy je ku wielkiej uciechu siostry przełożonej i naszego kapelana. Pomimo odniesionego sukcesu byłam przygnębiona i bliska łez przez cały wieczór. Tak dobrze pamiętałam dziewczynki, które tańczyły i śpiewały ze mną tamtej zimy 1940 roku. Młode kobiety, które wszystko

zorganizowały, fioletowe podwiązki i sukienkę z cekinami, mamę...

Dziękowałam Bogu, kiedy przyjęcie wreszcie się skończyło i mogłam ukryć twarz w ciemnej sypialni. Byłam straszliwie zmęczona. Nieustanny głód, zimno i napięcie, w jakim żyłam, zupełnie mnie wyczerpywało. Odmroziłam sobie palce u stóp, a ponieważ stopy urosły mi od zeszłej zimy, z trudem wkładałam rano buty. Wyciągnęłam sznurówki i rozciągnęłam boki jak tylko mogłam, ale moje opuchnięte stopy dalej nie dawały się wcisnąć i bałam się chwili, gdy będę musiała wstać. Zastanawiałam się, czy nie obciąć nosków, ryzykując odmrożenie stóp, zamiast przechodzić co rano tortury. Od czasu, gdy zrobiło się zimno, zaczęły mi też krwawić i puchnąć dziąsła i jadłam z jeszcze większym trudem. Miałam nadzieję, że rozchoruję się na dobre i przez kilka dni zostanę w łóżku. Wtedy mogłabym spać i wreszcie przestać myśleć. Ale do infirmerii przyjmowano tylko z wysoką gorączką lub po wypadku, więc przez jakiś czas moje marzenia nie mogły się spełnić.

Rankami nadal uczyłam, popołudniami pomagałam w lekcjach kilku opóźnionym dziewczynkom i odrabiałam lekcje, kiedy tylko mogłam. Siostra Ludwika zapowiedziała mi lodowatym tonem, że jeśli któraś z dziewczynek, którym pomagam, obleje egzaminy, zadba o to, by zepsuć mi ferie świąteczne, i nie miałam wątpliwości, że dotrzyma obietnicy. Wśród dziewczynek, które uczyłam, tylko jedna, Bronia, była bystra i chciała się uczyć. Miała dziewięć lat, była nową „prywatną” w klasztorze i mama odwiedzała ją co niedziela. Bronia była ładna, miała proste ciemnobrązowe włosy, które okalały jej twarz jak hełm i opadały na oczy gęstą grzywką. Dziwiło mnie czasami, że choć była niemal tak ciemna jak ja, nikt nigdy nie miał co do niej wątpliwości. Gdyby jednak miała kręcone włosy, dłuższe rzęsy lub smutniejsze oczy...

Matka Broni przyjrzała mi się uważnie podczas ostatniej wizyty i zaoferowała bajeczną sumę dziesięciu złotych miesięcznie w zamian za moje korepetycje. Byłam tak zaskoczona, że siostra Ludwika, która była przy tym obecna, przyjęła pieniądze zamiast mnie. Z trudem pojmowałam swoją reakcję. Przecież bardzo potrzebowałam pieniędzy. Moja pierwsza pensja! Z pewnością ciężko na nią pracowałam. Jednak myśl, by brać pieniądze za coś, co sprawiało mi przyjemność i co tak czy owak bym robiła, napawała mnie odrazą. W kontaktach z Bronią byłam teraz sztywna i oficjalna i podwoiłam wysiłki w uczeniu dzieci, które nic mi nie płaciły. Nikt nie ośmielił się powiedzieć, że je zaniedbuję, bo mi nie płacą!

Łóżko Broni stało obok mojego i po zgaszeniu świateł opowiadałam jej różne historie. Przypominałam sobie historyczne romanse, które adaptowałam dla jej dziewięcioletnich uszu, i przekonałam siostrę Ludwikę, że w ten bezbolesny sposób uczę ją historii. Wkrótce Bronia chodziła za mną jak piesek, a jej oddanie było tak

jawne, że wzbudziło zazdrość Starej Gwardii. Bronia jako „prywatna” miała dostęp do obfitego prowiantu i łatwo ją było „wzruszyć”. Stała się cennym źródłem wszelakich przysmaków, więc Stara Gwardia czuwała nad tym, żeby nikt inny nie wkradł się w łaski Broni. Ja nigdy niczego od niej nie przyjąłem, ale Stara Gwardia nie mogła w to uwierzyć i zadbała o to, byśmy jak najmniej przebywały ze sobą.

Niedługo po Świętym Mikołaju Bronia spojrzała na mnie badawczo znad podręczników.

– Danka, muszę cię o coś zapytać, ale proszę, nie obraż się.

Obiecałam.

– Okropne, że to mówię, wiem, że to nieprawda, ale słyszałam, jak rozmawiały o tym starsze dziewczynki. Powiedziałam o tym mamie, a ona kazała zapytać ciebie.

Przebiegł mnie dreszcz przerażenia.

– O co chodzi?

Przez kilka chwil walczyła ze sobą, drapiąc się po głowie.

– Mówią, że jesteś Żydówką! Ale to nieprawda! Tak? – Słowa wybuchnęły w pustym pokoju, a mnie zrobiło się słabo. Bronia pochyliła się w moją stronę i spojrzała mi błagalnie w oczy.

– Powiedz, że to nieprawda.

– Ależ one są głupie, jasne, że to nieprawda.

– Przysięgasz?

Wzięłam głęboki oddech.

– Przysięgam.

Uspokoiliłam się. Przysięgam, więc to musiała być prawda.

Bronia westchnęła i otworzyła książkę.

– Mama uciesz się, gdy jej to powiem – oświadczyła, gotowa już zająć się innymi sprawami. Ale ja nie mogłam tego tak zostawić.

– Broniu, kochasz mnie?

Spojrzała na mnie z promiennym uśmiechem.

– Strasznie.

– A nie kochałabyś, gdybym była Żydówką?

Nachmurzyła się i łzy napłynęły jej do brązowych oczu.

– Jak możesz mówić coś takiego! Wiesz, że nie mogłabym... ale nie jesteś... przysięgłaś przecież!

– Tak, wiem, nie jestem. Tylko się zastanawiałam. A teraz zapomnijmy o tym i bierzmy się do pracy.

Zostawszy sama, zaczęłam się zastanawiać nad nową sytuacją. Kiedy dziewczynki zaczną gadać, wszystko się rozniesie. Tak nie może być. Coś trzeba z tym zrobić.

Na razie podwoiłam wysiłki, by stać się użyteczną. W każdym zakładzie panuje jedna złota zasada: nigdy nie zgłaszaj się na ochotnika. Ale ja bałam się, że uznają mnie za lenia i kiedy tylko siostra Ludwika prosiła o pomoc, zgłaszałam się automatycznie. Zwykle chodziło o obieranie ziemniaków w ciemnej i wilgotnej piwnicy pod kuchnią. Ta, która skończyła swój przydział ostatnia, musiała sprzątać po innych i praca niezmiennie przypadała mnie. Nosłam wodę do i z domów sióstr, rozlewając ją w niezasnurowanych butach i mocząc pończochy, które schły potem godzinami. Zamiatalam, polerowałam i szorowałam, osłabła z głodu i zmęczenia, lecz ofiarowałam swoje wysiłki, by przebłagać Los.

Brnąć przez błoto w zimowych ciemnościach, myślałam z goryczą o swoich rozwianych złudzeniach. Przed przyjazdem do klasztoru wyobrażałam sobie, że życie we wspólnocie oznacza pracę wykonywaną razem. Będziemy się z radością dzielić wszystkimi dobrami, silniejsze będą wspierać słabsze i wszyscy będą chętni do pomocy. Zamiast tego znalazłam wściekłą zazdrość o każdą posiadaną rzecz, wyraźnie określone obowiązki i brak jakiegokolwiek pomocy. Robiło się coś dla kogoś tylko wtedy, gdy nakazała to odgórna władza lub otrzymało się dobrą zapłatę. Zawsze robiło się to jak najszybciej, nie zważając na rezultat. Może działało się tak dlatego, że nigdy nikogo za nic nie chwalono. Wszystkie nasze wysiłki zostaną nagrodzone w niebie; na tym świecie nie można było oczekiwać niczego.

A ponieważ nigdy nie miałyśmy niczego własnego, ani ubrań, ani zabawek, to rzucaliśmy się na wszystko, co wpadało nam w ręce, i strzegłyśmy jak najcenniejszego skarbu, choćby była to tylko para nożyczek lub własna igła do cerowania. A jeśli zdarzyło się coś „znaleźć”, oczywiście się to zatrzymywało. Nawet jeśli „znalazło” się to w czyjejsz szufladzie. Każdy aspekt życia w zakładzie można było wyjaśnić. Ale nie pomagało to wcale, gdy się tam było.

Po niesporach w niedzielne wieczory grałyśmy w gry lub czytałyśmy. Pewnego wieczoru bawiłyśmy się w „jak wyglądasz”. Przyglądałyśmy się po kolei wszystkim dziewczynkom i decydowałyśmy, do kogo lub czego jest podobna. Teresa była Chińczykiem, mała Lili sroką, gruba Krysia karpiem. Hanka była papugą, a rumiana Ania Czerwonym Indianinem, gdyż dziewczynki były przekonane, że Indianie mają rumiane policzki. Kiedy przypadła moja kolej, postanowiłam, że nadeszła moja wielka chwila.

– Powiem wam, jak wyglądam – zaproponowałam, nie czekając na werdykt. – Wyglądam jak Żydówka!

W pokoju zapadła martwa cisza. Patrzyły na mnie oniemiałe, a ja czekałam w napięciu na ich reakcję. No i nadeszła: wielki zbiorowy wybuch śmiechu.

Krysia wstaje od stołu, przy którym siedzi Stara Gwardia wydająca wyroki,



i podchodzi do mnie.

– Nieźle, Danko, ale mylisz się. Wcale nie wyglądasz jak Żydówka. No już – podnosi głos i znów zapada cisza. – Moim zdaniem Danko wcale nie wygląda jak Żydówka, wygląda zwyczajnie. Siostra Ludwika mówi, że wygląda na Hiszpankę, więc jeśli usłyszę od was coś innego, oberwiecie!

W pokoju rozlega się pomruk aprobaty.

– Chodź do nas – mówi Krysia i, nie do wiary, obejmując mnie ramieniem, prowadzi przez zatłoczony pokój do swojego stołu. – I tak powinnaś być z nami, jesteś już duża.

Oszołomiona patrzę, jak Stara Gwardia robi dla mnie miejsce na ławce. Jestem jedną z nich. Znalazłam swoje miejsce. Nareszcie mam przyjaciółki.

Dziesiątego grudnia po przebudzeniu powitał nas pierwszy śnieg. Stałam na progu oniemiała z zachwytu, patrząc na odmieniony krajobraz. Śnieg przykrył wszystko. Ogród, ścieżki, krzewy zniknęły pod miękką puchową kołdrą. Na dachach leżały grube poduchy. Drzewa z na wprost ukrytymi gałęziami wyglądały jak rysunki węglem na tle oślepiającej bieli. Niebo wisiało nisko, wypełnione śniegiem jak pierzyna, która zaraz pęknie. W tym białym świecie panowała absolutna cisza, ucichł nawet wiatr.

Wyszłam z domu pierwsza i ani jeden ślad nie kłał nieskazitelnej drogi rozciągającej się przede mną. Kiedy się rozglądałam, spod krzaka wyskoczył zając i przekicał przez podwórze. Miał już na sobie zimowe futro i trudno go było odróżnić od otoczenia. Jego ruchy były dziwnie powolne, jakby i on starał się nie zakłócić spokoju. Gdyby się zatrzymał, by spojrzeć na zegarek, wcale nie byłabym zaskoczona. W tej jednej chwili zachwytu nagłym pięknem świata powróciła do mnie dziecinna wiara, że wszystkie bajki mogą się ziścić.

Stan moich dziaseł pogarszał się z dnia na dzień i z coraz większym trudem przeżuwałam jedzenie. Jednak głupotą byłoby poskarżyć się na to siostrze Ludwice. Nie lubiła mnie i wolałam jej unikać. Czułam, że mną pogardza, bo nie byłam tak silna jak inne dziewczynki w moim wieku. Nigdy nie mogłam unieść wiadra wody, żeby nie rozlać połowy zawartości, i nie mogłam bez pomocy podnieść kotła ze śniadaniem. Wyraz twarzy siostry Ludwiki mówił wyraźnie, że przejrzała mnie na wylot i jej zdaniem próbuję wymigać się od obowiązków.

Chór ćwiczył kolędy i nową mszę. Pierwszy raz dostałam partię solową, nowy fragment „Benedictus”, i aż pęczniałam z dumy. W niedzielę stałam na krześle za siostrą Moniką, która akompaniowała nam na fisharmonii i przyglądałam się zgromadzonym wiernym. Mała kaplica pękała w szwach i było w niej gorąco jak w tureckiej łaźni. Znowu padał śnieg i wilgotne chusty i płaszcze parowały w ciepłe. Po obu stronach kaplicy pod ścianami siostry klęczały w podwójnych rzędach niczym paciorki czarnego różańca. Dziewczynki stały przy barierce przed ołtarzem. Wszystkie były w niedzielnych granatach z wielkimi kokardami we włosach, przypominającymi tropikalne motyle, które przysiadły im na głowach. Chór zgromadził się na ławkach i krzesłach stłoczonych za fisharmonią, a w środku klębiła się różnokolorowa masa wieśniaków.

W połowie środkowej nawy na czerwonym chodniku leżał krzyżem mężczyzna. Był to wioskowy bibliotekarz, wynędzniały, z rzadkimi piaskowymi włosami i wyblakłymi szarymi oczami. Zawsze klęczał w nawie, bijąc się w piersi obiema pięściami od chwili rozpoczęcia mszy, a zaraz potem rozciągał się na podłodze i leżał

tak, dopóki wszyscy nie wyszli z kaplicy.

– Robi to od lat – powiedziały mi dziewczynki. – Jest bardzo pobożny. Kiedy zapisujesz się do biblioteki, chce wiedzieć o tobie wszystko: co robią rodzice, gdzie są. I pyta, czy chodzisz do kościoła. A za każdym razem, gdy wymieniasz książkę, dopytuje się, kiedy ostatni raz byłeś u spowiedzi i czy byłeś w niedzielę na mszy. Jeśli powiesz, że nie, nie da ci książki i każe się wynosić!

Trzymałam się z daleka od bibliotekarza, choć marzyłam o nowych książkach.

Wreszcie nadeszła moja chwila. Odśpiewałam „Benedictus”, a chór dołączył do mnie w ogłuszającej „Hosanna!”. Tłum poruszył się. Na górze było nieznośnie gorąco, dusił zapach kwiatów i kadzidła, przepoconych ciał i parujących ubrań. Świece na ołtarzu zamigotały i wszystko zaczęło odpływać. Zsunęłam się z krzesła na podłogę. Nagle poczułam nieprzewartą potrzebę snu.

Kiedy się ocknęłam, siedziałam na schodach, a nade mną stała siostra Ludwika ze szklanką wody. Ktoś zaprowadził mnie do infirmerii, mocno mnie podtrzymując, bo kolana uginały się pode mną.

Siostra Eulalia zajrzała mi do ust i cofnęła się z cichym zachnięciem.

– Dlaczego nie przyszedłeś wcześniej?

Nie wiedziałam. Znów byłam zbyt zmęczona, by mówić. Podłoga przyciągała mnie z wielką siłą. Wyciągnęłam się na niej wygodnie i zasnęłam. Obudziłam się w dziwnym łóżku, bardzo wysokim i białym, otoczonym białym parawanem. Mały pokój przypominał pudełko z lśniącymi białymi ścianami i jasną podłogą wypolerowaną jak lustro. Mały czarny krzyżyk wiszący nad moją głową był jedynym przedmiotem przełamującym biel. Przez duże okno do środka zaglądało zimowe niebo. Zapadał zmrok. Padał śnieg. Płatki spływały w ciszy i topiły się na szybie. Na świecie panowała absolutna cisza. Zaczęłam się bać.

Musiałam zasnąć, bo kiedy znów otworzyłam oczy, świeciło się światło, zaciągnięto czarne rolety, zasłaniając zimowy widok za oknem, a na łóżku siedziała siostra Marta z uśmiechem na rumianej twarzy. Trzymała na kolanach parujący talerz kaszki manny i pokazała mi go triumfalnie.

– Specjalnie dla ciebie! Sama ugotowałam. Siostra Eulalia mówi, że musimy cię odkarmić, więc proszę. Spróbuj.

Wzięłam ostrożnie do ust białą masę i natychmiast łzy napłynęły mi do oczu. Gorączkowo szukałam miejsca, gdzie mogłabym splunąć. Ale w tym lśniącym białym pokoju nie było nigdzie miejsca, by zrobić coś tak niekulturalnego, więc zadławiłam się i wreszcie przełknęłam.

Siostra Marta zaniepokoiła się.

– Co się dzieje? To najlepsza kaszka manna, jaką mamy. Małe dziecko mogłoby ją

zjeść!

Siedziałam, patrząc na nią, a po twarzy płynęły mi łzy. Nie mogłam jej powiedzieć, że kaszka manna w moich ustach przypomina żwir, bo wszystko w środku krwawi. Była tak dumna ze swojej kuchni i okazała mi dużo sympatii, sama przynosząc jedzenie, bo przecież mogła przysłać kogoś innego. Siostra Eulalia wydała jasne polecenie, że trzeba mnie nakarmić i mimo protestów przy każdym posiłku musiałam jeść kaszkę manną. W nocy, leżąc samotnie w białym pudełku, myślałam z goryczą o dziecinnych protestach, kiedy Stefa co rano karmiła mnie tą samą obrzydliwą masą. Wtedy płakałam i kopałam, wymiotowałam i błagałam, by dano mi chleb jak wszystkim. Ale codziennie dostawałam kaszkę manną aż do wybuchu wojny, kiedy w końcu grysik okazał się dla nas za drogi.

Pamiętałam wyraźnie moje dawne marzenia, gdy siedząc w oknie pokoju dziecinnego, wyobrażałam sobie, że jestem sama na świecie, głodna, zziębnięta i wolna. Sierota na śniegu – to był jeden z moich ulubionych tematów.

Czy sama to na siebie ściągnęłam? Czy Bóg karał mnie teraz za dziecięcy bunt? Byłam chora, zmarznięta i głodna, sama we wrogim świecie, jak kiedyś marzyłam. Ale nadal musiałam jeść manną, tylko teraz każda łyżka była torturą i płakałam z bólu – nie z nudy.

Czy naprawdę ponosiłam winę za wszystko, co się wydarzyło, co się stało z nimi wszystkimi w getcie? Myśl o tym była zbyt przerażająca. Odsunęłam ją od siebie, powtarzając w duchu, że bym nie była głupia. Bóg nie mógł być aż tak okrutny. Ale wątpliwości pozostały, a raz zasiane w umyśle rosły, wypuszczając nowe pędy, okalając mój wewnętrzny świat, dusząc mnie i wykorzeniając, tworzyły nową mnie.

Po dwóch tygodniach intensywnego karmienia, bolesnego leczenia i dużej ilości witamin w pigułkach, usta wyleczyły się na tyle, że mogłam normalnie jeść. Nadal leżałam w infirmerii, kiedy dwa dni przed Bożym Narodzeniem przyjechał Eryk z chłopcami, by zabrać mnie do domu.

Było to nasze pierwsze Boże Narodzenie po odejściu Lidii i choć w pokoju stała wysoka choinka przyozdobiona zeszłorocznymi bombkami, brakowało nam świątecznego nastroju. W mieszkaniu stało niewiele mebli, a okna zasłonięte tylko czarnymi roletami zdawały się wpuszczać więcej zimna niż w poprzednich latach. Brakowało opału i można było ogrzewać tylko salonik. Nasze kroki odbijały się głucho na nagich podłogach i choć zgromadziliśmy się wokół choinki, by otworzyć prezenty, na naszych twarzach gościł smutek. Kolacja wigilijna była skromna i cicha. Pamiętałam blask suto zastawionego stołu, gdy po raz pierwszy zjawiłam się tu z wizytą. Kiedy jedliśmy teraz, śmiech i płacz Lidii zdawał się rozbrzmiewać w pustych pokojach, a my w milczeniu wpatrywaliśmy się w talerze. Zosia, która w ten jeden wieczór zgodziła się zjeść z nami, była przygnębiona i raz po raz wzdychała, pociągając nosem. Tylko Eryk silił się na wesołość, lecz jak zwykle jego żarty, przez jąkanie ciągnące się w nieskończoność, nikogo nie bawiły. Poszliśmy spać wcześniej i przespaliśmy pasterkę.

Podczas następnych dni pogrążyłam się w książkach, które chłopcy zgromadzili pod moją nieobecność. W ciągu tych sześciu miesięcy stali się jeszcze bardziej nieznośni. Paweł urządzał nam historyczne sceny w niemal każdy wieczór, krzycząc, płacząc i rzucając się na podłogę, kiedy tylko czegoś mu odmawiano. Trudno było uwierzyć, że ma dwanaście lat. Jednak gdy zasiadał do pianina, jeszcze trudniej było uwierzyć w jego wiek. W ciągu ostatnich miesięcy zrobił ogromne postępy i Olga przyznała, że jest już gotowy do kariery pianisty. Czepiał się mnie jak rzep i co noc próbował wchodzić mi do łóżka. Ponieważ rzucał się we śnie, stale go wyrzucałam. Jednej nocy uległam i wylądowałam na krześle, by uniknąć jego pięści. W przeciwieństwie do starszego brata Tomek był jeszcze cichszy niż dawniej, koncentrował się na nauce i pianinie. Był o wiele lepszy ode mnie, ale widać było wyraźnie, że nigdy nie dorówna Pawłowi.

Eryk pokazał mi ostatni list od ojca. Przyszedł przed sześcioma tygodniami, a potem zapadła cisza.

Gospodarstwo powiększyło się o nowego członka w osobie wysokiego, ciemnego i bardzo chudego księdza, który zajmował małą sypialnię na tyłach mieszkania. Rzadko bywał w domu, czemu trudno było się dziwić, gdyż jego pokój nie był ogrzewany. Nigdy nie przychodził do nas do salonu. Chłopcy i Zosia snuli cudowne fantazje na temat jego lekko złowieszczej postaci. Zauważyliśmy, że chodzi jak żołnierz wielkimi krokami, zuchwale podrzucając brzeg sutanny. Wszystkie jego rzeczy były stale zamknięte w małej walizce, a w komodzie znaleźliśmy tylko parę jasnozielonych

skarpetek. Rankami, pastując buty w kuchni, zabawiał Zosię wojskowymi marszami i popularnymi przedwojennymi przebojami. Czasami pokazywał jej nawet taneczne kroki z miotłą jako partnerką.

Czasami prowadzili z Erykiem długie szeptane rozmowy w małej sypialni i choć wytężaliśmy słuch przy dziurce od klucza, nigdy nie udało nam się usłyszeć ani słowa. Chłopcom i Zosi nie wolno było wypowiadać jego imienia ani wspominać nikomu o jego obecności i nasza ciekawość rosła z dnia na dzień.

Ponieważ nie poszliśmy na pasterkę, postanowiliśmy uroczyście powitać Nowy Rok. Razem z Pawłem udało nam się nie zasnąć i tuż przed północą w piżamach i szlafrokach podreptaliśmy do saloniku, trzęsąc się z zimna i raz po raz przeraźliwie ziewając. Siedzieliśmy przy stole, Tomek spał między nami, a Eryk poszedł do kuchni, by namówić Zosię, żeby dała nam coś do jedzenia. Na stole stała wysoka zielona butelka i przyjrzeliliśmy się jej leniwie. „Szampan”, przeczytaliśmy. Nalaliśmy sobie trochę do szklanek. Zasycało i pojawiły się bąbelki. Zadrżeliśmy, gdy zimny płyn wpadł do żołądka, a bąbelki połaskotały nas w nos. Po moim ciele rozplynęła się powoli fala ciepła i roztapiając mi kolana, dotarła do palców u stóp. Nalaliśmy sobie kolejną szklankę. Nie był tak słodki, jak oczekiwaliśmy, lemoniada byłaby o wiele lepsza, ale nic innego nie mieliśmy. Wypiliśmy i nalaliśmy sobie jeszcze trochę. Tomek nie chciał się obudzić, więc podzieliliśmy jego przydział między siebie.

Poczułam na plecach zimny przeciąg wpadający przez otwarte drzwi i poprosiłam Pawła, żeby coś z tym zrobił. Posłusznie odsunął krzesło, wstał i nagle upadł u moich stóp. Wyglądało na to, że jest mu tam bardzo wygodnie, bo przewrócił się na bok i zasnął.

Wstałam zdumiona i natychmiast podłoga zaczęła się kołysać pod moimi nogami, jakbym znajdowała się na łodzi. Chwyciłam się stołu i próbowałam usiąść z powrotem na krześle. Wysunęło się jednak spode mnie i aby uniknąć zderzenia ze ścianą, usiadłam na podłodze, przytrzymując się nogi od stołu.

Tak znalazł nas Eryk kilka minut później. Oceniał sytuację jednym spojrzeniem, wypił pozostałe kilka kropli szampana i zaniósł nas do łóżek. Niewiele więcej pamiętam z tamtej nocy. Wiem tylko, że spędziłam ją na nieustannych wyprawach do łazienki i czasami zderzałam się z Pawłem, który pełzał tam na czworakach.

Rano obudziłam się ze straszliwym bólem głowy, a kiedy otworzyłam oczy, choinka w drugim końcu pokoju zakołysała się i pochyliła w moją stronę. Sufit zniżał się niebezpiecznie, a ściany wirowały jak na karuzeli. Zamknęłam oczy i naciągnęłam koc na głowę. Jęki Pawła dobiegające z sąsiedniego pokoju powiedziały mi, że on też cierpi okropnie z powodu pierwszego w życiu kaca.

Pierwszy tydzień 1944 roku minął spokojnie. Przy pomocy Zosi wyprałam i pocerowałam ubrania, doprowadziłam też do porządku głowę. Eryk zdobył potrzebne lekarstwa i witaminy, a dzięki potrawom Zosi moje usta wyleczyły się zupełnie. Eryk obiecał, że będzie mi stale dostarczał pigułki i jedzenie, i wreszcie pozwolił mi do siebie pisać. Chłopcy przynieśli z kościoła flakonik z wodą święconą i Eryk zastanawiał się, kiedy wyznać naszemu gościowi prawdę i poprosić, żeby mnie ochrzcił.

W sobotę 8 stycznia ksiądz wpadł do mieszkania, wyraźnie w panice, chwycił walizkę i zniknął, powiedziawszy wcześniej Zosi, że Eryk został aresztowany rano w salonie i lada moment możemy się spodziewać gestapo.

Zosia powiedziała chłopcom, że Eryk pojechał na wieś, by zdobyć trochę boczku, więc bawili się dalej spokojnie. Paweł miał nowy zapas kapiszonów i denerwował nas, strzelając z nich tuż przed naszymi nosami.

Po południu przyszła Olga na lekcję z Tomkiem i dowiedziawszy się o zniknięciu naszego gościa, zapytała Tomka, czy to prawda, że nasz sublokator wcale nie był księdzem, lecz moim ojcem. Spojrzał na nią całkowicie zaskoczony, po czym wzruszył ramionami i powiedział, że jest idiotką. Olga znów przyszła z synem i rozgniewana niegrzecznym zachowaniem Tomka, zaczęła krzyczeć na chłopca, który jak zwykle kulił się w kącie, a na koniec pobiła go tak, że krew puściła mu się z nosa. Zosia ułożyła malca na podłodze i podłożyła mu pod szyję zimny klucz, a Olga usiadła na mojej kanapie i zaczęła histeryzować. Kiedy udało nam się ich oboje uspokoić i odesłać do domu, byliśmy wykończeni i bliscy łez.

Spędziłam tę noc w łóżku Zosi i żadna z nas nie zmrużyła oka. Rozmawialiśmy o Eryku, martwiłyśmy się o niego, zastanawialiśmy się, kiedy go znów zobaczymy, i łamałyśmy sobie głowy, dlaczego w ogóle został aresztowany. Nie miałam pojęcia, jak wrócę do klasztoru i żałowałam gorąco, że po ucieczce księdza będę tam musiała wrócić nie ochrzczona.

Następnego ranka zadzwonił telefon i zdumiona Zosia podała mi słuchawkę.

– Jakiś pan chce z tobą rozmawiać – oznajmiła. Kolana ugięły się pode mną. Ojciec...? Kto inny...?

Chwyciłam słuchawkę w obie dłonie, a nieznany głos powiedział mi, żebym spakowała rzeczy i za dwie godziny przyszła na róg ulicy X.

– Musisz przyjść sama – nalegał rozmówca i nie chciał podać nazwiska.

Odłożyłam słuchawkę i poszłam się spakować, a w głowie aż huczało mi od strachu i nadziei. Czy to naprawdę był ojciec? Czy przyjechał, żeby mnie zabrać ze sobą?

A może to pułapka? Mają Eryka, a teraz złapią mnie.

Zapłakana Zosia usiadła na moim łóżku i załamując ręce, zastanawiała się, czy powinna iść ze mną, czy nie.

– Nie wiem, gdzie jest ta ulica i nikogo nie mogę zapytać. Może pójdziesz przodem? Zawahała się.

– Ten mężczyzna powiedział, że masz być sama.

– Ale nic nie będzie wiedział – błagałam. Gdzieś w mojej głowie pojawiła się myśl, że jeśli to rzeczywiście jest pułapka, to chciałabym, żeby ktoś był świadkiem mojego aresztowania. Nie chciałam zniknąć w tajemniczy sposób, jak wielu innych przede mną.

Na koniec Zosia zgodziła się pójść pierwsza i zostawić mnie na ostatnim rogu przed ulicą X. Z rzeczami w torbie wyruszyłam w mroźne śnieżne popołudnie, czując, że podążam na spotkanie z przeznaczeniem. Walczyłam z przemożnym pragnieniem, by zakryć twarz i patrzeć tylko na stopy, w obawie, że stracę z oczu Zosię. Jednak na ulicach panował tłok i każde spojrzenie w moim kierunku raniło niczym ostrze noża. Jeśli teraz mnie rozpoznają, na kilka chwil przed spotkaniem z ojcem...

Zosia zatrzymała się na skrzyżowaniu, dając mi znak, że zawraca. Od tej pory aż do następnej ulicy miałam być sama. Mogłam opuścić głowę i unikać niebezpiecznej ciekawości przechodniów. Dotarłam do miejsca spotkania i stałam, popychana przez tłum na jednym z najbardziej ruchliwych skrzyżowań w Warszawie. Nie miałam odwagi podnieść oczu. Rozpoznałam jego stopy, pomyślałam. W zasięgu mojego wzroku pojawiła się para męskich butów i zatrzymała się. Miały zaokrąglone noski, były małe, zdecydowanie zbyt małe...

– Idź za mną – powiedział głos ze słuchawki i podniosłam wzrok, zbyt przybita, by wypowiedzieć choć słowo. Był to pan Liński, główny fryzjer Eryka, z nieskazitelnie wybrylantowanymi włosami i cieniutkim wąsikiem.

Dotarliśmy do dworca i kiedy pan Liński poszedł po bilety, stałam w tłumie przy barierce, odważnie rozglądając się wokół siebie. Nie zależało mi już, czy ktoś mnie zobaczy. Po rozczarowaniu, którego przed godziną doznałam, przestało mi zależeć na życiu. Eryk był w więzieniu, ojciec, jeśli jeszcze żył, przebywał daleko od Warszawy. Mama zniknęła. A ja wracałam do klasztoru nie ochrzczona. Przyszłość była bardziej niepewna niż kiedykolwiek wcześniej. Czy naprawdę warto było walczyć?

Pan Liński przedarł się przez tłum z dwoma biletami w ręce. Jego mizerna twarz była bledsza niż zazwyczaj i niespokojnie rozglądał się dookoła. Widać było, że się boi. Nie chciał, żeby widziano go ze mną. Spojrzałam na peron, na który właśnie wjeżdżał pociąg, i dostrzegłam w czekającym tłumie znajomy czarny habit. Siostra Matylda ze szwalni!



– Nie musi pan jechać ze mną – szepnęłam do pana Lińskiego. – Pojadę z siostrą.

Twarz rozjaśniła mu się. Zaczęłam się przeciskać przez napierającą ludzką masę. Siostra Matylda zamknęła mnie w czarnym uścisku i razem przedarliśmy się do wagonu.

Spojrzałam przelotnie na pana Lińskiego, który stał przy barierce, machając naszymi biletami.

– Obawiam się, że będzie mnie musiała siostra przemycić. Nie mam biletu – powiedziałam.

Odwróciłam twarz do okna, by uniknąć ciekawskich spojrzeń, i zamknęłam oczy. Pociąg zaczął podskakiwać na torach, a ja walczyłam ze łzami i z całych sił próbowałam przełknąć ból, rozczarowanie i nagle obudzoną tęsknotę. Próbowałam przekonać samą siebie, że wszystko jakoś się ułoży, ale nie miałam na to zbyt wielkich nadziei. Już w to nie wierzyłam. Rok 1944 rozpoczął się złowieszczo. Za trzy miesiące miałam skończyć czternaście lat. Czułam się stara i straszliwie zmęczona.

Klasztorna rutyna nie pomagała mi otrząsnąć się z przygnębienia. Było przejmująco zimno, a poranki były ciemniejsze niż zazwyczaj o tej porze. Jedzenie zrobiło się jeszcze bardziej podłe. Większość dziewcząt wróciła po świętach z dużymi zapasami „prywatnego prowiantu”, lecz ja nie przywiozłam ze sobą niczego i przechodziłam męczarnie za każdym razem, gdy rozpakowywały swoje paczki. Nie dostałam żadnych wieści z Warszawy. Nie miałam pojęcia, co się stało z Erykiem, i nie odważyłam się napisać do domu ze strachu, że jeszcze wszystko pogorszę. Dziaśła znów zaczęły mi krwawić, a witaminy w pigułkach zostawiłam w Warszawie.

W pierwszym tygodniu szkoły pani Rolska wróciła po chorobie z Warszawy. Weszła do klasy blada, z podpuchniętymi od płaczu oczami i oznajmiła, że odchodzi. Chciała się pożegnać z każdą z nas, co zrobiła z twarzą zalaną łzami. Miała gruźlicę i musiała jechać do sanatorium.

W jednej chwili w klasie zapanował chaos. Dziewczęta płakały, waliły pięściami w ławki, niektóre wpadły w histerię, kilka zwymiotowało, a jedna zemdlała.

Te najgłupsze rozpaczały najgłośniej. A dziewczynka, która zemdlała, zawsze była znana ze swego nieposłuszeństwa i pogardy dla nauczycielek. Nie znałam pani Rolskiej tak długo, jak większość koleżanek, ale histeria była zaraźliwa i zaczęłam płakać z resztą klasy. Wychowawczyni całowała i obejmowała nas po kolei i wreszcie wyszła przy akompaniamencie głośnego zawodzenia. Kiedy tylko zapanował porządek, postanowiłyśmy zorganizować bardziej wymierną pomoc. Pani Rolska pojedzie przecież do sanatorium dopiero za tydzień czy dwa. W tym czasie musimy jej załatwić dodatkowe jedzenie.

Wszystkie zrzuciłyśmy się z kieszonkowego, a „dienne” uczennice mogły przynieść z domu jajka, cukier i mleko.

- I kiełbasę – zaproponowała gruba Frania, której ojciec był rzeźnikiem.
- Musisz załatwić dużo słoniny – zasugerowała Ada.
- Słonina jest najlepsza na płuca.
- Będziemy kręcić codziennie kogel-mogel i zanosić jej do domu przed śniadaniem!
- Ale czy przyjmie? – zważyła któraś.

Wszystkie zaczęłyśmy bić pięściami w blaty ławek.

– Musi!

Decyzja, by pomóc pani Rolskiej, stała się dla nas nowym bodźcem. Przysięgłyśmy uroczyście, że będziemy ciężiej pracować i pomagać sobie nawzajem w lekcjach. W klasę wstąpił nowy duch. Podczas przerw myłyśmy okna i ławki, zamiatałyśmy podłogę, poprawiałyśmy sukienki i włosy. Zamierzałyśmy zostać najgrzeczniejszą klasą

w szkole. Modelową pod każdym względem. Pod koniec tygodnia wszystkie pójdziemy do spowiedzi, a w niedzielę przystąpimy do komunii w intencji pani Rolskiej. Pójdziemy jako klasa. Wszystkie razem! Serce mi zamarło.

Wieczorem wysunęłam szufladę z komody i zaniiosłam ją do świetlicy. Jak zwykle dziewczęta zebrały się, by podziwiać „skarby”. Wyjmowałam jeden po drugim i wręczałam tym, które wyrażały największy zachwyt. Były zdumione.

– Opuszczasz nas?

– Nie – odparłam, zastanawiając się, dlaczego poczułam nagły impuls, by rozdać wszystkie rzeczy.

Następnego ranka tuż po rozpoczęciu szkoły do klasy weszła jedna z dziewcząt z wiadomością, że z Warszawy przyjechała jakaś pani, żeby się ze mną zobaczyć. Wybiegłam, gubiąc się wśród szalonych domysłów. Lidia? Przecież nie Zosia? Kto jeszcze tam był?

W małym salonie objęła mnie szczupła młoda kobieta, która przedstawiła się jako panna Lala. Była kosmetyczką pracującą dla Eryka. Przywiozła mi dużą paczkę z jedzeniem, witaminami, ubraniami i wszystkim, czego zapomniałam w Warszawie. I wiadomość, że Eryk został aresztowany przeze mnie! Teraz już wyszedł, ale nie czuł się na tyle dobrze, żeby mnie odwiedzić i przysłał w zastępstwie pannę Lalę.

– Możliwe, że będziesz musiała stąd wyjechać. Eryk uważa, że gestapo wie, gdzie jesteś. A jeśli znów go aresztują, może się już nie wywinąć. Rozumiesz? Nie mógł do ciebie napisać, bo ma złamaną rękę. Twierdzi, że będzie bezpieczniej, jeśli pojedziesz gdzie indziej, gdzie nikt nie będzie znał twojego adresu. Nic nie mów dziewczętom. Niedługo po ciebie przyjadę, a na razie będę ci przysyłać paczki z jedzeniem i wszystkim, czego będziesz potrzebowała.

Objęła mnie i wyszła.

Wróciłam do szkoły oszołomiona i resztę lekcji przesiedziałam, nie słysząc ani słowa. Biedny Eryk. Co oni z nim zrobili? Czy to oni złamali mu rękę? To moja wina. Znów moja. Czy byłam tego warta? Oczywiście nie. Gdybym tylko mogła się z nim zobaczyć i sama mu to powiedzieć. Żeby przestał się martwić i próbować mnie chronić...

Wieczorem siostra Ludwika wezwała mnie do salonu. Była w Warszawie spotkać się z Erykiem i miała dla mnie wiadomości.

– Lepiej będzie, jeśli na jakiś czas wyjedziesz. Przygotuj swoją najlepszą sukienkę i kilka rzeczy potrzebnych na jutro. Wstań o piątej i zejdź do kuchni. Siostra Cecylia zabierze cię do nowego domu, a ja wyślę resztę twoich rzeczy, gdy nadarzy się okazja. I ani słowa nikomu!

Wróciłam do ciemnej sypialni i powoli się rozebrałam. Wszędzie wokół mnie spały

dzieci, spokojnie, bezpiecznie. Nikt po nie nie przyjeżdżał i nigdzie się nie wybierały. Minął niecały rok, odkąd opuściłam getto, i znów miałam się przeprowadzić. Rzuciłam się na zimnym łóżku przez całą noc, uciekając i kryjąc się przed ogromnym wszechwładnym wrogiem, unikając jego długich szponów, spadając w dół i roztrzaskując się z hukiem. O piątej byłam ubrana i trzęsąc się z zimna i zdenerwowania, po omacku poszłam do jeszcze ciemnej kuchni. Znalazła mnie tam siostra Marta, gdy drzemałam przykucnięta za piecem. Duże śniadanie złożone z chleba i mleka przywróciło mi krążenie i kiedy wymaszerowałam za siostrą Martą w zimową ciemność, wdychając ostre wiejskie powietrze i słysząc zgrzyt śniegu pod butami, powoli budziła się we mnie ciekawość. Moje dawne zamiłowanie do przygód. Czy to będzie kolejny klasztor? Prywatny dom? Czy będą tam inne dzieci?

Przez ciężkie od śniegu chmury powoli zaczęło się przedzierać szare światło, kiedy wyszliśmy z dworca i znów stanęliśmy na warszawskiej ulicy. Wsiadliśmy do tramwaju, niemal pustego o tej porze, i ze zgrzytem kół jechałyśmy przez opustoszałe o tej porannej godzinie miasto. W końcu wysiadłyśmy na skrzyżowaniu i skierowałyśmy się w krętą, biegnącą między ruinami uliczkę. Coś w jej wyglądzie wydało mi się znajome i rozejrzałam się dookoła z zaciekawieniem. Nazwa, gdzie jest nazwa? Podniosłam wzrok na najbliższy dom i serce mi zamarło. To było getto. A dokładniej rzecz ujmując, getto z początku jego istnienia przed tamtym październikiem dwa lata temu, kiedy ta ulica i kilka innych wróciło do Warszawy, a pozostali Żydzi zostali ściśnięci w najstarszej jego części. Prawdziwe getto musi więc być gdzieś blisko. Tak, za wyrwą po spalonym domu wznosił się wysoki mur, a za nim ogromna pusta przestrzeń i ruiny domów, na wpół wypalone mury i nagie kominy. Czy to był cel mojej podróży?

Spojrzałam pytająco na siostrę Cecylię, która tylko pociągnęła mnie za rękę i niemal przebiegłyśmy całą ulicę po zdradliwych ośnieżonych kocich łbach. Zatrzymałyśmy się przed bramą i siostra Cecylia zadzwoniła. Otworzył się judasz; ktoś przyjrzał się nam, sam pozostając niewidoczny, a potem brama otworzyła się szeroko. Ubrana na czarno siostra, taka sama jak „moje”, powitała nas uśmiechem.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziałyśmy.

– Na wieki wieków amen – odparła.

Podczas gdy siostra Cecylia konferowała z moją nową siostrą przełożoną, zostałam sama w pustym refektarzu. Był niezwykle ponury. Na pobielonych ścianach widniały głębokie rysy. Wszędzie straszyły dziury byle jak załatane cementem. Deski podłogi były zniszczone, a w szczelinach zebrał się brud, którego nie zdołało zwalczyć nawet klasztorne szorowanie. Podeszłam do okna. Wychodziło na typowe warszawskie

podwórze, wąski prostokąt pomiędzy szarymi murami. My znajdowałyśmy się od frontu. Pozostałe trzy skrzydła sześciopiętrowego budynku wydawały się niezamieszkane. Powybijane lub zabite deskami okna patrzyły niemo, przejmując mnie dreszczem niepokoju. Ciemnoszare mury poznaczone były białymi dziurami po kulach, kilka głębokich wyrw ukazywało czerwone cegły przypominające rany. Brama prowadziła na inne podwórze, za którym, jeśli dobrze się orientowałam, musiało leżeć gruzowisko getta. Zadrżałam i odwróciłam się do pokoju. Przez otwarte drzwi obserwowałam dziewczynki biegnące korytarzem. Były biednie ubrane, nawet jak na zwyczajne zakładu, bawełniane sukienki zupełnie wyblakły i były mocno połatane. Dziewczynki nie miały mundurków; każda była ubrana w coś innego, niewiele różniącego się od łachmanów. Żadnych butów ani pończoch. Pokoje były słabo ogrzane i od styczniowego zimna dziewczynki miały sine nogi. Brakowało też wstążek; do wiązania warkoczy używały sznurków.

Jedna po drugiej weszły do pokoju i przez chwilę przyglądałyśmy się sobie z ciekawione. Szerokie chłopskie twarze z wysoko zarysowanymi kośćmi policzkowymi, zadarte nosy, roześmiane szczerbate usta. Snuły się po pokoju, przyglądając się nowo przybyłej, i chichotały, zasłaniając usta dłońmi. Delikatne głosy miały charakterystyczny zaśpiew. Nigdy jeszcze nie słyszałam podobnego akcentu.

Zaciekawienie pokonało nieśmiałość.

– Skąd jesteście? – zapytałam.

– Z gór – odparły śpiewnie – z dalekich gór za rzekami.

Wytrzeszczyłam oczy. To one! Na początku zimy słyszałyśmy straszliwe opowieści o klasztorze na dalekich południowo-wschodnich kresach, spalonym podczas napadu Ukraińców. Cały zakład, jadąc na furmankach, dotarł po wielu dniach podróży do Warszawy. Każdy klasztor w kraju został o tym powiadomiony i poproszony o pomoc. Co wieczór modliłyśmy się o ich bezpieczeństwo. A teraz znalazłam się wśród nich, na progu getta, wśród najbiedniejszych ze wszystkich klasztornych dzieci.

– Poznałaś już siostrę przełożoną? – pytały. – Pokochasz ją. Jest dla nas prawdziwą matką. A siostrę Zofię? Widziałaś siostrę Zofię? Nie? No to czeka cię coś niezwykłego...

W swoim niewielkim czyściutkim pokoju siostra przełożona odwróciła do mnie swoją pociągłą, bladą twarz. Miała masywną brodę, długi prosty nos i najlepsze, najsmutniejsze szare oczy.

– Witaj w naszym domu – powiedziała i objęła mnie. Patrzyłam na nią zdumiona. Siostra przełożona, która nie czeka, by pocałować ją w rękę, lecz sama pierwsza całuje w czoło!

W świetlicy przydzielono mi ławkę i wręczono puste pudełko po butach.

– Tu trzymamy wszystkie nasze rzeczy. Nie ma miejsca na nic innego, a poza tym

i tak zbyt wiele nie mamy. Nie ma szafek ani walizek. Tu nie jest jak w domu.

W malutkim pokoju na tyłach pokazano mi pojedynczy wieszak, który miał służyć jako szafa, a kiedy powiesiłam płaszcz, stanęłam oko w oko z wysoką siostrą.

– Siostra Zofia – mruknęła dziewczynka, która mnie tu przyprowadziła, i zniknęła.

Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie i zadrżałam na widok jej twarzy, szerokiej, usianej drobnymi żyłkami. Miała lekko zadarty nos, szerokie nozdrza, przeszywająco niebieskie oczy i zaczerwienione powieki. Szczera, nieustraszona, wymagająca twarz.

– To ty jesteś naszym nowym nabytkiem. – Na dźwięk jej głosu znów przebiegł mnie dreszcz. Był ochrypliwy i tylko trochę głośniejszy od szeptu. – Ile masz lat?

– Trzynaście.

– Zostałaś już ochrzczona?

Zatkało mnie i nie mogłam znaleźć słów.

– Nie zostałam. – To było stwierdzenie faktu. – Będziemy musiały się tym zająć. Nic nie mów pozostałym. Możesz teraz odejść.

Resztę dnia spędziłam w oszołomieniu, poznając nowe koleżanki i siostry, odpowiadając na pytania i badając nowe otoczenie. Klasztor zajmował dwa środkowe piętra domu, a siostry miały swoje pokoje po drugiej stronie dawnych kuchennych schodów. Teraz ze stopniami pomalowanymi na czerwono, pobielonymi ścianami i z gipsowymi figurami świętych na każdym zakręcie wyglądały one jak w każdym klasztorze.

Dwa górne piętra nad nami zajmował poprawczak dla dziewcząt. Znów słyszałam straszne opowieści o dyscyplinie, łańcuchach w nocy, izolatkach i strażniczkach z dziewięciorzemiennymi dyscyplinami przy pasach.

– Wieczorem poznasz dzieci z dołu, kiedy przyjdą zobaczyć, jak tańczymy. Wszystkie są trochę puknięte. A tam – dziewczynka skinęła głową w stronę podwórza i rozbitych okien – są żydki.

Musiałam wyglądać na zaskoczoną, ponieważ pospieszyły z wyjaśnieniem, że dom stał kiedyś w getcie. Były święcie przekonane, że ciała dawnych mieszkańców nadal leżą w pustych mieszkaniach. Kilka dziewcząt słyszało lub widziało duchy snujące się za oknami.

– Za tym podwórzem jest ogród i siostra Zofia obiecała, że pozwoli nam się tam bawić latem. A za ogrodem jest getto. Jeśli wejdzie się na mur, można je zobaczyć, ale nam nie wolno do niego podchodzić.

Próbowałam wchłonąć całą tę nową wiedzę, lecz gdzieś z tyłu głowy stale dźwięczały mi słowa siostry Zofii. Wiedziała wcześniej czy sama się zdradziłam?

Po kolacji większość dziewcząt zniknęła, a reszcie z nas kazano usiąść półkolem na podłodze w świetlicy. Czułam się straszliwie zmęczona i marzyłam, żeby położyć

się do łóżka. Byłam na nogach od piątej rano, a poprzedniej nocy też niewiele spałam.

Dzieci z dołu wmaszerowały do środka, a ja gwałtownie się wyprostowałam. Wszystkie miały na sobie długie worki na ziemniaki uszyte z najsurowszego płótna i przewiązane w pasie sznurkiem. Wszystkie były bose i miały ogolone głowy. Nie mogłam odróżnić chłopca od dziewczynki, a ich widok zrobił na mnie wstrząsające wrażenie. Niektóre były wyraźnie okaleczone, kilkoro poruszało się o kulach, jedno czy dwoje nie widziało, jedno miało ogromny garb, a kilkoro innych kołysało wielkimi głowami, z ust ciekła im ślina i rozglądały się wokół nieprzytomnym wzrokiem.

Na komendę usiadły posłusznie na podłodze naprzeciwko nas. Siostra Zofia zajęła miejsce przy fisharmonii. Siostra przełożona z innymi zakonnicek usiadła na kilku dostępnych krzesłach. Zaczęła grać muzyka i nagle w pokoju pełnym nieszczęścia wybuchnął różnokolorowy wir, rozspiewany i roztańczony w chmurze jedwabiu i aksamitu, kipiący koronką, haftowany cekinami i perełkami; wstążki fruwały, a pawie pióra kołysały się na wysokich czapkach.

Stara podłoga zatrzęsała się pod czerwonymi butami, mosiężne kółka u pasów zadźwięczały, a sznury koralu podskakiwały na aksamitnych gorsetach. Szerokie chłopskie spódnice wirowały tuż przed moimi oczami, pyszniąc się tęczowymi paskami i jarmarcznymi różami, koronkowe fartuchy trzepotały jak skrzydła. Zakryłam usta dłonią i siedziałam, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. To były te bose, odziane w kreton sieroty, nad którymi tak się użalałam!

Od początku było widać, że są doskonale wyszkoloną grupą. Występowały z taką radością, jakby dopiero co odnalazły swój żywioł. Siostra Zofia pochylała się nad fisharmonią i zmieniała płyty na starym gramofonie. Wydała mi się nagle dużo młodsza niż przy naszym pierwszym spotkaniu, a na jej twarzy błyszczał dumny uśmiech. Siostra przełożona rozpromieniła się na widok swoich dzieci, jak każda matka dumna ze swego potomstwa, i nagle poczułam, że będę szczęśliwa w tym dziwnym miejscu, niemal jakbym znalazła się w domu.

Szybko zadomowiłam się w nowym miejscu. Przyszło mi to bez trudu, bo panująca tu dyscyplina była o wiele łagodniejsza w porównaniu z pierwszym klasztorem i wyglądało na to, że dziewczęta same się rządzą. Byłyśmy też bardziej ściśnięte, gdyż tak naprawdę musiałyśmy się ograniczać do dwóch pięter. Spacerowanie po mieście uznano za zbyt ryzykowne, by regularnie się na nie wybierać, a poza tym ja i tak nie mogłam opuszczać domu. Codziennie rano miałyśmy lekcje, a po południu wspólne zajęcia w tej czy innej formie. Po kolei zajmowałyśmy się najmłodszymi dziewczynkami i każda z nas miała jedną pod swoją opieką. Jako nowej pozwolono mi poczekać do przybycia nowej dziewczynki i gdyby się okazało, że ma mniej niż siedem lat, miała trafić pod moją opiekę.

Dowiedziałam się też prawdy o napadzie bandy Ukraińców na zakład i o podróży do Warszawy. Jedną z byłych wychowanek pracowała w miejscowej gminie jako sekretarka. Do jej obowiązków należało wysyłanie listów władz niemieckich z żądaniami tak zwanych kontyngentów, czyli części produktów, które gospodarze musieli oddawać Niemcom. Nienawiść, jaką ten „haracz” budził wśród ukraińskiej ludności, spowodowała napad. „Banderowcy” szukali Ireny, która ukryła się w zakładzie. Po licznych próbach podpalenia banda wdarła się na teren zakładu pewnej październikowej nocy, szukając dziewczyny. Siostra Zofia zdążyła ostrzec dzieci: „Przyjdą tu panowie z latarkami i karabinami. Macie udawać, że śpicie. Niech żadna nie podnosi głowy”. Irena, znaleziona w jednej z sypialni, złapała małą Kazię, krzycząc, że to jest jej dziecko i że będą musieli zabić je obie, bo ona bez niej nie pójdzie. Rozdzielili je gwałtownie, zostawiając małą Kazię, wywlekli Irenę z domu i za stajniami zastrzelili kulami dum-dum. Dziewczynki w panice chowały się pod łóżkami, uciekały z pokoju do pokoju. Kilka zamknęło się w łazience. Ukraińcy ogołocili sypialnie, rabując pościel z łóżek, po czym podpalili budynki folwarczne i domki, gdzie chronili się miejscowi Polacy. Zastrzelili kilkoro z nich, włącznie z naczelnikiem poczty, który ostrzegł jedną z sióstr, że szykuje się napad.

Widząc łunę nad klasztorem, przyjechali Niemcy z pobliskiej placówki i Ukraińcy uciekli. Dzieci, wszystkie w nocnych koszulach, zgromadzono na podwórzu, gdzie sprawdzono ich tożsamość i wypisano nowe dokumenty. Następnego dnia siostra przełożona zorganizowała szereg furmanek i cała duża grupa wyruszyła w stronę Lwowa. Przejazd trwał kilka dni. Miejscowa ludność pomagała, żywiąc wszystkich i dając nocleg w stodołach i budynkach folwarcznych. Był to październik i dzieci, źle ubrane, marzły, trzęsąc się na furmankach i lodowatych noclegach. Po przyjeździe do Lwowa rozdzielono je między dwa zakłady i po pewnym czasie, już pociągami,



dojechały do Warszawy. Tam znów ulokowano je w różnych zakładach, aż znalazło się pomieszczenie w domu, który jeszcze niedawno należał do getta. Dzieci i siostry czyściły i reperowały pokoje pozostawione przez uciekających w popłochu dawnych mieszkańców. Oszklono okna, zatkano największe dziury zostawione przez pociski, ale mimo wszystko zakład, do którego trafiłam zimą 1944 roku przypominał ruinę, szczególnie po idealnym porządku w Płudach, moim pierwszym klasztorze.

– A skąd się wzięły kostiumy do tańca? – zapytałam.

Roześmiały się.

– To oczywiście siostra Zofia. Kiedy gramoliłyśmy się na wozy, wyciągnęła swoje dwie skrzynie i uparła się, że musi je zabrać. W przeciwnym razie nigdzie nie pojedzie. I Ukraińcy pozwolili! Nie wiedziałyśmy, co w nich jest, i miałyśmy nadzieję, że raczej jedzenie, ale ona nie chciała ich otworzyć, dopóki tu nie dotarłyśmy. W skrzyniach były nasze kostiumy i muzyka siostry! Powiedziała, że inne klasztory zadbają o nasze ubrania i jedzenie, ale już nigdy nie dostaniemy takich kostiumów. Każda rzecz jest ręcznie szyta, wełniane spódnice są ręcznie tkane, koronki ręcznie robione, a aksamit i atłas są najwyższej jakości. A te buty! Gdzie teraz można dostać takie buty?

– Przed wojną miałyśmy znany zespół – wyjaśniła Ela, najstarsza, łagodna szesnastolatka o sarnich oczach, która poprzedniego wieczoru była gwiazdą występu, tańcząc solo w tradycyjnym stroju szlachcianki: długiej obcisłej sukni z atłasu i kontusiku obszytym łabędzim puchem. – Dużo podróżowałyśmy, odwiedzałyśmy inne klasztory i dawałyśmy koncerty. Miałyśmy cudowny program. Może siostra Zofia pokaże ci kiedyś zdjęcia. To ona nas wyszkoliła i wybrała muzykę. Miałyśmy też chór. Większość najlepszych głosów dorosła i opuściła nas, na koniec zostało nas tylko osiem... Teraz ze starej grupy została Wiera, Tamara i ja, a ja tak naprawdę nie potrafię śpiewać, za to uwielbiam tańczyć. Teraz szkolimy najmłodsze. Ale muszą zmieścić się w kostiumy, bo od wybuchu wojny siostra Zofia nie pozwala na żadne poprawki w obawie, że materiał się zniszczy. Najpierw musisz do nich dorosnąć, a kiedy wyrośniesz, nie możesz tańczyć. Kostiumy chłopców są tak obcisłe w piersiach, że musimy się bandażować, żeby się dopiąć. Siostra Zofia i tak nie znosi dziewcząt o dużych piersiach, więc nie pozwala nam tańczyć, jeśli za bardzo wystają. Mówi, że nie może znieść, jak się kołyszą!

Byłam coraz bardziej ciekawa tej siostry Zofii; ciekawa i jednocześnie pełna niechęci do niej. Odrzucał mnie jej apodyktyczny sposób bycia i absolutne posłuszeństwo, którego wymagała. Nienawidziłam despotów. Jeśli myśli, że może mną komenderować, to się grubo myli. Piekła mnie urażona duma po naszym pierwszym krótkim spotkaniu i nie mogłam się doczekać następnego.

Doszło do niego, gdy siostra Zofia wezwała mnie, by omówić moje religijne

przygotowanie. Po krótkim przepytaniu dała mi kilka książek.

– Czytaj je ostrożnie, nie zgub ich, nie pogryź ani nie użyj do wypchania butów. Mogę ci zaufać?

Spojrzałam na nią oniemiała.

– O co chodzi? Skąd to dzikie spojrzenie? Uraziłam cię?

– Nie rozumiem, jak siostra może mówić takie straszne rzeczy – wyrwało mi się. – Kocham książki! Nigdy bym żadnej nie zniszczyła, nawet gdyby mi się nie podobała! Kiedy byłam mała, zawsze uczono mnie, żebym umyła ręce przed dotknięciem książki!

– No proszę... co za słuszna zasada. Mam nadzieję, że nadal to robisz. Prawdę mówiąc, uczono mnie tego samego. Kto cię tego nauczył?

– Ojciec.

– On też lubił książki?

– Ojciec? Oczywiście. Zawsze coś czytał...

– A jakie książki czytał?

– Wszystkie! – wykrzyknęłam, przypominając sobie stosy tomów zawsze zalegające w naszym domu.

Siostra Zofia roześmiała się.

– No to musiał być bardzo mądrym człowiekiem. Musisz mi o nim pewnego dnia opowiedzieć. A teraz biegnij. I przepraszam, że cię uraziłam. Nieczęsto mamy tu dziewczynkę, która wie, jak obchodzić się z książkami.

Siedząc na parapecie w zatłoczonej świetlicy, wracałam myślami do tej rozmowy. Nigdy jej nie polubię. Jest stanowczo za brzydka, ale trzeba przyznać, że jest też interesująca i z pewnością inna. Ale wolałabym mieć przy sobie siostrę Małgorzatę. Podczas tych pierwszych tygodni w Warszawie straszliwie za nią tęskniłam. Siostra Cecylia, która przywiozła mi ubrania i rzeczy pozostawione w klasztorze, wręczyła mi też listy od dziewczynek, które nie mogły się nadziwić mojemu nagłemu zniknięciu. Wśród nich znalazł się również liścik od siostry Małgorzaty, która przesyłała mi swoje błogosławieństwo i miała nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Ale najbardziej zdenerwował mnie list Krysi. „W dzień twojego zniknięcia – pisała – po południu do klasztoru przyjechali gestapowcy i szukali ciebie! Oczywiście powiedziałyśmy, że cię nie znamy i odjechali. Co ty nabroiłaś?”

Zimowe dni miały niepostrzeżenie. Teraz, kiedy kolejny raz zostałam uwięziona w domu, świat zewnętrzny stracił znaczenie i pogrążyłam się w lekcjach i książkach siostry Zofii. Od czasu przybycia do Warszawy zgromadziła imponującą bibliotekę i poprosiła mnie, żebym przeczytała książki i skatalogowała je według wieku dzieci, dla których były przeznaczone. Wieczorami siadywałam z najstarszymi dziewczętami w pustej klasie i robiłam bawełniane guziki, za które dostawałyśmy drobne sumy

przeznaczane przez siostrę przełożoną na nasze osobiste wydatki. Praca ta była okropnie nużąca. Małe blaszane kółeczka trzeba było wypełniać bawełnianą przędzą; sam metalowy brzeg był też owinięty taką samą nicią. Przy pracy jedna z nas czytała na głos, jeśli nie śpiewałyśmy albo nie opowiadałyśmy historii. Jednym z najmilszych zwyczajów tego domu był ten, że zamiast obowiązkowej ciszy po modlitwie wolno nam było słuchać historii po zgaszeniu świateł. Sięgałam do przeczytanych książek i niemal co wieczór przypadał mi obowiązek opowiadania.

Dołączyłam też do chóru i z podziwem słuchałam Tamary i Wiery. Obie były bez wątpienia gwiazdami, lecz podczas gdy Tamara była uroczą i przyjmowała swój dar z prostotą, Wiera wykorzystywała swój niezwykły głos jako narzędzie do nieustannej walki z siostrą Zofią.

Rzadko przychodziła na próby, ale zawsze znała swoją partię. Nigdy nie było pewności, czy pojawi się na występie, a miała prawdziwy dar tracenia głosu wtedy, gdy najbardziej na nią liczyłyśmy. Stroiła fochy i nie chciała z nikim rozmawiać przez całe dni, dopóki się nie dowiedziała, że siostra Zofia pracuje nad nowym utworem, oczywiście z nadzieją, że poprosi ją oficjalnie, by zaśpiewała. Kiedy jednak to nie następowało, wpadała w szał, krzyczała na najmłodsze dziewczynki, które żyły w strachu przed jej humorami, tłukła przedmioty, by na koniec popełnić wielką zbrodnię, czyli na przykład rozbić okno. To oznaczało rozmowę z siostrą przełożoną i siostrą Zofią. Ta druga trwała całymi godzinami, a my tkwiłyśmy w niepewności. Wymyślałyśmy najróżniejsze powody, żeby przejść obok drzwi siostry Zofii. Tam zatrzymywałyśmy się, by zawiązać sznurówkę, przyciskając oko lub ucho do dziurki od klucza.

Czasami dochodziło do wielkiego zamieszania, które słyhać było wyraźnie aż w jadalni. Pewnego razu Wiera wyszła z pokoju, ociekając wodą i wyjąc z wściekłości. Siostra Zofia wyłoniła się za nią z wiaderkiem w ręce, tłumacząc, że musiała wsadzić jej głowę do wody, żeby trochę ją „ostudzić”. Innym razem Marysia przysięgała, że widziała Wierę klęczącą przed siostrą Zofią, z twarzą ukrytą na jej kolanach. Zwykle wychodziła późnym wieczorem rozpromieniona ze szczęścia i szła prosto do kaplicy, by modlić się tam całymi godzinami. Następnego dnia jej głos, prawdziwy kontralt, głęboki i czysty jak dzwon, brzmiał triumfalnie, niemal unosząc dach naszej małej kaplicy i rozsuwając ściany. Jednak już godzinę później jej nastrój zmieniał się i prychała z pogardą, kiedy gratulowałyśmy jej wspaniałego występu, a potem znikwała nam z oczu.

Czułam niejasno, że pragnie czegoś więcej niż tylko naszego podziwu, a gdy tego nie otrzymywała – siostra Zofia nigdy nikogo nie pochwaliła – miała świadomość, że przegrała kolejną bitwę.

Patrząc na nią, nikt by nie podejrzewał Wierę o jakiegokolwiek artystyczne zdolności. Była niska i krępa, z kwadratową twarzą, małymi zielonymi oczkami ukrytymi głęboko pod niskim czołem, nad którym zwisały proste mysie włosy. Wydawało się, że wcale nie ma szyi, bo okrągła głowa spoczywała prosto na potężnych ramionach. Poruszała się sztywno na krótkich grubych nogach, a wąskie usta zaciskała jak pułapkę. Szokiem było usłyszeć tak znakomity głos wydobywający się z takiego ciała. Zupełnie jakby było się świadkiem cudu.

Podczas napadu na klasztor Wiera przebywała w małym mieście, gdzie podjęła pierwszą pracę jako służąca. Gdy dotarły do niej wieści o tragedii, porzuciła posadę i dołączyła do grupy, błagając siostrę przełożoną, aby pozwoliła jej zostać. Teraz, przywrócona jako starsza dziewczynka, żyła w nieustannym strachu, że wkrótce znajdą jej inne miejsce, będzie musiała opuścić klasztor i podjąć pracę służącej, jedyną, do jakiej została przyuczona.

Tamara, pierwszy sopran, była cichą dziewczynką, łagodną i złotowłosą z okrągłą, bardzo bladą twarzą. Była pulchna i miękka, nic dziwnego, że stała się idealną niańką dla naszych najmłodszych. Miała jednak słabe płuca i siostra Zofia niechętnie pozwalała jej śpiewać. W związku z tym Tamara śpiewała rzadko, ale kiedy już to robiła, nasz chór przechodził prawdziwą przemianę. Miała naturalny głos koloraturowy i patrząc na jej ciężką twarz i bujną figurę matrony, zastanawiałam się nad tą rozbieżnością i po raz pierwszy zrozumiałam, że być może wygląd zewnętrzny nie świadczy tak wyraźnie o charakterze i zdolnościach danej osoby, jak zawsze uważałam. Pamiętając opowieści mamy o operze, wyobrażałam sobie, że wszystkie heroiny są tak piękne, szczupłe i pełne wdzięku, jak bohaterki moich bajek, a ponieważ nie widziałam żadnego przedstawienia, nie doznałam też rozczarowania. Kiedy zniszczono klasztor, Tamara była w sanatorium i dołączyła do reszty już w Warszawie.

– Kiedy skończy się wojna, wrócimy w góry. Odbudujemy nasz dom, nawet jeśli będziemy musiały zrobić to same. Wszystkie starsze dziewczęta obiecały pomóc. Nawet mężatki. Miałyśmy najpiękniejszy dom na świecie w najpiękniejszym zakątku kraju. Jeśli nigdy nie mieszkałaś w górach, nie masz pojęcia, jak tam jest. Wszystkie nienawidzimy Warszawy. Jest taka duża, brudna i hałaśliwa! W górach śnieg był biały, nigdy nie zamieniał się w tę paskudną breję jak tutaj. I powietrze było takie czyste...

Milkły, ich oczy wilgotniały z tęsknoty, a potem powoli cichutko zaczynały nucić piosenkę i już po chwili śpiewała cała grupa pochylona nad guzikami lub szyciem. Myślałam o swoim domu, daleko na zachodzie, w starym mieście, gdzie pomiędzy wąskimi domami wiła się głęboka rzeka, gdzie stare kamienne mosty i strome dachy dawno temu kształtowały moje horyzonty. Czy jeszcze kiedyś go zobaczę? Czy coś

w ogóle z niego zostanie?

Te dzieci mogły mówić o swoim domu, mogły się dzielić wspomnieniami, które dzięki temu ożywały. Ja nosiłam w sobie zamknięty cały świat, ale nikt nie mógł podejrzewać jego istnienia. Pytana o rodzinę i przeszłość mogłam tylko kłamać.

Kiedy przybyła nowa pięcioletnia dziewczynka, Ela zapytała, czy wezmę ją jako „swoją”. Siostra Adelajda, która spełniała podwójną rolę nauczycielki najmłodszych i naszej opiekunki, była nieobecna, więc poszłam do pokoju maluchów, by znaleźć swoją podopieczną. W kącie, z plecami przyciśniętymi do ściany i opuszczoną głową, stało dziecko o miedzianych włosach. Ciasnym kręgiem otaczała ją grupka dziewczynek.

– Jak masz na imię? Jak cię nazywali? Ryfka? Sara? Faja?

Gniew ścisnął mi żołądek. Dziewczynki były w różnym wieku, od najmłodszych po kilka opóźnionych w rozwoju dziesięciolatek, które nadal bawiły się z maluchami. To jedna z nich musiała rozpocząć to prześladowanie. Dlaczego nie zapytały mnie?

– Ma na imię Franka – powiedziałam, odpychając je zdecydowanie. Wzięłam dziewczynkę za rękę i wyciągnęłam z kąta.

– Chodź, pokażę ci nowy dom. A jeśli jeszcze któraś z was zapyta ją, jak ma lub miała na imię, spiorę ją na kwaśne jabłko – obiecałam i zatrzasnęłam drzwi.

Obeszliśmy pokoje na obu piętrach, ja gadałam wesoło, dziewczynka milczała, wpatrując się w stopy. Ani razu nie udało mi się wydobyć z niej odpowiedzi, słowa, uśmiechu czy też najmniejszej oznaki zainteresowania. Pod gęstą strzechą rudych loków kryły się oczy jak świeżo obrane kasztany i patrzyły na świat z tępą obojętnością. Podbródek i usta wskazywały na upór lub strach, których nie sposób przełamać. Choć wiedziałam, że wcale nie ma na imię Franka, nie było sensu pytać. Każda próba oznaczałaby tylko jeszcze większe zrażenie już i tak wrogiego jeńca.

– Wyszczotkuję ci włosy przed kolacją – zaproponowałam. Wyjęłam grzebień z jej niewielkiej torby, przyciągnęłam ją do siebie i zaczęłam rozplątywać gęstwinę włosów. Nagle skrzywiła się i w tej samej chwili grzebień wypadł mi z ręki. Cofnęłam się z okrzykiem obrzydzenia. Pod włosami na czubku głowy widniała masa krwi, ropy i wszy. Odwróciłam się gwałtownie do małej figurki skulonej już w kącie.

– Ty, mała...

W porę się opanowałam. Jeszcze przed sekundą byłam gotowa ją udusić, lecz nagle mój gniew zalała fala współczucia. Od dziecka w tym wieku nie można wymagać... Kto wie, gdzie się podziewała przez ostatnie miesiące? Jak ją traktowano, że z przerażenia zamknęła się w kamiennej ciszy?

– Będziemy musiały ogolić ci głowę – myślałam głośno. Nagle przez jej twarz przemknął ból, prośba i jeszcze bardziej odsunęła się ode mnie.

– Nie – powiedziała i było to pierwsze słowo, które padło z jej ust.

Przyglądałam się jej zaskoczona. Była z pewnością zbyt mała, by pamiętać ogolone

głowy w getcie, ale może coś, co usłyszała, wryło się jej w pamięć. W każdym razie dla mnie ogolona głowa oznaczała „Żyda” i nagle postanowiłam zawalczyć o włosy Franki.

– Poczekaj tutaj – rozkazałam. – Nigdzie się nie ruszaj, zaraz wrócę. Wyleczymy ci głowę bez golenia. Obiecuję!

Długo musiałam przekonywać siostrę Adelajdę, żeby pozwoliła mi zająć się Franką, tym bardziej że nie mogłam jej wytłumaczyć, dlaczego jestem tak zdeterminowana. Dzieciom po przyjeździe często golono głowy, jeśli były bardzo zainfekowane, i nikt nie robił z tego wielkiej sprawy. Ale nalegałam i w końcu siostra ustąpiła. Wysłała mnie z powrotem do łazienki wyposażoną we wszystkie potrzebne przybory.

– Będzie bolało – ostrzegłam, maczając watę w śmierdzącym środku dezynfekującym i delikatnie przemyłam nim głowę. Dziewczynka zadrżała, ale nie ruszyła się z miejsca. Od tamtego dnia zamykałyśmy się w łazience każdego popołudnia, a ja myłam, odkazywałam, przycinałam i szczotkowałam włosy Franki. Podczas tych sesji próbowałam skłonić ją do zwierzeń, pytałam o dawne życie, skąd przyjechała, gdzie są jej rodzice, ale niezmiennie odpowiadało mi pełne wyrzutu spojrzenie wielkich oczu spaniela i milczenie.

Kiedy udało mi się wreszcie wyleczyć głowę, świadoma porażki wypuściłam ją do najmłodszej grupy. Choć teraz ubierałam ją co rano, czesałam i cerowałam jej ubrania, na jej twarzy malowała się tylko porażająca obojętność. Z powodu Franki miałam teraz częstszy kontakt z grupą przedszkolną i obserwowałam ją z dezaprobatą. Bez wątplenia różniły się bardzo ode mnie lub moich przyjaciół w tym wieku i próbowałam znaleźć powody ich dziwnego zachowania.

Doszłam do wniosku, że musi to być wina przymusowego milczenia. Dzieci nie miały okazji mówić, więc nigdy nie nauczyły się poprawnie wysławiać. Cisza przed śniadaniem, cisza podczas posiłków, cisza podczas popołudniowego odpoczynku, cisza po kolacji. A pomiędzy tymi okresami ciszy były pozostawione samym sobie lub zdane na łaskę starszej dziewczynki, która sama została podobnie wychowana i nigdy nie nauczyła się poprawnie mówić. Przypomniałam sobie nianię Stefę i niekończące się historie, które mi opowiadała. Siostra Adelajda, kiedy miała czas, próbowała opowiedzieć bajkę, lecz jej słuchaczki przestawały uważać już po pierwszych kilku zdaniach.

– Nie rozumieją połowy słów, a trudno je wszystkie tłumaczyć. Nie są przyzwyczajone do słuchania opowieści, słowa nic dla nich nie znaczą, jeśli nie można ich zilustrować i jeśli nie mają podstawowego znaczenia.

– Na przykład „jedzenie” – powiedziałam i natychmiast kilka głów odwróciło się wyczekująco w moją stronę.

– Tak, biedaczyny są bardzo głodne. – Siostra Adelajda skinęła głową ze smutkiem. – Obawiam się, że nie będą słuchać naszych bajek, dopóki ich brzuchy nie będą pełne. A Bóg jeden wie, kiedy to się stanie.

Byłam pełna podziwu dla siostry Adelajdy i cierpliwości, z jaką podchodziła do najmłodszych podopiecznych. Kiedy zostawałam z nimi sama, czułam tylko rozpacz i wściekłość. Nie można było zorganizować żadnej zabawy, kazać im chodzić w kółko, trzymając się za ręce lub śpiewając, albo czymkolwiek je zainteresować. Biegały tylko po pokoju jak stado zwierząt, kopały i popychały się albo ukradkiem szczypały nawzajem. Biły się i trzeba je było rozdzielać albo po prostu siedziały pod ścianą, patrząc w przestrzeń pustym wzrokiem.

– Nie cierpię dzieci – mruknęłam pod nosem, wyciągając je jedno po drugim z pokoju. Jakoś udało mi się wyprowadzić je wszystkie na korytarz i utrzymać tam do czasu, gdy zadzwonił dzwonek na posiłek, kiedy to wszystkie na oślep pognały do jadalni. Każda z nas po kolei musiała zajmować się dziećmi, czyli również siedzieć z nimi przy stole podczas posiłków. Patrzyłam z rozpaczą, jak się przepychają w drodze na swoje miejsca, podbierając po drodze jedzenie z talerzy. Odmawiały modlitwę z jednym okiem utkwionym w stole, a kiedy amen jeszcze rozbrzmiewał, rzucały się na stół, pożerając jedzenie prosto z misek bez pomocy łyżek czy widelców.

– Obierz ziemniaki – nakazywałam. – Połóż obierki na brzegu talerza i dopiero wtedy zjedz ziemniaka. – Patrzyły na mnie zdumione, obierały ziemniaki, jadły je, a potem jadły obierzyny. Na ich twarzach widać było wyraźnie, że nie mają pojęcia, o co to całe zamieszanie. Poddałam się.

Nasze posiłki były bardzo ubogie i niewystarczające, ale bardziej zróżnicowane niż w pierwszym klasztorze. Siostra Wiktoria z kuchni i siostra Helena z pralni regularnie chodziły po prośbie z dużymi workami i czasami wracały z bardzo interesującą zdobyczą jak na przykład pokruszone słodkie herbatniki lub kiełbasa „tylko trochę nieświeża”

W niedziele zawsze czekała nas jakaś niespodzianka. Kiedy była naprawdę smakowita, jak na przykład pączki, usmażone w moją pierwszą niedzielę, siostra Wiktoria zaglądała do jadalni, by sprawdzić naszą reakcję na swoje dzieło. Siostra Wiktoria była najwyższą zakonnicą, jaką widziałam. Była też bardzo śniada i koścista, z wielkimi przednimi zębami w pociągłej twarzy, która upodabniała ją do konia. Jednocześnie wesoła i nieśmiała, kiedy była zadowolona lub zakłopotana, co zdarzało się bardzo często, wydawała z siebie rżący śmiech, od którego drżały szyby w oknach.

W niedzielę, gdy znalazłyśmy na talerzach posypane cukrem pudrem pączki, zaczekałyśmy, aż nieśmiało pojawi się przy drzwiach, po czym zerwałyśmy się z miejsc, podniosłyśmy ją do góry i zaniósłyśmy na środek sali. Wśród krzyków i jej



głośnego śmiechu udało nam się ją podrzucić pod sufit i złapać, zanim do jadalni wpadła zaalarmowana hałasem siostra przełożona. Na widok ogromnych butów siostry Wiktorii fruwających w powietrzu usiadła przy najbliższym stole i schowała twarz w dłoniach, próbując ukryć śmiech. Zgromadziłyśmy się wokół niej, by podziękować za takie przysmaki, i znów poczułam, że znalazłam się w szczęśliwej rodzinie.

Tygodnie mijały powoli. Zima zdawała się nie mieć końca. Postanowiono, że zostanę ochrzczona na wiosnę i przystąpię do pierwszej komunii w Wielkanoc razem z grupą sześć- i siedmiolatek oraz z jedną dziewczynką w moim wieku, Teresą, której jakoś do tej pory nie udało się tego zrobić. Nie wyglądała na Żydówkę i jej tłumaczenie wydawało się wiarygodne. Od tego dnia obserwowałam ją jednak z zaciekawieniem, próbując wybadać, czy jest taka jak ja, czy nie. Dzięki temu zaskarbiłam sobie jej serdeczną niechęć. Nie mogła znieść mojego zainteresowania, które musiało się jej wydać natrętne, a jej zniecierpliwienie i obcesowość jeszcze bardziej podsycaly moje zaciekawienie. Skoro nie miała nic do ukrycia, dlaczego tak bardzo mnie nie znosiła?

Siostra Zofia uczyła nas oddzielnie i z czasem polubiłam nasze lekcje, które zwykle przeradzały się w ogniste dyskusje. Porzucałyśmy katechizm, by rozmawiać o książkach, nowych słowach, które odkryłam, o ich znaczeniu i pochodzeniu. Porównywałyśmy, zestawiałyśmy, prowadziłyśmy debaty, przeszukiwałyśmy encyklopedię i próbowałyśmy w nowy sposób wykorzystywać znane wyrażenia. Nabrałam zwyczaju spisywania długich wykazów słów, których znaczenia nie byłam pewna, i przynosiłam je co tydzień na oficjalną lekcję. Jednak częściej wybierałam późnopołudniową porę, kiedy wiedziałam, że siostra Zofia jest sama i pukałam do jej drzwi.

Wychodziłam, a w głowie aż kręciło mi się od nowych odkryć. Było tyle rzeczy, o których mogłam się wiele nauczyć! Cały wszechświat był pełen cudów. Gdyby tylko miało się czas studiować, można by poznać je wszystkie. Ludzka wiedza zdawała się nie mieć granic; mózg mógł wchłonąć ogrom informacji. Siostra Zofia wierzyła, że kiedy umrzemy, będziemy wiedzieć wszystko bez żadnego wysiłku czy wcześniejszej nauki. Popatrzymy tylko na wszechświat i w jednej chwili go pojmiemy. Perspektywa ta była oszałamiająca, ale ja chciałam wiedzieć teraz. Nie wątpiąc ani przez chwilę w słowa siostry, zamierałam się dowiedzieć o tym świecie wszystkiego, dopóki po nim chodziłam.

Pewnego późnego wieczoru siedziałyśmy z siostrą Zofią w pustej świetlicy, omawiając książkę, którą właśnie oddałam. Była to biografia Pasteura, a mnie oczy aż skrzyły się entuzjazmem.

– Kiedy dorosnę, zostanę lekarzem.

Siostra uśmiechnęła się i spojrzała na sufit z wyrazem „lepiej ty niż ja” w oczach, który bardzo mnie rozbawił.

– To na pewno bardzo szlachetny zawód i mam nadzieję, że mi wybaczysz, jeśli nie okażę zbytniego entuzjazmu. Nie mogę znieść niczego, co wiąże się z ludzkim ciałem. Dla mnie to obrzydliwe.

Zadrzała.

Wcześniej w tygodniu pokazywała na lekcji biologii przezroczą i, po kwiatach i liściach, zobaczyłyśmy fragmenty ludzkiego układu oddechowego i trawiennego. Głos siostry Zofii wyraźnie się zmienił, gdy mówiła o naszych „wewnętrznych instalacjach”. Na koniec obejrzałyśmy makabryczne kolorowe zdjęcia zarazków gruźlicy rozprzestrzeniających się w różnych organach. Uznałyśmy to za bardzo interesujące, lecz siostra Zofia nagle zbladła, wyłączyła projektor i wypadła z sali.

– Będzie wymiotować – wyszeptała Ela. – Nie może znieść widoku ludzkiego ciała. Bardzo nim pogardza. Zauważyłaś, że zawsze mówi „cielsko” zamiast „ciało”?

Zauważyłam i uznałam to za pozę. Dostrzegłam też, że jej podejście jest zaraźliwe i starsze dziewczęta okazują taką samą odrazę do własnego ciała. Spłaszczanie piersi bandażami podczas tańca było tylko jednym z jej przejawów. Nie mogły jeść w obecności siostry Zofii, ja też z trudem przełykałam pod jej ironicznym spojrzeniem. Jedzenie stanowiło zdecydowaną nieprzyzwoitą czynność, kiedy była przy nim obecna siostra Zofia. Nikt nie widział, żeby jadła, a o jedzeniu wyrażała się w najbardziej pogardliwych słowach. Było to zło konieczne, zresztą jedno z wielu. To, że udało się jej zaszczepić w dziewczętach, zawsze przecież głodnych, takie podejście, nawet jeśli okazywało się powierzchowne, świadczyło o jej ogromnym wpływie na nie. Kiedy byłyśmy same, jedzenie często stanowiło temat naszych rozmów i długo rozprawiałyśmy o dawnych ucztach.

Każda dziewczynka miała skarb w postaci zdjęcia zrobionego pewnego wiosennego dnia przed wojną w ich starym domu w górach. Ubrane w niedzielne stroje stały uśmiechnięte, trzymając w dłoni małą pomarańczę.

Zdjęcie nosiło tytuł „Dzień pomarańczy”. Jakiś kościelny dobroczyńca zjawił się ze skrzynką owoców i każde dziecko dostało po jednym. Dla wielu była to pierwsza pomarańcza w życiu i żadna z nich od tamtej pory nigdy już jej nie jadła.

– Jadłaś kiedyś pomarańcze? – zapytały mnie i z niechęcią przyznałam, że tak. Pomarańcze często gościły na naszym stole przed wojną, a Lidia przyniosła kilka jeszcze w zeszłym roku. Jadłam pomarańcze i banany, a nawet – nie do wiary – ananasa, ale w to nikt by tutaj nie uwierzył i wolałam w ogóle o tym nie wspominać.

Tamtego wieczoru w pustej świetlicy siostra Zofia, wyraziwszy swoje obrzydzenie w stosunku do ludzkiego ciała, zapytała, czy mój ojciec był lekarzem.

– To czym się zajmował? – dopytywała się, gdy pokręciłam głową. – Opowiedz mi o nim.

Zawahałam się. Nie rozmawiałam o ojcu z nikim z wyjątkiem Zosi. Jak można rozmawiać o rodzicach z kimś, kto nigdy ich nie poznał? Jak opisać najbardziej znaną, najbardziej kochaną i podziwianą osobę, by rozmówca nam uwierzył?

Powoli zaczęłam mówić. O naszym mieście przed wojną, o mamie i Stefie, o naszym domu, młynie, parku... O dziadkach i cici Heli, która zabiła się, bo traciła wzrok, o Zydze, który chorował na cukrzycę i ćwiczył na mnie dżudo, o Rysiu, który był taki mądry i znał pięć języków. Ale przede wszystkim o ojcu.

Kiedy dotarłam do getta, głos mi się załamał. Siostra Zofia zgasiła wszystkie światła, podniosła roletę i otworzyła okno. Do dusznego pokoju wpadł mroźny powiew zimy i instynktownie przysunęłyśmy się do siebie.

– Opowiedz mi o getcie – powiedziała, opierając głowę o ramę okna.

Z niepokojem przyjrzałam się jej twarzy. Jeśli okaże choć cień obrzydzenia, jeśli moja historia przyprawi ją o nudności... znienawidzę ją do końca życia. Ale wyraz jej twarzy nie uległ zmianie, a wkrótce zrobiło się zbyt ciemno, by cokolwiek zauważyć. Opowiadałam o naszych wędrówkach od jednego pokoju do drugiego, o chorobie ojca, o jego straszliwym kaszlu i odmrożonych stopach, o głodzie i o gromadach żebraków umierających codziennie na ulicach. O poronieniu mamy i dziecku Rózi, o biednej Racheli i wyjąłym, szalonym Eliaszu, o pani Kraut. I o ostatnich strasznych dniach w piwnicy. O mojej ucieczce z getta ponad rok temu i o listach ojca, które przestały przychodzić zeszłej jesieni.

Słowa wylewały się ze mnie jak krew, nierównym strumieniem, gorącym i bezładnym. Pot płynął mi po plecach, ręce miałam zimne i zdrętwiałe, lecz głowa mi płonęła. Kiedy skończyłam i w głowie kręciło mi się ze zmęczenia, poczułam tylko ogromną ulgę. Ropień pękł, ogromny ciężar kłamstw i obaw, który dźwigałam przez cały czas, ulotnił się. Oparłam się o ścianę, zamknęłam oczy, a głowę miałam lekką ze szczęścia.

Siostra Zofia stała bez ruchu przez długi czas, wpatrując się w śnieżną noc. Wiatr poruszający jej welonem był jeszcze silny, ale pojawiał się w nim cień przedwiosennej łagodności. Gdzieś tam śniegi topniały, lody pękały na rzekach, a ziemia budziła się z długiego snu. Nadciągała wolność. Po raz pierwszy nie miałam żadnych wątpliwości, że koniec wojny jest bliski.

– Twój ojciec musiał być... musi być... wspaniałym człowiekiem. Mam nadzieję, że niebawem go poznam... i twoją mamę też.

– Na pewno – obiecałam. – Przyprawdzą ich do siostry, jeśli nie przyjadą tutaj mnie szukać.

– Trzymam cię za słowo – uśmiechnęła się i nagłym niezgrabnym ruchem pogładziła mnie po głowie. Potem zakłopotana tą niespotykaną oznaką czułości spojrzała na zegarek i krzyknęła z przerażenia. – Już po północy! Wielkie nieba! Zmykaj do łóżka, szybko!

Wybuchnęłam śmiechem i popędziłam na górę lekka jak piórko.

– Kocham siostrę Zofię – śpiewałam bezgłośnie, zrzucając ubranie w ciemnej sypialni. – Kocham i uwielbiam. Jakże słusznie wybrała sobie imię!

Położyłam się na wznak ze złączonymi stopami i rękami skrzyżowanymi na piersiach. Siostra Zofia powiedziała kiedyś, że powinnyśmy spać w takiej pozycji na wypadek, gdybyśmy umarły we śnie.

– Nie chcecie chyba stanąć przed Bożym tronem w nieprzyzwoitej pozycji?

Nie myślałam, że dobry Bóg poczuje się urażony, jeśli pokażę mu się, leżąc na brzuchu, ale siostra Zofia chciała, byśmy spały jak posągi na starych królewskich grobach, a chcąc sprawić jej przyjemność, byłam gotowa zamienić się w kamień.

Na początku marca cały dom ogarnęła epidemia grypy. Jedna po drugiej siostry i dziewczynki kładły się do łóżek, a kiedy tylko trochę doszły do siebie, wstawały, by zająć się nowymi chorymi. Maluchy cierpiały najbardziej i na zmianę czuwałyśmy w nocy w ich sypialni. Kiedy przyszła moja kolej, wzięłam lampę naftową, i książkę i na paluszkach przeszłam przez uspioony dom. W łóżeczkach i na prymitywnych drewnianych pryczach dzieci rzucały się w gorączce z czerwonymi opuchniętymi buziami. Kiedy pochylałam się nad nimi i wygładzałam im pościel, czułam falę gorąca unoszącą się z każdego ciała niczym z rozpalonego pieca. Usiadłam na pustym łóżku, słuchając chrapliwych oddechów, czekając na atak kaszlu jednego z najmłodszych, którego płuca zawsze budziły obawy, i miałam nadzieję, że żadne z nich nie zacznie się teraz dusić ani nie umrze.

Franka, rozpalona od gorączki, rzucała się na łóżku i usiadłam obok niej, próbując ją przytulić. Jej miedziane włosy, nieskazitelne mimo choroby, otaczały jej czerwoną buzię niczym ognista aureola. Nagle usiadła i spojrzała na mnie szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami.

– Mam na imię Sara – powiedziała bardzo wyraźnie, położyła się i zapadła w głęboki sen.

Szybko rozejrzałam się dookoła, ale nikt nie był na tyle przytomny, by usłyszeć, co powiedziała. Przykryłam ją kocem aż po nos i poklepałam po pupie.

– Jesteś Franka, moja mała, nie zapominaj o tym.

Kilka dni później sama leżałam w łóżku, razem z większością starszych dziewcząt. Drzemałyśmy, znudzone i przygnębione bezczynnością, jednak zbyt słabe, by wstać. Nagle na schodach rozległ się stukot podkutych butów, potem pukanie do drzwi i z okrzykiem radości do pokoju wszedł ojciec Cezary. Pisnęłyśmy i gdy połowa z nas podskoczyła na łóżkach, druga zanurkowała pod pościel z piskiem zaskoczonych skromności.

Ojciec Cezary, młody franciszkanin, był przyjacielem domu i składał nam regularne wizyty, by nas pocieszyć. Śpiewał, zadawał zagadki, opowiadał historie, organizował hałaśliwe gry i zabawy, gonił nas po schodach z ogłuszającym stukotem butów i nawet wskakiwał na ławki, dopóki zakład na dole nie poskarżył się, że pęka u nich sufit. Teraz oświadczył, że odwiedza chorych, i usiadł na stole po turecku, podwijając sutannę. Przyniósł duży bukiet polnych kwiatów, które położył nieśmiało na kolanach.

– Przepraszam, że nie przyniosłem wam nic ciekawszego. Sam zerwałem je rano. Dam jeden kwiatek każdej z was, ale naprawdę musicie wyjść spod tych koców – namawiał nas, patrząc na kilka wiercących się kupek. – No, proszę – błagał. – Pokażcie

buzie. Przecież już je widziałem i wcale to mną nie wstrząsnęło. Przeżyję jeszcze jedno spojrzenie.

Kupki powierciły się jeszcze bardziej i jęknęły z przerażenia.

– Tylko wasze buzie, proszę – błagał ojciec Cezary, schodząc ze stołu i podchodząc do najbliższego łóżka. – No, Marto, wiem, że tam jesteś. Widziałem cię. Dziewicza skromność jest godna pochwały, ale nie ma sensu się przez nią udusić.

Chwytał za róg koca i pociągnął. Szkarłatna twarz Marty pojawiła się na krótko, krzycząc z udanego przerażenia i walcząc, by znów znaleźć się pod kocem. Ojciec Cezary ze śmiechem wsunął jej żonkila we włosy, kiedy nagle z hukiem otworzyły się drzwi i do środka wmaszerowała siostra Blanka.

W jednej chwili śmiech zamarł nam na ustach. Ojciec Cezary odwrócił się, a jego twarz spoważniała. Nagle wyglądał jak wyrośnięty uczeń przyłapany w kinie przez wychowawcę.

– Ojciec Cezary! – Słyszając oburzenie w głosie siostry zadrżałyśmy i w milczeniu wsunęłyśmy się pod koce, ukrywając twarze. Ojciec Cezary wyszedł ze spuszczoną głową. Siostra Blanka podążyła za nim, sycząc w naszą stronę „Wstydzcie się!”

– Nigdy go już nie zobaczymy – powiedziała żałośnie jedna z dziewcząt. I nie zobaczyłyśmy, przynajmniej do końca naszego pobytu w Warszawie.

Rozdrażniona zastanawiałam się, dlaczego musimy zwracać się do niego „ojciec”, gdy nie wolno mu się zachowywać jak ojcu. I dlaczego byłyśmy „nieprzyzwoite” w przypominających namioty koszulach nocnych, a w kusych sukienkach nie.

Siostra Blanka, zastępująca siostrę Adelajdę w infirmerii, była jedyną siostrą, która mieszkała w klasztorze jako dziewczyna, jeszcze przed złożeniem ślubów. Przerażała mnie tak samo jak inne dziewczęta. Mówiono o niej, że potrafi sprawić ból nawet przy najdrobniejszym zabiegu, i dziewczęta wołały cierpieć w milczeniu i czekać na powrót siostry Adelajdy z jednej z jej licznych podróży, zamiast prosić siostrę Blankę o pomoc w wyjęciu drzazgi lub opatrzeniu oparzenia. Powszechna opinia głosiła, że siostra jest twarda jak kamień, i miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała się z nią stykać.

Siostra przełożona przyniosła mi paczkę z jedzeniem od Eryka, która rozjaśniła moją rekonwalescencję, i krótki list z wiadomością, że „w domu” wszystko dobrze. Od mojego przyjazdu siostra przełożona regularnie odwiedzała Eryka raz w miesiącu, dostarczając mu moje listy i przynosząc wszystko, czego potrzebowałam. Nigdy nie pytał jej, skąd pochodzi.

Również w tym czasie odkryłam powód, dla którego jedzenie w poprzednim klasztorze było tak okropne. Niemcy kazali bowiem, by najstarsze dziewczęta pojechały na roboty do Niemiec. Siostra przełożona odmówiła. Niemcy zagrozili, że zabiorą im wszystkie kartki żywnościowe. Siostra przełożona pozostała nieugięta

i kartki zabrano. Od tamtej pory klasztor musiał liczyć tylko na siebie, sprzedając większość swoich produktów, by kupić potrzebne jedzenie, i jedząc to, co nie nadawało się do sprzedaży. Ale Stara Gwardia była bezpieczna.

Nadeszła wiosna. Tydzień przed Wielkanocą poszłam z siostrą Zofią do domu dziecka na drugim końcu Warszawy, gdzie ochrzcił mnie bardzo stary i trzęsący się ksiądz. Siostra, moja matka chrzestna, zawiesiła mi na szyi srebrny medalik i nieoczekiwanie mnie uściskała. Potem, gdy czekała na korytarzu, uklękałam i wyznałam wszystkie grzechy, które przed chwilą zmył mój chrzest.

– To tylko środek ostrożności – wyjaśniła mi wcześniej siostra. – Żebyś w przyszłym tygodniu nie musiała mówić naszemu kapelanowi, że to twoja pierwsza spowiedź. Nie ma sensu wzbudzać jego ciekawości.

Zgodziłam się. Nie lubiłam naszego kapelana tak bardzo, jak tylko ośmielałam się nie lubić duchownego. Był otyłym, sapiącym mężczyzną o rumianej, pełnej dołeczków twarzy i bladobłękitnych oczach. Został mianowany kapelanem klasztoru dopiero w Warszawie i nie mieszkał w górach. Traktowano go więc jako obcego. Jego sposób bycia z pewnością utrudniał nawiązanie bliższych więzi. Najwyraźniej czuł się nieswojo w obecności dzieci i odnosił często uzasadnione wrażenie, że jedyna droga do naszych serc prowadzi przez żołądek. Dlatego też kiedy tylko mieliśmy się okazać spotkać, wyjmował garść landrynek i rozdzielał je bezładnie, po czym oddalał się szybko z zadowoloną miną człowieka, który spełnił dobry uczynek. Landrynki były zawsze roztopione, pokryte kłaczkami i tytoniem. Choć byłyśmy głodne, zawsze dawałyśmy je maluchom, które połykały wszystko, co choćby w minimalnym stopniu nadawało się do jedzenia.

Kapelan myślał o jedzeniu nawet w kościele. W jego wygłaszanych monotonnym głosem kazaniach, których wymowę podkreślał automatycznymi ruchami tłustych rąk, zawsze były aluzje do Jedzenia lub Pokarmu.

– Tak jak jedzenie jest niezbędne dla waszego ciała, tak Boski Pokarm jest niezbędny dla waszej duszy.

Ileż to razy słuchałam tych słów wychodzących z różowych, tłustych ust niczym bańki mydlane ze słomki. Przy akompaniamencie burczenia w naszych brzuchach kapelan rozwijał ten apetyczny temat, nie zważając na kamienny wyraz naszych twarzy i kanibalistyczny błysk w oczach maluchów. Patrzyły na niego, śliniąc się, jakby był wielką lalką z różowego marcepanu. Byłam pewna, że marzą o małym kąsku tylko po to, by sprawdzić, czy jest słodki.

Nie, zdecydowanie mądrzej było o niczym mu nie wspominać. Trzymając siostrę Zofię za rękę, maszerowałam ulicami Warszawy, wdychając ostre wiosenne powietrze. W parkach zaczynały kwitnąć bzy. Zieleniła się trawa, niebo było bardzo wysoko, blade i czyste, pełne postrzępionych chmur, które goniły się jak baranki. Trzymałam



głowę wysoko i gadałam jak najęta. Teraz nikt nie mógł mnie skrzywdzić. Zostałam ochrzczona i otrzymałam rozgrzeszenie. Moja dusza była nieskazitelnie czysta. Gdybym umarła w tej chwili, poszybowałabym do nieba jak rakieta. Już nigdy nie znajdę się w stanie tak wielkiej łaski i czystości. Postanowiłam oczywiście nigdy nie popełnić grzechu ciężkiego, ale nawet powszedni pozostawi niewielką plamkę na mojej świeżo oczyszczonej duszy, a chciałam ją utrzymać w czystości jak najdłużej. Może na zawsze, jeśli będę bardzo uważać... To prawda, że nawet święty popełniał grzechy – siedemdziesiąt siedem dziennie? – ale na pewno mogłam się postarać i ograniczyć swoje do minimum.

W końcu miałam ogromne szczęście. Większość ludzi przyjmowała chrzest na długo przedtem, zanim mogła pojąć, co to oznacza, podczas gdy ja mogłam w pełni docenić ten sakrament i starać się żyć zgodnie z jego nakazami. Kręciło mi się w głowie. Czułam się pijana wiosennym powietrzem, nagłą swobodą ruchów, wolnością od strachu i przytłaczającą radością z powodu przystąpienia nareszcie do Kościoła Chrystusowego.

Siostra Zofia zatrzymała się przed dużym szarym budynkiem.

– Odwiedzimy siostrę Blanę. W zeszłym tygodniu przeszła poważną operację i bardzo się ucieszy z naszej wizyty. A ty będziesz miała wytłumaczenie dla dziewcząt. Kiedy cię zapytają, gdzie byłaś, powiesz, że poszłaś odwiedzić siostrę Blanę. Nie będziesz musiała kłamać zaraz po spowiedzi.

Znalazłyśmy siostrę w środku długiego oddziału, gdzie łóżka niemal się stykały. Ich rząd stał nawet w przejściu na środku sali. Wiosenne słońce wpadające przez wysokie okna traciło całą swoją wesołość w gęstym zapachu choroby. Rozglądałam się dookoła w strachu, że robi mi się niedobrze, ale przede wszystkim bałam się, iż nagle na następnym łóżku zobaczę coś tak przerażającego, że zacznę krzyczeć. Ale nie było nic do oglądania. Pacjentki przykryte po szyję leżały spokojnie, czytając, śpiąc lub gawędząc z sąsiadkami.

Kiedy siostra Zofia zatrzymała się przy jednym z łóżek, ze zdumieniem przyjrzałam się zajmującej je kobiecie. Bez kornetu i welonu nigdy nie rozpoznałabym siostry Blanki. Jej twarz wydawała się większa i mocniejsza, wysokie kości policzkowe i kwadratowa szczęka wyglądały niemal męsko. Jednak najbardziej zaskakujący był gęsty siwy warkocz leżący na pościeli, sięgający niemal do kolan. Spodziewałam się, że będzie miała ogoloną głowę. Może jednak obcinali im włosy tylko na początku, a potem pozwalali im rosnąć.

Siostra Zofia wydawała się równie speszona ogólną atmosferą jak ja. Skupiła się na siostrze Blance z desperacją osoby, która oddycha głęboko, starając się powstrzymać nudności. Siostra Blanka ze szczegółami opowiedziała o swoich przejściach i wylała

z siebie całą litanię skarg, nie zwracając zupełnie uwagi na to, że coraz bardziej bledniemy.

Była operowana z powodu „pływającej nerki” i choć nie widziała blizny, czuła się tak, jakby rozcięli ją od krzyża po łopatkę.

– Na ukos – szepnęła. – Chciałabym wiedzieć, gdzie jej szukali. Przecież nie popłynęła mi do piersi? A teraz muszę leżeć na wznak w tym straszliwym bólu. Nie mogę leżeć na brzuchu. Duszę się. A pielęgniarki są takie niemiłe. – W tej chwili zbliżyły się dwie młode pielęgniarki i skinęła na nie niecierpliwie. – Zsuwam się. Możecie mnie podciągnąć?

Pochyliły się nad nią, splotły dłonie za jej plecami i powoli podniosły ją na poduszki. Jęknęła, wbiła im paznokcie w ręce, a one tylko się uśmiechnęły i uciszyły ją jak dziecko.

Kiedy poszły, spojrzała na nas triumfalnie.

– Widziałyście? Żadnych uczuć, żadnego współczucia, najmniejszej troski o pacjenta. Jestem tylko kolejną bryłą w łóżku.

Siostra Zofia, blada jak ściana, oddychała szybko, a na jej czole pojawiły się kropelki potu. Starsza kobieta na łóżku obok nagle wysunęła nogę spod pościeli. Duży palec był cały czarny. Nie mogłam oderwać od niego oczu.

– Gangrena – szepnęła, zbliżając przerażający palec, byśmy się mogły lepiej przyjrzeć. Siostra Zofia chwyciła mnie za rękę.

– Musimy już iść – mruknęła przez zaciśnięte zęby i ciągnąc mnie za sobą, wybiegła z sali.

Na zewnątrz oparła się o ścianę i z zamkniętymi oczami oddychała głęboko, przyciskając dłonie do brzucha.

– Boże, zmiłuj się nad nami – wymamrotała w końcu. – Nigdy nie mogłabym pracować w szpitalu. A ty? – Jej twarz powoli nabierała kolorów. – Co z twoimi ambicjami na przyszłość?

– Na pewno się przyzwyczaję – mruknęłam. – A kiedy już zostanę lekarzem, wyleczę gardło siostry.

Spojrzała na mnie zdumiona, a potem roześmiała się swoim okropnie zachrypniętym głosem.

– Danką, mam nadzieję, że wszystkie twoje plany nie będą tak próżne jak ten. Bardzo ci dziękuję, to miłe z twojej strony, ale obawiam się, że mojemu głosowi nic już nie pomoże.

Spojrzałam na nią głęboko rozczarowana. W moim obecnym nastroju nic nie było niemożliwe. Mogłam działać cuda.

– A co jest z nim nie tak? – zapytałam, zapominając o manierach i strachu przed

siostrą, który powinien był mnie powstrzymać przed zadaniem tak osobistego pytania.

Przyjrzała mi się, marszcząc brwi, a potem ujmując mnie za rękę, ruszyła szybko zatłoczoną ulicą.

– Wiele lat temu pękły mi struny głosowe – powiedziała nagle, a jej głos, normalnie pozbawiony tembru, zabrzmiał jeszcze głębiej od powstrzymywanych emocji. – Miałam dobry głos, Boże wybac mi moją próżność. Śpiewałam w dużym chórze, w kościołach. Często jako solistka. Śpiewałam z całego serca i duszy, dawno temu, gdy byłam jeszcze młoda. Jednak zbyt szybko wysilałam głos i pewnego dnia go straciłam. Teraz chrypię, gdy tylko otworzę usta, i mój własny głos przyprawia mnie o dreszcze. Ale to tylko część mojego ciała; głos fizyczny, nieważny. Jeśli nie mogę nim chwalić Pana, mogę to robić na inne sposoby.

Nadal nie byłam przekonana.

– Ale lekarze... nie mogli czegoś zrobić? Czy tego naprawdę nie da się wyleczyć?

– Lekarze zalecili długą kurację w ciepłym klimacie. Przepisali mi wyjazd do Włoch lub na południe Francji.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się ironicznie.

– Dlaczego siostra nie pojechała? Czy to nie było ważne? Najważniejsze?

Roześmiała się.

– Naprawdę, Danusiu, musisz spojrzeć na te rzeczy z odpowiedniej perspektywy. Nie wierzysz chyba, że mój biedny zakon wydałby pieniądze na wysłanie mnie, lub jakiegokolwiek innej siostry, żeby leczyła gardło na południu Francji lub we Włoszech? Nie jesteśmy bogate. Grzechem byłoby marnotrawić nasze skromne środki na takie zbytki. Nigdy bym tego nie przyjęła, nawet gdyby mi zaproponowali. Ale oczywiście nikt tego nie zrobił. Poza tym taka była wola Boża. Może byłam zbyt dumna z mojego śpiewu, a On w swojej mądrości odebrał mi głos, żebym nie miała okazji grzeszyć? Kto wie? Nie nam kwestionować jego wyroki.

Zastanawiałam się nad tym przez resztę drogi. Pomimo wyraźnej szczerości siostry Zofii buntowałam się i nie byłam usatysfakcjonowana jej pogodzeniem się z utratą głosu. A co z przypowieścią o talentach? Jeśli Bóg dał ci talent – zrównywałam monetę z darem, nieświadoma różnicy w znaczeniu – obojętnie jaki, czyż naszym obowiązkiem nie było go strzec, rozwijać i wykorzystywać na chwałę Bożą? Czy nie było złem zaniedbywać Boży dar, marnować go lub pozwolić zaniknąć bez odpowiedniej troski? Myślałam o rodzicach, którzy tak rozpaczliwie starali się dbać o moje zdrowie, życie i rozwijać te wszystkie zdolności, jakie posiadałam. Czy katoliccy rodzice nie robią tego samego dla swoich dzieci?

W niedzielę wielkanocną w domu panowała anielska atmosfera. Od wielu dni przygotowujemy się do wielkiego wydarzenia. Każda dziewczynka w tajemnicy odwiedziła każdą siostrę, którą mogła obrazić w ciągu minionego roku, i prosiła o wybaczenie. Stare spory zostały zażegnane; wrogowie uścisnęli sobie dłonie, przysięgając przyjaźń na wieki. Prześcigałyśmy się w uprzejmości i pomaganiu drugim i niemal przez cały czas milczałyśmy. W niedzielę powitałyśmy się słowami „Chrystus zmartwychwstał”, zamiast zwyczajowego „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, i popędziłyśmy do maluchów, żeby pomóc im się ubrać. My z Teresą miałyśmy na sobie przydługie sukienki z ciężkiego białego płótna przymarszczone w pasie i na biodrach. Zwisały bezładnie z naszych wychudzonych sylwetek. Nie miałyśmy welonów, tylko wianuszek z asparagusu i białych goździków na włosach.

Siostra przełożona dała mi piękny modlitewnik w lśniącej białej okładce. Siostra Małgorzata przysłała biały różaniec. Kilka dziewcząt dało mi obrazki świętych z pobożnymi napisami z tyłu. Szybko obrastałam w rekwizyty typowego katolickiego dziecka i moje szczęście rosnęło z każdym nowym prezentem.

Nasza kapliczka wypełniona była białymi kwiatami i wysokimi świecami. Stojące przed nami małe dziewczynki przystępujące do pierwszej komunii w białych sukienkach, welonach i wiankach, wyglądały jak przeobrażone. Przyglądałam się ich buziom, zaskoczona malującą się na nich powagą. Siostra Adelajda zapaliła im świece i raz jeszcze ostrzegła, by były ostrożne i trzymały płomienie z dala od welonów. Rozpoczęła się msza.

Stłoczona razem z innymi w niewielkiej kaplicy próbowałam się koncentrować na mszy i na moich własnych modlitwach, ale nie mogłam się do końca skupić. Wiedziałam, że powinnam być znacznie bardziej podekscytowana i szczęśliwa z powodu zbliżającej się komunii, jednak nagle poczułam się niepewna swoich uczuć. Gdyby tylko ktoś z mojego drugiego – prawdziwego – życia mógł tutaj być. Eryk, chłopcy albo Zosia, a najbardziej, choć to wymagałoby cudu, rodzice. Ale cuda się nie zdarzają.

Gdyby wolno mi było okazywać radość w ciągu minionych tygodni, rozmawiać o tym z dziewczętami, może teraz byłabym bardziej wzruszona. Ale po przymusowym milczeniu i tajemnicy otaczającej chrzest i na wpół tajnych przygotowaniach do dzisiejszej uroczystości czułam, że umknęło mi coś ważnego.

To była osobista sprawa między mną a Bogiem i miałam nadzieję, że On da mi znak, że jakoś poczuję Jego obecność przed zakończeniem mszy, żebym nie czuła się tak całkiem sama.

Przy barierce przed ołtarzem nie otrzymałam żadnego znaku. Nie rozbłysło oślepiające białe światło, w duszy nie zagrała mi muzyka. Kapelan gędził jak zwykle, jego pulchne ręce zbliżyły hostię do moich ust i wróciłam na swoje miejsce, nie mogąc jej przełknąć. Ukryłam twarz w dłoniach i z całego serca modliłam się, by Coś się wydarzyło.

Kiedy po kilku długich minutach otworzyłam oczy, pierwszą rzeczą, jaką ujrzałam, był jasny płomień unoszący się z głowy małej Alicji. Jej satynowa kokarda zapaliła się od świecy, lecz modlące się z pochylonymi głowami dziewczynki niczego nie zauważyły. Patrzyłam sparaliżowana. Czy powinnam się zerwać z miejsca i przepchnąć przez tłum? Jakaś cząstka mnie popychała mnie do czynu, podczas gdy inna kuliła się w obawie przed wywołaniem zamieszania. Moje wahanie trwało ledwie sekundę. Zanim zdecydowałam się coś zrobić, siostra Adelajda rzuciła się do przodu i zdusiła płomień w dłoniach. Dzieci prawie się nie poruszyły. Większość z nich, w tym Alicja, nawet nie wiedziały, co się stało.

Kiedy msza dobiegła końca, zostałam w kaplicy, modląc się żarliwie. Modliłam się za rodziców, składając niezliczone przysięgi, ofiarowując swoje życie i wszystkie przyszłe prace jako zapłatę za ich przetrwanie. Byłam gotowa na każdą ofiarę. Gdybym musiała umrzeć, na to też byłam gotowa, gdybym tylko mogła ich raz zobaczyć przed śmiercią. Błagałam, targowałam się, przekonywałam, wyłudzałam i w końcu niewiele spokojniejsza niż przedtem wstałam, żeby wyjść.

Kiedy odwróciłam się przy drzwiach, by przyklęknąć po raz ostatni, zauważyłam jeszcze jedną osobę pogrążoną w modlitwie w odległym kącie kaplicy. Siostra Zofia modliła się ze mną. Ta świadomość napełniła mnie nagłym spokojem i pewnością, jakich na próżno szukałam we własnej modlitwie. Wróciłam do świetlicy spokojna i szczęśliwa, dokładnie tak jak wyobrażałam sobie siebie po pierwszej komunii.

Lato nadeszło bardzo szybko, przynosząc ze sobą falę upałów. Niewielką przestrzeń za naszym podwórkiem zamieniono na ogród warzywny i wolno nam było się tam bawić. Dostałam wielki słomkowy kapelusz, który skrywał moją twarz przed spojrzzeniami ludzi z sąsiednich domów. Musiałam wyglądać jak grzyb na dwóch nogach, gdy wędrowałam wśród grządek lub leżałam na kocu, przyglądając się bacznie otaczającym mnie oknom. Zżerała mnie ciekawość. Co się działo za lekkimi białymi firankami? Kto tam mieszkał, co robił? Tęskniłam za widokiem zwyczajnego życia, rodziny, spokoju i bezpieczeństwa w świecie, w którym nikt nie musiał walczyć o swoje miejsce.

Tymczasem nadciągała inna walka. Front wschodni zbliżał się do Warszawy. Niemcy wycofywali się. To wyglądało niewiarygodnie, ale można było zobaczyć, jak jada na zachód na furmankach wyładowanych tłumokami. Pociągi z rannymi żołnierzami bez końca jechały ze wschodu na zachód. Uliczne egzekucje, aresztowania i łapanki codziennie zaskakiwały mieszkańców nową gwałtownością. I zanim jeszcze krew wyschła na chodnikach, pomimo niemieckich wartowników pojawiały się świeże kwiaty, by oznaczyć każde miejsce męczeństwa. Niewidzialnymi pędzlami malowano hasła głoszące, że ofiary zostaną pomszczone, każda śmierć została policzona i dzień sądu się zbliża.

Niemal co noc nadlatywały bombowce, zrzucając ładunek nad miastem. Sen stał się niemożliwy. Czekałyśmy ubrane, szepcząc nerwowo na łózkach. Czasami bomby spadały, zanim zawyła syrena, i pędziłyśmy jak oszalone do sypialni maluchów, gdzie każda z nas miała swoją podopieczną. Budziłyśmy je, owijałyśmy kocami i wrzeszczące i kapiące zносиłyśmy po długich kamiennych schodach do piwnicy.

W tym czasie zniechęciłam Frankę tak samo, jak ona musiała zniechęcić mnie. Była teraz dużym, mocno zbudowanym dzieckiem, bomby zupełnie jej nie przeszkadzały i nie budziła się mimo całego tego hałasu. Była zbyt ciężka, by ją nosić, i co noc toczyłyśmy zażartą walkę w ciemnym pokoju, podczas gdy bomby gwizdały i wybuchały, samoloty nurkowały, a od terkotu artylerii przeciwlotniczej trzęsły się szyby w oknach.

Za każdym razem, kiedy udało mi się ją postawić i owinać kocem, znów opadała na łóżko i nie chciała się ruszyć. Ciągnęłam ją na wprost szlochającą z wściekłości po ciemnych schodach, gdzie budziła się po kilkukrotnym zderzeniu z poręczą, a potem biegła z wrzaskiem na dół, ciągnąc mnie za sobą. Już w piwnicy chowała się w kącie i znów zasypiała, a ja brałam inne dziecko na kolana i tuliłam je, dopóki znów nie zawyła syrena.

Czasami razem z Elą i Wierą udawało nam się zostać w jednym z pokoi na górze już po zgaszeniu świateł. Otwierałyśmy wtedy duże okna i wychodziłyśmy na balkonik nad ulicą. Leżąc na brzuchu, rozmawiałyśmy szeptem o nadciągającej walce. Czasami słyszałyśmy ogień artyleryjski zza Wisły, głęboki warkot i stłumione eksplozje i zastanawiałyśmy się, czy być może tego wieczoru przekroczą rzekę. Nie mogłyśmy znieść myśli, że tego nie zobaczymy, i siedziałyśmy tam, dopóki kolejny alarm nie przepędził nas do piwnicy.

Raz udało mi się zostać na balkonie. Nalot zaczął się tak gwałtownie, że bałam się ruszyć. Oślepiające kiście fosforyzującego światła fruwały nad naszą ulicą, zamieniając noc w jasny dzień. Tuż po nich spadły bomby, a nad czarnymi konturami budynków wykwitły bukiety ognia.

Wysoko na czarnym niebie snop reflektorów przeciwlotniczych uwięził nagle mały srebrny samolot. Na jedną krótką chwilę maszyna zawisała przytrzymywana przez kilkanaście promieni światła jak srebrna gwiazda na gotyckim łuku ogromnej katedry. Potem znikła, a łuki opadły, krzyżując się i przesuwając w poszukiwaniu innej gwiazdy, która znów je zatrzyma.

Modliłam się o bezpieczeństwo pilota, a potem, gdy bomby spadły bliżej, także i o nasze. Byłoby strasznie zginąć teraz, gdy koniec był tak bliski.

Za dnia obserwowałyśmy z wielkim zaciekawieniem dziwne rzeczy, które się działy w opuszczonej oficynie naszego domu. Jakby znikąd pojawiły się młode dziewczyny, które zamiatały i szorowały puste podłogi, bieliły ściany i myły to, co zostało z okien. Na próżno wypytywałyśmy siostry, które wydawały się równie zaciekawione jak my.

– Pewnie otworzą tu nowy zakład – powiedziała nam pewnego dnia siostra przełożona. – Niedługo się sprowadzą.

Ela, Wiera i Tamara nie były przekonane. Wiera, która niedawno wróciła z wizyty u krewnych, nie mogła opanować podniecenia. Tańczyła po domu, rozpromieniona z radości, ale za nic nie chciała zdradzić sekretu.

– Niedługo się dowiecie, już bardzo niedługo – obiecywała nam co dnia.

W klasztorze zapanował dziwny niepokój. Dziewczęta rozmawiały o ucieczce. Pięć wysłanych do sanatorium na początku roku wróciło bez zapowiedzi. Większość drogi przeszły piechotą. Mosty na rzece zostały zniszczone podczas ostatniego nalotu. Dworzec kolejowy był uszkodzony. Miasto kipiało z podniecenia. Niemieccy „osadnicy” wędrowali na zachód w coraz większej liczbie, a zawsze dowcipni gazeciarze zwracali się do żandarmów per „Panie Tymczasowy”

Jeden z urwisów zatrzymał Wierę w drodze powrotnej do domu i szepnął tajemniczo:

– Panienko, znam sekret...

– Jaki?

– Hitler jest w ciąży, będą małe Niemcy! – krzyknął i zniknął za rogiem.

Upalne dni lipca powoli się kończyły. W ostatnią niedzielę albinoska Renia i okropnie chuda Marta zniknęły z domu. Obie przebywały w klasztorze niemal od urodzenia i nie miały rodziny. Renia, z białymi włosami, niebieskimi oczami w czerwonych obwódkach i okropnym zapachem wydobywającym się z płaskiego nosa, nigdy nie była popularnym dzieckiem. Miała bardzo słaby wzrok, a jej oczy stale tańczyły na boki. Żyła w nieustannym strachu, że rozbije okulary i nie mogłyśmy pojąć, jak zebrała się na odwagę, by wyjść z domu.

Marta z kolei była na tyle głupia, by odważyć się na wszystko. To ona głównie mnie prześladowała i cieszyłam się, że zniknęła. Wysoka i chuda, miała długie jasne włosy, skośne zielone oczy i najwyższe, najbardziej „alabastrowe” czoło, jakie widziałam. Jej złośliwość wydawała się czasem nadprzyrodzona. Niedługo po tym, jak stałam się ofiarą jednego z jej ataków, niechętnie postanowiłam zrewidować moje równanie z dzieciństwa, że piękno = dobroć = mądrość, a brzydota = niegrzeczność = głupota.

Stefa, moja niania sprzed wojny, głęboko wierzyła w to równanie: „Jesteś brzydką dziewczynką”, mawiała, gdy chodziło jej o to, że byłam niegrzeczna. „Nie dotykaj tego, to jest brudne, brzydkie, paskudne...” A kiedy byłam wyjątkowo grzeczna: „No, moje śliczne dziecko”. Każdy brzydki postępek niestety odbijał się na mojej urodzie.

Obojętne, czy chodziło jej o duchową urodę, czy brzydotę, sposób, w jaki to pojmowałam, był czysto fizyczny. Kaleki żebrak przed kościołem musiał być wcześniej niedobry. Dziecko z okaleczonym przez polio ramieniem zostało ukarane za uderzenie rodzica. Niskie czoło oczywiście oznaczało niski poziom inteligencji, a wysokie – mądrość. Romantyczne bohaterki brukowych powieści Stefy zawsze miały wysokie alabastrowe czoła, długie białe szyje i bardzo długie, szczupłe palce. Odnalazłam wszystkie te cechy w Marcie, lecz Marta była bez wątpienia idiotką.

Z drugiej strony nikt nie mógł nazwać siostry Zofii piękną, a jednak była uosobieniem mądrości i pokochałam ją wbrew sobie. Jej wygląd nadal mną wstrząsał, głos trzeszczał w uszach, bałam się jej ostrego języka i wolałabym umrzeć niż zdradzić się z uczuciami do niej. Jednak wymyślałam misterne plany, by spędzić kilka minut w jej pokoju, szukałam w książkach nieznanymi słów lub niejasnych wyrażen, a w pamięci pytań, na które mi nie odpowiedziała, co dawało mi stosowną wymówkę, by zapukać do jej drzwi.

Robiąc to, ryzykowałam, że zrażę do siebie inne dziewczęta. Wszystkie były strasznie zazdrosne i tropiły wszelkie oznaki faworyzowania. Gdyby to się wydało, moje życie stałoby się udręką. O dziwo, zazdrość nie dotyczyła siostry przełożonej.



Była czuła i łagodna, bardzo przystępna, zawsze gotowa poradzić lub pocieszyć i chodziłyśmy do niej w każde niedzielne popołudnie, by kilka minut pogawędzić.

Pozostałe siostry miały swoje ulubione dziewczynki, tak jak dziewczynki miały swoje ulubione siostry. Taką sytuację akceptowano z odrobiną żartobliwych docinków i bez złośliwości. Ale siostra Zofia była inna. Wyróżnienie przez nią z jakiegokolwiek powodu oznaczało natychmiastowy odwet ze strony całej grupy i trzeba było natychmiast za to odpokutować, popełniając jakieś wykroczenie, które miało skłonić siostrę Zofię do zmiany dobrej opinii.

Odnosiłam wrażenie, że ta sytuacja czasami ją zdumiewa. Była często rozczarowana i zniechęcona koniecznością ukarania dziewczynki za jakieś umyślne przewinienie, kiedy dopiero co udzieliła jej pochwały za coś innego. Zastanawiałam się, dlaczego nie potrafi przejrzeć tej gry, dlaczego nigdy nie przyszło jej do głowy, że nasze niewytłumaczalne zachowanie ma określone przyczyny. Postanowiłam, że opowiem jej o tym pewnego dnia, kiedy będę gotowa do wyjazdu. Zastanawiałam się, kiedy to nastąpi i jak będę mogła bez niej żyć.

We wtorek pierwszego sierpnia siostra przełożona jak zwykle poszła do Eryka po pieniądze i drobiazgi dla mnie. Nadal mieszałam problemy z działkami i potrzebowałam stałego zapasu witamin. Siostra przełożona wróciła jednak z pustymi rękami, tłumacząc, że Eryka nie było w domu, ale że zostawił wiadomość, by przyszła następnego dnia. Miał jej coś ważnego do powiedzenia.

Zastanawiałam się, o co może chodzić, kiedy nagle na ulicy zapanowało zamieszanie, przed domem rozległy się strzały, a przez mur naszego podwórza przeskoczyło kilku młodych ludzi. Pobiegli przez ogród, odpychając siostry i dzieci, wspięli się na mur otaczający getto i zniknęli. Na ulicy nadal słychać było krzyki i tupot nóg.

Pobieglyśmy na górę i na podeście schodów znalazłyśmy roztańczoną Wierę.

– Zaczęło się! To prawda! – krzyknęła.

– O co chodzi? – dopytywałyśmy się, chwytając ją za ramiona.

– Powstanie! Walczymy z Niemcami, nareszcie walczymy!

Podczas pierwszego dnia powstania naszą ulicę zajęli powstańcy. Niemcy trzymali getto, a nasz ogród z otaczającym go murem znalazł się na pierwszej linii ognia. Młodzi ludzie w różnych mundurach i biało-czerwonych opaskach na ramionach leżeli z karabinami wśród grządek. Podczas tej pierwszej godziny wyleciały szyby we wszystkich oknach.

Dopiero teraz przekonaliśmy się, kim były młode kobiety, które sprzątały pozostałe skrzydła domu. Nie sprzątały pomieszczeń dla nowego zakładu. Były członkami podziemia i przygotowywały szpital.

Pogoda była piękna i skąpo ubrane młode kobiety opalały się na noszach, nie zwracając uwagi na kule, które czasem odbijały się od murów. Nasze siostry początkowo cmokały z dezaprobatą, lecz gdy walki stawały się coraz bardziej zaciekle i w naszym ogrodzie chowano coraz więcej ofiar, zaczęły się uśmiechać do dziewcząt i zaprosiły je do środka. Niebawem szpital na parterze zapełnił się. Dopóki było dość światła, na sosnowym kuchennym stole przy wejściu, operowało dwóch chirurgów. Siostra Adelajda wznowiła obowiązki pielęgniarki, lecz choć pracowała na okrągło, nie potrafiła im podołać.

Poproszono nas o pomoc w budowaniu barykady na najbliższym rogu ulicy, gdzie wykopano głęboki rów, by powstrzymać niemieckie czołgi. Patrzyłam, jak sąsiedzi z drugiej strony ulicy zrzucają z okien kanapy, krzesła, szafy, a nawet pianino, podczas gdy inni ciągnęli rozbite meble do barykady i oznajmiali, że rośnie.

W ścianach sąsiadujących ze sobą budynków wybito dziury, żeby powstańcy mogli niezauważeni z zewnątrz przechodzić z jednego do drugiego. Mój dziki entuzjazm pierwszego dnia został wystawiony na próbę, gdy ujrzałam te dziury. Getto też tak się broniło. Mieliśmy takie same dziury, żeby można było niepostrzeżenie przechodzić z domu do domu. Nagle uderzyło mnie podobieństwo tej sytuacji. Czyżby taki sam los czekał Warszawę?

Walki nasilały się. Nie było już czasu na opalanie się w ogrodzie. Młode pielęgniarki wyniosły broń do ogrodu, gdzie kilka z nich zostało na zawsze. Pomagałam siostrze Adelajdzie w szpitalu; ranni leżeli na wyłożonej kafelkami podłodze ciasno jak sardynki. Raz po raz przynoszono meldunek, że pobliski dom został trafiony i że w ruinach są uwięzieni ludzie. Natychmiast wychodziła grupa poszukiwawcza w opaskach z czerwonym krzyżem i z flagą Czerwonego Krzyża, dopóki nie uświadomiono sobie, że Niemcy szczególnie zawzięcie do nich strzelają, nawet jeśli na noszach leżały dzieci.

Chirurdzy operowali bez środków znieczulających. Nie było wody, prądu i gazu. Pozycje niemieckie i polskie zmieniały się co godzina, walki zbliżały się lub oddalały, czołgi podjeżdżały pod barykadę, samoloty nurkowały nad głowami, a nieustanne wybuchy wstrząsały domem. Kiedy budynek obok nas został zburzony, przenieśliśmy się na dół do piwnicy, a niebawem dołączyli do nas sąsiedzi i powstańcy. Prycze przygotowałyśmy już kilka dni wcześniej, a cały nasz dobytek leżał spakowany w tobołki. Zabiłyśmy naszą jedyną świnię, karmioną starannie przez cały rok. Przez następne trzy czy cztery dni jadłyśmy tylko wieprzowinę. Choć żadna z nas nie pamiętała takiej ilości mięsa, musiałyśmy przyznać, że w tym upale nie był to najlepszy pomysł. Na dodatek z powodu braku wody musiałyśmy wylizywać talerze

do czysta i trzymać je na pryczach do następnego posiłku.

Przy blasku świec patrzyłyśmy, jak „nasi żołnierze” czyszczą broń. Mieli bardzo różnicowany arsenał i nauczyli nas wszystkiego, co chciałyśmy wiedzieć o jego mechanizmach. Dziwne, jak wielką pociechę dawał dotyk ciężkiego zimnego metalu spoczywającego w dłoni, jaka satysfakcja kryła się w szczęku zakładanego świeżego magazynka. Blask świec odbijający się od wypolerowanych luf nadawał wszystkiemu poczucie nagłości i rzeczywistości, byłyśmy świadome każdej mijającej sekundy; zaciskałam dłonie w pięści, by nie chwycić najbliższego karabinu, nie wybiec z piwnicy i nie przyłączyć się do walki.

Kiedy jednak udawało mi się wymknąć w ciemność na zewnątrz, stałam tylko nieśmiało w drzwiach i patrzyłam na cudowne letnie niebo usiane spokojnymi gwiazdami z idealnym księżycem pływającym swobodnie pośród nich. Za wybitymi oknami migotały płomyki świec, z pustych pokoi, w których odpoczywali nasi żołnierze, dobiegały szepty, a skądś dolatywały dźwięki straszliwie rozstrojonego pianina, na którym ktoś noc po nocy – w większości wypadków bez powodzenia – próbował zagrać „Etiudę rewolucyjną” Chopina.

Wszystko trwało tylko dziesięć dni, ale zdawało się nie mieć końca. Podczas ostatniej doby, gdy walki koncentrowały się na naszej ulicy, siedziałyśmy skulone na pryczach, modląc się i próbując pocieszyć wystraszone maluchy. Żołnierze odeszli, ich broń nie mogła nam już przynieść pociechy. Niemcy na pewno nadejdą lada moment, a wtedy...

Leżałam na pryczy zbyt przerażona, by myśleć o czymkolwiek poza gettem. Tam też tak było. Pamiętałam każdą chwilę z ostatnich dwudziestu czterech godzin spędzonych w piwnicy, z mamą. Tylko że wtedy mieliśmy świadomość, iż bez względu na to, co się z nami stanie, jest zawsze „tamta strona”. Reszta Warszawy pozostawała względnie normalna i bezpieczna, byle tylko udało się tam przedostać. Na świecie istniała jakaś równowaga. Teraz to samo działo się po „tamtej stronie” i nie było już wyjścia.

Znów poczułam, że nie powinnam była opuszczać getta. Popełniłam błąd, porzucając ich tam tylko po to, by umrzeć gdzie indziej. Gdyby tylko ojciec był tutaj. Co by zrobił? Gdyby nie mógł dłużej walczyć i zobaczyć, jaka jestem przerażona, próbowałby mnie pocieszyć. Opowiedziałby mi jakąś historię.

Usiadłam na pryczy i rozejrzałam się po oświetlonej blaskiem świec piwnicy.

– Chcecie usłyszeć bajkę?

Zaczęłam opowiadać jedną z szalonych, pełnych przygód opowieści ojca, która doprowadzała mnie do histerycznego śmiechu, gdy byłam mała. I w cudowny sposób po kilku pierwszych minutach w kącie rozległ się cichy śmiech, po nim jeszcze jeden

i jeszcze jeden. Niebawem cała piwnica zataczała się ze śmiechu pomimo złowieszczonego dudnienia, wybuchów na zewnątrz i tynku sypiącego się z sufitu.

Na koniec do piwnicy wpadła siostra Zofia zgorszona tak frywolnym zachowaniem być może w naszej ostatniej godzinie. Kazała nam uklęknąć na podłodze i modlić się o łatwą śmierć. Powiedziała, że w naszej części miasta powstańcy zostali pokonani i że Niemcy nakazali wszystkim cywilom opuścić miasto. Z podniesionymi rękami maszerowali w stronę dworca pomiędzy rzędami niemieckich łuf. Nikt nie wiedział, co się stanie na dworcu ani dokąd pojedą.

Ledwie siostra Zofia skończyła, gdy na schodach rozległy się ciężkie kroki i w piwnicy pojawiła się blada jak ściana siostra przełożona w towarzystwie niemieckiego oficera.

– Proszę spojrzeć – powiedziała. – Tu są tylko dzieci.

Spojrzał i skinął głową. W następnej piwnicy, w której tłoczyli się ludzie z sąsiednich domów, kazał wszystkim wyjść. Po godzinie wróciła siostra przełożona. Głosem drżącym od emocji oznajmiła, że przydarzył nam się cud. Możemy tu zostać do jutra, a potem ten sam oficer przyjdzie, by pomóc nam opuścić piwnicę.

Opadłyśmy na kolana i zaczęłyśmy się modlić. Oficer był katolikiem, a siostra przełożona spędziła młodość w Niemczech i mówiła płynnie po niemiecku. Połączenie tych dwóch elementów najwyraźniej pomogło cudowi.

Nocą wypełzłyśmy z piwnicy, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, lecz natychmiast cofnęłyśmy się przerażone. Dom był otoczony przez Ukraińców. W stanie granicznym z paniką dziewczęta wczołgały się pod prycze, płakały i głośno się modliły. Nie mogłyśmy pojąć, dlaczego Ukraińcy zwlekają z wejściem do domu. Skoro tam byli, mogło to oznaczać tylko jedno.

Na zewnątrz panował wielki hałas. Oddziały niemieckie sprawdzały puste domy, a potem niszczyły je granatami i czołgami. Jeśli znaleźli choćby ślad „polskich bandytów”, jak nazywali powstańców, mieszkańcom nie wolno było wyjść i ginęli w ogniu. Słyszałyśmy otaczające nas eksplozje i modliłyśmy się o łatwą śmierć.

Nagle cały dom zatrzęsł się, gdy coś wybuchło na górnym piętrze. Minutę później rozległy się rozwścieczone głosy, a na schodach zadudniły ciężkie kroki. Do piwnicy wpadł ukraiński żołnierz i wymachując rękami, rzucił się do siostry przełożonej.

– To nie moja wina! – wykrzyknął, mnąc w dłoniach czapkę. – To pomyłka, nie kazaliśmy im niczego rzucać! Jesteśmy tutaj, żeby was chronić przed oddziałami, ale ktoś pomyślał, że dom jest pusty i rzucił granat na dach. To się nie powtórzy i zaraz ugasimy ogień. Dopóki tu jesteśmy, możecie spać spokojnie! – Odwrócił się i skinął głową w naszą stronę. – Dobranoc, dzieci, śpijcie spokojnie.

Byłyśmy zbyt zdumione, by odpowiedzieć.

Nazajutrz o świcie poszliśmy na górę, żeby się spakować. Mrugałyśmy oczami w jaskrawym blasku słońca, przemykałyśmy z pokoju do pokoju na czworakach pod rozbitymi oknami. Lepiej było się nie pokazywać, bo kto wie, czy jakiś inny niedoinformowany fanatyk nie rzuci następnego granatu. Zebrałyśmy nasze rzeczy, wkładając na siebie wszystkie ubrania, zimowe i letnie, by zmniejszyć ilość bagażu. Kazano mi zająć się maluchami do czasu, aż wezwą nas na dół. W ostatniej chwili zeszłam z siostrą Adelajdą, by zajrzeć do rannych. Leżeli na słomie, spragnieni i brudni, i zostawiłyśmy im ostatnie dzbanki wody. Wiedzieli, co się dzieje i błagali, żebyśmy ich nie zostawiały.

Jeden z nich, nie mający obu nóg, chwycił brzeg habitu siostry Adelajdy i czołgał się za nią po podłodze, błagając, by go zabiła. Uciekłyśmy. Pobiegłam, by uciszyć dzieci. Bały się zostać same na górze i na dźwięk każdej eksplozji biegły do drzwi, gdzie musiałam je powstrzymywać. Nie było sensu tłumaczyć im, że to już koniec. Nic nie rozumiały.

Nisko nad naszą ulicą przeleciał samolot i przez moment w pokoju zrobiło się ciemno. Tego już było za wiele. Słyszając warkot silnika, dzieci wpadły w panikę. Rzuciły się do drzwi, przewróciły mnie i w jednej chwili gnały po schodach do bezpiecznych piwnic.

W końcu byłyśmy gotowe. Niemiecki oficer pojawił się z Ukraińcami, dorożką i ciężarówką. Załadowałyśmy na nią cięższe walizy, a resztę rozdzieliliśmy pomiędzy siostry i starsze dziewczęta. Średnie, w tym ja, zajęły się maluchami. Niosłam na plecach teczkę, tę samą, z którą wyszłam z getta, miałam na sobie wełniany płaszcz, zimową czapkę i wszystkie inne ubrania, przez ramię przerzuciłam koc i jeszcze trzymałam Frankę za rękę. Włożyłyśmy jej czapkę, żeby ukryć miedziane loki, a siostra Zofia mruknęła przechodząc, żebym odwracała jej buzię od Niemców.

W ostatniej chwili odkryłyśmy, że zakład „z dołu”, który opuścił dom poprzedniego dnia ze wszystkimi swoich niedorozwiniętymi i okaleczonymi podopiecznymi, „zapomniał” zabrać jednego chłopca. Leżał w pustym pokoju, duży i ciężki jak na swoje czternaście lat, a zdeformowane nogi wykrzywione pod dziwnym kątem nie mogły go udźwignąć.

Siostry przyglądały mu się z konsternacją.

– Nie może chodzić – oświadczyła siostra Adelajda. – Ma syfilis. Co mamy z nim zrobić?

Siostry poprosiły żołnierzy, by zanieśli chłopca na ciężarówkę. Zbliżyli się, popatrzyli na owrzodzone stopy i otwarte rany i cofnęli się z odrazą.

– Nie dotkniemy go, wiemy, co to jest – powiedzieli i żadne perswazje

i zapewnienia, że to nie jest zaraźliwe, nie pomogły. Na koniec siostry podniosły go na kocu.

Długa procesja wreszcie wyruszyła. Na jej czele szedł oficer z małą Marysią na jednej ręce i z rączką innego dziecka w drugiej. Za nim podążała nasza średnia grupa, a każda z nas prowadziła jedno dziecko. Za nami szły najstarsze dziewczęta pochylone pod ciężarem bagażu, potem siostry z najcięższymi walizami i chłopcem. Na samym końcu jechała ciężarówka wyładowana resztą dobytku, w tym dwoma cennymi skrzyniami z kostiumami do tańca, eskortowana przez uzbrojonych po zęby żołnierzy. Obok ciężarówki jechała dorożka, w której na swoich tobołkach siedział kapelan.

Przy pierwszej barykadzie dorożka przewróciła się, a kapelan wypadł na ulicę. Nic mu się nie stało, ale koń złamał przednią nogę i trzeba go było zastrzelić. Tobołki kapelana trafiły na ciężarówkę, a on dołączył do zakonnicy.

Ledwie skręciliśmy za róg, usłyszeliśmy głośne eksplozje i odwróciwszy się, zobaczyliśmy wielką chmurę dymu unoszącą się nad naszym domem. Pomyślałam o rannych pozostawionych na parterze i przerażenie ścisnęło mi żołądek. Resztę tej koszarnej podróży przeżyłam z zaciśniętymi pięściami i zębami, kurczowo starając się zachować resztki świadomości i walcząc z przemożnym pragnieniem, by krzyczeć lub położyć się na ziemi. Albo wskoczyć w ogień. Płonące po obu stronach budynki fascynowały mnie swoją grozą i wpatrywałam się w nie z tęsknotą, jednocześnie przerażona i urzeczona. Ulice, którymi szliśmy, były opuszczone. Po obu ich stronach płonęły domy, czasami wybuchając lub waląc się w powodzi iskier, czasem spowite ogniem od poziomu ulicy po dach. Niektóre już się wypaliły i pozostały po nich tylko zwęglone ściany, a na kominach kuliły się przerażone gołębie z osmalonymi piórkami.

Żar zatykał dech w piersiach. Pomiedzy płonącymi domami topił się asfalt i przylepiał się nam do butów, niektórym tak mocno, że buty spadały im z nóg. Niebo skryło się za gęstą chmurą dymu, a słońce przebijało się na krótko niczym płonąca miedziana tarcza emanująca nienaturalnym czerwonym blaskiem, który raził nasze załzawione oczy.

Niemiecki oficer szedł powoli, trzymając się środka ulicy i od czasu do czasu machnięciem ręki nakazywał nam, byśmy patrzyły w lewo lub w prawo. Posłuchałam go za pierwszym razem i wpatrywałam się w płonący dom po prawej stronie, lecz następnym razem popatrzyłam w przeciwnym kierunku i natychmiast tego pożałowałam.

Na podłodze spalonego sklepu w jednym kącie leżała kupka małych szkieletów. Kości pobielwały, a niektóre czaszki odpadły i potoczyły się na środek podłogi. Przełknęłam ślinę i zasłoniłam France oczy. Od tamtej pory odwracałam jej głowę

w kierunku wskazanym przez Niemca, lecz sama patrzyłam w przeciwną. Oficer postępował słusznie, choć zaskakująco jak na Niemca, chcąc nam oszczędzić najgorszych widoków, ale ja nie byłam już dzieckiem i chciałam widzieć.

Na dużym skrzyżowaniu nieopodal spalonego szpitala natknęliśmy się na makabryczną grupkę. Trzy postaci w podartych, na wpół spalonych ubraniach z głowami owiniętymi szmatami, z twarzami i ramionami pokrytymi sadzą ciągnęły wózek wypełniony ciałami. Kiedy nas dostrzegły, zatrzymały się i zaczęły coś krzyczeć, lecz choć wytężałam słuch, nie mogłam zrozumieć ani słowa. Wyglądało na to, że proszą o pomoc. Machały do nas rękami, pokazując na coś za sobą. Budynek szpitala? Czy było tam więcej ciał? Niemiec warknął komendę i automatycznie odwróciłam głowę. Przez cały czas nie odezwała się ani słowem, lecz oczy niemal wychodziły jej z orbit. Wyglądała jak w transie. Wózek zbliżył się i zauważyłam, że ciała są okaleczone, najwyraźniej ofiary zostały ranne przed spaleniem. Jedno miało wielką dziurę na plecach, przez którą wylewały się wnętrzności niczym czarne i zielone wstążki. Przypomniałam sobie, co mówili powstańcy: kiedy Niemcy zdobyli szpital, przywiązali pacjentów do łóżek, oblali benzyną i podpalili cały budynek. Byłyśmy chyba świadkami jednego ze skutków tej zbrodni. Lekarze i pielęgniarki zginęli jako pierwsi rozstrzelani pod szpitalnym murem.

Wózek minął nas i jechał dalej, lecz osmalone duchy nadal nas wołały i machały, pozostawiając mokre ślady na zasypanej popiołem ulicy. Musiałam chwycić Franke za rękę, by nie skoczyć prosto w najbliższy ogień.

Skręciliśmy w następną ulicę, nową panoramę płonących budynków i walących się ścian i spotkaliśmy młodego niemieckiego oficera na motocyklu. Na nasz widok zatrzymał się i zawołał wesoło do naszego przewodnika: „Co, jeszcze żyją?” Zdjął plecak, podał go jednej z dziewcząt i odjechał z rykiem silnika. Plecak był pełen cukru.

Wydawało się nam, że minęły całe godziny, gdy w końcu dotarliśmy na dworzec. Zbudowano go na wzgórzu i kiedy się na nie wspięliśmy, na wpół oślepieni dymem i potem, niebo pojaśniało, słońce odzyskało blask, a dzień objawił się nagle w prawdziwych barwach. Stojące na bocznicach wagony umeblowano jak wygodne domy, a żołnierze i kobiety w mundurach opalali się na trawie między torami. Nad ogniskami bulgotały wielkie kotły, ryczało radio, kilka Cyganek tańczyło.

Podeszliśmy do cienia i padliśmy na ziemię. Nasz Niemiec podał Marysię jednej z kobiet, które przekazywały ją sobie z rąk do rąk, cmokając i zachwycając się jej urodą. Przyniosły nam miski z zupą, kawałki chleba i gotowane ziemniaki, kolorowe gumowe piłki i zabawki, ale byłyśmy zbyt zmęczone, by nawet jeść. Pod nami Warszawę skrywała gęsta czarna kołdra dymu. Eksplozje, grzechot strzałów i nagłe wybuchy płomieni wstrząsały gęstą zasłoną i wydawało się, że całe miasto się gotuje.

Nasze tobołki wrzucono do bydłych wagonów, podłączono lokomotywę i wsiadłyśmy do środka. W kącie leżało trochę słomy i leżałyśmy na niej, dysząc z gorąca.

– Mówią, że możemy jechać, dokąd chcemy – powiedziała siostra przełożona.

Spojrzałam na znaki na wagonach. Jeden przyjechał z Francji, a drugi z Włoch. Małe okienka wysoko pod dachem były zasłonięte drutem kolczastym. Kto przyjechał tymi wagonami z dalekich krajów? Czy Żydzi do obozów? Sądząc po drucie kolczastym, musieli to być jacyś więźniowie.

Oczy zamykały mi się ze zmęczenia. Pociąg wyjechał ze stacji i rytmiczny stukot kół w połączeniu z nieznośnym upałem w końcu ukołysał mnie do niespokojnego snu, z którego obudziłam się gwałtownie. Zobaczyłam, że siostra Zofia stoi na tobołkach z twarzą przy zasłoniętym drutem okienku pod sufitem i niespokojnie przygląda się drodze.

Podczas podróży przejechaliśmy przez inny dworzec, na którym zorganizowano ogromny obóz przejściowy dla ewakuowanych mieszkańców Warszawy. Wyjeżdżały stamtąd pociągi do Niemiec i obozów pracy. Zatrzymaliśmy się na krótko na bocznicu niedaleko innego pociągu z zapieczętowanymi wagonami, z których dobiegały wołania o pomoc i wodę. Dowiedziałyśmy się, że pociąg, pilnie strzeżony, stoi tu od dwóch dni i nocy, a więźniowie zamknięci w bydłych wagonach umierają z pragnienia i gorąca. Nasz pociąg znów ruszył i wkrótce znalazłyśmy się na płaskiej otwartej przestrzeni wśród letnich pól. Zatrzymaliśmy się na małej stacji, pustej i chłodnej późnym popołudniem, a palacz pomógł nam się wypakować.

Jedna furmanka zabrała nasze tobołki i kulawego chłopca, który wydawał się już starym mieszkańcem naszego zakładu. Siostry i najmłodsze dzieci wspięły się na drugą. Reszta razem z siostrą Zofią postanowiła iść pieszo do nowego domu, którym okazał się klasztor ukryty głęboko w lesie.

Ruszyłyśmy szeroką piaszczystą drogą ocienioną starymi drzewami w letnim rozkwicie. Trzymałyśmy się skraju, obok którego biegły płytkie rowy pełne śmierdzącej wody i zgniłych liści. Po obu stronach drogi pod czystym błękitnym niebem, spokojnym i sennym w ciepłe popołudnie, rozciągały się łąki. Pasły się tam krowy i kozy, ptaki ćwierkały wśród gałęzi, brzęczały pszczoły. Poza tym panowała cisza. Powoli zaczęłyśmy się rozglądać. Zdumione ciszą, patrzyłyśmy zaczerwienionymi oczami i mrugałyśmy w oślepiającym słońcu. Daleko za nami ciemna plama na horyzoncie wskazywała Warszawę.

Zaczęłyśmy zdejmować ubrania, warstwa po warstwie, a w końcu buty i pończochy. Na skraju zagajnika usiadłyśmy nad rowem z czystą wodą i zanurzyłyśmy stopy w zimnym strumieniu. Od chwili gdy wysiadłyśmy z pociągu, nie zamieniłyśmy



prawie słowa. Za nami siostra Zofia też zanurzyła stopy w wodzie i zamknęła oczy, opierając się o pień drzewa. Twarz miała umazaną sadzą, a na jej zawsze nieskazitelnym białym kołnierzu widniały czarne plamy. Cisza dzwoniła nam w uszach. Marzyliśmy, by się położyć na aksamitnym mchu między drzewami, lecz siostra już podnosiła nas jedną po drugiej, nakazując pośpiech.

Słońce już zachodziło, gdy weszliśmy do wsi, gdzie spod nóg umykały nam kaczkę i kury, a za płotami pojawiły się nagle przerażone twarze chłopów i ich wyciągnięte ręce. Mimo protestów siostry Zofii zaciągnęli nas do domów i załamując ręce, wzywali Jezusa, Marię i Józefa, by się nad nami zmiłowali. Jak we śnie popychano mnie z jednej pobielonej izby do drugiej. Przy każdym domu stały na warcie malwy, ciemne twarze słoneczników okolone żółtymi płatkami i sady pełne dojrzałych owoców. Do rąk wciskano nam kubki zimnego mleka, kromki ciemnego wiejskiego chleba, plastry ociekające złotym miodem, dojrzałe pomidory i zielone jabłka.

Niedługo potem znów ruszyliśmy w drogę, uginając się pod ciężarem tobołków, z brzuchami pełnymi niedojrzałych owoców, jedzonych wbrew ostrzeżeniom siostry. Późnym wieczorem weszliśmy na wielkie podwórze naszego nowego domu, gdzie pod sosnami zastawiono już stoły, a duże talerze „plujki” chłodziły się na wietrze. Przydzielono nam dwie sale w budynku szkolnym, gdzie za łóżka służyła świeża słoma na podłodze. Padliśmy na nią, nie tracąc czasu na rozbieranie się, i wyczerpane zapadliśmy w głęboki sen.

Minęło parę dni, zanim rozgościłyśmy się w nowym domu i dokonałyśmy przeglądu sytuacji. Pierwsze wrażenie podziało na nas otrzeźwiająco. Najwyraźniej nie byłyśmy tu mile widziane. Miejscowy klasztor był duży i bogaty. Składał się z gospodarstwa, dwóch dużych domów dla chłopców i dziewcząt, kilku budynków dla sióstr, gości i pracowników gospodarstwa, infirmerii, kościoła i nowoczesnego budynku szkolnego. To w nim przydzielono dla nas dwie sale, które miały nam służyć jako sypialnie i świetlica, podczas gdy nasze siostry zajęły małe pokoje na końcu korytarza. Jadłyśmy w sali na dole, stojąc wokół stołów, gdyż w budynku nie było krzesel, tylko tradycyjne szkolne ławki. Wodę do mycia trzeba było pompować do zbiornika na strychu. Co rano maszerowałyśmy więc na podwórze stajni, gdzie pod daszkiem czekały dwa wielkie metalowe koła z długimi cienkimi rączkami. Chwytałyśmy je i z całej siły obracałyśmy koła, jak najszybciej mogłyśmy. Kiedy metalowa rączka wyslizgiwała się z naszych dłoni, uderzała ze straszliwą siłą, pozostawiając krwawiące nosy, wybite zęby lub boleśnie posiniaczone brzuchy. To była bardzo ciężka praca, gdyż koła miały półtora metra średnicy i często traciłyśmy równowagę i obracałyśmy się razem z nimi, lądując głowami na kamiennej podłodze.

– Teraz to jeszcze nic – mówiłyśmy co rano. – Poczekajmy na zimę.

Pompy nie ochraniała żadna ściana i mogłyśmy sobie wyobrazić lodowaty wiatr świszczący na podwórzu i śnieg zasypujący nas po pas, gdy obracałyśmy koła.

Niemal natychmiast pojawiły się kłopoty z jedzeniem. Nasza gospodyni, przekonawszy się, że nie mamy pieniędzy i w żaden sposób nie możemy zapłacić za utrzymanie, mocno się zaniepokoiła i obcięła nasze racje do minimum. Gdybyśmy nie wymyśliły kilku dodatkowych dziewcząt, jedzenie, które nam przydzielano, nie wystarczyłoby nawet na jedną porcję dziennie. Żyłyśmy niemal wyłącznie na „plujce” i kleiku z ciemnej mąki gotowanym na wodzie. Raz dziennie dwie z nas szły z koszykiem do klasztornej piekarni i pokazując naszą poszerzoną listę nazwisk, otrzymywały odpowiednią liczbę kromek chleba. Chleb był gliniasty, koszyk bardzo ciężki, ale przynoszące go dziewczęta dostawały dodatkową kromkę, więc nigdy nie brakowało chętnych. Niestety, tylko najsilniejsze dziewczęta mogły sobie poradzić z tym zadaniem i szybko rozwinął się czarny rynek chleba. Handlowano oficjalnie zarobionym pieczywem i tymi kilkoma kromkami, które udało się ukraść za plecami siostry.

Codziennie po południu chodziłyśmy do lasu z siostrą Adelajdą, która znała się na takich rzeczach, i zbierałyśmy wszystkie jadalne jagody i grzyby. Była to prawdziwa uczta, dopóki trwała, mimo że chodzenie na jagody boso było torturą. Mogłyśmy

żeść, ile chcieliśmy, pod warunkiem że najpierw napełniłyśmy dzbanki.

Szkoła wznowiła działalność jesienią i jak dawniej podjęłyśmy naukę z naszymi siostrami. Nigdy nie spotykałyśmy się z innymi dziećmi i nie wolno nam było ich odwiedzać. Nasze jedzenie gotowano jako ostatnie i jadłyśmy to, co zostało po miejscowych zakonnicach, pracownikach gospodarstwa, księżach-uchodźcach i dzieciach.

Nadal spałyśmy na słomie, w której teraz roiło się od pcheł i śniło mi się co noc, że leżę na mrowisku. Próbowaliśmy je zabijać, a ktoś poradził nam, żeby położyć koce na koniu. Pchły – podobno – nie mogą się oprzeć woni końskiego potu i natychmiast przeniosą się na zwierzę. Położyłyśmy więc koce na kilku koniach, które udało nam się znaleźć w gospodarstwie, ale na pchłach nie zrobiło to najmniejszego wrażenia i odtąd musiałyśmy znosić również duszący smród końskiego potu.

Do klasztoru stale przybywali uchodźcy i niektórym pozwalano zostać w budynku szkolnym. Przynosili ze sobą posępne wieści z Warszawy, gdzie Niemcy zwyciężali i metodycznie palili całe miasto. Dotarło do nas też kilku księży i pewnego dnia, ku naszej wielkiej radości, zjawił się ojciec Cezary z plecakiem i szerokim uśmiechem na wychudzonej twarzy. Podbiegłyśmy do niego i uwiesiłyśmy się mu u ramion, aż w końcu usiadł na trawie i zakrył głowę w udanym przerażeniu. Triumfalnie zaprowadziłyśmy go do pokoju w szkole, do „naszego domu”, jak teraz go nazywałyśmy, i błagałyśmy go, żeby został z nami. Zgodził się.

Pewnego dnia zjawiła się grupa dziewcząt z dużego klasztoru w Warszawie. Ich dom został trafiony przez pocisk czołgowy i spłonął, pochłaniając wiele ofiar. Ocalałe dziewczęta trafiły do dużego obozu, który mijałyśmy po drodze, i stamtąd zostały wywiezione na roboty do Niemiec. Tylko kilku udało się uciec. Dostały pozbawioną okien wnękę, gdzie spały na podłodze tak ściśnięte, że nogi ostatniej wystawały na korytarz.

Nam nie było wygodniej. Spałyśmy pod dwoma ścianami w długim rzędzie tak blisko siebie, że kiedy jedna chciała się przewrócić, cały rząd musiał zrobić to samo, bo inaczej któraś zostałaby przyduszona. Część sypialna była oddzielona od reszty pokoju pojedynczą drewnianą deską, przybitą do podłogi, żeby słoma się nie rozsypywała. Udało nam się zdobyć plandeki używane do przykrywania ciężarówek i spałyśmy na nich, co chroniło przed pchłami, ale nie zapewniało większej wygody.

Za dnia odrabiałyśmy lekcje i jak najwięcej czasu spędzałyśmy na świeżym powietrzu. Jednak po nadejściu jesiennych deszczy nie miałyśmy gdzie się podziać.

Kiedy upadła Warszawa, w klasztorze ogłoszono dzień żałoby i odprawiono specjalną mszę za tysiące ludzi, którzy zginęli podczas powstania. Kilka dni później przyjechała grupa niemieckich oficerów i zajęła dwa pokoje na parterze naszego domu.

Byłyśmy wściekłe i jednocześnie przerażone. Mieszkanie pod jednym dachem z „nimi” było najgorszą zniewagą. Na dodatek nadal musiałyśmy jadać na dole w wielkiej sali, przez którą Niemcy wchodzili i wychodzili z domu. Myślałyśmy o czekającym nas dodatkowym pompowaniu, gdyż Niemcy z pewnością należeli do ludzi, którzy myją się codziennie, i zaciskałyśmy pięści z furii.

Tworzyli zaskakującą grupę, spokojną i całkiem niegroźną. Byli inżynierami, w większości w średnim wieku, i otwarcie skarżyli się na rygory wojskowego życia. Przyjechali, by rysować plany okopów i innych zabezpieczeń przed zbliżającą się armią rosyjską. Od razu zainteresowali się dziećmi i próbowali nawiązać przyjazne relacje. Spotkali się z kamienną obojętnością siostry Zofii, która nie dostrzegała ich obecności, a reszta z nas poszła za jej przykładem. Początkowo Niemcy byli zaskoczeni, potem urażeni, a na koniec pogodzili się z sytuacją. Ignorując siostrę Zofię, skupili się na najmłodszych dzieciach, które najłatwiej im było do siebie przekonać. Mieli ogromne zapasy jedzenia i wydawali się wstrząśnięci widokiem tego, co jemy. Siostra przełożona odmawiała grzecznie, gdy proponowali nam jajka i miód. Nie mogła ich jednak powstrzymać, gdy rozdawali owoce i kostki cukru maluchom i wydawali się szczerze zadowoleni, gdy te przyjmowały ich poczęstunek. Mijając nasze stoły, zatrzymywali się, brali jedno z dzieci na ręce i nosili po sali, próbując rozbawić. Dzieci szybko wyzbyły się strachu przed mundurem i robiły smutną minę, gdy przywoływałyśmy je do porządku.

Nie znalazłszy szczęścia u nas, Niemcy skupili się na kalekim chłopcu. Od chwili przyjazdu wegetował w pustej wnęcie, powoli gnijąc na słomie. Przykryty kocem wyglądał w miarę normalnie, tyle tylko że nie potrafił mówić i prawdopodobnie był też głuchy. Na widok podnoszonego koca przewracało się w żołądku nawet siostrze Adelajdzie, a smród był nie do opisania. Niemcy znaleźli prawdziwe łóżko z pościelą i przenieśli chłopca na dół na korytarz przy swoich drzwiach. Tam go karmili, zmieniali opatrunki i opiekowali się nim jak grupka starszych wujków. Kiedy nadszedł jego czas, zawołali księdza, który udzielił chłopcu ostatniego namaszczenia, a potem poszli za małą trumną do grobu.

Po tym wszystkim siostra przełożona nie mogła odmówić, kiedy poprosili o dwie dziewczynki do sprzątania ich pokojów. Wiera, Tamara, Ela i Anka miały się tym zająć na zmianę. Siostra Zofia walczyła szczególnie o Elę, by oszczędzić jej tej zniewagi, ale Ela sama ją przekonała, że ta praca będzie dla niej specjalnym krzyżem i że ofiaruje swoje cierpienia za odkupienie duszy w czyśćcu.

Dziewczęta zastały pokoje nieskazitelnie czyste, łóżka pościelone jak pudełka, świeże kwiaty w glinianych dzbankach i jedynie trochę kurzu na meblach. W zamian za ich ścieranie i zamiatanie podłóg dostawały jedzenie, które zawstydzone, lecz

zachwycone przynosiły na górę, by się z nami podzielić. Byłyśmy na tyle rozsądne, że ukrywałyśmy to przed siostrą Zofią. Nie miałyśmy żadnych wyrzutów sumienia; w istocie jedzenie przypominało akt zemsty. Jedząc podarowaną żywność, sprawiałyśmy, że Niemcy mieli jej mniej, a poza tym wszystko i tak było polskie.

Jakby próbując zwalczyć tę niezdrową atmosferę, siostra Zofia organizowała codziennie po południu regularną próbę chóru. W oczach naszych gospodarzy śpiew był prawdopodobnie jedyną wartością, jaką posiadałyśmy, więc ćwiczyłyśmy nowe msze i hymny jako przeprosiny za nasze istnienie. W tym samym czasie nauczyłyśmy się nowych piosenek patriotycznych śpiewanych w podziemiu. Nasz pokój znajdował się tuż obok sypialni Niemców, ale byłyśmy przekonane, że nic nie rozumieją. Śpiewałyśmy na cały głos, przysięgając zemstę, wzywając do broni, rzucając wyzwanie całemu światu. Siedząca przy pianinie i waląca w klawisze siostra Zofia zdawała się galopować na rumaku prowadzącym nas do boju.

Jesień była piękna tego roku, a gęsty las, który zaczynał się po drugiej stronie drogi prowadzącej do szkoły, płonął złotem i szkarłatem klonów, dębów i buków. Ojciec Cezary wybierał się z nami na długie wędrówki, w czasie których zbierałyśmy żołądzie, kasztany i szyszki, by robić potem bożonarodzeniowe ozdoby. Łapałyśmy żaby i dżdżownice i oglądałyśmy je przez szkło powiększające, pod którym zamieniały się w przerażające potwory. Bawiłyśmy się w chowanego, ślizgając na poduszkach z mchu, i wreszcie zmęczone zbierałyśmy się wokół niego, siadałyśmy na powalonym pniu i słuchałyśmy jego opowieści i zagadek. Często przynosił worki owoców, robaczywych jabłek i gruszek, lekko nadgniętych śliwek, a nawet kawałki suchego chleba. Łapczywie zjadałyśmy wszystko, nie zwracając sobie głowy pytaniem, skąd to ma.

Tylko Ela i ja wiedziałyśmy, że chodzi po wsiach, żebrząc „dla swoich dzieci”. Nieustannie głodne nie byłyśmy wybredne.

W naszej kuchni siostra Wiktoria walczyła dzielnie ze skromnymi zapasami, próbując ugotować zupę z czystej wody i niewielu innych składników. Tam pewnego dnia odwiedził ją Gruby Joachim, kucharz naszych Niemców. Był największym i najgrubszym człowiekiem, jakiego widziałyśmy. Przypominał olbrzyma. Z okrągłą, lśniąca, różową twarzą podpartą kilkoma podbródkami, wydatnym brzuchem i równie obfitymi pośladkami sprawiał, że nawet nasz kapelan wyglądał przy nim na niedożywionego. Zwykle przechadzał się w koszuli z rękawami podwiniętymi nad tłustymi łokciami z wielkim nożem w ręce. Na jego widok maluchy pierzchały w popłochu, a reszta z nas sztywniała. Odślaniał zęby w drapieżnym uśmiechu, warczał i trząsał się, a my nigdy nie wiedziałyśmy, czy chce nam odciąć głowy, czy tylko próbuje się zaprzyjaźnić.

Kiedy Gruby Joachim osaczył siostrę Wiktorię w kuchni, wymachując nożem i warcząc, przeżegnała się, zamknęła oczy i szykowała się na nagłą śmierć. Jednak nic takiego się nie wydarzyło; kiedy otworzyła oczy, Joachim zniknął, a w naszej zupie w cudowny sposób pojawił się wielki kawał mięsa i mnóstwo pęczaku. Od tamtej pory scena powtarzała się regularnie. Siostra Wiktoria wzbraniała się grzecznie, kiedy się pojawiał, a potem albo zamykała oczy, albo wybiegała z kuchni, podczas gdy on sprawdzał zawartość naszego kotła i po swojemu wzbogacał jego zawartość.

Jeśli nie liczyć tych podarunków niemieckiego kucharza, to jedynym kawałkiem mięsa, który widziałyśmy podczas tych miesięcy, była połowa końskiej szczęki z kilkoma poczerniałymi zębami, który raz wyłowiliśmy z zupy. Siostra Zofia, która była przy tym obecna, śmiertelnie zbladła i już miała kazać wylać zupę, gdy jedno

spojrzenie na twarze maluchów sprawiło, że zmieniła zdanie. Z wyrazem obrzydzenia na twarzy patrzyła, jak jemy. Nie miałam nic przeciwko końskim zębom, ale nie mogłam przełknąć jej pogardy.

W tych cichych dniach września gdziekolwiek się udałam, miałam poczucie, że ojciec jest blisko. Było tak silne, że czasami wstrzymywałam oddech, spodziewając się w każdej chwili usłyszeć jego głos albo poczuć jego dłoń na ramieniu. W niedzielę przyglądałam się tłumowi wiernych w małym kościółku, pewna, że następna twarz okaże się twarzą ojca. Czułam jego obecność tak wyraźnie, że czasami zamykałam oczy i odchylałam się lekko, spodziewając się, że będzie stał za mną. Spacerując samotnie po lesie, słyszałam jego głos tak wyraźnie, jakby wołał mnie z najbliższego drzewa i nabrałam zwyczaju oglądania się za siebie znienacka, by przyłapać go, gdy będzie się zbliżał. Wierciłam się nawet w kościele, czując na sobie jego wzrok. Nie mogłam się doczekać końca mszy, kiedy to przeciskałam się przez tłum i stawałam na szczycie niewielkich żelaznych schodów, widoczna dla wszystkich, czekając, aż mnie rozpozna.

Siostra Zofia zauważyła moje dziwne zachowanie i opowiedziałam jej o swoich odczuciach. Wykazała się wielkim zrozumieniem. Może ojciec gdzieś się ukrywa, może zbliża się do nas. Z pewnością z jakiegoś powodu musi o mnie intensywnie myśleć. Takie rzeczy się zdarzają.

Opowiedziała mi wtedy o swoim doświadczeniu. Przez całe powstanie była niezwykle spokojna i aż do ostatniej chwili, kiedy ostrzelano naszą ulicę, nie schodziła do piwnicy i nie pozwalała żadnej z nas tam zostawać. Działo się tak, gdyż czuła przy sobie obecność przyjaciela, księdza – już nieżyjącego – który był jej spowiednikiem podczas nowicjatu. Wierzyła gorąco w jego ochronę i wiedziała, że modli się za nią i za nas wszystkie. Kiedy jeszcze żył, lecz mieszkał w odległej części kraju, często otrzymywała od niego telepatyczne wiadomości, które najwyraźniej nie ustały po jego śmierci. Miała gorącą nadzieję, że znów go zobaczy na tamtym świecie.

Zastanawiałam się nad tymi rewelacjami, nie chcąc przyjąć do wiadomości ich znaczenia; ojciec przecież żył. Musiał, inaczej nie było sensu, żebym ja przeżyła. Miałam takie samo przeczucie tuż przed jego powrotem z Rosji w 1940 roku, ale wtedy trwało tylko czterdzieści osiem godzin, gdy szukał nas w Warszawie. Tym razem ciągnęło się tygodniami. Z każdym nowym dniem, który mijał bez niego, coraz bardziej pogrążałam się w depresji.

Siostra Zofia wyraziła swoje współczucie, pytając do kogo szczególnie zwracam się w modlitwie.

– Kto jest twoim ulubionym świętym? – zapytała.

Przyznałam, że nie mam ulubionych świętych. Modliłam się do Jezusa i Marii.

– To oczywiście najlepszy sposób, by zwracać się bezpośrednio do źródła Miłości Bożej, ale nie zaszkodzi, jeśli poprosisz kogoś o wstawiennictwo. Masz jakieś medaliki? Nie miałam.

Siostra Zofia odchyliła fałdę habitu, odsłaniając cały arsenał blaszanych i owiniętych w materiał medalików.

– Nigdzie się bez nich nie ruszam. Dopóki mam je przy sobie, wiem, że jestem bezpieczna.

Po długim zastanowieniu wybrała dwa i dała mi je, zalecając, żebym przypięła je do koszuli.

Podchodziłam do tego bardzo sceptycznie, ale próbowałam to ukryć. Trudno było mi uwierzyć, że te kawałki blaszki z prymitywnie odcisniętymi wizerunkami mają jakąkolwiek moc. Pomyślałam o pogańskich amuletach i talizmanach czarownic, a potem zawstydzona moim brakiem wiary, próbowałam przewyciężyć wątpliwości. Może tu nie chodzi o kawałek blaszki... ale jeśli nie, to po co go nosić? Nagle cudowna aura otaczająca siostrę Zofię lekko przygasała. Teraz wydawała się niemal ludzka.

Coraz bardziej lubiłam nasze spacerowanie z ojcem Cezarym. Kiedy inne dziewczęta biegały wokół nas po lesie, my trzymaliśmy się razem i prowadziliśmy głębokie dysputy. Czułam się z nim bardziej swobodnie niż z siostrą Zofią, która często zbyt mi onieśmielała, bym mogła pozwolić sobie na swobodną rozmowę. Jej nieustępliwość i nieustanne wymaganie najwyższych standardów od wszystkich, zupełny brak poszanowania dla ludzkich słabości i potrzeb sprawiały, że stawała się zupełnie niedostępna. Czciałam ją jako ideał wszelkich cnót, ale aby uniknąć jej pogardy, którą tak często wyrażała, byłam gotowa kłamać lub przynajmniej tłumić najbardziej naturalne reakcje, takie jak jedzenie, gdy byłam głodna, lub drzenie, gdy było mi zimno. Z ojcem Cezarym mogłam pozostać sobą.

Kiedy zebrał po wsiach o jedzenie dla nas, w jego sercu nie było pogardy dla naszych prymitywnych apetytów. Choć nigdy nie jadał z nami posiłków i ze śmiechem odmawiał choćby kęsa z tego, co przyniósł, tłumacząc się niestrawnością lub przejedzeniem, wiedziałyśmy, że nie chce nas pozbawiać choćby okruszyny. Niczego się nie krępował, biegał z nami, przeskakiwał rowy, a czasami nosił najmłodsze dziewczynki na barana lub nawet ukrywał w sutannie podczas gry w chowanego. Siostra Zofia wzdragała się przed każdym dotykem i nie znosiła hałaśliwych zabaw, i tego, co nazywała „chłopięcnością”, którą należało tłumić za wszelką cenę. Jednak cechą, która najbardziej zbliżyła mnie do ojca Cezarego, było jego niewyszukane podejście do wszelkiej wiedzy. Jego zapał do nauki, do czytania nowych książek i późniejszego ich omawiania tak bardzo przypominał mnie samą,



że czasami zapominałam o dzielącej nas przepaści lat i jego powołaniu.

Naszym ostatnim odkryciem był fakt, że niektórzy ludzie widzą słowa w kolorach; przyznałam, że ja zawsze tak widziałam alfabet, a także większość słów zaczynających się wielką literą. Aż do tej pory świącie wierzyłam, że to powszechne odczucie. Sporządziłam listę liter i odpowiadających im kolorów dla ojca Cezarego, który potem zadawał mi nieoczekiwane pytania, by sprawdzić, czy te połączenia się zmieniają. Nigdy tak się nie działo. Związek pomiędzy kolorami i dźwiękami powstał we wczesnym dzieciństwie, kiedy tylko nauczyłam się czytać, i pozostał niezmienny. Pojawiał się przy każdym imieniu własnym, a zwłaszcza przy połączeniu dwóch, które od czasu do czasu zderzały się kolorami tak boleśnie jak dwie fałszywe nuty. Ten temat fascynował nas całymi godzinami.

Siostra Zofia zauważyła moje nowe zainteresowanie, a także fakt, że nie ja jedna jestem oczarowana ojcem Cezarym. Kilka starszych dziewcząt, z wyjątkiem Wiery, która pogardzała naszymi „mądrymi” dyskusjami, dołączało do ojca podczas spacerów, starając się zwrócić jego uwagę. Miał czas dla każdej i żadna nie czuła się nigdy pominięta.

W pogodne październikowe popołudnie siostra Zofia odprawiła chór po próbie, prosząc pięć z nas o pozostanie.

– Zauważyłam wasze nowe fascynacje – wychrypiała, zbierając nuty – i chciałabym was ostrzec. Młodzieńczy entuzjazm jest normalnym zjawiskiem. W waszym wieku skazane jesteście na to, by od czasu do czasu cierpieć z powodu takich ataków, ale powinniście być ostrożne. Łatwo was można prowadzić i jesteście na tyle podatne, by traktować każdą nową ideę jak świętą prawdę. Lubię ojca Cezarego. Uważam, że ma pewną bardzo urzekającą świeżość podejścia. *Naiwność*, jeśli wiecie, co to znaczy. Wynika ona z jego młodości i pewnego braku... nazwijmy to, doświadczenia. Młody chłopak, prawdopodobnie z chłopskiej rodziny, z bardzo ograniczoną edukacją, musi czuć się bardzo przytłoczony, gdy trafi do seminarium i przekonuje się, że tyle musi się nauczyć... Jeśli ma sprawny umysł i zapał do wiedzy, gotów jest się w tym zanurzyć, jak człowiek umierający z pragnienia rzuci się do rzeki, by pić. Jest bardzo prawdopodobne, że będzie przyswajał wiedzę bezkrytycznie. Pochłonie mnóstwo śmieci, jak również solidnych informacji i może minąć wiele lat, zanim nauczy się wszystko przesiewać i wyławiać te najcenniejsze. Dopóki się tego nie nauczy, sam będzie wątpliwym nauczycielem, zwłaszcza dla takich głupiutkich gąsek jak wy... Bądźcie więc ostrożne. Kontrolujcie swój entuzjazm. Dajcie mu czas, by popracował raczej nad sobą niż nad wami.

Wróciłyśmy do pokoju, czując się nieswojo i unikając swoich spojrzeń. Nie do uwierzenia, to niemożliwe, a jednak... czyżby siostra Zofia była zazdrosna?

Kilka dni później w moich stosunkach z ojcem Cezarym nastąpił nieoczekiwany zwrot. Podczas jednej z częstych wizyt w naszym pokoju zauważył mój pamiętnik i – ciekawy jak zawsze – zapytał, co w nim zapisuję. Próbowałam ukryć pamiętnik pomiędzy podręcznikami, ale wyciągnął długą rękę nad moim ramieniem, chwycił go i przytrzymał wysoko nad głową.

– Przeczytam go – oznajmił. – Nareszcie poznam wszystkie twoje sekrety!

Tańczył po pokoju, unikając moich rozpaczliwych prób, by odzyskać pamiętnik.

Zamarłam z przerażenia. W pamiętniku znajdowało się wiele moich „sekrétów” i chociaż zapisałam je specjalnym alfabetem, który wymyśliłam i uznałam za zbyt trudny dla dzieci, wiedziałam, że ojciec nie będzie miał problemów z jego rozszyfrowaniem. Jednocześnie nie mogłam okazać, jak bardzo się boję, bo to jeszcze wzmoże jego ciekawość i zwróci uwagę innych dziewczynek.

Ojciec wybiegł na korytarz, ja za nim, a potem wpadł do pokoju, który dzielił z innymi księżmi. Oczywiście nie wolno tam było wchodzić nikomu z wyjątkiem duchownych, ale przestałam się tym przejmować.

– Ściągniesz klątwę na swoją głowę! To zakazane terytorium!

Chwyciłam go za rękaw, próbując odzyskać zeszyt. Moja rozpacz w końcu musiała stać się oczywista, bo ojciec nagle spoważniał i oddał mi pamiętnik, a stojąc w korytarzu, przeprosił mnie za swoje zachowanie.

– Nie chciałem cię zdenerwować, naprawdę. Każde dziecko ma „straszliwe sekrety”, które dla dorosłych wcale nie są takie straszne. Kocham dzieci i zamierzam z nimi pracować przez całe życie. To naturalne, że chcę je poznać. A pamiętnik najlepiej do tego służy. Dlatego chciałem przeczytać twój. Naprawdę nie sądziłem, że tak źle to odbierzesz. Bardzo mi przykro, że tak cię zdenerwowałem. Wybaczysz mi?

Skinęłam głową bez słowa.

Rozchmurzył się.

– Pozwolisz mi przeczytać tylko kawałek? Niektóre strony? Przejrzyj go i zaznacz te fragmenty, których nie chcesz, żebym czytał, a obiecuję, że je pominię. Co ty na to?

Bałam się wyjść na małosłowną i niewdzięczną, jeśli od razu odmówię, a jednak nie wierzyłam, że dotrzyma słowa. Nikt by tego nie zrobił.

– Muszę go najpierw przeczytać – zagrałam na zwłokę.

– W porządku. Trzymam cię za słowo. Daj mi go za parę dni!

Wróciłam do klasy, ściskając pamiętnik. Nie musiałam go czytać. Nie było w nim ani jednego wpisu, który nie zawierałby jakichś kompromitujących informacji. Idealistyczne wyobrażenia ojca Cezarego o dzieciństwie były bardzo sympatyczne. Miło było wiedzieć, że tak bardzo interesuje się moim umysłem i duszą, ale to nie miało nic wspólnego z moimi wspomnieniami z getta, obawami o bezpieczeństwo

ojca czy nawet – przechodząc prosto ze sfery duchowej do tej brudnej – wstydem, gdy przekonałam się, że jak inne dziewczęta mam wszy. Z pewnością nie było to ważne ani istotne dla jego wiedzy o dziecięcych umysłach?

Ale nie można było złamać danego słowa. Zastanawiałam się nad tym przez dwa dni, po czym w piątek poszłam do ojca do spowiedzi.

– Mam wielkie kłopoty, ojciec – szepnęłam w ciemnościach konfesjonału. – Złożyłam obietnicę, której nie mogę dotrzymać.

– Opowiedz mi o tym – odparł.

Opowiedziałam. Wysłuchał mnie i udzielił rozgrzeszenia. Wieczorem przy kolacji, przechodząc przez salę, zatrzymał się i długo na mnie patrzył. Wyglądał na stropionego i smutnego, ale już nigdy potem nie wracał do tego incydentu. Był jednak jeszcze bardziej przyjazny i bardziej troszczył się o mnie niż dawniej.

Gruby Joachim wyjechał do domu na urlop i natychmiast nasze jedzenie pogorszyło się. Dołączyła do nas kolejna grupa dziewcząt, które uciekły z obozu w Pruszkowie. Przywiozły ze sobą wieści, że w Płudach – moim pierwszym klasztorze – przebywa obecnie czterysta dzieci zamiast zwyczajowej setki i że cały świecki personel został wywieziony na roboty do Niemiec. Pani Rolska, która opuściła sanatorium na początku powstania, musiała się znaleźć wśród nich.

Jesień okryła otaczające nas lasy ognistą szatą, ale płomienie powoli gasły, tłumione przez deszcze, liście brązowiały, a na krzakach było coraz mniej jadalnych jagód. Przeszukiwałyśmy lasy jak stado wygłodniałych zwierząt, próbując wszystkiego, w nieustannej obawie, że ktoś naje się wilczych jagód rosnących obficie na obrzeżach lasu. Przebiegał mnie lodowaty dreszcz na myśl o zbliżającej się zimie, o zamknięciu w zimnych wilgotnych pokojach, wśród dziewcząt, które z powodu stałej bliskości stawały się ostre jak kolce jeżyn, a wszystko potęgował nieustanny głód. Wczesny zmierzch stawał się coraz bardziej przygnębiający, a chłodne wilgotne poranki bardziej beznadziejne niż dotąd. Dziaśła krwawiły mi i znów spuchły, ale nie było sensu wspominać o tym siostrze Adelajdzie, która w apteczce miała tylko krople do oczu.

W tej ponurej atmosferze Ela zadurzyła się w jednym z odwiedzających nas księży, cichym, drobnym siwowłosym mężczyźnie, zajmującym wysoką pozycję w zakonie. Ponieważ nigdy nie zwracał uwagi ani na nią, ani na żadną inną dziewczynkę, jedynym sposobem, w jaki mogła się do niego zbliżyć, było przystępowanie co piątek do spowiedzi. Zastanawiałyśmy się, z czego może się spowiadać, gdyż jak zawsze była wcieleniem wszelakich chrześcijańskich cnót. Co więcej, każda spowiedź trwała strasznie długo i znów wydawało się niemożliwe, by jedna osoba mogła popełnić aż tyle grzechów w ciągu jednego krótkiego tygodnia.

Na koniec siostra Zofia zauważyła, co się dzieje, i jej reakcja była natychmiastowa. Elę wyśmiano, a z jej miłości szydzono na wszelkie możliwe sposoby, zawsze w naszej obecności. Ela oblewała się rumieńcem, płakała, próbowała się bronić i dalej co piątek obnażała swoją duszę w konfesjonale. Siostra przełożona była jedyną osobą, która zdawała się ją rozumieć, a nawet to aprobowała.

– To jej pierwsza miłość – próbowała nam tłumaczyć. – Pewnego dnia każda z was zobaczy gwiazdy otaczające najzwyczajniejszego mężczyznę i cały świat się zmieni. Nie wolno wam się śmiać z Eli. Jestem pewna, że prędzej czy później każda z was będzie przechodzić to samo i być może dokonacie znacznie gorszego wyboru niż ona.

Gruby Joachim wrócił z urlopu z jedną grubą ręką w gipsie, a my rzuciłyśmy się sobie w ramiona z radości. Wyglądało na to, że Niemcy przeżywają ciężkie bombardowania. Ich miasta rozsypywały się w gruzy, ludzie tłoczyli się w piwnicach podobnie jak my wiele razy.

– Dobrze im tak – uznałyśmy. – W końcu dostają za swoje.

Szeptano, że Joachim złamał rękę podczas nalotu i że stracił rodzinę. Pozostali Niemcy chodzili jak chmury gradowe, wyraźnie zmartwieni, posępni i przygnębieni. W nasze wycieńczone ciała wstąpił nowy duch. Nadal chodziłam na samotne spacerunki po lesie, kiedy tylko pozwalała na to pogoda. Było to jedyne miejsce, gdzie mogłam znaleźć spokój, z dala od wścibskich oczu i nieustannych pytań. Próbowałam odnaleźć poczucie bliskości ojca, które gwałtownie blakło, zupełnie jakby odchodził. Jeśli był w tych lasach, musiał się udać w innym kierunku, pomyślałam ze smutkiem. Nawet nie wiedział, jak blisko siebie byliśmy.

Chodząc bez celu od jednego drzewa do drugiego, natknęłam się na niewielką polanę i stanęłam jak wryta. Na przewróconym pniu drzewa siedział Gruby Joachim. Złamaną rękę oparł na kolanach, jego wielka pierś falowała, a po białym gipsie spływały wielkie łzy. Przytuliłam się do drzewa i stałam z otwartymi ustami. Początkowo pomyślałam, że boli go ręka i poczułam falę radości na widok Niemca, który załamał się z tak błahego powodu. Ale natychmiast inna myśl przepędziła tę pierwszą. Mężczyźni nie płaczą z powodu złamanych rąk. Zwłaszcza potężni, krzepcy niemieccy żołnierze.

„Tu chodzi o jego rodzinę, płacze z jej powodu”, pomyślałam. Cała moja radość wyparowała. Żołądek ścisnął mi się boleśnie, tak samo jak wtedy, gdy myślałam o rodzicach. Walczyłam z tym uczuciem, przerażona i zawstydzona, ale nie chciało odejść.

W obliczu takiej rozpaczki zniknął zielony mundur, który reprezentował wszystko, czego nienawidziłam i czego się bałam. Pozostało tylko przytłaczające poczucie, by podbiec, ukłęknać u jego stóp i razem z nim opłakiwać naszych zmarłych. Ale to

oczywiście byłoby szaleństwem, nawet jeśli nie było zdradą.

Wyszłam zza drzewa i cichutko wycofałam się do lasu. Tam, po długim spacerze, wreszcie odzyskałam równowagę na tyle, by wrócić do domu. Ale pozostał cień wątpliwości. Dlaczego tak mnie wzruszył widok łoża Joachima? Dlaczego się nie cieszyłam? Czy nie zdradziłam swoich przez taką haniebną słabość? To przecież niedorzeczne wyobrażać sobie, że Żyd i Niemiec mogą się kiedykolwiek zjednoczyć nawet w bólu? Zaniepokojona swoją reakcją i zbyt zawstydzona, by o tym rozmawiać nawet z ojcem Cezarym, jeszcze bardziej zamknęłam się w sobie, w książkach i marzeniach.

Niedługo po tym pamiętnym dniu najstarszy z „naszych” Niemców przyszedł do siostry przełożonej, by ostrzec ją, że w jednym z pokoi na dole zamieszka grupa Ukraińców.

– Od tej pory musi siostra trzymać wszystkie dziewczęta na górze – powiedział. – Niech się zanadto nie kręcą po domu i nigdy, ale to nigdy proszę im nie pozwalać sprzątać ich pokoi. Obawiam się, że my też będziemy musieli zrezygnować z naszych sprzątarek, gdyż Ukraińcy zamieszkają obok nas. Ci ludzie są dzicy i nikt nie jest w stanie przewidzieć, do czego są zdolni.

Siostra przełożona pobladła ze strachu i podziękowała mu za ostrzeżenie, a on spojrzał na nią smutno, potrząsając głową. Wychodząc, zatrzymał się i odwrócił jeszcze raz.

– I proszę nie pozwalać dzieciom śpiewać patriotycznych piosenek tuż pod naszym nosem; rozumiemy słowa... – podziękował i szybko wyszedł.

Przeniosłyśmy stoły na górę i od tego dnia żyłyśmy w nieustannym strachu przed nowymi sąsiadami. Zjawili się następnego wieczoru, natychmiast się upili i zaczęli śpiewać. Parę dni później ganiłi z bronią po naszych schodach i w końcu rozbroili ich Niemcy. Słyszałyśmy strzały, krzyki i gardłowe niemieckie przekleństwa. Żadna z nas nie zmrużyła oka do rana.

Kiedy nadeszły wykopki, zostałam w domu. Znów zapadłam na szkorbut i jedzenie stało się ogromnie bolesne. Mdląłam przy najmniejszym wysiłku fizycznym lub brakowało mi tchu i za każdym razem byłam przekonana, że zaraz umrę. Na dłoniach i jednej stopie pojawiły się dziwne ropnie i w końcu niechętnie zgłosiłam się do siostry Blanki.

Przyjrzała się mojej zaognionej dłoni i puściła ją z odrazą.

– Masz świerzb.

– Nie mam! – krzyknęłam oburzona.

– Masz. Myjesz się za rzadko, ot co. Robimy co w naszej mocy, żeby nauczyć was

czystości, ale jak możemy walczyć z tym, co wrodzone i typowe dla rasy? Co przeszło z pokolenia na pokolenie... Wy zawsze byliście brudni i zawsze będziecie...

Stałam oniemiała z gniewu, nie mogąc znaleźć odpowiedzi. Oczywiście wszyscy w klasztorze wierzyli, że Żydzi są brudni. Opowiadano o tym wiele historii i nikomu nigdy nie udało się zmienić tego przekonania.

– Pójdiesz teraz do klasy i powiesz siostrze Zofii, dlaczego nie będziesz chodzić na lekcje. Nie możesz rozsiewać choroby. Potem wrócisz do mnie, a ja już zajmę się resztą.

Próbowałam protestować, lecz głos uwiązł mi w gardle. Nigdy nie będę mogła powiedzieć akurat siostrze Zofii, że podobno mam świerzb. Jednak siostra Blanka wiedziała dokładnie, co czuję, i kazała mi iść. Weszłam do klasy i stanęłam w wąskim przejściu między ławkami.

Siostra Zofia podniosła wzrok znad książki i zmarszczyła brwi.

– Nie stój tak, już jesteś spóźniona. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

Otworzyłam usta, chwytając powietrze. Umrę, zanim jej powiem, pomyślałam z rozpaczą. Miałam nadzieję, że rzeczywiście padnę trupem, zanim wypowiem te tragiczne słowa.

Siostra Zofia patrzyła na mnie zniecierpliwiona.

– No? O co chodzi? Jeśli nie masz nic do powiedzenia, nie stój tak, chwytając powietrze jak ryba wyrzucona z wody. Siadaj!

– Nie mogę chodzić na lekcje – wychrypiałam nagle. – Mam świerzb.

W klasie rozległo się zbiorowe zachnięcie. Siostra Zofia wyprostowała się z wyraźnym obrzydzeniem. Zamknęłam oczy.

– Wyjdź – usłyszałam ochrypły szept. W głowie słyszałam szum wody, dźwięk dzwonów i czułam, jak nade mną załamują się zimne fale. – Powinnaś się wstydzić. Jak mogłaś tu przyjść z taką wiadomością? Nie rozumiem, po co to zrobiłaś. Jesteś z tego dumna?

Drzwi zatrzasnęły się. Wyszłam na korytarz, a siostra Blanka w białym fartuchu skierowała mnie do łazienki. W gniewnym milczeniu rozebrała mnie, nalała ciepłej wody do miednicy na stołku i pochyliła się nade mną.

– Wyszoruję cię porządnie, to może cię wyleczę. – Wzięła ostrą szczotkę i zabrała się do pracy, jakbym była meblem. Miałam wrażenie, że szczotka zdiera mi skórę z pleców, ale zacisnęłam zęby i czekałam ponuro, by sprawdzić, co zrobi z moją ręką. Była pokryta ropniami, każdy knykciec i staw był zainfekowany, a wewnętrzna strona dłoni przypominała miniaturową wyspę wulkaniczną w czasie erupcji. Siostra Blanka chwyciła mnie mocno za palce i przesunęła szczotką po dłoni, jakby czyściła but. Wyrwałam się z jej uścisku i schowałam w kącie. Wulkany wyrzucały krew

na podłogę.

– No, tylko bez hysterii – upomniała mnie i narzuciła ręcznik na moje drżące ciało. – Przynajmniej pozbyłyśmy się brudu...

Postawiła miednicę na podłodze, posadziła mnie na stołku i uklękła, by umyć mi stopy. Znowu zacisnęłam zęby i modliłam się o siłę. Nigdy nie mogłam znieść, jak ktoś dotykał mi stóp, ale to była nie pora, by bać się łaskotek. Jakoś udało mi się wysiedzieć, gdy szorowała moją dobrą nogę. Na lewej stopie miałam dwa ogromne ropnie na środku podeszwy, a cała była opuchnięta powyżej kostki. Gdy siostra wyjęła ją z wody, zemdlałam. Zanim jednak ogarnęła mnie ciemność, poczułam straszliwy ból rozdzierający mi nogę i usłyszałam przeraźliwy krzyk.

Kiedy ocknęłam się chwilę później, w łazience było pełno dziewcząt, które patrzyły na mnie z otwartymi ustami. Na podłodze w wielkiej kałuży wody z mydlinami siedziała przemoczona siostra Blanka. Zanim zemdlałam, musiałam kopnąć miednicę. Siostra podniosła się z podłogi, wyżymając habit, rzuciła szczotkę na ziemię i wyszła oniemiała z furii. Ela i Tamara pomogły mi wstać i zabandażowały stopę, z której krew tryskała jak z gejzeru. Chwilę później wróciła siostra Blanka.

– Włóż to. – Podała mi cienką perkalową sukienkę rozdartą z przodu od szyi aż po dół. – Od teraz możesz nosić tylko to. Nie będziemy dezynfekować wszystkich twoich ubrań.

W milczeniu poprowadziła mnie po schodach. W połowie drogi na strych na betonowym podeście leżała wiązka słomy. Tutaj, w kącie, pomiędzy dwoma biegami schodów i dużymi oknami, które tworzyły kąt klatki schodowej, miałam mieszkać, dopóki się nie wyleczę. Dostałam jeszcze szorstki koc i zostałam sama.

Skuliłam się w kącie jak najdalej od okien, w których połowa szyb była wybita. Listopadowe niebo, groźne i szare, zaglądało do środka. Rankiem padał lekki śnieg i wyglądało na to, że możemy się go jeszcze spodziewać. Wiatr świszczął przez szpary w szybach, szeleścił słomą i wdzierał się pod koc. Stopa pulsowała. Ropnie zamykały się i puchły z zatrważającą szybkością. Duży czerwony obrzęk rozciągał się od kostki do kolana.

„Umrę tutaj – pomyślałam. – Umrę z zimna, jeśli ktoś nie przyniesie mi jeszcze koców albo czegoś do ubrania.” Perkalowa sukienka wcale nie dawała ciepła. Normalne skurcze głodowe zamieniły się w uporczywy ból, z powodu którego czasami zwijałam się w pól. O zmroku w mojej norze zjawiła się siostra Blanka z pudełkiem czegoś, co wyglądało jak czarna pasta do butów, i szczoteczką do zębów. Uklękła na podłodze i próbowała rozsmarować na mojej dłoni czarną maść, która jednak była twarda jak kamień. Szczoteczką nabierała małe grudki i przyklejała je do moich ran. Krzywiłam się z bólu i w końcu przekonałam ją, że mogę to zrobić sama. Uważałam,

że to i tak nie pomoże. Maść była przeznaczona na świerzbu, a ja na pewno nie miałam świerzbu.

Noc spędzona na podeście wryła się w moją pamięć jako najciemniejsza i najbardziej bolesna w życiu. Do zimna, głodu i straszliwego bólu brzucha dołączył się dotkliwy ból nogi, która pulsowała, jakby miała rozerwać skórę. Ropnie dojrzewały jeden po drugim, lecz skóra, twarda po letnich spacerach boso w lesie, nie chciała się poddać. Szukałam rozpaczliwe czegoś, czym mogłabym je przekłuć, ale niczego nie znalazłam. Nawet paznokcie były za krótkie.

W pewnej chwili podczas tych dłużeń się godzin nagle przyszło mi do głowy, że mam dużą agrafkę, która może mi posłużyć jako skalpel. Kiedy się wcześniej rozebrałam, przypięłam do perkalowej sukienki dwa medaliki od siostry Zofii. Teraz gorączkowym ruchem rozpięłam agrafkę, rzuciłam medaliki na podłogę i bez chwili wahania wbiłam koniec agrafki w stopę. Ulga była tak wielka, że łzy napłynęły mi do oczu. Przekłułam pozostałe ropnie, przypięłam z powrotem medaliki do sukienki, po czym poczołgałam się na dół, na nasz korytarz. Miał drewnianą podłogę, która po smaganym wiatrem betonie wydawała się względnie ciepła. W nocy jeszcze dwa razy przekłułam ropnie na stopie i zauważyłam, że agrafka jest zardzewiała. Zaczęłam się zastanawiać, jaki skutek będzie miała moja operacja, a o świcie poczołgałam się na górę.

Drżąc z zimna i płonąc z gorączki, zakopałam się w słomie. Beton był zimny jak lód, przez rozbite okna wpadał zimny wiatr razem ze śniegiem. Podciągnęłam kolana do brody, zamknęłam oczy, by nie widzieć burzliwego zimowego nieba i odpłynęłam w półsen; wróciłam na kręte uliczki, pełne dziur i rojące się od ludzi w łachmanach; widziałam brudny ubity śnieg, zamarznęte nagie ciała pod murami, zakrywające je gazety unoszone wiatrem. Wróciłam do getta.

... Idziemy naszą ulicą z Tosią. Każda z nas trzyma ojca za rękę i próbujemy ślizgać się na płatach lodu. Ojciec śmieje się z naszych niezgrabnych ruchów. Obie z Tosią jesteśmy ubrane tak grubo, że przypominamy bałwanki. Na skrzyżowaniu, gdzie dziury są szczególnie głębokie, a kocie łby zdradliwe pod zamarznętym śniegiem, żegnamy się z Tosią, która mieszka w narożnym domu po drugiej stronie ulicy.

Stoimy i patrzymy, jak zмага się z wybrzuszeniami i dziurami w ulicy, z nogami sztywnymi w wełnianych rajtuzach, wyciągając niezgrabnie ramiona, ślizgając się i śmiejąc, podczas gdy my wykrzykujemy słowa zachęty. Wreszcie dociera na chodnik po przeciwnej stronie, omijając wielką hałdę brudnego śniegu w rynsztoku. Odwraca się i macha do nas, by za chwilę zniknąć w bramie. Jednak w tej chwili ojciec przypomina sobie coś ważnego i woła ją.



Tosia stoi skonsternowana na krawężniku, bojąc się jeszcze raz przejść przez ulicę.

– Musisz wrócić, Tosiu, to bardzo ważne. Przepraszam, że zapomniałem ci powiedzieć wcześniej. Nie, nie mogę krzyżeć. To sekret!

Z jękiem Tosia wyrusza w powrotną drogę, omijając czające się na zamarznętej ulicy niebezpieczeństwa, a my okrzykami podtrzymujemy ją na duchu. Staje przy nas zdyszana i zaciekawiona chwyta ojca za rękę.

– O co chodzi?

– Zapomniałem ci powiedzieć, kochana Tosiu, że musisz bardzo ostrożnie przechodzić przez ulicę. Jest strasznie ślisko...

Biegam z Jolą po terenie zbombardowanego szpitala – a może to był kościół? Smaganą wichrem zimną alejkę zaścielają zeschłe liście. Jola wypatruje pusty metalowy kosz na śmieci nadal tkwiący na słupku. W jednej chwili jest przy nim i szczuplutka wsuwa się do środka, a jej roześmiana twarz spogląda na mnie spomiędzy kolan. Siedzi skulona jak kangurek w torbie matki. Kosz spada ze słupka, a uderzenie osadza Jolę tak mocno, że nie może się wydostać. Przez kilka minut mocujemy się przerażone i roześmiane, niepewne, czy będzie to największy kawał w historii czy straszliwa tragedia. W końcu udaje mi się ją wydostać, otrzepuje płaszcz i przez kilka chwil idziemy ramię w ramię, bardzo spokojnie, dwie idealne dziewczynki, które wyszły na spacer. Nagle jesienny wiatr zadziera nam spódnice i unosi włosy, wybuchamy śmiechem, biegamy i tańczymy z suchymi liśćmi wirującymi wokół nas...

A potem jestem w domu, naprawdę w domu, w naszym przedwojennym mieście, to muszą być moje urodziny i jednocześnie gwiazdka, co nie mogło się zdarzyć naprawdę, bo nigdy nie obchodziliśmy Bożego Narodzenia, a poza tym moje urodziny przypadają trzy miesiące później. Jednak teraz obie te daty zlały się w jedno i mama pyta, kogo chciałabym zaprosić na przyjęcie.

– Wszystkie dzieci z klasztoru – odpowiadam.

– A co damy im do jedzenia?

Zastanawiam się głęboko. Zawsze podaje się kanapki, ciastka, czekoladę, owoce i najróżniejsze słodycze. Nie, kiedy jest się tak głodnym jak my, nie ma się ochoty na słodycze.

– Ugotujmy wielki gar zupy jarzynowej z mnóstwem ziemniaków.

Cała rozpalona oczekiwaniem budzę się na kupce słomy i czuję, że ropnie znów napęczniały i trzeba je nakłuć zardzewiałą agrafką, zanim ból doprowadzi mnie do szaleństwa...

Późnym popołudniem siostra Adelajda wróciła z podróży i przysłała mnie odwiedzić. Przyniosła tę samą puszkę maści, ale miała na tyle zdrowego rozsądku, by postawić ją

na chwilę na piecu, żeby się trochę rozpuściła. Nie trzeba jej wcierać szczoteczką, palec wystarczy.

Kiedy smarowałam ręce czarną śmierzdzącą mazią, siostra przyjrzała się mojej stopie, cmokając jak zaniepokojona kura.

– Potrzebny jest na to zastrzyk, wygląda paskudnie.

Kolano miałam opuchnięte, a czerwony obrzęk wędrował w górę uda. Nie powiedziałam jej nic o moich chirurgicznych wyczynach i nieśmiało pokazałam dłoń.

– Myśli siostra, że to naprawdę świerzb?

Spojrzała na mnie zdumiona.

– Świerzb? Co za niedorzeczna myśl! Skąd ci to przyszło do głowy? Nigdy nie miałaś świerzbu, dziecko. Masz żółtaczkę i paskudne zakażenie w tej stopie. Potrzebujesz jedzenia, mnóstwa witamin i tranu, a ja mam tylko tę czarną maść i cynkowe krople do oczu!

Była bliska łez i tylko czarna maź na rękach powstrzymała mnie, żeby jej nie objąć.

– Musimy cię też przenieść z tego podestu, bo umrzesz z zimna. Jak ci się w ogóle udało przetrwać tu noc?

Na szczęście nie czekała na odpowiedź. Po godzinie wróciłam do wspólnego pokoju po wyraźnym oświadczeniu siostry Adelajdy, że mimo ropni i żółtaczki nikogo nie zarazę. Kaloryfery były jeszcze lekko ciepłe; miałyśmy teraz materace zamiast słomy i spałyśmy na nich po dwie. Moją partnerką była Tamara, pulchna i miękka; spałyśmy objęte ramionami, by było nam cieplej. Jej nie przeszkadzały moje ropnie, a ja z pewnością nie miałam nic przeciwko jej gruźlicy, mimo że od końca lata przeżyła dwa małe krwotoki, a w jej piersi świszczało i grzechotało w niezwykle fascynujący sposób. Zupełnie jakbym spała z wielkim mruczącym kotem. Zabandażowana i czysta, byłam całkiem szczęśliwa, choć wiedziałam, że niedługo umrę. Z całą pewnością nie doczekam wiosny.

Z moim powrotem do grupy zbiegły się dwa inne, nieoczekiwane. Pierwsza wróciła Alicja, siedmioletnia blondyneczka, którą na początku lata „zaadoptowała” para uchodźców z Warszawy. Stracili podczas nalotu własną córkę i mąż pomyślał, że nowe dziecko pomoże żonie przetrwać rozpacz. Siostry bardzo niechętnie rozstawały się z dziećmi i w normalnych okolicznościach nic by z tego nie wyszło. Ale ponieważ zimą groziła nam śmierć głodowa, przetrwały skrupuły i wybrały małą Alicję.

Była najcichszą i najschludniejszą dziewczynką w całym zakładzie. Z warkocza nigdy nie wymykał się choćby włos, bladej buzi nie brudziła najmniejsza smuga. Nikt nigdy nie słyszał, żeby krzyczała czy płakała. Odzywała się niemal szeptem i to bardzo rzadko, unikała hałaśliwych zabaw, nigdy nie biła się z innymi i na swój cichy sposób wydawała się bardzo zadowolona.

Po adopcji odwiedziła nas raz czy dwa i nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom. Ubrana w piękną czarną sukienkę, tak krótką, że ledwo zakrywała jej pupę, z zarumienioną twarzą i lśnącymi włosami gadała jak najęta z każdym, kto chciał jej słuchać. Jeszcze bardziej zdumiewało nas to, że siadała nam na kolanach i obejmowała nas tak chętnie, jak wcześniej unikała wszelkiego kontaktu. Ale najbardziej uderzył nas wyraz jej oczu. Po raz pierwszy błyszczały. Alicja nareszcie ożyła.

Zapytałyśmy ją o czarne sukienki, które zawsze nosiła i wyjaśniła, że jest w żałobie po tamtej dziewczynce, która zginęła. Jej nowa mamusia często płakała, ale nowy tatuś był bardzo zabawny. Kupił jej lalkę i balon i miała zabawki tylko dla siebie. Miała swoje własne sukienki, bieliznę i buty, własne łóżko i poduszkę, własne krzesło, filiżankę i talerz. Wszystko było „jej własne”; recytowała długą listę posiadanych rzeczy, przyciskając swoją lalkę do obleczonej czernią piersi. Bardzo się cieszyłyśmy ze względu na nią, pomimo złowieszczych podtekstów o wiecznej żałobie. Przynajmniej dobrze ją karmili i ubierali, i najwyraźniej rozkwitała w nowym otoczeniu.

Jednak na początku prawdziwej zimy przywieziono ją z powrotem. Eksperyment nie powiódł się. Żona nie przestała opłakiwać utraconego dziecka, a mąż stracił ciepłość. Alicja wróciła ze wszystkimi własnymi rzeczami i obietnicą odwiedzin ze strony „rodziców”, która się nigdy nie spełniła. Następnego dnia wylądowała na swoim starym miejscu w pokoju maluchów i siedziała pod ścianą w starej zakładowej sukience – czarne były za krótkie jak na klasztorne zwyczaje – tuląc lalkę i patrząc przed siebie tępym, niewidzącym wzrokiem. Pozostała taka, niema i obojętna, do naszego rozstania.

Następnie wróciła Marta. Ta sama chuda Marta z alabastrowym czołem, która zniknęła z domu tuż przed powstaniem. Pojawiła się pewnego wieczoru, wyższa, grubsza i bardzo opalona, usiadła nieśmiało na swoim tobołku, a my pobiegłyśmy powiedzieć o wszystkim siostrze przełożonej.

Marta nie chciała nam opowiedzieć, co się wydarzyło, wyznała tylko, że przetrwała powstanie w Warszawie, ukrywając się w piwnicy, ewakuowano ją razem z albinoską Renią i jechały na roboty do Niemiec, kiedy Marta wyskoczyła z pociągu, zostawiając Renię. Uratowali ją chłopcy, którzy przyjęli ją do siebie; pracowała w ich gospodarstwie aż do jesieni. Potem dowiedziała się, gdzie jesteśmy, uciekła i nas odnalazła.

– Świetnie sobie poradziłaś, to jasne – zauważyła Wiera. – Bardzo przytyłaś. Ale masz brzuch!

Spojrzałyśmy wszystkie na jej wystający brzuch, który na próżno starała się ukryć przed naszym wzrokiem. Zapadła krępująca cisza. Marta zwiesiła głowę i zaczęła cicho

płakać. Wiera prychnęła z pogardą i odwróciła się na pięcie. Kilka minut później Martę wezwano do siostry przełożonej. Wyjechała szybko tego samego wieczoru, nie żegnając się z żadną z nas.

Dżdżysty listopad powoli zbliżał się do końca. Znowu chodziłam, moja stopa w końcu się zagoiła bez żadnej pomocy. Byłam jednak zbyt słaba, by wykonywać jakiegokolwiek prace, i choć co rano zgłaszałam się sumiennie do pompowania wody, po jednym czy dwóch obrotach koła z trudem łapałam oddech i słaniając się, wracałam do pokoju. Dziewczęta wypatrywały ojca Cezarego lub jakiegoś innego młodego księdza, którzy często nam pomagali i potrafili napełnić cały zbiornik dwa razy szybciej niż my. Pewnego razu ojciec Cezary poprosił naszego kapelana „do pomocy” i pomyślałyśmy, że biedak dostanie zawału. Z purpurową twarzą i potem ciekącym po szyi dyszał ciężko po swojej stronie koła, trzymając je z całych sił, podczas gdy ojciec Cezary kręcił nim jak szalonym wiatrakiem, uśmiechając się od ucha do ucha. Kiedy skończyli, kapelan powlókł się do jednego ze słupków podtrzymujących daszek i oparł się ciężko, ocierając twarz drżącymi rękami. Ojciec Cezary wyciągnął ręce w górę, wziął głęboki oddech i wybuchnął śmiechem.

– Uff! Ależ to dobrze robi! Mam tu za mało ćwiczeń. Mam nadzieję, że będzie tu ojciec przychodził częściej. Dziewczęta na pewno nie będą miały nic przeciwko temu, żebyśmy im pomagały.

Dziewczęta były zachwycone i od tamtej pory stale ich wypatrywały. Jednak choć ojciec Cezary przychodził kiedy tylko mógł, w tej części gospodarstwa nigdy nie widziałyśmy już kapelana.

Zwolniona z ciężkich prac, zajmowałam się teraz najczęściej dziećmi i moja niechęć do nich rosła z dnia na dzień. Wyglądało na to, że nie ma już sposobu, by jakoś do nich trafić. Siedziały pod ścianami, patrząc tępo przed siebie, żując wosk ze świec i kiwając się. Ten bezsensowny automatyczny ruch rozpoczęty przez naszych najbardziej cofniętych w rozwoju bliźniaków wydawał się zaraźliwy. Kiedy nie potrafiłam wyrwać ich z otępienia, cały rząd kiwał się w przód i w tył, uderzając głowami w ścianę, ze szklistym wzrokiem, bezmyślnie przeżuując cuchnące ogarki.

Zwykle w tej chwili do pokoju zaglądała siostra Zofia i wybuchała gniewem: byłam pasożytem, niezdolnym do wykonywania najprostszej pracy, by zarobić na utrzymanie. Jak mi nie wstyd jeść?

Dźwięk jej głosu ożywiały małe potworki, które słuchały go ze złośliwym błyskiem w oczach i posłusznie wstawały, by przyłączyć się do jakiejś głupiej zabawy, gdy siostra znajdowała się w pokoju. Tak łatwo było je rozbawić, były bardzo posłuszne, trzeba się tylko nimi zainteresować... Siostra Zofia wychodziła, a moje podopieczne natychmiast osuwały się na podłogę tam, gdzie stały, puszczając mimo uszu wszystkie moje błagania i groźby. Czułam, że z radością mogłabym je wszystkie zamordować.

W całym domu panował dziwny niepokój. Stłoczone w naszych dwóch pokojach kłóciłyśmy się, płakałyśmy, biłyśmy się albo siedziałyśmy na parapetach, głuche na otaczający nas hałas, wpatrywałyśmy się w czarną ścianę lasu po drugiej stronie drogi. O zachodzie słońca niebo za lasem wyglądało jak skąpane we krwi i czułyśmy ze ściśniętym sercem, że czai się tam coś straszego, gotowe wyskoczyć, kiedy tylko nie będziemy patrzeć. Odcięte od wszelkich kontaktów ze światem, jeśli nie liczyć szalonych plotek przynoszonych przez chłopów, którzy przychodzili co niedziela do naszego kościoła, wiedziałyśmy, że nadciąga wielkie niebezpieczeństwo, i zastanawiałyśmy się, czy tym razem także uda nam się ocaleć. Jakby chcąc nas oderwać od posępnych myśli, siostra Zofia organizowała koncerty i tańce niemal co drugi dzień. Kostiumy były stale czyszczone i naprawiane, próby dawno zapomnianych numerów odbywały się co popołudnie, a mała składana scena została ustawiona na stałe. Ukraińcy na szczęście wieczorami byli nieobecni, za to Niemcy zjawiali się punktualnie, choć nikt ich nie zapraszał. Stali na tyłach sali, kiwając głowami, tupiąc, klaszcząc i często domagając się bisu. Ich podziw denerwował i cieszył siostrę Zofię, która spoglądała na nich gniewnie, wałąc w klawisze, nie mogąc się pogodzić ze swoimi mieszanymi odczuciami.

W dzień świętego Andrzeja lałyśmy wosk, by wywróżyć przyszłość. Dwa razy wyszło mi, że umrę młodo, a raz, że zostanę siostrą. Lekki niepokój, który wywołały w nas wróżby, zniknął jednak, kiedy jedyna obecna wśród nas mężatka – emerytowana nauczycielka – dowiedziała się, że umrze jako stara panna.

Zaczęłyśmy próby kolęd. Tamara odeszła z chóru z powodu gruźlicy i co wieczór wypłakiwała oczy. Kazała nam przysiąc, że nie powiemy siostrze przełożonej o krwotokach. Tylko się zmartwi, a przecież nic nie można było zrobić. Nie było pieniędzy na sanatorium, a nawet gdyby były, Tamara nie chciała nas zostawiać teraz, kiedy „coś” groziło nam w dzień i w nocy. Wiera, jedyna solistka, stała się jeszcze bardziej nieznośna i pewnego dnia, kiedy uparcie nie chciała słuchać wskazówek siostry, rozpętała się burza.

Siostra Zofia zatrzasnęła klapę pianina i wstała purpurowa z gniewu.

– Jeśli nie będziesz mnie słuchać, możesz sobie sama prowadzić chór! Mam już dość twoich fochów!

Wyszła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi, a my natychmiast rzuciłyśmy się do Wiery. Osaczyłyśmy ją w kącie i wrzeszczałyśmy histerycznie, wymachując pięściami przed jej nosem. Oskarżałyśmy ją o każdy grzech ujęty w katechizmie, obrażałyśmy w każdy możliwy sposób, a na koniec kazałyśmy jej się wynosić. Zbladła jak ściana i wybiegła z pokoju. Ale nas to nie uspokoiło. Postanowiłyśmy sprawić jej lanie zgodnie z klasztorną tradycją. Ukrywając za plecami gruby koc, przekradłyśmy się

do pokoju maluchów, gdzie się schowała i jedna z nas wywołała ją pod jakimś pretekstem. Gdy tylko drzwi się uchyliły, zarzuciłyśmy jej koc na głowę. Zaciągnęłyśmy ją do naszego pokoju, powaliłyśmy na podłogę i zabrałyśmy się do bicia wszystkim, co tylko wpadło nam w ręce. Teoretycznie można było używać tylko miękkich przedmiotów, takich jak paski czy ręczniki, ale trafiło się też kilka butów. Biłyśmy ją, aż rozbolały nas ręce, i dopiero wtedy przestałyśmy.

Odeszła nadal otulona kocem i myślałyśmy, że nie zobaczymy jej przez wiele dni. Jednak ku naszemu zaskoczeniu nazajutrz wczesnym rankiem pojawiła się przy konfesjonale. Dzień później przystąpiła do komunii i ku naszemu bezgranicznemu zdumieniu przyjmowała ją codziennie. Wcześniej starała się nie przystępować do komunii częściej niż dwa, trzy razy na kilka miesięcy i wyzywała od „religijnych maniaczek” te dziewczęta, które przyjmowały komunię regularnie przez kilka tygodni. Pewnej nocy pogodziła się też z siostrą Zofią, która przyjęła ją z powrotem do chóru. Tym samym wytrąciła nam broń z ręki – nikt nie mógł oskarżyć o hipokryzję dziewczyny, która codziennie przystępowała do komunii – i byłyśmy tym wszystkim mocno sfrustrowane. Ale wyglądało na to, że przemiana Wierę była szczerą. Z zażenowaniem i niepokojem zauważyłam, że bardzo się mną zainteresowała; zachowywała się tak przyjaźnie, że w końcu zwalczyła moją podejrzliwość. Przez większość czasu leżałam na materacu przytulona do letnich kaloryferów, często znajdując się w dziwnym stanie pomiędzy snem a jawą. Kostki palców nie chciały się goić, na dłoniach i szyi pojawiły się nowe ropnie, a siostra Adelajda tylko potrząsała głową, wzdychała i zapewniała mnie co dnia, że musimy się modlić o jakieś lekarstwo, które pomoże mnie wyleczyć, zanim będzie za późno.

Może ten odnaleziony na nowo duch chrześcijański sprawił, że Wiera całymi godzinami przesiadywała na moim materacu, rozmawiając ze mną, snując marzenia lub słuchając moich opowieści. Moje ropnie śmierdziały i często widziałam w pobliżu zmarszczone nosy. Nie próbowałam się domyślać, co sprawiło, że stosunek Wierę do mnie tak bardzo się zmienił. Wcześniej, jeśli mnie w ogóle zauważała, tylko szydziła z mojego pretensjonalnego zachowania, „wyszukanych” manier przy stole i innych zachowań, których teraz trzymałam się równie uparcie, jak w domu je odrzucałam. Oddzielały mnie od reszty dzieci, wywołując niezliczone incydenty, a jednak – razem ze szczegółowymi rysunkami naszego przedwojennego mieszkania – były jedyną kotwicą w mojej zmiennej egzystencji. Całymi godzinami wpatrywałam się w te rysunki, dodając jakiś szczegół lub zmieniając coś, aż znów ożywały wszystkie pokoje po ostatni kaktus w doniczce na oknie.

Dryfując pomiędzy teraźniejszością i przeszłością, czasami wyłaniałam się w tamtym świecie przed 1939 rokiem, zawsze słonecznym i ciepłym, i znajdowałam

się w domu. To mógł być wczesny ranek, gdy dzwony w mieście wzywały na poranną mszę. Była tam Stefa, poruszająca się jak we śnie, która zamiatała, odkurzała i froterowała, słuchając z uwagą mamy, chodzącej za nią od pokoju do pokoju i potykającej się o miotły i szczotki, bo wzrok miała utkwiony w ostatni numer z brukowymi powieściami, należący do Stefy. Ta, czekając na kolejny zeszyt, czasami wpadała w taką desperację, że kiedy tylko pojawił się w kiosku na rogu, natychmiast po niego biegła, po czym zagłębiała się w lekturze, zapominając o obowiązkach. W takich przypadkach mama musiała ją zmuszać do pracy, a sama chodziła za nią, czytając na głos ostatni mrozący krew w żyłach odcinek *Porwanej w noc poślubną* lub *Gdzie jest Ewa?* Ojciec oczywiście zapewniał wszystkich naszych przyjaciół i krewnych, że mama jest skrytą wielbicielką tych opowieści i nie może się doczekać, aż Stefa skończy czytać. Często przerzucałam stosy starych numerów, pokrywających się kurzem w pokoju Stefy, ale ponieważ nie miały obrazków, wcale mnie nie kusiły.

Dźwięk dzwonów stawał się bardziej natarczywy i wracałam do zimnej rzeczywistości, gdzie dzwony z wieży kościelnej wzywały nas na mszę. Wstawałam powoli, przytrzymując się ramienia Wiery lub kaloryfera. Kręciło mi się w głowie i przy najmniejszym wysiłku przed oczami wirowały mi czarne płatki i jasne gwiazdki. Nie mogłam się już pochylać, nie tracąc przy tym równowagi, a po przebyciu dwóch biegów schodów prowadzących na nasz korytarz z trudem łapałam oddech. Cotygodniowa kąpiel stała się koszmarem. W każde sobotnie popołudnie przynosiłyśmy wiadra gorącej wody do naszej łazienki, w której były tylko kurki z zimną wodą. Tylko w ten jeden dzień w tygodniu rozbierałyśmy się i myły w ciepłej wodzie. Często były to jedyne chwile w ciągu całego tygodnia, kiedy było nam naprawdę ciepło. Jednak wiadra trzeba było nosić z pralni na drugim końcu wielkiego podwórza, przez ciężki śnieg. Kiedy docierałyśmy do łazienki, woda już zdążyła wystygnąć, ale to nie miało znaczenia, bo i tak niewiele jej donosiłam. Wiadro było zdecydowanie zbyt ciężkie i przez większość drogi ciągnęłam je po ziemi, wychlapując wodę na śnieg i tracąc resztę na schodach. Nie mogłam wnieść po schodach nawet pół pełnego wiadra i zwykle musiałam się myć w lodowatej wodzie z kranu, a potem jeszcze wycierać schody.



– Jak się pisze pamiętnik? – zapytała Wiera pewnego dnia. Wytłumaczyłam jej.

– Ale czy to nie jest niebezpieczne? Każdy przecież może przeczytać.

Zastanowiłam się. Jasne, że każdy mógł przeczytać, i niektórzy pewnie to robili, ale nie chciałam jej zniechęcać.

– Nikt się do tego nie zniży. Pamiętnik jest bardzo osobisty, ściśle prywatny. Po prostu się go nie czyta.

Spojrzała na mnie, wyraźnie nieprzekonana, ale bardzo chciała mi wierzyć. Obie byłyśmy równie rozczarowane i rozgoryczone doświadczeniem życia we wspólnocie i obie nagle chciałyśmy uwierzyć w rzecz niemożliwą: że wśród małych dzikusek, wśród których żyłyśmy, można zachować choć odrobinę prywatności.

– Zawsze możesz go gdzieś ukryć albo pisać w taki sposób, że nikt inny nie zrozumie – mruknęłam na koniec.

Kilka dni później przyniosła mi do przeczytania kilka pierwszych stron. Odmówiłam. Nikt nie może nigdy czytać pamiętnika, nawet przyjaciółka. Ona jednak nalegała, grożąc kolejnym wybuchem, więc wzięłam zeszyt. Prawdę mówiąc, płonęłam z ciekawości.

To, co znalazłam w środku, jednocześnie mnie zdumiało i rozczarowało. Wpisy były tak chaotyczne i pisane tak nieortograficznie, że większość z nich na pierwszy rzut oka wydawała się nieczytelna. Sądząc po sposobie pisania, Wiera była półanalfabatką. Jednak to, co się wyłoniło z tych niewyraźnie zapisanych stron, było dla mnie szokiem. Nie znalazłam tam niczego o samej Wierze, o jej życiu, żadnych przemyśleń. Także niczego o innych dziewczętach. Pamiętnik był relacją z codziennych poczynań siostry Zofii, jej zachowań, słów, sposobu, w jaki patrzyła na Wierę lub udawała, że jej nie widzi. Każdą chwilę dnia Wiera musiała poświęcać na szpiegowanie siostry Zofii i wyglądało na to, że wszystko, co siostra powiedziała lub zrobiła, jest bezpośrednio wymierzone w Wierę. Jeśli patrzyła lub rozmawiała z którąś z nas lub inną siostrą, działało się tak wyłącznie dlatego, że była zła na Wierę i chciała ją ukarać. Jeśli na nią spojrzała, wszystko było analizowane pod kątem ukrytych znaczeń i w określony sposób nawiązywało do czegoś, co wydarzyło się między nimi przed tygodniami, a nawet miesiącami. Po każdym wypowiedzianym do niej słowie Wiera lądowała w niebie, każdy „unik” pograżał ją w otchłani nienawiści.

Na każdej stronie pojawiała się planowane morderstwo, morderstwo każdej dziewczynki, która wchodziła jej w drogę i na chwilę odwracała uwagę siostry. Była tam też namiętna miłość, żalosne oceny, wyznania winy i najbardziej ekstrawaganckie przysięgi. We wszystkich tych udręczonych wpisach siostra Zofia pojawiała się zawsze

jako M.

Dlaczego M.?, zastanawiałam się. Co to oznacza?

– M. oznacza matkę – wyjaśniła Wiera.

Byłam zbyt wstrząśnięta, by to skomentować. Niedługo potem Wiera podarła pamiętnik, oświadczając, że to śmieszna, bezużyteczna rozrywka, dobra tylko dla małych dziewczynek, i nasza przyjaźń straciła na intensywności. Wiera nie wróciła jednak do dawnych praktyk dręczenia mnie przy każdej nadarzającej się okazji. Jej materac leżał tuż obok mojego i doprowadzała mnie do szału, kładąc mi stopę na głowie lub kopiąc mnie w twarz, za co odpłacałam, wykręcając jej palce u nóg. Teraz jej stopy znajdowały się daleko i mogłam spać spokojnie, śniąc o pomarańczach.

Z jakiegoś powodu gdy tylko zamykałam oczy, w moich snach pojawiały się pomarańcze. Widziałam je i czułam ich zapach. Mogłam dotykać tłustej, chropawej skórki; czułam nawet na twarzy kropelki piekącego soku. Leżały, lśniące i pachnące, na słomianej poduszce, obok mojego policzka. Kiedy ich dotykałam, sen znikał.

Boże Narodzenie tego roku było najbiedniejsze ze wszystkich do tej pory. Dostałyśmy tylko po kawałku śledzia i gotowanym ziemniaku na kolację, którą zjadłyśmy wcześniej, by zdążyć na pasterkę. Byłam tak chora, że siostra przełożona zwolniła mnie z udziału we mszy, i natychmiast po kolacji wróciłam na materac. Ukraińcy wyjechali, dziewczęta mogły więc zostać na dole i czekać na rozpoczęcie mszy. Wszyscy wyszli, gdy tylko rozdzwoniły się dzwony, a ja zostałam w domu – choć raz zupełnie sama. Cisza była zdumiewająca. Wstałam i staniając się z wysiłku, chodziłam od pokoju do pokoju, rozglądając się podejrzliwie, jakby spodziewając się znaleźć je wszystkie, leżące i czekające na mnie. W pokojach, jak zawsze, widać było ślady stłoczenia na niewielkiej przestrzeni. Książki, przybory do szycia, buty i pończochy wałały się na materacach i podłodze. Pomimo wysiłków siostry nigdy nie można było zaprowadzić porządku.

Gdzieś z głębi pamięci wypłynęło wspomnienie innych pokojów porzuconych w pośpiechu i zatańczyło mi przed oczami. Niezasłane łóżka, wyciągnięte szuflady i otwarte szafy, niepomyte naczynia w pustych pokojach w getcie. Nagle zatęskniłam za wszechobecnym hałasem, za opryskliwymi głosami, przepychaniem się, które tak bardzo mnie irytowało. Nie mogłam znieść samotności.

Wróciłam do naszego pokoju, ubrałam się we wszystko, co mogłam znaleźć, i dysząc z wysiłku, szybko wyszłam z domu. Lodowate powietrze uderzyło mnie w twarz milionem igieł i oddech zamarzył mi w gardle. Powoli, z ogromnym wysiłkiem, zaczęłam przedzierać się przez sięgający kolan śnieg. Gdzieś musiała znajdować się ścieżka, którą szli inni, ale w ciemności i panice nie mogłam jej znaleźć. Rzęsiście

oświetlony mały kościółek z witrażami rzucającymi kolorowy blask mimo zaciemnienia i ścianami niemal pękającymi od wypełniającego wewnątrz tłumy, ciepła i śpiewu, wydawał się jedynym bezpiecznym miejscem w otaczającej mnie ciemności. Przedzierałam się w jego stronę przez falę zimna i nudności, czując, że jeśli nie dotrę tam na czas, coś strasznego wyjdzie z lasu i cały świat zginie w eksplozji.

Kiedy znalazłam się w środku, zapach kadzidła i duchota o mało co nie wygnały mnie z powrotem, ale precisnęłam się przez tłum chłopów, ominęłam potężną ścianę śmierdzących piwem Niemców w zielonych mundurach i wreszcie uklękłam w moim zwykłym miejscu. Chór był w znakomitej formie i żałowałam, że nie jestem z nim. Siostra Zofia odesłałaby mnie jednak z powrotem, gdybym się ośmieliła tam pokazać, i wolałam znajdować się bliżej drzwi. Po komunii zrobiło się straszliwie gorąco i duszno. Wiedziałam, że zemdleję, jeśli nie wyjdę; precisnęłam się z powrotem do wyjścia i upadłam, szlochając z wysiłku na zaśnieżonych żelaznych schodach. Kiedy odzyskałam oddech, połknęłam trochę śniegu i opierając się o lodowate żelazo, rozejrzałam dookoła. Noc była pogodna, czyste niebo z błyskającymi lodowato gwiazdami wydawało się straszliwie dalekie, a cały świat spał spokojnie pod białą kołdrą świeżego śniegu. Las ciemniejszy niż otaczająca go noc rysował się groźnie po drugiej stronie drogi, która zniknęła pod śniegiem. Wydawał się posuwać powoli, lecz nieubłaganie w naszą stronę, a jego czarny krąg zaciskał się co noc coraz mocniej wokół naszego małego świata. Pewnego dnia obudzimy się i zobaczymy za oknami czarne pnie drzew.

Irracjonalny strach i zimno przykuły mnie do schodów i siedziałam, nie mogąc się poruszyć, spojrzeniem osadzając las w miejscu aż do końca mszy, kiedy pierwsza fala parafian usunęła mnie z miejsca i ukryta między ich potężnymi postaciami ukradkiem wróciłam do domu.

Następne dni mijały nam na nieustannych koncertach, śpiewaniu i tańcach. Tym razem tańczyły również siostry i siostra Blanka otworzyła bal, prowadząc w wykwinnym walcu Elę. Niemcy byli zachwyceni i nie opuścili ani jednego koncertu. Chodzili po domu, nosząc dzieci na rękach, lub siedząc, podrzucali je na kolanach. Rozdawali chleb i miód wszystkim, którzy mieli na nie ochotę, i nawet próbowali się przyłączyć do naszego śpiewania.

W sylwestra odbył się kolejny „bal” i czekałyśmy do północy, by przywitać 1945 rok. Rozpoczynał się szósty rok wojny. Kto by pomyślał, że to możliwe, zastanowiłam się, obserwując wirujące kolorowe spódnice. Jakże odległy wydawał się rok 1939 – ostatni rok mojego dzieciństwa – gdzie byli wszyscy ci, którzy zaczęli podróż ze mną? Dokąd zmierzałam? Zaśnieżona droga za naszym oknem wiła się wokół krawędzi lasu

i znikąca, jakby połknięta przez drzewa. Nikt nigdy nią nie chodził. Chłopi przychodzili przez pola z drugiej strony. Nam nigdy nie wolno było opuszczać terenu klasztoru. Od czasu, gdy ostatni uchodźcy z Warszawy brnęli przez jej żółty piasek, na drodze nie pojawił się żaden wóz, koń ani człowiek. Oni też zostali z nami. Nikt nie szedł drogą dalej. Może prowadziła donikąd.

Za trzy miesiące skończę piętnaście lat, pomyślałam w pierwszy poranek nowego roku, patrząc przez okno na drogę. Nawet jeśli dożyję urodzin, jak będzie wyglądać moje życie? Czy będzie przypominać tę drogę, jedyną drogę stąd, Drogę Donikąd?

– Szczęśliwego Nowego Roku – szepnął mi do ucha ochrypły głos i odwróciłam się zaskoczona. Ujrzałam siostrę Zofię, która patrzyła na mnie oczami w czerwonych obwódkach. – Życzę ci, żebyś wyrosła na dobrą chrześcijankę i szlachetną osobę jak twój ojciec.

Wyszła cichutko z lekkim grzechotem różańca, a kiedy szybko odwróciłam się do okna, droga rozplynęła się i zamgliła w nagłych łzach.

W poniedziałek 15 stycznia Niemcy i Ukraińcy otrzymali rozkaz wymarszu i kiedy kotłowali się na dole, przeklinając, krzycząc i mocując się ze sprzętem, siedziałyśmy w naszych pokojach, niemal nie oddychając. Było całkiem możliwe, że przed wymarszem spalał dom. Rosyjski front zbliżał się bardzo szybko i co noc czarny zimowy horyzont rozjaśniał ogień płonących wiosek. Niemcy wycofywali się metodycznie, czyniąc drobiazgowo plany i pozostawiając za sobą tylko śnieg i wypalone ruiny. Pod wieczór niezmacona niczym cisza powiedziała nam, że ocalałyśmy. Pobiegłyśmy na dół, by się upewnić. Pokoje były puste. Pośród niezastłanych łóżek i wywróconych stołów na podłodze leżały tuziny rozbitych jajek. Niemcy dostawali co tydzień skrzynki jajek, które ubite z cukrem i zmieszane z koniakiem były ich podstawowym pożywieniem. Miałyśmy nadzieję znaleźć kilka całych, ale okazali się bardzo dokładni. Nie ocalała ani jedna skorupka.

W nocy obudziła nas siostra Zofia i kazała zejść na dół. Podbiegłam do okna. Za otwartymi polami na wschodzie horyzont tworzył lśniąca linię, pulsującą, rozedrganą, wyrzucającą bukiety ognia i płomienne pomarańcze, jakby zbliżała się do nas grupa żonglerów. Za nagim lasem po obu stronach domu czerwony blask nad najbliższymi wsiami oznajmiał, że Niemcy mieli dość czasu, by wycofać się metodycznie i zgodnie z planem palili wszystko za sobą. Samotny dzwon bił na alarm i niebawem dołączył do niego nasz, a ze spalonych domów napłynęły fale chłopów szukających u nas schronienia.

Noc minęła na gorączkowym pakowaniu i znoszeniu tobołków do piwnicy. Potem, wyczerpane i na wpół śpiące, siedziałyśmy na progu, patrząc, jak łuna na wschodzie

blednie w świetle poranka. Wstawał kolejny zimowy dzień, a my czekałyśmy na nieuniknione. Jednak rankiem nic się nie wydarzyło i zmęczone powlokłyśmy się z powrotem na górę i w ubraniach padłyśmy na materace.

Obudziłam się późnym popołudniem i wspięłam na parapet. Las stał milczący i czarny. Droga była pusta, śnieg nietknięty. Nagle jakby znikąd pojawiła się grupa jeźdźców i skręciła na nasz teren. Mieli na sobie pikowane kurtki i okrągłe futrzane czapki z nausznikami zawiązanymi pod brodą. Na każdej widniała czerwona gwiazda. Wjechali na podwórze i widziałam, jak zsiadają i wymachują w stronę chłopów, którzy byli zbyt zdumieni, by zareagować. Nowo przybyli zniknęli w stajni, a kilka minut później pojawili się na grzbietach klasztornych koni. Odjechali szybko, pozostawiając swoje zmęczone szkapy u nas i dopiero kiedy zniknęli na drodze, chłopci wyrwali się z otępienia i z krzykiem pobiegli do bramy.

W drzwiach stanęła siostra przełożona.

– Dzieci, są tutaj Rosjanie. Podziękujmy Panu Bogu, że ocalił nam życie w tych ostatnich godzinach i módlmy się o nasze dalsze bezpieczeństwo.

Wieczorem u naszych bram pojawiła się kolejna grupa Rosjan. Tym razem dowodził nimi oficer i siostra przełożona wyszła, by go powitać. Zasalutował i zdjął czapkę, po czym odprowadził ją do domu.

Kiedy kładłyśmy się spać, w drzwiach stanęła siostra Zofia.

– Chórzystki, wstawać! Z życiem!

Ubrałyśmy się szybko i wyszłyśmy na korytarz.

– Rosyjski oficer tęskni za domem. Ktoś mu powiedział, że pochodzimy ze wschodu, i chce usłyszeć kilka pieśni. Nie pójdę z wami, musicie śpiewać bez akompaniamentu.

Oficer siedział w pokoju siostry przełożonej ze szklanką herbaty i cuchnącym papierosem w palcach. Na nasz widok rozpromienił się.

– Ach, dziewczynki, dziewczuszki, słyszałem, że śpiewacie jak skowronki... Zaśpiewajcie dla mnie!

Usiadłyśmy stłoczone na podłodze i kołyszając się w takt zaśpiewałyśmy: piosenki rosyjskie, ukraińskie, ballady, pieśni miłosne, wojskowe, piosenki o samotnych nocach w okopach, kiedy kule świszczą w ciemności, o syberyjskich wioskach i górach Kaukazu; o polach pszenicy i bezgranicznych stepach, gdzie skowronek wisi na niebie jak srebrny dzwoneczek; o kwitnących wiosną jabłoniach i gruszach i o dziewczynie imieniem Katusza...

A mężczyzna w cudzoziemskim mundurze z czerwoną gwiazdą i rzędem medali siedział nad szklanką zimnej herbaty i płakał.

Śpiewałyśmy do świtu. Kiedy oficer wyjeżdżał rankiem, pochylił się nad dłonią siostry przełożonej i z powagą oświadczył, że zasłużyła na medal za to, jak wychowała

dzieci, i kolejny jako wynagrodzenie za ciężką pracę i niebezpieczeństwa, których doświadczyliśmy. Był pełen podziwu i żałował, że nie może zostać. Nigdy nie zapomni tej nocy.

Kiedy chwając się z niewyspania, szliśmy do naszego pokoju, zobaczyliśmy, jak odjeżdża na czele swojego niewielkiego oddziału. Jego żołnierze jechali na koniach, które ich towarzysze zostawili poprzedniego dnia, a swoje pozostawili w naszej stajni.

Skulona na parapecie, nie zwracałam uwagi na lodowate przeciągi i przytuliłam czoło do zimnej szyby, próbując przekonać samą siebie, że to już koniec. Wojna się skończyła. Oczywiście walki nadal trwały, nie podpisano rozejmu i groziły nam nowe niebezpieczeństwa ze strony zwycięzców, ale byłam wolna. Nie musiałam już ukrywać mojej tożsamości. Mogłam wreszcie przyznać, kim jestem, i powiedzieć, jak się naprawdę nazywam. Kiedy to sobie uświadomiłam, zakręciło mi się w głowie. Nie byłam już Danką Markowską. Jasia Dawidowicz przeżyła. Wieczorem, kiedy rozmawialiśmy, leżąc na materacach, oświadczyłam, że być może niedługo wyjadę i że jestem gotowa wpisać się dziewczynkom do pamiętników. To oświadczenie wywołało małą sensację. Do tej pory uparcie odmawiałam wpisywania przestodzonych wierszyków do pamiętników pod pretekstem, że nie znoszę takiego sentymentalizmu. Prawdę mówiąc, nie potrafiłam zmusić się do wpisywania „na wieczność” mojego fałszywego nazwiska w albumikach, które były skarbem dla każdej dziewczynki. Nie chciałam, by zapamiętały mnie jako Dankę. Teraz wszystko się zmieniło. Poprosiłam o pamiętniki, a kiedy je dostałam, wpisałam się do każdego, używając mojego prawdziwego nazwiska, a potem spoglądałam z „chłodną wyższością”, kiedy zaskoczone dziewczęta domagały się wyjaśnień.

– Na pewno wiedziałyście... – powiedziałam nonszalancko i oparta o poduszkę rozkoszowałam się ich zmieszaniem. – Tylko nie mówcie, że się nie domyślałyście...

Kiedy znalazłam się sama z siostrą Zofią, nie mogłam opanować podniecenia.

– Ojciec na pewno niedługo tu przyjedzie. Jestem pewna, że mnie szuka, może już teraz zbliża się do klasztoru... Umrę z radości, kiedy go zobaczę.

Siostra Zofia uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Po tym wszystkim, co mi o nim opowiadałaś, bardzo chcę go poznać... Kiedy się tu pojawi, to naprawdę będzie wielki dzień. Postaraj się być cierpliwa, bo wypalisz się jak świeca przed jego przybyciem i co mu wtedy powiem?

Tymczasem klasztor powoli się rozpadał. Grupy dziewcząt szykowały się do wyjazdu. Pierwsi mieli nas opuścić uchodźcy. Nasze najstarsze dziewczęta, wśród nich Ela, Tamara i Wiera, miały wyjechać w następnej kolejności. Kiedy minęło

największe niebezpieczeństwo, niechętna siostra przełożona nie chciała nas dłużej trzymać. Nasz własny klasztor nie miał dość funduszy, by nas wszystkie zatrzymać. Inne domy obiecały pomoc, ale dziewczęta trzeba było podzielić, niektóre miały się dalej uczyć w gimnazjum, inne zamierzały pójść do techników. Rozmawiano o nauce gospodarstwa domowego, kursach dla sekretarek i pielęgniarek. Ela płakała w kącie, gdy jej ksiądz otrzymał nakaz przeniesienia. Ojciec Cezary i nasz kapelan planowali wyjazd na zachód. Słuchałam ich rozmów z roztargnieniem, czekając na swój wielki dzień. Jeśli do marca nikt się nie zjawi, pojedę na zachód sama albo z ojcem Cezarym do Kalisza, by sprawdzić, kto wrócił. Tymczasem siostra Adelajda nareszcie zdobyła nową maść i stan moich dłoni poprawiał się.

W piątek 23 lutego podczas wieczornej modlitwy do naszego pokoju weszła siostra Adelajda i uklękła obok mnie.

– Włóż sukienkę, Danusiu. – Nadal zwracały się do mnie tym imieniem. – Ktoś do ciebie przyjechał.

Pokój ogarnęła nagła ciemność. Z trudem łapałam oddech, podczas gdy siostra pomagała mi się ubrać. Drżąca oparłam się na jej ramieniu, kiedy prowadziła mnie na korytarz. Nagle zatrzymałam się i złapałam ją za rękaw.

– Ten pan... który przyjechał, jest bardzo wysoki i ciemny?

Spojrzała na mnie ze smutnym uśmiechem.

– Nie... nie nazwałabym go wysokim... ale jest bardzo ciemny.

Podniecenie opuściło mnie nagle i zrobiło mi się niedobrze z rozczarowania. To nie był ojciec... Zeszłam po schodach powoli, niemal obojętnie, jakby mi wcale na tym nie zależało. W głównym holu stała siostra przełożona z Erykiem i dopiero kiedy znalazłam się w jego ramionach, zaczęłam płakać i wydawało mi się, że już nigdy nie przestanę.

Później, siedząc na kolanach Eryka z głową opartą na jego ramieniu, słuchałam, jak jękając się, opowiadał o długich poszukiwaniach od wsi do wsi, o wielu sierocińcach i klasztorach, które odwiedził, o niezliczonych dzieciach, którym się przyglądał, o strachu i rozczarowaniu, kiedy kolejna wskazówka okazywała się fałszywa.

– Nie wiedziałem przecież, gdzie przebywałaś w Warszawie. Nigdy nie pytałem siostry przełożonej, skąd przychodzi, w obawie przed aresztowaniem. A w dniu wybuchu powstania – wiedziałem, że to się stanie – czekałem, że do nas wrócisz. Czekałem cały dzień na siostrę przełożoną, a potem tuż przed jej przyjściem zostałem odwołany... Drżałem o twoje bezpieczeństwo przez cały czas walk, a kiedy wszystko się skończyło, wylądowałem z chłopcami w Częstochowie i nie miałem pojęcia, co się z tobą stało ani gdzie cię szukać. W sumie chyba dobrze się stało, że nie wróciłaś do nas. W nasz dom trafiła bomba i wszyscy zostaliśmy zasypani w piwnicy.

Na szczęście naszą trójkę udało się wydostać, lecz wiele osób zginęło. A potem w Częstochowie żyliśmy w skrajnej nędzy. Chłopcy sprzedawali na ulicy zapałki i sznurowadła, a ja próbowałam znaleźć jakąś pracę. Teraz chłopcy są z krewnymi w naszym mieście, w twoim mieście, Jasiu, a my wracamy tam jutro!

– A Lidia?

Westchnął.

– Nie wiem, co się z nią stało... Nie miałem żadnych wiadomości. W każdym razie nie jest już z nami.

– A Zosia?

– Jest w Niemczech. Została wywieziona na roboty. Miejmy nadzieję, że wróci... Zawsze była twarda, może przeżyje...

Kręciło mi się w głowie i nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć.

Nazajutrz wczesnym rankiem po wielu pożegnaniach wyruszyliśmy na tę samą małą stację kolejową, z której przyszliśmy latem. Siostra przełożona pocałowała mnie i musiałam uroczyście obiecać, że nie zapomnę o nich i nigdy nie porzucę wiary. Obiecałam bardzo chętnie. Nie miałam wątpliwości, że pozostanę w kościele katolickim. Siostra Adelajda, Wiktoria, Helena, a nawet siostra Blanka przyszły się pożegnać. Wszystkie mocno mnie uściskały i każda w inny sposób wymogła na mnie tę samą obietnicę. Ojciec Cezary zapisał mój adres i przyrzekł, że mnie odwiedzi, jak tylko będzie mógł. Wszyscy wymieniliśmy adresy, obecne i przyszłe, i wreszcie ze starą teczką na plecach ruszyłam w drogę, trzymając siostrę Zofię za rękę. Miała nas odprowadzić do połowy drogi do stacji.

Ranek był zimny, a przenikliwy wiatr utrudniał rozmowę. Zresztą i tak byłam zbyt zdezorientowana, by mówić. Przed wyjściem siostra Zofia wsunęła mi do teczki swoje zdjęcie, kiedy już zrezygnowałam z proszenia ją o nie. Wiedziałyśmy wszystkie, że siostra ma tylko kilka odbitek starej fotografii zrobionej, gdy była dużo młodsza, i daje je tylko swoim ulubienicom. Teraz odbitkę miała jedynie Ela, pozostałe przez lata zostały rozdzielone pomiędzy kilka wyjątkowo uprzywilejowanych starszych dziewczynek. Aż do tej chwili nie mogłam uwierzyć, że kiedykolwiek znaczyłam dla niej coś więcej niż pozostałe dziewczęta w klasztorze. Na drugiej stronie fotografii napisała swoje imię i krótką dedykację ozdobnym charakterem pisma, którego nauczyła się przed laty, „by nikt nie mógł z charakteru pisma odcyfrować jej prawdziwej natury”

Walczyliśmy z wiatrem na Drodze Donikąd, która nagle otworzyła się przede mną. Po godzinie siostra Zofia zatrzymała się i wskazała na ośnieżone pola.

– Idźcie dalej prosto, a za godzinę dotrzecie do stacji.

Trzymałam ją za rękę, nie mogąc puścić. Wyswobodziła ją delikatnie, ujęła moją



zimną twarz w dłonie w czarnych rękawiczkach i pocałowała mnie w czoło. Potem popchnęła mnie lekko w stronę Eryka i zrobiła nad nami znak krzyża.

– Idź w imię Boże. I nie zapomnij.

Eryk pociągnął mnie za rękę i ruszyłam za nim, potykając się o zamarznięte koleiny i odwracając co kilka kroków. Samotna czarna postać stała na bezkresie białych pól, machając ręką. Wiatr targał szerokim habitem i welonem, aż zakręt na drodze skrył ją przed naszym wzrokiem.

Na stacji rozgorączkowany tłum kłębił się przy każdym pociągu. Mężczyźni, kobiety i dzieci z plecakami i tobołkami wspinali się przez okna i na dachy, chwytali się lokomotywy, przysiadali na buforach i kleili się jak pijawki do stopni.

Za nic nie mogliśmy wsiąść i dopiero w ostatniej chwili Eryk postawił stopę na przypominających drabinę metalowych stopniach i pociągnął mnie za sobą. Złapaliśmy się metalowych poręczy, a rękawiczki natychmiast do nich przymarzły. Pociąg nabierał szybkości i zamykając oczy, z całych sił przycisnęłam się do wagonu. Eryk objął ramieniem moje plecy, a ja modliłam się, by przeżyć. Na zakrętach siła odśrodkowa albo przyciskała mnie mocniej, albo groziła, że mnie oderwie. Kiedy tylko zbliżaliśmy się do niskiego mostu albo tunelu, gwizd pociągu ostrzegał ludzi na dachu, żeby położyli się płasko i trzymali wentylatorów. Gdy niebezpieczeństwo mijało, rozlegały się dwa krótkie gwizdy i w całym pociągu znów podnosiły się głowy. Pasażerowie wzdychali z ulgi, przeklinali lub żartowali. W jednym krytycznym momencie, kiedy poczułam, że palce nie wytrzymają, z okna wyłoniła się ręka, chwyciła mnie za głowę i przycisnęła ją do wagonu. Na następnej stacji ta sama ręka wciągnęła mnie do środka, a za mną wgramolił się Eryk. Staliśmy przez kilka stacji ściśnięci bez tchu między innymi pasażerami, walcząc na każdym przystanku z tłumem wchodzącym bądź wychodzącym z przedziałów.

Zmienialiśmy pociągi kilka razy, gdyż nadal jeździły nieregularnie i często zatrzymywały się na otwartych polach na kilka godzin lub nawet dni. W drugim dniu znaleźliśmy się w lokomotywie z maszynistą i palaczem i umierałam ze strachu za każdym razem, gdy otwierały się drzwiczki paleniska, odsłaniając płonące piekło, które parzyło w twarz. Mężczyźni kierujący pociągiem żartowali, śpiewali i zapewniali nas, że „staruszka” jest przegrzana i lada chwila wybuchnie. To był jedyny moment w czasie naszej trzydniowej podróży, kiedy nie było mi zimno, a jednak odetchnęłam z ulgą, gdy w końcu wysiedliśmy.

Ostatnia część podróży minęła nam względnie wygodnie, w prawdziwym przedziale, gdzie nikt nie stał nam na palcach. Eryk znalazł w końcu miejsce i wyczerpany drzemał, trzymając mnie na kolanach. Siedzący obok nas straszliwie brudny, wycieńczony

mężczyzna próbował zwrócić moją uwagę. Ignorowałam jego uśmiechy i nieśmiało wyciągniętą rękę. Byłam zbyt zmęczona, by spać, i opierając głowę na ramieniu Eryka, patrzyłam przez okno na gwałtownie jaśniejący krajobraz. Zbliżyliśmy się do przedwojennej granicy zachodniej i znajdowaliśmy się teraz na terenach, które w czasie wojny należały do Niemiec. Wszędzie widać było wiosnę. Topniejący śnieg odsłaniał płaty zieleni, a strumyki czystego srebra spływały z dachów i wzgórz. Niebawem będziemy w domu...

Mężczyźnie udało się w końcu obudzić Eryka i teraz próbował nawiązać rozmowę.

– Wy też wracacie do domu...? – zapytał, ukazując pośród kilkudniowego zarostu resztki pożółkłych zębów.

Eryk przytaknął skinieniem głowy.

– To pańska córka?

Mężczyzna uśmiechnął się do mnie i nagle uświadomiłam sobie, że jego twarz wykrzywił grymas, a w oczach błysnęła rozpacz.

Eryk znów skinął głową.

– Ach... – wychrypiał mężczyzna. – Pańska córka. Ma pan córkę... szczęściarz z pana... Prawdziwy szczęściarz. Ile ma lat? Dziesięć?

Już miałam zaprotestować, lecz Eryk ostrzegawczo ścisnął mnie za rękę. Mężczyzna patrzył teraz na mnie, a na jego pobrużdżonej twarzy malował się żal i głód.

Ile może mieć lat? – zastanowiłam się. – Trzydzieści? Pięćdziesiąt? Trudno było określić.

– Ja też miałem córkę – wyszeptał z trudem. – I syna. Córkę i syna. Byłem szczęśliwym człowiekiem... Najszczęśliwszym na świecie. Ma pan więcej dzieci? – odwrócił się podejrzliwie w stronę Eryka.

Ten pokręcił głową.

– Nie, tylko ją.

– No to niech się pan nią dobrze opiekuje. To prawdziwy skarb.

Wyciągnął rękę i pociągnął mnie za rękaw.

– Musi pan być zmęczony, niech posiedzi chwilę u mnie, a pan odpocznie. Chodź, malutka, prześpij się na moim ramieniu.

Chwytałam Eryka za rękaw, ale on popchnął mnie lekko w stronę mężczyzny.

– To bardzo miłe z pana strony. Jest trochę ciężka. Jeśli naprawdę nie ma pan nic przeciwko temu...

Mężczyzna objął mnie obszarpanym ramieniem i przycisnął moją twarz do kołnierza płaszcza. Wstrzymałam oddech z obrzydzeniem. Był straszliwie brudny. Cuchnął. Trzymał mnie mocno, kołyszając w rytm pociągu, usypiając, jakbym była malutkim dzieckiem.

– Córeczka... córeczka – mrucał od czasu do czasu. – Taki cudowny skarb.

Wagon znów się wypełnił i podniosłam się z kolan mężczyzny, by stanąć przy oknie. Mijaliśmy otwarte pola, na których niedawno toczyły się ciężkie walki. W ziemi widniały olbrzymie leje, wszędzie sterczały kikuty drzew i wałyły się stosy kamieni, a żołnierze w zielonych mundurach leżeli jak marionetki z pourywanymi sznurkami w dziwnie nonszalanckich pozach. Pasażerowie przyglądali się im w milczeniu z zaciętymi twarzami.

Ostatni raz ich widzę, pomyślałam i przypomniałam sobie nagle, jak jesienią 1939 roku wykręcałam się na furmance, by choć raz zobaczyć Niemców, zanim skończy się wojna. To było w Warszawie. Teraz Warszawy nie było, a ja wracałam do domu.

Eryk zapewnił mnie, że nasze miasto nie ucierpiało i kiedy się zbliżaliśmy, obserwowałam horyzont, z niepokojem wypatrując dobrze znanego widoku. Wszystko było tak, jak zapamiętałam. Wieże kościołów, kominy, wzgórze, ciemnozielona chmura parku, rzeka...

Kalisz... Trzęsły mi się nogi, gdy o zmierzchu szliśmy przez znajome ulice. Wszystko było na miejscu. Nasz dom z ciemnymi i pustymi oknami; dom moich dziadków z łuszczącą się farbą i też ciemnymi oknami. Być może jutro wrócą dawni mieszkańcy i życie cofnie się do chwili, gdy wyjechaliśmy w 1939 roku. Chciałam się zatrzymać i wszystkiemu przyjrzeć, dotknąć ścian... ale Eryk ciągnął mnie za sobą, pragnąc jak najszybciej spotkać się z chłopcami.

– Jutro przyjdziemy i zobaczymy, kto tu jest; jutro życie nareszcie znowu zacznie się na nowo.

W małym mieszkaniu należącym do ciotki Eryka Paweł i Tomek wybiegli nam na spotkanie i przez długi czas panowało wielkie zamieszanie, pełne łez i całusów, a Bibcia szczekała i skakała wokół nas. Obaj chłopcy ogromnie urosli i byli straszliwie chudzi i bladzi.

– Kiedy ostatni raz was widziałam, byłam najwyższa, a teraz proszę! Dwie tyczki od fasoli!

Wybuchnęłam śmiechem, trzymając ich za ręce. Górowali nade mną wyżsi od Eryka, Paweł piegowaty z okrągłą głową, Tomek przystojny blondyn. Zniknęły wszystkie ślady dziecięcej pulchności, a ja byłam tak mała jak wtedy, gdy się z nimi rozstałam. Nadal miałam na sobie sweter kupiony zimą 1939 roku. Był teraz cały pocerowany i rękawy nie sięgały mi do nadgarstków, ale poza tym pasował całkiem nieźle. A miałam prawie piętnaście lat!

Spaliśmy na podłodze we trójkę na jednym materacu, przytuleni do siebie. Rano przy śniadaniu Eryk wziął mnie za rękę.

– Jasiu, obiecaj mi coś...

– Obiecuję...

– Jeśli twoi rodzice nie wrócą... zostaniesz z nami. Chcę cię adoptować.

Wzięłam głęboki oddech.

– Obiecuję, że zostanę z wami do powrotu moich rodziców.

Wyszliśmy do miasta. W naszym domu Stanisław podniósł mnie do góry na środku małego podwórka i śmiał się ze szczęścia, a na wąsy kapały łzy.

– Nic się nie zmieniłaś! A gdzie jest tatuś? I mama? Oni też wrócili?

Wyjaśniłam, że jestem sama.

– Oni też wrócą lada dzień. Wszyscy niebawem wrócą. A kiedy wróci tatuś, mam coś dla niego. Spójrz... – Wprowadził nas do swojego domku na podwórku i z kąta wyjął długi sznur. – Pamiętasz pana Jungego, felczera? Powiesił się na tym sznurze. Na strychu. Sam go odciąłem. Trzymam ten sznur na szczęście, ale oddam go twojemu tacie, gdy wróci. Wasz dom nie przyniósł szczęścia temu staremu łajdakowi, który wyrzucił twoją mamę. Powiesił się w dniu, kiedy uciekli Niemcy...

W domu moich dziadków podbiegła do nas para w średnim wieku.

– Jasia! Żyjesz! Gdzie wszyscy?

Patrzyłam na słabo zapamiętane twarze.

– Jesteśmy twoimi kuzynami! Nie poznajesz nas?

Spojrzałam na nich zaskoczona. Nie byli kuzynami. Kobieta pracowała w sklepie mieszczącym się w domu dziadków, a mężczyzna był jej mężem. Kuzyni...?

Chwycili mnie w objęcia, całując, poklepując i cmokając jak dwie stare kwoki.

– Jakie to szczęście widzieć cię tutaj! Gdzie teraz mieszkasz? Kiedy wrócisz? Nie martw się, pójdziesz z nami. Zostaniesz u nas, dopóki nie pojawi się reszta rodziny.

Próbowałam protestować, ale znów mnie mocno objęli i praktycznie napadli na Eryka, który zmieszany zaczął się jąkać. Próbowałam im powiedzieć, że nie są moimi krewnymi, że nie chcę z nimi nigdzie iść, że obiecałam, ale opór Eryka w zderzeniu z ich stanowczością zaczął się kruszyć. Rodzina, oczywiście, legalne prawa... praktycznie *in loco parentis*... opieka nad nieletnimi... oczywiście, oczywiście, przepraszam... mam nadzieję, że będziesz pisać...

Chłopcy z zapłakanymi twarzami, moja teczka, ubrania... puste domy i opustoszałe ulice, gdy bieглиśmy na dworzec, dwoje natarczywych i rozgadanych, obcych ludzi obok mnie, moje ręce w ich mocnym uścisku.

Kolejny zatłoczony pociąg i długa podróż na wschód do Łodzi, do tego samego miasta, na tę samą ulicę, do tego samego domu, w którym razem z mamą czekałyśmy na wybuch wojny...

– To teraz nasz dom. Zmieniliśmy nazwisko na wasze, żeby uprościć sprawy prawne.

Spadek, no wiesz... Tyle trzeba ocalić. Wszystkie wasze domy, młyn, las, ogrody, mnóstwo pracy. Adam dosłownie leci z nóg, próbując to wszystko ogarnąć. Nie możemy pozwolić, żeby państwo wszystko przejęło. Jeśli ktoś natychmiast się nie zgłosi, majątek zostanie znacjonalizowany. Musieliśmy to zrobić, rozumiesz?

Późnym wieczorem Irena osaczyła mnie w łazience.

– To prawda, że ten Eryk próbował zrobić z ciebie swoją kochankę?

Wybuchnęłam, wściekła i urażona, a ona zaczęła wymachiwać rękami, wielkoduszna i pełna wybaczenia.

– Już dobrze, dobrze, nie będziemy o tym rozmawiać. Co było, minęło. Nie musisz się już z nim więcej widywać.

Zauważyła srebrny medalik, który siostra Zofia dała mi na chrzest.

– Możesz już to zdjąć. Nie ma potrzeby na te brednie. Wojna się skończyła.

– Ale on jest mój. Wierzę w to. Jestem katoliczką!

Wybuchnęli śmiechem i pokręcili głowami.

– Biedactwo, nadal jest przerażona. Co te siostry z tobą zrobiły? Czego cię nauczyły? No, jesteś już w domu, opowiedz nam o klasztorze...

Zacisnęłam usta i patrzyłam gniewnie na tę dwójkę obcych ludzi, żądnych sensacji, pieniędzy, „spadku”. Nie chciałam z nimi rozmawiać i w łóżku modliłam się godzinami o szybki powrót rodziców, żebym mogła opuścić ten dom.

Rankiem nie znalazłam medalika. Zniknął razem z łańcuszkiem, kiedy spałam. Adam i Irena patrzyli na mnie tępo, kiedy się wściekałam, płakałam i błagałam.

– Nie widzieliśmy go. Nigdy byśmy go nie tknęli. Chyba ci się przyśniło.

W niedzielę próbowałam przed śniadaniem wyjść do kościoła, ale zamknęli drzwi na klucz.

– Nie z tego domu. Najwyższa pora, żebyś się obudziła z tego snu. Tu nie jest klasztor. Nie staniemy się pośmiewiskiem całego domu. Wszyscy wiedzą, kim jesteś, wszyscy pamiętają twoich rodziców i dziadków. Z nikogo nie zrobisz głupka. Zapomnij o tym.

Następnego dnia uciekałam.

Na stacji panował tłok, ale udało mi się wcisnąć do przedziału pełnego kobiet. Zrobiły dla mnie trochę miejsca i kiedy pociąg turkotał przez otwartą przestrzeń, atmosfera stawała się coraz bardziej przyjazna. Wszystkie kobiety wiozły żywność, żeby sprzedać ją w innych miastach. Chciały się koniecznie dowiedzieć, co sprzedaję, i nie mogły uwierzyć, że jedyną kontrabandą jestem ja. Śmiały się, kiedy wyznałam, że uciekłam. Podzieliły się ze mną jedzeniem i zabawiały mnie rubasznymi opowieściami.

Na niewielkiej stacji przy naszym oknie stanął mężczyzna i próbował dostać się do środka. Kobiety zastąpiły mu drogę.

– Przedział jest pełny. Nie ma miejsca! – Stłoczyły się przy oknie na dowód, że nie ma również miejsc stojących. Mężczyzna nalegał i najbardziej stanowcza kobieta odepchnęła go bezceremonialnie.

– Nie może pan wejść. Kobieta rodzi!

Próbował zajrzeć jej przez ramię, podejrzliwy i nie przekonany. Ktoś za mną jęknął rozdzierająco i mężczyzna szybko odskoczył.

– Nie żartujecie?

– Jasne, że nie! To nie temat do żartów! Słyszałyście, dziewczęta? Kobieta rodzi i żarty! Typowy mężczyzna! Zmykaj stąd!

Kolejny jęk i mężczyzna wyraźnie się skulił.

– Może pomogę? Chcecie, żebym sprowadził doktora? Może jest gdzieś w pociągu.

– Nie potrzebujemy doktorów. Same damy sobie radę. Spadaj!

Odskoczył, bo pociąg powoli zaczął ruszać, a my skuliłyśmy się ze śmiechu.

– Ale wyglądał, jak usłyszał ten jęk! Myślałam, że zemdleje!

Na następnej stacji wrócił i zajrzał do przedziału.

– Urodziła już? To chłopiec? Gdzie jest szczęśliwa mama?

Znów odepchnęły go rozgniewane.

– To nie taka prosta sprawa. Dzieci nie rodzą się w godzinę...

Znów spojrzał podejrzliwie, ale cofnął się, obiecując, że odwiedzi nas na następnej stacji. Ja jednak tam wysiadłam.

Tym razem ulice wyglądały na mniej wyludnione. Podczas tych kilku dni wróciło więcej ludzi. Przyglądałam się ich twarzom, kierując się do biedniejszej dzielnicy na brzegu rzeki, gdzie mieszkał Eryk z chłopcami. Ale kiedy zjawiłam się w małym mieszkaniu, była tam tylko stara kobieta.

– Nie ma ich – poinformowała mnie lakonicznie, a jej twarz przypominała maskę ze starej pomarszczonej skóry. – Eryka aresztowali w zeszłym tygodniu. Nie pytaj

dlaczego. Nie wiem, co robił w czasie okupacji i nie chcę wiedzieć.

Chłopców zabrał podobno wuj z Katowic. Po tych słowach staruszka zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

Wróciłam do centrum miasta, próbując zebrać myśli i postanowić, co dalej. Nie miałam pieniędzy i nie miałam gdzie spać. Dotąd nie spotkałam nikogo znajomego, choć było to kwestią czasu, podobnie jak powrót moich rodziców czy kogoś z rodziny. Trzeba poczekać kilka dni, tygodni, może miesięcy. Z drugiej strony być może już tutaj są i mnie szukają... Podniosłam głowę i ruszyłam szybkim krokiem szeroką aleją okalającą park. Mijając most, który prowadzi w stronę wilgotnej zieleni, przesiąkniętej wiosennymi deszczami, rzuciłam w tamtą stronę tęskne spojrzenie. Nie czuję, że naprawdę wróciłam do domu, dopóki tam nie pójde... ale to musi poczekać.

W domu babci wpadłam na szczupłego ciemnowłosego mężczyznę w mundurze amerykańskiego porucznika. Przyglądaliśmy się sobie przez chwilę, a potem padliśmy sobie w objęcia, nadal nie mogąc uwierzyć własnym oczom. A więc to jest wujek, pomyślałam. Jakże różnił się od wymuskanego oficera z ostatnich dni przed wojną i brodatego żołnierza, który przyszedł nas pocieszyć do piwnicy w Warszawie. Stworzyłam sobie domniemany portret wujka-żołnierza z rzadkich listów, które przysyłał z oflagu gdzieś w Niemczech na dziwnych formularzach listowych z błyszczącego papieru, zapisanych ołówkiem. Odpisywaliśmy mu na tych samych formularzach, wymazawszy tekst jego listu. Martwiliśmy się o niego, czekając na jego listy, wysyłając paczki, próbując przemycić informacje o naszym położeniu. W ostatnich chaotycznych miesiącach korespondencję z nieznanym mu żołnierzem przejął Eryk.

Po pierwszych chwilach zmieszania opowiedziałam mu, skąd się tu wzięłam, przekonana, że teraz – skoro już wrócił – zostanę z nim. On jednak, zaniepokojony i niepewny, zmarszczył brwi.

– Wydaje mi się, Jasiu, że na razie byłoby lepiej, gdybyś wróciła do Adama i Ireny. Koczuję w tym mieszkaniu, śpię na podłodze, a w całym domu roi się od szcurów i myszy. To nie miejsce dla małej dziewczynki.

– Nie jestem mała! Mam prawie piętnaście lat. Mogłabym prowadzić wujkowi dom i nie przeszkadzają mi szczury! Potrafię szorować podłogi!

– Piętnaście lat? – Spojrzał na mnie zdumiony i musiałam mu wszystko opowiedzieć, by go przekonać.

– To nie moja wina, że nie urosłam przez ostatnie lata. Nie miałam dość jedzenia. Ale może jeszcze nadgonię. Poza tym chcę zostać tutaj! Nienawidzę Ireny!

Pokręcił głową i zaczął wkładać płaszcz.

– Musimy złapać pociąg. Na mój widok Adam i Irena zmienią śpiewkę. Będą

straszliwie rozczarowani, że przeżyłem. To bez wątpienia pokrzyżuje im plany, ale nie ośmielą się cię wyrzucić. Zobaczysz.

Zanim dotarliśmy do stacji, udało mi się wymóc na nim obietnicę, że jeśli do lata moi rodzice nie wrócą, znajdzie mi pokój w Kaliszu, gdzie będę mogła mieszkać sama. Niedługo zacznie się szkoła i już nie mogłam się tego doczekać.

W pociągu, wciśnięta pomiędzy dwóch astmatycznych mężczyzn, załatwiających piwem i tytoniem, wracałam myślami do ostatnich kilku godzin. Przynajmniej ich nie zmarnowałam. Znalazłam wujka, uzyskałam obietnicę powrotu do Kalisza i samodzielnego mieszkania, być może czekając na powrót rodziny. Pociąg zatrzymał się w polu. W ciemności na zewnątrz rozległy się głosy. Jacyś ludzie przeklinali i protestowali. Okazało się, że dalej nie pojedziemy. Oczekiwano niebawem pociągów z zachodu, z niemieckiego frontu i to one miały pierwszeństwo. Wyszliśmy z dusznych przedziałów i rozproszyliśmy się po torach. Za naszym stały inne pociągi, długie węże wagonów cichych i ciemnych, ciężko dyszące lokomotywy, które wyrzucały z siebie obłoki dymu; pomiędzy wielkimi kołami syczała para.

– Lepiej spróbować wsiąść do tamtych – poradził ktoś w ciemności. – Mogą ruszyć przed naszym.

Pociąg na sąsiednim torze wydawał się pusty. Podeszłam do towarowego wagonu z lekko uchylonymi drzwiami, odsunęłam je bez trudu i wspięłam się na próg. Przez długą chwilę siedziałam na podłodze, próbując złapać oddech. Gdy mój wzrok przyzwyczał się do ciemności, ujrzałam przykucniętego przede mną na wpół rozebranego rosyjskiego żołnierza z ręką w gipsie. Usta miał otwarte ze zdumienia.

Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Kiedy oprzytomniałam, ogarnęła mnie panika. Przebywanie w jednym wagonie z rosyjskim żołnierzem nie było wskazane dla kobiety w żadnym wieku. Z opowieści, które krążyły po kraju, wiedziałam, że złamana ręka nie ostudzi wyzwolenczego zapału czerwonoarmisty.

Cofnęłam się w stronę drzwi, ale był szybszy ode mnie i zatrzasnął je z hukiem. W tej samej chwili uświadomiłam sobie, że pociąg ruszył. Rosjanin zapalił lampę naftową wiszącą na haczyku i z cienia wyłoniło się wnętrze wagonu. Piętrowe drewniane prycze pod ścianami pełne śpiących mężczyzn, łubki i zabandażowane kończyny sterczące pod nieprawdopodobnym kątem, duszący zapach krwi, lekarstw i brudnych opatrunków... Był to pociąg szpitalny jadący z frontu do prawdziwego szpitala gdzieś w Polsce lub Rosji.

Na środku podłogi stał duży żelazny piecyk rozpalony do czerwoności, nad którym wisiał parujący czajnik. Zobaczyłam też drewniany stół i kilka rozklekotanych krzeseł, podskakujących do rytmu pociągu. Mój gospodarz wziął jedno z nich i gestem zaprosił



mnie, żebym usiadła na drugim. Usiadłam. Skinął głową zadowolony i uśmiechnął się zachęcająco. Z kilku prycz patrzyły na mnie zciekawione twarze. Próbowałam odpowiadać na z trudem rozumiane pytania w mieszaninie polskiego i rosyjskiego. Przy energicznym machaniu rękami i kiwaniu głową udało nam się osiągnąć coś na kształt porozumienia. Pociąg jechał przez Łódź, gdzie miałam nadzieję wysiąść, i żołnierze pozwolili mi zostać do tego czasu. Sądzieli, że mam jakieś dziesięć lat, i nie wyprowadzałam ich z błędu. Bezpieczniej było mieć pięć lat mniej.

Żołnierz wyjął duży bochenek chleba i kawałek wędzonego boczku z puszkii pod stołem i opierając się na ręce w gipsie, zaczął je kroić scyzorykiem. Znosiłam grube kanapki na prycze, stając na niższych, by sięgnąć do tych na górze. Pomocna dłoń często przytrzymała mnie za kostkę, a sądząc po zdumionych twarzach na poduszkach, niektórym z nagle obudzonych żołnierzy wydawało się, że nadal śnią. Po kanapkach przyszła pora na kubki zimnej wody. Gorąca najwyraźniej nie była przeznaczona do picia, a kiedy wyraziłam zdumienie, zapewniono mnie, że w chorobie najlepsza jest zimna woda.

Czas mijał nam na urywanych próbach rozmowy, które szybko skończyły się z powodu braku słów. Nikt nie zamierzał mnie zgwałcić i odprężyłam się w ciepłe pieca, żując grubą kanapkę. Boczek był „dojrzały”, a chleb twardy jak kamień, ale byłam tak głodna, że zjadłam wszystko. Pociąg minął kilka stacji bez zatrzymywania się, aż dotarł do mojego celu, gdzie na szczęście się zatrzymał i po pospiesznych pożegnaniach żołnierz pomógł mi wysiąść.

Ten ostatni dzień i noc wyczerpały całą moją energię i następne dni zasnuły się mgłą. Wiedziałam, że leżę w łóżku, że obok są Adam z Ireną i od czasu do czasu z mgły wyłaniał się wujek. Czułam straszliwy ból w piersi, a każdy oddech rozrywał mi płuca na strzępy. Kiedy tylko otwierałam oczy, pojawiała się jedzenie, najpierw na kopiatych talerzach, a potem, gdy zobaczyli, że nie daję rady, na łyżeczkach. Pomyślałam z goryczą, że spełnił się mój sen, który dręczył mnie przez wszystkie lata w klasztorze; byłam w domu, w łóżku, otoczona jedzeniem, którego nie mogłam jeść. Najprostsze potrawy były zbyt ciężkie dla mojego skurczonego żołądka i płakałam rozczarowana, nie mogąc opanować wymiotów.

Kiedy wreszcie pozwolono mi wstać, wiosna przeszła w lato i stare miasto zaczęło się dusić. Wojna oficjalnie się skończyła. Irena stale mówiła o wakacjach; wujek powinien nas wysłać do uzdrowiska w górach i za wszystko zapłacić, ale nie chciałam się ruszyć nigdzie z wyjątkiem Kalisza. Nadal nie otrzymałam wieści, by ktokolwiek wrócił do domu, to znaczy wieści od mojej rodziny, bo co tydzień na zachód wracały setki ludzi. Teraz to już tylko kwestia dni. Musiałam być na miejscu.

Na koniec ustąpili. Znaleźli mały pokój w centrum miasta przy rynku, na którym stał ratusz, szary i przysadzisty z wznoszącą się w letnie niebo cienką wieżą. Ulica, na której stał mój nowy dom, była stroma i kręta niczym ciemny strumień, biegła wokół dziedzińca starego kościoła i wychodziła na targ. Blisko było stamtąd do nowej szkoły, parku i naszych starych domów. Wujek mieszkał w tym samym mieszkaniu, teraz zastawionym rodzinnymi meblami, które udało mu się ocalić i które trzymał „dla nich”. Szczury i myszy nadal biegały po pokojach, ale wujek miał teraz pracę i wyjeżdżał na całe tygodnie, poza tym nie dbał o warunki, w jakich mieszkał.

Oboje – nie poruszając tego tematu – mieszkaliśmy „prowizorycznie”; o nic się nie troszcząc, niecierpliwie czekając na dzień powrotu rodziny, kiedy zacznie się nowe życie.

Cieszyłam się, że nareszcie jestem sama, z dala od Adama i Ireny z ich nieustannym dopominaniem się o pieniądze, szpiegowaniem wujka, narzekaniem, że nie dostają uczciwej części „spadku”. Byli komicznie rozczarowani za każdym razem, gdy jakiś daleki krewny pisał gdzieś z Europy, by dać nam znać, że przeżył. Kilku kuzynów znalazło się za granicą po demobilizacji z różnych obcych armii lub polskiego wojska. Każdy list ożywiał moją nadzieję. Jeśli mogli przejść przez Stalingrad, Syberię, obozy Persji, przez Monte Cassino, Libię i francuski ruch oporu, to na pewno mogło ocaleć kilku cywilów, za których tak gorąco się modliłam.

Wędrując ciemnymi, wilgotnymi alejkami parku, szukając śladów zabaw

z dzieciństwa, zmuszałam się, by uwierzyć, że wszystko będzie tak, jak sobie wymarzyłam podczas wojny. Jakże tęskniłam za tym parkiem, czując, że kiedy znów się w nim znajdę, wszystko wróci do normalności. I miałam przed sobą park, rzekę i biały budynek teatru odbijający się w spokojnej wodzie. Brakowało tylko łabędzi. Zjedli je Rosjanie.

Szklana oranżeria była pusta i zimna, dachy i ściany popękane, ale kilka pawów przeżyło, choć były mocno wyliniałe. W wąskim przejściu między dwoma żywopłotami z ostrokrzewu wpadłam kiedyś na grupę Cyganek. Pamiętałam wyraźnie swoje przerażenie na widok tej ciemnookiej, ubranej w jaskrawe kolory grupy i jak z płaczem pobiegłam prosto w ramiona Stefy. Cyganki porywały dzieci, zwłaszcza te ciemnookie i ciemnowłose jak ja. Minęły mnie rozgadane, z długimi poszarpanymi spódnicami wirującymi wokół brązowych kostek, z bransoletkami, koralami i długimi kolczykami dźwięczącymi przy każdym kroku. Miały długie warkocze, kolorowe chusty i rozbiegane oczy.

A teraz Cyganie także zniknęli, nie tylko z parku, ale i z powierzchni ziemi... Śmierć czaiła się wszędzie, każde wspomnienie z dzieciństwa zdawało się mieć swój kres w komorze gazowej.

W moim starym domu Stanisław i jego żona pokazali mi oficjalny list z zagranicznymi znaczkami.

– Napisali tutaj, że nasz syn, Józek, co był za pilota w Anglii, nigdy nie wrócił z misji. Jak myślisz, co to znaczy?

Przed oczami stanął mi obraz wysokiego usmolonego ucznia kowala. A więc tak skończył... Przypomniałam sobie srebrną gwiazdę osaczoną przez reflektory przeciwlotnicze w Warszawie. Może to był Józek? Czy wtedy to się stało?

– Co mamy teraz zrobić? – zapytał Stanisław, a jego opadające wąsy podskakiwały jak zawsze, gdy przeżuwał jakiś problem. – Ten tutaj to jedyny adres, jaki mamy. Gdzie możemy teraz pisać, żeby go odnaleźć? Piszą, że zaginął czy coś takiego. Głupie, co? Choć nie mam pojęcia, jak można znaleźć drogę w tych samolotach. Pewnie siedzi gdzieś za granicą i zastanawia się, jak wrócić do domu. Myślisz, że jeśli napiszemy do Czerwonego Krzyża, to go znajdą?

Odparłam, że nie wiem. Zagranica jest ogromna, łatwo się zgubić. Może kiedy wszystko trochę się uspokoi, Józef wróci do domu.

– Tak też myśleliśmy – odparli z ulgą. – Ci obcokrajowcy w Anglii nie wiedzą, jak u nas jest. Poczekamy, aż Józek wróci i wszystko nam wyjaśni.

Pod koniec lata zaczęła się szkoła i moja pierwsza „prawdziwa” klasa wzbudziła we mnie paniczny strach. Tym razem nie będzie dzieci z zakładu. Tutaj wszystkie były „prywatne”. Pierwsze dni przekonały mnie, że znów nie pasuję. Poza tym, że byłam najmniejsza i prawie najmłodsza, jako jedyna mieszkałam sama. Dziwnym zbiegiem okoliczności, zważywszy na stan kraju, pozostałe dziewczęta mieszkały w swoich domach i miały przynajmniej jedno z rodziców. Wyglądały jak normalne nastolatki: miały ładne sukienki, zgrabne figury, wyszukane fryzury, a niektóre najstarsze (tworzyłyśmy bardzo mieszaną grupę) chodziły po ulicach z pomalowanymi ustami. W obliczu tej pączkującej kobiecości przyjrzałam się sobie uważnie w lustrze i doszłam do wniosku, że nigdy nie będę do nich należeć. Nagle i po raz pierwszy w życiu poczułam, że moje miejsce jest w zakładzie.

Szkoła mieściła się w przedwojennym gimnazjum dla dziewcząt, do którego uczęszczała moja mama. W krótkim czasie z powodu rozpaczliwego braku nauczycieli i wszelkich pomocy, dołączyli do nas chłopcy z męskiego gimnazjum. Nasze laboratoria fizyczne i chemiczne zbudowali sami uczniowie i początkowo było w nich tylko kilka palników, puste puszki po konserwach i słoiki po dżemach. Podręczniki były w większości nieaktualne, a do niektórych przedmiotów mieliśmy tylko dwa lub trzy egzemplarze.

Nie było limitu wieku. Wielu uczniów nie uczyło się w ogóle podczas ostatnich sześciu lat i celem edukacji było wtłoczenie do głów jak największej ilości wiedzy, i to jak najszybciej, zanim wszyscy opuszczą szkołę, by podjąć pracę lub wziąć ślub. Nauka odbywała się na trzy zmiany – rano, po południu i wieczorem – i entuzjazm uczniów pokonywał wszelkie przeszkody. Doświadczenia wojenne sprawiły jednocześnie, że stali się bardzo krytyczni wobec wiedzy podręcznikowej przeznaczonej dla przedwojennych nastolatków.

Próbowałam przezwyciężyć niepokój związany ze znalezieniem się w tym obytym w świecie tłumie, koncentrując się na lekcjach. Nie miałam wątpliwości, że mogłabym być najlepsza w klasie albo przynajmniej utrzymywać się w czołówce, gdybym tylko chciała. Ale o dziwo, za nic nie mogłam się skupić, a mój umysł nie chciał funkcjonować. Dzień po dniu siedziałam na lekcjach, nie bardzo wiedząc, co się dzieje, a gdy nie potrafiłam odpowiedzieć na pytanie, nie czułam wstydu, tylko obojętność i nudę. Na początku każdej lekcji na krótko ogarniała mnie panika, gdy uświadamiałam sobie, że znów przyszłam nieprzygotowana, a potem siedziałam zbuntowana, czekając na kolejną porażkę. Kiedy wywoływano moje nazwisko, wstawałam i albo improwizowałam odpowiedź, co czasami się udawało, albo kiedy było to niemożliwe,

tylko wzruszałam ramionami, co wyprowadzało nauczycieli z równowagi, a jedna czy dwie moje przyjaciółki rumieniły się z zażenowania. Takie konfrontacje sprawiały mi dziwną przyjemność.

Niektórzy nauczyciele pamiętali moich rodziców i często mnie z nimi porównywali.

– Twoja matka nigdy by nie oddała tak kiepskiego wypracowania.

– Twój ojciec mógł sobie pozwolić, by od czasu do czasu strugać głupka, nikt nie mógł się z nim jednak równać, gdy już zabierał się do pracy; był znakomity, to najlepszy matematyk, jakiego uczyłem.

– Była moją najzdolniejszą uczennicą, powinnaś zobaczyć jej wypracowania; wstydziłaby się za ciebie.

I jeszcze jedna uwaga ze strony szczególnie roztargnionej pani:

– Gdzie jest twoja matka? Dlaczego nie przychodzi na wywiadówki? Chcę z nią porozmawiać o twoich postępach.

– Nie może pani – odparłam beznamiętnie i wyszłam z klasy bez dalszych wyjaśnień.

Wszystko to nie miało znaczenia. To był okres przejściowy, gra na przeczekanie, w którą ze mną grali. Kiedy wrócą i życie zacznie się naprawdę, pokażę im wszystkim... Zajęcie miejsca w czołówce klasy zajmie mi kilka tygodni, na razie miałam na głowie ważniejsze rzeczy niż łacina i matematyka!

Przyglądałam się rozgniewanym i sfrustrowanym twarzom moich nauczycieli z pewną bolesną satysfakcją. Dobrze im tak, przecież to ich wina. Czy nie widzą, że nie wolno mi zawracać głowy? Jakże się będą gapić, kiedy nagle się przebudzę i zacznę przykładać się do nauki!

Wraz z upływem miesiący przyszło mi do głowy, że być może powinnam wziąć się do roboty, jeśli chcę przejść do następnej klasy, ale mój umysł nadal nie chciał zaskoczyć. Miałam już takie zaległości, że tylko przez ciężką, systematyczną pracę mogłam dogonić resztę. W moim malutkim pokoju – tak malutkim, że siedząc na środku mogłam dotknąć wszystkich mebli stojących przy ścianach – siedziałam wieczorami, wpatrując się w leżące przede mną podręczniki, czasami nawet czytając słowa i odwracając kartki, ale nie mogłam zapamiętać ani jednego zdania. Coś w moim umyśle, jakiś zawias, śruba – próbowałam sobie wyobrazić kształt – wypadło i cała maszyna nie chciała się obracać.

Przewyciężyłam niechęć do jedzenia i wpadłam w drugą skrajność – siedziałam i przeżuwałam systematycznie długo w noc, zjadając kolejne kanapki z talerza stojącego na biurku. Na myśl o następnym dniu czułam jedynie lekki niepokój i paraliżującą rezygnację.

Kiedy tylko kończyły się lekcje, zostawiałam koleżanki i kolegów i szybko

wybiegałam z klasy. Pędziłam po schodach, wpadałam do przedpokoju i zaglądałam do wszystkich pokoi. Potem rozczarowana zdejmowałam płaszcz i siadałam przy oknie, by czekać. Może wróćą dziś po południu...

Czasami budziłam się rano z poczuciem, że to stanie się właśnie dzisiaj. Albo jutro. Na pewno w tym miesiącu! Zrywałam się z łóżka, chwytając książki i biegłam całą drogę do szkoły, kipiąc szczęściem i pełna dobrej woli, uśmiechając się do nieba i wszystkich przechodniów. W krótkich przerwach pomiędzy lekcjami odrabiałam część zadań, a resztę przepisywałam od dwóch zaufanych przyjaciółek, które jakoś udało mi się zdobyć, a potem zaskakiwałam nauczycieli nieoczekiwanymi odpowiedziami.

Siedziałam na lekcjach, chłonąc każde słowo, zachwycona, że to takie proste, logiczne i piękne. Jak mogłam kiedykolwiek uważać, że to trudne lub nieciekawe! Świat był jaskinią pełną skarbów, a ja miałam tylko piętnaście lat. Mogłam jeszcze osiągnąć wszystko... Po południu udawało mi się przekonać moje dwie przyjaciółki, żeby poszły ze mną na spacer, lub – jeśli miałam pieniądze – zapraszałam je do ulubionej cukierni. Zajadałyśmy się ciastkami z kremem, które popijałyśmy litrami herbaty z cytryną, opowiadając sobie najbardziej odrażające i paskudne historie, jakie tylko mogłyśmy wymyślić. Chodziło o to, że ta, której udało się zniechęcić koleżanki do jedzenia, mogła zjeść pozostałe ciastka. Z reguły jednak wychodzili tylko goście siedzący przy sąsiednich stolikach, rzucając w naszą stronę przerażone spojrzenia, a czasami skarżąc się kierownikowi. My tylko wybuchałyśmy śmiechem.

Powoli moja radość ulatniała się i następnego dnia budziłam się z myślą, że świat jest pozbawioną sensu i groźną gmatwaniną, układanką, której nigdy nie uda mi się ułożyć. Mój umysł wzdrygał się z przerażenia na myśl o zadaniach czekających na mnie, gdy tylko wstanę. Chowałam twarz pod kocem, jęcząc z rozpacz.

Lepiej było wtedy opuścić pierwszą lekcję lub w ogóle nie iść do szkoły. W ostatnich miesiącach tak często chorowałam i miałam tyle zaświadczeń lekarskich, że nikt i tak nie mógł zauważyć jeszcze jednej nieobecności. Jeśli w ogóle udało mi się zwlec z łóżka, szłam do parku, gdzie skulona na mokrej ławce, często w siąpiącym jesiennym deszczu, pogrążałam się w depresji.

Życie było niemożliwe. Zbyt trudne. Nie wiedziałam, jak żyć. Nie było nikogo, kto powiedziałby mi, co robić, a co najważniejsze, dlaczego miałabym to zrobić.

W czasie pobytu w klasztorze tęskniłam za prywatnością, za własnym pokojem, który mogłabym zamknąć na klucz, gdybym miała na to ochotę. I jak wiele moich wcześniejszych marzeń, także i to rozsypało się w proch, kiedy tylko się spełniło. Miałam teraz swój pokój. Mieszkałam sama. I nienawidziłam tego.

Być może w ogóle nie nadawałam się do życia. Byłam jak przysłowiowy groch przy drodze. Nigdzie nie ma dla mnie miejsca, nigdy nie będę do nikogo należeć. Życie

było zbyt bolesne, wszystko wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Byłam tym wszystkim zmęczona. Chciałam umrzeć.

Siedziałam w ociekających deszczem krzakach, wpatrując się w płynącą wartką rzekę, w której odbijało się szare niebo. Rzeka była szeroka i głęboka, rwąca, zwodnicza. Wielu w niej utonęło. Ojciec raz musiał wskoczyć do niej w ubraniu, by uratować chłopca. A kiedy wyciągnął go na brzeg i upewnił się, że nic mu się nie stało, dał mu w twarz tak mocno, że chłopak o mało co znów nie wpadł do wody.

– To za głupotę i narażanie życia twojego i mojego! Dlaczego wszedłeś do wody, skoro nie umiesz pływać?

Chłopak wyjąkał, że sądził, iż dobrze pływa.

– Zobaczymy – odparł ojciec. – Przyjdź jutro na przystań i pokaż mi, co potrafisz.

Od tamtego dnia przez całe lato ojciec uczył chłopca, który na koniec został wyśmienitym pływakiem. Spotkałam go przed kilkoma tygodniami i opowiedział mi całą historię. Wcześniej pamiętałam tylko, że ojciec wrócił do domu taksówką, ociekając wodą, a mama złościła się, że zniszczył garnitur.

Młody mężczyzna, teraz już dobrze po dwudziestce, opowiadał o ojcu z entuzjazmem i podziwem. On też był pewny, że niebawem wróci...

– Poczekam jeszcze trochę, do końca roku, a potem zobaczymy.

Wróciłam do domu, przebrałam się i usiadłam przy biurku nad podręcznikami. O północy nadal tam siedziałam, wpatrując się w pierwszą stronę, niczego nie widząc. Od czasu do czasu, zdecydowanie zbyt rzadko, dostawałam listy od siostry Zofii i od Eli. Czytałam je niecierpliwie, całowałam ich podpisy, a potem pogrążałam się we wspomnieniach i tęsknocie.

Klasztor, w nie zmienionym kształcie i składzie, mieścił się teraz w małym mieście. Mieli dom i ogród. Siostra Zofia przysłała mi zdjęcie. Najstarsze dziewczęta wyjechały. Tamarę czekała niedługo operacja „dobrego” płuca. Wiera chodziła do szkoły kształcącej nauczycieli prac ręcznych, gdzie nie było jej łatwo i pisała do siostry „dziwne” listy. Ela i Teresa, która przystąpiła ze mną do pierwszej komunii i którą podejrzewałam, że jest Żydówką, mieszkają razem w tym samym mieście i chodziły do szkoły średniej.

„Teresa okazała się bardzo odważną dziewczyną – pisała siostra Zofia. – Jak wiesz, pochodziłyście z takich samych rodzin”

– Wiedziałam! – wykrzyknęłam, zauważając po raz pierwszy, że siostra nie mogła się zmusić, by powiedzieć lub napisać „Żydówka”. Przyparta do muru powiedziałyby „Izraelitka”, co brzmiało lekko biblijnie i bardziej „delikatnie”

„Tuż po twoim wyjeździe Teresa odnalazła rodziców. Zabrali ją, ale tydzień później uciekła i wróciła do nas. Nie pozwalali jej chodzić do kościoła i nie przyjmowali

do wiadomości, że jest teraz katoliczką. Przyjechali po nią. Doszło do kilku bardzo nieprzyjemnych scen. Grozili nam policją, ale w końcu Teresa, a raczej Wiara, zwyciężyła. Nie chciała nawet przyjąć od nich pieniędzy. Zaproponowali jej finansowe wsparcie na czas nauki, ale ona woli żyć z naszej niewielkiej pomocy i pieniędzy z prywatnych lekcji, których udziela wieczorami. Jest jej bardzo ciężko, ale jest niezwykle szczęśliwa. Nie musimy się o nią martwić. A co u ciebie?"

Co u mnie? Wpatrywałam się nieszczęśliwa w ozdobny charakter pisma. Nie wiedziałam już, co odpowiedzieć. Dopóki mieszkałam z Adamem i Ireną, życie było łatwe. Sprzeciwiałam się im we wszystkim i wystarczyło, żeby powiedzieli „białe”, a ja natychmiast odpowiadałam „czarne”. Szczerze wierzyłam we wszystko, czego nauczono mnie w klasztorze i skrupulatnie wypełniałam wszystkie religijne obowiązki. Kiedy zabraniali mi wychodzić w niedzielę z domu bez śniadania, wpraszałam się na sobotni wieczór do naszego starego dozorczy lub do krawcowej babci w sąsiednim domu pod pretekstem, że chcę porozmawiać o dawnych czasach i pobyc w ich towarzystwie. Zostawałam potem na noc, a następnego ranka z płaczem i zdumieniem przyjmowano moje oświadczenie, że wybieram się do kościoła.

Adam i Irena nie znosili zarówno dozorczy i jego rodziny, jak krawcowej, ale za bardzo się ich bali, żeby się sprzeciwić. W tych dziwnych czasach nie było wiadomo, kiedy „masy” nagle zdobędą władzę. Mogą okazać się nieprzyjemne, wyrządzić szkody... Ja z kolei uważałam, że chciwa para boi się, że ktoś mógłby się zbyt uważnie przyjrzeć ich interesom, i cieszyłam się z ich frustracji.

W domu trwały niekończące się dyskusje, a raczej monologi, gdyż zwykle nie dawałam się wciągać do rozmowy.

– Jak możesz być taka głupia, uparta i ślepa? – zaczynała niezmiennie Irena. – Jak możesz wierzyć w cokolwiek, nie mówiąc już o Bogu miłości. Gdzie ty widzisz miłość? Pokaż mi. Ja też chcę ją zobaczyć. No, pokaż mi! Widzę tylko nieszczęście i ból. Obozy koncentracyjne i komory gazowe. Ja widzę tylko tyle. Ty widzisz miłość.

– Wiesz, ile ludzi zginęło w czasie wojny? A twój Bóg nie kiwnął palcem, żeby ich ocalić. Dlaczego? Co takiego zrobili, żeby zasłużyć na taką śmierć? Dlaczego w ogóle musieli umrzeć?

– Twoim zdaniem nie wolno nam kwestionować Bożych planów? On wie, co robi, i zawsze ma rację. Miał więc rację, pozwalając milionom zginąć? Zasłużyli na to? Moi rodzice i twój, wszyscy inni, byli tak okropni, że zasłużyli na obóz koncentracyjny. I ty ośmielasz się to mówić?

– W porządku, zasłużyli sobie, byli najgorszymi zbrodniarzami na świecie i zasłużyli na taką śmierć. Za swoje straszne grzechy. W porządku. A dzieci? Niemowlęta? Za czyje grzechy musiały zginąć?



– Jeśli Bóg istnieje i pozwala na takie rzeczy, to nie chcę nic o nim wiedzieć. Nieprawda, że troszczy się o nas i o innych, tak jak nieprawdą jest, że na świecie istnieje sprawiedliwość. Niegodziwców nie spotyka kara, a porządnych ludzi nagroda. I jeśli chodzi o ludzi, to Boga nie ma!

Nie potrafiłam znaleźć właściwej odpowiedzi, a niebawem zabrakło mi argumentów. Cokolwiek mówiłam, brzmiało strasznie naiwnie, choć nie takie było moje zamierzenie. Jak można mówić o Boskiej miłości, o Bogu kochającym ojcu, mając przed oczami Oświęcim?

Szukałam odpowiedzi i modliłam się o nią w mrocznych starych kościołach, ale jej nie otrzymałam. Frazesy słyszane w konfesjonale tylko pogłębiały moją niepewność. Po raz pierwszy od wielu lat czułam, że grunt usuwa mi się spod nóg, i rozpaczliwie szukałam czegoś stabilnego, czego mogłabym się uchwycić, ale czegokolwiek dotknęłam, rozsypywało mi się w dłoniach.

Unikałam bezpośredniej odpowiedzi na pytanie zawarte w liście siostry Zofii, zapewniając ją, że nadal regularnie chodzę do kościoła i nigdy nie zapominam o modlitwie. Nie napisałam jej, że moje słowa brzmią teraz głucho. W jednym z listów wreszcie odważyłam się przyznać do beznadziejnej miłości do niej i powiedzieć, jak wiele dla mnie znaczyła w tych mrocznych dniach. Odpowiedź nadeszła natychmiast, pełna zaskoczenia i żalu.

„Ani przez chwilę nie domyślałam się, co czujesz, i nie potrafię Ci powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro... gdybym tylko wiedziała, próbowałabym poświęcić Ci więcej czasu i dać całą miłość, na jaką było mnie stać, a bez której żadna młoda istota nie może się rozwijać... Zawsze jednak sądziłam, że jesteś bardzo samodzielna i niezależna... Teraz rozumiem, co kryło się za twoimi częstymi wizytami w moim pokoju i wstydę się, że wcześniej tego nie dostrzegłam. Naprawdę myślałam, że kieruje Tobą wyłącznie niezaspokojony głód wiedzy i schlebiało mojej próżności, że mogłam rozmawiać na abstrakcyjne tematy i nareszcie mieć przy sobie kogoś, kto rozumie, o czym mówię... A ty przez cały czas prosiłaś o coś innego. Bardzo się wstydę, że byłam taka ślepa”

W czasie tej beznadziejnej, niekończącej się zimy przełomu 1945 i 1946 roku znów spotkałam Sabinę, którą znałam jeszcze przed wojną. Sabina, rok czy dwa młodsza ode mnie, przeżyła wojnę z całą rodziną i przyglądałam się temu zjawisku z niesłabnącym zdumieniem. Cała rodzina! Matka, ojciec, córka i syn, a wszyscy wyglądali jak karykatury ze „Stürmera”! I nie wyjechali. Nie byli w Rosji. Ukrywały ich polskie rodziny w sąsiednim mieście, dając dowód zdumiewającego bohaterstwa, bo nawet najgłupszy Niemiec rozpoznałby te twarze na pierwszy rzut oka.

Kiedy robiło się coraz zimniej, a ogrzewanie w moim pokoju nie dostarczało dość ciepła, coraz częściej odwiedzałam Sabinę. Nie interesowała mnie jako osoba i niewiele miałyśmy sobie do powiedzenia, ale przyciągała mnie atmosfera stabilności oraz jakaś niezdefiniowana cecha, która ogrzewała moją przemarzniętą duszę i której nie chciałam uznać. Siedziałam w kącie małej jadalni i śledząc ich wzrokiem, milcząca i pozornie obojętna, chłonełam każdym porem skóry to dziwne coś, co sprawiało, że czułam się bardziej u siebie w tym brudnym zaniedbanym domu niż w towarzystwie moich chrześcijańskich przyjaciół.

Czasami wybierałyśmy się z Sabiną na spacer i wtedy uświadomiłam sobie, że ma obsesję. Zawsze szła ze spuszczoną głową, z twarzą ukrytą w kołnierzu płaszcza, podniesionego nawet gdy świeciło słońce. Jej ciemne, lekko wybałuszone oczy rzucały szybkie przestraszone spojrzenia na przechodniów. Nagle odwracała się w stronę wystawy sklepu i stała pozornie zafascynowana tym, co tam zobaczyła, a potem poruszając się ostrożnie i rozglądając strachliwie dookoła, szła dalej. Czasami wciągała mnie do bramy budynku i przez długą chwilę stała blada i rozdygotana.

Kiedy zapytałam ją o to dziwne zachowanie, wydawała się zdumiona moją ignorancją.

– Nie rozumiesz? Oni na nas patrzą!

– Kto?

– Wszyscy!

Przyglądałam się jej, niczego nie rozumiejąc.

– Jasne, że patrzą... Dlaczego nie mieliby patrzeć? – Nagle mnie oświeciło. – Sabina, ty się chyba nie boisz? Wojna się skończyła! Nic już nam nie mogą zrobić. Niech patrzą!

Ukryła twarz w dłoniach.

– Nie mogę znieść, kiedy ktoś na mnie patrzy. Wiem, co sobie myślą... Nienawidzą nas... Zastanawiają się, jak przeżyliśmy i żałują, że tak się stało. Gdyby mieli okazję ubić nam nóż w plecy, na pewno by to zrobili!

– Och, Saba, opanuj się! Niemcy odeszli, nikt już nie wbija Żydom noży w plecy!

Ale moje słowa nie brzmiały prawdziwie, nawet dla mnie. Byli Polacy, którzy nadal otwarcie żałowali, że Hitler nie miał dość czasu, by nas wszystkich wykończyć. Parę dni temu jakiś mężczyzna jechał za mną na rowerze, zbliżył się, by spojrzeć mi w twarz, a potem syknął: „Żydówka!”, splunął mi pod nogi i odjechał. Nikt nie zareagował.

– Nie mogę pojąć, jak mogłaś przejść na ich stronę po tym wszystkim, co nam zrobili – ciągnęła Sabina. – Nie czujesz się dziwnie w kościele? Nie czujesz ich wzroku na plecach? Nie rozumiesz, że nie chcą cię tam, że to nie twoje miejsce? Wszyscy znają cię w tym mieście. Pamiętają twoją rodzinę. Wiedzą, że jesteś Żydówką, i obojętne jak często będziesz chodzić do kościoła, Żydówką pozostaniesz. I powiedzą ci to pewnego dnia, jeśli już tego nie zrobili. Wolałabym umrzeć niż ryzykować coś takiego. Chcę tylko wyjechać z tego kraju, a dopóki jeszcze tutaj jestem, chcę się trzymać jak najdalej od nich.

– Ależ Saba – próbowałam ją przekonywać. – Wszyscy nie mogą być źli. Ukrywały mnie siostry, które wiedziały, kim jestem, a ciebie i twoją rodzinę też uratowali Polacy...

– Siostry myślały, że zdobędą twoją duszę i tylko to je interesowało. Gdyby cię rozpoznano i aresztowano, umarłabyś jako katoliczka i wszystko byłoby w porządku, nawet jeśli zamordowano by cię za to, że byłaś Żydówką! A my mieliśmy szczęście. Nie zaprzeczam, że byli odważni Polacy, którzy podejmowali ogromne ryzyko. I nie zapominaj, że musieli się kryć przed rodakami, nie tylko przed Niemcami, którzy rzadko rozpoznawali Żydów. Ale tych dobrych było niewielu. Zbyt mało. Nie ocaliliby Sodomy i Gomory i na pewno nie ocalili honoru tego kraju.

Sama w swoim pokoju przetrawiałam tę gorzką prawdę i musiałam ją uznać. Może jednak to nie była cała prawda... może z czasem odkryję jaśniejszą, zdrowszą część tej tragifarsy... Być może... Tęskniłam za jasną odpowiedzią, za zdecydowanym „tak” lub „nie”. Za czymś, czego mogłabym się uchwycić i na czym zbudować życie, ale pod moimi stopami nie było skał, jedynie szybko przesypujący się piasek. Nic nie było pewne ani stałe. Stare zasady, którym można było ufać, kruszyły się i nie pojawiało się nic nowego, co mogłoby zająć ich miejsce. Coraz częściej czułam, że stoję na krawędzi życia, popychana przez mijający mnie tłum, ale nie byłam w stanie do niego dołączyć, dopasować do niego swoich kroków ani odnaleźć celu, do którego tak szybko zmierzał. Nie nadążałam za życiem i rzeczywistością, i zmęczona nieustannym potykaniem się, zaczęłam się od niego odwracać. Spędzałam noce zakopana w książkach, im bardziej romantycznych i nieprawdopodobnych tym lepiej, a całe kieszonkowe wydawałam na bilety do kina.

W naszym mieście były tylko trzy kina, a w dwóch z nich zazwyczaj wyświetlano ten sam film. Kieszonkowe, za które musiałam kupować przybory szkolne, mydło, pastę do butów i do zębów, wystarczało na dwa bilety. Przy rzadkich okazjach, gdy wyświetlano trzy różne filmy, wpadałam w panikę. Musiałam zobaczyć wszystkie, obojętne jak stare, zniszczone czy śmiesznie głupie. Godziny spędzone w kinie były jedynymi, kiedy z mojego umysłu znikła ciężka chmura i kiedy mogłam coś czuć, śmiać się, a nawet czasem płakać. Kiedy tylko gasły światła, brałam głęboki oddech i czułam, że życie powraca. Tutaj byłam bezpieczna. Tutaj mogłam doświadczać wszystkich emocji, które kontakt ze światem blokował w chwili, gdy wychodziłam na ulicę.

Obejrzałam pięć razy *Gunga Dina* i sześć *Wielki walc* i myślałam, że za każdym razem umrę, ale udało mi się nie uronić ani jednej łzy. Wiedziałam, że kiedy raz zacznę płakać, wydarzy się coś strasznego, jakaś eksplozja zniszczy mnie, a może nawet cały świat, albo włożą mi kaftan bezpieczeństwa.

Angielskie i rosyjskie filmy wojenne przeplatano bardzo starymi i zniszczonymi francuskimi. *Jej pierwszy bal* i film, w którym Josephine Baker śpiewała w klatce dla ptaków, były tak poszarpane, że ani ja, ani moje przyjaciółki nie byłyśmy nigdy w stanie zrozumieć całej historii. Rzadko pokazywane kreskówki Disneya wprawiały nas w ekstazę i z radością płaciliśmy za bilet na niemożliwie przesłodzony rosyjski film z bohaterami o stalowym spojrzeniu i histerycznie nieśmiałymi panienkami, żeby tylko wcześniej obejrzeć jego zabawne zwierzaki.

Zwykle chodziłam do kina, nie przyglądając się plakatom. I w ten sposób pewnego dnia trafiłam na film nakręcony w obozie koncentracyjnym. To musiał być Oświęcim albo Majdanek w chwili, gdy weszli do niego Rosjanie.

Stosy nagich ciał, zatłoczone prycze, przysypane popiołem pola, komory gazowe, krematoria. Góry włosów, okularów, zębów i zabawek, a później w białych kabinach lekarze badający chodzące szkielety, które patrzyły w obiektyw kamery błędnymi, zapadniętymi oczami, oszołomione, pytające, domagające się odpowiedzi...

Siedziałam wbita w fotel, patrząc na rozgrywający się przed moimi oczami koszmar. Kiedy kamera robiła zbliżenie i pokazywano kolejne nagie ciało, serce przestawało mi bić. Teraz! Teraz zobaczę jednego z nich, w następnej sekundzie rozpoznam...

Nie rozpoznałam, ale było ich tak wielu, „miliony”, powiedział ktoś w ciemności. Dlaczego?

Oni tam są, muszę ich zobaczyć, pomyślałam, a groza tego, co oglądałam, sprawiła, że na chwilę zakryłam oczy, lecz natychmiast opuściłam dłonie. Nie miałam prawa teraz się ukrywać. Nigdy więcej nie będę mieć prawa ukrywać się, wzdrygać, odwracać twarzy ze strachu bądź obrzydzenia. Jeśli oni mogli zginąć taką śmiercią, ja muszę

dźwigać ten ciężar do końca życia.

Widzowie w kinie płakali, mdleli i modlili się na głos. Wyszłam w zimową noc z zaciśniętymi zębami i mordem w sercu. Mój ostatni sen z dzieciństwa umarł: Bóg nie istniał.

W nowym roku duży frontowy pokój z balkonem od strony placu wynajął młody oficer-rekonwalescent raniony w nogę. Rana na lewej pięcie nie goiła się i – co było nieuniknione – nadaliśmy mu przydomek Achilles.

Był wysoki, smukły, o szerokich ramionach i talii młodej dziewczyny. Miał szczupłą twarz i falujące ciemne włosy, wielkie oczy tak bladoszare, że w pewnym świetle ich kolor zniknął zupełnie, nadając mu wygląd posągu.

Pomimo munduru i urody łatwo się peszył i widząc zaborczy błysk w oczach naszej gospodyni, natychmiast uciekał do swojego bądź mojego pokoju, gdzie chichotaliśmy historycznie, recytowaliśmy makabryczne wierszyki naszego autorstwa, graliśmy w karty i przekomarzali się do utraty tchu.

Czułam się szczęśliwa w jego towarzystwie, tak szczęśliwa jak tylko mogłam się czuć, zważywszy na paraliż, który ogarnął moją duszę lub jakkolwiek nazywał się organ odpowiedzialny za wszelkie uczucia. W stanie oszołomienia, w jakim się znajdowałam, nie byłam już pewna, że dusza istnieje, a jeśli nawet, to jaki jest jej cel.

Ponieważ nic się już nie liczyło, mogłam zapomnieć o roli wychowanej w klasztorze panienki i odpowiadałam na żarty Achillesa sprośnymi uwagami, które wywoływały rumieniec na jego twarzy i pełne niedowierzania spojrzenia. Smakowałam swój pierwszy sukces z dorosłym mężczyzną i śmiałam się z tego, przyglądając się sobie w lustrze. Lata głodu zostawiły swój ślad. „Nie wygrasz konkursu piękności”, oznajmiłam swojemu odbiciu w łazienkowym lusterku. Wyglądałam jak dwunastoletnie dziecko i byłam z tego zadowolona. Stanie się dorosłą, „odpowiedzialną” osobą wydawało się przerażającą perspektywą. Odpowiedzialną za co? Za to, co się stało? Przynajmniej dopóki byłam dzieckiem, nie musiałam ponosić za to odpowiedzialności.

Dalej traktowałam więc Achillesa jak przyjaciela, przerzucałam się z nim dowcipami, paliłam jego papierosy i na dowód przyjaźni chowałam zdechłe myszy i żywe żaby w jego butach.

Zima powoli zbliżała się do końca. Nie poszłam na żadne karnawałowe zabawy organizowane w naszej szkole. Kiedy otrzymałam pierwsze zaproszenie, tuż przed Nowym Rokiem, patrzyłam, nic nie rozumiejąc, na przystojnego chłopca, przewodniczącego naszej klasy, który czekał, żebym łaskawie przyjęła jego uprzejmą propozycję.

– Idiota – rzuciłam przez zaciśnięte zęby i odwracając się na pięcie, wybiegłam z klasy. Wcześniej zobaczyłam jednak, jak cofa się o kilka kroków, jakbym go uderzyła, a jego twarz czerwienieje z gniewu i zaskoczenia.

Wypadłam z budynku i biegłam całą drogę do parku. Głupcy, idioci, kretyni: „Chciałabyś pójść na tańce?” Ja? Na tańce? Jak śmia... Tupałam i brnęłam przez głęboki śnieg, nieświadoma, że po twarzy płyną mi łzy, aż zaczęły mnie szczypać w mroźnym powietrzu. Po tym nie otrzymałam już żadnego zaproszenia i udawałam, że nie dostrzegam gorączkowych przygotowań, nowych sukienek, plotek i chichotów w szatni dziewcząt. Nadal czekałam, choć po upływie tyłu miesiący czekałam już nie na Powrót, po którym mogłabym zacząć prawdziwe życie, lecz raczej na Potwierdzenie, po którym mogłabym umrzeć.

Gdy nadeszły pierwsze dni wiosny, przestałam udawać, że się uczę, cały wolny czas spędzałam w parku, leżąc głową w dół na stromym brzegu rzeki, wpatrując się w jej nurt. W najbardziej zapuszczonej części parku było miejsce, które wystawało jak dziób statku pomiędzy szarym rozwidleniem rzeki, i można tam było zapomnieć, że z tyłu znajduje się ląd i miasto. Z mojego poziomu widziałam tylko bezmiar wody, szaro-srebrnej lub jasnozielonej, w której czasami odbijało się błękitne niebo lub oślepiające promienie słońca. Wierzyby płaczące zazieleniły się i spowijały brzegi półprzezroczystą mgiełką. Cały park budził się z zimowego snu i codziennie dostrzegałam nowe oznaki powracającego życia w pączkach na drzewach, młodych listkach, w trawie wyrastającej pod stopami i lśniących kolorach polnych kwiatów na tle ciemnych pni drzew.

Życie powracało. Obserwowałam budzącą się naturę z goryczą i podejrzliwością. Nowe barwy, śpiew ptaków, świeży zapach wydawał się kpić z życia, jakie znałam. Leżąc na wilgotnej trawie, wywlekałam z pamięci wszystkie zakazane literackie banały i przykładałam je do swojej egzystencji. Moje życie było banałem, olbrzymim szarym bezmiarem jak ta rzeka... perspektywą nie do zniesienia... bez promieni słonecznych, które rozjaśniłyby mrok – potworne... kiedy będzie padał deszcz, niebo będzie opłakiwać całe nieszczęście na świecie... dni będą się przesuwac jak czarne paciorki różańca, aż to niepotrzebne istnienie dobrnie do długo oczekiwanego końca...

Cudowne. Wyobraziłam sobie, co powiedziałyby siostra Zofia na tę próbkę mojej twórczości literackiej. Ale tak teraz wyglądało moje życie – było banałem, zamazanym, bezsensownym, wyświechtanym, bezużytecznym frazesem. I musiałam je przeżyć do końca.

Sprawa Eryka stanęła w sądzie rok po jego aresztowaniu. Byłam świadkiem i pomogłam go uwolnić. Wujek zaoferował mu mieszkanie w jednym z naszych domów, ale Eryk wolał wyjechać z Kalisza i spróbować szczęścia w Warszawie. Widziałam go tylko raz, siwiejącego drobnego mężczyznę z poszarzałą twarzą w zwisającym z ramion płaszczu. Wyglądał na bardzo chorego i skarżył się, że brakuje mu tchu. Uwięziono go za grzechy Lidii podczas okupacji. Ktoś uznał, że skoro Eryk był z urodzenia Niemcem, a ona Polką, to jeśli ktoś w tej rodzinie kolaborował z okupantem, mógł to być tylko on. Wydawało się logiczne. Ale nie okazało się prawdą. Cały rok zajęło przekonanie władz, że popełniły straszliwy błąd, i ten jeden rok w więzieniu zrobił to, czego nie dokonało sześć lat trudnego borykania się z życiem. Załamał Eryka, fizycznie i psychicznie, nie wyleczył go jednak z miłości do Lidii. Kiedy niedługo potem umarł, znaleziono w jego kieszeni jej fotografie.

W piękny wiosenny dzień wlokłam się do domu przez zatłoczony most, a stukot końskich kopyt sprawił, że podniosłam głowę. Ulicą jechał w naszą stronę niewielki oddział kawalerii. Tłum rozstąpił się, by go przepuścić, i wszystkie zmęczone plecy wyprostowały się, zapadnięte twarze rozpromieniły, a w oczach pojawił się uśmiech na widok idealnie zadbanych zwierząt i jeźdźców.

Oficer jadący na czele grupy uniósł dłoń w rękawicze i zasalutował, a tłum odwrócił się, by spojrzeć na wyróżnioną w ten sposób osobę. Zdumione oczy spoczęły na mnie. Achilles spełnił obietnicę, że zasalutuje mi z konia w środku miasta. Po tym geście miałam się zamienić w piękną księżniczkę, a on miał mnie zabrać za siedem mórz. Koń musiał jednak być biały, a on jechał na kasztanie, więc magia nie zadziałała. Stałam sparaliżowana na środku mostu, pragnąc tylko, żeby się otworzył i pozwolił mi utonąć. Czułam raczej niż widziałam tłum szydzących twarzy. Wyobraźcie sobie oficera kawalerii, przystojnego młodego człowieka w galowym mundurze, który salutuje tej... Kim ona w ogóle jest?... To chyba jakiś żart... Nie zrobił tego poważnie. Poza tym nie sądzicie czasem, że ona jest... musi być...

Rzuciłam się prosto w tłum, rozpychając łokciami, i popędziłam do parku tak szybko, jak tylko mogły mnie ponieść nogi. Och, Achillesie, jak mogłeś?... Dlaczego to zrobiłeś? Nie wiesz, nie rozumiesz, że nie mogę znieść, gdy ktoś na mnie patrzy...? Nie rozumiesz, jak śmiesznie musiałam wyglądać, jak bolały mnie te ciekawskie, wbijające się we mnie spojrzenia? Nie wiesz, jak bardzo się boję ludzkich oczu?

Nagle prawda eksplodowała mi przed oczami. Ta sama prawda, której nie tolerowałam u Sabiny i której nie chciałam dostrzec u siebie. Tak, bałam się. Bałam się pokazywać twarz, bałam się, gdy na mnie patrzono, od czasu tamtej wiosny w 1940



roku, kiedy razem z mamą i kuzynką Rózią wybrałyśmy się do parku w Warszawie. Od dnia, w którym konduktor w tramwaju nazwał Jasia Jankielem, i kiedy nieznajoma kobieta musiała wyskoczyć z jadącego wozu. Od tamtej pory moja twarz oznaczała niebezpieczeństwo, zaproszenie do obelg lub czegoś jeszcze gorszego, a każda osobista uwaga dotycząca mojego wyglądu, nawet wypowiedziana bez złej woli lub jako komplement, wywoływała panikę.

Przypomniałam sobie, jak drętwiałam z niepokoju pod dotykiem dłoni siostry Ludwiki, która sprawdzała regularnie wszystkie głowy w poszukiwaniu „baranków”. Po jej uwadze, że mam bardzo gęste włosy, zaczęłam się zastanawiać, czy włosy Żydów są szczególnie gęste, i ukradkiem przyglądałam się włosom innych dziewczynek, by ocenić ich gęstość.

Nawet w kościele... Tak, Sabina miała rację... strach towarzyszył mi nawet w kościele. Zawsze chowałam się za najgrubszym filarem w najciemniejszym kącie i za każdym razem, gdy przystępowałam do komunii, niemal oczekiwałam, że mi jej odmówią albo poproszą o świadectwo... Nawet tam kłuł mnie ludzki wzrok i kiedy dwie głowy pochylały się ku sobie, zastanawiałam się, czy rozmawiają o mnie.

Zaczęło padać, ale dalej siedziałam na brzegu, wpatrując się w rzekę, zbyt wstrząśnięta nagłym odkryciem, by się poruszyć. Wiosenny deszcz bębnił mi po głowie, przyklejając do pleców suknię i zamieniając ją w mokry bandaż. Jak mogłam tak dalej żyć? W świecie, w którym każde spojrzenie bolało, a każde słowo było strzałą wymierzoną w moją stronę, gdzie każde nieoczekiwane poruszenie na ulicy oznaczało atak, a każda noc przynosiła koszmary tak straszliwe, że budziłam się z krzykiem, a potem płakałam w poduszkę. Nie mogło tak dalej być. Do tej pory nie miałam odwagi, by sama to skończyć z powodu słabej nadziei, że być może jutro ktoś wróci i muszę być na miejscu, by go powitać. Brakowało mi odwagi lub siły woli, by skończyć z tym raz na zawsze, lecz teraz doszłam do wniosku, że nie mogę dalej żyć w strachu. Wyglądało na to, że nie ma wyjścia.

Deszcz w końcu wygonił mnie z krzaków i kiedy biegłam w jego strugach, czując się zupełnie naga w przemoczonej sukience, zawarłam ze sobą ostatni układ, bo jakiś słaby głos podszeptował, że może jutro ktoś wróci. Przecież minął dopiero rok od końca wojny. Ludzie nadal wracali. Każdy tydzień przynosił nowe opowieści o cudownym pojawieniu się kogoś od dawna uznanego za zmarłego. Nie było innego wyjścia. Poczekam do końca lata, a może do Bożego Narodzenia, i wtedy podejmę decyzję...

Lato nadeszło wcześniej, przynosząc straszliwy upał. Zastanawiałam się, jak poinformować wujka, że prawdopodobnie nie przejdę do następnej klasy. Coś takiego nigdy się nie zdarzyło w naszej rodzinie i spodziewałam się ostrej reakcji. Poszłam do wypożyczalni książek i schodziłam powoli po ciemnych, zniszczonych krętych schodach, gdy jakaś męska dłoń chwyciła mnie za ramię. Zamyślona, nie zauważyłam go na schodach. Wyrwałam się i spojrzałam podejrzliwie w jego twarz. Był obcy, ale przyzwyczaiałam się już, że rozpoznawali mnie różni ludzie, przyjaciele rodziców, których nie pamiętałam, więc nie zaskoczyło mnie, gdy wypowiedział moje nazwisko.

– Tak, jestem Jasia Dawidowicz – odparłam i chciałam go minąć. Zatrzymał mnie.

– Nie znam cię... – Coś w jego pełnym wahania głosie kazało mi się zatrzymać i odwrócić. Na ciemnej klatce schodowej stał pod światło, które padało tylko na mnie. – Nigdy przedtem nie byłem w tym mieście – ciągnął. – Ale znałem twojego ojca... Byliśmy razem na Majdanku... Wiosną 1944 roku. Mnie i kilku innym udało się uciec. Błagaliśmy twojego ojca, żeby poszedł z nami. Ale był bardzo chory i bał się, że nas spowolni albo sprawi za dużo kłopotów. Próbowaliśmy go przekonać, ale nie chciał iść. Był zbyt słaby. Ale dużo o tobie opowiadał nam wszystkim. Wszyscy cię znaleźliśmy. Recytował twoje wiersze. Był z ciebie taki dumny. Miał nadzieję, że przeżyjesz... Przed naszą ucieczką prosił każdego z nas, żebyśmy po wojnie pojechali do Kalisza i sprawdzili, czy tu jesteś... I powiedzieli ci, jak bardzo cię kochał i że myślał o tobie do końca. Nie pamiętałem adresu, ale kiedy cię zobaczyłem, nie miałem wątpliwości, że to ty. Tak bardzo jesteś do niego podobna...

Ocknęłam się z długiego zamroczenia, siedząc na schodach z książkami przyciśniętymi do piersi. Nieznajomy zniknął. Czy to wszystko tylko mi się przyśniło? W przystępie paniki zerwałam się i wybiegłam za nim, ale w bramie nie było nikogo, a na ulicy tłum w letnich ubraniach płynął jak zwykle. Nagle uświadomiłam sobie, że nie pamiętam jego twarzy...

Wróciłam do domu powoli i spokojnie. Wspięłam się na schody, otworzyłam drzwi, weszłam do mojego pokoju i bardzo spokojnie usiadłam na łóżku. Przez otwarte okno zaglądało do środka błękitne niebo i patrzyłam na nie, nie mrużąc oczu. Nie czułam niczego. W mojej głowie było pełno waty, a ciało przestało istnieć. Nie wiedziałam, czy poruszam kończynami ani czy oddycham. Myślałam tylko o tym, że muszę pozostać w tym stanie, muszę go zachować jak środek znieczulający, bo w chwili gdy minie, ból ukryty gdzieś w moim ciele zaatakuje i będę musiała zacząć krzyczeć.

Niebo pobladło i w końcu pociemniało. Wyszły gwiazdy. Leżałam, nie poruszając się i niczego nie czując, od czasu do czasu zastanawiając się tylko, czy coś takiego czuje

się po śmierci, czy może już umarłam. Nie mogłam się jednak nad tym zastanawiać, bo jedna myśl prowadziła do drugiej...

Kiedy niebo znów pojaśniało, a dachy poczerwieniały w brzasku poranka, wstałam sztywno i poruszając się niezgrabnie, jakbym miała połamane kończyny, zebrałam kilka rzeczy, wrzuciłam je do torby, napisałam liścik dla gospodyni i cicho wyszłam z domu.

Gdy pozostawiłam za sobą kocie łby ulicy, zdjęłam buty i skarpetki i dotyk ciepłego, ostrego piasku był pierwszym odczuciem, na jakie sobie świadomie pozwoliłam od poprzedniego dnia. Maszerowałam powoli, po chwili odnajdując swobodny krok z czasów klasztoru, kiedy wędrowaliśmy po polnych drogach.

Słońce stało wysoko i mocno grzało, kiedy minęła mnie furmanka i powożący nią mężczyzna skinął głową. Wskoczyłam na deski pomiędzy tylnymi kołami i przycupnęłam na wiązce słomy, aż dojechaliśmy do dużego skrzyżowania. Nie potrzebowałam pytać o drogę. Całą mapę miałam wypisaną w pamięci i wierzyłam, że instynktownie odnajdę właściwy kierunek.

Zsunęłam się z wozu, bez słowa skinęłam głową i skręciłam w polną drogę pomiędzy dwoma rzędami ciemnych sosen. Znajomy chłodny zapach żywicy i szelest gałęzi, żółty piasek. Rosła we mnie ogromna fala, grożąc, że mnie pochłonie; walczyłam, zaciskając zęby, żeby ją opanować. To jeszcze nie to miejsce ani nie ta chwila. Ale dotrę do niego już niedługo.

Skręciłam w wąską ścieżkę i nagle zobaczyłam: wykrzywiony płot opierający się o pniaki drzew, rozklekotaną bramę wiszącą na jednym zawiasie, kaczki i gęsi, kurczaki, małe dzieci i szczekającego białego teriera z plamką nad jednym okiem. Otwartą studnię pod gruszą. Łuszczącą się białą farbą na ścianach domku porośniętego dzikim winem. Jasnowłosą młodą kobietę na werandzie z małą dziewczynką ciągnącą za spódnicę na jej ciężarnym brzuchu. Patrzyliśmy na siebie przez długą chwilę.

– Krysia?

– Jasia?

– Wejdz – mówi, cofając się. Deski werandy są suche i ciepłe. Przez małe okienko w pokoju na tyłach patrzę przelotnie na sad uginający się pod ciężarem owoców i muszę zdusić kolejną falę trudnych do zniesienia wspomnień.

– Możesz zostać, jak długo zechcesz – mówi później Krysia, kiedy siadamy nad gotowanymi ziemniakami i kwaśnym mlekiem. – Zostanę tu do narodzin dziecka w październiku i ty też zostań. Miło będzie mieć towarzystwo.

Kiwam w milczeniu głową. Krysia pewnie myśli, że jestem bardzo zmęczona, a ja po prostu nie mogę wydusić słowa. O zachodzie słońca wychodzimy do sadu.

– Od śmierci taty zeszłej zimy nie ma nikogo, kto by o niego zadbał – wyjaśnia

Krystyna. – Dozorca – pamiętasz jego i jego trzódkę – nadal tu mieszka, ale ma teraz za dużo na głowie. Jego żona nadal co rok rodzi dziecko, od początku wojny samych chłopców. Anna, najstarsza, wyszła za mąż i też rodzi. Maryla, z którą się bawiłaś, wyszła za mąż wiosną i mieszka w sąsiedniej wsi.

Podnoszę wzrok i widzę przed sobą stary dąb. Ten, na którym ojciec zawiesił mi huśtawkę pierwszego dnia na Krzyżówkach, setki lat temu. Podczas wizyt rodziców Stefa nakrywała do stołu pod jego olbrzymią koroną. A w nocy Tadek spał wśród gałęzi. Teraz stoi, czarny i nagi, rozdarty na pół do korzeni.

– Tak, wielka szkoda – mówi Krysia. – Piorun uderzył w niego w czterdziestym czwartym. Nigdy wcześniej nie było tu takiej burzy. Była straszna. Powinnam kazać go ściąć, ale jakoś nie mogę się do tego zmusić. Jest starszy niż dom i każdej wiosny mam nadzieję, że jeszcze ożyje.

Nocą w małym pobielonym pokoiku siedzę na łóżku otulona pościelą i trzęsę się z przerażenia. Księżyc widoczny przez pozbawione firanek okno wygląda jak wypalona czaszka. Rzuca w rogach pokoju pokracczne cienie, a z obcej podłogi unoszą się dziwne zapachy. Nie patrząc, wiem, że na ścianach i suficie roi się od robaków, insektów, pajaków i stworów bez nazwy, które w każdej chwili mogą opaść na moje łóżko.

Na Krzyżówkach nie ma elektryczności, a świecę zostawiłam na oknie, zbyt daleko, by sięgnąć po nią z łóżka; a za nic w świecie nie postawię stopy na podłodze, na której roi się od robactwa. Siedzę, trzęsąc się, pot spływa mi po plecach, a ściany zamieniają się w ekrany, na których blask księżycy maluje stosy trupów, nagie okaleczone ciała, druty kolczaste, wieże strażnicze, baraki i wysokie kominy krematoriów. Otaczają mnie, czuję zapach spalenizny i chowam twarz w ramionach, próbując nie widzieć. Ale tam też są.

Przez otwarte okno słyszę, jak sad szepcze dawno zapomnianymi głosami, wioskowe psy szczekają, śpiewają nocne ptaki. A po drugiej stronie drogi ciemna ściana lasu śle pilne wiadomości, których już nie rozumiem. Wiele, wiele lat temu, a może w innym życiu, byłam tu szczęśliwa. Przyjechałam teraz, żeby tu umrzeć w nadziei, że odnajdę spokój, ale przywiozłam ze sobą moją udrękę, która nie pozwala mi odpocząć. Dotarłam do końca drogi. Będę musiała tu zostać, dopóki nie umrę albo nie znajdę wyjścia do innego życia.

– Jak tu było podczas wojny? – pytam Krysę przy śniadaniu.

– Spokojnie. Byłam tutaj przez cały czas. Tato mieszkał w mieście z Janką – jest teraz w szkole – a Tadek był w Warszawie. Brał udział w powstaniu, a potem wywieźli go do obozu do Niemiec. Ale już wrócił, może wpadnie tu któregoś dnia. Nigdy nie było tu żadnych Niemców. Pojawiali się czasem we wsi, na poczcie albo w sklepie i oczywiście maszerowali główną drogą, ale nigdy nie zapuścili się do lasu ani nie

znaleźli naszej ścieżki. Pomyśl tylko... gdybyście tu zostali, nikt by się nie dowiedział... Twoi rodzice, ty i Stefa. Moglibyście mieszkać w pustym mieszkaniu...

Gwałtownie wstaję od stołu.

– Pójdę teraz na spacer. Do zobaczenia później.

– Wróc w południe, coś ugotuję. Jeśli pójdziesz do lasu, poszukaj poziomek. Już dojrzewają...

Las otula mnie pachnącym mrokiem. Leżę na dywanie z mchu i sosnowych igieł, aż głos tańczących gałęzi ukołysze mnie do snu.

Resztę lata spędzałam w lesie. Wychodziłam co rano z koszykiem i dzbankiem i po drodze do najodleglejszych zakątków napełniałam je grzybami i jagodami. W lesie odkryłam małą polanę, okrągły dywan z wysokiej trawy otoczony kilkoma białymi brzoźami. Na jej środku znajdował się niewielki staw, czyste błękitne oko spokojnie spoglądające w niebo. Do tego ustronia nie docierał żaden dźwięk z zewnętrznego świata, tylko ptaki śpiewały w drzewach, a późnym popołudniem setki żab kumkały dookoła stawu. Leżałam tutaj całymi godzinami, wpatrując się w niebo, nie czując nic poza chłodną, wilgotną trawą pod plecami i słońcem palącym mi skórę.

Krysia znalazła stary kostium kąpielowy, który nosiłam podczas ostatniego tu pobytu w 1939 roku; stałam drżąca ze znajomą granatową wełną w dłoni, a dziewczynka – symbol firmy Jantzen – nurkowała z wdziękiem z mojego biodra.

Urosłam tak niewiele w ciągu tych lat, że kostium nadal na mnie pasował i przez resztę lata prawie go nie zdejmowałam.

Kiedy zaczął się sezon grzybów, jadłyśmy je codziennie i nauczyłam się rozpoznawać różne gatunki. Niektóre rosły tylko w młodych lasach jodłowych, niedawno posadzonych, gdzie sięgające ziemi gałęzie utrudniały przejście. Ale miliony igieł nie mogły mnie powstrzymać. Nurkowałam pod najniższe gałęzie i na czworakach wchodziłam prosto do środka plantacji. Tam, przygwożdżona do ziemi przez kłujące gałęzie, które chłostały mnie w plecy przy każdym ruchu, przeżywałam moment paniki. Nie mogłam wstać, nie tracąc połowy skóry, nie widziałam dalej niż na pół metra; wiedziałam, że jeśli się teraz zgubię, będę pełzać na czworakach godzinami i może nigdy stąd nie wyjdę. Zapach był duszący, kręciło mi się w głowie, a ciemność groziła, że mnie pochłonie. Brnęłam jednak dalej, krzywiąc się z bólu i osłaniając oczy, zostawiając kosmyki włosów na pniach, z krwawiącymi kolanami i ściśniętą z braku powietrza pierś.

Wypadałam z tego lasu niczym pocisk wystrzelony z lufy i siedziałam, dysząc, na trawie, mrugając oczami w blasku słońca. Godzinę zajmowało mi pozbycie się igieł z włosów i cała byłam podrapana, ale oprócz zbierania koszyka grzybów

doświadczając dziwnego uczucia uniesienia, niemal triumfu, jakbym dokonała czegoś niezwykłego.

Uczucie to powracało z każdą wyprawą do tej części lasu. Za każdym razem rzucałam się głową naprzód w kłującą ścianę młodych drzew, pełzałam na czworakach w poszukiwaniu grzybów, wpadałam w popłoch, kiedy docierałam do środka i uświadamiałam sobie, że nie mogę ani wstać, ani zobaczyć, dokąd zmierzam. Potem następował świadomy wysiłek, by opanować strach i znaleźć wyjście.

Po takiej próbie rzucałam się na trawę na mojej małej polanie i spałam aż do wieczora. Gorące letnie dni powoli mijały i niezauważalnie zaczęłam wychodzić z transu. Leżąc na chłodnej trawie i wpatrując się w błękitne niebo, zorientowałam się nagle, że myślę o Kaliszu, o moich przyjaciółach, o wujku, o wielu codziennych rzeczach, nawet o szkole. Nadal nie mogłam sobie wyobrazić, że tam wracam albo zaczynam się czymkolwiek interesować. Tamte rzeczy należały do innego życia, do przeszłości, do której nigdy nie mogłam ponownie wejść. Nie widziałam, co rozciąga się przede mną, ale po raz pierwszy od tamtego ciosu zaczynałam przyznawać, że coś jednak mnie czeka. Że nie umrę, że niebawem będę musiała zacząć planować inne życie, które będzie trwać mimo tego, co się wydarzyło.

Wujek wspominał coś o emigracji do Australii, ale kiedy usłyszałam to po raz pierwszy, odrzuciłam ten pomysł z przerażeniem. Nie mogłam sobie wyobrazić wyjazdu z Polski czy nawet z Kalisza. Przecież to było jedyne życie, jakie znałam. To był język, w którym nauczyłam się myśleć, kochać, modlić się i czuć. Język, w którym nadal pisałam wiersze i śpiewałam, choć już się nie modliłam. Czym będę, co mi pozostanie, gdy stracę nawet to?

Czy można zacząć nowe życie, zacząć czuć na nowo w wieku szesnastu lat? I kto mi pokaże, jak to się robi? Nie, nie mogłam tego zrobić, to było zbyt przerażające. A jednak rozważając to teraz w lesie na Krzyżówkach, pomyślałam, że to było jedyne rozsądne rozwiązanie. Ponieważ nie przemawiała do mnie perspektywa pozostania tutaj i nie zamierzałam jeszcze umrzeć, być może powinnam spróbować rozpocząć zupełnie nowe życie. Być może powinnam wyjechać z tego miasta, które kochałam ponad wszystko, ale które stało się grobem wszystkich moich wspomnień; z tego kraju, jedyne, jaki znałam, który zamienił się w ogromny cmentarz zamieszkały przez miliony nie pomszczonych duchów; wyjechać jak najdalej, na drugi koniec świata, gdzie żaden podkuty but nie tratował ziemi, a pól nie znaczyły kraterzy po bombach. Nie wiedziałam nic o Australii, która w moim podręczniku do geografii zajmowała stronę w ostatnim rozdziale razem z Księżycem. Wydawało mi się, że to dobry wybór.

Nadal nie mogłam spać w nocy i cała rozdygotana patrzyłam, jak białe ściany

rozstępują się, by ukazać sceny z obozów, ale teraz czasami widziałam także inne rzeczy: nasz stary pokój w getcie, panią Kraut i jej męża, Rachelę, Szereków, Beatusów, ulice, tłumy, bramy Umschlagplatzu, przez które nie przeszłam tylko ja. Powoli, pojedynczymi słowami zaczęłam nazywać niewypowiedziane. Próbowałam wymówić słowa i zapanować nad uczuciami, które je budziły: Moi rodzice nie żyją. Przełknęłam ból i spojrzałam w niebo, nie oczekując już uderzenia pioruna, który powinien mnie powalić za wypowiedzenie takiego bluźnierstwa.

Dopóki miałam nadzieję, że ojcu udało się przeżyć, ocalenie mamy było równie możliwe... Pomimo listu ojca wierzyłam, że są gdzieś razem i pewnego dnia wrócą. Teraz nie miałam już żadnej nadziei. Mama musiała umrzeć w samotności. Jak i kiedy? Czy naprawdę szukała nas, Eryka i Lidii, próbując wydostać się z getta i przejść te kilka krótkich ulic, które dzieliły jego bramy od naszego domu? Co się stało? Kto ją zdradził na warszawskiej ulicy? Jak umarła?

A ojciec? Mężczyzna na schodach powiedział, że był w obozie w 1944 roku. Nagle powróciło wspomnienie tego niezwykłego poczucia bliskości ojca w lesie otaczającym klasztor. Majdanek wyzwolili Rosjanie w lipcu 1944 roku. Ojciec, jeśli jeszcze żył, mógł przynajmniej umrzeć jako wolny człowiek. Może... może żył jeszcze tamtej jesieni, kiedy czułam, że jest tak blisko i spodziewałam się, że lada moment przyjedzie. Czy naprawdę był wtedy obecny duchem, który opuścił już jego ciało? A może jeszcze żył i przesyłał mi swoje ostatnie myśli?

Odwrociłam się i ukryłam twarz w wysokiej trawie. Ziemia wirowała w zatrważającym tempie, pędząc przez wieczną noc, i trzymałam się jej obiema rękami, przyciśnięta do jej twardej powierzchni. Gdybym tylko mogła się w niej znaleźć jak wszyscy ci, którzy już umarli i leżeli bezpiecznie pochowani. Nareszcie czułabym się bezpieczna. Ale ziemia jeszcze mnie nie chciała i nie było sposobu, by dotrzeć do tych, którzy się pod nią znaleźli. Nie było sensu walić w nią pięściami i krzyczeć, żeby mnie wpuściła. Musiałam przeżyć przeznaczone mi lata – sama.

Zamknęłam oczy, przyłgnęłam plecami do ziemi i powtórzyłam na głos: „Moi rodzice nie żyją. Zginęli w obozach koncentracyjnych albo zdradzeni przez rodaków na ulicy. Nigdy się nie dowiem, kiedy ani jak to się stało i gdzie zostali pochowani. Nie będzie grobu z ich doczesnymi szczątkami. Ten cały kraj jest grobem, cała ziemia jest ogromnym grobowcem i oni są gdzieś jej częścią. Mogę teraz wyjechać, ale tak długo jak będę mogła dotknąć ziemi, nie stracę z nimi kontaktu”

Przez w półprzymknięte oczy widziałam lśniące błękitne niebo. Na jego tle liście tańczyły swój taniec. Obudziłam się z długiego snu, w którym w magiczny sposób powrócił zapach jabłek i gruszek dojrzewających w słońcu i nawet teraz wypełniał otaczające mnie powietrze. Leżałam na wznak. Ziemia była miękka. Ugięła się pode

mną jak ciepła kołyska. Trawa rosła między moimi palcami i nad moim ciałem, po nogach pełzały mrówki. Patrzyłam na nie spokojnie bez cienia strachu. One i ja, my wszyscy, należymy do ziemi. Ona jest jedyną niezniszczalną podstawą całej egzystencji. Ona dała nam życie i do niej pewnego dnia powrócimy. To jedyny pewnik, jedyna pociecha.

Z sadów drzemiących w jesiennym słońcu wiatr przyniósł zapach dojrzewających owoców. Zapach powracającego życia. Zapach pokoju.



# Podziękowania

Na pierwszym miejscu pragnę podziękować pani profesor Barbarze Szackiej, która tak bardzo przyczyniła się do polskiego wydania tej książki.

Dziękuję obu tłumaczkom, pani Elżbiecie Olender-Dmowskiej i pani Katarzynie Malicie, także za ich wyrozumiałość i cierpliwość.

Jestem wdzięczna Barbarze Butler i Lidii Siciarz za objaśnienia o napadzie na zakład w Łomnie i gorąco dziękuję pani Janinie Nowickiej za przysłanie wiersza, który stał się mottem *Skrawka nieba*.

# O Autorce

**JANINA DAVID** urodziła się w 1930 roku w Kaliszu w zamożnej rodzinie żydowskiej. Jesienią 1939 roku, po ucieczce z zajętego przez Niemców rodzinnego miasta, znalazła się z rodzicami w Warszawie. Ocalona z warszawskiego getta, przez dwa lata ukrywała się najpierw u znajomych rodziców, potem w katolickim klasztorze w Płudach i w sierocińcu w Warszawie. Podczas wojny straciła rodziców. Opuściła Polskę w 1946 roku i do 1948 roku mieszkała w międzynarodowym domu dziecka we Francji. Tuż przed swoimi osiemnastymi urodzinami wyjechała do Australii, gdzie otrzymała australijskie obywatelstwo i dzięki stypendium studiowała socjologię i nauki humanistyczne na uniwersytecie w Melbourne. W 1958 roku wyemigrowała do Wielkiej Brytanii, gdzie mieszka do dzisiaj w Londynie.